

**DEAN KOONTZ**

**ZIMNY OGIEN**

**Przełożył Paweł Korombel**

**Wydanie oryginalne: 1991**

**Wydanie polskie: 2002**

**TMN**

*Poświęcam Nickowi i Vicky Page'om,  
którzy byliby wspaniałymi sąsiadami i przyjaciółmi,  
gdyby im się tylko chciało  
— oraz Dickowi i Pat Kanonom,  
jednym z niewielu w Hollywood,  
którzy są i pozostaną sobą.  
Dzięki wam wszystkim stałem się lepszy.  
Bardziej postrzelony, ale lepszy!*

## CZEŚĆ PIERWSZA

# BOHATER I PRZYJACIEL

*W realnym świecie  
tak jak w snach  
wszystko coraz to  
inną ma twarz.*

KSIĘGA POLICZONYCH SMUTKÓW

*Życie bez celu  
przytłacza nas.  
Spełnijmy więc  
co los nadarzy –  
lub rogu Śmierci  
usłuchajmy,  
w mrok wezwani.*

*Gdy cel nam w życiu  
nie przyświeca,  
martwe są oczy  
udręką los  
albo pierś zboczy  
samobójczy cios.*

KSIĘGA POLICZONYCH SMUTKÓW

## **12 SIERPNI**

### **1**

Jeszcze przed wypadkami w supermarkecie Jim Ironheart powinien wiedzieć, że szykują się kłopoty. W nocy prześladował go koszmar. Po rozległym polu ścigało go stado wielkich kosów. Skrzeczały, ogłuszająco trzepotały skrzydłami, cięły dziobami ostrymi jak chirurgiczne skalpele. Kiedy otrząsnął się ze snu, nie mógł złapać tchu. Nie wkładając nawet góry od piżamy, poczłapał na balkon odetchnąć świeżym powietrzem. Ale już o wpół do dziesiątej rano słupek rtęci w termometrze wskazywał trzydzieści trzy stopnie i wrażenie duszności, które nie pozwoliło mu spać, tylko się pogłębiło.

Długi prysznic i golenie odświeżyły go.

W lodówce nie było nic poza wyschniętym na wiór kawałkiem ciasta. Przypominało laboratoryjną kulturę nowego, wyjątkowo jadowitego szczepu bakterii. Pozostawało głodować albo zanurzyć się w buchający żar.

Sierpniowy dzień był tak gorący, że żyjące w realnym świecie ptaki przysiadły na konarach drzew, zamiast szybować po otwartym, spalonym słońcem niebie południowej Kalifornii. Tkwiły bezgłośnie w liściastych kryjówkach, ćwierkając z rzadka i bez entuzjazmu. Psy szybko przemykały wzdłuż chodników parzących jak grill. Żaden przechodzień: mężczyzna, kobieta czy dziecko, nie musiał sprawdzać, czy jajko usmaży się na betonie, mógł to przyjąć na wiarę.

Zjadł lekkie śniadanie w przybrzeżnej kafejce w Laguna Beach. Mimo iż siedział na patiu przy stoliku z parasolem, poczuł, jak znowu opuszczają go siły, a ciało pokrywa warstwa potu. Był to jeden z tych nielicznych dni, kiedy Pacyfik nie tchnął nawet cieniem powiewu.

Pojechał do supermarketu: początkowo robił wrażenie przyjaznego schronienia. Jim miał na sobie tylko białe, luźne bawełniane spodnie i niebieską koszulkę, a klimatyzacja i zimne powietrze, dobywające się z chłodzonych pojemników, działały ożywczo.

Stał właśnie przy słodyczach, porównując skład makaroników z zawartością białków ananasowo-kokosowo-migdałowych i próbując ustalić, którym produktem mniej zgrzeszy przeciw diecie odchudzającej, kiedy dostał ataku. Jak zawsze, nie wyglądał groźnie — nie było konwulsji, gwałtownych skurczów mięśni, zlewania się potem ani odżywek w obcym języku. Po prostu nagle obrócił się do stojącej obok kobiety i rzekł:

— Linia życia.

Kobieta miała około trzydziestki, była ubrana w szorty i strzępek bluzki ledwo zasłaniający piersi. Była tak ponętna, że mogła stanowić cel natrętnych męskich propozycji, być może więc uznała to za chęć nawiązania znajomości. Zmierzyła go ostrożnym spojrzeniem:

— Proszę?

Płyn z prądem, pomyślał. Nie przejmuj się.

Zaczął drzeć, ale nie z winy klimatyzacji. Nagle poczuł, jak przebiega przezeń chłód. Jak sunąca ławica węgorzy. Stracił władzę w rękach. Paczki słodyczy upadły na podłogę.

Zażenowany, ale niezdolny zapanować nad sobą, powtórzył:

— Linia życia.

— Nie rozumiem — powiedziała kobieta.

— Ani ja — odrzekł. Była to prawda, choć zdarzyło mu się to po raz dziewiąty.

Ścisnęła paczkę waniliowych wafelków, gotowa rzucić mu nią w twarz w każdej chwili, gdyby tylko przejawiał ochotę zamienić się w chodzący nagłówek (SZALENIEC ZASTRZELIŁ SZÓSTKĘ LUDZI W SUPERMARKECIE). Ale była z niej na tyle dobra dusza, że zdobyła się na jeszcze jedno pytanie:

— Nic panu nie jest?

Rzecz jasna, musiał być blady jak śmierć. Czuł, jak z twarzy odpłynęła mu ostatnia kropla krwi. Usiłował zdobyć się na uspokajający uśmiech, chociaż wiedział, że nie wyjdzie mu nic poza upiornym grymasem.

— Muszę iść — odparł.

Zostawił koszyk i prosto ze sklepu zanurzył się w niszczący upał sierpniowego dnia. Skok temperatury momentalnie ściął mu oddech. Asfalt na parkingu miejscami lepił się do podeszew. Słońce srebrzyście lśniło na szybach wozów, roztrzaskując się na zderzakach i kratkach chłodniczych w olśniewające drzazgi.

Podszedł do swojego forda. Wóz miał klimatyzację, ale powietrze ulatujące ze szczelin w desce rozdzielczej było chłodne jedynie w porównaniu z temperaturą włączonego piekarnika, panującą w środku wozu. Opuścił szybę.

Najpierw nie wiedział, dokąd zmierza. Następnie ogarnęło go niejasne przecucie, że powinien skierować się do domu. Przecucie zamieniło się w przekonanie, przekonanie w silne postanowienie. Postanowienie przybrało formę nakazu. Absolutnie musiał znaleźć się w domu.

Jechał zbyt szybko, często zmieniając pasy i ryzykując, co zupełnie do niego nie pasowało. Zatrzymany przez policję, nie umiałby wyjaśnić tego rozpaczliwego pośpiechu, gdyż sam nie wiedział, czemu się spieszy.

Każde posunięcie było mu narzucane przez kogoś niewidzialnego, posługującego się nim równie łatwo, jak on posługiwał się samochodem.

Powtórnie nakazał sobie płynąć z prądem zdarzeń i impulsów. Nie było to trudne. Nie miał wyboru. Powtarzał sobie również, że nie powinien się bać, ale strach mu ciągle towarzyszył.

W Laguna Niguel wjechał na swój podjazd. Ostre cienie palmowych liści rysowały się jak pęknięcia na płonących białą, otynkowanych ścianach domu, jakby budowla pod wpływem upału wyschła i się rozwarła. Czerwone dachówki przypominały fale szalejącego ognia.

W sypialni słońce wzbogacał miedziany blask, użyczany przez barwione szyby. Łóżko i szaro-biały dywan na przemian przecinały pasy koloru jednocentówki i pasma cienia, rzucane przez na wpół uchylone okiennice.

Zapalił lampkę przy łóżku.

Nie wiedział, że szykuje się do podróży, dopóki się nie zorientował, iż sięga do szafy po walizkę. Zaczął pakowanie od przyborów do golenia i drobiazgów toaletowych. Nie wiedział, dokąd jedzie ani na jak długo, ale wziął dwie zmiany bielizny. Te wyprawy — zadania, misje czy jak je tam nazwać — zwykle nie trwały więcej niż parę dni.

Zawahał się, niespokojny, czy nie zabrał zbyt mało rzeczy. Ale wyprawy były niebezpieczne; każda mogła okazać się ostatnią. Wielkość bagażu nie miała znaczenia.

Zamknął walizkę i wpatrywał się w nią, nie wiedząc, co dalej. Aż powiedział:

— Muszę lecieć. — I już wiedział.

Jazda na lotnisko Johna Wayne'a, leżące na południowo-wschodnim skraju Santa Ana, zabrała mu mniej niż pół godziny. Po drodze mógł dostrzec drobne ślady przeszłości z czasów, kiedy przed budową systemu nawadniającego południowa Kalifornia była jeszcze pustynią: wielki plakat zalecający oszczędność wody, kaktusy i trawę śródziemnomorską, którą mieszkańcy nowych domów w stylu południowego zachodu sadzili od frontu. Pomędzy pasami trawników i skupiskami domów, bogato obrośniętymi zielenią, roślinność na zaniedbanych polach i pagórkach była zeschnięta i brązowa. Zdawała się czekać liźnięcia płomyka zapalniczki rzuconej drżącą dłonią jakiegoś piromana. Była pełnia dorocznego, niszczącego sezonu burz ogniowych.

W głównej hali lotniska pasażerowie ciągnęli dwoma strumieniami: jedni wchodzili na pokłady samolotów, drudzy je opuszczali. Wielorasowy tłum zaprzeczał mitowi, jakoby okręg Orange był kulturowo jednolity i zamieszany wyłącznie przez białych protestantów pochodzenia anglosaskiego. Zmierzając do rzędu monitorów z listami przylotów i odlotów rejsów pasażerskich, Jim usłyszał rozmowy prowadzone w czterech obcych językach.

Przeglądał punkty docelowe na monitorze, śledząc listę od góry do dołu. Nazwa przedostatniego miasta — Portland w Oregonie — pobudziła go do działania. Ruszył wprost do kasy.

Obsługujący go kasjer był młodym, krótko ostrzyżonym człowiekiem. Na pierwszy rzut oka wydawał się równie bez zarzutu jak pracownik Disneylandu.

— Rejs do Portland, odlot za dwadzieścia minut — powiedział Jim. — Są miejsca?

Kasjer sprawdził na liście komputera.

— Ma pan szczęście. Są jeszcze trzy.

Kiedy kasjer przejechał jego kartą kredytową przez czytnik i wydawał mu bilet, Jim zauważył, że facet ma przekłute uszy. Nie afiszował się w pracy z kolczykami, ale dziury były wyraźne. Poza miejscem zarobkowania musiał stale nosić ciężką biżuterię. Widocznie taki miał gust. Kiedy zwracał Jimowi kartę, mankiet koszuli podjechał mu na prawym przegubie, tak że obnażył precyzyjny tatuaż: kolorowy smok wspinał się w górę przedramienia, szczerząc kły. Facet miał kłykiec splekane od licznych blizn, jakich można się dorobić podczas walki.

Przez całą drogę do wejścia na pokład samolotu Jim zastanawiał się, w jakim podkulturowym bajorze pływa kasjer, gdzie znika, kiedy zrzuca uniform i wkłada prywatne ciuchy. Miał przeczucie, że nie chodzi tu o nic tak pospolitego jak grupa motocyklowych punków.

Samolot skierował się na południe. Słońce bezlitośnie oświetlało okno Jima. Potem, nad oceanem, skręcili na zachód i północ. Słońce odbijało się w morzu na dole. Żarzący się krąg przemieniał wodę w szerokie płaty magmy, wypływane spod pancerza planety.

Jim poczuł, że mocno zaciska zęby. Spojrzał na oparcia swojego fotela. Jego palce wyglądały jak wczepione w grań szpony orła.

Usiłował się rozluźnić.

Nie bał się lotu. To, co napawało go lękiem, to Portland... i śmierć, której mógł się tam spodziewać, a której twarzy nawet nie znał.

## 2

Holly Thorne siedziała w prywatnej szkole podstawowej w zachodniej dzielnicy Portland. Miała zrobić wywiad z nauczycielką Luizą Tarvohl. Luizie udało się sprzedać zbiór wierszy nowojorskiemu wydawcy. Taka gratka nie zdarzała się często, zwłaszcza w epoce, w której znajomość poezji zawężała się do piosenek muzyki pop i przypadkowych rymowanek z reklam telewizyjnych, głoszących zalety jedzenia dla psów, dezodo-

rantów i radialnych opon samochodowych. Szkoła prowadziła obecnie tylko parę letnich kursów i koleżanka Luizy przejęła jej obowiązki. Poetka miała czas na rozmowę z Holly.

Siedziały na placu za sekwojowym stołem, przy którym urządzano pikniki. Holly najpierw upewniła się, czy ławka jest czysta; nie miała zamiaru ubrudzić białej bawełnianej sukienki. Po lewej stronie wznosił się mały gaj, po prawej stały huśtawki. Dzień był przyjemny i ciepły, lekki wiaterek niósł aromat jodeł.

— Tylko wciągnij powietrze! — Guziki na koszuli Luizy zatrzeszczały ostrzegawczo. — Czuje się te pięć tysięcy akrów parku, co? Człowiek nie zdołał tu wiele nasmerdzić.

Tom Corvey, szef działu rozrywki Press, obarczając Holly tą robotą, wręczył jej równocześnie sygnałny egzemplarz książki. Nosiła tytuł „Szelest cyprysów i inne wiersze”. Usilnie starała się do nich przekonać, gdyż lubiła, kiedy, ludziom się powiodło. Sama nie zrobiła kariery i widocznie od czasu do czasu potrzebowała dowodu na to, że sukces jest możliwy. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wiersze były słabiutkie. Miałkie, sentymentalne uniesienia na temat natury świata, w stylu niedorobionego Roberta Prosta. Ich lepka słodycz wywołałaby entuzjazm wydawcy pocztówek urodzinowych dla „najukochańszej babuni”.

Niemniej Holly postanowiła napisać pozytywny artykuł. Przez wszystkie lata pracy poznała zbyt wielu reporterów, którzy powodowani zazdrością, goryczą czy nieuzasadnionym poczuciem wyższości czerpali satysfakcję z opluwania ludzi i przeinaczania faktów, a z bohaterów swych artykułów robili idiotów. Nie potrafiła znaleźć w sobie tyle nienawiści, aby pisać podobnie. Chyba że chodziło o wyjątkowo wrednych kryminalistów i polityków. Może właśnie dlatego krzywa jej kariery biegła coraz bardziej w dół. Przewinęła się przez trzy wielkie redakcje w trzech wielkich miastach i osiadła w skromnych biurach Portland Press. Tendencyjne dziennikarstwo było częstokroć bardziej żywe niż obiektywne, podnosiło nakład i stanowiło o wiele częstszy obiekt komentarzy i zachwyty. Ale mimo iż Holly poczuła niechęć do Luizy Tarvohl jeszcze szybciej niż do płodów jej wyobraźni, nie potrafiła wykrzesać w sobie zapału dla roli kata.

— Dzika głusza jest moim domem, daleko od obrazów i zgiełku cywilizacji, tam gdzie słyszę śpiew natury: w drzewach, szmerze traw, opuszczonych jeziorkach i w kurzu.

Śpiewy w kurzu? — pomyślała Holly i zagryzła wargi, żeby nie parsknąć śmiechem.

Luiza podobała się jej z wyglądu; była twardą, krzepką, pełną życia kobietą. Miała trzydzieści pięć lat, o dwa więcej niż Holly, choć wydawała się starsza o dziesięć. Kurze łapki wokół oczu i ust, głębokie bruzdy, jakie zostawia częsty śmiech, i zbrązowiała od słońca skóra wyraźnie wskazywały, że uwielbia przebywać na łonie natury. Wypłowieale włosy ściągnęła w koński ogon. Była ubrana w dzinsy i koszulę w niebieską kratę.



— Czysta jest leśna ściółka — kontynuowała Luiza na ulubiony temat. — Nie do-  
równa jej najdokładniej wypucowany i zdezynfekowany oddział chirurgiczny.

Na moment odchyliła głowę, aby porozkoszować się słońcem.

— Czystość świata natury odnawia nasze dusze. Z odświeżonych dusz wznosi się  
esencjonalny opar wielkiej poezji.

— Esencjonalny opar? — spytała Holly, jakby chcąc się dodatkowo zabezpieczyć na  
wypadek, gdyby jej magnetofon źle zarejestrował złotą myśl.

— Esencjonalny opar — powtórzyła Luiza i uśmiechnęła się.

Holly wyjątkowo nie podobała się twórczość Luizy. Poetka wyznawała dziwne idee,  
zajmując się pozorami w miejsce konkretów. Jej opiniom i przekonaniom brakowało  
podstaw. Miejsce faktów i rzetelnej analizy zajęły fanaberie. Fanaberie namacalne jak  
żelazne szyny, niemniej jednak fanaberie. A na dodatek używała języka bogatego, lecz  
niedokładnego, przeładowanego i niewiele znaczącego.

Holly sama wiele uwagi przywiązywała do spraw ochrony środowiska i czuła się  
głupio, odkrywając, że są kwestie, w których znajduje się z Luizą po tej samej stronie  
barykady. Nic tak nie doprowadza do wściekłości jak durnie w roli duchowych braci.  
Własne poglądy stają się wtedy podejrzane.

Luiza pochyliła się mocniej, opierając łokcie na sekwojowym stole.

— Ziemia jest żyjącą istotą. Rozmawiałaby z nami, gdybyśmy tylko na to zasługiwa-  
li, otwierając usta tkwiące w każdej skale, roślinie, stawie i przemawiając równie wprost,  
jak ja mówię do ciebie.

— Cóż za ekscytująca myśl — powiedziała Holly.

— Istoty ludzkie to wszy.

— Wszy?

— Wszy pełzające po żyjącej ziemi — rzekła w zadumie Luiza.

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy — powiedziała Holly.

— Bóg jest nie tylko w każdym motyłu — Bóg jest każdym motylem, każdym pta-  
kiem, każdym zajęcem, każdym dzikim stworzeniem. Poświęciłabym milion istnień  
ludzkich — dziesięć milionów i więcej — aby ocalić jeden miot niewinnych łasic, po-  
nieważ Bóg jest każdą z nich.

Jakby poruszona retoryką nauczycielki, pozornie nie zwracając uwagi na jej ekofa-  
szyzm, Holly powiedziała:

— Każdego roku przeznaczam jakąś kwotę na Fundusz Ochrony Środowiska i uwa-  
żam się za obrończynię natury, ale widzę, iż nie osiągnęłam jeszcze twojego poziomu  
świadomości.

Poetka nie dosłyszała sarkazmu w głosie Holly i sięgnęła ręką poprzez stół, ściskając  
dłoń rozmówczyni.

— Nie martw się, moja droga. Jeszcze tam dotrzesz. Wyczuwam wokół ciebie aureę wielkich możliwości duchowych.

— Pomóż mi to sobie przyswoić... Bóg jest motylami i królikami, i każdą żyjącą istotą, i skałami, i kurzem, i wodą — ale Bóg nie jest nami?

— Nie. Z powodu naszej jednej nienaturalnej cechy.

— Jakiej?

— Inteligencji.

— Inteligencja jest nienaturalna? — Holly zamrugowała zdumiona.

— Tak. Inteligencja wyższego stopnia jest nienaturalna. To dlatego natura unika nas. Dlatego podświadomie nienawidzimy jej i usiłujemy ją zniszczyć. Rozwinięta inteligencja wiedzie do postępu. Postęp prowadzi do broni jądrowej, bioinżynierii, chaosu i w końcu do zagłady.

— Bóg... czy też ewolucja nie obdarzyła nas inteligencją?

— To nastąpiło na drodze nieoczekiwanej mutacji. Jesteśmy mutantami i tyle. Potworami.

— Więc im mniej dana istota jest inteligentna...

— ...tym jest bliższa natury — Luiza dokończyła za Holly.

Dziennikarka w zamyśleniu pokiwała głową, udając, że na serio rozważa twierdzenie, jakoby durniejszy świat był lepszym światem, ale tak naprawdę pomyślała, że nie uda się jej dokończyć tej roboty. Luiza Tarvohl okazała się taką kretynką, że unikając kłamstw, nie zdoła sklecić o niej życzliwego artykułu. Równocześnie nie miała serca robić z niej w prasie idiotki. Holly nie była zatwardziałym i zaprzysięgłym cynikiem, nie — jej problem był zgoła odmienny. Miała zbyt miękkie serce. Żadna istota zamieszkująca Ziemię nie jest skazana na większe frustracje i rozczarowania niż zjadliwy cynik z jednym miękkim kręgiem litości w twardym kręgosłupie.

Odłożyła pióro, wiedząc, że nie będzie robić notatek. Marzyła tylko o ucieczce od Luizy, z tego szkolnego placu, o powrocie do realnego świata — mimo że realny świat zawsze wydawał się jej jedynie nieco mniej pokręcony niż aktualna rozmówczyni. Jednak była winna Tomowi Corveyowi od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu minut nagranego materiału. To wystarczy innemu reporterowi do napisania artykułu.

— Luizo — powiedziała — słuchając ciebie, dochodzę do wniosku, że jesteś najbardziej naturalną osobą, jaką udało mi się w życiu spotkać.

Luiza nie wyczuła drwiny. Traktując ją jako komplement, uśmiechnęła się promiennie do Holly.

— Drzewa są naszymi siostrami — powiedziała, płonąc chęcią wyjawienia kolejnej prawdy ze skarbcza swych mądrości. Najwidoczniej umknęło jej, że istoty ludzkie są wszami, nie drzewami. — Czy odciąłabyś swej siostrze ręce i nogi, okrutnie porąbała ciało i zbudowała dom z jej zwłok?

— Nie, nigdy — szczerze zaprzeczyła Holly. — Poza tym architekt miejski z pewnością nie wydałby zezwolenia na budowlę z tak niecodziennego materiału.

Holly była spokojna: Luizie brakowało poczucia humoru — dlatego też nie można było jej obrazić dowcipem.

Kiedy Luiza trajkotała dalej, Holly oparła o stół i udając zainteresowanie jej wywodami, dokonywała szybkiego przeglądu swego dorosłego życia. Uznała, że cały ten cenny czas spędziła w towarzystwie idiotów, durniów i świrów, wysłuchując ich niedorzecznych lub socjopatycznych planów i marzeń, poszukując nadaremnie samorodków mądrości i niezwykłości w kretyńskich i psychotycznych opowieściach.

Coraz bardziej upadając na duchu, zaczęła rozmyślać o życiu osobistym. Nie uczyniła żadnego wysiłku, aby w Portland znaleźć przyjaciółkę od serca, być może dlatego, że w głębi duszy czuła, iż Portland jest tylko jednym z przystanków na trasie jej dziennikarskiej wędrówki. Doświadczenia z mężczyznami, niezwykle skromne, były jeszcze bardziej przygnębiające niż doświadczenia profesjonalne, zebrane podczas wywiadów przeprowadzanych z rozmówcami obojga płci. Mimo że nadal żywiła nadzieję, iż uda się jej spotkać właściwego mężczyznę, wyjść za mąż, mieć dzieci i cieszyć się pełnią rodzinnego szczęścia, zastanawiała się, czy ktokolwiek miły, zdrowy psychicznie, inteligentny i rzeczywiście wart zainteresowania pojawi się kiedykolwiek w jej życiu.

Prawdopodobnie nie.

A jeżeli ktoś taki w cudowny sposób stanie na jej drodze, to jego miła powierzchowność bez wątpienia okaże się jedynie maską, pod którą ukrywać się będzie wielokrotny morderca z obłędem w oku i upodobaniem do piły elektrycznej w chorej mózgowicy.

### 3

Opuściwszy halę dworca lotniczego w Portland, Jim Ironheart wszedł do wozu należącego do Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego Miasta Róż. Brzmiało to jak nazwa nie-lubianego dziecka jakiejś korporacji, z dawno zapomnianej epoki hippisów, czasu paciorków i kwiatów we włosach. Ale taksiarz — według plakietki nazywający się Frazier Tooley — wyjaśnił, że Portland faktycznie zawdzięcza swój przydomek różom, które kwitną tu masowo, symbolizując odrodzenie sił i stały rozwój.

— Tak samo jak w Nowym Jorku żebracy są symbolami gnicia i upadku — powiedział. Był sympatyczny, ale pełen samozadowolenia, co chyba stanowiło — jak podejrzewał Jim — charakterystyczną cechą wielu portlandczyków. Przypominał z wyglądu włoskiego śpiewaka operowego, stanowił jakby odlew z formy „Luciano Pavarotti”. Nie był pewien, czy zrozumiał polecenie Jima.

— Chce pan, żebym pokręcił się chwilę po mieście?

— Tak. Chciałbym rozejrzeć się trochę, zanim pojedę do hotelu. Jestem tu po raz pierwszy.

Prawda wyglądała tak, że nie wiedział, w jakim hotelu ma się zatrzymać oraz czy oczekujące go zadanie ma wykonać zaraz, wieczorem czy może jutro. Miał nadzieję, że wystarczy chwila odprężenia, a oświecenie samo przyjdzie.

Tooley palił się do przejażdżki po mieście. Nie myślał jedynie o długim kursie, który z pewnością korzystnie zapisze się na taksometrze, ale najwidoczniej lubił pysznić się urodą Portland. W istocie było niezwykle atrakcyjne. Między wysokościami zachowały się historyczne budowle z czerwonej cegły, wzniesione w dziewiętnastym wieku i otoczone wykutymi w metalu ogrodzeniami. Parki ozdobiono licznymi fontannami, a mnogość drzew powodowała, że miasto miejscami wyglądało jak las. Róże rosły wszędzie, nie w takiej liczbie jak wczesnym latem, ale za to osiągnęły dojrzały blask i koloryt.

Nie minęło pół godziny, gdy Jima nagle ogarnęło przecucie, że czas mu się kurczy. Wyprostował się na tylnym siedzeniu i usłyszał, jak mówi:

— Wiesz, gdzie jest szkoła McAlbury’ego?

— Jasne — powiedział Tooley. — Co to jest?

— Pyta pan, gdzie jest, a nie wie co? Prywatna podstawówka. W zachodniej części miasta.

Jimowi serce biło szybko i mocno.

— Jedziemy tam.

— Coś się stało? — spytał Tooley i przyjrzał mu się uważnie w lusterku.

— Muszę tam pojechać.

Tooley przyhamował na czerwonych światłach. Obejrzał się przez ramię.

— Ale o co chodzi?

— Po prostu muszę tam pojechać — ostro powiedział Jim, czując rosnące zdenerwowanie.

— Jasne, tylko bez nerwów.

Od czterech godzin, kiedy tylko wymówił w supermarkecie słowa „linia życia”, kierując je do tamtej kobiety, czuł, jak przebiegają przezeń strumyki lęku. Teraz wezbrały w ciemne fale niosące go do szkoły McAlbury’ego. Z bezwzględną natarczywością, której źródła nie potrafił określić, powiedział:

— Muszę się tam znaleźć za piętnaście minut!

— Dlaczego nie mówił pan wcześniej?

Nie mógł powiedzieć, że nie wiedział o tym wcześniej. Spytał:

— Zdążymy?

— Będzie ciężko.

— Płacę potrójnie.

— Potrójnie?

— Jeśli zdążysz na czas — powiedział, wyjmując portfel z kieszeni. Wyciągnął studolarówkę i rzucił Tooleyowi: — Weź zaliczkę.

— To takie ważne?

— Sprawa życia i śmierci.

Tooley zmierzył go spojrzeniem mówiącym: Co jest — masz źle w głowie?

— Światła się zmieniły — zwrócił uwagę Jim. — Gaz!

Mimo iż sceptycyzm na twarzy Tooleya jedynie się pogłębił, kierowca obrócił się i skręcił ostro w lewo. Wcisnął pedał gazu do oporu.

Jim przez całą drogę patrzył na zegarek. Kiedy zjawili się przed szkołą, zostały mu tylko trzy minuty. Rzucił następny banknot Tooleyowi, ponad trzykrotnie więcej, niż wskazywał licznik. Pchnął drzwi i wyskoczył na chodnik, ciągnąc za sobą walizkę.

Taksówkarz wychylił się przez otwarte okno.

— Mam zaczekać?

— Nie. Dzięki. Jesteś wolny — powiedział Jim, zatrzasnąwszy drzwi.

Obrócił się i z niepokojem spoglądał na fronton szkoły. Za sobą usłyszał odjeżdżającą taksówkę. Biały budynek w niejednorodnym stylu, z przewagą elementów okresu kolonialnego, miał dużą werandę i dwa parterowe skrzydła z dodatkowymi pomieszczeniami klasowymi. Ocieniały go jodły i potężne stare sykomory. Razem z trawnikami i boiskiem zajmował całą przestrzeń niedużego kwartału.

Z budynku właśnie wychodziły dzieci. Wysypywały się z wysokich dwuskrzydłowych drzwi na werandę i w dół na stopnie. Śmiały się i rozmawiały. W rękach trzymały książki i bloki rysunkowe, jasne pojemniki na lunch, przyozdobione postaciami z filmów rysunkowych. Zbliżały się do niego ścieżką, mijając otwartą bramę w najeżonym ostrymi grotami żelaznym ogrodzeniu. Niektóre kierowały się w dół, inne w górę wzniesienia. Oddalały się od Jima w obu kierunkach.

Zostały dwie minuty. Nie musiał patrzeć na zegarek. Serce uderzało mu dwa razy na sekundę i znał czas z taką precyzją, jakby sam był zegarem.

Światło słoneczne, znajdujące sobie drogę w prześwitach między pochylonymi konarami drzew, kładło delikatne wzory na przedmiotach i ludziach, spowijając wszystko ogromną płachtą koronkowej pajęczyny przesytej złotą nicią. Świetlna materia, utkana z promieni, wydawała się falować wedle rosnącej i opadającej muzyki dziecięcych okrzyków i śmiechów. Oto przed nim roztaczał się spokojny, idylliczny obrazek.

Ale szła Śmierć.

Nagle dotarło do niego, że Ona nadchodzi po jedno z dzieci, nie po żadną z nauczycielek stojących na werandzie. Po jedno dziecko. Nie będzie wielkiej katastrofy, żadnej eksplozji, pożaru, spadającego samolotu, który mógłby zabić kilkanaście osób. Będzie to zaledwie jedna niewielka tragedia. Ale czyja?

Jim odwrócił uwagę od scenerii i skierował ją na osoby, wypatrując pilnie na ich młodych, świeżych twarzach oznak bliskiej śmierci. Wszystkie wyglądały tak, jakby miały żyć wiecznie.

— Które? — spytał na głos, nie zwracając się ani do siebie, ani do dzieci, tylko do... Cóż, chyba przemawiał do Boga. — Które?

Niektóre dzieci szły pod górę, do przejść dla pieszych na skrzyżowaniu; inne kierowały się w dół i ku przeciwnej stronie kwartału. Po obu stronach opiekunki ubrane w widoczne z dala jaskrawopomarańczowe kamizelki, trzymając w rękach wielkie czerwone lizaki z napisem STOP, zaczęły już formować swoich podopiecznych w małe grupki. Nigdzie nie było widać samochodu osobowego ani ciężarówki, więc nawet gdyby dzieci pozostawiono bez opieki, ruch uliczny nie wydawał się istotnym zagrożeniem.

Tylko półtorej minuty.

Jim ocenił spojrzeniem dwa stojące w dole przy krawężniku żółte autobusiki. McAlburey był raczej szkołą dla dzieci z bliskiego sąsiedztwa; większość, drogę na zajęcia i do domów odbywała pieszo, ale paru uczniów wsiadało do pojazdów. Kierowcy stali przy drzwiach, śmiejąc się i zagadując do kipiących życiem, rozbawionych pasażerów. Żadne z dzieci wsiadających do autobusów nie robiło wrażenia skazanego na śmierć, a miłe dla oka, żółte pojazdy raczej nie przypominały zamaskowanych karawanów.

Ale Śmierć nadchodziła.

Znajdowała się nieomalże wśród dzieci.

W miejscu akcji zaszła złowróżbna zmiana, nie w rzeczywistości, ale sposobie, w jaki postrzegał ją Jim. Światłana materia stała się mniej widoczna, a bardziej wyraziste cienie, wycinające słoneczne układanki: małe cienie w kształcie liści lub puszystych, iglastych miotełek; większe cienie w kształcie konarów i pni drzew; geometryczne cienie padające ze spiczasto wykończonych żelaznych prętów ogrodzenia. Każda plama ciemności była bramą, którą mogła wkroczyć Śmierć.

Jedna minuta.

Rozgorączkowany, pobiegł kilka kroków w dół, między dzieci. Wśród pełnych zaskoczenia spojrzeń przyglądał się jednemu po drugim, nie wiedząc, jak wygląda znak, którego szuka. Mała walizka objała mu się o nogi.

Pięćdziesiąt sekund.

Cienie rosły, wydłużały się, zatapiały Jima.

Stanął, zawrócił i spojrzał na wzniesienie ulicy u końca kwartału. Kobieta z warty ulicznej na skrzyżowaniu podniosła czerwony znak STOP, wolną ręką ponaglając dzieci. Pięcioro z nich znajdowało się na jezdni. Pozostała szóstka zbliżała się do rogu, szykując się do przejścia.

Jeden z kierowców autobusów szkolnych spytał Jima:

— Szefie, coś nie w porządku?

Czterdzieści sekund.

Jim upuścił walizkę i pobiegł w górę skrzyżowania, nadal nie wiedział, co ma nastąpić i któremu dziecku zagraża niebezpieczeństwo. Popychała go ta sama niewidzialna dłoń, która kazała mu spakować walizkę i lecieć do Portland. Wystraszone dzieci usuwały mu się z drogi.

Obrzeża obrazu, który rejestrował wzrokiem, zalała atramentowa czern. Dostrzegł tylko to, co leżało na wprost niego. Przestrzeń między jednym a drugim chodnikiem zamieniła się w jaskrawo oświetlony wycinek. Resztę kryła ciemność.

Pół minuty.

Dwie kobiety spojrzały na niego zaskoczone i nie zdążyły na czas usunąć mu się z drogi. Próbował je ominąć, ale otarł się mocno o blondynkę w letniej białej sukience, niemal ją przewracając. Nie zatrzymał się. Nadal czuł, że Śmierć jest między dziećmi, odbierał zimno, jakim emanowała.

Dotarł do skrzyżowania, zszedł z chodnika i zatrzymał się. Czwórka dzieci była na jezdni. Jedno stanie się ofiarą. Ale które z tej czwórki? I ofiarą czego?

Dwadzieścia sekund.

Kobieta z warty ulicznej wpatrywała się w niego.

Wszystkie dzieci, poza jednym, zbliżyły się do krawężnika i Jim wyчуł, że chodniki są bezpiecznym miejscem. To jezdni stanie się miejscem tragedii.

Podszedł do spóźnialskiej, małej rudej dziewczynki, która obróciła się i mrugając oczkami, zerknęła na niego zdziwiona.

Piętnaście sekund.

To nie dziewczynka. Patrzył w jej zielone jak jadeit oczy i wiedział, że jest bezpieczna. Po prostu wiedział.

Wszystkie pozostałe dzieci z tej grupy weszły na chodnik.

Czternaście sekund.

Jim zakręcił się w miejscu i spojrzął za siebie, w kierunku odległego krawężnika. Za jego plecami następna czwórka dzieci weszła już na jezdnię.

Trzydzieści sekund.

Kolejna czwórka szła obok niego. Omijały go kołem, rzucając spod oka niespokojne spojrzenia. Wiedział, że musi wyglądać na trochę nienormalnego, kiedy tak stoi na ulicy i wybałusza oczy, z grymasem lęku na twarzy.

Jedenaście sekund.

Ani śladu samochodu. Ale szczyt wzgórza znajdował się trochę ponad sto metrów od skrzyżowania i może jakiś nieostrożny dureń rwał w górę po przeciwległym stoku z gazem wciśniętym do oporu. Kiedy tylko w wyobraźni Jima zamajaczył taki obrazek, pojawił — w proroczym przeblysku ujrzał instrument, po jaki sięgnie Śmierć: pijanego kierowcę.

Osiem sekund.

Chciał krzyknąć dzieciom, żeby zmykały, ale wiedział, że może je tylko przerazić i to jedno, naznaczone piętnem śmierci, zamiast uciec, pobiegnie wprost w ramiona śmierci.

Siedem sekund.

Usłyszał stłumiony pomruk silnika. Pomruk natychmiast zamienił się w głośny warkot, zastąpiony zaraz rykiem szalejących tłoków. Wielki pikap wystrzelił ponad szczyt wzgórza. Przez chwilę dosłownie unosił się w powietrzu. Słońce odbijało się od przedniej szyby, iskrzyło się na chromowanych częściach karoserii, jakby to rydwan ognia nikał z nieba w dniu sądu. Z przesywającym piskiem opon przednie koła rozpląszczyły się o asfalt, tył gruchnął w dół z ogłuszającym trzaskiem.

Pięć sekund.

Dzieci na ulicy rozpierzchły się — tylko chłopczyk o rudawoblond czuprynce i fiołkowych oczach w odcieniu zwiędłych płatów róży stał, ściskając pudełko na lunch pokryte jaskrawymi rysunkami. Jedną sznurówkę tenisówki miał rozwiązana. Patrzył bez ruchu, jak wali się na niego wielka ciężarówka, obezwładniony, jakby wyczuwał, że to nie tylko ciężarówka pędzi mu naprzeciw, ale oto zbliża się nieubłagany los. Ku ósmio- może dziewięcioletniemu chłopcu, któremu pozostała tylko jedna droga. Do grobu.

Dwie sekundy.

Skacząc wprost pod nadjeżdżającego pikapa, Jim złapał chłopca. Wydało mu się, że leci powoli, jak we śnie — było to jak wybiecie i daleki lot z wysokiej skały. Trzymając cały czas chłopca, zatoczył z nim w powietrzu łuk, opadł na jezdnię i potoczył się do pokrytej liśćmi krawędzi ulicy. Jego nerwy były zmrożone przez potworny lęk i adrenalinę: w ogóle nie odczuł upadku. Równie dobrze mógłby przetoczyć się przez łąkę, której pulchna ziemia byłaby obficie porośnięta trawą.

Ryk samochodu był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki usłyszał w życiu, jakby huk gromu przetoczył się w jego wnętrzu. Równocześnie coś z siłą pneumatycznego młota walnęło go w lewą stopę i potworna siła wykręciła łydkę, jakby to był kawałek szmaty, nie ciało. Rozżarzony do białości pręt smagnał go po nodze, wwiercił się w staw biodrowy i wybuchnął niczym raca ze sztucznymi ogniami na wieczornym niebie w święto Czwartego Lipca.

Holly ruszyła za mężczyzną, który ją potrącił. Była wściekła i miała zamiar go obrażać. Ale zanim doszła do skrzyżowania, szaro-czerwony potężny pikap wyskoczył ponad grzbiet wzgórza jak wystrzelony z gigantycznej procy. Holly zamarła przy krawężniku.

Wycie silnika samochodu stało się magicznym zaśpiewem, który spowolnił upływ czasu. Każdą sekundę rozciągnął w minutę. Ze swojego miejsca dziennikarka widzia-



ła, jak nieznajomy mężczyzna ściągnął chłopca z drogi samochodu. Ta akcja ratunkowa była wykonana z tak niezwykłą zręcznością i gracją, że wyglądała prawie na szaleńczy balet, tańczony na środku ulicy w zwolnionym tempie. Zderzak wozu grzmotnął w lewą stopę mężczyzny i pełna grozy zobaczyła, jak but zerwany ze stopy i wyrzucony wysoko w górę kręci się w powietrzu. Częścią świadomości rejestrowała: mężczyzna i chłopiec toczą się w kierunku brzegu jezdnii; pikap wpada w ostry poślizg, rzuca go na prawą stronę; osłupiała opiekunka upuszcza lizak ze znakiem STOP; ciężarówka leci bokiem na samochód zaparkowany przy ulicy, odbija się i wpada na środek jezdni; chłopiec i mężczyzna zastygają przy krawężniku; ciężarówka wali się na bok i ześlizguje w dół w kaskadach żółtych i zielonych iskier — ale cały czas jej uwaga była przede wszystkim skoncentrowana na bucie, który kręcił się coraz wyżej i wyżej, wyraźnie odcinając się od czystego nieba; zawisł w górze na, zdawałoby się, godzinę, a potem powoli, powoli spadał. Nie mogła oderwać od niego oczu. Ten widok ją zahipnotyzował, miała makabryczne wrażenie, że stopa dalej tkwi w bucie, oderwana od łydki, połyskująca odłamkami kości, ciągnąc za sobą koronki tętnic i żył. Spadała w dół, prosto na nią, a Holly czuła, jak w gardle zaczyna jej narastać krzyk.

W dół... dół...

Zniszczony but spadł w śmieci tuż obok niej. Spojrzała na niego, jak w koszmarnym śnie, kiedy spotyka się potwora i nie chce go widzieć, ale człowiek nie odwraca się plecami, gdyż czuje jednocześnie obrzydzenie i pociąg. But był pusty. Nie tkwiła w nim urwana stopa, nie lśniła krew.

Stłumiła wyrrywający się z gardła krzyk. Poczowała na podniebieniu smak wymiocin i to również przełknęła.

Kiedy pikap w końcu zatrzymał się na boku, jakieś pół kwartału w dół od niej, Holly obróciła się w przeciwnym kierunku i pobiegła do mężczyzny i chłopca. Znalazła się przy nich pierwsza, właśnie zaczęli zbierać się z asfaltu.

Chłopiec miał podrapaną rękę i małe zadraśnięcia na szyi, ale poza tym nic mu się nie stało. Nawet nie płakał. Uklękała przy nim.

— Nic ci nie jest, kochanie?

Mimo że oszołomiony, zrozumiał pytanie i pokręcił przecząco głową.

— Nic. Ręka mnie trochę boli, ale to wszystko.

Mężczyzna w białych spodniach i niebieskiej koszulce już siedział. Zwinął skarpetkę do połowy stopy i uważnie obmacywał lewą łydkę. Skórę miał nabrzmiąłą i zaczerwienioną. Holly była zdumiona brakiem krwi.

Ze wszystkich stron zaczął rosnać gwar podnieconych głosów. Pomagano chłopcu wstać i jedna z nauczycielek wzięła go na rękę.

Krzywiąc się z bólu podczas masażu, kontuzjowany mężczyzna podniósł głowę i spotkał spojrzenie Holly. Jego oczy miały kolor najczystszy błękitu i przez moment wydały się tak lodowato zimne, jakby nie były oczami człowieka, ale czujnikami robota.

Potem uśmiechnął się. W sekundzie pierwotne wrażenie chłodu zostało zastąpione przez ciepło. Holly została zniewolona przez ich przejrzystość, koloryt porannego nieba i piękno, bo tym wszystkim emanowały; czuła się tak, jakby przez nie spoglądała w głąb łagodnej duszy. Była cynikiem, jednakowo nieufnym przy pierwszym spotkaniu zarówno z mniszka, jak i szefem mafii, więc natychmiastowa reakcja na tego mężczyznę wstrząsnęła nią. Chociaż to słowa były dla niej środkiem wyrażania największych uczuć i narzędziem pracy, teraz ich jej zabrakło.

— Niewiele brakowało — powiedział i jego uśmiech sprawił, że również się uśmiechnęła.

## 4

Holly czekała na Jima Ironhearta na szkolnym korytarzu, przy chłopięcych natryskach. Dzieci i nauczyciele poszli do domów. Budynek stał w ciszy, zakłócanej jedynie szumem froterki. Woźny doprowadzał do połysku wyłożone linoleum podłogi pierwszego piętra. Powietrze było przesycone słabą wonią kredy, kleju modelarskiego i bakteriobójczej pasty o zapachu sosny.

Na zewnątrz policja prawdopodobnie nadal nadzorowała pracowników firmy transportowej, przygotowujących leżącego pikapa do odholowania z miejsca wypadku. Okazało się, że kierowca był pijany. Przebywał obecnie w szpitalu, gdzie lekarze zajmowali się jego złamaną nogą, ranami, otarciami i potłuczeniami.

Holly miała już wszystko, co było jej potrzebne do napisania artykułu: dane o chłopcu — Billym Jenkinsie, który o mało nie został zabity, opis zdarzenia, reakcje naocznych świadków, protokół policyjny oraz bełkotliwe wyznania pijanego kierowcy, pełne skruchy, ale i samoużalania. Brakowało jej jednego, ale za to najważniejszego elementu: informacji o Jimie Ironheartcie, bohaterze całego zajścia. Czytelnicy gazety będą przecież chcieli wiedzieć o nim wszystko. A jak do tej pory znała tylko jego nazwisko i wiedziała, że pochodzi z południowej Kalifornii.

Jego brązowa walizka stała przy ścianie, tuż obok niej. Holly nie spuszczała z niej oka. Miała ogromną ochotę nacisnąć zamki i zajrzeć do środka. Z początku nie wiedziała, skąd bierze się to pragnienie. Potem uświadomiła sobie, że paradowanie z walizką po dzielnicy mieszkalnej jest raczej nienormalne. A reporterów charakteryzuje wpojona — jeżeli nie wrodzona — ciekawość, gdy stają w obliczu rzeczy niezwykłych.

Kiedy Ironheart wyszedł z łazienek, Holly nadal wpatrywała się w walizkę. Drgnęła, jakby przyłapała ją grzebiącą pomiędzy jego rzeczami.

— Jak się czujesz? — spytała.

— W porządku. — Wyraźnie kulał. — Ale, jak wspominałem, nie mam ochoty na wywiad.

Przyczesał gęste kasztanowe włosy i oczyścił z grubsza białe bawełniane spodnie. Miał na nogach obydwa buty. Lewy był rozerwany i zniszczony.

— Nie zabiorę ci dużo czasu — powiedziała.

— Nawet jeszcze mniej. — Uśmiechnął się.

— No, nie daj się prosić.

— Przykro mi, ale żaden ze mnie bohater.

— Uratowałeś temu dziecku życie!

— I tyle. Poza tym szkoda na mnie czasu.

Coś w jego osobie zadawało kłam tym słowom, choć Holly nie mogła wskazać przyczyny jego atrakcyjności. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Szczupły, ale dobrze umięśniony. Był przystojny, lecz nie zniewalającą urodą gwiazdora filmowego. Piękne oczy, to prawda, ale Holly nigdy nie czuła pociągu do mężczyzny wyłącznie z powodu jego fizycznej atrakcyjności, a już na pewno nie dlatego, że jeden szczegół jego powierzchowności zrobił na niej wyjątkowe wrażenie. Podniósł walizkę i zaczął kuśtykać wzdłuż korytarza.

— Powinien to zobaczyć lekarz — powiedziała, dołączając do niego.

— W najgorszym razie naderwałem sobie ścięgno.

— Nawet wtedy należałoby to opatrzyć.

— Kupię bandaż elastyczny na lotnisku albo po powrocie do domu.

Może jego sposób bycia był tak zniewalający? Miał miękki głos, często się uśmiechał jak dżentelmen ze starego Południa — chociaż mówił bez akcentu. Poruszał się z niezwykłą gracją, nawet kiedy kulał. Przypomniała sobie, jak wydawało się jej, że ogląda scenę z baletu, kiedy z taneczną płynnością zgarnął małego chłopca z drogi sunącej półciężarówki. A więc niezwykły wdzięk i niewymuszona uprzejmość. Ale to nie te cechy tak ją zafascynowały. Coś innego. Coś bardziej nieuchwytnego.

— Jeżeli naprawdę uparłeś się wracać do domu, podwiozę cię na lotnisko — powiedziała, kiedy dotarli do drzwi wyjściowych.

— Dzięki. To bardzo uprzejme z twojej strony, ale niekonieczne.

Wyszła za nim na werandę.

— To piekielnie długi spacer.

Stanął, marszcząc brwi.

— Och, no tak. Mm... musi tu być gdzieś telefon. Zadzwonię po taksówkę.

— Przestań, nie bądź taki strachliwy. Nie jestem seryjnym mordercą. Nie trzymam w wozie piły elektrycznej.

Przyglądał się jej przez sekundę, a potem uśmiechnął się rozbrajająco.

— Chyba nie oszukujesz. Wygląda na to, że chętniej operujesz pałką.

— My, reporterzy, częściej używamy brzytwy. Jednak w tym tygodniu mam jeszcze czyste konto.

— A w zeszłym?

— Dwie pozycje. Ale to byli domokrażcy.

— Trup to trup.

— Zasłużyli sobie.

— Dobra, przyjmuję propozycję.

Jej niebieska toyota stała po drugiej stronie krawężnika, dwa wozy za samochodem, w który uderzył pijany kierowca. Samochód holujący doszczętnie pogruchotaną półciężarówkę jechał w dół wzgórza. Ostatni policjanci wsiadali do wozu patrolowego. Parę odłamków hartowanego szkła z rozbitych szyb pikapu połyskiwało jeszcze na asfalcie w promieniach popołudniowego słońca.

Minęli bez słowa parę przecznic.

— Masz przyjaciół w Portland? — zagadnęła Holly.

— Mhm. Z college'u.

— To u nich byłeś?

— Mhm.

— Nie mogli zawieźć cię na lotnisko?

— Mogli, gdybym leciał rano, ale dziś po południu oboje pracują.

— Aha. — Przyjęła to wyjaśnienie.

Zwróciła mu uwagę na paki cudownych róż herbacianych otulających drewniany płot przy mijanym właśnie domu. Zapytała, czy wie, że Portland nadało sobie nazwę Miasta Róż. Wiedział. Po chwili milczenia powróciła do właściwej konwersacji:

— Mieli zepsuty telefon, co?

— Przepraszam?

— Twój przyjaciele. — Wzruszyła ramionami. — Zastanawiałam się tylko, dlaczego nie zadzwoniłeś od nich z domu po taksówkę.

— Chciałem się przejść.

— Stąd na lotnisko?

— Wtedy moja kostka była w porządku.

— Ale to jednak spory kawał.

— Och, mam fioła na punkcie kondycji.

— Bardzo długi spacer, zwłaszcza z walizką.

— Nie jest taka ciężka. Kiedy ćwiczę, idę na spacer z hantlami i rozwijam górne partie mięśni.

— Sama dużo chodzę — powiedziała, zatrzymując się na czerwonym świetle.

— Poprzednio co rano biegałam, ale kolana zaczęły mi wysiadać.

— Mnie też, więc przeszedłem na intensywne spacerowanie. Serce ma taką samą zaprawę, wystarczy trzymać tempo.

Przez kilka następnych kilometrów starała się utrzymać minimalną szybkość, by zyskać na czasie. Rozmawiali o sposobach wyrabiania kondycji i niskokalorycznym jeździe.

W końcu on powiedział coś, co pozwoliło jej w naturalny sposób zapytać o nazwiska jego tutejszych przyjaciół.

— Nie — odparł.

— Co nie?

— Nie, nie podam ci ich nazwisk. To cisi, mili ludzie i nie chcę, żeby ich prześladowano.

— Nikt dotychczas nie skarżył się, że go prześladowuję.

— Proszę się nie obrażać, panno Thorne, ale nie chcę, żeby znaleźli się w prasie i w ogóle. Nie chcę, żeby rozwalono im życie.

— Wielu ludzi uwielbia zobaczyć swoje nazwisko w gazecie.

— Wielu nie.

— Rozmowa na temat przyjaciela, który okazał się wielkim bohaterem, mogłaby okazać się dla nich nie lada przyjemnością.

— Przykro mi — powiedział grzecznie i uśmiechnął się.

Zaczynała rozumieć, czym ją tak ujął: jego równowaga ducha była wprost zniewalająca. Pracując dwa lata w Los Angeles, Holly poznała wielu mężczyzn, którzy pozowali na pełnych luzu Kalifornijczyków; każdy z nich starał się zrobić wrażenie opoki niezależności, Dojrzałego Faceta — zaufaj mi, maleńka, a świat nas nie skrzywdzi; znajdziemy się poza zasięgiem złego losu — ale w istocie brakowało im żelaznych nerwów i spokoju umysłu, a tym chcieli imponować. Nie wystarczy szafa z garderobą „Bruce Willis”, doskonała opalenizna i wystudiowana obojętność, żeby być Bruce’em Willisem. Pewność siebie zdobywa się dzięki doświadczeniu, ale z autentycznie zimną krwią można się tylko urodzić. Da się ją naśladować, jednak bystre oko zawsze to wykryje. Wydawało się, że Jim Ironheart przyszedł na świat z takim spokojem ducha, i gdyby tę jego cechę rozdysponować w równych ilościach wszystkim mężczyznom w Rhode Island, w całym stanie byłiby tylko chłodni, nieugięci faceci. Fruwające półciężarówki i reporterska wścibskość robiły na nim małe wrażenie. Samo przebywanie w jego towarzystwie było dziwnie relaksujące i zapewniało poczucie bezpieczeństwa.

— Ciekawie się nazywasz — powiedziała.

— Jim?

Nabijał się z niej.

— Ironheart\* — powiedziała. — Jak Indianin.

---

\*Ironheart (ang.) — Żelazne serce (przyp. tłum.).

— Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby w żyłach płynęło mi trochę krwi Apaczów albo Czipewejów. Byłbym wtedy może mniej nudny, bardziej tajemniczy, egzotyczny. Ale to jedynie zanglicyzowana wersja niemieckiego nazwiska moich przodków — Eisenhertz.

Tymczasem znaleźli się na autostradzie i szybko zbliżali się do celu. Holly była załamana. Za chwilę będzie musiała się z nim rozstać na lotnisku. Jako reporterka miała jeszcze wiele pytań, na które nie otrzymała odpowiedzi. A co ważniejsze, od wieków żaden mężczyzna nie zrobił na niej jako na kobiecie tak piorunującego wrażenia. Przez moment rozważała, czy nie jechać okrężną drogą. Nie znał miasta, co mogło mu utrudnić rozszyfrowanie jej oszustwa. Ale zaraz uświadomiła sobie, że znaki na autostradzie już informują o zbliżającym się zjeździe na Lotnisko Międzynarodowe Portland. Nawet jeżeli ich nie zauważył, nie mógł nie spostrzec zwiększonego ruchu samolotów na wschodnim skrawku mocno błękitnego nieba przed nimi.

— A czym się zajmujesz w Kalifornii? — spytała.

— Cieszę się życiem.

— Chodzi mi to, z czego się utrzymujesz?

— A jak myślisz?

— No... jedno jest pewne: nie jesteś bibliotekarzem.

— Skąd to przypuszczenie?

— Jest w tobie coś tajemniczego.

— Bibliotekarze nie mogą być tajemniczy?

— Nigdy o takim nie słyszałam. — Niechętnie skrzyła w zjazd na lotnisko. — Może jesteś pracownikiem jakiejś tajnej służby.

— A to skąd ci wpadło do głowy?

— Naprawdę dobrzy gliniarze są zawsze spokojni i chłodni.

— Popatrz, zawsze uważałem się za faceta ciepłego, otwartego i dobrodusznego.

Mówisz, że jestem chłodny?

Ruch na szosie gęstniał. To pozwoliło jeszcze bardziej zwolnić.

— Chodzi mi o to — odrzekła — że jesteś bardzo opanowany.

— Od jak dawna jesteś reporterką?

— Od dwunastu lat.

— I cały czas w Portland?

— Nie. Tu jestem od roku.

— A poprzednio gdzie pracowałaś?

— Chicago... Los Angeles... Seattle.

— Lubisz dziennikarstwo?

Uświadamiając sobie, że straciła kontrolę nad przebiegiem rozmowy, Holly powiedziała:

— Wiesz, to nie jest teleturniej dwadzieścia pytań.

— Och — odparł, wyraźnie rozbawiony — a ja myślałem, że jest.

Była zgnębiona niemożnością przebicia się przez mur, jaki wokół siebie wzniosł, zirytowana jego uporem. Zwykle wszystko toczyło się zgodnie z jej wolą. Ale nie dostrzegła w nim zła, tak jej się przynajmniej wydawało; nie miał talentu do oszukiwania. Po prostu zdecydowanie bronił swej prywatności. Holly reporterką stale targwały wątpliwości: czy dziennikarze istotnie mają prawo do wdzierania się w życie bliźnich? Dlatego teraz szanowała opór, jaki jej stawiał. Spojrzała na niego przelotnie i roześmiała się.

— Jesteś dobry.

— Ty też.

— Nie, gdybym była dobra, to przynajmniej dowiedziałabym się, z czego się, do diabła, utrzymujesz — powiedziała, kiedy zatrzymali się przed frontowym wejściem dworca lotniczego.

Miał czarujący uśmiech. I te oczy.

— Nie powiedziałem, że jesteś tak samo dobra jak ja. Powiedziałem tylko, że jesteś dobra.

Wysiadł z samochodu, wziął walizkę z tylnego siedzenia, a potem podszedł do otwartych przednich drzwi.

— Spójrz, po prostu tak się złożyło, że znalazłem się we właściwym miejscu o właściwym czasie. To był czysty przypadek, że uratowałem życie temu chłopcu. To nie byłoby fair, gdyby media wywróciły całe moje życie do góry nogami tylko dlatego, że zrobiłem dobry uczynek.

— To prawda — zgodziła się.

— Dziękuję — powiedział z nieskrywaną ulgą.

— Ale muszę przyznać, że twoja skromność przywraca chęć do życia.

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę tymi niesamowitymi niebieskimi oczami.

— Tak jak pani, panno Thorne.

Potem zatrzasnął drzwi, obrócił się i wszedł do hali. W jej uszach, jak echo, brzmiały jeszcze ostatnie słowa:

*Twoja skromność przywraca chęć do życia.*

*Tak jak pani, panno Thorne.*

Patrzyła w drzwi, za którymi zniknął. Zbyt dobry, aby mógł być prawdziwy. Czuła się tak, jakby przed chwilą wiozła ducha korzystającego z autostopu. Cieniutka mgła zawiesiła w powietrzu cętki ukradzione popołudniowemu słońcu. Plamki złota nadawały wszystkiemu nastrój starego filmu o zjawach.

Przestraszył ją ostry, nieprzyjemny dźwięk. Poderwała głowę i zobaczyła strażnika stukającego w dach wozu. Wskazał jej znak: STREFA PRZEŁADUNKÓW.

Holly spuściła hamulec ręczny i wrzuciła bieg. Ciekawe, jak długo tak siedziała, rozmyślając o Jimie Ironheartcie. Twoja skromność przywraca chęć do życia. Tak jak pani, panno Thorne.

Przez całą powrotną drogę do Portland dręczyło ją poczucie, że oto otarła się o coś niesamowitego, że w jej życie wkradł się element nadnaturalny. A przy tym niepokoiło ją odkrycie, że mężczyzna może tak ją poruszyć. Czuła się niewyraźnie, a nawet głupio, jakby na powrót stała się małą dziewczynką. Równocześnie to wrażenie było dziwnie przyjemne i chciała, żeby trwało.

*Tak jak pani, panno Thorne.*

## 5

— Tego wieczoru, w swym mieszkaniu, którego okna wychodziły na Council Crest Park, Holly przygotowała sobie na kolację spaghetti. Robiła właśnie sos z bazylii, świeżych nasion pinii, czosnku i pomidorów, kiedy nagle uderzyła ją myśl: skąd Jim Ironheart mógł wiedzieć, że Billy'emu Jenkinsowi grozi niebezpieczeństwo, zanim pijany kierowca pojawił się w wielkim pikapie na wzniesieniu ulicy?

Zastygła z nożem nad połówką krojonego pomidora i zaczęła spoglądać przez okno. Purpurowoczerwone światło zmierzchu spoczęło już na trawnikach. Stojące w parku wśród drzew lampy rzucały kręgi ciepłego bursztynowego światła na obrzeżone zieleńią ścieżki.

Kiedy Jim Ironheart przebiegł rozpędzony przed szkołą McAlbury'ego i wpadł na Holly, niemal zbijając ją z nóg, natychmiast ruszyła za nim, zamierzając porządnie go ochrzanić. Zanim dotarła do skrzyżowania, on już się znalazł na ulicy. Patrzył na prawo i lewo, poruszony i... wzburzony.

Wyglądał tak dziwnie, że dzieci omijały go szerokim łukiem. Zapamiętała wyraz paniki na jego twarzy i reakcję dzieci na parę sekund przedtem, jak półciężarówka wystrzeliła ze wzniesienia niby samochód kaskadera z brzegu urwiska. Wtedy dopiero Ironheart skupił uwagę na Billym i zgarnął chłopca z drogi samochodu.

Być może wcześniej usłyszał ryk silnika i uświadomiwszy sobie, że coś gna do skrzyżowania z wariacką prędkością, zareagował z wyprzedzeniem. Holly próbowała sobie przypomnieć, czy tamten dźwięk dotarł do niej w momencie, kiedy Jim na nią wpadł, ale nie była tego pewna. Być może słyszała go, ale nie zareagowała nań równie gwałtownie jak Jim. A może w ogóle nie słyszała, usiłując pozbyć się niezmordowanej Luizy Tarvohl, która uparła się odprowadzić ją do samochodu. Czuła wtedy, że jeszcze chwila ćwierkotu poetki, a dostanie ataku szału. Myślała wyłącznie o ucieczce.



Teraz, w kuchni, docierał do niej tylko jeden dźwięk: odgłos kipiącej wody w wielkim garze na kuchence. Powinna przykręcić gaz, wrzucić makaron, nastawić brzęczyk... Zamiast tego stała przy desce do krojenia z pomidorem w jednej ręce, nożem w drugiej, i wpatrywała się w park, ale przed oczami miała fatalne skrzyżowanie w pobliżu szkoły.

Nawet jeżeli dźwięk silnika dotarł do Ironhearta już z odległości połowy kwartału, to w jaki sposób potrafił tak szybko ustalić, skąd nadjeżdżała półciężarówka, i jak wy czuł, że kierowcy zupełnie odbiło, a dzieciom grozi niebezpieczeństwo? Opiekunka, stojąca początkowo o wiele bliżej źródła dźwięku niż Ironheart, została kompletnie zaskoczona, dzieci też.

Dobra, niech będzie. Niektórzy ludzie mają lepiej wyostrzone zmysły niż inni — stąd kompozytorzy symfonii słyszą bardziej skomplikowane współbrzmienia i rytmy niż przeciętni bywalcy sal koncertowych, dlatego niektórzy zawodnicy baseballowi wcześniej od innych widzą wysokie piłki, które unoszą się na tle gorejącego nieba, dlatego wytrawni kiperzy umieją docenić subtelny smak rzadkiego rocznika, kiedy pijanego w sztok lumpa interesuje tylko efekt. Podobnie niektórzy mają lepszy refleks, co w części wyjaśnia, dlaczego Wayne Gretzky jest wart miliony dolarów dla zawodowego zespołu hokejowego. Widziała, że Ironheart ma doskonały refleks szermierza. Prawdopodobnie był również obdarzony wyostrzonym słuchem. Często ludzie z przewagą rozwiniętych cech fizycznych wykazują równocześnie inne zalety: to wszystko sprawa właściwych genów. I oto rozwiązanie zagadki. Proste jak drut. Nic nadzwyczajnego. Nic tajemniczego. I na pewno nic pozazmysłowego. Po prostu właściwe geny.

Za oknem park tonął w coraz głębszym cieniu. Poza miejscami, które oświetlały lampy, ścieżki znikły w gęstniejących ciemnościach. Drzewa wydawały się tłoczyć coraz ciaśniej.

Holly odłożyła nóż i podeszła do kuchenki. Zmniejszyła gaz pod wielkim garnkiem i kipiący war się uspokoił. Wrzuciła makaron.

Wróciła do krojenia. Podniosła nóż i znów wyjrzała przez okno. Na niebie pojawiły się gwiazdy. Purpura zmroku ustąpiła czerni, a szkarłatna smuga na horyzoncie przybrała kolor burgunda. Park spowiły cienie. Światło lamp rozjaśniało tylko niewielkie odcinki ścieżki spacerowej.

Nagle uległa niezwykłemu przekonaniu, że lada moment Jim Ironheart wychyli się z ciemności, wstąpi na ścieżkę w krąg bursztynowego światła, podniesie głowę i spojrzy prosto w jej okno, ponieważ skądś wie, gdzie ona mieszka, i przybędzie tu po nią. Śmieszne przypuszczenie. Ale mrówki przebiegły jej wzdłuż kręgosłupa. Zesztywniała.

Dużo później Holly siadła na brzegu łóżka i zapaliła lampkę nocną. Zerknęła w okno sypialni, przez które również widział park, i znów poczuła na plecach dreszcz.

Już chciała się położyć, ale zawahała się i wstała. W majteczkach i bawełnianej koszulce, swym zwykłym nocnym stroju, podeszła przez ciemny pokój ku oknu. Rozsunęła firanki.

Nie było go na dole. Odczekała minutę, potem następną. Nie pojawił się. Czując się głupio i niewyraźnie, powróciła do łóżka.

Obudziła się w środku nocy, wstrząsana dreszczami. Ze snu zapamiętała tylko niebieskie oczy, intensywnie niebieskie, przenikające ją tak łatwo, jak ostry nóż miękkie masło.

Wstała i poszła do łazienki, prowadzona jedynie lekką poświatą księżycy, która przenikała firanki. W łazience nie zapaliła światła. Zrobiła siusiu, umyła ręce i przez chwilę stała, spoglądając na swoje niewyraźne, bezkształtne odbicie w srebrno-czarnym lustrze. Napila się zimnej wody. Uświadomiła sobie, dlaczego opóźnia powrót do łóżka — z obawy, że znów coś każe jej podejść do okna.

To śmieszne, powiedziała sobie. Co cię napadło?

Wróciła do sypialni i spostrzegła, że zamiast do łóżka, kieruje się do okna. Rozsunęła firanki.

Nie było go tam.

Holly poczuła rozczarowanie, a zarazem ulgę. Kiedy wpatrywała się w otulone w nocie przestrzenie parku, znów przebiegły ją dreszcze i uświadomiła sobie, że tylko w połowie wywołuje je bezimienny strach. Czowała również dziwne podniecenie, rozkoszne oczekiwanie...

Na co?

Nie wiedziała.

Wrażenie, jakie wywarł na niej Jim Ironheart, było głębokie i trwało. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. Choć próbowała pojąć, co czuje, moment zrozumienia nie nadchodził. Sama seksualna fascynacja nie wystarczyła za wyjaśnienie. Dawno przeszła okres dojrzewania i ani napięcie spowodowane przez hormony, ani dziewczęce pragnienie romansu nie mogły jej tak wyprowadzić z równowagi.

W końcu powróciła do łóżka. Była pewna, że będzie leżeć z otwartymi oczami przez resztę nocy, ale ku własnemu zdziwieniu wkrótce znów odpłynęła w sen. Kiedy jeszcze cieniutka nitka łączyła ją ze światem świadomości, usłyszała, jak mamroce: „te oczy”, a potem zapadła w pustkę.

Jim obudził się tuż przed świtem we własnym łóżku, w Laguna Niguel. Serce waliło mu jak młot. Mimo że w pokoju panował chłód, ciało miał skąpane w pocie. Koszmar, z jakiego się wyrwał, nawiedzał go często, ale pamiętał jedynie, że uciekał przed czymś nieustępliwym, potężnym i złowrogim...

Poczucie nadciągającej śmierci było tak wszechogarniające, że musiał zapalić światła, aby upewnić się, że w pokoju nie czyha na niego nic nieludzkiego, nic morderczego. Był sam.

— Ale nie na długo — powiedział głośno.

Nie wiedział, co to miało oznaczać.

## **OD 20 DO 22 SIERPNI**

### **1**

Jim Ironheart spoglądał z niepokojem przez brudną przednią szybę skradzionego camaro. Słońce zawisło jak biała kula, promienie światła opadały jak biały gorzki puder. Nawet za okularami musiał mrużyć oczy. Powietrze drgające nad spalonym słońcem asfaltem układało się w miraż ludzi, samochodów, jezior.

Był znużony, spojówki paliły go żywym ogniem. Omamy stwarzane przez upał w połączeniu z wirującymi tumanami piasku ograniczały widoczność. Uciekający horyzont pustyni Mojave utrudniał właściwą ocenę szybkości; nie czuł, że samochód rwie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. A tyle wyciągał. Powinien jechać znacznie wolniej, bo czuł się podle.

Ale rosło w nim przekonanie, że spóźni się, zawali sprawę. Ktoś umrze, ponieważ on nie zdąży.

Spojrzał w bok na załadowaną strzelbę, opartą kolbą o podłogę. Na siedzeniu leżało pełne pudełko naboji.

Ogarnięty narastającą falą przerażenia, wcisnął gaz jeszcze mocniej. Wskazówka na szybkościomierzu, drżąc, przesunęła się jeszcze dalej.

Wszedł w długi, powolny zjazd. Poniżej rozpościerała się dolina w kształcie wazy. Miała około pięćdziesięciu kilometrów średnicy. Alkaliczna, nieomal śnieżnobiała gleba była naga, tylko tu i ówdzie widniały szare wędrownie chwasty i szczeciny pustynnej trawy. Być może eony temu to zagłębienie wyrzeźbiła spadająca asteroida, a poszarpane brzegi zaokrągliły się w miarę upływu tysiącleci. W każdym razie jego obecny wygląd nie przypominał żadnego innego miejsca na ziemi.

Dolinę rozcinał czarny pas szosy. Na poboczach ospale drgały i wiły się zrodzone z upału fantomy.

Najpierw ujrzał samochód: kombi z dużą częścią bagażową. Stał po prawej stronie, jakiś kilometr przed nim, tuż przy rowie odpływowym, suchym poza okresami rzadkich burz i krótkotrwałych powodzi.

Serce zaczęło mu bić mocniej i mimo świeżego, zimnego powietrza dolatującego z otworów wentylacyjnych, oblał go pot. To tu.

Potem dostrzegł również samochód mieszkalny. Pół kilometra przed kombi wyrzucił się z jednego z głębokich wodnych mirażów. Podskakując na wertepach, sunął w stronę odległej ściany doliny, tam gdzie szosa wspinała się pomiędzy nagimi czerwonymi skałami.

Jim zwolnił, zbliżając się do kombi, niepewny, dokąd ma pospieszyć z pomocą: do stojącego czy do odjeżdżającego samochodu.

Kiedy wskaźnik szybkościomierza cofał się na zegarze, oczekiwał, aż intuicja mu podpowie, dokąd ma się skierować. Nie podpowiedziała. Zwykle bywał przymuszany do działania: słuchał wewnętrznego głosu, który odzywał się w podświadomości, lub jakby przemieniał się w maszynę realizującą wcześniej zaprogramowane działanie. Tym razem nic.

Z rosnącym poczuciem desperacji ostro zahamował i wóz, zarzucając tyłem, stanął obok kombi. Nie trudził się zjeżdżaniem na pobocze. Spojrzał szybko na leżącą obok niego strzelbę, ale skądś wiedział, że nie będzie mu potrzebna. Na razie.

Wysiadł z camaro i szybko podszedł do kombi. Bagaż piętrzył się z tyłu. Kiedy spojrział przez boczną szybkę, zobaczył mężczyznę rozciągniętego na przednim siedzeniu. Szarpnął za drzwi — i wzdrygnął się. Tyle krwi.

Facet był umierający. Został dwukrotnie postrzelony w pierś. Jego głowa wsparta o drzwi pasażera, swym ułożeniem przypominała Jimowi opadającą na bok głowę Jezusa po ukrzyżowaniu. Oczy przelotnie nabrały wyrazu, kiedy usiłował skupić spojrzenie na Jimie.

— Lisa... Susie... żona i córka... — odezwał się słabo.

Potem jego umęczone oczy straciły ostrość spojrzenia. Słabe westchnienie uleciało z ust, głowa bezwładnie przetoczyła się na drugie ramię i umarł.

Udręczony, przybity obezwładniającym ciężarem odpowiedzialności za śmierć nieznanego, Jim cofnął się od otwartych drzwi kombi i przez moment stał na czarnej nawierzchni pod palącym słońcem. Gdyby jechał szybciej, mógłby zjawić się parę minut wcześniej, mógłby zapobiec temu, co się stało!

Z ust wyrwał mu się cichy jęk rozpacz. Najpierw był to prawie szept, który jednak przeradzał się w ciche zawodzenie. Ale kiedy odwrócił się od nieżyjącego mężczyzny i spojrzął w dal, ku miotającemu się między poboczami samochodowi mieszkalnemu, ten płacz szybko przeszedł w okrzyk wściekłości. Teraz rozumiał, co tu się stało.

I wiedział, co musi zrobić.

Znalazłszy się na powrót w camaro, wypchał pojemne kieszenie niebieskich bawełnianych spodni nabojami do strzelby. Broń kalibru 12, z krótką lufą, już nabita, spoczywała w zasięgu ręki.

Sprawdził w lusterku, czy ktoś nie jedzie. Ale tego poniedziałkowego ranka na pustynnej szosie nie było żywej duszy. Nikogo do pomocy. Musiał działać sam.

Daleko przed nim samochód mieszkalny zniknął w drżącym od upału powietrzu, które falowało jak kurtyna ze szklanych paciorków.

Wrzucił bieg. Na moment opony zawirowały w miejscu, ślizgając się i nie mogąc oderwać się od lepkiego asfaltu; ich ostry skowyt rozszedł się nieziemskim echem po rozległym pustkowiu.

Jim zastanowił się, jak musiał krzyknąć nieznajomy kierowca i jego bliscy, kiedy z bliska dwa razy strzelono mu w pierś. Nagle camaro pokonało opór i wystrzeliło w przód.

Wcisnął gaz do deski, zmrużył oczy, chcąc wyraźniej widzieć swój cel. Na sekundę kurtyna rozpalonego powietrza rozstała się i wielki pojazd ukazał się niczym żaglowiec unoszący się w niepojęty sposób na suchym morzu.

Samochód mieszkalny nie miał szans w wyścigu z camaro i Jim wkrótce uczepił się jego zderzaka. Był to stary dziesięciometrowy roadking, wędrowiec wielu dróg. Boczne listwy z białego aluminium pokryły się kurzem, dziurami i rdzą. Okna zasłaniały żółte franki, niegdyś zapewne białe. Nie prezentował się okazalej niż przybytek pary emerytów uwielbiających włóczęgę, którzy żyją z mizernej pomocy opieki społecznej i nie mogą zapewnić pojazdowi szykownego wyglądu, jakim musiał się pysznić, kiedy był nowy.

Wyjątek stanowił motocykl: harley, zawieszony na żelaznym haku, przyspawanym z tyłu wozu po lewej stronie drabinki prowadzącej na dach. Z pewnością trafiły się większe modele, ale ten i tak miał potężną moc. Nie wyglądał na typową zabawkę dwojga staruszków.

Mimo motocykla roadking nie wyglądał podejrzanie. Tymczasem, znalazłszy się przy nim, Jim doznał wrażenia zetknięcia ze złem tak potężnym, jak gdyby zatopił go przyływ czarnych fal całego morza ludzkiej niegodziwości. Zakrztusił się, jakby poczuł smród ohydy panoszącej się wokół właścicieli samochodu.

W pierwszym odruchu zawahał się w obawie, że jakakolwiek akcja może zaszkodzić życiu kobiety i dziecka, które najwyraźniej zostały porwane. Ale zwlekając, jeszcze więcej ryzykował. Im dłużej matka i córka pozostawały w rękach ludzi w roadkingu, tym bardziej malały szansę, że wysiądą z niego żywe.

Zjechał na lewy pas. Zamierzał wyprzedzić ich o parę kilometrów, a potem zablokować drogę własnym wozem.

Kierowca roadkinga musiał w lusterku dostrzec Jima, kiedy ten zatrzymał się przy kombi, wyszedł i oglądał go. Teraz pozwolił, aby camaro prawie zrównało się z nim, a potem ściągnął kierownicę ostro na lewo, waląc o bok wozu.

Metal zazgrzytał o metal i camaro zadygotał.

Kierownica sama obróciła się w rękach Jima. Usiłował nad nią zapanować. Udało się.

Roadking odsunął się, a potem znów zjechał w bok i znów grzmotnął camaro, spychając je z asfaltowej nawierzchni na nieutwardzone pobocze. Przez kilkaset metrów z hukiem sunęli tak w przód: roadking na niewłaściwym pasie, ryzykując czołowe zderzenie, gdyby z przeciwka nadjechał pojazd skrywający się za kurtynę upału i słonecznego blasku; camaro, unosząc za sobą wielkie chmury kurzu, balansując ryzykownie na krawędzi nasypu wzniesionego na pół metra ponad poziom pustyni.

Samochód mieszkalny uparcie zsuwał się na lewo, centymetr po centymetrze, zbliżając się nieuchronnie do nieutwardzonego pobocza.

Camaro musiał ulec naporowi. Został zepchnięty mimo wysiłku Jima. Najpierw przednie koło otarło się o brzeg nasypu i część wozu się zapadła. Wcisnął hamulce; nie miało to już znaczenia. Tylne koło poszło w ślad za przednim i wpadło w pułapkę. Camaro pochylił się i zaczął koziołkować.

Używanie pasów było stałym przyzwyczajeniem Jima, więc kiedy rzuciło go na boki i w przód, a okulary zleciały, nie rozbił sobie twarzy o obudowę szyby ani nie roztrząsał mostka o kierownicę. Sieć pęknięć, wyglądająca jak robota pająka na benzydrynie, rozbiegła się po przedniej szybie. Zacisnęła oczy pod ulewą elastycznych odłamków hartowanego szkła. Samochód przetoczył się raz jeszcze, rozpoczął trzeci obrót, lecz wykonał go jedynie do połowy i spoczął na dachu.

Wisiał głową w dół na pasach. Był cały, ale w stanie silnego szoku. Kaszłał, otoczony chmurami białego pyłu, który napływał przez strzaskane okno.

*Zaraz po mnie przyjdą.*

Szukał gorączkowo przycisku zwalniającego pasy, znalazł go i opadł z wysokości paru centymetrów na dach przewróconego wozu. Stoczył się na strzelbę. Miał mnóstwo szczęścia, że broń nie wypaliła, kiedy trzęsło nią w środku obracającego się camaro.

*Przyjdą po mnie.*

Zdezorientowany, przez chwilę szukał klamki do drzwi nad głową. Dosięgnął jej, pociągnął. W pierwszej chwili drzwi nie chciały się otworzyć. Potem się uchyliły, wydając metaliczne zgrzyty i trzaski.

Wyczołgał się z dachu na pustynię, czuł się jak przeniesiony w surrealistyczny świat skrzywionej perspektywy Dalego. Sięgnął za siebie po strzelbę.

Kurz, sypki jak popiół, zaczął już opadać, ale nadal wykaszliwał go z płuc. Zaciskając zęby, usiłował przełknąć każde kaszlnięcie. Jeżeli chciał przeżyć, musiał być cicho.

Nie dorównywał szybkością ani umiejętnością wtopienia się w otoczenie małym pułapnym jaszczurkom, przemykającym mu przed nosem. Przesunął się zgięty do najbliższego arroyo. Kiedy dotarł do brzegu tego wyżłobionego przez naturę kanału, okazało się, że ma on tylko trochę ponad metr głębokości. Ześliznął się po brzegu. Jego stopy z miękkim tąpnięciem uderzyły o twarde dno.

Skulony, powoli podniósł głowę i spojrzał w kierunku przewróconego camaro, wokół którego nie opadł jeszcze do końca alkaliczny pył. Na szosie roadking dotarł właśnie na wstecznym biegu do zniszczonego wozu i stanął.

Otworzyły się drzwi i wysiadł z nich mężczyzna. Inny wyszedł po drugiej stronie, pospiesznie przeszedł przed samochodem i dołączył do swego kompana. Żaden z nich nie przypominał miłego-staruszka-na-emeryturze, jakiego można by sobie wyobrazić za kółkiem tego podstarzałego pojazdu. Każdy miał koło trzydziestki i robili wrażenie twardych jak pustynna skała, hartowana w upalnym słońcu. Włosy jednego z nich ściągnięte były do tyłu i związane w koński ogon. Drugi miał głowę wygoloną po bokach, a na jej czubku sterczący, krótki pióropusz — wyglądał, jak żywcem przeniesiony z „Mad Maxa”. Obydwaj mieli na sobie podkoszulki bez rękawów, dzinsy, kowbojskie buty, obydwaj byli uzbrojeni w ręczną broń. Zbliżali się ostrożnie do camaro, każdy z innej strony.

Jim pochylił się, obrócił w prawo — mniej więcej na zachód — i szybko pobiegł skulony wyschniętym wąwozem. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie zostawia śladów, ale ostatnie deszcze spadły przed miesiącami i grunt tak stwardniał w promieniach słońca, że nie było czym się martwić. Piętnaście metrów dalej arroyo ostro skręcało na południe, w lewo. Dwadzieścia metrów dalej znikало w tunelu pod szosą.

Poczuł przyływ nadziei, ale nie uspokoiło to dreszczy strachu, jakie targały nim nieustannie od chwili, kiedy znalazł umierającego człowieka w kombi. Zbierało mu się na wymioty, na szczęście jednak nie zjadł śniadania. Wbrew zaleceniom specjalistów od racjonalnego żywienia czasem warto darować sobie posiłek.

Pełen głębokiego cienia betonowy tunel był stosunkowo chłodny. Nęciła go myśl, aby zatrzymać się tu i ukryć — oraz majaczyła nadzieja, że zrezygnują, odjadą.

Oczywiście, nie mógł tak postąpić. Nie był tchórzem. Ale gdyby nawet jego poczucie przyzwoitości pozwoliło mu tym razem na małą dawkę tchórzostwa, tajemnicza moc, która go prowadziła, nie dałaby mu szansy na zaprzestanie walki i ucieczkę. Do pewnego stopnia był marionetką drgającą na niewidzialnych sznurkach, pozostawał na łasce niewidzialnego lalkarza, w kukielkowym przedstawieniu z niepojętą fabułą i przesłaniem wymykającym się zrozumieniu.

Parę wędrownych chwastów znalazło sobie drogę do tunelu. Ich ostre ciernie przejechały mu po skórze, kiedy przeciskał się przez ich barierę. Wyłonił się po drugiej stronie szosy i zanurzył w następne ramię arroyo.

Leżąc na brzuchu, podpełzł do wzniesienia drogi i podniósł się, aby spojrzeć na drugą stronę, tam gdzie stał samochód mieszkalny. Za nim dojrzał camaro leżące na grzbiecie jak zdechła ropucha. Dwaj mężczyźni stali teraz razem, blisko wozu. Było oczywiste, że właśnie obejrzelik pojazd i zorientowali się, że nikogo w nim nie ma.



Rozmawiali z ożywieniem, ale znajdowali się zbyt daleko, aby rozpoznać słowa. Parę doleciało do niego, lecz były zniekształcone przez odległość i suche powietrze.

Pot spływał mu do oczu, przeszkadzał patrzeć. Otarł twarz rękawem i mrużąc powieki, wpatrywał się dalej w prześladowców.

Powoli oddalali się teraz od camaro w głąb pustyni. Jeden z nich wykazywał niepokój, kiwając głową z boku na bok. Drugi, w miarę jak się posuwali, z uwagą spoglądał na ziemię. Bez wątpienia szukał śladów Jima. Gdyby zły los uczynił jednego z nich wychowankiem indiańskich tropicieli śladów, dopadliby go szybciej niż legwan żuka.

Z zachodu doleciał odgłos pracującego silnika, zrazu cichy, potem szybko rosnący. Jim obrócił głowę w tym kierunku, pragnąc dojrzeć źródło dźwięku. Z mirażu wodospadu wyłonił się peterbilt. Z niskiego punktu obserwacji Jimowi ciężarówka wydawała się tak potężna jak jakaś futurystyczna machina wojenna, która przywędrowała z dwudziestego pierwszego wieku.

Kierowca peterbilta musi dojrzeć przewrócone camaro. Zgodnie z tradycyjną samarytańską postawą, jaką kierowcy ciężarówkę prezentowali na drogach, na pewno zatrzyma się i zaoferuje pomoc. Jego pojawienie się wytrąci z równowagi zabójców, a kiedy ich uwaga zostanie odwrócona, Jim wyskoczy i weźmie ich na muszkę.

Ujrzał to wszystko w wyobraźni — lecz tylko w wyobraźni. Peterbilt nie zwalniał, nadjeżdżając, i Jim uświadomił sobie, że musi go zatrzymać. Ale zanim zdążył się podnieść, wielka ciężarówka przemknęła obok niego ze smoczym rykiem, w smudze gorącego powiewu, łamiąc ograniczenie prędkości w sposób godny odnotowania w Księdze Guinnessa. Minęła go jak pojazd spływający z nieba w dniu sądu, wyładowany duszami, które natychmiast, ale to natychmiast mają znaleźć się w piekle.

Jim zdusił w sobie pragnienie, aby wybiec i wrzasnąć: „A gdzie twoja tradycyjnie samarytańska postawa, ty kupo gówna?”

Upalny dzień powtórnie spowiła cisza. Po drugiej stronie szosy dwaj zabójcy przez moment spoglądali za peterbiltem, a potem wrócili do poszukiwania Jima.

Wściekły i przestraszony zsunął się z pobocza, znów rozpląszczył na brzuchu i popełznął ku samochodowi mieszkalnemu, ciągnąc za sobą strzelbę. Nasyp dzielił go od wrogów; nie byli w stanie go ujrzeć, ale ciągle spodziewał się, że przekroczą drogę i władują w niego pół tuzina pocisków.

Kiedy znowu odważył się wychylić, okazało się, że dotarł dokładnie na wysokość roadkinga. Wóz zasłaniał obydwu mężczyzn. Jim nie mógł ich widzieć, również oni nie mogli dostrzec jego. Zerwał się i przebiegł przez szosę. Znalazł się przy samochodzie.

Drzwi do części mieszkalnej znajdowały się za drzwiami kierowcy. Były uchylone.

Złapał za klamkę. Nagle dotarło do niego, że w środku może znajdować się trzeci mężczyzna, który pilnuje kobiety i dziewczynki. Nie może ryzykować wejścia do środka, dopóki nie załatwi sprawy z tą dwójką. Może wpaść w pułapkę.

Skradał się w kierunku maski, kiedy usłyszał zbliżające się głosy. Zamarł, oczekując, że facet z dziwną fryzurą wyjdzie zza zderzaka. Ale zatrzymali się po drugiej stronie.

— ...a jebał go pies...

— ...ale mógł zobaczyć nasz numer rejestracyjny...

— ...jest szansa, że mu dowaliło...

— ...w wozie nie było krwi...

Jim przyklęknął tuż przy kole i spojrzął pod pojazdem. Stali po drugiej stronie, przy drzwiach kierowcy.

— ...zjedziemy następną na wschód...

— ...z glinami na dupie...

— ...zanim znajdzie gliny, my będziemy w Arizonie...

— ...co ty powiesz...

— ...zobaczysz...

Jim wstał, poruszając się ostrożnie, i prześliznął się na przód roadkinga. Minął pierwszą parę reflektorów i osłonę silnika.

— ...walimy przez Arizonę i do Nowego Meksyku...

— ...też mają gliny, wiesz...

— ...do Teksasu i zostawiamy za sobą parę stanów, walimy przez całą noc, jak będzie trzeba...

Jim dziękował Bogu, że pobocze krył piasek, nie żwir. Cicho przekradał się do reflektorów po drugiej stronie kierowcy, cały czas skulony.

— ...masz pojęcie, jaka kiepska jest współpraca międzystanowa...

— ...on gdzieś tu się kryje, cholerny świat...

— ...razem z milionem skorpionów i grzechotników...

Jim stanął przed nimi zniemacka po drugiej stronie samochodu.

— Nie ruszać się! — Miał ich na muszce.

Przez sekundę gapili się na niego jak na trzyokiego Marsjanina z ustami pośrodku czoła. Znajdowali się na zaledwie dwa i pół metra od niego, na splunięciu. Z wyglądu zasługiwali na nie w zupełności. Z daleka robili wrażenie węży na ludzkich nogach. Teraz wyglądali groźniej niż wszystko, co pełza na pustyni.

Trzymali pistolety lufami w dół. Jim, grożąc im strzelbą, krzyknął:

— Rzućcie je, do cholery!

Albo miał do czynienia ze szczególnie ciężkimi przypadkami, albo byli pieprzeni — prawdopodobnie jedno i drugie — ponieważ nie zamarli na widok broni. Facet z końskim ogonem padł na ziemię i potoczył się w bok. Równocześnie uciekinier z „Mad Maxa” podniósł pistolet. Jim wypalił facetowi w pierś, odrzuciło go w tył. Prosto do piekła.

Nogi drugiego zniknęły, kiedy wturlał się pod podwozie roadkinga.

W obawie przed postrzałem w stopę lub kostkę, Jim złapał za otwarte drzwi i wskoczył na stopień przy siedzeniu kierowcy. Zaledwie oderwał nogi od ziemi, dwa wystrzały zagrzmiały pod samochodem i pocisk przebił koło, przy którym przed chwilą stał.

Nie schował się do kabiny, zeskoczył z powrotem na ziemię, upadł na brzuch i wsunął strzelbę pod pojazd, licząc, że zaskoczy przeciwnika. Ale facet wyprysnął już spod wozu po drugiej stronie. Jim zdążył tylko ujrzeć czarne kowbojskie buty biegnące do tyłu samochodu. Facet znikł za jego rogami.

Drabina. Obok wiszącego motocykla.

Skurwiel chce wejść na dach.

Jim wcisnął się cały pod roadkinga. Zabójca może wychylić się z dachu, dojrzeć go i strzelić w dół. Pod samochodem nie było chłodniej. Spalone słońcem pobocze pulsowało ciepłem gromadzonym od poranka.

Dwa samochody z rykiem przemknęły obok, jeden tuż za drugim. Nie słyszał, jak nadjeżdżały. Serce biło mu mocno, miał wrażenie, że znalazł się w kotle z orkiestry symfonicznej.

Przeklął pod nosem kierowców, a potem uświadomił sobie, że trudno oczekiwać od nich, aby zatrzymali się, ujrzawszy faceta, skradającego się po dachu samochodu mieszkalnego z bronią w ręku.

Miał większe szansę, działając dalej w sposób nieprzewidywalny. Poczłgał się na brzuchu ku tylnym schodkom, szybko jak żołnierz piechoty morskiej pod ogniem przeciwnika. Przekręcił się na plecy i wysunął głowę obok zderzaka, usiłując coś dojrzeć przez harleya i biegnące w górę szczeble, które zdawały się rozdawać w osłepiającym, białym słońcu.

Drabina była pusta. Zabójca zniknął na dachu, przekonany, że chwilowo udało mu się zmylić prześladowcę. Nie spodziewał się chyba, że będzie ścigany z taką bezwzględnością.

Jim wysliznął się spod wozu i wszedł na drabinę. Złapał się gorącego uchwyty jedną ręką, trzymając strzelbę w drugiej i usiłując wdrapywać się w miarę możliwości bezszelestnie. Jego przeciwnik na aluminiowej platformie wyżej poruszał się zadziwiająco cicho. Dźwięki, jakie wydawał, ledwo głużyły przypadkowe trzaski i zgrzyty wiekowych szczebli pod stopami Jima.

Na górze Jim ostrożnie wychylił głowę i ogarnął spojrzeniem dach. Zabójca pokonał już dwie trzecie drogi do przodu, pełzając po prawej stronie. Spoglądał w dół. Poruszał się na kolanach i rękach, co musiało być bolesne; chociaż zniszczona przez czas biała farba odbijała większość promieni słonecznych, i tak pochłaniała wystarczającą ilość ciepła, aby parzyć nawet mocno stwardniałe dłonie i przeniknąć przez dżinsowy materiał. Ale jeżeli facet cierpiał ból, nie było tego po nim widać; najwyraźniej był twarzą równie obojętną na groźbę zagłady jak jego martwy kumpel.

Jim przeniósł się na kolejny szczebel.

Teraz zabójca położył się na brzuchu, mimo że dach musiał parzyć go przez cienki podkoszulek. Usiłował być tak niewidoczny, jak to tylko było możliwe. Oczekiwał pojawienia się Jima w dole.

Jim wzniósł się o jeszcze jeden szczebel. Dach znajdował się teraz na wysokości połowy jego klatki piersiowej. Obrócił się w bok na drabinie i objął jedną nogą wychodzący na dach uchwyt do rąk, blokując ciało tak, aby móc ująć broń, strzelić i nie spaść w dół na plecy pod działaniem siły odrzutu.

Jeżeli facet leżący na dachu nie był obdarzony szóstym zmysłem, to musiał mieć po prostu cholerne szczęście. Jim nie wydał żadnego dźwięku, ale tamten spojrzął nagle do tyłu i dojrzał go.

Klnąc, Jim wycelował w niego.

Zabójca, jak zdmuchnięty, rzucił się w bok i skoczył z dachu. Bez szansy na oddanie strzału, Jim wyciągnął kolano zza uchwytu i zeskoczył z drabinki. Grzmotnął o szosę, lecz utrzymał równowagę, wychynął zza samochodu i strzelił.

Ale zabójca wpadł już przez boczne drzwi do wnętrza wozu. W najlepszym razie parę śrucin utkwilo mu w nodze, może nawet nie.

Dopadnie kobiety i dziewczynki.

Zakładnicy.

A może zamierza je zamordować, zanim sam zostanie wykończony. Ostatnimi czasy coraz częściej słyszało się o wałęsających się po kraju socjopatach, którzy węższą za łatwą ofiarą. Seksualne odprężenie osiągalni zarówno przy brutalnym morderstwie, jak i gwałcie.

Jim wciąż słyszał pełen lęku głos umierającego w kombi mężczyzny: Lisa... Susie... żona, córka...

Zapomniał o ostrożności. Gniew zdusił w nim lęk. Pobiegł za mordercą, wskoczył przez drzwi i znalazł się w środku samochodu. Oślepiiony słońcem niemal nic nie widział, ale zdołał zobaczyć skurwysyna, kiedy ten biegł przez część wypoczynkową do kuchni.

Zabójca odwrócił się i wystrzelił. Stanowił teraz jedynie cień, sylwetkę; zamiast twarzy widać było tylko ciemny owal. Nabój wyrwał kawałek płyty pilśniowej z szafki po lewej ręce Jima, zasypując go drzazgami laminatu i dymiącymi trocinami.

Jim nie wiedział, gdzie jest kobieta i dziecko. Bał się je postrzelić, strzelba miała duży rozrzut.

Zabójca wypalił ponownie. Drugi pocisk przeszedł tak blisko twarzy Jima, że zostawił palącą smugę na prawym policzku, niby pocałunek ognia.

Strzelił raz i cienkie ścianki zadygotały od huku. Zabójca wrzasnął. Rzuciło go z wielką siłą o zlew. Jim wypalił powtórnie, odruchowo, na wpół ogłuszony podwójną eksplozją. Faceta dosłownie podniosło z podłogi i rzuciło na tylną ścianę obok zamkniętych drzwi do sypialni. Potem padł.

Jim wyszarpnął z kieszeni parę naboju, załadował powtórnie magazynek strzelby, równocześnie ruszając w głąb roadkinga obok zniszczonej, wygniezionej sofy.

Przypuszczał, że tamten człowiek musi być martwy, ale nie miał pewności. Słońce jak rozpalone żelazo do znakowania bydła wciskało się do wnętrza przez przednią szybę i otwarte drzwi, ale dzięki ciężkim zasłonom na bocznych oknach tył wozu wypełniał głęboki cień. Po strzelaninie zawisła w powietrzu przejrzysta, gryząca mgła.

Kiedy dotarł do końca wąskiego pomieszczenia i spojrzął w dół, nie wątpił już, że ten zwinięty na podłodze człowiek nie żyje. Skrwawiony ludzki śmieć. Śmieć za życia, śmieć po śmierci.

Na widok zszarpanych, sponiewieranych zwłok owładnęło nim dzikie uniesienie, wściekłe poczucie słuszności, podniecające i przerażające zarazem. Chciał czuć obrzydzenie po tym, czego dokonał, nawet jeżeli nieżyjący człowiek zasługiwał na śmierć, ale — mimo iż rzeź powodowała w nim fizyczne mdłości — nie czuł moralnej odrazy. Napotkał najczystsze zło obleczone w ludzką postać. Obaj ci skurwiele zasługiwali na coś gorszego niż to, co on im zgotował, zasługiwali na długą, powolną śmierć, wielkie cierpienia, wielkie przerażenie. Czuł się aniołem zemsty, który pełen świętego gniewu przybył na miejsce sądu. Wiedział, że balansuje na krawędzi psychozy, zdawał sobie sprawę, że tylko chorzy psychicznie nie mają żadnych wątpliwości co do słuszności swych najohydniejszych czynów, ale nie doznawał zwątpienia. W istocie gniew w nim rósł, jakby stał się wcieleniem apokaliptycznego gniewu Najwyższego.

Zwrócił się ku zamkniętym drzwiom.

Za nimi znajdowała się sypialnia.

Tam musiała być matka i dziecko.

Lisa... Susie...

Ale kto jeszcze?

Socjopatyczni mordercy zwykle działają samotnie, czasami tylko łączą się w pary jak ta dwójka. Szersze układy spotykało się jednak rzadko. Oczywiście, Charles Manson miał swoją „rodzinę”. Były i inne przykłady. Nie mógł niczego wykluczyć. Nie w świecie, w którym najmodniejsi filozofowie nauczali, że rozwiązania etyczne są zależne od konkretnej sytuacji, a każdy punkt widzenia jest jednakowo słuszny i wartościowy, niezależnie od przyjętej logiki i nasycenia nienawiścią. Był to świat rodzący potwory, a ta właśnie bestia mogła okazać się wielogłową hydrą.

Wiedział, że znalazł się w sytuacji wymagającej ostrożności, ale oczyszczający gniew człowieka prawego natchnął go poczuciem nietykalności. Podszedł do drzwi, otworzył je kopnięciem i wpadł do sypialni bokiem, czując, że może łatwo zginąć i mając to gdzieś — ze strzelbą przed sobą, gotów do zadawania śmierci i gotów na śmierć.

Kobieta i dziecko były same. Na brudnym barłogu. Przeguby i kostki u nóg przewiązane im mocną taśmą klejącą. Na ustach miały taśmę.

Kobieta, Lisa, szczupła i niezwykle atrakcyjna blondynka wyglądała na trzydzieści lat. Ale córka, Susie, była znacznie ładniejsza od matki, wprost nieziemskiej urody: miała z dziesięć lat, błyszczące zielone oczy, delikatne rysy twarzy i skórę tak gładką jak płatek jaśminu. Jimowi dziewczynka wydała się uosobieniem niewinności, dobroci i czystości — aniołem ciśniętym do kloaki. Poczul świeży napływ wściekłości na widok dziecka związanego i zakneblowanego w plugawej sypialni.

Łzy spływały jej po twarzy. Przerazenie wyciskało z gardła szloch, dławiony przez taśmę pieczętującą wargi. Matka nie płakała, mimo iż rozpacz i strach wyzierały jej z oczu. Poczucie odpowiedzialności za los córki — i widoczny gniew, jakże bliski temu, który odczuwał Jim — zdawały się powstrzymywać ją przed histerią.

Uświadomił sobie, że się go boją. Mogły przypuszczać, że był w porozumieniu z porywaczami.

Oparł strzelbę o wbudowaną w ścianę komodę i powiedział:

— Już dobrze. Już po wszystkim. Zabiłem ich. Obu.

Matka z niedowierzaniem patrzyła na niego szeroko otwartymi ze strachu oczami.

Nie miał jej za złe tej niewiary. Jego głos brzmiał dziwnie: pełen wściekłości, załamywał się na co drugim słowie, drżał, przechodził od szeptu przez ostre warknięcia znów do szeptu.

Rozejrzał się wokół za czymś do przecięcia więzów. Rolka taśmy klejącej i nożyczki leżały na komodzie.

Sięgając po nożyce, zauważył pornograficzne taśmy wideo, leżące w stosach obok. Nagle wstrząśnięty dojrzał na ścianach i suficie małego pokoju mnóstwo nieprzyzwoitych fotografii wyrwanych z magazynów dla dorosłych. Był to brud karmiący skrzywione umysły: pornografia dziecięca. Na zdjęciach widnieli dorośli mężczyźni z zasłoniętymi twarzami, ale nie było dorosłych kobiet, tylko dziewczęta i chłopcy, przeważnie tak młodzi jak Susie i jeszcze młodszy, poddani różnym, nieprawdopodobnie brutalnym zabiegom.

Mężczyźni, których zabił, użyliby matki tylko do chwili zabawy, zgwałciliby ją, torturowali i spodlili jedynie po to, by dziecko widziało, co je czeka. Potem podcięliby jej gardło albo strzelili w głowę na jakiejś pustej, zakurzonej pustynnej drodze, zostawiając ciało na ucztę jaszczurkom, mrówkom i sępom. Naprawdę chodziło im o dziecko. Przez następne miesiące, może lata żyłaby w piekle na ziemi.

Jego gniew przeszedł w coś sięgającego poza obszary furii. Wzniosła się w nim fala straszliwej ciemności, jak czarna ropa buchająca z odwiertu.

Oszalał z gniewu na myśl, że dziecko widziało te fotografie, zmuszone do leżenia w tej zbrukananej i cuchnącej pościeli, miało ze wszystkich stron obrazy niewysłowionej obrzydliwości. Ogarnęła go szaleńcza pokusa, aby złapać za strzelbę i naszpikować oba trupy resztą pocisków.

Nie tknęli jej. Dzięki za to Bogu. Nie mieli czasu jej tknąć.

Ale ten pokój. O Jezu, już samo przebywanie tu było krzywdzące.

Trząśł się.

Zobaczył, że matką dziewczynki też targają dreszcze.

Po chwili dotarło do niego, że jej drgawki nie płyną z wściekłości jak u niego, lecz ze strachu. Strachu przed nim. Lękała się go, teraz jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy wszedł do pokoju.

Dobrze, że nie było tu lustra. Nie chciałby zobaczyć swojej twarzy. W tym momencie musiało na niej widnieć szaleństwo.

Powinien wziąć się w karby.

— Już dobrze — powtórzył uspokajająco. — Przybyłem na ratunek.

Pospiesznie, pragnąc jak najszybciej je uwolnić i uciszyć ich przerażenie, opadł obok łóżka na kolana, przeciął taśmę owiniętą wokół kostek i przegubów kobiety, zerwał i odrzucił, resztę zostawiając jej samej.

Kiedy przeciął więzy na przegubach Susie, objęła się w odruchu samoobrony. Gdy uwolnił kostki jej nóg, kopnęła w jego kierunku i odpełzła po szarej, wymiętej pościeli. Nie próbował jej dosięgnąć, przeciwnie, cofnął się.

Lisa oderwała taśmę od ust, wyrwała knebel, kaszłąc i krztusząc się. Odezwała się chrapliwym głosem, gorączkowym, ale i pełnym rezygnacji:

— Mój mąż, tam w samochodzie... mój mąż!

Jim spojrzał na nią bez słowa, niezdolny do przekazania ponurej wieści w obecności dziecka.

Kobieta dojrzała w jego oczach prawdę i na krótką chwilę jej piękna twarz zamieniła się w maskę rozpacz i bólu. Ale ze względu na córkę zdusiła łkanie, tłumiąc cierpienie.

— Och, mój Boże! — Tyle jedynie wyrwało się jej z gardła, lecz te słowa zdradzały cały ciężar poniesionej straty.

— Uniesiesz Susie?

Jej myśli były przy zmarłym mężu.

— Uniesiesz Susie? — powtórzył.

— Skąd wiesz, jak się nazywa? — Zamrugła, zaskoczona.

— Twój mąż mi powiedział.

— Ale...

— Wcześniej — rzucił ostro, mając na myśli chwilę przed śmiercią. Nie chciał jej robić fałszywej nadziei. — Potrafisz ją stąd wynieść?

— Tak, tak myślę, chyba.

Mógł sam to zrobić, ale uważał, że nie powinien jej dotykać. Uczucie to wynikało z emocji i było wyłącznie irracjonalne, jednak czuł, że temu, co zrobili jej tamci dwaj mężczyźni — i co mogliby jej zrobić, gdyby im się udało — winni byli wszyscy mężczyźni i przynajmniej mała część winy spoczywała również na nim.

W tej chwili jedynym mężczyzną na świecie, który mógłby dotknąć tego dziecka, był jej ojciec. A nie było go wśród żywych.

Jim podniósł się z kolan i cofnął od łóżka. Uderzył plecami w wąskie drzwi szafy ściennej. Kiedy odsunął się w bok, otworzyły się na oścież.

Na łóżku łkająca, zszokowana dziewczynka odsunęła się od matki, w pierwszej chwili niezdolna przyjąć nawet dobroczynnego dotknięcia znanych, kochanych dłoni. Potem nagle pękły łańcuchy przerażenia i rzuciła się matce w ramiona. Lisa przemawiała do niej łagodnie i kojąco, głaskała ją po włosach, mocno tuliła.

Od momentu kiedy zabójcy zatrzymali się, by obejrzeć przewrócone camaro, klimatyzacja nie działała. W sypialni z sekundy na sekundę gorąco i smród przybierały na sile.

W powietrzu unosił się zastały odór piwa, potu, czegoś, co mogło być wonią zaschłej krwi, której ciemnokasztanowe smugi były widoczne na dywanie. Czuł i inne obrzydliwe zapachy, których wolał nie identyfikować.

— Chodźmy, wynośmy się stąd!

Lisa nie robiła wrażenia silnej, ale bez trudu uniosła córkę. Z dziewczynką w ramionach ruszyła do drzwi.

— Nie pozwól, żeby patrzyła na lewo, kiedy wyjdziemy — powiedział. — Trup jednego z nich leży tuż przy drzwiach. Nie wygląda pięknie.

Lisa kiwnęła głową, wyraźnie wdzięczna za ostrzeżenie.

Podążając za nią w kierunku drzwi, ujrzał zawartość wąskiej szafy, która otwarła się, kiedy uderzył o nią plecami: całe półki kręconych domowym sposobem filmów wideo. Na grzbietach biała taśma z pisanymi ręcznie tytułami. Imiona. Tytuły to były same imiona. CINDY. TIFFANY. JOEY. CISSY. TOMMY. KEVIN. Dwie zatytułowane SALLY. Trzy zatytułowane WENDY. Więcej imion. W sumie może trzydzieści. Wiedział, na co patrzy, ale nie chciał w to uwierzyć. Wspomnienia bestialstwa. Momenty perwersji. Ofiary.

Gorycz w nim narastała.

Szedł za Lisa do drzwi w pałacę, pustynne słońce.

## 2

Lisa stała w słońcu koloru białego złota na poboczu szosy, za samochodem mieszkalnym. Córka tuliła się do jej boku. Światło wydobywało ich wzajemne podobieństwo: prześlizgiwało się iskrzącymi strumieniami przez płowe włosy, podkreślało kolor oczu — w podobny sposób jak reflektor na wystawie jubilera dodaje urody szmaragdom eks-



ponowanym w aksamitnych puzdrach — i użyczało niemalże mistycznego blasku ich skórze. Patrząc na nie, trudno było uwierzyć, że nie rozjaśnia również ich dusz, że ciemność niedawno wkroczyła w ich życie, wypełniając je równie szczelnie, jak noc wypełnia świat przed nadejściem świtu.

Jimowi ogromnie ciążyła ich obecność. Za każdym razem, kiedy na nie spoglądał, stawał mu przed oczami nieżywy mężczyzna w kombi i ogarniały go współczucie i żal równie mocne jak najsilniejszy fizyczny ból.

Używając klucza z pęku zwisającego przy stacyjce samochodu mieszkalnego, odblokował żelazny hak trzymający motocykl. Był to harley-davidson FXRS-SP; pojemność 1340 centymetrów sześciennych, cztery cylindry górnozaworowe w układzie widlastym, z prowadnicami popychaczy zaworów, pięć biegów, napęd przenoszony nie łańcuchem, ale przez pas zębaty. Jeździł bardziej wymyślnymi i dużo silniejszymi pojazdami. To był standardowy produkt, tak zwyczajny, jaki tylko Harley mógł wyprodukować. Ale zależało mu jedynie na tym, aby motor był szybki i łatwo się prowadził. Jeżeli ten SP był zadbany, to zaspokoi oba wymagania.

Kiedy Jim odczepił harleya i przyglądał mu się, Lisa odezwała się z niepokojem:

- Nie pojedziemy na tym we troje.
- Nie — odparł. — Tylko ja.
- Proszę, nie zostawiaj nas samych.
- Nie odjadę, póki ktoś was nie zabierze.

Nadjechał samochód. Trzy siedzące w nim osoby gapiły się na nich. Kierowca dodał gazu.

- Nikt nie stanie — powiedziała żałośnie.
- Ktoś stanie. Zaczekam.

Zamilkła na moment.

- Nie chcę wsiadać do samochodu, w którym będą obcy ludzie — rzekła po chwili.
- Zobaczymy, kto się zatrzyma.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Będę wiedział, czy można im zaufać — powiedział.

— Ja nie... — Głos się jej załamał. Zawahała się, odzyskała nad sobą kontrolę. — Nie ufam nikomu.

— Są na świecie dobrzy ludzie. Tak naprawdę większość ludzi jest dobra. W każdym razie, kiedy ktoś się zatrzyma, będę wiedział, czy jest w porządku.

- Skąd? Skąd, na Boga, możesz to wiedzieć?
- Mogę. — Nie potrafił jej tego wyjaśnić.

Tak jak nie potrafił wytłumaczyć, skąd wcześniej wiedział, że ona i jej córka potrzebują jego pomocy na tym wyschniętym, bezludnym pustkowiu.

Wsiadł na siodełko i nacisnął starter. Silnik zaskoczył natychmiast. Podkręcił go trochę, a potem zgasił.

— Kim jesteś? — spytała kobieta.

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Ale dlaczego nie?

— Narobiłoby to za dużo szumu. Stałbym się sensacją na skalę krajową.

— Nie rozumiem.

— Wszędzie umieściliby moje zdjęcia. Nie lubię rozgłosu. — Za siodełkiem harleya był zamontowany mały bagażnik. Jim paskiem od spodni przymocował tam strzelbę.

Serce mu pękało, kiedy kobieta głosem łamiącym się ze wzruszenia powiedziała:

— Tyle ci zawdzięczamy.

Spojrzał najpierw na nią, potem na Susie. Dziewczynka szczupłym ramieniem mocno obejmowała matkę. Nie słuchała rozmowy. Jej oczy utraciły ostrość spojrzenia, były zupełnie puste — myśl błądziła bardzo daleko. Wolną rękę trzymała przy ustach, żując skórę na kostkach; skóra była już tak popękana, że dziecko ssało własną krew.

Odwrocił wzrok i patrzył znowu w dół, na motor.

— Niczego mi nie zawdzięczacie — powiedział.

— Ale uratowałeś...

— Nie wszystkich — przerwał szybko. — Nie wszystkich, których powinienem.

Daleki pomruk zbliżającego się od wschodu samochodu zwrócił ich uwagę. Patrzyli, jak potężny czarny trans-am wyłania się z wodnych miraży. Zatrzymał się przed nimi z piskiem hamulców. Na błotnikach przednich kół były wymalowane płomienie, chromowane dekle na wszystkich kołach wykończono szprychami. Gruba, podwójna, również chromowana rura wydechowa błyszcząca jak płynna rtęć w ostrym, pustynnym słońcu.

Kierowca wysiadł z wozu. Wyglądał na trzydziestkę. Gęste, czarne włosy długie po bokach schodziły mu się z tyłu na karku w „kaczy kuper”. Miał na sobie dzinsy i białą koszulkę z podwiniętymi rękawami, które odsłaniały tatuaże na obu bicepsach.

— Coś się działo? — spytał.

Jim przyglądał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

— Trzeba je podwieźć do najbliższego miasta.

Kiedy mężczyzna obchodził trans-ama, otwarty się drugie drzwi i wysiadła z nich kobieta. Była kilka lat starsza od swego towarzysza. Miała na sobie luźne brązowe szorty, białą krótką bluzkę odsłaniającą brzuch oraz białą opaskę na włosach. Niesforne utlenione kosmyki wymykały się jej spod tej ozdoby, okalając twarz tak mocno pomalowaną, że robiła wrażenie poligonu Max Factora. Miała na sobie również zbyt dużo świecidełek i innych ozdób: srebrne kolczyki, trzy sznury szklanych paciorków w różnych odcieniach czerwieni, po dwie bransolety na każdym przegubie, zegarek i cztery pierścionki. Nad lewą piersią niebiesko-różowy tatuaż w kształcie motyla.

— Macie awarię? — spytała.

— Samochód mieszkalny złapał gumę — rzekł Jim.

— Jestem Frank — powiedział facet. — To Verna.

Żuł gumę.

— Pomogę wam wymienić koło.

Jim potrząsnął głową.

— I tak nie możemy jechać samochodem. W środku jest trup.

— Trup?

— A tam następny — powiedział Jim, wskazując za roadkinga.

Vernie zrobiły się oczy jak spodki.

Frank na chwilę przestał żuć gumę, zerknął na strzelbę przymocowaną do bagażnika harleya, a potem znów spojrzął na Jima.

— Zabiłeś ich?

— Mhm. Porwali tę kobietę i jej dziecko.

Frank przez chwilę mierzył go wzrokiem, a potem spojrzął na Lisę.

— To prawda? — spytał ją.

Pokiwała głową.

— Jezu. — Verna westchnęła.

Jim spojrzął na Susie. Znajdowała się w innym świecie, a żeby wrócić w ten, będzie potrzebowała pomocy profesjonalisty. Był pewien, że nie słyszała słowa z tego, co tu padło.

Dziwne. Czuł się tak wyizolowany jak to dziecko. Nadal zapadał się w wewnętrzną ciemność i pewnie nie minie wiele czasu, a połknie go ona kompletnie.

— Ci faceci, których zabiłem... oni wykończyli męża... ojca. Ciało jest w kombi, parę kilometrów stąd na zachód.

— O szlag — powiedział Frank. — To skurwiele.

Verna przytuliła się do Franka i zadrzała.

— Chcę, żebyście zawieźli je do najbliższego miasta, najszybciej, jak się da. Załatwcie im opiekę lekarską. Potem wezwijcie policję stanową.

— Jasne — zapewnił go Frank.

— Poczekajcie... nie... ja nie mogę — odezwała nagle się Lisa. Jim podszedł do niej. Szepnęła: — Oni tak wyglądają... ja nie potrafię... boję się...

Jim położył dłoń na jej ramieniu, spojrzął prosto w oczy.

— Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Frank i Verna są w porządku. Wierzysz mi?

— Tak. Teraz tak. Oczywiście.

— Więc zaufaj temu, co mówię. Nie bój się ich.

— Ale skąd to wiesz? — spytała łamiącym się głosem.

— Po prostu wiem.

Nadal przez kilka sekund spoglądała mu w oczy, a potem kiwnęła głową i powiedziała:

— W porządku.

Reszta była łatwa. Posłusznie, jak po zastrzyku uspokajającym, Susie pozwoliła się zanieść na tylne siedzenie. Matka siadła obok, przytulając ją do siebie. Kiedy Frank znów znalazł się za kierownicą, a Verna usiadła na swoim miejscu, Jim z wdzięcznością przyjął puszkę piwa z ich podręcznej lodówki. Potem zamknął Vernie drzwi, pochylił się do otwartego okna i podziękował jej i Frankowi.

— Nie czekasz tu na gliniarzy, co? — spytał Frank.

— Nie.

— Nic ci nie grozi, chyba wiesz. Będziesz bohaterem.

— Wiem. Ale nie czekam.

Frank kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Masz pewnie swoje powody. Chcesz, żebyśmy powiedzieli, że jesteś łysy, masz ciemne oczy i pojechałeś na wschód stopem ciężarówką?

— Nie. Nie kłamcie. Nie kłamcie z mojego powodu.

— Jak chcesz.

— Nie martw się. Dobrze się nimi zaopiekujemy — uspokajała go Verna.

— Wiem — powiedział Jim.

Pociągał piwo i obserwował trans-ama, aż znikł mu z oczu.

Wsiadł na harleya, przycisnął starter, za pomocą długiego, ciężkiego lewara wrzucił bieg, podkręcił trochę gaz, zwolnił sprzęgło i ruszył w poprzek szosy. Zjechał z pobocza, w dół i skierował się prosto na południe w bezkres niegościnniej pustyni Mojave.

Przez chwilę jechał z szybkością stu kilometrów na godzinę, mimo że nic nie chrońło go przed pędem powietrza, gdyż SP nie miał owiewki. Rzucano nim potężnie i oczy bez przerwy napelniały się łzami, za co winił wyłącznie ostry, gorący, smagający wiatr.

Co dziwne, nie przeszkadzał mu upał. W istocie nie czuł go nawet. Spływał potem, a jednak było mu chłodno.

Stracił poczucie czasu. Może po godzinie uświadomił sobie, że zjechał z równin i brnął przez wzgórza koloru rdzy. Zmniejszył szybkość. Droga teraz wciąż skręcała i wiła się pomiędzy skalnymi wybrzuszeniami, ale SP dawał sobie radę. W porównaniu z normalnym FXRS miał o pięć centymetrów dłuższe teleskopy przednie i tylne, odpowiednie sprężyny oraz przednie hamulce tarczowe — dlatego tam, gdzie teren zastawiał na niego pułapki, Jim omijał je sprawnie jak kaskader.

Po chwili nie czuł już chłodu, tylko zimno.

Wydawało mu się, że słońce zachodzi, choć wiedział, że jest dopiero wczesne popołudnie. Ciemność wykluwająca się w jego wnętrzu opanowała go całego.

W końcu zatrzymał się w cieniu monolitycznej skały, długiej na jakieś pół kilometra, wysokiej na sto metrów. Przez stulecia zwietrzała, nabierając nierealnych kształtów pod wpływem wiatru, słońca i rzadkich, ale gwałtownych deszczy, jakie nawiedzały Mojave. Sterczała z pustyni jak ruiny starożytnej świątyni, zagrzebanej w połowie w piasku.

Postawił harleya na nóżkach.

Siadł na ziemi, w cieniu.

Po chwili opadł na bok. Podkurczył kolana. Przycisnął ręce do piersi.

Nie zatrzymał się ani o moment za wcześnie. Ciemność pochłonęła go całkowicie i runął w otchłań rozpacz.

### 3

Później, kiedy ostatnie promienie słońca spadały jeszcze na ziemię, ocknął się znów na harleyu. Jechał przez szaroróżowe równiny; gdzieś tam błyszczały kępy jadłoszynu. Martwe, suche, spalone słońcem kępy szarłatu ściagały go w powiewach wiatru niosącego woń sproszkowanego żelaza i soli.

Niewyraźnie przypomniał sobie, jak rozerwał skorupę kaktusa i wysysał wilgoć z nasiąkłej wodą miazgi wypełniającej pień rośliny. Teraz znów czuł pragnienie. Rozpaczliwe pragnienie.

Kiedy pokonał lekkie wzniesienie, zmniejszył trochę gaz; trzy kilometry przed sobą zobaczył małe miasteczko.

Domki skupiły się przy szosie. Porozrzucane drzewa robiły wrażenie nienaturalnego bogactwa po tym — fizycznym i duchowym — pustkowiu, przez jakie wędrował przez ostatnie parę godzin. Nie do końca przeświadczony, że miasteczko jest czymś więcej niż tylko zwidem, skręcił w jego kierunku.

Nagle, odcinając się na tle nieba, które teraz, wraz ze zmierzchem, nabrało barw purpury i czerwieni, pojawiła się wieża kościoła z krzyżem na szczycie. Jim uświadamiał sobie, że jest bliski utraty przytomności i że jest to przynajmniej częściowo spowodowane poważnym odwodnieniem, mimo to od razu skierował się ku kościołowi. Czuł, że pocieszenie, jakie może znaleźć w jego wnętrzu, jest mu bardziej potrzebne niż woda.

Kilometr od miasteczka zjechał do arroyo i położył harleya na boku. Miękki piach i osypujące się ściany rowu łatwo ustępowały pod jego dłońmi, kiedy szybko zasypywał motocykl.

Założył, że przebycie pieszo ostatniego kawałka nie będzie trudne. Ale okazało się znacznie cięższe, niż sobie wyobrażał. Obraz przed jego oczami pojawiał się i znikał. Wargi piekły go, język przysychał do podniebienia, a gardło miał zupełnie wyschnięte — jakby znalazł się w kleszczach silnego ataku gorączki. Mięśnie nóg zaczęły przebiegać skurcze i drgawki, a każda stopa zdawała się uwięziona w betonowym bloku.

Musiał stracić świadomość, idąc, ponieważ kiedy się ocknął, stał na ceglanych stopniach kościoła i nie pamiętał ostatnich kilkuset metrów wędrówki. Ściany kościoła obite były białymi deskami, słowa NASZA PANI OPIEKUNKA PUSTYNI widniały na tabliczce z brązu, przybitej obok podwójnych drzwi frontowych.

Kiedys był katolikiem. W jakiejś mierze nadal nim pozostał. Zresztą wiązał się z wieloma religiami: wyznawał judaizm, był metodystą, buddystą, baptystą, muzułmaninem, hinduistą, taoistą i nie tylko — i chociaż nie praktykował już tych wyznań, to odczuwał z nimi związek.

Mimo że drzwi zdawały się ważyć więcej niż głaz leżący u wejścia do grobu Chrystusa, udało mu się je otworzyć. Wszedł do środka.

W kościele było znacznie chłodniej niż w zmierzchu otulającym pustynię, ale nie zimno. Pachniało mirrą, aralią i lekko słodkawą wonią płonących świec wotywnych; ten zapach przyniósł wspomnienia z okresu, gdy wyznawał katolicyzm, i sprawił, że nie czuł się tu nieproszonym gościem.

Przy drzwiach w kruchcie zanurzył dwa palce w misie z wodą święconą i przeżegnał się. Potem dłońmi zaczerpnął chłodnego płynu, zbliżył do ust i zaczął pić. Woda miała smak krwi. Spojrzał przerażony do białej marmurowej misy, pewien, że jest wypełniona krzepnącą posoką, ale ujrzał jedynie wodę i niewyraźne, drżące odbicie własnej twarzy.

Uświadomił sobie, że jego spierzchnięte, obolałe wargi są popękane. Polizał je. To była jego własna krew.

Kiedy znowu się ocknął, znajdował się u końca nawy. Opierał się o barierkę przed ołtarzem i modlił. Nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Musiał znów stracić świadomość.

Ostatek dziennego światła odpłynął jak blady nalot kurzu i gorący nocny wiatr załomotał w okna kościoła. Ciemność rozpraszały jedynie lampka przy tabernakulum, migające płomyki paru wotywnych świeczek umieszczonych w podstawkach z czerwonego szkła i małe światełko o skupionym promieniu, rozjaśniające krucyfiks od dołu.

Jim ujrzał własną twarz w miejscu twarzy Chrystusa. Oczy piekły go mocno, zamrugał i spojrzał powtórnie. Tym razem zobaczył twarz nieżywego mężczyzny z kombi. Święta figura przybierała rysy twarzy matki Jima, jego ojca, dziewczynki o imieniu Susie, Lisy — a potem nie było w ogóle żadnej twarzy, tylko czarny owal, jak wtedy kiedy zabójca odwrócił się, strzelając do Jima w wypełnionym cieniami roadkingu, a jego twarz stała się jedynie czarnym cieniem.

W istocie to nie Chrystus wisiał teraz na krzyżu, lecz zabójca. Otworzył oczy, spojrzał Jimowi w twarz i uśmiechnął się. Oderwał stopy od pionowego drzewca; gwóźdź nadal błyszczał w jednej nodze, czarna dziura widniała w drugiej. Uwolnił również ręce, żelaza nadal przekłuwały obie dłonie i po prostu spłynął powolutku, jakby prawa grawitacji były mu posłuszne. Ruszył przez podium przed ołtarzem do barierki, w kierunku Jima.

Serce Jima biło coraz szybciej, ale mówił sobie, że jedynie ulega złudzeniu. Widzi to, co jego umysłowi podsuwa gorączka. Nic innego.

Zabójca doszedł do niego. Dotknął twarzy. Ciało miał miękkie jak gnijące mięso i lodowate jak płynny gaz.

Jak pod ręką uzdrowiciela podczas seansu masowej terapii, Jim zadygotał i stoczył się w ciemność.

## 4

Pokój o białych ścianach.

Wąskie łóżko.

Skąpe i skromne umeblowanie.

Za oknem noc.

Złe sny połykały go i wypluwały. Za każdym razem, kiedy odzyskiwał przytomność, co nigdy nie trwało dłużej niż minutę albo dwie, widział nad sobą tego samego człowieka: pięćdziesiąt lat, łysiejący, lekko otyły, z grubymi brwiami i zgniecionym nosem. Podnosił Jimowi głowę i zachęcał go do picia zimnej wody przez słomkę. Ponieważ w oczach mężczyzny była opiekuńczość i troska, Jim nie protestował.

Poza tym nie potrafiłby wydobyć głosu, żeby zaprotestować. Gardło bolało go tak, jakby nałykał się nafty, a potem wrzucił do ust zapalną. Nie miał nawet siły podnieść ręki na centymetr ponad prześcieradło.

— Masz odpocząć — powiedział nieznajomy. — Przeszedłeś udar słoneczny i jesteś mocno poparzony.

Płonący wiatr. To było najgorsze, pomyślał Jim, przypominając sobie harleya SP bez owiewki z pleksi, dającej osłonę.

Blask w oknach. Nowy dzień.

Oczy go bolały.

Twarz dokuczała jeszcze bardziej, cała obrzmiała.

Nieznajomy nosił koloratkę.

— Ojcie — szepnął chrapliwie, nieswoim głosem.

— Znalazłem cię w kościele, nieprzytomnego.

— Nasza Pani Opiekunka Pustyni.

— Zgadza się. Jestem ojciec Geary. Leo Geary — rzekł, znowu podnosząc Jima z poduszki.

Jim tym razem sam dał sobie radę. Woda miała słodki smak.

— Co porabiałeś na pustyni? — spytał ojciec Geary.

— Wałęsałem się.

— Dlaczego?

Jim nie odpowiedział.

— Skąd jesteś?

Milczenie.

— Jak się nazywasz?

— Jim.

— Nie masz żadnego dowodu tożsamości.

— Tym razem nie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Jim milczał.

— Miałeś przy sobie trzy tysiące dolarów gotówką — rzekł ksiądz.

— Niech ksiądz weźmie, ile potrzeba.

Duchowny wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

— Uważaj, co proponujesz, synu. To biedny kościół. Potrzebujemy wszystkiego, co się nam ofiaruje.

Jeszcze później Jim obudził się znowu. Księdza nie było. W domu panowała cisza. Od czasu do czasu zaskrzypiały krokwie lub miękko uderzyła okiennica, poruszona wiatrem kapryśnie szeleszczącym za szybą.

Kiedy ksiądz powrócił, Jim się odezwał:

— Pytanie, ojcze.

— O co chodzi?

— Jeżeli Bóg istnieje, dlaczego pozwala na cierpienie? — Jego głos brzmiał szorstko, ale trochę bardziej znajomo.

— Czujesz się gorzej? — zaniepokoił się ojciec Geary.

— Nie, nie. Lepiej. Nie chodziło mi o własne cierpienie. Po prostu... dlaczego pozwala na cierpienie w ogóle?

— Żeby poddać nas próbie — wyjaśnił ksiądz.

— Dlaczego musimy ją przejść?

— Aby wiadomo było, czy jesteśmy godni.

— Godni czego?

— Godni niebios, rzecz jasna. Zbawienia. Wiecznego życia.

— Dlaczego Bóg nie stworzył nas godnych?

— Otóż stworzył nas doskonałych, bez grzechu. Ale zgrzeszyliśmy i utraciliśmy łaskę.

— Jak mogliśmy zgrzeszyć, kiedy byliśmy doskonali?

— Mamy wolną wolę.



— Nie rozumiem.

— Nie jestem biegły w teologii. — Ojciec Geary zmarszczył brwi. — Jestem zwykłym księdzem. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest to część tajemnicy boskiej. Utraciliśmy łaskę i teraz musimy zasłużyć na niebo.

— Muszę do toalety — odezwał się Jim.

— W porządku.

— Wystarczy już tej kaczki. Wydaje mi się, że dojdę tam bez pomocy księdza.

— Też tak myślę. Naprawdę jest z tobą coraz lepiej, dzięki Bogu.

— Wolna wola — powiedział Jim.

Ksiądz zmarszczył brwi.

Późnym popołudniem, prawie dwadzieścia cztery godziny, od kiedy Jim wtoczył się do kościoła, gorączka opadła. Mięśnie już nie dygotały, ścięgna nie bolały, nie miał zawrotów głowy, a głębokie oddychanie nie powodowało bólu w piersiach. Od czasu do czasu czuł smagnięcia bólu na twarzy. Rozmawiając, musiał ostrożnie poruszać mięśniami twarzy, gdyż pęknięcia na wargach i w kącikach ust łatwo się otwierały mimo stosowania kremu kortyzonowego, którym ojciec Geary smarował go co kilka godzin.

Mógł sam siadać na łóżku i ruszał się po pokoju prawie bez pomocy. Kiedy nabrał również apetytu, ojciec Geary podał mu rosół z kurczaka i lody waniliowe. Pamiętając o spękanych wargach, jadł uważnie, by nie zmieszać jedzenia z własną krwią.

— Wciąż jestem głodny — powiedział, kiedy skończył.

— Zobaczymy najpierw, czy utrzymasz to wszystko w żołądku.

— Nic mi nie jest. To był tylko udar słoneczny, odwodnienie.

— Udar potrafi zabić, synu. Musisz jeszcze odpocząć.

Kiedy w jakiś czas później ksiądz nieco ustąpił i przyniósł mu jeszcze lody, Jim odezwał się przez na wpół zaciśnięte wargi:

— Dlaczego niektórzy ludzie są zabójcami? Nie chodzi mi o gliny. Nie o żołnierzy. Nie o tych, którzy zabijają w samoobronie. Chodzi mi o inny rodzaj, o morderców. Dlaczego zabijają?

Ksiądz usadowił się w stojącym przy łóżku fotelu na biegunach i patrzył na niego, unosząc brew.

— To szczególne pytanie.

— Tak? Może. Zna ksiądz odpowiedź?

— Jest prosta: ponieważ tkwi w nich zło.

Przez jakąś minutę siedzieli obaj bez słowa. Jim jadł lody, a tęgi ksiądz kołysał się w fotelu. Przebywszy nieboskłon, kolejny zmierzch zakradał się przez okno.

— Morderstwa, wypadki, choroby, starość... — odezwał się w końcu Jim. — Przede wszystkim, dlaczego Bóg uczynił nas śmiertelnymi? Dlaczego musimy umrzeć?

— Śmierć nie jest kresem. Ja przynajmniej w to wierzę. Śmierć jest tylko sposobem przenoszenia się, pociągami, który zawozi nas do miejsca zapłaty.

— Znaczy się, do nieba.

Duchowny zawahał się.

— Albo gdzie indziej.

Jim spał przez parę godzin. Kiedy się obudził, ksiądz stał u stóp łóżka. Obserwował go z uwagą.

— Mówiłeś przez sen.

Jim siadł.

— Naprawdę? Co mówiłem?

— „Nieprzyjaciół istnieje”.

— To wszystko?

— Potem powiedziałeś: „Nadchodzi. Zabije nas wszystkich”.

Drżenie grozy przebiegło Jima nie dlatego, że te słowa same w sobie miały jakieś znaczenie lub że je rozumiał, ale dlatego, że w podświadomości aż za dobrze wyczuwał, co miały oznaczać.

— To sen, tak myślę. Zły sen. Nic więcej.

Ale podczas drugiej nocy spędzanej na plebanii, tuż po trzeciej nad ranem rzucił się, na w pół przebudzony, siadł prosto na łóżku i usłyszał, jak z ust wymykają mu się znów te słowa: „Zabije nas wszystkich”.

W pokoju panował mrok.

Niezdarnie poszukał wyłącznika, zapalił lampkę.

Był sam.

Spojrzał przez okna. Za nimi rozciągał się mrok.

Miał dziwne, ale nieodparte wrażenie, że coś koszmarnego i bezlitosnego czai się w pobliżu, coś nieskończenie bardziej dzikiego i dziwnego, coś, z czym ludzkość się nie zetknęła. Coś, czego nikt nie może nawet wyśnić, wymarzyć, wyobrazić sobie. Trzęsąc się, wstał z łóżka. Ksiądz pożyczył mu piżamę; niezbyt na niego pasowała. Przez moment po prostu stał, niepewny, co ma uczynić.

Potem zgasił światło i bosy podszedł do okna, po chwili do drugiego. Znajdował się na pierwszym piętrze. Noc była cicha, uśpiona i spokojna. Jeżeli coś tam było, odeszło.

Następnego ranka włożył własne ubranie. Ojciec Geary uprzednio zadbał, aby zostało uprane. Większość dnia spędził w salonie, w wielkim fotelu, z nogami na podnóżku, czytając magazyny i drzemiąc, podczas kiedy ksiądz zajmował się sprawami parafii.

Spalona słońcem i podrażniona wiatrem twarz Jima sztywniała. Jak maska.

Tego wieczoru razem przygotowywali kolację. Przy kuchennym zlewie ojciec Geary płukał sałatę, selery i pomidory. Jim sprzątnął stół, otworzył butelkę taniego chianti, żeby pooddychało, a potem wkroił pieczarki z puszki do garnka stojącego na kuchence, przygotowując sos do spaghetti.

Pracowali we wzajemnym, pełnym sympatii milczeniu. Jim zastanawiał się nad dziwną więzią, jaka zaczynała ich łączyć. Ostatnie parę dni miało w sobie jakąś senną właściwość, jakby znalazł schronienie nie tylko w małym miasteczku położonym na pustyni, ale w miejscu, którego spokój był nie z tego świata. Jakby przybył do miasteczka z krainy sennego marzenia. Ksiądz przestał zadawać mu pytania. W istocie Jimowi wydawało się, że ojciec Geary nie był nawet w połowie tak ciekawski czy natrętny, jak w tych okolicznościach powinien być. Podejrzewał, że gościnność chrześcijańskich kapłanów nie sięgała tak daleko, by przyjmowali pod swój dach rannych i podejrzanych nieznanym. Czym sobie zasłużył na tak specjalne przyjęcie, pozostawało dlań tajemnicą, ale był wdzięczny ojcu Geary'emu.

Pokroił już połowę pieczarek z puszki, kiedy nagle powiedział:

— Linia życia.

Ojciec Geary odwrócił się od zlewu z łydzą selera w ręku.

— Proszę?

Dreszcz przebiegł Jima. Nóż niemal wpadł mu do sosu. Odłożył go na kontuar.

— Jim?

Drżąc, odwrócił się do księdza.

— Muszę jechać na lotnisko — powiedział.

— Lotnisko?

— Natychmiast, ojcze.

Zakłopotanie poznały krągłą twarz księdza dołeczkami. Zmarszczki na opalonym czole pobiegły wysoko, poza dawną linię włosów.

— Tu nie ma lotniska.

— Jak daleko jest do najbliższego? — spytał nagląco Jim.

— No... dwie godziny samochodem. Aż do Las Vegas.

— Musi mnie tam ksiądz zawieźć.

— Co? Teraz?

— Już — nalegał Jim.  
— Ale...  
— Muszę dostać się do Bostonu.  
— Przecież byłeś chory...  
— Już mi lepiej.  
— Twoja twarz...  
— Boli. I wygląda fatalnie, ale da się z nią żyć. Ojczy, ja muszę dostać się do Bostonu.  
— Dlaczego?  
Zawahał się, potem zdecydował na częściowe wyjawienie rewelacji.  
— Jeżeli nie polecę do Bostonu, ktoś zostanie tam zabity. Ktoś, kto nie powinien umrzeć.  
— Kto? Kto umrze?  
Jim polizał popękane wargi.  
— Nie wiem.  
— Nie wiesz?  
— Ale będę wiedział, kiedy się tam zjawię.  
Ojciec Geary wpatrywał się w niego przez długą chwilę.  
— Jim, jesteś najdziwniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałem — odezwał się w końcu.  
Jim kiwnął potakująco głową.  
— Jestem też najdziwniejszym człowiekiem, jakiego sam znam.  
Kiedy wyruszyli z plebanii sześciolatnią toyotą księdza, długi sierpniowy dzień miał jeszcze przed sobą godzinę światła, choć słońce ukryło się już za chmurami koloru świeżych ran.  
Znajdowali się na drodze dopiero od godziny, kiedy błyskawica wstrząsnęła posępnym niebem, tańcząc koślawo na surowym horyzoncie pustyni. Strzelał błysk po błysku. W czystym powietrzu pustyni były one ostrzejsze i jaśniejsze, niż Jim gdziekolwiek widział. Dziesięć minut później niebo opadło niżej i ściemniało. Deszcz lunął srebrzystymi wodospadami. Noe nie widział niczego podobnego, kiedy w pośpiechu kończył arkę.  
— Letnie burze rzadko się tu zdarzają — powiedział ojciec Geary, włączając wycieraczki.  
— Nie możemy pozwolić, żeby nas zatrzymała — odezwał się zaniepokojony Jim.  
— Dowiozę cię — uspokoił go ksiądz.  
— W nocy na pewno nie ma wiele lotów z Vegas na wschód. Przeważnie latają w dzień. Nie mogę się spóźnić i czekać do rana. Muszę być w Bostonie jutro.

Zeschnięty piach spijał potop. Ale niektóre obszary były poryte skałami albo pod palącym miesiącami słońcem grunt stwardniał na kamień i w tych miejscach woda spływała ze stoków, tworząc małe strumyczki. Strumyczki przeradzały się w strumienie, a strumienie rozrastały się w rzeki. Wkrótce każde mijane arroyo było pełne wody, a mętna, kipiąca toń niosła wyrwane kępki trawy, strzępy wyschniętego szarłat, kawałków drewna i brudnobiałej piany.

Ojciec Geary woził ze sobą dwie ulubione kasety: wiązanek złotych przebojów rocka i składankę hitów Eltona Johna. Puścił Eltona. Płynęli więc przez bombardowany ulewą dzień ku opływającej deszczem nocy, słuchając „Funeral for a Friend”, „Daniel” i „Benny and the Jets”.

Asfalt pobłyskiwał rtęciowymi kałużami. Jimowi wydawało się niesamowite, że wodne miraż, widziane na szosie parę dni temu, teraz stały się rzeczywistością.

Z każdą minutą rosło w nim napięcie. Boston wzywał go, ale był daleko, a niewiele jest rzeczy bardziej mrocznych i zdradliwych niż nawierzchnia pustynnej szosy w czasie burzy. Jeśli nie liczyć ludzkiego serca.

Podczas jazdy ksiądz pochylał się nad kierownicą. Bardzo uważnie obserwował pustynię, równocześnie gwizdząc cicho z Eltonem.

— Ojcie, czy w miasteczku nie ma lekarza? — spytał w pewnej chwili Jim.

— Jest.

— Ale nie wzywał go ojciec.

— Dał mi receptę na kortyzon.

— Widziałem tubkę. Była dla księdza, zrobiono ją trzy miesiące temu.

— No... wiem, jak obchodzić się z oparzeniami słonecznymi. Wiedziałem, że potrafię się tobą zaopiekować.

— Początkowo robił ojciec wrażenie bardzo przejętego.

Ksiądz milczał przez chwilę.

— Nie wiem, kim jesteś — powiedział wreszcie — skąd przybywasz ani dlaczego, tak naprawdę, zależy ci na dostaniu się do Bostonu. Natomiast wiem na pewno, że masz kłopoty, może duże kłopoty, tak duże, jakie rzadko się miewa. I wiem... przynajmniej sądzę, że wiem, iż w głębi serca jesteś człowiekiem dobrym. W każdym razie wydawało mi się, że człowiek mający kłopoty wolałby nie rzucać się w oczy.

— Dzięki. Wielkie dzięki.

Parę kilometrów dalej deszcz zaczął lać z taką mocą, że wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody, a ojciec Geary musiał zwolnić.

— To ty uratowałeś tamtą kobietę i jej córeczkę — powiedział ksiądz.

Jim zeszywniał, ale się nie odezwał.

— Odpowiadasz opisowi podanemu w telewizji.

Przez kilka następnych kilometrów milczeli. Potem ojciec Geary powiedział:

— Nie wierzę w cuda.

Jim słuchał oszołomiony.

Ojciec Geary wyłączył Eltona Johna. Teraz słyhać było jedynie poświst i szum opon na mokrej nawierzchni i głuchy, regularny jak metronom odgłos pracy wycieraczek.

— Wierzę, że zdarzyły się cuda opisane w Biblii, naprawdę. Traktuję to jako część historii — mówił ksiądz, nie spuszczać oka z drogi. — Ale trudno mi uwierzyć, że jakiś posąg Najświętszej Panny płakał prawdziwymi łzami w kościele w Cincinnati, Peorii czy Teaneck, po seansie bingo zeszłego tygodnia, w środę wieczorem. I że świadkami było tylko dwoje małolatów i sprzątaczką z parafii. I nie uwierzę, że cień przypominający Jezusa, rzucony na drzwi czyjegoś garażu przez żółte światła przeciwmgielne, jest znakiem nadciągającej apokalipsy. Niezbadane są ścieżki Pana, ale nie korzysta on ze światła przeciwmgielnych i drzwi do garażu.

Ksiądz zamilkł, a Jim czekał, zastanawiając się, dokąd zmierza.

— Kiedy znalazłem cię w kościele, leżałeś przed balaskami — mówił Geary głosem, w którym zaczął przebijać lęk — i miałeś na sobie stygmaty Chrystusa. Miałeś dziurę od gwoździ na obu rękach...

Jim spojrzał na swoje ręce i nie zobaczył ran.

— ...a twoje czoło było podrapane i pokłute od czegoś, co mogło być kolcami korony cierniowej.

Twarz Jima wciąż była tak okaleczona od nadmiaru słońca i wiatru, że szukanie we wstecznym lusterku drobnych obrażeń, opisywanych przez księdza, nie miało sensu.

— Byłem chyba... przestraszony — ciągnął Geary. — Ale równocześnie przejęty.

Dojechali do betonowego mostu, przez który przelała się woda. Uformowało się tu czarne jezioro i wzniosło ponad poziom drogi. Geary pochylił się mocno. Wodne pióropusze, odbijające światła reflektorów, rozpostarły się po obu stronach w wielkie, białe skrzydła.

— Nigdy nie widziałem stygmatów — kontynuował Geary, kiedy wydostali się z zalanego terenu — chociaż słyszałem o tym zjawisku. Podwinąłem ci koszulę... spojrzałem na twój bok... i znalazłem zaognioną bliznę po ranie, jaką może zadać włócznia.

Wypadki ostatnich miesięcy były tak pełne niespodzianek i niezwykłości, że wrażliwość Jima na cuda wciąż malała. Ale opowieść księdza przerosła wszystko, wstrząsnęła nim, mrowie go przeszło.

Głos Geary'ego opadł prawie do szeptu.

— Zanim zaniósłem cię na plebanię i położyłem do łóżka, te znaki zniknęły. Ale wiem, że nie były tylko tworem mojej wyobraźni. Widziałem je, były prawdziwe i wiem, że jest w tobie coś wyjątkowego.

Pioruny rozplynęły się dawno, czarne niebo nie nosiło już jasnych, ostrych naszyjników z elektryczności. Deszcz również zaczął słabnąć i ojciec Geary mógł zmniejszyć szybkość pracy wycieraczek, a równocześnie zwiększyć prędkość toyoty.

Przez moment żaden z nich nie wiedział, co ma powiedzieć. W końcu ksiądz chrząknął.

— Czy widziałeś u siebie poprzednio te stygmaty?

— Nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Dopiero teraz się dowiaduję.

— Nie zauważyłeś tych znaków na rękach, zanim zemdlałeś przy ołtarzu?

— Nie.

— Ale to nie jest jedyna niezwykła rzecz, jaka zdarzyła ci się ostatnio.

Cichy śmiech, jaki wyrwał mu się z gardła, był raczej owocem gorzkiej ironii niż rozbawienia.

— Na pewno nie jedyna.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Tak, ale nie mogę — odrzekł Jim po chwili zastanowienia.

— Jestem księdzem. Potrafię dochować każdego sekretu. Nawet policja nie ma nademną władzy.

— Ależ ufam ci, ojcze. I niespecjalnie przejmuję się policją.

— Więc?

— Gdybym ci powiedział... zjawi się nieprzyjaciel — rzekł Jim i poczuł niepokój, słysząc te słowa. To wyznanie raczej przeszło przez niego, niż wyszło z niego.

— Jaki nieprzyjaciel?

Jim wpatrywał się w rozległą, pozbawioną światła przestrzeń pustyni.

— Nie wiem.

— Ten sam nieprzyjaciel, o którym mówiłeś we śnie ostatniej nocy?

— Może.

— Mówiłeś, że zabije nas wszystkich.

— I zrobi to — mówił Jim, może bardziej do siebie niż do księdza, gdyż nie miał pojęcia, co powie, dopóki sam nie usłyszał tych słów. — Jeżeli dowie się o mnie, jeżeli odkryje, że ratuję ludzi, wyjątkowych ludzi, wtedy zjawi się, żeby mnie powstrzymać.

Ksiądz spojrział na niego przelotnie.

— Wyjątkowych ludzi? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie wiem.

— Nie wiesz.

— Zgadza się.

Ksiądz westchnął, zafrasowany.

— Ojcze, naprawdę usiłuję być z tobą szczerzy i próbuję wyrażać się na tyle jasno, na ile potrafię. — Poruszył się na siedzeniu i poprawił pasy, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję; jednak niewygodna miała swe źródło raczej w psychice niż w rzeczach fizycznych i nie dała się łatwo usunąć. — Czy słyszałeś o pisaniu automatycznym?

— Mówią o tym jasnowidze i media — powiedział ojciec Geary, wpatrując się w drogę ścielącą przed nimi. — Czczą gadanina. Duch ma niby zawładnąć ręką medium w transie i w ten sposób przekazuje wiadomości zza grobu.

Prychnął z obrzydzeniem.

— Ci sami ludzie, którzy wyszydzą ideę rozmowy z Bogiem — a nawet drwią z samej idei jego istnienia — naiwnie idą na lep każdego oszusta, który twierdzi, że przekazuje słowa dusz zmarłych.

— Cóż, jednak zdarza mi się czasem, że ktoś czy coś przemawia przeze mnie. Ustna forma pisania automatycznego. Dowiaduję się tego, co mówię, tylko dlatego, że słucham wymawianych przez siebie słów.

— Nie wpadasz w trans?

— Nie.

— Nie uważasz się za medium, za jasnowidza?

— Nie. Na pewno nie.

— Uważasz, że zmarli przemawiają przez ciebie?

— Nie. Nie to.

— Więc kto?

— Nie wiem.

— Bóg?

— Może.

— Ale nie jesteś pewny?

— Nie.

— Jesteś nie tylko najdziwniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem, Jim. Jesteś również człowiekiem najbardziej frustrującym.

O dziesiątej w nocy dotarli na międzynarodowe lotnisko McCarrana w Las Vegas. Na postoju stało tylko parę taksówek. Deszcz przestał padać. Palmy poruszały się w lekkim powiewie i wszystko robiło wrażenie świeżo wyszorowanego i wypucowanego.

Jim otworzył drzwi toyoty, ledwie ojciec Geary wyhamował przed halą dworca lotniczego. Wsiadł, obrócił się i pochylił, żeby zamienić z księdzem parę ostatnich słów.

— Dziękuję, ojcze. Prawdopodobnie uratował mi ojciec życie.

— Nie przesadzajmy.

— Chciałbym dać Naszej Pani Opiekunce Pustyni trochę z tych trzech tysięcy, które mam przy sobie, ale mogę ich potrzebować. Po prostu nie wiem, co może się stać w Bostonie, na co ich będę potrzebował.

— Niczego nie musisz dawać — powiedział ksiądz, potrząsając głową.

— Kiedy będę w domu, wyślę pewną sumę. Dostanie ksiądz kopertę z gotówką, bez adresu zwrotnego, ale mimo że zostaną tak wysłane, proszę się nie obawiać. Może je ksiądz przyjąć z czystym sumieniem.



— To nie jest konieczne, Jim. Wystarczyło, że poznałem ciebie. Może powinienem ci to powiedzieć... przywróciłeś mistyczną podstawę wiary pewnemu znużonemu księdzu, który czasem wątpił w sens swego powołania, ale który pozbył się tych wątpliwości raz na zawsze.

Spoglądali na siebie ze wzajemną sympatią, która — było to widać — stanowiła zaskoczenie dla nich obu. Jim pochylał się głębiej do środka wozu, ojciec Geary wyciągnął rękę i podali sobie dłonie. Ksiądz miał silny, suchy uścisk.

— Idź z Bogiem — powiedział.

— Mam nadzieję.

## **OD 24 SIERPANIA DO 26 SIERPANIA**

### **1**

Był piątek, parę godzin po północy. Holly siedziała przy swoim biurku w redakcji Press, wpatrując się w pusty ekran monitora. Była załamana, opadła na takie dno, że chciała tylko pójść do domu, rzucić się do łóżka i przetrwać tak parę dni z głową pod kołdrą. Nie cierpiała ludzi skłonnych do rozczulania się nad sobą. Próbowwała wstydzić się własnej depresji, ale ogarnęło ją tylko współczucie do siebie samej, że tak się nad sobą użala. Oczywiście nie można było nie dostrzec śmieszności tej sytuacji, ale nie potrafiła zdobyć się na śmiech z samej siebie; zamiast tego znów litowała się nad sobą, że jest tak głupia i zabawna.

Była zadowolona, że najbliższe poranne wydanie jest już złożone i redakcja prawie się wyludniła, więc żaden kolega nie widzi jej w tym poniżającym stanie. W zasięgu wzroku znajdował się tylko Tommy Weeds — kościsty sprzątaczk, który wytrząsał za wartość koszy i ścierał mokrą szmatą podłogę — i George Fintel.

George, do którego należała działka administracji miejskiej, tkwił w odległym kącie wielkiego pomieszczenia. Rozpłaszczył się na biurku, głowę złożył na skrzyżowanych ramionach i spał. Od czasu do czasu pochrapywał na tyle donośnie, że Holly słyszała go całkiem wyraźnie. Kiedy przychodziła pora zamykania barów, George czasami, zamiast udać się do siebie, wracał do redakcji. Jak stara pociągowa chabeta, której rzucono lejce, ciągnął z powrotem swój wózek tam, gdzie powinien być dom. Czasem budził się w nocy, uświadamiał sobie, gdzie się znalazł, i ociężale zmywał się w końcu do łóżka. „Politycy — mawiał zwykle — to najniższa forma życia. Cofnęli się do etapu pierwszego, oślizgłego stwora, który wylazł z pradawnego morza”. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat był zbyt wypalony, żeby zacząć na nowo. Spędzał więc życie na pisanii o urzędnikach miejskich, których nienawidził. Równocześnie znienawidził samego siebie i znajdował pocieszenie, wchłaniając codziennie nieprawdopodobne ilości wódki z wermutem.

Gdyby miała choć trochę odporności na alkohol, Holly mogłaby się obawiać takiego samego końca kariery. Ale jeden drink dawał jej miły szmerek, dwa powodowały kołysanie podłogi, a po trzecim musiała iść spać.

Nienawidzę swojego życia, pomyślała.

— Ty użalająca się nad sobą kupo gówna — powiedziała głośno.

*O, jak go nienawidzę! Nienawidzę; wszystko jest takie beznadziejne.*

— Rzygam na ciebie, ty maniaczko samoużalania — szepnęła z autentycznym obrzydzeniem.

— Mówiła pani do mnie? — spytał Tommy Weeds, pchając przed sobą dużą miotłę. Zamiatął przejście między biurkami.

— Nie, Tommy. Mówiłam do siebie.

— Rany, a co pani tak daje w kość?

— Własne życie.

Zatrzymał się i oparł na kiju od miotły, krzyżując nogi. Ze swoją dużą twarzą, obyspaną piegami, wielkimi uszami i strzechą włosów marchewkowego koloru wyglądał słodko, niewinnie, miło.

— Nie wyszło tak, jak pani sobie wymarzyła?

Holly sięgnęła po na wpół opróżnioną torbę cukierków, wrzuciła parę do ust i odchyliła się na krzesło.

— Kiedy ukończyłam Uniwersytet Missouri z dyplomem dziennikarki w kieszeni, zamierzałam wstrząsnąć światem, pisać wielkie artykuły, a pulitzery miały mi służyć za odbijacze do drzwi — a popatrz na mnie. Wiesz, co robiłam dziś wieczór?

— Cokolwiek to było, widzę, że nie sprawiło to pani przyjemności.

— Byłam w mieście, w Hiltonie, na dorocznym bankiecie Portlandzkiego Stowarzyszenia Wytwórców Produktów Drewnianych. Robiłam wywiady z producentami wykładzin ściennych do slipingów, sprzedawcami dykty i hurtownikami drewna sekwojowego. Wręczali Puchar Drzewiarza — tak to nazywają — dla „człowieka roku w branży drzewiarskiej”. Z nim też musiałam zrobić wywiad. Potem gnałam na złamanie karku, żeby włączyć to do porannego wydania. Jak się ma taki gorący materiał, to nie można pozwolić, żeby skurwiele z „New York Timesa” zwinęli ci go sprzed nosa.

— Myślałem, że pani siedzi w sztukach pięknych i rozrywce.

— Rzygałam tym. Mówię ci, Tommy, zły poeta potrafi ci obrzydzić sztukę przynajmniej na dziesięć lat.

Wrzuciła sobie do ust jeszcze parę kawałeczków czekolady. Zwykle nie jadała słodyczy, żeby uniknąć problemów z wagą, które zawsze prześladowały jej matkę, i teraz wchłaniała je właśnie dlatego, żeby czuć się jeszcze bardziej udręczoną i bezwartościową. Ostro sunęła w dół po spirali depresji.

— W telewizji i kinie dziennikarstwo wygląda tak wspaniale i ekscytująco. To wszystko bzdura.

— Ja — odezwał się Tommy — ja też nie mam takiego życia, jakie sobie zaplanowałem. Myśli pani, że wyobrażałem sobie, że skończę, sprzątajac Press, że zostanę ukochanym woźnym redakcji?

— Nie sądzę — powiedziała i poczuła się małą egoistką wypłakującą się przed człowiekiem, którego los był jeszcze mniej godny pożądania niż jej własny.

— Do diabła, jasne że nie. Od czasu kiedy byłem małym chłopcem, wiedziałem, do czego chcę dojść. Chciałem prowadzić jedną z tych wielkich śmieciarek; chciałem siedzieć wysoko w kabinie, operując przyciskami podnośnika hydraulicznego. — W głosie zabrzmiała mu tęsknota. — Unieść się nad całym światem i mieć tę całą potężną maszynę na usługach. To był mój sen i poszedłem za nim, ale potknąłem się na miejskim przeglądzie lekarskim. Mam kłopoty z nerkami, rozumie pani. Nic poważnego, lecz wystarczyło, żeby ubezpieczenie miejskie postawiło weto.

Oparty na miotle, wpatrywał się w przestrzeń, uśmiechając lekko i prawdopodobnie wyobrażając sobie siebie rozpartego na królewskim fotelu kierowcy wielkiej śmieciarki.

Wytrzeszczając na niego osłupiałe oczy, Holly zdecydowała, że jego szeroka twarz nie jest w gruncie rzeczy słodka, niewinna i miła. Pomyliła się, odczytując jej linie i płaszczyny. To była głupia twarz.

Chciała powiedzieć: Ty idioto! Ja marzyłam o zdobywaniu pulitzerów, a teraz jestem wyrobnikiem do wypisywania kawałków reklamowych o przemyśle, o tym cholernym Pucharze Drzewiarza! To jest tragedia. Czy myślisz, że bycie woźnym zamiast śmieciarzem jest z tym w ogóle porównywalne?

Ale nie odezwała się słowem, gdyż uświadomiła sobie, że jednak jest porównywalne. Niespełnione marzenie, niezależnie od tego, czy było wielkie, czy skromne, dalej pozostaje tragedią tego, kto wyzbył się nadziei. Pulitzery, których się nigdy nie dostanie, i śmieciarki, którymi się nigdy nie pojedzie, w równej mierze sprowadzają rozpacz i bezsenność. I ta myśl załamała ją jak nic do tej pory.

Tommy obudził się ze snu na jawie.

— Nie powinna się pani w to zagłębiać, panno Thorne. Życie... jest jak bułeczka z borówkami, którą podają nam w cukierni, kiedy zamówiliśmy morelową z orzechami. Nie ma w niej żadnych moreli ani orzechów i można dostać niezłego fioła od samego rozpamiętywania tego, co się straciło; o wiele mądrzej jest zgodzić się z tym, że borówki też są niezłe.

Po drugiej stronie pokoju George Fintel puścił gazy przez sen. Był to prawdziwy wystrzał armatni. Gdyby Press była dużą gazetą, a reporterzy obsiedliby właśnie kolegę powracającego z Bejrutu lub jakiegoś innego teatru działań wojennych, na pewno daliby nura, kryjąc się przed ogniem.

Mój Boże, pomyślała Holly, moje życie jest jak zła imitacja powieści Damona Runyona. Północ w marnej redakcji. Niedopieczeni filozofowie-woźni. Zapici reporterzy, śpiący przy biurkach. Ale to Runyon poddany obróbce przez pisarza tworzącego w manierze absurdu, współpracującego z ponurym egzystencjalistą.

— Wystarczyło mi z tobą pogadać, Tommy, i już czuję się lepiej — zełgała.  
— Dzięki.

— Zawsze do usług, panno Thorne.

Kiedy Tommy wrócił do pracy i zaczął jeździć miotłą tam i z powrotem między biurkami, Holly jadła kolejnego cukierka, zastanawiając się, czy przeszłaby pomyślnie badania kontrolne dla potencjalnych kierowców śmieciarek. Jak popatrzeć na to od strony pozytywnej, praca ta byłaby lepsza od dziennikarstwa, jakie znała: zbierałaby śmieci, zamiast je rozrzucić, i miałaby satysfakcję, że chociaż jedna osoba w Portland rozpaczliwie jej zazdrości.

Spojrzała na zegar ścienny. Wpół do drugiej nad ranem. Nie była senna. Nie chciała iść do domu: będzie leżeć, wpatrując się w sufit, pozostanie jej jedynie pograć się w rozmyślnościach o sobie samej i w samoużalaniu. Tak naprawdę to miała na to ochotę; była w nastroju do tarzania się w rozpacz, ale wiedziała, że nie jest to zdrowe. Pechowo nie miała innych możliwości: w tygodniu nocne życie Portland ograniczało się do całodobowej cukierni z pączkami.

Niecała doba dzieliła ją od rozpoczęcia urlopu. Marzyła o nim z utęsknieniem. Nie robiła planów. Zamierzała po prostu odpocząć, powłóczyć się, nie zajrzeć ani razu do gazety. Może obejrzeć parę filmów. Może przeczytać parę książek. Może pójść do Centrum Betty Ford i poddać się kuracji przeciw użalaniu nad samym sobą.

Weszła w niebezpieczny etap, zaczęła bowiem dumać nad swoim imieniem. Holly\* Thorne. Milusie. Naprawdę milusie. Cóż, na Boga, opętało rodziców, żeby tak ją nazywać? Czy można sobie wyobrazić, że komitet Nagrody Pulitzera przyznaje to wielkie odznaczenie kobiecie, której imię bardziej pasuje do postaci z filmu rysunkowego? Czasem — oczywiście zawsze w samym środku nocy — kusiło ją, żeby zadzwonić do staruszków i zażądać, aby wyjaśnili jej, czy ta sprawa z imieniem to tylko dowód złego smaku, nieudany dowcip, czy świadome okrucieństwo.

Ale jej rodzice byli prostymi, ciężko pracującymi ludźmi, którzy odmawiali sobie wielu przyjemności, aby zapewnić jej pierwszorzędną edukację, i chcieli dla niej tylko samego najlepszego. Byliby załamani, gdyby dowiedzieli się, że nie cierpiała swego imienia, skoro oni nie mieli żadnych wątpliwości, że jest dowcipne, a nawet elegancie. Kochała ich gorąco i musiałaby popaść w najcięższą depresję, zanim osmieliłaby się winić ich za swoje braki.

W obawie, że lada chwila złapie słuchawkę i wystuka ich numer, szybko odwróciła się do komputera i przywołała plik z bieżącym wydaniem. System przekazywania da-

---

\*Holly (ang.) — ostrokrzew (przyp. tłum.).

nych w Press umożliwiał każdemu zatrudnionemu reporterowi śledzenie kształtu artykułu podczas redagowania, składu i druku. Dzisiejsze wydanie zostało już sformatowane, złożone i posłane do druku, mogła więc zobaczyć na ekranie, jak faktycznie wygląda każda strona. Jedynie nagłówki były czytelne, ale każdy fragment obrazu dał się powiększyć do tego stopnia, że wypełniał cały monitor. Czasem fakt, że może poznać ważną wiadomość, zanim gazeta znajdzie się w sprzedaży, podnosił ją trochę na duchu; dzięki temu mgliście wyobrażała sobie, na czym polega bycie osobą wtajemniczoną.

Ten aspekt pracy przyciągał zresztą każdą skłoną do marzeń młodą istotę, czującą powołanie do zawodu dziennikarza.

Ale w miarę jak przeglądała nagłówki na paru pierwszych stronach, szukając czegoś interesującego do powiększenia, jej przygnębienie rosło. Wielki pożar w St. Louis, dziewięciu zabitych. Pogłoski o wojnie na Bliskim Wschodzie. Wyciek ropy u wybrzeży Japonii. Ulewne deszcze i powódzie w Indiach, dziesiątki tysięcy bezdomnych. Rząd federalny znów podnosi podatki. Wiedziała, że przemysł informacyjny kwitnie dzięki nieszczęściu, klęskom żywiołowym, skandalom, bezmyślnej przemocy i konfliktom. Ale nagle poczuła, że ten biznes żeruje na ludzkim nieszczęściu w sposób zupełnie wyjątkowy, i uświadomiła sobie, że wcale nie chce być dłużej osobą wtajemniczoną, znajdować się pomiędzy pierwszymi, którzy poznają ten przerażający materiał.

Wtem, kiedy już miała zamknąć plik i wyłączyć komputer, jej wzrok przykuł nagłówek: TAJEMNICZY NIEZNAJOMY RATUJE CHŁOPCA. Ta historia obok szkoły McAlbury'ego zdarzyła się dwanaście dni temu i te cztery słowa wywołały u niej natychmiastowe skojarzenie. Jej ciekawość została pobudzona i nakazała komputerowi, aby powiększył fragment, w którym zaczynał się artykuł.

Materiał pochodził z Bostonu i była doń dołączona fotografia. Obraz był jeszcze zarty i ciemny, ale skala zastosowanego powiększenia pozwalała jej na czytanie tekstu, choć z trudem. Poleciała komputerowi dalsze powiększenie pierwszej kolumny, tak że mogła ją czytać bez wysiłku.

Pierwszy wers spowodował, że wyprostowała się jak struna: Odważny przechodzień, który powiedział o sobie tylko tyle, że nazywa się Jim, uratował życie Nicholasa O'Connera, lat sześć, kiedy w czwartek wieczór należąca do Przedsiębiorstwa Energetycznego z Nowej Anglii rozdzielnia eksplodowała pod chodnikiem w dzielnicy mieszkalnej Bostonu.

— Co u diabła?... — szepnęła.

Uderzyła parę klawiszy, zlecając komputerowi przesunięcie pola w prawo. Chciała ujrzeć powiększone zdjęcie, towarzyszące artykułowi. Zwiększyła skalę jeszcze i jeszcze, aż cały ekran wypełniła twarz.

Jim Ironheart.

Przez moment siedziała osłupiała ze zdumienia, bez ruchu. Potem odczuła potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej — nie była to intelektualna zachcianka, ale autentyczna, fizyczna potrzeba, podobna do nagłego uczucia intensywnego głodu.

Powróciła do tekstu artykułu, przeczytała go do końca, a potem zrobiła to jeszcze raz. Dziecko O'Connerów siedziało na chodniku przed swoim domem, właśnie na betonowej pokrywie. Zaskłaniała ona wejście do rozdzielni przedsiębiorstwa energetycznego, wystarczająco pojemnej, aby w jej podziemiu mogło pracować równocześnie czterech mężczyzn. Chłopiec bawił się samochodzikami, rodzice mogli go obserwować z frontowej werandy. Nagle w szalonym pędzie nadbiegł nieznajomy mężczyzna. „Dopadł Nicka — cytowano ojca chłopca — i złapał go tak, że myślałem, że to jakiś szaleniec napastujący dzieci chce porwać mojego synka”. Trzymając wrzeszczące dziecko, nieznajomy przeskakuje niski płot i ląduje na trawniku O'Connerów tuż przed tym, jak następuje zwarcie na siedemnastotysięcznowoltowej linii. Wybuch podrzucił betonową pokrywę jak piórko. Za nią wzleciała jasna kula ognia. Zażenowany wylewnymi pochwałami, jakich nie szczędzili mu wdzięczni rodzice Nicka oraz sąsiedzi, świadkowie jego bohaterского wyczynu, nieznajomy twierdził, że czuł zapach płonącego materiału izolacyjnego, słyszał syk dochodzący z rozdzielni i wiedział, co może nastąpić, ponieważ niegdyś „był pracownikiem przedsiębiorstwa energetycznego”. Zirytowany fotografią, jaką zrobił mu świadek zajścia, wolał odejść przed zjawieniem się dziennikarzy, gdyż jak to ujął, „wysoko cenił sobie swoją prywatność”.

To nadejście pomocy w ostatniej chwili przydarzyło się o siódmej czterdzieści w czwartek wieczorem, w Bostonie — czyli o czwartej czterdzieści tutejszego czasu, wczoraj po południu. Holly spojrzała na ścienny zegar. Teraz była druga dwie, piątek w nocy. Nicky O'Conner został zgarnięty z betonowej płyty niecałe dziewięć i pół godziny temu.

Ślad był jeszcze świeży.

Miała do zadania parę pytań reporterowi „Globe”, który napisał ten kawałek. Ale w Bostonie było dopiero parę minut po piątej. Nie będzie go jeszcze w pracy.

Zamknęła plik bieżących danych Press. Na ekranie komputera standardowe menu zastąpiło powiększony tekst gazety.

Przez modem połączyła się z Newsweb, bazą danych, której subskrybentem była Press. Zażyczyła sobie, aby służba Newsweb prześledziła wszystkie wiadomości z ostatnich trzech miesięcy, podawane przez agencje informacyjne i opublikowane w dużych dziennikach amerykańskich, zawierające imię „Jim”, połączone w obrębie dziesięciu słów albo z „ratunek”, albo z określeniem „uratował życie”. Poprosiła o wydruk każdej informacji, jeżeli takowe będą.

Kiedy Newsweb spełniła jej zamówienie, zadzwoniła do informacji zamiejscowej dla obszarów o numerach początkowych 818; 213; 714; 619. Poszukiwała Jima Ironhearta

w okręgach: Los Angeles, Orange, San Bernardino i San Diego. Żadna z telefonistek nie potrafiła jej pomóc. Jeżeli faktycznie mieszkał, jak jej powiedział, w południowej Kalifornii, miał zastrzeżony numer.

Laserowa drukarka, która obsługiwała jeszcze trójkę kolegów Holly, szumiała cicho. Pierwsze znaleziska Newsweb spadały na tackę z wydrukami.

Chciała szybko podejść do biurka z drukarką, złapać pierwszy wydruk i od razu go przeczytać, ale zapanowała nad sobą, skupiając się na telefonie i usiłując wymyślić inny sposób zlokalizowania Jima Ironhearta gdzieś tam w południowej Kalifornii, zwanej przez lokalnych obywateli „Łądem Południa”.

Parę lat temu mogłaby po prostu wejść do pamięci komputera kalifornijskiego Wydziału Ruchu Drogowego i za skromną opłatą otrzymać adres każdego, kto ma ważne prawo jazdy, wydane w tym stanie. Ale po tym, jak aktorka Rebecca Schaeffer została zamordowana przez obłąkanego wielbiciela, który znalazł ją właśnie w ten sposób, nowe zarządzenie broniło nieograniczonego dostępu do akt wydziału.

Gdyby była doświadczonym piratem komputerowym, wtajemniczonym w arkana tej trudnej sztuki, żadne zabezpieczenie nie zatrzymałoby jej przed wejściem do tych akt. Lub może udałoby się jej włamać do danych banku kredytowego i tam poszukać akt na nazwisko Jim Ironheart. Znała reporterów, którzy rozwijali swe komputerowe umiejętności właśnie w takim celu. Ale ona zawsze szukała źródeł i informacji z poszanowaniem prawa i unikała niedozwolonych metod.

I właśnie dlatego robisz takie emocjonujące kawałki jak „Puchar Drzewiarza” — pomyślała kwaśno.

Planując rozwiązanie tego problemu, szybko poszła do pokoju barowego i wzięła kubek kawy z automatu. Kawa miała smak żółci jaka. Wypiła ją mimo to, ponieważ wiedziała, że kofeina będzie jej potrzebna do przetrwania nocy. Wrzuciła kolejną monetę do maszyny i wróciła z drugą kawą do pokoju.

Drukarka milczała. Wzięła kartki z tacki i siadła przy swoim biurku.

Newsweb dostarczyła jej gruby stos różnych historii z ogólnokrajowej prasy, w których imię „Jim” było użyte w obrębie dziesięciu słów z „ratunek” lub „uratował życie”. Policzyła je szybko. Dwadzieścia dziewięć.

Pierwszy był kawałek dla miłośników zwierząt z „Chicago Sunday Times”; Holly głośno przeczytała otwierające zdanie: „Jim Foster z Oak Park uratował ponad sto przydu-szonych kotów z...”.

Cisnęła wydruk do kosza i spojrzała na następny. Ten był z „Philadelphia Inquirer”: „Jim Pilsbury, rzucając dla Phillies, uratował swój klub od ponizającej porażki...”.

Spojrzała na trzeci. Była to recenzja filmowa, więc nie trudziła się szukaniem w niej wzmianki o Jimie. Czwarty zawierał informację o Jimie Harrisonie, pisarzu. Piąty opi-



sywał historię polityka z New Jersey, który za pomocą rękoczynu Heimlicha uratował życie szefa mafii: pili razem piwo w barze i *padrone* zaczął się dusić kęsem ostrej paróweczki Slim Jim.

Zaczęła się martwić, że dojedzie do końca stosu i zostanie z pustymi rękoma, ale szósty artykuł, z „Houston Chronicle”, otworzył jej oczy szerzej niż filiżanka kawy. **KOBIETA URATOWANA PRZED MŚCIWYM MEŻEM.** Czternastego lipca, po pełnej ostrych starć rozprawie i uzyskaniu w sądzie zarówno alimentów, jak i praw do opieki nad dzieckiem, Amanda Cutrer o mało co nie została zastrzelona przez rozwścieczonego męża, Cosma, przed swoim domem w bogatej dzielnicy River Oaks. Cosmo nie trafił jej dwoma pierwszymi strzałami, przed trzecim została uratowana przez mężczyznę, który „pojawił się znikąd”, obalił jej szalejącego małżonka na ziemię i obezwładnił go. Wybawca przedstawił się, używając jedynie imienia Jim, i zanim pojawiła się policja, wyparował w wilgotnym houstońskim powietrzu. Trzydziestoletnia rozwódka wyraźnie była oczarowana, gdyż opisała go jako „przystojniaka, dobrze umięśnionego, wyglądającego jak bohater filmowy z najbardziej marzycielskimi, niebieskimi oczami na świecie”.

Holly nadal była zdolna przywołać obraz intensywnie niebieskich oczu Jima Ironhearta. Nie należała do kobiet, które określiłyby je jako „marzycielskie”, chociaż były to z pewnością najczystsze i najbardziej urzekające oczy, jakie kiedykolwiek... Och, do diabła, były marzycielskie! Niechętnie przyznawała się do tej dziewczęcej reakcji, jaką w niej wzbudził, ale nie była lepsza w oszukiwaniu samej siebie niż w oszukiwaniu innych. Przypomniała sobie początkowe wrażenie nieludzkiego zimna, kiedy ich spojżenia skrzyżowały się po raz pierwszy, ale od momentu, kiedy się uśmiechnął, tamto wrażenie minęło i nigdy nie powróciło.

Siódmy artykuł znów dotyczył skromnego Jima, który nie czekał na pochwały i nagrody — ani zainteresowanie prasy — po tym jak uratował piątego lipca Carmen Diaz, lat trzydzieści, z płonącego mieszkania w Miami. Miał niebieskie oczy.

Przebrnąwszy przez następne dwadzieścia dwa artykuły, Holly zorientowała się, że jeszcze dwa opisują działalność Ironhearta, chociaż podano tylko jego imię. Dwudziestego pierwszego lipca Thaddeus Johnson, lat dwanaście, o mało co nie został zepchnięty z dachu ośmiopiętrowego budynku mieszkalnego w Harlemlu. Czterem członkom młodocianego gangu nie spodobała się jego pełna obrzydzenia odmowa przystąpienia do ich rozprowadzającego narkotyki bractwa. Został uratowany przez niebieskookiego mężczyznę, który pozbawił czwórkę zbirów zdolności działania, wykonując serię kopnięć, cięć, pchnięć i rzutów tae kwon do. „Był jak Batman bez tego śmiesznego stroju”, powiedział Thaddeus reporterowi „Daily News”. Dwa tygodnie przedtem, siódmego lipca, inny niebieskooki Jim „zmaterializował się nie wiadomo skąd” na terenie posiadłości Louisa Andrettiego, lat dwadzieścia osiem, w Coronie, w Kalifornii, w sam

czas, aby ostrzec właściciela przed wczółganiem się pod podmurówkę, kiedy Andretti chciał tam wejść naprawić cieknącą rurę. „Powiedział mi, że rodzina grzechotników urządziła sobie w tym miejscu gniazdo” — wyznał właściciel reporterowi. Później, kiedy agenci Stacji Ochrony Sanitarno-Epidemiologicznej zbadali z bezpiecznej odległości podmurówkę, używając do tego lampy halogenowej, zobaczyli nie gniazdo, ale „coś z koszmaru sennego” i w efekcie wyciągnęli spod domu czterdzieści jeden węży. „Nie rozumiem tylko — powiedział Andretti — skąd ten facet miał pojęcie, że grzechotniki tam siedzą, skoro ja mieszkam w tym domu i nigdy na to nie wpadłem”.

Teraz Holly mogła dodać cztery podobne zdarzenia do akcji z wyratowaniem Nicka O’Connera w Bostonie i Billy’ego Jenkinsa w Portland. Do wszystkich doszło przed pierwszym lipca. Wystukała nowe polecenia dla Newsweb, prosząc o podobne przeszukiwanie dla miesięcy: marzec, kwiecień, maj.

Potrzebowała jeszcze kawy. Idąc do pokoju barowego, zorientowała się, że George Fintel wreszcie potoczył się do domu. Nie słyszała, jak wychodził. Tommy też poszedł. Została sama.

Newsweb zlokalizowała na przestrzeni od marca do maja jedenaście opowieści odpowiadających jej warunkom. Przejrzawszy wydruki, Holly uznała za godny uwagi tylko jeden z nich.

Piętnastego maja, w Aliancie, Georgia, niebieskooki Jim wkroczył do nocnego sklepu podczas napadu z bronią w ręku. Zastrzelił napastnika, Normana Rinka, który groził zamordowaniem dwójki klientów: Sama Newsome’a, lat dwadzieścia pięć, i jego pięcioletniej córki, Emily. Nabuzowany koktajlem kokainy i metamfetaminy, Rink zabił już kasjerkę i dwóch klientów dla samej przyjemności mordowania. Jim załatwił Rinka, upewnił się, że Newsome’om nic się nie stało, i wymknął się, zanim na miejscu pojawiła się policja.

Kamera działająca w systemie zabezpieczenia sklepu dostarczyła zatarte zdjęcie bohatera. Było to dopiero drugie jego zdjęcie, jakie znalazła. I to kiepskie. Ale natychmiast rozpoznała Jima Ironhearta.

Pewne szczegóły zajścia wytrąciły ją z równowagi. Jeżeli Ironheart dysponował mocą jasnowidzenia, czymkolwiek, co pozwoliło mu przewidzieć śmiertelne zagrożenie dla życia innych ludzi i zjawić się na czas, aby zmienić koleje losu, to dlaczego nie pojawił się w sklepie parę minut wcześniej i nie zapobiegł śmierci kasjerki i innych klientów? Dlaczego uratował Newsome’ów, a pozwolił, żeby zginęła reszta?

Zdrętwiała, czytając dalsze szczegóły jego rozprawy z Rinkiem. Używając strzelby kalibru 12 z uchwytem pistoletowym, władował w szaleńca cztery strzały. Potem, chociaż Rink był bez wątpienia martwy, załadował broń powtórnie i oddał następne cztery strzały. „Był w jakiejś furii — relacjonował Sam Newsome — miał twarz nabiegłą krwią, spływał potem i widać było, jak mu żyły pulsują na skroniach i czole. Miał

ły w oczach... ale one nie zmniejszały tej wściekłości”. Kiedy zrobił swoje, wyraził żal, że rozprawił się z Rinkiem w tak okrutny sposób na oczach małej Emily. Wyjaśnił, że tacy faceci jak Rink, zabijający niewinnych ludzi, wyzwalają w nim „jego własne szaleństwo”. Newsome mówił reporterowi: „Uratował nam życie, jasne, ale muszę powiedzieć, że facet był straszny, tak samo prawie jak Rink”.

Uświadomiwszy sobie, że Ironheart mógł przy pewnych okazjach nie wyjawić nawet swego imienia, Holly poleciła Newsweb, aby znalazła materiały z ostatnich sześciu miesięcy, w których „ratunek” i „uratował życie” znajdowały się w sąsiedztwie dziesięciu słów z „niebieskie”. Niektórzy świadkowie podawali bowiem niejasny opis postaci, ale większość pamiętała jego wyraziste niebieskie oczy.

Poszła do toalety, potem po następną kawę i wróciła do drukarki. Kiedy znaleziony ślad przybierał kształt wydruku, chwytła go, przeglądała i wrzucała do kosza, jeżeli nie przynosił jej nic interesującego, albo czytała z wypiekami na twarzy, jeśli był to opis jeszcze jednej „akcji z ostatniej chwili”. Otrzymała kolejne cztery przypadki bezsprzecznie odnoszące się do Ironhearta, chociaż ani jego imię, ani nazwisko nie zostało użyte.

Siadła znów przy biurku i zażądała od Newsweb, aby przejrzała ostatnie sześć miesięcy, szukając w publikatorach ogólnokrajowych nazwiska Ironheart.

Czekając na wyniki, uporządkowała dotyczące sprawy wydruki, a potem zrobiła chronologiczną listę osób, których życie Jim Ironheart uratował, z czterema nowymi włącznie. Umieściła na niej nazwiska, wiek, miejsce zdarzenia i rodzaj śmierci, jaki został oszczędzony każdej osobie.

Medytowała nad listą, dostrzegając z ciekawością pewne stałe elementy, ale odłożyła ją na bok, kiedy Newsweb skończyła pracę.

Podniosła się z krzesła, żeby podejść do drukarki laserowej, i zamarła ze zdumienia. Nie była sama w redakcji. Trzech reporterów i jeden redaktor znajdowali się już przy swoich biurkach. Wszyscy mieli opinię rannych ptaszków, między nimi Hank Hawkins z działu biznesu, który lubił być już w pracy, kiedy na rynkach finansowych wschodniego wybrzeża zaczynał się ruch. Dwóch wymieniało dowcipy, rycząc ze śmiechu, a Hawkins okupował swój telefon. Niczego nie zauważyła ani nie słyszała, dopóki ich nie zobaczyła. Spojrzała na zegar: szósta dziesiąta. Opalizujące światło poranka tańczyło swobodnie po szybach, noc odpłynęła, a Holly nie miała o tym pojęcia! Spojrzała na blat biurka. Liczba kubków wskazywała, że odbyła o dwie wędrówki więcej do pokoju barowego, niż zapamiętała.

Uświadomiła sobie, że nie tkwi już w rozpacz. Tak dobrze nie czuła się od dobrych paru dni. Tygodni. Lat. Znowu stała się reporterką. Reporterką z prawdziwego zdarzenia.

Podeszła do drukarki, opróżniła tackę z wydrukami i powróciła do biurka. Rzuciła się w oczy, że Ironheartowie nie dawali zarobić dziennikarzom. W ostatnich sześciu miesiącach było tylko pięć artykułów, w których pojawiali się ludzie o tym nazwisku.

Kevin Ironheart — Buffalo, Nowy Jork. Senator stanowy. Ogłosił zamiar ubiegania się o stanowisko gubernatora.

Anna Denise Ironheart — Boca Raton, Floryda. Znalazła żywego aligatora w salonie.

Lori Ironheart — Los Angeles, Kalifornia. Autorka tekstów piosenek. Nominowana do Nagrody Akademii za najlepszy utwór roku.

Valerie Ironheart — Ceder Rapids, Iowa. Urodziła żywe czworaczki.

Ostatni z tej piątki był James Ironheart.

Spojrzała na nagłówek. Materiał pochodził z „Registera”, wychodzącego w okręgu Orange, z dziesiątego kwietnia i stanowił jedną pozycję z listy artykułów odnoszących się do tego samego zdarzenia, które zyskało ogólnokrajowy rozgłos. Ponieważ tak sobie zażyczyła, komputer wydrukował tylko ten jeden materiał, pomijając inne na temat tego samego zdarzenia.

Sprawdziła dane. Laguna Niguel. Kalifornia. Południowa Kalifornia. Łąd Południa.

Ten kawałek nie miał fotografii, ale reporter opisał wygląd bohatera notatki. Niebieskie oczy i gęste kasztanowe włosy. To musiał być jej James Ironheart.

To, że go znalazła, nie było dla niej zaskoczeniem. Wiedziała, że podejmując usilne starania, zlokalizuje go wcześniej czy później. Zdumiała ją natomiast zawartość artykułu, w którym natrafiła w końcu na jego pełne imię i nazwisko. Oczekiwała jeszcze jednej opowieści o uratowaniu kogoś przed śmiercią i nie była przygotowana na nagłówek: MIESZKANIEC LAGUNA NIGUEL TRAFIA NA LOTERII SZEŚĆ MILIONÓW.

## 2

Uratowawszy Nicolasa O’Connera, Jim po raz pierwszy od czterech dni przespał spokojnie całą noc. Opuścił Boston w piątek po południu, dwudziestego czwartego sierpnia. Mijając kilka stref czasowych podczas lotu nad całym krajem, zyskał trzy godziny, zjawił się na lotnisku Johna Wayne’a o trzeciej dziesiątej i po półgodzinie był w domu.

Poszedł wprost do małego gabinetu, podniósł róg dywanu i odsłonił drzwiczki sejfu wbudowanego w podłogę. Wycisnął właściwą kombinację cyfr, otworzył drzwiczki i wyjął pięć tysięcy dolarów, dziesięć procent trzymanej tam gotówki.

Przy biurku włożył studolarówki do grubej koperty „Jiffy”, którą zamknął spinaczem. Wypisał na maszynie nalepkę z adresem ojca Leo Geary’ego przy kościele Naszej Pani Opiekunki Pustyni i załączył odpowiedni znaczek. Wyśle to jutro z samego rana.

Poszedł do salonu i włączył telewizor. Próbował znaleźć jakiś ciekawy film w sieci kablowej, ale bez rezultatu. Popatrzył przez moment na wiadomości, lecz nie przycią-

gały jego uwagi. Podgrzał sobie w kuchence mikrofalowej pizzę i otworzył puszkę piwa, a potem siadł z dobrą książką — ale go nudziła. Przejrzał stos nieprzeczytanych magazynów, jednak żaden z artykułów nie wzbudził w nim zainteresowania.

Zapadał już zmierzch, kiedy z następną puszką piwa wyszedł na dwór i siadł na patiu. Duże liście palm szeleściły w lekkim powiewie. Jaśmin rosnący przy ścianie posesji wydzielał słodki zapach. Drżące światło okrywało czerwone, purpurowe i różowe niecierpki prawie fosforyzującym blaskiem; w miarę jak słońce kryło się za horyzontem, bijąca od nich poświata gasła, jakby były setkami małych żarówek regulowanych ściemniaczem. Noc spływała w dół jak wielka, rzucona swobodnie peleryna, uszyta z czarnego, lekkiego jedwabiu.

Mimo że sceneria tchnęła spokojem, czuł się jak podminowany. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem, od czasu kiedy piętnastego maja uratował przed śmiercią Sama Newsome'a i jego córkę Emily, Jimowi coraz trudniej było włączyć się w nurt powszednich zdarzeń i przyjemności. Nie potrafił się odprężyć. Ciągle myślał o tym, co jeszcze może zrobić dobrego, o wszystkich istnieniach, które może uratować przed zagładą, o ludzkich losach, których przeznaczenie potrafi odmienić, kiedy tylko znów nadejdzie wezwanie: „Linia życia”. W porównaniu z tym wszystkie inne zajęcia były czystą stratą czasu.

Zostawszy narzędziem sił nadprzyrodzonych, nie potrafił zająć się niczym poślednim.

Po dniu spędzonym na zbieraniu informacji dotyczących Jamesa Madisonsa Ironhearta, mając za sobą jedynie dwugodzinną drzemkę zamiast całonocnego wypoczynku, Holly lotem do okręgu Orange rozpoczęła długo oczekiwane wakacje. Po przylocie wynajęła samochód i pojechała z lotniska na wschód, do motelu w Laguna Hills, gdzie wcześniej zarezerwowała pokój.

Laguna Hills leżało w głębi lądu i nie było miejscowością letniskową. Ale rezerwacje na sezon letni w Laguna Beach, Laguna Niguel i pozostałych nadbrzeżnych miasteczkach poczyniono dużo wcześniej. Zresztą nie zamierzała pływać ani się opalać. Zwykle narażała się na niebezpieczeństwo raka skóry równie chętnie jak każdy inny, ale te wakacje zostały przeznaczone na pracę.

Zanim dotarła do motelu, czuła, jakby w oczach miała pełno piasku. Kiedy niosła walizki do pokoju, siła ciężkości żartowała sobie z nią okrutnie, działając z pięciokrotnie większą mocą.

Pokój był czysty, urządzone bezpretensjonalnie, a klimatyzacja zapewniała odtworzenie środowiska naturalnego Alaski, na wypadek gdyby jakiś Eskimos stęsknił się za domem.

W automacie umieszczonym w podcieniach kupiła paczkę krakersów z-masłem-czekoladowym-i-serem i puszkę dietetycznej lemoniady. Zaspokoila głód, siedząc na łóżku. Była zdrętwiała ze zmęczenia. Wszystkie jej zmysły — w tym również smak — zostały stępione przez wyczerpanie. Równie dobrze mogłaby jeść styropian i popijać go potem muła.

Przyłożenie głowy do poduszki zadziałało jak naciśnięcie wyłącznika; zasnęła natychmiast.

W nocy zaczęła śnić. Był to dziwny sen, gdyż toczył się w absolutnej ciemności. Nie miał obrazów, istniały tylko zapachy i dotyk. Być może takie sny mają ślepi od urodzenia. Znajdowała się w ociekającym wilgocią, zimnym pomieszczeniu, pachnącym lekko wapieniem. Z początku nie doświadczała lęku, była jedynie zdezorientowana. Ostrożnie szukała drogi, idąc wzdłuż ścian z kamiennych bloków, ciasno spojonych zaprawą murarską. Po krótkim badaniu uświadomiła sobie, że faktycznie jest tylko jedna ściana, pojedyncza kamienna płaszczyzna — pokój miał kształt okręgu. Jedyne hałas robiły jej kroki — a w tle syk i stukot deszczu bębniącego nad głową, po krytym dachówkami dachu.

We śnie oderwała się od ściany i szła po twardej drewnianej posadzce z rękami wyciągniętymi przed siebie. Mimo że na nic się nie natknęła, ciekawość zaczęła ustępować miejsca lękowi. Przestała się posuwać, stanęła w całkowitym bezruchu, pewna, że usłyszała jakiś złowróżbny dźwięk.

Subtelny dźwięk. Przesłonięty delikatnym, ale upartym postukiwaniem deszczu. Powrócił. Pisk.

Przez moment myślała o szczurze, tłustym i obłym. Ale dźwięk trwał zbyt długo i był zbyt osobliwy, aby mógł go wydawać szczur. Bardziej trzask niż pisk, ale też nie trzeszczenie klepki podłogowej pod stopą. Znikał... powracał po paru sekundach... znikał... powracał... rytmicznie.

Kiedy Holly uświadomiła sobie, że to dociera do niej głos protestu jakiegoś nienaliwionego mechanizmu, powinna była odetchnąć. Zamiast tego, kiedy tak stała w grobowych ciemnościach, usiłując odgadnąć, co to za urządzenie, czuła jedynie wzmożone bicie serca. Trzeszczenie stało się nieco głośniejsze, powtarzało się coraz częściej, z początku dźwięk nadpływał co pięć, sześć sekund, potem co trzy, cztery, potem co dwie lub trzy, a potem co sekundę.

Nagle doszła do tego dziwnie rytmiczna inkantacja, *wiuuun, wiuuum, wiuuum*; lekko opóźniona w stosunku do trzasku. Był to dźwięk, z jakim duży płaski przedmiot tnie powietrze.

*Wiuuum.*

Był blisko. Ale nie czuła powiewu powietrza.

*Wiuuum.*

Opanowała ją szaleńcza myśl. To brzytwa.

*Wiuum.*

Ogromna brzytwa. Ostra. Przecinająca powietrze. Gigantyczna.

*Wiuum.*

Poczuła, że zbliża się coś straszliwego, istota tak dziwna, że choćby stanęła w świetle i na pełnym widoku — rozum nie pojmie, z czym ma do czynienia. Choć świadomość informowała ją, że śni, wiedziała równocześnie, że jeśli nie wydostanie się z tego ciemnego kamiennego pomieszczenia — umrze. Koszmar, który nawiedził ją we śnie, nie pozwalał jej uciec, musiała więc się obudzić, ale nie mogła, była zbyt znużona, zbyt słaba, aby zerwać więzy snu. Potem pozbawiony światła pokój zaczął wirować. Odniosła wrażenie, że jakaś wielka budowla kręci się i kręci (*trzask, wiuum*), rosnąc gwałtownie w skąpanej deszczem nocy (*trzask, wiuum*), kręci się (*trzask, wiuum*), tnie powietrze (*trzask, wiuum*), usiłowała krzyknąć (*trzask, wiuum*), ale nie mogła wydusić z siebie głosu (*wiuum, wiuum, wiuum*), nie mogła się obudzić i nie mogła zawołać o pomoc.

*WIUUM*

— Nie!

Jim poderwał się na łóżku, wykrzykując to pojedyncze słowo protestu. Ciało lepiło mu się od potu i miał silne dreszcze.

Kiedy zasypiał, lampka paliła się przy łóżku. Zdarzało się to często i nieprzypadkowo. Przez ponad rok miał niespokojne sny o różnej treści, pełne wielu straszydeł, z których tylko część pamiętał po obudzeniu. Bezimienny, bezkształtny stwór, którego nazywał „nieprzyjacielem” i o którym śnił, powracając do zdrowia na plebanii Naszej Pani Opiekunki Pustyni, był najbardziej przerażającą postacią w krainach snów, choć nie jedyną.

Jednak tym razem grozę budził nie ktoś, ale coś. Wiatrak.

Spojrzał na zegarek przy łóżku. Za piętnaście czwarta.

W samych spodniach od piżamy wstał z łóżka i podreptał do kuchni.

Jarzeniowe światło kłuło go w oczy. Dobrze. Chciał przegonić każdą drobinę snu, jaka doń przyłgnęła.

Cholerny wiatrak.

Włączył ekspres do kawy i zaparzył sobie mocną kolumbijską mieszankę. Stojąc przy ladzie, wypił małymi łydkami połowę pierwszej filiżanki, potem nalał sobie następną i siadł przy kuchennym stoliku. Zamierzał wypić cały dzbanek. Nie chciał ryzykować powrotu do łóżka i tego samego snu.

Każdy nocny koszmar pozbawiał jego sen wartości regeneracyjnych, ale ten z wiatrakiem niósł prawdziwe fizyczne zmęczenie. Za każdym razem, kiedy się z niego budził, bolała go klatka piersiowa, jakby serce poraniło się od zbyt mocnego uderzania

o żebra. Czasami dreszcze całkowicie ustępowały dopiero po godzinie; zawsze miał bóle głowy, które — jak teraz — biegły przez szczyt czaszki, pulsując z taką siłą, jakby jakiś Obcy usiłował się z niego wyrwać. Wiedział, że jeśli spojrzy w lustro, zobaczy chorobliwie bladą, pomarszczoną twarz z sinymi obwódkami wokół oczu. Twarz chorego na raka, skazanego na śmierć człowieka, z którego choroba wyssała całe życie.

Ze wszystkich prześladowających go snów ten z wiatrakiem nie był najczęstszy. W istocie nawiedzał go raz czy dwa w miesiącu. Ale na pewno był najgorszy.

Zdumiewające, że niewiele się w nim działo. Siedział na zakurzonej drewnianej podłodze w mniejszym, górnym pomieszczeniu, nad główną izbą, w której znajdowały się stare kamienie młyńskie. Jedyne światło dawała gruba, żółta świeczka. Noc napierała na wąskie okienka, przypominające średniowieczne strzelnice, wycięte w ścianach z wapienia. Nagle, z trzaskiem nienaoliwionego i częściowo zardzewiałego mechanizmu, cztery wielkie skrzydła zaczynały obracać się, szybciej i szybciej, jak wielkie kosy, tnąc wilgotne powietrze. Prosty wał, który wynurzał się z sufitu i niżył w otworze wykrojonym w środku podłogi, również zaczął się kręcić, na krótko tworząc złudzenie, że to sama podłoga obraca się jak karuzela. Na niższym poziomie kamienie młyńskie zaczynały trzeć o siebie, wydając miękkie dudnienie, przypominające odległy huk gromu.

Tylko tyle. Nic więcej. A jednak bał się jak wszyscy diabli.

Pociągnął duży łyk kawy.

Co jeszcze dziwniejsze: w prawdziwym życiu wiatrak był dobrym miejscem, nigdy nie przeżył tam momentu bólu czy grozy. Wznosił się na farmie dziadków, pomiędzy stawem a polem z kukurydzą. Dla młodego chłopca urodzonego i wychowanego w mieście wielki wiatrak był egzotyczną i fascynującą budowlą, idealnym miejscem zabaw i ucieczki od rzeczywistości, schronieniem na czas zmartwień. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nawiedzał go koszmar o miejscu, które było źródłem jedynie dobrych wspomnień.

Gdy przerażający sen minął — nie budząc jej — Holly Thorne spała w spokoju przez resztę nocy, nieruchomo jak kamień spoczywający na dnie morskim.

### 3

W sobotę rano Holly jadła śniadanie w restauracji motelowej i studiowała listę osób, uratowanych od śmierci dzięki celnie wyliczonym w czasie interwencji Jima Ironhearta.



15 MAJA

Sam (25) i Emily (5) Newsome — Atlanta, Georgia (morderstwo)

7 CZERWCA

Louis Andretti (28) — Corona, Kalifornia (ukąszenie węża)

21 CZERWCA

Thaddeus Johnson (12) — Nowy Jork, Nowy Jork (morderstwo)

30 CZERWCA

Rachel Steinbert (23) — San Francisco, Kalifornia (morderstwo)

7 LIPCA

Carmen Diaz (30) — Miami, Floryda (pożar)

14 LIPCA

Amanda Cutrer (30) — Houston, Teksas (morderstwo)

20 LIPCA

Steven Aimes (57) — Birmingham, Alabama (morderstwo)

1 SIERPANIA

Laura Lenaskian (28) — Seattle, Waszyngton (utonięcie)

8 SIERPANIA

Doogie Burkette (11) — Peoria, Illinois (utonięcie)

12 SIERPANIA

Billy Jenkins (8) — Portland, Oregon (wypadek drogowy)

20 SIERPANIA

Lisa (30) i Susan (10) Jawolski — pustynia Mojave (morderstwo)

23 SIERPANIA

Nicolas O'Conner (6) — Boston, Massachusetts (zwarcie linii przesyłowej wysokiego napięcia).

Pewne reguły były oczywiste. Z czternastu uratowanych szóstkę stanowiły dzieci. Siódemka pozostałych liczyła sobie od dwudziestu trzech do trzydziestu lat. Tylko jeden był starszy — Steven Aimes, który miał pięćdziesiąt siedem lat. Ironheart wolał młodszych. I było widać, że jego działalność się nasila: jedno zdarzenie w maju, trzy w czerwcu, trzy w lipcu i już pięć w sierpniu, a pozostawał jeszcze pełny tydzień do końca miesiąca.

Holly była szczególnie zaintrygowana tymi osobami na liście, które bez interwencji Ironhearta zostałyby zamordowane. O wiele więcej osób ginęło każdego roku w wypadkach niż z ręki bliźnich. Same wypadki drogowe pociągały za sobą więcej ofiar niż morderstwa. Tymczasem Jim Ironheart interweniował w znacznie większej liczbie ewentualnych zabójstw niż w wypadkach: z czternastu osób na liście osiem zostało uratowanych przed złowieszczymi zakusami morderców, ponad sześćdziesiąt procent.

Być może morderstwa częściej budziły jego przeczucie niż inne formy śmierci, gdyż przemoc stosowana przez człowieka wzbudza silniejsze prądy w świecie pozazmysłowym niż wypadki...

Holly przestała gryźć i widelec z naleśnikiem z jagodami zamarł jej w drodze do ust. Uświadomiła sobie, jak przedziwna jest ta historia. Dotąd działała z ponaddzwiękową szybkością, popychana przez dziennikarską ambicję i ciekawość. Podniecenie, potem wyczerpanie nie pozwoliło jej w pełni rozważyć wszystkich następstw i szczegółów działań Ironhearta. Odłożyła widelec i wpatrywała się w talerz, jakby szukając odpowiedzi i wyjaśnienia w szczątkach jedzenia i śladach tłuszczu, w ten sam sposób, w jaki Cyganie czytają w liściach od herbaty i liniach na dłoni.

Kim, do diabła, był Jim Ironheart? Jasnowidzem? Zgoda, jej uparty racjonalizm i cynizm mogły pogodzić się z pomysłem, że tu czy tam jakiś jasnowidz faktycznie posiada prawdziwą moc, ale nie była pewna, czy termin „jasnowidz” był właściwym określeniem dla Jima Ironhearta. Ten facet nie narażał się na robienie z siebie durnia i nie przepowiadał w jakimś tanim, kolorowym piśmidle, że Steven Spielberg nakręci w przyszłym roku następny hit (niespodzianka!), ani że Schwarzenegger dalej będzie mówił w języku angielskim z obcym akcentem albo że Tom Cruise zmieni aktualną panienkę lub Eddie Murphy pozostanie czarny w dającej się przewidzieć przyszłości. Ten facet znał dokładnie czas i miejsce każdego z groźnych, śmiertelnych wypadków — kto, kiedy, gdzie, jak — wystarczająco wcześnie, żeby zmienić przeznaczenie. Nie krzywił łyżeczek siłą woli, nie przemawiał grobowym głosem starożytnego ducha o imieniu Rama-Lama-Srama, nie odczytywał przyszłości z dymiących flaków, wosku czy kart do taroka. On, na litość boską, ratował ludzi, odmieniał los, wywierał głęboki wpływ nie tylko na uratowanych od śmierci, ale na życie ich przyjaciół i krewnych, którym groził wstrząs i załamanie. A jego moc rozciągała się od Laguna Niguel do Bostonu.

A może jego bohaterskie wyczyny nie ograniczały się do Stanów Zjednoczonych. Nie przejrzała międzynarodowej prasy z ostatnich sześciu miesięcy. Może ratował ludzkie życie we Włoszech, Francji, Japonii, Szwecji albo na Pago Pago; kto wie?

Słowo „jasnowidz” absolutnie tu nie pasowało. Holly nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, jak można jednym słowem nazwać jego moc.

Ku własnemu zdziwieniu poczuła, jak ogarnia ją zachwyty, coś, czego nie doznała od dzieciństwa. A równocześnie owładnęła nią groza i zadrzała.

Kim był ten człowiek? Co w nim tkwiło?

Niewiele ponad trzydzieści godzin temu, kiedy Holly zobaczyła artykuł o małym Nicolasie O’Connerze z Bostonu, wiedziała, że trafiła na sensacyjny materiał. Zanim przejrzała do końca dane, zebrane dla niej przez Newsweb, wiedziała, że to może okazać się największą sensacją w jej karierze, bez względu na to, jak długo będzie pracowała w zawodzie. Teraz zaczęła podejrzewać, że ma do czynienia z sensacją dziesięciolecia.

— Wszystko w porządku?

— Wszystko oszalało — odpowiedziała Holly, zanim uświadomiła sobie, że nie ona zadała to pytanie.

Kelnerka — Bernice, według tego, co miała wyhaftowane na bluzce — stała obok stolika, spoglądając z niepokojem. Do Holly dotarło, że myśląc o Jimie Ironheartcie, wpatrywała się z napięciem we własny talerz. Bernice zauważyła to i doszła do wniosku, że coś jest nie w porządku.

— Oszalało? — spytała Bernice, marszcząc czoło.

— No tak — to przecież nienormalne, żeby wejść do najzwyczajszej restauracji i dostać takie naleśniki, jakich się w życiu nie jadło.

Bernice zawahała się: czy aby Holly nie nabija się z niej?

— Naprawdę... naprawdę pani smakują?

— Szalenie — przyznała Holly, wpychając sobie do ust widelec z zimnym, rozmoczo-  
nym naleśnikiem i żując go z entuzjazmem.

— To cudownie! Czy podać coś jeszcze?

— Wystarczy rachunek — powiedziała Holly.

Bernice odeszła, a ona jadła dalej. Co miała robić; była głodna, a naleśniki leżały przed nosem.

Jedząc, rozglądała się po restauracji, po kolorowo wystrojonych urlopowiczach, zatopionych po uszy w opisach rozrywek zaliczonych i rozrywek niezaliczonych i poczuła, jak po raz pierwszy od wielu lat ogarnia ją rozkosz, jakiej doznają osoby wtajemniczone. Wiedziała coś, o czym tamci nie mieli pojęcia. Była reporterką mającą dostęp do pilnie strzeżonego sekretu. Jej sensacja, kiedy zostanie dokładnie zbadana, a potem spisana prozą jasną, a równocześnie pobudzającą, godną najlepszych reportaży Hemingwaya (oby!), dostanie się na pierwsze strony, w najbardziej eksponowane, górne regiony kolumn, w każdej wielkiej gazecie w kraju i na świecie. A co wprawiało ją w cudowny nastrój i doprowadzało do euforii, to fakt, że jej sekret nie miał nic wspólnego z politycznym skandalem, zatruciem środowiska i miriadami innych form terroru i tragedii napędzających silnik współczesnych mass mediów. Jej sensacja będzie zachwycająca i cudowna, poświęcona nadziei i odwadze, istnieniom uratowanym, zgonom i tragediom, których uniknięto.

Życie jest piękne, pomyślała, nie mogąc powstrzymać się od promiennego uśmiechania się do współbiedniaków.

Zaraz po śniadaniu Holly, korzystając z planu, udała się do Laguna Niguel w pobliże domu Jima Ironhearta. Adres ustaliła jeszcze w Portland, nakazując komputerowi przejrzenie spisu nieruchomości w okręgu Orange i sprawdzając w archiwach transakcje kupna przeprowadzone od początku roku. Założyła, że każdy, kto wygra sześć mi-

lionów dolarów na loterii, część z tego wyda na kupno nowego domu, i okazało się, że miała rację. Trafił główną nagrodę prawdopodobnie dzięki jasnowidzeniu — na początku stycznia. Trzeciego maja sfinalizował kupno domu przy Bougainvillea Way. Ponieważ archiwa nie informowały o sprzedaży jakiegokolwiek posiadłości przez niego, prawdopodobnie coś wynajmował, zanim los się do niego uśmiechnął.

Czuła się nieco zaskoczona skromnym wyglądem domu. Osiedle było dość nowe. Teren został ukształtowany ze smakiem i podporządkowany rygorom architektury terenów zielonych, typowej dla okręgu Orange: szerokie, wdzięcznie wijące się ulice obsadzone świeżymi palmami i melaleukami; domy zbliżone do siebie stylem wzorowano na zabudowie śródziemnomorskiej; dachy pokryte dachówkami w kolorach czerwieni, piasku i brzoskwini. Otoczenie godne pożądania, zwłaszcza że Laguna Niguel było miastem leżącym w południowym okręgu Stanów, gdzie koszt metra kwadratowego dorównywał cenie apartamentu zbudowanego na dachu wysokościowca na Manhattanie. Ale nawet tu Ironhearta z łatwością stać było na coś znacznie lepszego. Jego posiadłość liczyła niewiele ponad dwa tysiące metrów kwadratowych i była najmniejsza w okolicy. Dom pokryty kremowobiałym tynkiem miał duże francuskie okna, ale był pozbawiony jakichkolwiek ponadstandardowych dodatków. Wokół ścieliły się soczyste, zielone, lecz niewielkie trawniki, ozdobione azaliami, niecierpkami i parą rozłożystych palm. Łagodne słońce przedpołudnia rzucało na ściany koronkowe cienie.

Wolno przejechała obok domu, lustrując go uważnie. Pusty podjazd. Story zasunięte. Nie miała żadnej wskazówki co do tego, czy Ironheart był w domu — mało brakowało, a podeszłyby do drzwi i zadzwoniła. Jeżeli inne sposoby zawiodą, zrobi i to. Ale nie teraz.

Dojechała do końca kwartału, zawróciła i przejechała raz jeszcze koło posiadłości. Dom był atrakcyjny, przyjemny, ale taki zwyczajny. Trudno było uwierzyć, że taki wyjątkowy człowiek, mający tak zadziwiające sekrety, żył za tymi murami.

Szeregówka Violi Moreno w Irvine stała w jednym z otoczonych parkiem osiedli, wzniesionych przez Irvine Company w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdzie kolczaste płoty osiągnęły dojrzałość zbitego drzewostanu, a wawrzyny wyrosły na tyle, by zapewnić bogaty cień nawet w najbardziej słoneczne, bezchmurne dni lata. Domek był umeblowany raczej z myślą o wygodzie niż elegancji: mocno wypchana kanapa, przepastne fotele, miękkie podnóżki, wszystko to utrzymane w tonacjach beżu i ciemnego brązu; tradycyjne pejzaże wiszące na ścianach miały raczej zapewnić wypoczynek dla oka i umysłu, niż pobudzać je ponad miarę. Stosy magazynów i półki pełne książek znajdowały się wszędzie w zasięgu ręki. Holly, zaledwie przekroczyła próg, poczuła się tu jak w domu.

Viola była tak gościnna i miła jak jej dom. Wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat, miała domieszkę krwi meksykańskiej, niezwykle gładką skórę lśniąca odcieniem polerowanej miedzi i pogodną, mimo że czarne jak najczarniejszy atrament, oczy. Chociaż była raczej niska i trochę roztyła się z wiekiem, łatwo można było odgadnąć, że niegdyś na jej widok męskie głowy obracały się w sposób grożący skręceniem karku; dalej zresztą promieniowała wielkim urokiem. Już na progu wzięła Holly za rękę, potem objęła ją ramieniem i poprowadziła przez niewielki dom na patio, jakby były starymi przyjaciółkami, a nie osobami, które poprzedniego dnia po raz pierwszy rozmawiały ze sobą przez telefon.

Na patiu, wychodzącym na ogólnie dostępny trawnik, stał szklany stolik, a na nim dzbanek z mrożoną lemoniadą i dwie szklanki. Trzciniowe fotele były wyłożone grubymi żółtymi poduszkami.

— Spędzam tu większość lata od śmierci męża — powiedziała Viola, kiedy usadowiły się w fotelach. Dzień był niezbyt gorący, powietrze suche i czyste. — Czyż nie jest tu pięknie?

Szeroka, choć płytka dolinka oddzielała ten rząd domków od następnego. Była ocieniona wysokimi drzewami i ozdobiona parą okrągłych kwietników, na których rosły czerwone i purpurowe niecierpki. Dwie figlujące wiewiórki przebiegły w dół łagodnego stoku, przecinając wijącą się ścieżkę.

— Bardzo pięknie — potwierdziła Holly, kiedy Viola nalewała lemoniady do szklanek.

Viola spróbowała lemoniady.

— Za słodka. Zawsze daję za dużo cukru. Przepraszam. — Odstawiła szklankę. — Teraz powiedz mi o tym bracie, którego szukasz. Okropnie mnie zaintrygowałaś.

— Jak pani mówiłam, kiedy dzwoniłam z Portland, jestem dzieckiem adoptowanym. Ludzie, którzy mnie przygarnęli, byli dla mnie wspaniałymi rodzicami, kocham ich nie mniej niż prawdziwego ojca i matkę, ale... no cóż...

— Naturalnie, chciałabyś poznać prawdziwych rodziców.

— Czuję się tak... jakby była we mnie pustka, jakbym miała dziurę w sercu — powiedziała Holly, starając się nie przesadzać.

Czuła się zresztą podle. Zmyślając te łągarstwa o swojej osobistej tragedii, miała wrażenie, jakby szydziła z rzeczywistej straty Violi. Ale nie pozostawało jej nic innego, jak ciągnąć dalej.

— Nie jest tak źle, jak wygląda, ponieważ odkryłam, że mam brata, jak wspominałam przez telefon.

Pochylając się i opierając rękoma o stół, Viola z napięciem czekała na szczegóły, aby dowiedzieć się, w czym może okazać się pomocna.

— Co mogę zrobić, żeby ci pomóc go odszukać?

— Nie, nie o to chodzi. Bo widzi pani, ja go już znalazłam.

— Jak wspaniale!

— Ale... boję się do niego zbliżyć.

— Boisz się? Dlaczego?

Holly spojrzała w kierunku trawnika i przełknęła parę razy ślinę, jakby dławiły ją emocje i walczyła o odzyskanie nad sobą kontroli. Była dobra. Gra warta Oscara. Nienawidziła się za to. Kiedy się odezwała, udało się jej nadać głosowi przekonujące, lekkie drżenie:

— O ile wiem, jest moim jedynym krewnym na całym świecie, stanowi jedyną więź łączącą mnie z matką i ojcem, których nigdy nie poznam. On jest moim bratem, pani Moreno, i kocham go. Chociaż go nigdy nie spotkałam, kocham go. Ale co będzie, kiedy zbliżę się do niego, otworzę przed nim moje serce... a on powie, że nie chce mnie widzieć na oczy, nie polubi mnie czy coś w tym rodzaju?

— Dobry Boże, oczywiście, że cię polubi! Dlaczego nie miałby polubić takiej przemiłej kobiety jak ty? Przecież będzie zachwycony, mając tak cudowną siostrę!

Będę gniała za to w piekle, pomyślała żałośnie Holly.

— No, może to wyda się pani głupie, ale przejmuję się tym. Nigdy nie udało mi się zrobić dobrego wrażenia przy pierwszym spotkaniu...

— Na mnie wywarłaś znakomite wrażenie, moja droga.

Powinnaś wbić mi obcas w czubek nosa, i to zaraz, pomyślała Holly.

— Wolę być ostrożna. Wolę dowiedzieć się o nim, ile tylko się da, zanim zapukam do jego drzwi. Chcę wiedzieć, co mu się podoba, co mu się nie podoba, jaki on jest... och, chcę wiedzieć wszystko. Na Boga, pani Moreno, nie chcę tego zawalić.

Viola pokiwała głową.

— Sądzę, że przyszedłaś do mnie, ponieważ znam twojego brata, prawdopodobnie uczyłam go przed laty?

— Czy pani uczy historii w średniej szkole, tu w Irvine?

— Zgadza się. Pracowałam tu jeszcze, zanim zginął Joe.

— Otóż mój brat nie był pani uczniem. Był nauczycielem w pani szkole. Prowadził zajęcia z angielskiego. Wpadłam na jego ślad i dowiedziałam się, że uczyła pani w sąsiedniej klasie i dobrze go pani zna.

Twarz Violi rozjaśniła się w uśmiechu.

— Chodzi ci o Jima Ironhearta!

— Zgadza się. To mój brat.

— To cudownie, wspaniale, to idealnie! — zachłysnęła się radością Viola.

Reakcja kobiety była tak pełna entuzjazmu, że Holly zamrugała ze zdumieniem i nie wiedziała, co ma powiedzieć.

— To dobry człowiek — rzekła Viola ze szczerym wzruszeniem. — Byłabym najszczęśliwszą matką, mając takiego syna. Od czasu do czasu przychodzi do mnie na obiad, choć już nie tak często jak dawniej, a ja gotuję mu, chcę, żeby czuł się u mnie jak w domu. Nie potrafię ci powiedzieć, ile to daje mi radości. — Posmutniała na moment i ucichła. — W każdym razie... nie mogłabyś sobie wymarzyć lepszego brata, moja droga. Jest jednym z najmilszych ludzi, jakich poznałam: oddany nauczyciel, łagodny, uprzejmy i cierpliwy.

Holly pomyślała o Normanie Rinku, psychopacie, który zabił kasjerkę i dwóch klientów w sklepie w Atlancie, w maju, a który został potem z kolei zabity przez łagodnego, uprzejmego Jima Ironhearta. Osiem strzałów z bliskiej odległości. Cztery wystrzelone w trupa po tym, jak było oczywiste, że Rink nie żyje. Viola Moreno mogła znać dobrze tego człowieka, ale wyraźnie nie miała pojęcia o wściekłości, jaką potrafił w sobie wzniecić, kiedy chciał.

— Znałam naprawdę dobrych nauczycieli w swoim czasie, ale żaden tak nie dbał o uczniów jak Jim Ironheart. Naprawdę o nich dbał, jakby byli jego dziećmi. — Odchyliła się w tył na fotelu, wspominając. — Był im tak oddany, tak bardzo zależało mu na poprawieniu ich losów, że tylko najgorsze wyrzutki były wobec niego obojętne. Jego związek z uczniami był taki, że inni nauczyciele sprzedaliby za to dusze, a równocześnie nie musiał wyrzekać się właściwych relacji nauczyciel-uczeń, żeby to osiągnąć. Tak wielu z nich próbuje być kumplami dla uczniów, ale to nigdy nie wychodzi, sama rozumiesz.

— Dlaczego rzucił nauczanie?

Viola zawahała się. Uśmiech przygasł jej na twarzy.

— Częściowo to wina wygranej.

— Jakiej wygranej?

— Nie wiesz o tym?

Holly zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

— Wygrał w styczniu sześć milionów dolarów na loterii — powiedziała Viola.

— Niemożliwe!

— Pierwszy raz w życiu kupił los.

Holly pozwoliła, żeby jej początkowe zdumienie ustąpiło miejsca zatroskaniu.

— Och, mój Boże, i teraz pomyśli, że zjawiłam się tylko dlatego, że stał się bogaty.

— Nie, nie — pospieszyła z zapewnieniami Viola. — Jim zawsze myśli o ludziach jak najlepiej.

— Jestem dobrze ustawiona — kłamała Holly. — Nie potrzebuję jego pieniędzy, nie wzięłabym ich, nawet gdyby mi je dawał. Moi przybrani rodzice są lekarzami, nie za bogatymi, ale nieźle im się powodzi, a ja jestem adwokatem i mam nieźle prosperującą praktykę.

Dobra, dobra, naprawdę nie potrzebujesz jego pieniędzy, pomyślała Holly, czując do siebie wstręt tak gryzący jak kwas solny, ale jesteś za to marną, nędzną kłamliwą suką o przerażającej zdolności do wymyślania szczegółów i spędzisz wieczność, stojąc po pas w gównie i polerując buty szatana.

Nastrój Violi uległ zmianie. Odepchnęła fotel od stołu, wstała i podeszła do krawędzi patia. Wyrwała źdźbło z dużej terakotowej donicy, pełnej begonii, łąszcza i miedziano-żółtych nagietków. Z roztargnieniem zwinęła wążką trawkę w kulkę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni, wpatrując się w parkową zielen.

Milczała przez chwilę.

Holly przeraziła się, że powiedziała coś niewłaściwego, co ujawniło jej dwulicowość. Z każdą sekundą coraz bardziej się denerwowała i poczuła, że ciężą jej wszystkie wypowiedziane kłamstwa i przeprosiny cisną się na usta.

Wiewiórki baraszkowały na trawie. Motyl wleciał pod daszek patia, przysiadł na moment na brzegu dzbanka z lemoniadą i odfrunął.

W końcu, z drżeniem w głosie, tym razem prawdziwym, Holly odezwała się:

— Pani Moreno? Czy coś się stało?

Viola wystrzeliła kuleczkę z trawy daleko na trawnik.

— Po prostu mam kłopoty z ujęciem tego w słowa.

— Ujęciem czego? — nerwowo spytała Holly.

— Spytałaś mnie, dlaczego Jim... dlaczego twój brat rzucił nauczanie — powiedziała Viola, obracając się do niej i zbliżając do stołu. — Mówiłam, że to dlatego, iż wygrał los na loterii, ale to niecała prawda. Gdyby dalej tak kochał uczyć jak parę lat temu albo nawet rok temu, nadal by pracował, choćby wygrał i sto milionów.

Holly mało nie wydała głośnego oddechu ulgi: nie została rozszyfrowana.

— Co mu tak obrzydziło pracę?

— Stracił ucznia.

— Stracił?

— Z ósmej klasy. Nazywał się Larry Kakonis. Bardzo mądry chłopiec i o dobrym sercu, tylko nadpobudliwy. Z nieszczęśliwej rodziny. Jego ojciec bił matkę. Robił to, od kiedy Larry pamiętał, i chłopiec myślał, że mógłby go powstrzymać, ale nie potrafił. Czuł się jednak winny, że nie potrafił. To już był taki chłopiec. Miał silne poczucie odpowiedzialności.

Viola podniosła szklankę z lemoniadą, powróciła na skraj patia i znów wbiła wzrok w trawnik. Powtórnie zamilkła. Holly czekała.

— Jego matka odczuwała potrzebę podporządkowania się. Była ofiarą męża, współpracującą na rzecz własnego pognębienia. Nieszczęsną jak sam Larry. A syn nie potrafił pogodzić miłości i szacunku do matki z rosnącym zrozumieniem, że do pewnego stopnia podobało się jej to i chciała być bita.



Nagle Holly zrozumiała, dokąd zmierza ta opowieść, i nie chciała usłyszeć dalszego ciągu. Jednak nie miała innego wyboru, jak dotrzeć do końca.

— Jim bardzo mocno pracował z chłopcem. Nie chodzi mi o angielski, o szkolne sprawy. Larry otworzył się przed nim w sposób, w jaki nie potrafił otworzyć się przed nikim innym. Jim był pośrednikiem między nim a doktorem Lansingiem, psychologiem, który pracuje na część etatu w szkole. Wydawało się, że Larry zaczyna sobie radzić, usiłując zrozumieć swoją matkę i siebie — i do pewnego stopnia mu się to udało. A potem, nocą, piętnastego maja zeszłego roku — prawie piętnaście miesięcy temu — ciężko uwierzyć, że to tak dawno — Larry Kakonis wziął strzelbę z kolekcji ojca, załadował, wsadził lufę do ust... i pociągnął za spust.

Holly zwinęła się jak od uderzenia. W istocie została uderzona, chociaż ciosy — dwa — nie były fizycznej natury. Została, po pierwsze, porażona myślą o trzynastoletnim chłopcu popełniającym samobójstwo wtedy, kiedy najwspanialsza część życia rozpociera się jeszcze przed nim. W tym wieku mały problem wydaje się duży, a naprawdę poważny robi wrażenie katastrofy nie do opanowania. Holly poczuła rozdzierający żal z powodu Larry'ego Kakonisa i niepojęty gniew, ponieważ chłopakowi nie dano czasu, aby pojął, że można sobie poradzić ze wszystkimi okropnościami i że w sumie życie oferuje więcej radości niż rozpacz. Ale w równej mierze była poruszona wiadomością, że dzień, w którym chłopiec się zabił, to był piętnasty maja.

Rok później, piętnastego maja tego roku, Jim Ironheart dokonał swej pierwszej, cudownej akcji ratunkowej. Sam Newsome i jego córka Emily. Atlanta, Georgia. Uratowani przed morderstwem z rąk socjopaty Normana Rinka.

Holly nie mogła dłużej usiedzieć na miejscu. Wstała i podeszła do Violi na skraj patia. Obserwowały wiewiórki.

— Jim winił siebie — powiedziała Viola.

— Za śmierć Larry'ego Kakonisa? Przecież nie był za nią odpowiedzialny.

— A jednak winił się za to. Taki jest. Ale ta reakcja była przesadna, nawet jak na niego. Po śmierci chłopca stracił zainteresowanie nauczaniem. Przestał wierzyć, że może coś osiągnąć, zmienić. Tyle rzeczy mu się udało, więcej niż jakimkolwiek innemu nauczycielowi, którego znałam. Ale nie potrafił pogodzić się z tym jednym fiaskiem.

Holly przypomniała sobie odwagę, z jaką Ironheart porwał Billy'ego Jenkinsa z drogi pędzącej ciężarówki. Tamto na pewno nie było fiaskiem.

— Zaczął się po prostu coraz bardziej załamywać — powiedziała Viola — i nie potrafił z tego wyjść.

Człowiek, którego Holly spotkała w Portland, nie wydawał się załamany. Tajemniczy, zgoda. Pełen rezerwy, owszem. Ale miał znakomite poczucie humoru i niewiele było trzeba, żeby go rozbawić.

Viola pociągnęła łyk lemoniady.

— Śmieszne, teraz jest za kwaśna. — Postawiła szklankę na betonie u swoich stóp i wytarła wilgotne dłonie o spodnie. Otworzyła usta, zawahała się, ale w końcu powiedziała: — Potem... trochę zdziwaczał.

— Zdziwaczał? Jak?

— Stał się niekomunikatywny. Milczący. Zaczął się uczyć sztuk walki. Tae kwon do. Wielu ludzi interesuje się takimi rzeczami, ale to było zupełnie nie w stylu Jima.

To było zupełnie w stylu tego Jima Ironhearta, którego znała Holly.

— I nie traktował też tych zajęć na luzie — powiedziała Viola. — Każdego dnia, po szkole, jechał na nauki do tego domu w Newport Beach. Stał się maniakiem. Bardzo się tym przejmowałam. Więc kiedy w styczniu wygrał na loterii, ogarnęła mnie radość. Sześć milionów dolarów! To taka wspaniała sprawa, takie wielkie szczęście, wydawało się, że to musi zmienić jego stosunek do życia, wyciągnie go z depresji.

— Ale tak się nie stało?

— Nie. Nie wydawał się wcale zaskoczony ani zadowolony. Rzucił szkołę, wyprowadził się z mieszkania do własnego domu... i jeszcze bardziej odsunął od przyjaciół. — Odwróciła się do Holly i uśmiechnęła. Był to pierwszy uśmiech, jaki pojawił się na jej ustach od dłuższego czasu. — Dlatego byłam tak podekscytowana, kiedy powiedziałaś, że jesteś jego siostrą, siostrą, o której istnieniu nie ma nawet pojęcia. Może ty potrafisz pomóc mu w tym, w czym nie pomogło mu wygranie sześciu milionów dolarów.

Holly poczuła, że znów dławi ją poczucie winy z powodu maskarady. Zaczerwieniła się. Miała nadzieję, że Viola weźmie to za objaw radości lub podniecenia.

— Byłoby wspaniale, gdyby mi się udało.

— Uda ci się, jestem tego pewna. Jest samotny albo przynajmniej tak się czuje i przez to jest mu jeszcze ciężej. Mając siostrę, nie będzie już sam. Idź do niego, dziś, zaraz.

— Pójdę. Ale nie zaraz. Muszę poczuć się... pewniej. Nie powie mu pani o mnie, dobrze?

— Oczywiście, że nie, moja droga. To ty powinnaś mieć radość z powiedzenia mu o tym. Cóż to będzie za cudowna chwila!

Holly poczuła, że uśmiecha się sztucznie, zupełnie jakby miała doklejone sztywne, plastikowe wargi z maski do kostiumu na Halloween.

Parę minut później, kiedy Holly zegnała się z nią przy drzwiach wyjściowych, Viola położyła jej dłoń na ramieniu i powiedziała:

— Nie chcę stwarzać ci fałszywej nadziei. Nie będzie ci łatwo podnieść go na duchu, znów postawić na nogi. Od kiedy znam Jima, zawsze czułam, że głęboko na dnie jego duszy tkwi smutek jak osad, którego nie da się usunąć. Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę śmierć jego rodziców — i całą resztę życia: jest sierotą, od kiedy skończył dziesięć lat.

— Dziękuję. — Holly skinęła głową. — Ogromnie mi pani pomogła.

Viola uściskała ją spontanicznie, pocałowała w policzek i powiedziała:

— Chcę, żebyście wpadli oboje z Jimem do mnie na obiad. Najszybciej, jak to będzie możliwe. Domowe *tamales* z kielkami pszenicy, czarna fasola, ryż z ostrą papryką *jalapeno*, zobaczycie, niesamowite!

Przez całą drogę do wypożyczonego wozu Holly przeklinała się pod nosem, używając najgorszych słów. Nie miała kłopotu ze znalezieniem odpowiednio wulgarnych określeń i stosownie brzmiących, poniżających zwrotów. Dwanaście lat spędzone w redakcjach w towarzystwie reporterów było taką lekcją obsceniów, że śmiało mogła wygrać konkurs w przeklinaniu nawet z największymi chamami.

Na żółtych kartkach książki telefonicznej znalazła tylko jedną szkołę taekwon do w Newport Beach. Mieściła się w centrum sklepowym przy Newport Boulevard, pomiędzy salonem sprzedaży okiennic i okien robionych na zamówienie a cukiernią.

Na szyldzie budynku widniał napis „Dojo”, oznaczający po japońsku salę do ćwiczeń sztuk walki. Równie dobrze można by nazwać restaurację „Restauracją”, a sklep odzieżowy „Sklepem odzieżowym”. Holly była zaskoczona ogólnikowością tego określenia, gdyż azjatyccy biznesmeni zwykle przejawiali poetycką wrażliwość przy nazywaniu swych przedsiębiorstw.

Trójka ludzi owiana rozkosznym zapachem, bijącym z pobliskiej cukierni, stała na chodniku przed wielkim oknem dojo, zajądając ekleri i obserwując szóstkę uczniów, ćwiczących pod okiem niskiego, ale niezwykle sprężystego poruszającego się koreańskiego instruktora. Wszyscy mieli na sobie czarne lekkie stroje do ćwiczeń, które wyglądały jak piżamy. Kiedy instruktor cisnął uczniem o matę, szklana płaszczyzna zawirowała.

Wchodząc, Holly minęła pachnącą czekoladą, cynamonem, cukrem i drożdżami smugę powietrza i zanurzyła się we wnętrzu, gdzie królowała stęchła woń kadzidełek i lekki odór potu. Ponieważ kiedyś pisała materiał o nastolatku z Portland, zdobywcy medalu na mistrzostwach ogólnokrajowych, wiedziała, że taekwon do jest formą agresywnego koreańskiego karate, w którym stosuje się silne uderzenia, szybkie jak błyskawica dźgnięcia, „cięcia” nadgarstkiem, bloki, duszenia oraz mordercze, potężne kopnięcia z wysokości. Nauczyciel ograniczył nieco siłę swoich ciosów, ale nadal rozlegały się sieknięcia, głośne oddechy, dobywające się z przepony okrzyki. Dudniła mata, wibrując pod ciężarem padających uczniów.

W kącie po drugiej stronie sali, na stołku za kontuarem siedziała brunetka. Zajmowała się papierkową robotą. Każdy szczegół jej stroju i aparycji podkreślał emanującą z niej erotykę. Ciasna czerwona koszulka uwydatniała szeroką klatkę piersiową, wyraźnie zaznaczając linię sutek, wielkich jak wiśnie. Zmierzwiona grzywa ciemnych włosów z umiejętnie nałożonymi, jasnymi pasemkami; linia oczu lekko, a rów-

nocześnie tajemniczo podkreślona; usta przesadnie zaznaczone kredką o barwie ciemnego koralu; niezbyt głęboka opalenizna; oszałamiająco długie paznokcie, polakierowane pod kolor szminki, i srebrna biżuteria, której starczyłoby na wypełnienie gabloty jubilera — wszystko to byłoby idealną reklamą, gdyby kobiety traktować jako produkt wystawiony na sprzedaż na lokalnym targowisku.

— Czy to obtłukiwanie się i sapanie trwa tu przez cały dzień? — spytała Holly.

— Raczej tak.

— Nie przeszkadza ci?

— No jasne — powiedziała brunetka, mrugając lubieżnie. — Wiem, o co ci chodzi. Są jak stado byków walących się rogami. Co dzień nie ma godziny, żeby nie robiło mi się tak mokro, że nie mogę się pozbierać.

Nie było to dokładnie to, o co Holly chodziło. Sugerowała raczej, że hałas wywoływał ból głowy, nie podniecenie. Ale odmrugnęła do brunetki jak dziewczyna do dziewczyny i zapytała:

— Szef jest u siebie?

— Eddie? Ma do wykończenia parę setek pięter — powiedziała tajemniczo dziewczyna. — A czemu pytasz?

Holly wytłumaczyła, że jest reporterką i robi artykuł, mający związek z dojo.

Recepcjonistka — bo tak chyba należało ją określić — na wieść o tym nie zachmużyła się, jak to często bywało, ale promiennie uśmiechnęła. Eddie, powiedziała, zawsze rozgląda się za reklamą interesu. Wstała ze stołka i podeszła do drzwi za kontuarem. Zademonstrowała przy tym sandałki na wysokich obcasach i pośladki opięte białymi szortami, przylegającymi do skóry jak warstwa farby.

Holly zaczynała czuć się jak chłopiec.

Zgodnie z tym, co powiedziała brunetka, Eddie był zachwycony, słysząc, że „Dojo” będzie wymienione w jakimś kawałku w gazecie, choćby przelotnie, ale chciał udzielać wywiadu, „robiąc” schody. Nie był Azjatą, co chyba wyjaśniało pozbawioną wyobraźni, prostacką nazwę jego biznesu. Wysoki, jasnowłosy, o zmierzwionej czuprynie i niebieskich oczach, był ubrany tylko w warstwę mięśni i czarne obcisłe kolarskie spodenki ze spandexu. Pracował na stair-masterze, maszynie do ćwiczeń, szybko wdrapując się donikąd.

— Jest bosko — powiedział, przebierając niezwykle umięśnionymi nogami. — Jeszcze trzy kondygnacje i będę na szczycie pomnika Waszyngtona.

Oddychał ciężko, ale Holly oddychałaby znacznie ciężiej po wejściu na drugie piętro swojego mieszkania w Portland.

Siadła na krześle, które jej wskazał, na wprost stair-mastera, dzięki czemu widziała go dokładnie. Jego brązowa od słońca skóra błyszczała od potu. Pociemniały mu włosy

na karku. Spandex otulał jego ciało równie szczelnie, jak białe szorty opinały recepcjonistkę. Odnosiło się wrażenie, że spodziewał się wizyty Holly i zadbał o takie ustawienie stair-mastera i krzesła, aby zaprezentować się jak najefektowniej.

Mimo że znów przybrała oszukańczą maskę, Holly nie czuła się tak fatalnie, okłamując Eddiego, jak poprzednio, kiedy kłamała Violi Moreno. Zresztą historyjka, służąca jej tym razem za tarczę, była nieco mniej wymyślna; przygotowywała paroodcinkowy, analityczny materiał o Jamesie Ironheartcie (prawda), skupiając się na tym, jaki efekt na jego życie wywarło trafienie głównej wygranej na loterii (kłamstwo), a wszystko to robiła za jego pełnym przyzwoleniem (kłamstwo). Prawdomówność w wysokości trzydziestu trzech procent wystarczała, aby uchronić ją od poczucia winy, co — jak podejrzewała — nie świadczyło dobrze o jej sumieniu.

— Tylko dobrze napisz o dojo — powiedział Eddie. Oglądając się i spoglądając w dół na swoją łydkę, dodał pełen szczęścia: — Popatrz na tę łydkę, twarda jak skała.

Tak jakby nie miała jej cały czas przed nosem.

— Warstwa tłuszczu pomiędzy skórą a mięśniami prawie zniknęła, wypaliła się.

Poza tym okłamywanie Eddiego, próżnego, zajętego wyłącznie sobą kretyna, było jej obojętne.

— Półtorej kondygnacji do szczytu pomnika — powiedział. Rytm mowy był zgodny z rytmem oddechu. Słowa wznosiły się i opadały z każdym wdechem i wydechem.

— Tylko półtorej? To zaczekam.

— Nie, nie. Pytaj. Nie będę robił przystanku na górze. Zobaczą, ile pięter uda mi się potem pokonać na Empire State Building.

— Ironheart był twoim uczniem?

— Mhm. Sam go uczyłem.

— Zjawił się tu, zanim trafił na loterii?

— Mhm. Ponad rok wcześniej.

— Sądzę, że w maju zeszłego roku.

— Gdzieś tak.

— Powiedział, dlaczego chce się uczyć tae kwon do?

— Nie. Ale miał zapal. — Następne słowa prawie wykrzyczał triumfalnie, jakby po zakończeniu prawdziwego wejścia na szczyt: — Pomnik zaliczony!

Zwiększył tempo, zamiast zwolnić.

— Nie myślisz, że to było dziwne?

— Dlaczego?

— Chodzi mi o to, że przecież był nauczycielem.

— Mamy nauczycieli. Mamy wszystkich. Każdy chce komuś nakopać do dupy. — Zrobił głęboki, powolny wdech, potem wydech i powiedział: — Jestem teraz w Empire State Building, idę w górę.

— Był dobry?

— Doskonały! Mógłby startować w zawodach.

— Mógłby? To znaczy, że się wycofał?

Oddychał teraz ciężiej, słowa padały mu z ust w szybszym rytmie.

— Chodził przez siedem, osiem miesięcy. Dzień w dzień. Dawał sobie pełny wycisk. Sztangi i aerobik plus walka. Czadował niesamowicie. Gość tak stwardniał, że mógłby zerznąć skałę. Przepraszam. Ale taki był. Potem odszedł. Dwa tygodnie po tym, jak wygrał szmalec.

— Aha, rozumiem.

— Nie zrozum mnie źle. Odszedł nie przez forszę.

— To dlaczego?

— Powiedział, że wzięł ode mnie tyle, ile chciał, i więcej mu nie trzeba.

— Ile chciał? — spytała.

— Tyle tae kwon do, żeby zrobić, co chciał.

— Powiedział, co chciał zrobić?

— Nie. Podejrzewam, że nakopać komuś do dupy. Eddie naprawdę teraz dawał z siebie wszystko; ubijając nogami stair-mastera, przebierał nimi i przebierał; ciało spływało mu potem tak, że wydawał się skąpany w oleju; kiedy potrząsnął głową, grube krople leciały mu z włosów; mięśnie na ramionach i szerokich plecach spęczniały równie obficie jak uda i łydki.

Siedząc na krześle jakieś dwa metry od tego mężczyzny, Holly poczuła się tak, jakby zajęła miejsce w pierwszym rzędzie jakiegoś świńskiego strip-klubu, w którym tradycyjny układ płci został odwrócony. Wstała.

Eddie wpatrywał się przed siebie, w ścianę. Twarz miał zmarszczoną od wysiłku, ale spojrzenie rozmarzone i zagubione. Może zamiast ściany widział niekończącą się klatkę schodową Empire State Building.

— Czy powiedział ci kiedyś coś... interesującego, niezwykłego? — spytała.

Eddie się nie odezwał. Był skupiony na wchodzeniu. Żył na szyi nabrzmiały mu i pulsowały, jakby małe tłuste rybki przepychały się całymi ławicami przez jego krwiociąg.

Kiedy Holly nacisnęła klawisz, Eddie rzekł:

— Trzy rzeczy.

— Taak? — Odwróciła się.

Z oczami nadal utkwionymi w dal, nie patrząc na nią i nawet na sekundę nie zwalnając rytmu kroków, powiedział do niej z klatki schodowej tamtego drapacza chmur na odległym Manhattanie:

— Ironheart to jedyny bardziej opętany ode mnie facet, jakiego spotkałem w życiu. Marszcząc czoło, Holly zastanowiła się nad tym.

— Co jeszcze?

— Jedyne zajęcia, jakie opuścił, to dwa tygodnie we wrześniu. Pojechał na północ, gdzieś do okręgu Marin, na naukę agresywnej jazdy.

— Co to takiego?

— Głównie uczą tam szoferów wożących polityków, dyplomatów, bogatych biznesmenów. Mają umieć prowadzić wóz jak James Bond, dawać dyla przed terrorystami, kidnaperami i takie tam bzdety.

— Mówił, po co mu potrzebny taki trening?

— Tylko że będzie fajnie.

— To dwie rzeczy.

Potrząsnął głową. Pot rozprysnął się wokoło, obryzgując dywan i meble, Holly ledwo się uchroniła. Dalej nie patrzył na nią.

— Numer trzy: potem, jak wykombinował sobie, że ma dość tae kwon do, zachciało mu się nauczyć posługiwania bronią.

— Bronią?

— Spytał mnie, czy nie znam kogoś, kto nauczyłby go snajperki i wszystkiego o różnych rodzajach broni. Rewolwery, pistolety, karabiny, strzelby myśliwskie...

— Do kogo go posłałeś?

— Do nikogo. — Dyszał już, jednak to, co padało pomiędzy kurczowymi oddechami, nadal było zrozumiałe. — Broń to nie moja działka. Ale wiesz, co myślę? Myślę, że to jeden z tych gości, co czytają „Soldier of Fortune”. Chciałby przeskoczyć w to, co sobie wymarzył. Chciałby zostać najemnikiem. Na pewno szykował się na wojnę.

— Nie przeszkadzało ci pomaganie komuś takiemu?

— Dopóki płacił za zajęcia, nie.

Otworzyła drzwi, ale zawahała się.

— Masz licznik na tym urządzeniu?

— Mhm.

— Na którym jesteś piętrze?

— Dziesiątym — powiedział Eddie, a głęboki wydech zniekształcił słowo. Kiedy następnym razem wydmuchnął powietrze, wydał równocześnie westchnienie głębokiej rozkoszy. — Jezu, mam nogi z kamienia, z pieprzonego granitu, mogę założyć każdemu gościowi nożyce i złamać go na połowę. Wstaw to w artykuł, dobra? Mogę gładko przeciąć faceta na dwie połówki.

Holly wyszła, cicho zamykając drzwi za sobą.

W głównej sali sztukę walki uprawiano jeszcze bardziej aktywnie, niż kiedy Holly tu wchodziła. Obecne ćwiczenie polegało na grupowym ataku w stylu ulicznego gangu. Koreański instruktor blokował, kręcił się, rzucał i skakał, odpierając wyprowadzane ataki uczniów.

Brunetka zdjęła srebrną biżuterię. Wsunęła na nogi reeboki, włożyła luźniejsze szorty, inną koszulkę i biustonosz. Rozciągała się przed kontuarem recepcji.

— Jest pierwsza — wyjaśniła. — Moja pora lunchu. Zawsze biegam osiem, dziewięć kilometrów, zamiast jeść. Hej, hej. — Podbiegła do drzwi, wynurzyła się na ciepły sierpniowy dzień i zniknęła, biegnąc szybko wzdłuż centrum sklepowego.

Holly też wyszła i stała przez moment w rozkosznych promieniach słońca, na nowo uświadamiając sobie, że większość z robiących zakupy i kręcących się przy samochodach ludzi była w znakomitej kondycji. Przeniósłszy się ponad półtora roku temu w północno-zachodni region Stanów, zapomniała, jak troszczyć się o zdrowie mieszkańcy południowej Kalifornii — i jakie znaczenie przywiązują do własnego wyglądu. Okręg Orange miał mniej obwisłych podbródków, zwałów tłuszczu powyżej i poniżej bioder, sterczących brzuchów, i obwisłych pośladków na głowę niż Portland.

Dobrze wyglądać i mieć dobre samopoczucie, te imperatywy wyznaczały styl życia w południowej Kalifornii. To była jedna z rzeczy, za które uwielbiała to miejsce. To była również jedna z rzeczy, które powodowały, że go nie cierpiała.

Weszła na lunch do cukierni obok. Wybrała czekoladowego eklera, bezę ozdobioną plasterkiem kiwi, sernik z warstwą białej czekolady, polewą orzechową i posypany kawałkami mocno spieczonego lukru, cynamonowy obwarzanek i plasterek rolady pomarańczowej.

— I dietetyczną colę — poprosiła ekspedientkę.

Zaniosła talerzyk do stolika obok okna, skąd mogła obserwować paradę sprężystych, opalonych ciał w letnich strojach. Ciastka były boskie. Skubała je na przemian po kawałeczku, rozkoszując się każdym kęsem i zamierzając wylizać talerzyk do czysta.

Po chwili zdała sobie sprawę, że jest obiektem czyjejś obserwacji. Dwa stoliki dalej siedziała dobrze zbudowana kobieta, która wyglądała mniej więcej na trzydzieści pięć lat, i wpatrywała się w nią z mieszaniną niedowierzania i zazdrości. Miała przed sobą jeden marny kawałek torcika owocowego. Dla ciastkowej narkomanki była to przyjemność równa spożyciu suchara z pełnoziarnistej mąki.

Holly poczuła zarazem współczucie i potrzebę usprawiedliwienia się.

— Wolałabym tak się nie napychać, ale nic na to nie poradzę. Jeśli sobie nie podjem, zawsze roznosi mnie, jestem jak napalona.

Gruba kobieta kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— Mnie też.

Pojechała do domu Ironhearta przy Bougainvillea Way. Wiedziała teraz wystarczająco wiele, aby zaryzykować spotkanie z nim, i właśnie się do tego zabierała. Ale zamiast zatrzymać się na jego podjeździe, wolno przejechała jeszcze raz obok domu.



Instynkt podpowiadał jej, że nie nadszedł właściwy moment. Obraz, jaki sobie wyrobiła, tylko pozornie robił wrażenie skończonego. Gdzieś kryło się puste miejsce. Czując, że niebezpiecznie byłoby iść dalej, dopóki nie zostanie ono zamalowane.

Powróciła do motelu i spędziła resztę popołudnia i początek wieczoru, siedząc w swoim pokoju przy oknie. Popijała alka-selzer i dietetyczne 7-Up, wpatrywała się w pobłyskującą jak szlachetny kamień niebieskość basenu, widoczną w środku bogatej zieleni dziedzińca, i myślała. Myślała.

Dobra, powiedziała sobie, oto jak ta historia wygląda do tej pory: Ironheart jest człowiekiem o złamanym sercu, prawdopodobnie dlatego, że został osierocony w wieku zaledwie dziesięciu lat. Większość życia spędził na ponurych rozmyślaniach o śmierci, zwłaszcza niesprawiedliwości przedwczesnej śmierci. Poświęcił swoje życie nauczaniu dzieci i pomaganiu im, może dlatego, że sam, będąc dzieckiem, nie miał nikogo, kto pomógłby mu poradzić sobie z odejściem matki i ojca. Potem Larry Kakonis popełnia samobójstwo. Ironheart jest załamany, czuje się odpowiedzialny za to, że nie zapobiegł śmierci chłopca. Ten zgon ujawnia całą jego ukrytą wściekłość, gniew na los, przeznaczenie, biologiczną kruchość ludzkich istot — wściekłość na Boga. W stanie ostrej depresji, graniczącej z utratą równowagi psychicznej, decyduje się zrobić z siebie kolejnego Rambo i bronić się przed losem, co jest reakcją dziwną w najlepszym razie, absolutnie chorą w najgorszym. Podnosząc ciężary, ćwicząc tae kwon do i aerobik, aby wyrobić kondycję, staje się bojową maszyną. Uczy się prowadzić samochód jak kaskader. Opanowuje posługiwanie się wszelkiego rodzaju bronią palną. Jest gotów. Jeszcze jedna sprawa. Uczy się jasnowidzenia po to, żeby wygrać na loterii, osiągnąć niezależność majątkową i móc poświęcić się swej świętej sprawie. Stąd też wie, kiedy nastąpi czyjaś przedwczesna śmierć.

I tu wszystko się rozsypuje. Można udać się do takiego miejsca jak „Dojo” i nauczyć się sztuki walk, ale w książce telefonicznej na żółtych kartkach nie ma adresów szkół jasnowidzenia. Skąd więc, do diabła, nabrał ponadnaturalnych mocy?

Rozważała ten problem na różne strony. Nie próbowała na siłę znaleźć odpowiedzi. Jedynie usiłowała sformułować w miarę logiczne pytania. Ale magia to magia. Z logiką nie miała nic wspólnego.

Zaczynała się czuć, jakby wynajął ją marny brukowiec. Przestała być poważną reporterką, zamieniła się w blagiera wciskającego głodne kawałki o Obcych z kosmosu, żyjących w podziemiach Cleveland; pół gorylich, pół ludzkich istotach, zrodzonych przez rozpustną opiekunkę zoo, i o tajemniczych deszczach żab i kurczaków w Tadżykistanie. Ale, do cholery, to fakt, że Jim Ironheart uratował przed śmiercią czternaścioro ludzi w różnych zakątkach kraju, zawsze w ostatniej sekundzie, przewidując to z cudowną dokładnością.

O ósmej miała ochotę walić głową o stół, o ścianę, o betonowy brzeg basenu, o wszystko, co było na tyle twarde, aby rozbić tkwiącą w jej umyśle barierę i zesłać jej zrozumienie. Uznała, że wystarczy tego myślenia i trzeba coś zjeść.

Kolację znowu zjadła w motelowej restauracji — kurczaka z rusztu i sałatę. Była to pokuta za lunch w cukierni. Usiłowała wzbudzić w sobie zainteresowanie innymi gośćmi, zająć się trochę obserwacją ludzi. Ale nie potrafiła przestać myśleć o Ironheartcie i jego czarach.

Równie niepodzielnie panował w jej myślach potem, kiedy leżała w łóżku, próbując zasnąć. Wpatrywała się w cienie na suficie; światło lamp oświetlających pejzaż za szybą przedzierało się przez na wpół uchylone żaluzje okienne. Musiała przyznać, że Jim fascynuje ją nie jedynie z powodów zawodowych. Zgoda, stanowił największą sensację w jej karierze. A także był na tyle tajemniczy, aby zaintrygować każdego, nie tylko dziennikarza. Ale czuła pociąg do niego również dlatego, że przez długi czas pozostawała samotna, samotność wydrążyła w niej pustkę, a Jim Ironheart to najbardziej porywający mężczyzna, jakiego spotkała od wieków. To wariactwo, pomyślała. A może ona zwariowała.

Nie zaliczała się do kobiet, które uganiają się za mężczyznami zupełnie do nich niepasującymi, kobiet podświadomie pragnących wejść w rolę istoty wykorzystanej, zranionej i porzuconej. Była wybredna, jeżeli chodziło o panów. I dlatego, na litość boską, pozostawała samotna. Niewielu mężczyzn potrafiło sprostać jej wymaganiom.

Jasne. Wybredna, pomyślała sarkastycznie. To dlatego się napalasz, kiedy pomyślisz o facecie, któremu wydaje się, że jest Supermanem bez rajstop i pelerynki. Wróc na ziemię. O Jezu. Snucie romantycznych fantazji o Jamesie Ironheartcie było krótkowzroczne, nieodpowiedzialne, bezpłodne i najzwyczajniej głupie. Ale te oczy...

Holly zasnęła, a obraz jego twarzy płynął w jej wyobraźni jak wielka bandera falująca wdzięcznie na tle błękitnego nieba. Jego oczy były nawet jeszcze bardziej niebieskie niż to niebo.

Po pewnym czasie znalazła się powtórnie w śnie pozbawionym obrazów. Okrągły pokój. Drewniana podłoga. Zapach mokrego wapienia. Deszcz bębniący o dach. Rytmiczne trzeszczenie. *Wiuum*. Coś ją prześladowało, część ciemności w jakiś sposób ożyła, pojawiło się monstrum, którego nie słyszała ani nie widziała, ale które czuła. Nieprzyjaciel. *Wiuum*. Była wdzięczna Bogu za swoją ślepotę, ponieważ wiedziała, że wygląd tego czegoś był tak obcy zmysłom, tak przerażający, że zabiłby ją. *Wiuum*. Coś jej dotknęło. Wilgotna, lodowata wić. U podstawy karku. Cienka jak ołówek macka. Krzyknęła, koniuszek czułka wwiercił się jej w szyję, przeszywając podstawę czaszki...

*Wiuum*.

Obudziła się z cichym okrzykiem grozy, przytomna. Od razu rozpoznała otoczenie: motel, Laguna Hills.

*Wiuuum..*

Dźwięk ze snu nadal jej towarzyszył. Wielka brzytwa przecinająca powietrze. Ale to nie był dźwięk wymagany, tylko autentyczny. A w pokoju było równie zimno jak w piwnicznej czerni sennego koszmaru. Groza, przepelniająca serce, ciążyła jak kamień i kiedy usiłowała się poruszyć, okazało się, że nie jest do tego zdolna. Czuła zapach mokrego wapienia. Z dołu, jakby pod motelem rozciągały się obszerne kazamaty, dobiegło ciche dudnienie — i wiedziała, nie wiadomo skąd — że to wielkie kamienie koła trą o siebie.

*Wiuuum.*

Coś niedającego się nazwać nadal wiło się wzdłuż jej szyi, przesuwało wewnątrz czaszki; ohydny pasożyt, który wybrał ją za swój dom, drążył sobie drogę, aby złożyć jajeczka w jej mózgu. Nie była zdolna się poruszyć.

*Wiuuum.*

Widziała jedynie blade, jakże blade sztaby światła, odcinające się od czarnego sufitu, tam gdzie słodkie światło lamp rozjaśniających pejzaż rzucało obraz listew żaluzji. Rozpaczliwie pragnęła, żeby było jaśniej.

*Wiuuum.*

Wydawała rozdzierające jęki strachu. Własna słabość wzbudziła w niej takie obrzydzenie, że w końcu udało się jej przełamać paraliż woli. Dysząc, usiadła. Wpiła się paznokciami w szyję, usiłując oderwać śliskie, sztywne macki robaka. Nic. Nic tam nie było. Spuściła nogi na podłogę. Pomacała niezdarnie w poszukiwaniu lampy. Niemal ją przewróciła. Znalazła wyłącznik. Światło.

*Wiuuum.*

Wyskoczyła z łóżka. Znów pomacała tył głowy. Szyję. Pomiędzy łopatkami. Nic. Nic tam nie było. A jednak czuła to.

*Wiuuum.*

Znalazła się po drugiej stronie granicy oddzielającej histerię od normalności i, niezdolna do powrotu, wydawała niewyraźne, zwierzęce odgłosy strachu i bezradności. Kątem oka zarejestrowała jakiś ruch. Obróciła się błyskawicznie. Ściana za plecami. Pociła się. Błyszcziała. Cała ściana wybrzuszała się w jej kierunku jak cienka błona, na którą intensywnie napiera ogromna i przerażająca masa. Obrzydliwie pulsowała, jak potężny wewnętrzny organ wydobyty z dymiących trzewi prehistorycznego behemota.

*Wiuuum.*

Odrzuciła się od mokrej, wrogiej, ożywionej ściany. Rzuciła się do biegu. Musi się wydostać. Szybko. Nieprzyjaciel. Nadchodzi. Śledził ją. We śnie. Drzwi. Zamknięte. Zasuwa. Odblokowała. Trzęsące się ręce. Nieprzyjaciel. Nadchodzi. Łańcuch. Odsunęła. Drzwi. Otworzyła gwałtownie: coś stało na progu, wypełniając framugę, większe niż Holly, coś nie do pojęcia dla człowieka, równocześnie owadzie, pajęcze i gadzie, wijące

się i podskakujące, zmierzwiona masa pajęczych nóg, czułek, skręconych zwojów, żabich szczęk, owadzich oczu złożonych, węzowych kłów, pazurów, tysięcy sennych zmór splątanych w jedno — ale ona nie śniła. Wdarło się przez drzwi, pojmało ją, ból rozszalał się wszędzie, gdzie wbiło szpony, i zakrzyczała

...nocny powiew.

On jedynie napływał przez otwarte drzwi. Delikatny, letni powiew nocy.

Holly stała na progu, trzęsąc się i łapiąc oddech; spoglądała w zdumieniu na betonową promenadę otaczającą motel. Palmy, australijskie paprocie, cała roślinność zmysłowo kołysała się, pieszczona południowym zefirem. Powierzchnia basenu pofałdowała się łagodnie, tworząc niezliczone, nieustannie zmieniające się oczka ponad światłem bijącym z dna, tak że odnosiło się wrażenie, iż to nie zbiornik wodny zajmuje środek dziedzińca, lecz wielka jama, w której piraci złożyli swój skarb: oszlifowane szafiry.

Istota, która ją zaatakowała, zniknęła, jakby nigdy nie istniała. Nie odbiegła ani nie schroniła się w jakiejś dziurze; po prostu w mgnieniu oka wyparowała.

Holly nie czuła już lodowatych, wijących się czułek na karku ani wewnątrz czaszki.

Promenadą zbliżało się paru gości motelowych, wyraźnie zainteresowanych jej krzykiem.

Cofnęła się w głąb pokoju. Nie miała zamiaru stać się atrakcją wieczoru.

Obejrzała się za siebie. Ściana z łóżkiem była na powrót jedynie ścianą.

Zegar, wbudowany w wezłowie, pokazywał piątą osiem rano.

Zamknęła drzwi i nagle musiała się o nie oprzeć: nogi zrobiły się jej jak z waty.

Zamiast poczuć ulgę, że dziwne zdarzenie skończyło się, była roztrzęsiona. Objęła się ramionami i zadygotała tak mocno, że zaszczekała zębami. Zaczęła cicho płakać, nie na wspomnienie strachu, nie z powodu niebezpieczeństwa, nie z lęku o zdrowie psychiczne; nie, doznała głębokiego uczucia całkowitego gwałtu. Na krótko, ale i tak za długo, stała się bezsilna, upodlona, zniewolona przerażeniem, poddana kontroli istoty całkowicie niepojętej. Została psychicznie zgwałcona. Coś pożądlivego opanowało ją, wymusiło sobie w nią drogę, pozbawiło woli i chociaż znikło, pozostawiło wewnątrz ślad, osad, który zbrukał umysł, duszę.

To tylko sen, pocieszała się.

Ale kiedy przed chwilą siadła na łóżku i zapaliła lampę, to nie był sen. Nocna zmora przeszła za nią w realny świat.

To tylko sen, nie przesadzaj, weź się w garść, pomyślała, walcząc o odzyskanie równowagi ducha. Śniłaś, że jesteś w tym mrocznym pomieszczeniu, potem śniłaś, że usiadłaś na łóżku i zapaliłaś światło, potem we śnie zobaczyłaś, jak ściana nabrzmiewa, i pobiegłaś do drzwi. Ale tylko we śnie chodziłaś i dalej byłaś we śnie, kiedy otworzyłaś drzwi, i dalej śniłaś, kiedy zobaczyłaś potwora i zawrzęszczałaś, i dopiero wtedy obudziłaś się naprawdę, tym wrzaskiem wytrąciłaś się ze snu.

Pragnęła przyjąć to wyjaśnienie, ale to byłoby zbyt proste. Żaden jej sen nie miał dotąd takiego bogactwa zdarzeń i szczegółów. Poza tym nigdy nie chodziła we śnie.

Coś naprawdę chciało ją skrzywdzić. Może nie ten owadzio-gadzio-pajęczy kształt, który pojawił się w drzwiach. Może był to jedynie wizerunek, który przybrała inna istota, aby ją przerazić. Ale coś wpychało się do tego świata z...

Skąd?

Nieważne skąd. Stamtąd. Z innego świata. I prawie ją dopadło.

Nie. To śmieszne. Artykuł z brukowca. Nawet „National Enquirer” nie publikował już kretynstw tak kretyńskich. MOJA JAŻŃ ZOSTAŁA ZGWAŁCONA PRZEZ BESTIĘ Z TAMTEGO ŚWIATA. Takie śmieci mieszczą się trzy stopnie poniżej artykułów w rodzaju CHER PRYZNAJE SIĘ, ŻE JEST OBCĄ Z KOSMOSU, dwa stopnie poniżej JEZUS PRZEMÓWIŁ Z KUCHENKI MIKROFALOWEJ DO ZAKONNICY i nawet cały stopień poniżej MÓZG ELVISA TRANSPLANTOWANY, KRÓL ŻYJE W CIELE ROSE-ANNE BARR.

Im bardziej głupio czuła się na myśl, że uległa tamtemu nastrojowi, tym bardziej się uspokajała. Łatwiej było poradzić sobie z jakimś przeżyciem, gdy uzna się je za wytwór przewrażliwionej wyobraźni, pobudzonej fantastycznym przypadkiem Ironhearta.

W końcu stanęła, nie opierając się o drzwi. Zasunęła zasuwę, założyła z powrotem łańcuch.

Kiedy odeszła od drzwi, poczuła, że dokucza jej gorący, kłujący ból w lewym boku. Nie doskwierał jej zbyt, ale skrzywiła się i dotarło do niej, że podobny, choć mniejszy ból, zagnieździł się również w prawym boku.

Podciągnęła brzeg koszulki, żeby obejrzeć własne ciało, i nagle odkryła, że materiał jest porwany. Trzy rozdarcia po lewej stronie. Dwa po prawej. I był pokryty krwią.

Przeżalenie wróciło. Holly pospieszyła do łazienki i zapaliła ostre jarzeniowe światło. Stała przed lustrem, zawahała się, potem ściągnęła podartą koszulkę.

Cienki strumyczek krwi sączył się w dół lewego boku z trzech płytkich rozdarć skóry. Pierwsze rozcięcie tuż pod piersią, a pozostałe niżej w pięciocentymetrowych odstępach. Dwa zadrapania wyraźnie odznaczały się z prawej, chociaż nie tak głębokie jak tamte i niekrwawiące.

Szpony.

Jim zwymiotował do klozetu, spuścił wodę, a potem dwukrotnie przemył usta pachnącym miętą listerinem.

Spojrzał do lustra. Jeszcze nigdy nie miał tak zmlaltretowanej twarzy. Musiał opuścić wzrok.

Oparł się o umywalkę. Chyba już tysięczny raz w ciągu ostatniego roku zadał sobie pytanie, co, na miłość boską, z nim się dzieje.

Podczas snu znowu znalazł się w wiatraku. Nigdy przedtem ten sam koszmar nie dręczył go dwie noce z rzędu. Zwykle upływały tygodnie pomiędzy nadejściami tego samego snu i co gorsza, we śnie pojawił się nowy niepokojący element — coś więcej niż tylko deszcz uderzający w wąskie okna, migotliwy płomień świecy i tworzone przez niego tańczące cienie, dźwięk wielkich skrzydeł obracających się na zewnątrz, powolne dudnienie kamieni młyńskich na dole i niewytłumaczalny osad strachu. Tym razem poczuł złowrobną obecność, ukrytą, ale nadciągającą coraz bliżej z każdą sekundą, czegoś tak złego i obcego, że wyobraźnia nie potrafiła nadać temu wyraźnych kształtów ani rozmiarów. Oczekiwał, że to coś rozwali ściany, wystrzeli przez deski podłogi albo runie na niego przez ciężkie drewniane drzwi u szczytu schodów wiatraka. Nie wiedział, którą ma uciekać. W końcu szarpnął drzwi — i obudził się z krzykiem. Jeżeli coś za nimi się czało, nie pamiętał, jak wyglądało.

Niezależnie od tego Jim wiedział, jakiego ma użyć imienia; nieprzyjaciel. Tylko że teraz myślał o tym przez duże „N”. Nieprzyjaciel. Amorficzna bestia, która ścigała go przez tyle innych snów, znalazła sobie drogę do snu o wiatraku, w którym nigdy przedtem go nie napastowała.

Może to było zwariowane, co myślał, ale wiedział, że ów stwór nie jest tylko jego senną fantazją zrodzoną w podświadomości. Był równie realny jak on sam. Wcześniej czy później łatwo przekroczy barierę dzielącą świat snów od świata rzeczywistego, tak jak przeszedł przez granicę dzielącą różne sny.

## 4

Holly nawet nie próbowała położyć się łóżka. Wiedziała, że nie zaśnie przez wiele godzin, aż ogarnie ją takie wyczerpanie, że nie będzie mogła utrzymać otwartych powiek, niezależnie od ilości wypitej kawy. Sen przestał być schronieniem. Zamienił się w źródło niebezpieczeństwa, drogę do piekła albo w jeszcze gorsze miejsce, gdzie grozi jej spotkanie z nieludzkim towarzyszem podróży.

Zaczynało ją to złościć. Każdy potrzebuje snu i każdy zasługuje na bezpieczne schronienie, jakie on stanowi.

Kiedy przyszedł świt, długo stała pod prysznicem. Ostrożnie, lecz starannie obmyła płytkie zadrapania na bokach, chociaż mydło i gorąca woda piekły otwarte rany. Obawiała się infekcji, a ta mogła okazać się równie dziwna jak przelotnie widziane monstrum, które ją wywołało.

Jej gniew wzrósł.

Z natury była modelową harcerką, zabezpieczoną na wszelką ewentualność. Kiedy udawała się w podróż, podręczna apteczka spoczywała w tej samej kosmetyczce, do której wrzucała depilator. Nie zapomniała nigdy o jodynie, gazie opatrunkowej, opatrun-

kach, przylepcach, bandażach elastycznych, małym ciśnieniowym pojemniku ze środkiem przeciwbakteryjnym i tubie maści odkażającej. Wytarła się ręcznikiem, naga siedła na skraju łóżka i spryskała sprayem rany, a potem odkażyła je dodatkowo jodyną...

Została reporterką, ponieważ jako młoda kobieta wierzyła, że dziennikarstwo może wytłumaczyć zjawiska rządzące światem, nadać sens zdarzeniom, które często wydają się chaotyczne i pozbawione logiki. Ponad dziesięć lat pracy w zawodzie wstrząsnęło jej przekonaniem, że ludzkie zachowania dadzą się w całości czy choćby częściowo wytłumaczyć. Ale nadal utrzymywała na biurku ład, akta miała skrupulatnie uporządkowane, a notatki dotyczące spraw bieżących prowadzone czytelnie i przejrzyście. W domu, w szafach, jej ubrania były poukładane zgodnie z porami roku, potem zależnie od okazji (oficjalne, półoficjalne, prywatne), a wreszcie kolorami. Jeżeli życie upierało się przy chaosie i jeśli dziennikarstwo okazało się zawodnym narzędziem w przywracaniu porządku, rutyna i przyzwyczajenia stwarzały jej własne małe uniwersum stabilności, które, choć wątle, broniło się przed bezładem i harmiderem życia. Jodyna piekła.

Czuła, jak jej gniew rósł. Kipiał.

Już zaschnięte strupy na lewym boku rozpuściły się pod prysznicem. Znow zaczęła lekko krwawić. Siedziała bez ruchu na skraju łóżka, przykładając do ranek papierowe chusteczki do nosa i czekając, aż rozdarła skóra przestanie podchodzić surowicznym płynem.

Zanim ubrała się w mocno wypłowiałe dżinsy i szmaragdowozieloną bluzkę, było wpół do ósmej.

Wiedziała już, dokąd skieruje swe pierwsze kroki i nic nie mogło powstrzymać jej od realizacji zamiarów. Nawet nie pomyślała o śniadaniu. Kiedy wyszła, ujrzała bezchmurne niebo, a temperatura poranka była niezwykle kojąca, nawet jak na okręg Orange, ale łagodna aura nie złagodziła w niej ducha bojowego i nie w głowie jej było rozkoszowanie się pocałunkami słońca na twarzy. Wsiadła do wynajętego wozu, wyjechała z parkingu na ulicę i skierowała w stronę Laguna Niguel. Zamierzała zadzwonić do drzwi Jamesa Ironhearta i zażądać szczegółowych wyjaśnień.

Chciała od niego usłyszeć pełną wersję wydarzeń: wytłumaczenie, jakim cudem był mu znany moment śmierci czyhającej na innych i dlaczego tak nadstawiał karku, ratując kompletnie nieznajomych ludzi. Ale chciała również wiedzieć, dlaczego okropny sen z ostatniej nocy zmienił się w rzeczywistość, jak i dlaczego ściana w jej sypialni zaczęła lśnić i dygotać jak żywe ciało i jaki to stwór wyskoczył z koszmaru nocnego i porwał ją w szpony dużo bardziej rzeczywiste niż materia sennego widzenia.

Była przekonana, że on zna odpowiedzi. Ostatniej nocy, drugi raz od chwili, gdy trzydzieści trzy lata temu przyszła na świat, spotkała się z czymś niepojętym, poczuła, jak atakuje ją świat pozazmysłowy. Po raz pierwszy zdarzyło się to dwunastego sierpnia, kiedy Ironheart cudem uratował Billy'ego Jenkinsa — chociaż dopiero później dotarło

do niej, że ratunek pojawił jak z Krainy Marzeń. Była gotowa przyznać się do wielu błędów, ale nie do głupoty; a tylko głupiec nie dostrzegłby, że obydwie zderzenia ze światem cudów: spotkanie z Ironheartem i urealnienie koszmaru sennego, miały ze sobą związek.

Nie była zła, tylko wściekła.

Jadąc powoli Crown Park Valley, uświadomiła sobie, że jej gniew wypływał po części z odkrycia, iż wspaniały, sensacyjny materiał poświęcony nadziei i odwadze okazał się nie do końca tak zachwycający i cudowny, jak sobie wymarzyła. Jak przytłaczająca większość artykułów z pierwszych stron gazet od chwili wynalezienia prasy drukarskiej, i ta opowieść miała ciemną stronę.

Jim wziął prysznic i ubrał się do kościoła. Nie uczęszczał już od dawna regularnie na mszę ani nie brał udziału w obrządkach żadnej religii, z którą się sporadycznie wiązał na przestrzeni lat. Ale pozostając co najmniej od zeszłego maja, kiedy to poleciał na Florydę, aby uratować życie Sama i Emily Newsome'ów, we władzy wyższej potęgi, coraz częściej powracał myślami do Boga. A odkąd ojciec Geary opowiedział mu o stygmatach, jakie pojawiły się na jego ciele, kiedy leżał na podłodze kościoła pod wezwaniem Naszej Pani Opiekunki Pustyni, nie dawniej niż tydzień temu, poczuł, jak po raz pierwszy od kilku ostatnich lat wzrasta w nim pociąg do katolicyzmu. Nie oczekiwał, że tajemnice ostatnich wydarzeń rozjaśnią mu do końca wskazówki Kościoła — ale chciał przynajmniej żywić na to nadzieję.

Kiedy zdejmował klucze od wozu z rządka haczyków na ścianie w kuchni, usłyszał własny głos: „Linia życia”.

Natychmiast jego plany uległy zmianie. Zamarł niepewny, co ma czynić. Potem oładnęło nim znajome wrażenie, że jest sprowadzony do roli marionetki, i zawiesił z powrotem klucze.

Zawrócił do sypialni, zrzucił skórzane mokasyny, szare spodnie, granatową marynarkę i białą koszulę. Włożył robocze spodnie i wypuszczaną na wierzch hawajską koszulę. Miał teraz pełną swobodę ruchów.

Musi być luźno ubrany i w pełni gotowy. Nie miał pojęcia dlaczego, ale czuł taki przymus.

Siedząc na podłodze przed uchylonymi drzwiami szafy, wybrał buty — podniszczoną parę rockportów, najwygodniejszą z tego, co stało na półce. Ciasno zasnuował. Ale nie za ciasno. Wstał, zrobił na próbę parę kroków. Wszystko gra. Sięgnął na półkę po walizkę i zawahał się. Nie był pewien, czy ma coś brać ze sobą. Po paru sekundach wiedział, że pojedzie bez bagażu. Zamknął szafę, zostawił walizkę.

Bagaż zbędny — oznaczało to, że do miejsca przeznaczenia dojedzie samochodem, a podróż w obie strony oraz czas na wykonanie tego, co go czekało, nie zabierze więcej



niż dwadzieścia cztery godziny. Ale kiedy odwrócił się od drzwi szafy, usłyszał, zaskoczony, że mówi: „Lotnisko”. Oczywiście było wiele miejsc, do których lot tam i z powrotem zamykał się w jednym dniu.

Wyjął portfel z szuflady komody, sprawdzając, czy pojawi się impuls, każący go odłożyć. W końcu wsunął portfel do tylnej kieszeni spodni. A więc będzie potrzebował nie tylko pieniędzy, ale i dokumentów. Bez wyraźnej konieczności nie ryzykowałby ujawnienia tożsamości, biorąc je ze sobą.

Kiedy szedł do kuchni i zdejmował z haczyka kluczyki od wozu, obleciał go strach, chociaż nie tak mocny jak wtedy, kiedy udawał się na poprzednią misję. Wtedy „kazano” mu ukraść samochód, co miało ułatwić zatarcie śladów, i „polecono” skierować się na pustynię Mojave. Tym razem przeciwnik może okazać się groźniejszy niż dwaj mężczyźni z roadkinga, ale nie bał się jak poprzednio. Wiedział, że może czeka go śmierć. Rola instrumentu sił wyższych nie dawała gwarancji nieśmiertelności; wciąż był tylko człowiekiem, którego ciało można rozedrzeć, kości połamać, a bicie serca wstrzymać jedną dobrze wycelowaną kulą. Obecny lęk miał swe źródło wyłącznie w „mistycznej” podróży harleyem, dwudniowym pobycie u ojca Geary’ego, opowieści o stygmatach, jakie pojawiły mu się na ciele, i wynikłym stąd przeświadczeniu, że w tym wszystkim udział miała boska dłoń.

Holly znajdowała się na Bougainvillea Way, przecznicę przed domem Ironhearta, kiedy ciemnozielony ford zjechał z podjazdu. Nie знаła marki wozu Ironhearta, ale ponieważ żył samotnie, założyła, że to musi być jego ford.

Przyspieszyła, szykując się do wyprzedzenia i zajechania mu drogi. Chciała stawić mu czoło tu, na środku ulicy. Potem zwolniła, bo przypomniała sobie, że opanowanie rzadko przynosi klęskę.

Kiedy mijają jego dom, automatyczne drzwi garażu właśnie opadały. Nie dostrzegła innego samochodu. Forda musiał prowadzić Ironheart.

Holly nigdy nie dostawała spraw o obłąkańczych baronach narkotykowych, sprzedajnych politykach czy oszustach ze świata biznesu, toteż nie była specem od inwigilacji samochodowej. Umiejętność planowania i wykonywania tajnych operacji nie stanowiła koniecznego warunku, gdy się pisało o pucharach drzewiarzy, ulicznych akrobatach, którzy obleczeni we fluorescencyjne kostiumy tresowali myszy na schodach ratusza, nazywając to „sztuką”, oraz konkursach w jedzeniu ciastek. Nie zapomniała również, że Ironheart ma za sobą dwutygodniowy kurs agresywnej szoferki w specjalnej szkole w okręgu Marin. Jeżeli potrafił na tyle sprawnie prowadzić samochód, żeby pozbyć się ścigających terrorystów, to w trzydzieści sekund po tym, jak zorientuje się, że ona go śledzi, zgubi ją.

Trzymała się z tyłu. Tak szczęśliwie się złożyło, że poranny ruch niedzielny był na tyle gęsty, iż pozwalał jej się skryć za innymi samochodami, a równocześnie wystarczająco mały, że nie musiała się obawiać, iż tłok pomiędzy nią a Ironheartem pozwoli mu zniknąć.

Kierował się na wschód, jadąc Crown Valley Parkway do drogi międzystanowej nr 5, a potem na północ w kierunku Los Angeles.

Trzymała się sześć wozów za Ironheartem, dość blisko, żeby móc podążyć za nim, gdyby zjechał z autostrady. Jej gniew zmalał pod wpływem przyjemności płynącej z umiejętnie wykonywanej inwigilacji. Miała nawet czas, aby doceniać urodę błękitnego nieba i bujnie kwitnących różowych i białych oleandrów rosnących gdzieś na obrzeżach autostrady.

Kiedy jednak mijali Long Beach, zaczęła się martwić, że może w ten sposób spędzić cały dzień na drodze i odkryć, iż cel jego przejażdżki nie ma żadnego związku z interesującą ją sprawą. Nawet samozwańczy hiperbohater z umiejętnościami jasnowidzenia może zaplanować sobie wieczór w teatrze lub narazić się jedynie na niebezpieczeństwo skosztowania musztardy w jakiejś chińskiej knajpie.

Zaczęła się również zastanawiać, czy korzystając ze swych pozazmysłowych umiejętności, nie wyczuł jej obecności. Z kilkunastu metrów mógł wyczuć ją o wiele łatwiej niż śmierć zagrażającą małemu chłopcu w Bostonie. Z drugiej strony może jasnowidzenie nie działało stale, może włączało się i wyłączało na życzenie, i zapowiadało jedynie wielkie zdarzenia, oszałamiało go obrazami niebezpieczeństwa, zniszczenia i śmierci — albo nawet nie wywoływało żadnych wizji. To była niegłupia myśl. Na pewno można by dostać szału, gdyby nieziemskie wizje poprzedzały na przykład pójście do kina, zjedzenie dobrej kolacji, wzdęcia lub rozwolnienie po zjedzeniu zbyt obfitej porcji spaghetti.

Kiedy Ironheart zjechał z autostrady, kierując się do lotniska międzynarodowego Los Angeles, Holly ogarnęło podniecenie. Mógł jechać tylko po kogoś, kto przyleci samolotem. Ale bardziej prawdopodobne było, że sam zamierzał rozpocząć jedną ze swych niesamowicie zsynchronizowanych w czasie misji, tak jak dwunastego sierpnia, gdy poleciał do Portland. Holly nie była przygotowana na podróż, nie miała nawet ubrania na zmianę. Ale dysponowała gotówką i kartami kredytowymi, co pozwoli opędzić wydatki, a świeżą bluzkę przecież wszędzie mogła kupić. Wizja śledzenia go przez całą drogę, aż do miejsca akcji, nęciła ją ogromnie. W końcu to, co o nim napisze, będzie wiarygodniejsze, gdy stanie się naocznym świadkiem jego dwóch akcji ratunkowych.

Zdenerwowała się, kiedy na rozjeździe skierował się do garażu. Przestały ją maskować inne samochody. Ale pozostawało jej tylko minąć wjazd i pojechać do innego garażu, a to groziło, że straci go z oczu. Trzymała się z tyłu jak najdalej i zerwała bilet z automatu parkingowego parę sekund po nim.

Ironheart znalazł puste stanowisko w rzędzie na trzecim poziomie. Holly stanęła dziesięć numerów za nim. Zsunęła się trochę w dół siedzenia i odczekała chwilę w samochodzie, aby nie miał szansy jej zobaczyć, gdyby się obejrzał.

Kiedy wysiadła z samochodu w ostatniej chwili, dostrzegła, że skręca na prawo i znika za murem.

Pospieszyła za nim. Miękkie, suche stuk-stuk jej kroków odbiło się echem o niski cementowy sufit. Kiedy doszła do końca poziomu, obchodząc róg, ujrzała, jak on wchodzi do klatki schodowej. Zanim zaczęła schodzić, usłyszała, że otwiera drzwi na dole.

Mogła go mieć cały czas na oku. Widząc jego kolorową hawajską koszulę, sama kryła się w tłumie pasażerów. Przeciął drogę dla obsługi lotniska i wszedł do hali United Airlines. Miała nadzieję, że nie polecą na Hawaje. Zbieranie za własne pieniądze materiału do artykułu byłoby dość kosztowne. Jeżeli Ironheart zamierzał uratować komuś życie, wolała, żeby nastąpiło to w San Diego, a nie w Honolulu.

W hali ukryła się za grupą wysokich Szwedów, podczas gdy Ironheart stał przez chwilę przed rzędem monitorów, wpatrując się w rozkład najbliższych odlotów. Zmarszczki na jego czole dowodziły, że nie znajdował swojego samolotu. A może po prostu jeszcze nie wiedział, jaki to lot. Niewykluczone, że przecucia nie docierały doń w pełni rozwinięte. Może musiał nad nimi pracować, rozwikływać ich znaczenie i nie miał pojęcia ani gdzie się udaje, ani czyje życie uratuje, dopóki nie znalazł się na miejscu.

Po paru minutach odwrócił się od monitorów i przeszedł wzdłuż hali, zbliżając się do kas biletowych. Holly nadal trzymała się z daleka, dopóki nie dotarło do niej, że nie pozna celu jego podróży, jeżeli nie usłyszy rozmowy z kasjerką. Z obawą zmniejszyła odległość.

W kolejce do kasy odważyła się stanąć niemal za nim. Jedyнным podróżnym, jaki ich dzielił, był potężny mężczyzna z ogromnym brzuchem, wyglądający jak rezerwowy drużyny futbolowej. Śmierdział potem, ale że stanowił wygodną tarczę, wybaczała mu to całkowicie.

Niewielka kolejka szybko posuwała się do przodu. Kiedy Ironheart stanął przed stanowiskiem kasowym, Holly wychyliła się przed grubasa i nadstawiała uszu.

Utrudniono jej podsłuchiwanie: w głośnikach rozbrzmiał miękki, zmysłowy, a równocześnie nieco upiorny głos kobiety, informujący o odnalezieniu zagubionego dziecka. Równocześnie obok przeszła hałaśliwa grupa nowojorczyków, narzekająca na jakoby sztuczną uprzejmość, z jaką obsługiwano ich w Kalifornii. Biedaków dławiała tęsknota za gwałtem i rozbojem, do jakich dochodziło w ich mieście. Słowa Ironhearta pochłonął zgiełk.

Holly jeszcze bardziej wysunęła się w przód.

Tłuscioch skrzywił się, widocznie podejrzewając ją o chęć przeskoczenia kolejki. Uśmiechnęła się, by zapewnić go o braku złych intencji. Miała pełną świadomość, że jest dość potężny, aby zgnieść ją jak karalucha.

Gdyby Ironheart zerknął teraz w tył, spojrzalby jej prosto w twarz. Wstrzymała oddech, usłyszała, jak kasjerka mówi: — ...na lotnisku O'Hare w Chicago, odlatuje za dwadzieścia minut... — i z powrotem wśliznęła się za tłuściocha. Grubas obejrzał się przez ramię i jeszcze raz obdarzył ją niechętnym spojrzeniem.

Ironheart zapłacił za bilet i szybko oddalił się w poszukiwaniu swojego wyjścia, nie oglądając się w kierunku Holly. I to ma być jasnowidz, pomyślała. Była z siebie dumna.

Kiedy dotarła do stanowiska kasowego, wyjęła kartę kredytową i poprosiła o miejsce na ten sam lot do Chicago. Przeżyła jedną koszmarną chwilę obawy, że brak już miejsc, ale były, i kupiła bilet.

Poczekalnia przy wyjściu była pusta, prawie wszyscy pasażerowie znajdowali się na pokładzie. Ani śladu Ironhearta. Kiedy szła długim rękawem do drzwi samolotu, zaczęła nękać ją obawa, czy nie dojrzy jej podczas przemarszu do fotela. Gdyby do niej podszedł, mogła udać, że go nie dostrzegła lub nie rozpoznała. Ale wątpiła, aby uznał jej obecność za czysty przypadek. Przed półtorej godziną paliła się do spotkania z nim. Teraz myślała tylko o tym, jak uniknąć tego spotkania. Kiedy ją zobaczy, gotów opuścić pokład; mogła nigdy nie zyskać szansy towarzyszenia mu przy jednej z tych wyliczonych co do sekundy akcji ratunkowych.

Samolot okazał się szerokokadłubowym DC-10 z dwoma przejściami dla pasażerów. Każdy rząd dziewięciu foteli został podzielony na trzy części: dwa fotele przy oknie po lewej stronie, pięć pośrodku i dwa przy oknie po prawej. Holly miała fotel w rzędzie dwudziestym trzecim, miejsce H, strona prawa, dalej od okna. Kiedy szła przejściem w kierunku ogona, patrzyła uważnie po twarzach pasażerów, mając nadzieję, że nie natrafi na spojrzenie Jima Ironhearta. W istocie marzyła o nieoglądaniu go przez cały czas lotu i powtórnym zobaczeniu na O'Hare. DC-10 to potężna maszyna. Mimo że pewna liczba foteli świeciła pustką, ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi znalazło się na pokładzie. Ona i Ironheart mogli przelecieć razem kulą ziemską i nie wpaść na siebie; kilkunastogodzinny lot do Chicago powinien minąć bez problemów.

Zobaczyła go. Siedział z drugiej strony samolotu w pięciofotelowej, środkowej części, w rzędzie szesnastym, fotel po lewej. Przeglądał gazetę wydawaną przez linię lotniczą. Modliła się, aby nie podniósł oczu, kiedy będzie przechodziła obok niego. Mimo że musiała wejść między fotele, aby przepuścić stewardesę prowadzącą małego chłopca lecącego samotnie, jej modlitwa została wysłuchana. Kiedy przesuwała się obok Ironhearta, jego głowa nie podniosła się znad gazety. Dotarła do fotela 23-H i wydała westchnienie ulgi. Nawet jeśli uda się do toalety albo choćby wstanie, aby rozprostować nogi, nie będzie miał powodu przechodzić na prawą stronę. Idealnie.

Spojrzała przelotnie na mężczyznę siedzącego obok niej, przy oknie. Był już po trzydziestce, opalony, wysportowany i piekielnie poważny. Miał na sobie mundur biznesmena: granatowy garnitur, biała dobrze zaprasowana koszula i krawat, i to w niedzie-

łę. Marszczył czoło, pracując na laptopie. Miał założone słuchawki. Słuchał muzyki lub udawał, że słucha, co miało zniechęcić do podejmowania z nim rozmowy. Skierował do niej zimny uśmiech, obliczony na sprowokowanie takiej samej odpowiedzi.

To jej odpowiadało. Jak większość reporterów, z natury nie była gadatliwa. Jej zawód wymagał, aby była dobrym słuchaczem, niekoniecznie gadułą. Podczas podróży wystarczy jej lektura magazynu i wędrówka po labiryncie własnych myśli.

Lot trwał już dwie godziny, a Jim nadal nie miał pojęcia, gdzie powinien się skierować, gdy zejdzie z pokładu samolotu na O'Hare. Jednak nie przejmował się tym, gdyż nauczył się cierpliwości. Iluminacja następowała zawsze, wcześniej czy później. Nic w magazynie wydawanym przez linię nie wywoływało jego zainteresowania, a film wyświetlany pasażerom wyglądał na rozrywkę równie fascynującą jak wakacje w rosyjskim więzieniu. Dwa fotele z jego prawej strony stały puste, nie musiał się więc silić na uprzejmości wobec obcych. Pochylił nieco oparcie, złożył ręce na brzuchu, zamknął oczy i pozwolił czasowi płynąć, myśląc ponuro o śnie z wiatrakami i dumając nad jego znaczeniem.

Nad tym przynajmniej usiłował się zastanawiać. Gdyż z jakiejś dziwnej przyczyny jego myśli krążyły wokół Holly Thorne, reporterki.

Cholera, jaki z niego obłudnik, przecież doskonale wie, dlaczego pojawiała się i znikła w jego myślach, od kiedy ją spotkał. Stanowiła prawdziwą przyjemność dla oka. Była również inteligentna. Jedno spojrzenie i człowiek wiedział, że w tej główce kręci się milion kółeczek, wszystkie idealnie dopasowane, dobrze naoliwione, działające bezszmerowo i niesłychanie produktywnie.

I miała poczucie humoru. Dałby wszystko, żeby stała się towarzyszką jego długich, niespokojnych nocy. Śmiech jest zwykle efektem dzielenia się z kimś obserwacją, żartem, mijającą chwilą. Człowiek nie śmieje się dużo, kiedy jest sam; a jeśli jest inaczej, oznacza to prawdopodobnie, że powinien zadbać o długi wypoczynek w domu bez kłamek.

Nigdy nie zawierał łatwo znajomości z kobietami, więc zwykle był pozbawiony ich towarzystwa. Musiał przyznać, że nawet zanim rozpoczął się ostatni dziwny okres jego życia, nie był łatwy we współżyciu. Był nie tyle typem depresyjnym, ile nadmiernie wyczulonym na fakt, że śmierć jest towarzyszką życia. Zbyt chętnym do ponurej zadumy nad zbliżającą się nieuchronnie ciemnością. Zbyt powolnym, aby umieć zatrzymać mijającą chwilę i czerpać z niej radość. Jeżeli...

Otworzył oczy i wyprostował się w fotelu, ponieważ nagle nadeszła oczekiwana iluminacja. Przynajmniej częściowa. Nadal nie wiedział, co nastąpi w Chicago, ale znał nazwiska ludzi, których miał ratować: Christine i Casey Dubrovec.

Ku własnemu zdziwieniu dowiedział się, że znajdowały się razem z nim w samolocie. Zaczął podejrzewać, że kłopoty mogą zacząć się w hali lotniska O'Hare albo wkrótce po wylądowaniu. W innym wypadku nie pojawiłyby się na jego drodze tak wcześnie. Zwykle rozpoznawał ludzi, których miał uratować, na chwilę przed tym, jak życiu ich zaczęło zagrażać niebezpieczeństwo.

Zniewolony przez siły, które od maja zeszłego roku sterowały okresowo jego wolą, podniósł się i skierował ku dziobowi samolotu. Potem przeszedł na prawą stronę i zaczął iść z powrotem, w kierunku ogona. Nie miał pojęcia, do czego zmierzają jego działania, dopóki nie zatrzymał się przy rządzie dwudziestym drugim i nie spojrzął na matkę i córkę, siedzące w fotelach H i I. Kobieta była przed trzydziestką; miała słodką buzię, może nie tyle piękną, ile miłą i pełną uroku. Dziecko wyglądało na pięć, sześć lat.

Kobieta spojrzała na niego z ciekawością i Jim usłyszał siebie, mówiącego:

— Czy pani Dubrovek?

— Przepraszam... czy my się znamy? — spytała, mrugając zaskoczona.

— Nie, ale Ed mówił mi, że pani leci tym lotem, i prosił mnie, żebym się panią zaopiekował. — Kiedy wypowiedział tamto imię, dowiedział się, że Ed jest jej mężem, chociaż nie miał pojęcia, skąd pochodzi ta informacja. — Jestem Steve Harkman. Ed ma na głowie dział sprzedaży, a ja reklamę, więc na naradach wiercimy sobie dziury w brzuchu z tuzin razy tygodniowo.

Na jej twarzy madonny pojawił się uśmiech.

— Tak, tak, mówił mi o panu. Pan dopiero od niedawna jest w firmie męża, od jakiegoś miesiąca, prawda?

— Będzie już sześć tygodni — powiedział Jim, płynąc z prądem, pewien, że właściwa odpowiedź pojawi się, nawet jeżeli on nie wie, co, u diabła, znaczy. — A to musi być Casey?

Dziewczynka siedziała przy oknie. Podniosła głowę, przerywając lekturę jakiejś książeczki w twardej, grubej oprawie.

— Mam sześć lat, jutro są moje urodziny i jedziemy do dziadków. Oni są bardzo stary, ale ja ich lubię.

— Założę się, że są bardzo dumni z takiej milutkiej wnuczki jak ty — powiedział, śmiejąc się.

Kiedy Holly zobaczyła, że Jim idzie wzdłuż prawego przejścia, przerażona o mało nie wyskoczyła z fotela. Wydało się jej, że patrzy wprost na nią. Poczowała przemożną chęć uderzenia się w piersi: „Tak, to prawda, śledziłam pana, gromadziłam wiadomości na pański temat, zakłócałam pańskie prawo do prywatnego życia: chciałam się zemścić...”, zanim jeszcze przy niej stanął. Wiedziała, że tylko nieliczna garstka reporterów czułaby wyrzuty sumienia z powodu wsadzania nosa w nie swoje sprawy. Od samego początku

pracy nie potrafiła jednak wyzbyć się poczucia przyzwoitości, stanowiącego hamulec jej dziennikarskiej kariery. I teraz też o mało nie zniszczyła wszystkiego — dopóki nie uświadomiła sobie, że on nie patrzy na nią, ale na brunetkę siedzącą o rząd przed nią. Zamiast więc poderwać się i pokajać, przełknęła ślinę i osunęła się parę centymetrów w fotelu. Podniosła zlekceważony wcześniej magazyn linii lotniczej, powoli, nie spiesząc się, w obawie, że zbyt ni pośpiech przyciągnie jego uwagę, spokojnie otworzyła go, kryjąc twarz.

Magazyn nie pozwalał jej na obserwację Ironhearta, ale docierało do niej każde jego słowo i większość odpowiedzi kobiety. Słyszała, kiedy przedstawił się jako Steve Harkman, urzędnik do spraw reklamy, i zastanawiała się, czemu ma służyć ta maskarada.

Odważyła się wystawić na tyle głowę, aby zerknąć na niego jednym okiem, Ironheart stał nisko pochylony nad kobietą.

Ręce Holly tak się trzęsły, że szeleściła magazynem. Schyliła głowę, wlepiła wzrok w rozpostarte przed nosem kartki i usiłowała opanować się na tyle, na ile mogła.

— Jakim cudem udało się panu mnie rozpoznać? — spytała Christine Dubrovec.

— Co prawda Ed nie wytapetował jeszcze pani zdjęciami całego biura...

— Och, rozumiem — powiedziała.

— Pani Dubrovec...

— Mów mi Christine.

— Miło mi, Christine... Mam pewien ukryty powód, żeby nachodzić cię i zawracać ci głowę. Ed mówi, że udało ci się wyswatać wiele par. Masz podobno do tego talent.

Chyba udało mu się trafić w dziesiątkę. Jej ożywiona, słodka twarz rozjaśniła się jeszcze bardziej.

— Tak, jeśli tylko uznam, że ludzie do siebie pasują, sprawia mi radość, kiedy uda mi się ich związać i muszę przyznać, że całkiem dobrze mi to idzie.

— A skąd bierzesz tyle sznurka do tego wiązania, mamó? — spytała Casey Dubrovec.

Umysł Christine musiał pracować w niezwyklej synchronizacji z wyobraźnią jej sześćdziesięcioletniej córki, gdyż odparła:

— To nie chodzi o wiązanie sznurkiem, maleńka.

— Aha. No to dobrze — rzekła Casey i wróciła do czytania książeczki.

— Problem w tym — odezwał się Jim — że znalazłem się w Los Angeles niedawno, dopiero osiem tygodni temu, i jestem klasycznym okazem samotnego faceta. Nie lubię barów dla samotnych, nie chcę wykupywać członkostwa klubu kulturystycznego, a każdy, kogo podsunie mi komputer w agencji matrymonialnej, będzie zapewne tak samo zropaczony i nieporadny jak ja.

— Nie wyglądasz mi na zrozpaczonego ani nieporadnego — powiedziała ze śmiechem.

— Przepraszam, sir — wtrąciła się stewardesa, uprzejmie, lecz stanowczo, dotykając ramienia Jima — nie może pan blokować przejścia.

— Tak, tak, jasne. Jeszcze tylko sekundkę. — Wyprostował się. — Posłuchaj, nie idzie mi to łatwo, ale naprawdę chciałbym z tobą pogadać — kontynuował, wracając do Christine. — Opowiedzieć ci o sobie, o tym, czego szukam w kobiecie. A gdyby ktoś wpadł ci do głowy...?

— Jasne, uwielbiam to robić — powiedziała Christine z takim entuzjazmem, jakby aktualnie była kolejnym wcieleniem jakiejś wielce cenionej swatki, żyjącej na zapadłej wsi albo w żydowskiej części Brooklynu.

— A wiesz co, dwa fotele obok mojego miejsca są puste. Może przesiadłabyś się do mnie na resztę lotu... — zaproponował.

Obawiał się, że nie będzie chciała opuścić miejsca przy oknie i niejasny niepokój ścisnął mu żołądek, kiedy oczekiwał na jej odpowiedź.

Ale nie zastanawiała się dłużej niż parę sekund.

— Dobrze, czemu nie.

Stewardesa nadal tkwiła obok nich. Kiwnęła przyzwalająco głową.

— Wydawało mi się — powiedziała Christine — że Casey będzie oglądała sobie widoki z góry, ale chyba jej to nie interesuje. Poza tym wszystko zasłania skrzydło.

Jim nie mógł pojąć, dlaczego ogarnęła go fala ulgi, kiedy zgodziła się na zmianę miejsc, ale ostatnio wiele rzeczy napawało go niewytłumaczalnymi uczuciami.

— Dobra, wspaniale. Dzięki, Christine.

Kiedy cofnął się, aby umożliwić Christine Dubrovek podniesienie się, zauważył pasażerkę z następnego fotela. Biedna kobieta panicznie bała się latania. Dzierżyła przed nosem egzemplarz „Vis a Vis”; próbując zabić strach, skupiła się na lekturze, ale ręce trzęsły się jej tak mocno, że magazyn bezustannie szeleścił.

— Gdzie siedzisz?

— Tam, przy drugim przejściu, rząd szesnasty. Chodź, pokażę ci.

Wziął jej bagaż podręczny, podczas kiedy razem z Casey zbierała pozostałe drobiazgi; ruszył pierwszy ku przodowi samolotu, w kierunku prawego przejścia. Casey weszła w rząd szesnasty, jej matka za nią.

Zanim usiadł, coś kazało mu spojrzeć w poprzek szerokiego kadłuba na dręczona aerofobią kobietę, którą zostawili za sobą w rzędzie dwudziestym trzecim. Opuściła przed sekundą magazyn. Patrzyła na niego. Znał ją.

Holly Thorne.

Patrzył na nią, oszołomiony.

— Steve? — odezwała się Christine Dubrovek.



Siedząca w drugim kącie samolotu reporterka dostrzegła spojrzenie Jima. Zamarła i gapiła się w niego rozszerzonymi oczami. Jak łania oślepią reflektorami samochodowymi.

— Steve?

Popatrzył w dół na Christine i powiedział:

— Mm, przepraszam na sekundkę, Christine. Tylko moment. Zaraz wracam. Zaczekaj tu. Dobra? Zaczekaj, nie ruszaj się stąd.

Ruszył jeszcze raz do przodu w poprzek, do prawego przejścia.

Serce biło mu młotem. Lęk ścisnął gardło. Ale dlaczego? Nie bał się Holly Thorne. Od razu zorientował się, że jej obecność nie była kwestią przypadku, że wpadła na trop jego tajemnicy i śledziła go. W tym momencie jednak nie dbał o to. Odsłonięcie, zde-maskowanie — to go nie przerażało. Nie miał zielonego pojęcia, co wzbudziło w nim lęk, lecz rósł on i wkrótce mógł osiągnąć poziom, powyżej którego adrenalina zacznie tryskać mu uszami.

Kiedy zbliżał się ku reporterce, zaczęła się podnosić. Potem jej twarz przybrała wyraz rezygnacji i usiadła. Tak jak zapamiętał, jej uroda nadal przyciągała uwagę, chociaż cienie pod oczami świadczyły o niewyspaniu.

Kiedy dotarł do rzędu dwudziestego trzeciego, powiedział:

— Chodź.

Wyciągnął rękę. Nie podała mu własnej.

— Musimy pogadać — powiedział.

— Gadać możemy tu.

— Nie, nie możemy.

Stewardesa, która zwróciła mu uwagę, że blokuje przejście, zbliżała się powtórnie.

Kiedy Holly nie podała mu ręki, złapał ją za ramię i przynaglił do powstania, mając nadzieję, że nie będzie zmuszony wywlekać jej z fotela. Stewardesa prawdopodobnie już wzięła go za jakiegoś perwersyjnego szejka, który organizuje sobie harem, przeganiając najładniejsze kobiety na prawą stronę kadłuba samolotu. Na szczęście reporterka podniosła się bez dalszych protestów.

Zaprowadził ją do tyłu, do toalety, wepchnął do środka. Obejrzał się, myśląc, że stewardesa odprowadza go wzrokiem, jednak była zajęta innym pasażerem. Wszedł za Holly do małej kłitki i zatrzaskał drzwi.

Wcisnęła się w kąt, usiłując zachować jak największą odległość, ale nadal tkwili tam dosłownie nos w nos.

— Nie boję się ciebie — powiedziała.

— Dobrze. Nie ma powodu.

Metalowe ściany toalety wibrowały wyraźnie. Głębokie buczenie silników było donośniejsze niż w kabinie pasażerskiej.

— Czego chcesz? — spytała.

— Masz robić dokładnie to, co ci powiem.

Zmarszczyła brwi.

— Posłuchaj, ja...

— Dokładnie, co ci powiem i bez żadnego gadania, nie ma teraz na to czasu — rzekł ostro, zastanawiając się, o co mu, do diabła, chodzi.

— Wiem wszystko o tobie...

— Nie obchodzi mnie, co wiesz. To teraz nieistotne.

Spojrzała z obawą.

— Trzęsiesz się jak liść.

Nie tylko się trząsał, ale spływał potem. W toalecie było raczej chłodno, lecz czuł, jak krople potu występują mu na czoło. Cienka strużka przebiegła mu po prawej skroni, ominęła kącik oka.

— Masz iść na dziób samolotu — mówił teraz bardzo szybko — siąść przede mną, tam jest kilka wolnych foteli.

— Ale ja...

— Nie możesz zostać tam, gdzie siedzisz, w rzędzie dwudziestym trzecim, nie ma mowy.

Nie ustępowała łatwo, miała własne zdanie i nie była przyzwyczajona, aby jej rozkazywano.

— Tam jest mój fotel. Dwadzieścia trzy H. Nie możesz mnie wywlec...

— Jak tam siądziesz — odezwał się zniecierpliwiony — zginiesz.

Nie wyglądała na bardziej zdumioną niż on sam — i to dopiero było cholernie zdumiewające.

— Zginę? O co ci chodzi?

— Nie wiem. — Ale nagle wiedza napłynęła samoistnie. — Och, Jezu. O mój Boże. Spadniemy.

— Co?

— Samolot. — Teraz jego serce uderzało szybciej, niż obracały się skrzydła turbiny wielkiego silnika, utrzymującego ich w powietrzu. — Na dół. Na sam dół.

Widział, jak jej niewiedza ustępuje miejsca straszliwemu zrozumieniu.

— Roztrzaskamy się?

— Tak.

— Kiedy?

— Nie wiem. Niezadługo. Za rzędem dwudziestym prawie nikt nie przeżyje. — Nie wiedział, co powie, dopóki tego nie wymówił, i własne słowa napawały go przerażeniem. — Wyższy procent uratowanych będzie w pierwszych dziewięciu rzędach, ale nie za dobry, wcale nie za dobry. Musisz się przenieść do mojej części.

Samolot zadygotał.

Holly zeszytniała i rozejrzała się wokół z obawą, jakby spodziewając się, że ściany toalety zawalą się na nich.

— Turbulencja — powiedział. — Tylko turbulencja. Mamy jeszcze... parę minut.

Widać było, że dowiedziała się o nim dość, by uwierzyć jego przeczuciom. Nie zgłaszała żadnych sprzeciwów.

— Nie chcę umierać.

Jim jeszcze bardziej ponaglał ją za ramiona.

— Dlatego musisz podejść do przodu, sięść blisko mnie. Nikt nie zginie od dziesiątego do dwudziestego rzędu. Będą ranni, paru ciężko, ale w tej części nikt nie zginie, a wielu wyjdzie z tego bez szwanku. Na litość boską, chodźmy.

Złapał za klamkę.

— Poczekaj. Musisz powiedzieć pilotowi.

— To nic nie da — odparł, potrząsając przecząco głową.

— Może on da radę coś zrobić, zapobiec temu, co ma nastąpić.

— Nawet gdyby tak było, nie uwierzy mi... Nie wiem, co mam mu powiedzieć. Wiem, że spadniemy, owszem, lecz nie wiem dlaczego. Zderzenie, zmęczenie materiału, bomba na pokładzie — niewykluczone, że wszystko się zdarzy.

— Jeśli jesteś jasnowiedzem, może dowiesz się więcej szczegółów, spróbuj.

— Skoro uważasz mnie za jasnowiedza, to wiesz o mnie mniej, niż ci się zdaje.

— Musisz spróbować.

— Och, moja pani, spróbowałbym, spróbowałbym, do cholery, gdyby to coś dało. Ale nic z tego.

Na jej twarzy przerażenie walczyło z ciekawością.

— Jeżeli nie jesteś jasnowiedzem — to kim?

— Narzędziem.

— Narzędziem?

— Czegóż lub kogoś, kto mnie używa.

DC-10 zadrżał powtórnie. Zamarli, ale samolot nie poszedł gwałtownie w dół. Dalej leciał spokojnie. Trzy wielkie silniki buczały. To była jedynie kolejna turbulencja.

Złapała go za ramię.

— Nie możesz pozwolić, żeby ci wszyscy ludzie zginęli! Poczucie winy jak potężne imadło zmiażdżyło mu piersi, żołądek ścisnął się jak wyżęty. Przeszył go ból na myśl, że w jakiś sposób będzie sprawcą zgonów, które nastąpią.

— Jestem tu po to, żeby uratować tamtą kobietę i dziewczynkę, nikogo innego — powiedział.

— To potworne.

— Wcale nie podoba mi się to bardziej niż tobie, ale tak to wygląda — odparł, otwierając drzwi toalety.

Nie puściła jego ramienia. Szarpnęła wściekle. Może widziała obraz zmasakrowanych ciał, rozrzuconych po ziemi wśród dymiących szczątków wraku.

— Nie możesz pozwolić, żeby ci wszyscy ludzie zginęli — powtórzyła.

— Albo idziesz ze mną, albo giń z nimi — rzekł zniecierpliwiony.

Wyszedł z toalety i ona podążyła za nim, ale nie wiedział, czy zamierza mu towarzyszyć do jego części. Modlił się do Boga, żeby tak było. Naprawdę nie można go było obarczać winą za śmierć wszystkich ludzi, którzy mieli tu zginąć. Umarliby, nawet gdyby nie wszedł na pokład. To było im przeznaczone, a on nie został tu posłany, żeby zmienić ich przeznaczenie. Nie mógł uratować całego świata i musiał polegać na mądrości tej jakiejś wyższej potęgi, która nim kierowała. Ale bez wątpienia odpowiadałby za śmierć Holly Thorne. Ona nigdy nie znalazłaby się na pokładzie DC-10, gdyby niechcący nie przywiódł jej za sobą.

Idąc do przodu wzdłuż lewego korytarza, popatrzył na moment w okna i widniejący za nimi błękit nieba. Aż nazbyt wyraźnie dotarło do niego, że pod stopami rozpościera się ziejająca pustka, i żołądek fiknął mu kozła.

Kiedy dotarł do swojego miejsca w rzędzie szesnastym, ośmielił się obejrzeć. Poczłł niezmierną ulgę na widok Holly idącej tuż za nim.

Wskazał na kilka wolnych foteli bezpośrednio za miejscami zajmowanymi przez niego i Christine. Holly potrząsnęła przecząco głową.

— Tylko jeżeli siądziesz ze mną. Musimy pogadać.

Spojrzał na Christine, potem na Holly. Wyraźnie czuł, że czas biegnie szybko jak woda spływająca w dół rurą. Zbliżał się potworny moment uderzenia. Miał ochotę złapać reporterkę, wepchnąć ją w fotel, założyć pasy i zatrasnąć kłódkę. Ale pasy bezpieczeństwa nie mają kłódek.

Niezdolny ukryć krańcowego rozdrażnienia, powiedział do niej przez zaciśnięte zęby:

— Moje miejsce jest z nimi. — Miał na myśli Christine i Casey. Nie podnosił głosu, tak jak Holly, ale pasażerowie zaczęli im się przyglądać.

Christine spojrzała na niego niespokojnie. Wyciągnęła szyję, żeby obejrzeć się na Holly, i spytała:

— Czy coś jest nie tak, Steve?

— Nie. Wszystko gra — skłamał.

Znów spojrzał w okna. Błękitne niebo. Rozległe. Puste. Jaka odległość dzieli ich od ziemi?

— Nie wyglądasz za dobrze — oceniła Christine.

Poczłł, że na twarzy nadal ma tłustą maskę potu.

— Trochę tu za gorąco. Hm, wiesz, wpadłem na przyjaciółkę z dawnych lat. Dasz mi jeszcze parę minut?

— Jasne, jasne — odrzekła z uśmiechem Christine. — Dalej przeglądam w myślach listę najodpowiedniejszych kandydatek.

Przez moment nie wiedział, o czymże ona, do diabła, bredzi. Potem przypomniał sobie: poprosił, aby została jego swatką.

— Dobra — powiedział. — Wspaniale. Pogadamy, jak wrócę, Christine.

Wskazał Holly miejsce w rządzie siedemnastym. Zajął fotel od strony przejścia, u jej boku.

Po drugiej stronie Holly rozsiadła się kobieta w mocno zaawansowanym wieku, o wymiarach balii, spowita w suknię w kwiaty. Miała siwe włosy z niebieskimi pasemkami, gęsto pozwijane w masę loczków. Spała, lekko pochrapując. Okulary w złotej oprawce, zawieszane na łańcuszku, spoczywały na jej olbrzymim biuście, opadając i wznosząc się zgodnie z rytmem oddechu.

— Nie możesz pozwolić, żeby ci wszyscy ludzie umarli — powiedziała Holly, pochylając się do niego i ścisząc głos tak, że nie mógł dolecieć na drugą stronę przejścia, choć brzmiało w nim roznamiętnienie wieczowego polityka.

— Już raz to przerabialiśmy — syknął z rozdrażnieniem, równie cicho jak ona.

— Jesteś za to odpowiedzialny...

— Jestem tu sam!

— Ale jesteś kimś zupełnie wyjątkowym.

— Nie jestem Bogiem — powiedział żałośnie.

— Porozmawiaj z pilotem.

— O Jezu, jakaś ty uparta.

— Powiedz, co tu się szykuje — szepnęła.

— Nie uwierzy mi.

— Więc ogłoś to pasażerom.

— W tej sekcji nie ma dość miejsca, żeby wszyscy mogli się przenieść.

Była opanowana, ale w jej głosie czuł wściekłość tak intensywną, że nie był zdolny oderwać od niej wzroku ani zlekceważyć jej słów. Położyła mu dłoń na ramieniu, ścisnąc aż do bólu.

— Do cholery, może oni mogliby jakoś się uratować.

— Tylko wpadną w panikę.

— Jeżeli możesz uratować więcej ludzi, ale pozwolisz im umrzeć, to będzie morderstwo — szepnęła z naciskiem. Płomyki gniewu żarzyły jej się w oczach.

To oskarżenie było jak mocne uderzenie, jak walnięcie młotem w pierś. Dech mu zaparło. Kiedy przemówił, głos mu się łamał:

— Nienawidzę śmierci, tego, że ludzie umierają, nienawidzę. Chcę ratować ludzi, oszczędzić im tego całego cierpienia, pomóc życiu trwać dalej, ale nie mogę przeskoczyć samego siebie.

— Morderstwo — powtórzyła.

To, co w tej chwili robiła, było wstrętne. Nie mógł unieść ciężaru odpowiedzialności, jaki usiłowała wcisnąć mu na ramiona. Jeżeli wyratuje te Dubrovec, dokona dwóch cudów. Uratuje matkę i córkę przed przedwczesną śmiercią, jaką gotował im los.

Ale Holly Thorne, nieświadoma jego możliwości, nie mogła zadowolić się dwoma cudami, chciała trzech, czterech, pięciu, dziesięciu, stu. Czuł przeogromny ciężar walący mu się na ramiona, ciężar tego całego cholernego samolotu wciskający go w ziemię. Nie miała prawa go obwiniać, to nieuczciwe. Jeżeli miała ochotę kogoś obwiniać, najpierw powinna cisnąć oskarżeniami w Boga, gdyż to jego drogi były niezbadane, to on uznał za niezbędne zniszczyć ten samolot.

— Morderstwo. — Jeszcze mocniej wbiła mu palce w ramię.

Jej gniew był jak słoneczny żar odbijający się od metalowej powierzchni. Odbijający. Nagle uświadomił sobie, że ten obraz jest dokładnym freudowskim wyobrażeniem jego emocji. Gniew, który u niej wywołał, nie chcąc uratować wszystkich pasażerów, był tak silny, jak jego gniew na własną bezsilność; jej wściekłość stanowiła odbicie jego wściekłości.

— Morderstwo — powtórzyła, wyraźnie świadoma efektu tego oskarżenia.

Spojrzał w piękne oczy Holly i zapragnął ją uderzyć, grzmotnąć w twarz, strzelić z całej siły, przyłożyć tak, żeby straciła przytomność. Niech przestanie wygłaszać jego myśli. Była zbyt spostrzegawcza. Nienawidził jej za to, że miała rację.

Zamiast uderzyć, wstał.

— Dokąd idziesz? — spytała ostro.

— Porozmawiać z kimś z obsługi pasażerów.

— O czym?

— Wygrałaś, wystarczy? Wygrałaś.

Podążając w kierunku ogona samolotu, Jim spoglądał na twarze mijanych pasażerów i myślał, że wielu z nich wkrótce umrze, ścinała mu krew w żyłach. W miarę jak rosła jego rozpacz, wyobrażenia też pracowały na wysokich obrotach. Widział, jak pod skórą czaszek świecą kości, przebłyскуюją poprzez ciało. Żywe trupy. Strach wywołał w nim mdłości. Strach nie o siebie, ale o nich.

Samolot podskoczył i zatańczył w jakimś prądzie powietrza. Jim złapał się oparcia fotela. Ale to nie było nic poważnego.

Pracownicy obsługi zgromadzeni głębiej, w tyle samolotu, w pomieszczeniu roboczym, przygotowywali się do wydawania tacek z lunchem. Była to niejednorodna grupa: mężczyźni i kobiety, część koło dwudziestki, niektórzy prawie pięćdziesięcioletni.

Jim podszedł do najstarszej kobiety. Zgodnie z identyfikatorem przypiętym do piersi miała na imię Evelyn.

— Muszę pomówić z pilotem — powiedział, starając się mówić cicho, mimo że najbliżsi pasażerowie siedzieli daleko.

Jeżeli Evelyn została zaskoczona jego żądaniem, nie pokazała tego. Uśmiechnęła się tak, jak je nauczono.

— Przykro mi, proszę pana, ale to nie jest możliwe. Sądzę, że mogę panu pomóc w każdym kłopotcie...

— Proszę posłuchać, byłem w toalecie i słyszałem coś złego — kłamał. — Silnik nie powinien wydawać takiego hałasu.

Jej uśmiech poszerzył się, choć stracił na szczerości. Wrzuciła program „uspokój-nerwowego-pasażera”.

— Cóż, rozumie pan, jest rzeczą absolutnie normalną, że podczas lotu odgłos pracy silników zmienia się zależnie od szybkości i...

— Wiem. — Usiłował zrobić na niej wrażenie rozsądnego faceta, którego ona musi wysłuchać. — Mam zaliczone dużo godzin w powietrzu. Ale to było coś innego. — i znów nakłamał: — Znam silniki samolotowe, pracuję dla McDonnella Douglasa. Zaplanowaliśmy i zbudowaliśmy DC-10. Znam ten samolot, ten hałas był zły.

Jej uśmiech zaczął przygasać, najprawdopodobniej nie dlatego, że zaczęła poważnie traktować jego ostrzeżenie, ale dlatego że uznała go za bardziej pomysłowego aerofoba od większości panikarzy.

Pozostali członkowie obsługi przerwali przygotowanie lunchu i wpatrywali się w niego, bez wątplenia dociekając, jakie kłopoty oczekują ich z jego strony.

— Naprawdę wszystko działa, jak powinno. Może jakaś turbulencja...

— To tylny silnik — powiedział. Tym razem nie było to kłamstwo. Nadeszła iluminacja i pozwalał niewiadomemu źródłu wiedzy przemawiać przez siebie. — Łożysko turbiny zaczyna się rozpadać. Jeżeli same łopatki zaczną się wykruszać, to inna sprawa, pojedyncze kawałki zostaną w środku, ale jeżeli rozleci się cały układ napędu sprężarki, jeden Bóg wie, co nas czeka.

Jego obawy miały na tyle nietypowe podłoże, że nie robił wrażenia zwykłego aerofoba i wszyscy stewardzi i stewardesy wpatrywali się w niego jeśli nie z szacunkiem, to przynajmniej z rosnącą uwagą.

— Wszystko jest w porządku — powiedziała Evelyn. — Ale nawet jeżeli stracimy jeden silnik, możemy lecieć na dwóch.

Jim był podniecony. Wyższa moc, jaka nim kierowała, widocznie zdecydowała się udostępnić mu informacje niezbędne do przekonania tych ludzi. Może da się jednak coś zrobić, żeby uratować wszystkich. Kontynuował spokojnie.

— Ten silnik waży dwadzieścia ton, to prawdziwy potwór i kiedy się rozwała, zamienia się w bombę. Sprężarki wystrzelą w tył setki łopatek z tytanu, łożysko, nawet kawałki wirnika wybuchną na zewnątrz jak szrapnel, wybijając dziury w silniku, rozpieprzając stery kierunkowe i wysokościowe... Cały ogon może się rozsypać.

— Może ktoś powinien poinformować o tym kapitana Delbaugha — odezwała się jedna ze stewardes.

Evelyn nie zgłosiła zastrzeżeń.

— Znam te silniki — powiedział Jim. — Mogę mu wszystko wytłumaczyć. Nie musicie mnie prowadzić do kabiny pilotów, dajcie mi tylko z nim pogadać przez interkom.

— Jesteś z McDonnella Douglasa? — upewniła się Evelyn.

— Tak. Byłem tam inżynierem przez dwanaście lat — skłamał.

Nie za bardzo ufała swojej wiedzy na temat budowy samolotów. Prawie przeszła na jego stronę.

— Wasz kapitan powinien wyłączyć silnik numer dwa — mówił z rosnącą nadzieją Jim. — Jeżeli go zamknie i będzie dalej leciał na pierwszym i trzecim, uda się nam. Wszyscy wylądujemy żywi.

Evelyn spojrzała na pozostałych członków obsługi i paru z nich pokiwało zachęcająco głowami.

— Chodźmy — przyznał Jim. — Zostało mało czasu. Wyszedł za nią z pomieszczenia obsługi i skierowali się ku przodowi prawym korytarzem, mijając fotele drugiej klasy.

Eksplozja zakołysała samolotem.

Evelyn upadła na podłogę. Jimem również rzuciło w przód. Złapał się fotela. Nie chciał przygnieść stewardesy.

Wykonał zbyt gwałtowny ruch i upadł na bok, na jednego z pasażerów. Potem stoczył się na podłogę. Samolot zaczął przewalać się z boku na bok. Jim usłyszał, jak tacki z lunchem walą się za nim na podłogę, ludzie krzyczą, zaskoczeni i przerażeni. Rozległ się pojedynczy wrzask. Kiedy niezdarnie próbował wstać, samolot zanurkował i zaczęli tracić wysokość.

Gdy Holly wstała ze swojego fotela, usiadła obok Christine Dubrovek i przedstawiła się jako przyjaciółka Steve'a Harkmana, samolotem wstrząsnęła potężna, paraliżująca fala uderzeniowa. Holly niemal została wysadzona z nowego miejsca. W sekundę później dało się słyszeć solidne bump, zupełnie jakby na coś wpadli.

— Mamusiu! — Casey miała zapięty pas, chociaż nie było to wymagane. Nie rzuciło jej do przodu, ale książeczka z trzaskiem upadła na podłogę. W oczach dziewczynki pojawił się lęk.

Samolot zaczął tracić wysokość.



— Mamusiu?

— Wszystko w porządku — powiedziała Christine, wyraźnie usiłując przed córką ukryć lęk. — To tylko turbulencja, taka dziura w powietrzu.

Spadali szybko.

— Nic się wam nie stanie — wtrąciła Holly, pochylając się przed Christine, aby mieć pewność, że jej mała córeczka usłyszy te słowa. — Obu wam nic nie grozi, jeżeli zostanieie na tych miejscach i nie będziecie się ruszać. Pamiętajcie, nie ruszajcie się z tych foteli.

Spadali jak kamień... trzysta metrów... sześćset metrów...

Holly gorączkowo zapięła pasy.

...dziewięćset... tysiąc dwieście...

Pasażerowie na moment dali się ponieść fali grozy i paniki. Ale szybko zapanowała absolutna cisza. Uchwycili się oparc i czekali w niepewności, czy ten cholerny samolot uniesie się na czas — lub opadnie pod jeszcze bardziej stromym kątem.

Ku zdumieniu Holly dziób z wolna zaczął się podnosić. Samolot wyrównywał wysokość.

Ogólne westchnienie ulgi i pochwalny szmer przeleciały przez kabinę.

Holly obróciła się i uśmiechnęła szeroko do Christine i Casey.

— Nic nam się nie stanie. Wyjdziemy z tego cało.

W głośnikach zabrzmiał głos kapitana. Okazało się, że stracili jeden silnik. Kapitan zapewnił ich, że bez kłopotów mogą lecieć na pozostałych dwóch, chociaż dał do zrozumienia, że ze względu na stuprocentowe bezpieczeństwo mogą zostać zmuszeni do lądowania bliżej niż na O'Hare.

W chwilę później w przejściu między fotelami pojawił się Jim Ironheart. Kucnął obok Holly. Plamka krwi błyszczała mu w kąciu ust; musiał zostać nieco sponiewierany podczas kołysania.

Czuła taką radość i ulgę, że miała ochotę go pocałować, ale powiedziała jedynie:

— Powiodło ci się, jakoś zmieniłeś los. Jest inaczej, niż miało być.

Spojrzał ponuro.

— Nie.

Zbliżył twarz do jej twarzy. Mogli rozmawiać szeptem jak poprzednio, chociaż podejrzewała, że Christine Dubrovec musiała nieco słyszeć.

— Za późno — powiedział.

Holly poczuła się tak, jakby ktoś grzmotnął ją w żołądek.

— Przecież wyrównaliśmy.

— Kawalki rozlatującego się silnika wyrwały dziury w ogonie. Zniszczyły większość przewodów hydraulicznych. Podziurawiły inne. Niedługo samolot straci sterowność.

Przed chwilą strach stopniał. Teraz powrócił jak kryształowy lodu formujące się w skorupę na szarej powierzchni zimowego stawu.

Spadną.

— Wiesz dokładnie, co się stało, więc powinieneś być obok kapitana, nie tutaj.

— Jest po wszystkim. Poszedłem za późno.

— Nie. Nigdy...

— Już nic nie mogę zrobić.

— Ale...

Pojawiła się stewardesa. Wyglądała na wstrząśniętą, jednak głos jej nie drżał.

— Proszę pana, proszę wrócić na swoje miejsce.

— W porządku, już ruszam — powiedział Jim. Uścisnął jeszcze dłoń Holly. — Nie bój się. — Spojrzał na Casey i Christine. — Nic się wam nie stanie.

Cofnął się do rzędu siedemnastego, tuż za Holly. Okropne było stracić go z oczu. Sam jego widok podnosił ją na duchu.

Przez dwadzieścia sześć lat miejscem pracy kapitana Sleightona Delbaugha były kokpity samolotów linii cywilnych. Przez ostatnie osiemnaście lat zajmował fotel pilota. Spotkał się z wieloma kłopotami i dawał sobie z nimi radę. Parę z nich było na tyle poważnych, że należałoby zaliczyć je do sytuacji krytycznych. Stosował się do bezwzględnych zaleceń United Airlines i poddawał się okresowym testom egzaminacyjnym. Uważał, że jest przygotowany na wszystko, co może zdarzyć się nowoczesnemu samolotowi, ale nie mógł wprost pojąć, co dzieje się podczas lotu nr 246.

Po tym, jak silnik numer dwa wysiadł, samolot samoistnie zaczął spadać, a urządzenia sterujące stawiały coraz większy opór. Jednak udało im się wyrównać wysokość i wyraźnie zmniejszyć tempo utraty wysokości.

— Schodzimy w prawo — zameldował Bob Anilov, czterdziestotrzyletni pierwszy oficer Delbaugha, doskonały pilot. — Dalej schodzimy w prawo. Mamy blokadę sterów, Slay.

— Zgłaszam częściową awarię układu hydraulicznego — powiedział Chris Lodden, inżynier pokładowy. Był najmłodszy z trójki. Każda stewardesa robiła do niego słodkie oczy, częściowo dlatego, że jego twarzyczka wiejskiego niewinnego chłopca dodawała mu wiele uroku, ale głównie z powodu lekkiej nieśmiałości, cechy zupełnie niezwyklej u supersamców, za jakich w większości uważali się piloci. Chris siedział za Anilovem; kontrolował układy mechaniczne.

— Schodzimy coraz mocniej w prawo — poinformował Anilov.

— To nie jest częściowa awaria — powiedział Chris Lodden, postukując we wskaźniki, jakby nie mógł uwierzyć w to, co mu zgłaszały. — Ale jak to możliwe?

DC-10 miał trzy układy hydrauliczne i doskonały układ awaryjny. Nie mogło wyjść wszystko naraz. Ale wysiadło.

Pete Yankowski — łysiejący, z rudym wąsikami instruktor z ośrodka szkoleniowego United Airlines w Denver — siedział razem z załogą. Leciał do Chicago w odwiedziny do brata. Jako OMC — obserwator pracy załogi — miał swoje miejsce na strapontenie mieszczącym się tuż za kapitanem. Dosłownie siedział mu na ramieniu.

— Rzucę okiem na tył, oszacuję straty — powiedział.

— Możemy już tylko sterować mocą silników — rzekł po wyjściu Yankowskiego Lodden.

Kapitan Delbaugh wpadł na to wcześniej. Zmniejszył moc prawego silnika, zwiększając drugiego — lewego. Chciał wyciągnąć ich w ten sposób z niepożądanego skrętu. Kiedy zejść za bardzo w lewo, dołożył mocy na prawy i w ten sposób naprowadził na pożądaną kurs.

Z pomocą stewarda Delbaugh ustalił, że wewnętrzne i zewnętrzne stery wysokości na ogonie są zniszczone, martwe, bezużyteczne. Przykadłubowe lotki na skrzydłach nie działają. Zewnętrzne lotki nie działały. Tak samo kłapy i spoilery.

Rozpiętość skrzydeł DC-10 przekraczała czterdzieści siedem metrów. Kadłub miał przeszło pięćdziesiąt metrów długości. To było coś więcej niż samolot, to był statek powietrzny, doskonale pasował do definicji jumbo jeta. Teraz mogli nim sterować jedynie dwoma silnikami General Electric/Pratt & Whitney. Niewiele się to różniło od kierowania rozpędzonym samochodem poprzez rozpaczliwe kiwanie się na boki, żeby przeniesieniem ciężaru ciała wpływać na kierunek jazdy.

Minęło parę chwil od awarii tylnego silnika, ale nadal utrzymywali się w powietrzu.

Holly wierzyła, że jakiś Bóg istnieje. Nie dlatego, że miałoby jej to zapewnić późniejszą, duchową egzystencję, ale głównie dlatego, iż jego brak stwarzał zbyt ponurą wizję świata. Wychowała się w rodzinie metodystów, przez jakiś czas chciała przejść na katolicyzm, lecz nigdy nie potrafiła się zdecydować, ku jakiemu bóstwu ma się skłonić. Czy ma to być Bóg dystyngowany i szacowny, jak to sobie wyobrażały niektóre sekty protestantów, czy bardziej uczuciowy jak Bóg katolików, czy w ogóle jakiś inny. W codziennym życiu nie zwracała się o pomoc do niebios i modlitwę przed posiłkiem odmawiała, jedynie odwiedzając rodziców w Filadelfii. Byłaby we własnych oczach hipokrytką, gdyby teraz pogrążyła się w modlitwie, niemniej żywiła nadzieję, że Bóg niezależnie od rodzaju i stosunku do wyznawców jest w łaskawym nastroju i obserwuje ich DC-10.

Christine czytała Casey książeczkę, wzbogacając zabawnymi komentarzami przygody zwierzęcych bohaterów i usiłując wymazać z pamięci córki głośny huk eksplozji i spadanie. Intensywność, z jaką skupiła uwagę na dziecku, zdradzała jej rzeczywiste uczucia; bała się i wiedziała, że najgorsze mają dopiero przed sobą.

Z każdą minutą Holly ogarniały coraz głębsze wątpliwości. Nie potrafiła uwierzyć słowom Jima Ironhearta. Nie chodziło tu o los jej, jego, czy matki i córki Dubrovek. Udowodnił, stając w szranki z przeznaczeniem, że stać go na niezwykle sukcesy, i Holly nawet wierzyła, że przeżyje katastrofę, jeśli tylko będzie siedzieć w drugiej klasie. Ale czuła wątpliwości, musiała je czuć w obliczu nadciągającej masakry reszty pasażerów. Nie mogła znieść myśli o tym, że starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, niewinni i obciążeni grzechami, moralni i niemoralni, życzliwi i podli umrą w tej samej katastrofie, stłoczeni w jedną masę, roztrzaskując się o jakąś dziką skałę lub spadając na łąkę pełną polnych kwiatów; utoną w płonącym morzu paliwa lotniczego i żadne względy nie czekają tych, których żywot cechowała uczciwość i szacunek wobec bliźnich.

Nad Iowa lot 246 znalazł się poza zasięgiem ośrodka kontrolnego Minneapolis, następnym po ośrodku Denver, i wszedł w obszar ośrodka Chicago. Nie mogąc odzyskać władzy nad układem hydraulicznym, kapitan Delbaugh połączył się z kontrolerem United Airlines i z Chicago. Zażądał pozwolenia na zmianę kursu z O'Hare na najbliższe duże lotnisko, którym okazało się Dubuque, Iowa. Dostał je bez problemu. Oddał stery Anilowowi, aby wraz z Chrisem Loddenem móc skoncentrować się nad znalezieniem sposobu wyjścia z opresji.

Zaczął od połączenia się z Bazą Remontową Jednostek Powietrznych (SAM), mieszczącą się na lotnisku w San Francisco. SAM było centralnym ośrodkiem remontowym United Airlines, zatrudniającym ponad dziesięć tysięcy ludzi ogromnym, supernowoczesnym kompleksem.

— Mamy tu trudności — spokojnie poinformował ich Delbaugh. — Całkowita wysiadka hydrauliki. Możemy jeszcze chwilę polatać, ale bez możliwości manewru.

W SAM, poza pracownikami United Airlines, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę znajdowali się eksperci reprezentujący dostawcę każdego modelu samolotu aktualnie eksploatowanego przez linię. Był tam również przedstawiciel General Electric, budującego silniki CF-16, i ekspert od McDonella Douglasa, firmy, która zaprojektowała i zbudowała DC-10. Pracownicy SAM mieli pod ręką instrukcje, księgi oraz ogromny zbiór danych komputerowych dotyczących każdego samolotu, a także wyczerpujące opisy przeglądów i napraw każdej jednostki floty United Airlines. Delbaugh i Lodden mogli dowiedzieć się o każdej mechanicznej usterce, jaka zdarzyła się kiedykolwiek ich samolotowi, o szczegółach ostatniego przeglądu, a nawet o naprawach tapicerki — dosłownie o wszystkim, poza bilonem, jaki podczas ostatnich dwunastu miesięcy wypadł z kieszeni pasażerów i znalazł się w szparach foteli.

Delbaugh również żywił nadzieję, że dowie się, jak, u diabła, ma manewrować samolotem wielkości budynku mieszkalnego, pozbawionym sterów wysokościowych i kierunku, lotek oraz innych elementów niezbędnych do kontrolowania lotu. Nawet najdo-

kładniejsze programy nauki lotów opierały się na założeniu, że podczas katastrofy pilot zachowa pewien zakres kontroli. Od tego były układy awaryjne. W pierwszych chwilach ludziom w SAM nie mogło w ogóle pomieścić się w głowach, że cała hydraulika odmówiła posłuszeństwa. Sądzieli, że chodzi o częściową awarię. W końcu musiał na nich warknąć, żeby przestali się łudzić. Pożałował tego mocno. Nie z powodu złamania tradycji. Oczywiście w razie niebezpieczeństwa piloci zawsze powinni zachować profesjonalny chłód. Ale gniew, który słyszał w swoim głosie, zaniepokoił go z innego powodu: trudniej było teraz wierzyć we własny spokój.

Pete Yankowski, instruktor pilotażu z Denver, wrócił ze swojej wyprawy do tylnej sekcji i zgłosił, że przez okno zobaczył czterdziestopięciocentymetrową dziurę w poziomej części ogona.

— Jest tam prawdopodobnie o wiele poważniejsze uszkodzenie. Wyobraźcie sobie, że szrapnel rozerwał tylną sekcję za przegrodą, tam gdzie znajdują się układy hydrauliczne. Przynajmniej utrzymaliśmy ciśnienie.

Delbaugh poczuł nieprzyjemny skurcz wnętrzości. Bezpieczny powrót dwustu pięćdziesięciu trzech pasażerów i dziesięciu osób załogi zależy od niego. Natrętna pamięć tego faktu nie opuszczała go, kiedy przekazywał meldunek Yankowskiego do SAM. Potem poprosił o pomoc w ustaleniu, jak kierować poważnie uszkodzonym samolotem. Nie był zaskoczony, kiedy eksperci po szybkiej konsultacji w San Francisco nie udzielili mu żadnej rady. Prosił ich o rzecz niemożliwą. Chciał, żeby powiedzieli mu, jak ma panować nad tym kolosem, nie mając żadnych normalnych urządzeń sterujących poza przepustnicami. Jemu równie niewykonalne żądanie stawiał Bóg.

Pozostawał również w kontakcie z kontrolerem United Airlines, który śledził ruch wszystkich jednostek należących do linii. Na dodatek obydwie kanały łączności — z kontrolerem i SAM — miały podsłuch w kwaterze głównej United, w pobliżu lotniska międzynarodowego O'Hare w Chicago. Wielu zainteresowanych i zaniepokojonych ludzi miało łączność radiową z kapitanem, ale ich zapas dobrych rad był równie skromny jak ekspertów w San Francisco.

— Powiedz Evelyn, żeby znalazła tamtego gościa z McDonnella Douglasa — polecił Delbaugh Yankowskiemu — o którym nam mówiła. Ściągnij go tu szybko.

Kiedy Pete powtórnie opuścił kabinę pilotów i Anilov kontynuował uparte, choć bezowocne próby uzyskania przynajmniej częściowej reakcji maszyny na stery, Delbaugh zgłosił szefowi zmiany w SAM obecność na pokładzie inżyniera z McDonnella Douglasa.

— Ostrzegł nas o kłopotach z tylnym silnikiem tuż przed awarią. Jak sądzę, wyłapał to na słuch. Sprowadzimy go do nas i zobaczymy, czy nam pomoże.

W SAM ekspert z General Electric od silników turbinowych CF-6 wyskoczył natchmiast z pytaniem:

— Co to znaczy, że wyłapał na słuch? Jak mógł to zrobić? Co to był za dźwięk?

— Nie wiem — odparł kapitan. — Nie zauważyliśmy jakichś niezwykle hałasów ani zmian wysokości tonu. Obsługa pasażerów też nic nie dosłyszała.

— To nie trzyma się kupy — zatrzeszczały w odpowiedzi słuchawki.

Specjalista od McDonnella Douglasa w SAM był równie zaskoczony, gdyż zapytał:

— Jak ten gość się nazywa?

— Dowiemy się. Na razie mamy tylko jego imię — powiedział Sleighton Delbaugh.  
— Jim.

Podczas kiedy kapitan ogłaszał pasażerom, że na skutek pewnych mechanicznych kłopotów czeka ich lądowanie w Dubuque, Jim obserwował Evelyn zbliżającą się ku niemu lewym korytarzem. Pragnąłby nie usłyszeć od niej tego, co miała mu do powiedzenia.

— ...i należy się spodziewać, że nie będzie przyjemne — zakończył kapitan.

Kiedy piloci redukowali moc jednego silnika, a zwiększali drugiego, skrzydła kołysały się i samolot podskakiwał jak łódź na wzburzonym morzu. Za każdym razem, gdy to następowało, szybko wyrównywali, ale pomiędzy tymi gorączkowymi korektami kursu, kiedy mieli nieszczęście trafić na turbulencję, DC-10 nie niósł ich już z takim komfortem jak na początku lotu.

— Kapitan Delbaugh prosi pana o przejście do kabiny pilotów — rzekła Evelyn, dotarłszy do niego. Jej łagodny ton głosu i uśmiech stwarzały wrażenie, że zaprasza na miłą przekąskę z herbatą i krakersami z anchois.

Wolałby odmówić. Nie był do końca pewien, czy Christine i Casey — i Holly zresztą też — bez jego pomocy przeżyją upadek i jego następstwa. Wiedział, że pod wpływem uderzenia o ziemię część kadłuba, obejmująca dziesięć rzędów tuż za pierwszą klasą, oderwie się od reszty i czeka ją mniejsze zniszczenie niż sekcje przednią i tylną. Zanim wmieszał się w przebieg lotu 246, wszystkim pasażerom z tych szczęśliwych foteli było przeznaczone wyjść z wypadku ze stosunkowo drobnymi obrażeniami albo nawet i bez nich. W zasadzie wiedział, że wszyscy, którym sądzone było przeżyć, przeżyją, ale nie miał pewności, czy przesunięcie Christine i Casey do środka bezpiecznej strefy wystarczy, aby odmienić ich los i zabezpieczyć przetrwanie. Być może po zderzeniu z ziemią powinien się znajdować tu, ratując je przed ogniem — czego nie dokona, jeśli będzie wówczas z pilotami.

Poza tym nie wiedział, czy załoga przeżyje. Jeżeli będzie z nimi w kabinie pilotów w momencie katastrofy...

Ale i tak poszedł z Evelyn. Nie miał wyboru — przynajmniej nie od momentu, kiedy Holly Thorne zaczęła się upierać, że może zrobić coś więcej, niż tylko uratować jedną kobietę i jedno dziecko, że może stawić czoło losowi na szerszym froncie, nie na pojedynczym odcinku. Aż za dobrze pamiętał mężczyznę umierającego w kombi na pu-

styni Mojave i trzech niewinnych ludzi zamordowanych w maju zeszłego roku w sklepie w Atlancie, ludzi, których mógł uratować razem z innymi, gdyby dane mu było pojawić się wcześniej.

Przechodząc obok rzędu szesnastego, spojrzął na matkę i córkę skulone nad książką. Potem jego oczy spotkały wzrok Holly. Widział jej niepokój.

Kierując się za Evelyn ku dziobowi, Jim czuł na sobie pełne namysłu spojrzenia. Oto, będąc jednym z pasażerów, został zaszczycony wyjątkowym przywilejem. Powodem tego było ich kłopotliwe położenie, gorsze — jak podejrzewali — niż to głośno powiedziano. Na pewno zastanawiali się, jaką to niezwykłą wiedzą musi dysponować, skoro jego obecność w kabinie stała się pożądana. Gdyby tylko wiedzieli.

Samolot znowu poszedł w dół i w górę.

Jim podpatrzył technikę Evelyn. Nie chwiała się pod wpływem przechyłu, ale próbowała go uprzedzić i kiwała w odwrotnym kierunku, przenosząc punkt ciężkości i utrzymując równowagę.

Kilku pasażerów, nie robiąc z tego wielkiej sprawy, wymiotowało do przygotowanych w tym celu papierowych torebek. Wielu innych, panując jeszcze nad mdłościami, siedziało z poszarzałymi twarzami.

Kiedy Jim wkroczył do ciasnego, wypchanego instrumentami kontrolnymi kokpitu, poraził go widok, który zastał. Inżynier pokładowy, opanowując desperację, przeglądał instrukcję. Dwaj piloci — Delbaugh i pierwszy oficer Anilov, zgodnie z tym, co mu powiedziała stewardesa, która została na zewnątrz — walczyli z urządzeniami sterującymi, usiłując naprowadzić uparcie schodzącego na prawo jumbo jeta na właściwy kurs. Aby mogli swobodnie się tym zająć, rudy, łysawy mężczyzna klęczał pomiędzy nimi, operując manetkami przepustnic pod dyktando kapitana. Używał mocy dwóch sprawnych silników, aby chociaż w ten sposób zapewnić resztkę sterowności.

— Znów tracimy wysokość — oznajmił kapitan.

Poczuł, że ktoś wszedł i obejrzał się na Jima. W sytuacji kapitana Jim pociłby się jak koń wyścigowy, ale twarz Delbaughta kryła jedynie cieniutka warstewka potu, jakby ktoś prysnął w niego zraszaczem.

— To pan? — spytał spokojnie.

— Mhm.

Delbaugh odwrócił od niego spojrzenie.

— Zmieniamy kurs — powiedział do Anilova i drugi pilot kiwnął głową. Delbaugh zarządził zmianę ciągu i mężczyzna na podłodze wykonał polecenie. Potem kapitan odezwał się do Jima, nie patrząc w jego kierunku:

— Wiedział pan o tym, co nastąpi.

— Mhm.

— Ma pan coś jeszcze do dodania?

Samolot znowu zadrżał i zakołysał się. Jim przywarł do przegrody.

— Całkowita awaria układów hydraulicznych.

— Chodziłoby mi o coś, o czym nie wiem — odparł z chłodnym sarkazmem Delbaugh. Miał prawo być wściekły, ale w godny podziwu sposób panował nad sobą. Potem połączył się z wieżą kontrolną i otrzymał nowe instrukcje.

Słuchając, Jim zrozumiał, że wieża w Dubuque zamierza naprowadzić samolot poprzez serię trzystusześćdziesięcio-stopniowych okrążeń, usiłując zrównać jego kurs z osią jednego z pasów. Piloci, pozbawieni władzy nad sterami, nie mogli sprowadzić samolotu zgodnie z normalną procedurą lądowania. Uszkodzona maszyna nabrała wariackiej tendencji nieprzerwanego skrętu w prawo. Teraz należało to wpasować w zapierający dech w piersiach plan: samolot miał zostać doprowadzony do hangaru jak wściekły byk, który uparcie stawia opór woli pasterza i biegnie do obory własną drogą. Jeżeli kąt każdego nawrotu zostanie dokładnie wyliczony i skorelowany z równie precyzyjnie wyliczonym kątem schodzenia do lądowania, może uda im się sprowadzić 246 dziobem w przód; na pas i dalej do końca.

*Zderzenie z ziemią za pięć minut.*

Jim drgnął wstrząśnięty i niemal wypowiedział te słowa, gdy do niego dotarły. Kiedy kapitan skończył wymianę z wieżą, spytał:

— Czy macie sprawne podwozie?

— Spuszczone i zablokowane — odrzekł Delbaugh.

— To może nam się uda.

— Musi nam się udać — powiedział kapitan. — Chyba że czeka na nas jeszcze jakaś niespodzianka.

— Czeka — oznajmił Jim.

— Jaka? — Kapitan spojrzał na niego z obawą.

*Zderzenie z ziemią za cztery minuty.*

— Po pierwsze, podczas schodzenia uderzy powiew znoszący i unikniecie wciśnięcia w ziemię. Ale odbity prąd wznoszący da wam popalić. To będzie jak fruwanie po tarce.

— O czym ty mówisz? — spytał zdenerwowany Anilov.

— Kiedy zejdziecie do podejścia i znajdziecie się kilkaset metrów od pasa, kąt nadal nie będzie wyrównany — odezwał się Jim, jeszcze raz pozwalając jakiejś wszechwładnej sile przemawiać swoimi ustami. — Ryzyko będzie ogromne, ale nie ma wyboru. Nie będzie wyboru.

— Skąd możesz o tym wiedzieć? — spytał inżynier pokładowy.

— Samolot nagle opadnie na prawo — kontynuował Jim, ignorując pytanie, słowa szybko padały mu z ust. — Skrzydło zahaczy o ziemię, parę razy przeokożołkujecie po pasie i wyrzuci was z pasa na pole. Cały ten cholerny samolot rozwali się, spłonie.



Rudy mężczyzna w cywilnym ubraniu, pracujący przy manetkach gazu, obejrzał się na Jima z niedowierzaniem.

— Co ty za gówna tu wstawiasz? Za kogo się masz, do diabła?

— On wiedział o silniku numer dwa, zanim się jeszcze rozwalił — zimno powiedział kapitan Delbaugh.

— Nikt z was, tu w kokpicie, nie zginie — mówił Jim, świadom, że wchodzi w drugie z planowanych trzech kół i że czasu ubywa w zastraszającym tempie — ale zginie stu czterdziestu pasażerów i cztery osoby z obsługi pasażerów.

— Och, mój Boże — szepnął Anilov.

— On nie może o tym wiedzieć — protestował Yankowski.

*Zderzenie z ziemią za trzy minuty.*

Delbaugh podał dodatkowe instrukcje rudemu mężczyźnie przy manetkach. Jeden z silników zaczął pracować głośniejsze, drugi ciszej i wielka maszyna rozpoczęła swój drugi skręt, tracąc równocześnie wysokość.

— Jedno ostrzeżenie. Będzie coś tuż przed tym, jak samolot polecą w prawo.

— Co? — spytał Delbaugh.

Nadal nie mógł na niego spojrzeć, usiłując zmusić stery do posłuchu.

— Nie rozpoznacie tego, to będzie taki dziwny odgłos, nieprzypominający niczego, co do tej pory słyszeliście. Pęknie szkielec na spojeniu kadłuba ze skrzydłem. Rozlegnie się ostry dźwięk, jakby uderzenie po strunach gigantycznej gitary. Kiedy się rozlegnie, dajcie natychmiast pełną moc na lewy silnik, a wówczas nie przeokożujecie podczas wyrównywania.

Anilov stracił cierpliwość.

— To jest chore. Słay, nie mogę myśleć przy tym facecie.

Jim wiedział, że Anilov ma rację. Zarówno SAM w San Francisco, jak i kontroler United Airlines od pewnego czasu milczeli, nie chcąc przeszkadzać załodze. Gdyby tu pozostał, mógłby niechętnie przeszkodzić im w krytycznym momencie. Poza tym czuł, że nie ma nic do dodania.

Wyszedł z kabiny pilotów i, jak mógł najszybciej, udał się do rzędu szesnastego.

*Zderzenie z ziemią za dwie minuty.*

Holly oczekiwała Jima Ironhearta, licząc, że dołączy do nich. Chciała, żeby był przy niej, kiedy stanie się najgorsze. Nie zapomniała przedziwnego koszmaru z ostatniej nocy: monstrowatej istoty, która zdawała się wylaniać ze snu i wkraczała do motelowego pokoju; a nie zapomniała, ilu ludzi Jim zabił podczas wypełniania swych zadań w obronie życia niewinnych istot, ani w jak okrutny sposób rozprawił się z Normanem Rinkiem w sklepie w Atlancie. Ale mroczna strona jego osobowości była o wiele słabsza niż jasna. Otaczała go aura niebezpieczeństwa, ale mimo to w jego towarzystwie czuła się dziwnie bezpiecznie, jak w opiekuńczej strefie wokół anioła stróża.

Poprzez głośniki informowano, jak zachować się w sytuacji zagrożenia życia. Jedna ze stewardes sprawdzała, czy wszyscy pasażerowie stosują się do instrukcji.

DC-10 kolejny raz kołysał się i drgał. Co gorsza, mimo że do budowy szkieletu nigdzie nie użyto drewna, trzeszczał jak żaglowiec rzucony sztormem po morzu. Niebo za oknami pozostawało błękitne, ale najwyraźniej prądy powietrzne były silne: szalały jak podczas burzy.

Teraz wszyscy pasażerowie stracili resztki złudzeń. Wiedzieli, że czeka ich twarde lądowanie w najgorszych warunkach. Może grożące śmiercią. W całym ogromnym samolocie zaległa zdumiewająca cisza. Pasażerowie siedzieli jak w katedrze na mszy. Może wyobrażali sobie własne pogrzeby.

Jim wynurzył się z sekcji klasy pierwszej i szedł lewym przejściem. Holly poczuła ogromną ulgę na jego widok. Zatrzymał się tylko, aby uśmiechem dodać odwagi matce i córce Dubrovek, i położył dłoń na ramieniu Holly, pocieszając ją uściskiem. Potem siadł w następnym rzędzie.

Samolot trafił na turbulencję gorszą niż cokolwiek do tej pory. Lot przemienił się w zjazd po blasze falistej.

Christine ujęła dłoń Holly i trzymała ją przez moment, jakby były starymi przyjaciółkami — i w przedziwny sposób zresztą były nimi naprawdę. Nadchodząca śmierć stwarza pomiędzy ludźmi takie więzi.

— Powodzenia, Holly.

— Też się trzymaj — odpowiedziała Holly.

Mała Casey obok matki wyglądała tak krucho! Nawet obsługa zajęła teraz miejsca siedzące. Stewardzi i stewardesy przyjęli pozycję, którą uprzednio zalecali pasażerom. W końcu Holly poszła za ich przykładem i przybrała ją również. Dawała największą szansę przeżycia w razie wypadku: pasy mocno zapięte, tułów pochylony w przód, głowa wepchnięta między kolana, ręce ściskające kostki.

Samolot wydostał się z podmuchów powietrza i przez moment sunął w dół jak po maśle. Ale zanim Holly zdążyła odetchnąć, całe niebo zatrzęsło się, jakby na czterech rogach nieboskłonu stanęły gremliny i trzepały nim jak kocem.

Kłapy zamykające schowki nad głowami podskakiwały. Pojemniki z kosmetykami, walizeczki, kurtki — cały podręczny bagaż sfrunął w dół. Coś, odbijając się, uderzyło Holly w środek pleców. Nic ciężkiego, ledwo to poczuła, ale nagle przestraszyła się, że kuferek z kosmetykami, wypakowany przez jakąś kobietę słoikami z kremem i tubkami fluidów spadnie pod takim kątem, że złamie jej kręgosłup.

Kapitan Sleighton Delbaugh wykrzykiwał instrukcje Yankowskiemu, który dalej kłęczał między pilotami, operując manetkami gazu, podczas kiedy oni byli zajęci utrzymaniem tej resztki sterowności, jaką dysponowali. Był przypięty pasami, ale oczekujące go twarde lądowanie nie wróżyło nic dobrego.

Wychodzili z trzeciego i ostatniego trzystusześćdziesięciostopniowego skreću. Przed nimi rozciągał się pas do lądowania i nie szli równolegle do jego płaszczyzny, tak jak Jim — cholera, wciąż miał kłopoty z zapamiętaniem nazwiska tego faceta — przewidział.

Również zgodnie z przepowiednią nieznanego schodzili w wyjątkowo silnej turbulencji, kolebiąc się i trzęsąc, jakby znajdowali się w wielkim starym autobusie z pogiętymi resorami podczas zjazdu ostrą, pełną kolein górską drogą. Delbaugh nigdy czegoś takiego nie spotkał; nawet gdyby samolot był w nienagannym stanie, musiałby bardzo uważać w trakcie lądowania przy tym zdradzieckim bocznym wietrze i potężnych prądach termicznych.

Ale nie mógł podciągnąć się i odlecieć, licząc na lepszą pogodę panującą na innym lotnisku lub poprawę lokalnych warunków. Od chwili kiedy rozleciał się tylny silnik, minęły trzydzieści trzy minuty. Przez tyle czasu utrzymali jumbo jeta w powietrzu. Było to osiągnięcie, które napawało dumą, ale umiejętności, spryt, inteligencja i żelazne nerwy nie wystarczały, żeby zanieść ich dalej. Minuta za minutą, a teraz sekunda za sekundą utrzymywanie w powietrzu przetrąconego DC-10 coraz bardziej przypominało fruwanie na litej skale. Znajdowali się jakieś dwa tysiące metrów od końca pasa. Delbaugh pomyślał o żonie i siedemnastoletnim synu, znajdujących się w domu, w Westlake Village, na północ od Los Angeles, i o drugim synu, Tomie, który jechał do Willamette, przygotowując się do studiów na pierwszym roku. Zapraagnął dotknąć ich twarzy, objąć w uścisku.

Nie bał się o siebie. No, w każdym razie nie za bardzo. Stosunkowo niewielka obawa o własne bezpieczeństwo nie wynikała z przepowiedni nieznanego, że załoga ma przeżyć. Nie wiedział, czy przepowiednie tamtego faceta zawsze się sprawdzały. Po prostu nie miał czasu zajmować się sobą. Tysiąc pięćset metrów.

Ważny był los pasażerów i załogi, tych, którzy powierzyli mu własne życie. Jeżeli w jakiejś mierze zawini brakiem zdecydowania, nerwowością lub powierzchownym rozeznaniem sytuacji, wszystko dobre, co w życiu zrobił bądź usiłował zrobić, nie wyrówna jednej, zakończonej katastrofą pomyłki. Może mieli rację ci, którzy mówili, że jest dla siebie zbyt surowy. Wiedział jednak, że wielu pilotów czuje się w takim stopniu odpowiedzialnych.

Przypomniał sobie słowa nieznanego: *zginie stu czterdziestu pasażerów...*

Ręce pulsowały mu bólem. Zaciskał dłonie na wolancie, przenoszącym gwałtowne wibracje.

*...i cztery osoby z obsługi pasażerów...*

Tysiąc dwieście metrów.

— Pcha się na prawo — powiedział Delbaugh.

— Trzymaj go! — krzyknął Anilov.

Na tak niskiej wysokości podczas lądowania wszystko było w rękach Delbaugha.

Dziesiątki nieżywych, rodziny oplakujące umarłych, niezliczone losy innych ludzi odmienione jedną tragedią.

Tysiąc sto metrów.

Ale jak ten facet, do diabła, może znać liczbę zabitych? Niemożliwe. Zgrywał się na jasnowidza czy co? To wszystko gówno prawda, Yankowski miał rację. Tak, ale wiedział, że silnik się rozleci, zanim to się stało, wiedział o turbulencjach jak tarka i tylko kretyn nie wziąłby tego pod uwagę.

Tysiąc metrów.

— No to zaczynamy — usłyszał Delbaugh własny głos.

Jimowi Ironheartowi, który zgiął się w fotelu, włożył głowę między kolana i ścisnął łydki, przyszło na myśl usłyszane gdzieś powiedzenie: a na koniec pocałujcie mnie wszyscy w dupę.

Modlił się, żeby jego działania nie zmieniły przeznaczenia: odmieniony los może wciągnie w wir nie tylko jego i tych, których miał ocalić, ale również innych ludzi z samolotu, którym nie było sądzone zginąć w wypadku.

Wyższa potęga działająca poprzez niego chyba w końcu zgodziła się, żeby uratował więcej ludzi, nie tylko Christine i Casey. Z drugiej strony istota tejże potęgi była tak tajemnicza, że jedynie głupiec mógłby przypuścić, że pojął jej motywy czy intencje.

Samolot zadrżał i zadygotał. Ryk silników wydawał się jeszcze bardziej przeraźliwy.

Wpatrywał się w wycinek podłogi pomiędzy stopami. Oczekiwał chwili, w której eksploduje mu ona w twarz.

Bardziej niż o kogokolwiek obawiał się o Holly Thorne. Jej obecność na pokładzie stanowiła poważne odstępstwo od oryginalnego scenariusza napisanego przez los. Zżerał go strach, że chociaż uratuje więcej ludzi, niż początkowo sądził — Holly zostanie rozerwana na strzępy w momencie zderzenia z ziemią.

Podczas kiedy DC-10, skrzypiąc i trzeszcząc, opadał ku ziemi, Holly schyliła się maksymalnie i zacisnęła powieki. Ciemność stała się schronieniem, w którym, jak na ekranie, przepływały twarze: mama i tata, czego należało się spodziewać; Lenny Callaway, pierwszy chłopiec, którego kochała; jego się zupełnie nie spodziewała, ponieważ nie widziała go od szesnastego roku życia; pani Rooney, nauczycielka z liceum, która darzyła ją zupełnie niezwykłym zainteresowaniem; Lori Cluger, jej najlepsza przyjaciółka w liceum i college'u, zanim życie rzuciło je do odległych kątów kraju i kontakt się zerwał; i wiele innych twarzy, wszystkie kochane i niegdyś, i teraz. Każda stała jej przed oczyma nie dłużej niż ułamek sekundy, jednak bliskość śmierci zniekształciła czas: wydawało się jej, że z każdą przebywa długo. To, co rozbłyskiwało, to nie było jej życie, lecz ludzie, którzy w nim zaistnieli — choć w jakiś sposób było to jedno i to samo.

Ponad trzask-łomot-ryk samolotu i pomimo koncentrowania się na pojawiających się twarzach w ostatnich momentach chwiejnego lądowania Holly usłyszała głos Christine:

— Kocham cię, Casey.

Holly zaczęła płakać.

Trzysta metrów.

Delbaughowi udało się unieść dziób maszyny.

Wszystko zapowiadało się dobrze. Na tyle dobrze, na ile mogło zapowiadać się w tych okolicznościach.

Dalej szli pod lekkim kątem do powierzchni pasa, ale można było to skorygować, kiedy znajdą się na ziemi. Jeżeli się nie uda, przejadą po betonie z kilometr, zanim ich zniesie na pole, z którego chyba niedawno zebrano jakieś zboże. Do tego momentu powinni stracić większą część impetu. Niezależnie od rodzaju ziemi, na jaką trafią koła, samolotowi nadal groziło pęknięcie, ale groźba, że rozpadnięcie się jednostki wywoła katastrofalne skutki, była niewielka.

Dwieście metrów.

Turbulencja zniknęła.

Płyną w powietrzu. Jak piórko.

— W porządku — Anilov odezwał się równocześnie z kapitanem, który powiedział:

— Spokojnie, spokojnie.

Obydwaj mieli to samo na myśli: wszystko gra, wyjdą z tego.

Sto metrów.

Dziób nadal w górze.

Idealnie. Idealnie.

Dotknięcie ziemi i...

DŁĄĄĄG!

...opony trzasnęły o nawierzchnię, a równocześnie rozległ się dziwny odgłos. Delbaugh zapamiętał ostrzeżenie nieznanego, toteż krzyknął: „Moc na pierwszy!” — i pociągnął mocno w lewo. Yankowski też pamiętał, co trzeba, chociaż mówił, że to wszystko gówno, i zareagował na rozkaz zwiększenia gazu na lewym silniku równocześnie z komendą. Prawe skrzydło poszło w dół, tak jak zapowiedziano, ale ich błyskawiczne działanie pociągnęło samolot w lewo i prawe skrzydło wróciło na poprzednią wysokość. Żeby nie przeniosło ich przy wyrównaniu! Toczyli się i toczyli, maszyna trzęsła się i Delbaugh wydał rozkaz: wsteczny ciąg — bo, na litość boską, nie mogli przyspieszać, byli w śmiertelnym niebezpieczeństwie, dopóki szli z dużą szybkością, toczyli się i toczyli, prac naprzód niepowstrzymanie, pochyleni pod kątem do powierzchni pasa, toczyli się i zwalniali, ale nadal toczyli. Prawe skrzydło znów kiwnęło się w dół przy

akompaniamencie piekielnych trzasków i odgłosu rozdzieranego metalu, kiedy zmęczona stal — kłopoty w miejscu spojenia skrzydła i kadłuba, mówił Jim — uległa harówce dzikiego, niespokojnego lotu i zdarzających się raz-na-sto-lat ukośnych prądów powietrznych. Toczyli się i toczyli, ale Delbaugh był bezradny wobec cholernej awarii szkieletu kadłuba, nie mógł wyjść z fotela i zespawać nitów ani ich wcisnąć na miejsce. Toczyli się i toczyli, wytracali szybkość, ale prawe skrzydło nadal szło w dół, żadne z jego działań nie odnosiło skutku, skrzydło w dół, w dół, och Boże, skrzydło...

Holly poczuła, że samolot pochyla się w prawo mocniej niż poprzednio. Przestała oddychać — albo tak jej się wydało — bo w tejże sekundzie usłyszała swój spazmatyczny oddech.

## CZEŚĆ DRUGA

---

# WIATRAK

*sekretnie, w mroku, głębinie,  
zawierz otchłani przeszłości;  
tam niech spoczywa, spoczywa.*

*Serce twe czarne ją schroni,  
inaczej świat się dowie.*

*Piach lat pokryje  
tajemnicę, hańby ślad,  
i nikt słów twych nie zdradzi,  
boś ich nie rzucił na wiatr.*

*Tylko ty wiesz, że w grobie  
bezpieczne leżą sekrety.  
W grobie pamięci,  
pamięci, na zawsze w grobie ukryte.*

KSIĘGA POLICZONYCH SMUTKÓW

*W realnym świecie  
tak jak w snach  
wszystko coraz to  
inną ma twarz.*

KSIĘGA POLICZONYCH SMUTKÓW

## **OD 27 SIERPNI DO 29 SIERPNI**

### **1**

Trzaski i piski tortuowanego metalu, które przez poprzednie kilka minut dziwnym echem niosły się po kadłubie, nagle stały się głośniejsze. Samolot jeszcze mocniej skłonił się w prawo. W pomieszczeniu pasażerskim rozległ się huk jak odgłos armatniego wystrzału. Maszyna podskoczyła i opadła twardo. Podwozie się złamało.

Ślizgali się po pasie, chwiejąc się i podskakując; potem samolot zaczął się równocześnie kręcić. Holly serce zamarto; żołądek zwinął się w supeł. To była jazda na największej karuzeli w świecie, tylko że nie dawała przyjemności; pas bezpieczeństwa przecinał ją wpół, a jeżeli na tę karnawałową przejażdżkę wpuszczał jakiś bileter, to musiał on mieć upiorną twarz gnijącego trupa, z zastygłą w wiecznym uśmiechu wyszczerzoną czaszką.

Hałas stał się nie do zniesienia, chociaż nie krzyki pasażerów były w nim najgorsze. Ich wrzask tonął w rozdzierającym dźwięku, z jakim rozsypywał się, trąc o pas startowy, brzuch maszyny, gubiącej po drodze części kadłuba. Może ryk pożegnania z życiem dinozaurów, zapadających się w bulgocące smołę, mezozoiczne jary dorównywał temu, ale zapewne od tego czasu nic na powierzchni ziemi nie protestowało przeciw swej zagładzie, wydając dźwięk tak przesywający i o równie ogłuszającej sile. To nie był odgłos rozsypującej się maszyny, to krzyczała żywa, choć stworzona z metalu istota. Było to zawodzenie tak nieziemskie i mrożące krew w żyłach, że mogłyby go wydać połączone głosy wszystkich tortuowanych mieszkańców piekła; setki milionów rozpaczających dusz użalających się równocześnie. Holly była pewna, że pękną jej bębrenki w uszach.

Łamiąc instrukcje, podniosła głowę i szybko rozejrzała się dookoła. Kaskady białych, żółtych i turkusowych iskier strzelały za oknami, jakby samolot przesuwiał się przez jakiś pokaz ogni sztucznych. Sześć, siedem rzędów przed jej fotelem kadłub pękł jak skorupka jajka, którą stuknięto o ceramiczną podstawkę.



Zobaczyła dosyć. Zbyt dużo. Powtórnie wcisnęła głowę pomiędzy kolana.

Podłoga odbiła jej własne monotonne zawodzenie, ale Holly tonęła w takim wirze grozy, że aby się usłyszeć, musiałaby przekrzyczeć kakofonię katastrofy:

— Nie, nie, nie, nie, nie, nie...

Może zemdląca na kilka sekund lub może jej zmysły odmówiły odbioru nadmiaru bodźców, bo na mgnienie oka wszystko ucichło. Powietrze wypełniły ostre, kwaśne zapachy, których jej zmysły nie potrafiły zidentyfikować. Ciężka próba dobiegła końca. Nie mogła jednak skojarzyć sobie momentu, w którym samolot się zatrzymał. Żyła.

Poczuła falę ogromnego szczęścia. Podniosła głowę, usiadła, gotowa wykrzyczeć swą radość z przeżycia — i zobaczyła ogień.

DC-10 nie przekoziołkował. Kapitan Delbaugh posłuchał ostrzeżenia.

Ale zgodnie z obawami Jima chaos, jaki rozpełtał się po katastrofie, niósł tyle niebezpieczeństw co sam kontakt z ziemią podczas lądowania.

Za oknami wzdłuż prawej strony samolotu, tam gdzie rozlało się paliwo, buchnęły pomarańczowe płomienie. Stwarzało to wrażenie podróży łodzią podwodną po morzu ognia na jakiejś obcej planecie. Podczas zderzenia z ziemią niektóre okna roztrzaskały się i w otworach zaczęły wyrastać płomienie, pojawiły się także w rozdarciu kadłuba, dzielącym teraz drugą klasę od przedniej części samolotu.

W momencie gdy Jim rozpiął pas i niepewnie wstał, ujrzał, jak poszycie foteli z prawej strony zajmuje się ogniem. Pasażerowie stamtąd przykucnęli albo opadli na czwora i w tej pozycji starali się uciec przed nadciągającymi płomieniami.

Wyszedł na korytarz pomiędzy fotele, złapał Holly za rękę i postawił na nogi. Matka i córka nie były ranne. Dziecko płakało.

Trzymając nadal Holly za rękę i szukając najbliższej drogi ucieczki, Jim obejrzał się i przez moment nie mógł zrozumieć, co widzi. Jak nienasycony stwór rodem ze starego filmu grozy, z koszmarnie pogiętego i zmiażdżonego ogona DC-10 sunęła ku nim pozbawiona kształtu masa, czarna i wzburzona, pożerająca wszystko, przez co się przetoczyła. Dym. Nie rozpoznał go od razu, ponieważ był tak gęsty, że robił wrażenie skorupy nafty lub mułu.

Śmierć przez uduszenie lub coś jeszcze gorszego czyhało na nich z tyłu. Musieli iść do przodu mimo ognia, jaki rozszerzał się przed nimi. Płomienie lizały rozdarte krawędzie kadłuba, sięgając głęboko do wnętrza i zasłaniając w poprzek niby wachlarzem ponad połowę prawej strony rozcięcia samolotu. Ale nadal pozostawała droga ucieczki lewą stroną, tam gdzie ogień jeszcze nie dotarł.

— Szybko — powiedział, obracając się do Christine i Casey, kiedy wy dostały się z foteli szesnastego rzędu. — Do przodu, szybko, szybko!

Jednakże inni pasażerowie z pierwszych sześciu rzędów klasy drugiej tłoczyli się już w przejściu. Każdy chciał szybko się wy dostać. Niestrudzona młoda stewardesa poma-

gała ze wszystkich sił, ale poruszanie się nie było łatwe. Przejście zapchał podręczny bagaż, torebki, książki i inne przedmioty, które wypadły z górnych skrytek bagażowych. Jim przebrnął parę kroków, a potem zaczął grzęznąć w śmieciach.

Przewalające się gryzące kłęby dymu dopadły ich od tyłu, spowiły. Oczy od razu wypełniły im się łzami. Jim rozkaszłał się od pierwszych powiewów i zakrztusił z obrzydzeniem. Nie chciał myśleć o tym, co jeszcze mogło tam płonąć poza obiciami foteli, pianką wypełniającą siedzenia i oparcia, dywanem i elementami dekoracyjnymi.

Gęsta, oleista chmura minęła ich i ogarnęła przednią sekcję. Już nie widzieli pozostałych pasażerów. Mieli wrażenie, że spowiły ich fałdy czarnych aksamitnych kurtyn.

Zanim widzialność spadła do paru centymetrów, Jim puścił dłoń Holly i dotknął ramienia Christine.

— Daj, ja ją wezmę — powiedział i wziął Casey w ramiona.

Papierowa torebka ze sklepu z pamiątkami leżała na podłodze u jego stóp, rozrwana nogami spieszących się ludzi. Zobaczył białą koszulkę — KOCHAM L.A. — i rysunki różowych, brzoskwiniowych i bladozielonych palm.

Złapał koszulkę i wcisnął w małe rączki Casey.

— Trzymaj ją przy buzi, kochanie, i oddychaj przez to! — powiedział, kaszląc jak wszyscy wokół.

Potem oślepl. Cuchnąca chmura wokół niego była tak ciemna, że nie widział nawet łez na twarzy dziecka, nie potrafił też dojrzeć wijących się kłębow.

Znajdowali się może sześć metrów od krawędzi kadłuba rozłupanego podczas katastrofy. Nie mogli zabłądzić: przejść można było tylko między fotelami.

Usiłował nie oddychać. Potrafił zresztą wstrzymać oddech na minutę. Tyle powinno mu wystarczyć. Jedyłą przeszkodą był połknięty gorzki dym, palący gardło jak łyk żrącego kwasu. Rozrywało mu płuca, spazm w przetyku wywoływał krztuszenie, co kończyło się mimowolnym, choć dzięki Bogu, płytkim wdechem.

Prawdopodobnie mniej niż cztery metry do końca, do krawędzi.

Zaciskał wargi, żeby nie zacząć krzyczeć na ludzi z przodu — szybciej, do cholery, szybciej! Wiedział, że przepychają się najszybciej, jak mogą, równie jak on niecierpliwie pragnąc wyrwać się stąd; mimo to i tak chciał krzyczeć, czuł, jak z każdą chwilą rośnie w nim wściekły wrzask, i uświadomił sobie, że ociera się o histerię.

Nadepnął na kilka małych, cylindrycznych przedmiotów. Zatoczył się jak człowiek chodzący po marmurowych kulkach, lecz zachował równowagę.

Casey miały gwałtowne wybuchy kaszlu. Nie słyszał ich, ale trzymając ją przy piersi, czuł każdy spazm, rozluźnienie i skurcz małego ciała, kiedy rozpaczliwie walczyła o każdy wdech na wpuł przefiltrowany koszulką z napisem KOCHAM L.A.

Minęła minuta, może tylko trzydzieści sekund od chwili, kiedy wyniósł dziewczynkę do przodu. Ale wydawało mu się, że odbywa długą podróż bezkresnym tunelem.

Mimo że strach i wściekłość mąciły mu jasność umysłu, przypomniał sobie, że w płonącym pomieszczeniu dym unosi się i pełza pod sufitem. Jeżeli w ciągu paru sekund nie dotrą do bezpiecznej strefy, będzie zmuszony rzucić się na podłogę i poczołgać. Może w ten sposób unikną zatrucia w cienkiej warstewce czystszej powietrza na dole. Nagle spowił go żar.

Wyobraził sobie, że wszedł do pieca. Skóra natychmiast złuszczy się, a ciało popęka i zadymi. Serce już tłukło się jak dzikie zwierzę o pręty klatki, ale teraz zaczęło bić jeszcze szybciej i mocniej.

Pewien, że muszą się znajdować o parę kroków od wyrwy, otworzył oczy. Piekły i spływały łzami. Absolutna ciemność ustąpiła szarosiwym kłębowi. Pulsowało przez nie światło czerwone jak krew. Ta pulsacja to płomienie przesłonięte dymem. Nie widział ich bezpośrednio, tylko odbite od milionów wirujących drobin sadzy. W każdej chwili ogień może wyłonić się z dymu, runąć nań, spalić do kości.

Nie uda mu się.

Nie ma czym oddychać.

Ogień osaczył go zewsząd.

Zaraz go rozżarzy. Zostanie ofiarą całopalną. Teraz stawały mu przed oczyma wizje rozniecane nie przez wyższą potęgę, ale przez własne okropne przerażenie. Ujrzał, jak pada, pokonany, na kolana. Z dzieckiem w ramionach. Wstępuje razem z nią w piekło, które potrafi stopić stal...

Owionął go nagle wiatr. Dymna kotara zwinęła się w lewą stronę.

Ujrzał światło dnia, chłodne i szare, jakże różne od śmiercionośnego błysku płonącego paliwa.

Koszmary obraz siebie samego i dziecka, skwierczących w ogniu, dodał mu sił na samej krawędzi strefy bezpieczeństwa; rzucił się w kierunku szarości i wypadł z samolotu. Nie było schodków ani rękawa strażackiego, tylko goła ziemia. Na szczęście niedawno zebrano zboże i ściernisko zaorano. Świeżo spulchniona ziemia była wystarczająco twarda, żeby odebrać mu na moment oddech, ale o wiele za miękka, aby połamać kości.

Mocno trzymał Casey w ramionach, łapiąc powietrze. Upadł na kolana. Wstał, nie wypuszczając jej z uścisku i zataczając się, wyszedł poza obszar gorąca bijącego od rozpalonego samolotu.

Niektórzy z tych, co przeżyli, uciekali, jakby spodziewając się, że DC-10 jest wyładowany dynamitem i lada chwila rozniesie na kawałki połowę stanu Iowa. Inni w szoku błakali się bez celu. Jeszcze inni leżeli na ziemi: niektórzy zbyt oszołomieni, aby się poruszyć; niektórzy ranni. A część z nich może nie żyła.

Świeże powietrze niesło ulgę. Jim wykaszliwał gorzki dym z zanieczyszczonych płuc i szukał Christine Dubrovek wśród pasażerów na polu. Oglądał się na wszystkie strony,

wypatrywał, wywoływał jej imię, ale na próżno. Zaczął podejrzewać, że zginęła w samolocie: przechodził nie tylko po rzeczach pasażerów, ale również nad właścicielami rozrzuconych drobiazgów.

Być może Casey wyczuła bieg jego myśli. Upuściła ozdobioną palmami koszulkę. Przylgnęła do Jima; krztusząc się resztką dymu, zaczęła trwożnie pytać o matkę. Może wyczuwała to najgorsze.

Jeszcze przed chwilą dał się ponieść dzikiemu uczuciu triumfu. Teraz poczuł, jak strach zaczyna w nim grzechotać niczym kawałki lodu w wysokiej szklance. Nagle ciepłe, sierpniowe słońce nad polem w Iowa i fale gorąca płynące z DC-10 przestały do niego docierać i stanął jakby na arktycznej równinie.

— Steve?

W pierwszej chwili nie zareagował na to imię.

— Steve?

Przypomniał sobie, że dla niej jest Steve'em Harkmanem — czemu ona, jej mąż i prawdziwy Steve Harkman będą się prawdopodobnie dziwić do końca życia, i obrócił się w kierunku głosu. Christine szła, potykając się o bruzdy świeżo zaoranej ziemi, bosa, jej twarz i ubranie były brudne od oleistego dymu; wyciągała ramiona po swoją córeczkę.

Jim podał jej dziecko.

Marka i córka przywarły do siebie.

Christine uniosła zalaną łzami twarz sponad ramienia Casey i powiedziała do Jima:

— Dziękuję ci, dziękuję, że ją stamtąd wyciągnąłeś. Och, mój Boże, Steve, nie zapomnę ci tego do końca życia.

Nie zależało mu na podziękowaniach. Zależało mu jedynie na tym, żeby Holly Thorne była żywa i cała.

— Widziałaś Holly? — zapytał z niepokojem.

— Tak. Usłyszała dziecko wołające o pomoc, pomyślała, że to może być Casey. — Christine trzęsa się jak w gorączce, jakby nie do końca była przekonana, że ich dramatyczne przejścia się skończyły, jakby podejrzewała, że ziemia może się rozewrzeć i wypłynie z niej gorąca lava, otwierając nowy rozdział tego koszmaru. — Jak to się stało, że w tym zamieszaniu ty i Casey zniknęliście?

— Holly — przerwał jej niecierpliwie. — Dokąd poszła?

— Chciała wrócić po Casey, ale potem uświadomiła sobie, że krzyk słychać z przedniej sekcji. — Christine podniosła torebkę i trajkotała dalej: — Wyszła z torebką. Nie wiedziała, że ją niesie, więc zostawiła mi ją i wróciła. Wiedziała już, że to nie Casey, ale i tak poszła.

Christine wskazała palcem kierunek i po raz pierwszy Jim zobaczył przód DC-10, obejmujący również sekcję mieszczącą pierwszą klasę. Był kompletnie oderwany od tej

części samolotu, która ślizgała się po ziemi. Leżał sześćdziesiąt metrów dalej na polu. Płonął o wiele słabiej niż większa, środkowa sekcja, ale za to był znacznie bardziej zgruchotany.

Wpadł w przerażenie, kiedy usłyszał, że Holly weszła po raz drugi do jakiegokolwiek części dymiącego wraku. Na tym polu w Iowa kokpit i przednia część wyglądały jak monolityczny głaz z pozaziemskiego cementarzyska na skrawku odległej planety. Nieskończenie obcy i dojmująco złowieszczy przygniatał swym ogromem i nie pasował do tego miejsca.

Jim pobiegł w jego kierunku, wykrzykując imię Holly.

Wprawdzie Holly wiedziała, że to jest ta sama maszyna, którą parę godzin temu wyleciała z Los Angeles, nie mogła uwierzyć, że przednia sekcja DC-10 stanowiła kiedyś część całego, sprawnego samolotu. Wszędzie jeżył się poszarpany metal. Niewiele różniło się to od złomowiska starych maszyn, po którym właśnie przeszło tornado.

Próbując zlokalizować krzyki brzmiące jak wołanie przerażonego dziecka, Holly musiała kucnąć i przeciskać się wśród złomu, odpychając na bok różne rzeczy tam, gdzie się to dało zrobić; iść górą, naokoło lub dołem, kiedy przeszkoda okazywała się nie do ruszenia. Wyraźnie rysujące się rzędy i korytarze samolotu teraz utworzyły labirynt.

Dym wił się wokół niej sinusoidalnymi mackami, ale nie wydawał się groźny. Powietrza miała pod dostatkiem i nawet bardzo nie kaszłała.

Przede wszystkim przerażały ją trupy. Chociaż Holly odnosiła wrażenie, że katastrofa byłaby jeszcze poważniejsza, gdyby Jim Ironheart nie interweniował, nie wszyscy przeżyli. Zobaczyła mężczyznę przyszpilonego do fotela półmetrową stalową rurą; przeszywała mu gardło. Wytrzeszczał niewidzące oczy w ostatnim wyrazie zdziwienia. Kobieta z prawie odciętą głową, zapięta pasem, leżała na boku razem z fotelem wyrwanym z podłogi. Tam gdzie inne fotele zostały całkowicie powyrywane i zbite w jedną masę, widziała rannych i zabitych, spoczywających razem. Jedynym sposobem szybkiego odróżnienia żywych od martwych było nasłuchiwanie, kto jeszcze pojękuje.

Nie rejestrowała obrazów grozy. Była świadoma rozlanej krwi, ale patrzyła raczej poprzez nią niż na nią. Jej oczy omijały widok najcięższych ran, przechodziły ponad koszmarnymi, stale nasuwającymi się obrazami poszarpanych ciał pasażerów. Ludzkie kształty stały się abstrakcyjnymi formami. Przestały być rzeczywistością; widziała je jako plamy rzucone na płótno przez kubistę imitującego Picassa.

Natknęła się na kilkanaście osób, które należałoby wyciągnąć z rumowiska i oddać natychmiast w ręce lekarzy, ale były one albo zbyt ciężkie, albo zbyt przywalone złomem, aby mogła im pomóc. A nieprzerwany krzyk dziecka kazał jej posuwać się do przodu. Działał instynkt nakazujący zawsze najpierw zajmować się dziećmi: jedna z głównych zasad ratunkowych, programowanych genetycznie przez naturę.

Z oddali dobiegał ryk syren. Nie zatrzymała się nawet, by pomyśleć, że oto jadą za wodowi ratownicy. To nie miało znaczenia. Nie potrafiłaby wycofać się i czekać, aż oni to załatwią. A jeżeli dotarcie do dziecka o minutę czy dwie wcześniej stanowi różnicę pomiędzy śmiercią a życiem?

Kiedy powoli brnęła do przodu, patrząc z niepokojem na anemiczne na razie płomienie, wynurzające się z dziur, jakimi był usiany zniszczony kadłub, usłyszała za sobą Jima Ironhearta. Wykrzykiwał jej imię w wyrwie, która utworzyła się w przedniej części samolotu po amputacji tej części maszyny. Musieli wynurzyć się z chaosu i dymu w różnych miejscach i rozminąć, bo zgubiła go poprzednio, choć znajdowała się tuż za nim. Tego, że i on, i Casey przeżyli, była całkowicie pewna, choćby dlatego, iż wyraźnie miał talent do wychodzenia cało z każdej katastrofy. Niemniej poczuła ulgę na dźwięk jego głosu.

— Tutaj jestem! — krzyknęła, chociaż nie mogła go stąd zobaczyć.

— Co robisz?

— Szukam małego chłopca — zawołała. — Słyszę go, jestem coraz bliżej, ale jeszcze nie widzę go.

— Wyłaż stamtąd! — Jego głos niósł się ponad coraz głośniejszym wyciem zbliżających się pojazdów służb ratunkowych. — Ekipa ratunkowa jest już w drodze.

— Przestań — powiedziała, przepychając się do przodu. — Tu są inni ludzie, którym trzeba pomóc natychmiast!

Holly zbliżała się do pierwszej klasy. Żebra kadłuba popękały i tu do środka, ale było ich teraz mniej niż w części, którą zostawiła za sobą. Luźne fotele, bagaż podręczny i inne zniszczone przedmioty zsunęły się jednak do przodu i utworzyły większy niż gdzie indziej stos. Było w nim również więcej ludzi, zarówno żywych, jak i martwych.

Kiedy odepchnęła na bok połamany pusty fotel, zatrzymując się dla nabrania oddechu, usłyszała, że Jim rozrzuca rumowisko i idzie za nią.

Leżąc na boku, wśliznęła się w wąski tunel i dobrnęła do niewielkiej, pustej przestrzeni. Znalazła się twarzą w twarz z chłopcem, którego krzyki tak ją zaalarmowały. Wyglądał mniej więcej na pięć lat, miał ogromne ciemne oczy. Na jej widok zamrugał ze zdumienia, dusząc łkanie, jakby nie spodziewał się, że ktokolwiek do niego dotrze.

Znajdował się pod przewróconą ławą pięciu szepionych foteli, pod ostrym dachem, utworzonym przez siedzenia, jakby w namiocie. Leżał na brzuchu, rozglądając się, i wyglądało na to, że nie powinien mieć kłopotów z wyczołganiem się stąd.

— Coś trzyma mnie za stopę — powiedział. Dalej się bał, ale jego przerażenie znacznie się zmniejszyło w momencie, gdy ją zobaczył. Czy masz pięć lat, czy pięćdziesiąt, najgorsza rzecz to samotność: trzyma i nie puszcza.

— Wyciągnę cię, skarbie. Nic ci nie będzie — uspokoiła go, pokasłując.

Podniosła głowę. Nad rzędem foteli piętrzył się następny. Obydwa tkwiły w splątanej masie stali, cisnącej się z zapadniętego sufitu. Zastanawiała się, czy przednia sekcja nie przeokożkowała, zanim spoczęła z zadartą w górę prawą stroną.

Otarła mu czubkami palców łyzy z policzków.

— Jak się nazywasz, skarbie?

— Norwood. Chłopaki wołają na mnie Norby. Nie boli. Moja stopa, znaczy się.

To była dobra wiadomość.

Ale kiedy rozglądała się wokół niego po rumowisku i usiłowała coś wykombinować, powiedział nagle:

— Nie czuję.

— Czego nie czujesz, Norby?

— Stopy. To śmieszne, tak jakby coś ją trzymało. Ale wiesz, nie czuję, bym ją miał.

Wyobraziła sobie, co to znaczy, i poczuła ucisk w żołądku. Może nie jest aż tak źle. Może stopa tylko zdrętwiała, kiedy znalazła się między dwoma płaszczyznami. Musiała jednak szybko kombinować i działać, bo niewykluczone, że mocno krwawił.

Wokół chłopca nie było miejsca, by mogła wcisnąć się tam i uwolnić jego stopę. Przewróciła się na plecy, zgięła nogi, oparta podeszwy butów o siedzenia, które wznosiły się nad nimi.

— Dobra, skarbie, zaraz wyprostuję nogi, spróbuję to unieść choć o parę centymetrów. Kiedy to zaczniesz się podnosić, wyciągaj stopę.

Cienki wąż sinego dymu wysliznął się zza pleców Norby'ego. Zwinął mu się przed twarzą. Chłopiec się zakrztusił.

— Tu są u-u-marli ludzie koło mnie — powiedział.

— Nie myśl o tym, maleńki — odrzekła, napinając i rozluźniając mięśnie nóg, żeby wyczuć ciężar, z jakim chciała się zmierzyć. — Jeszcze chwila.

— Mój fotel, potem pusty fotel, potem nieżywi ludzie — rzekł Norby drżącym głosem.

Zastanawiała się, jak długo szok po tym zdarzeniu będzie rządził jego snami i utrudniał mu życie.

— Jedziemy — odezwała się Holly.

Zaczęła prostować nogi. Stos foteli, żelastwa i martwych ciał był wystarczającym ciężarem, ale na wpół opadająca część sufitu jakby to wszystko jeszcze ugniatała. Holly spróbowała jeszcze mocniej, aż od stalowej podłogi, przykrytej jedynie cienkim dywanem, rozboleły ją plecy. Mimowolnie zajęczała z bólu. Potem cisnęła jeszcze mocniej, jeszcze mocniej, zła, że nie może tego poruszyć, wściekła i...

...drgnęło.

Tylko kawałek.

Ale drgnęło.

Holly wykrzesła resztkę sił i plątanina płyt sufitowych i podpórek zatrzeszczała i wygięła się o centymetr, dwa; o tyle samo ustąpiły fotele.

— Dalej mnie trzyma — powiedział chłopiec.

Coraz więcej dymu dobywało się z miejsca, gdzie leżał. Dym poprzednio bladoszary, stał się teraz ciemniejszy, bogatszy w sadzę, gęstszy i niósł, nieobecny przedtem, ohydny smród. Modliła się, żeby pełzające płomienie nie dotarły do mieszaniny obicia i pianki tworzącej kokon, z którego chłopiec usiłował się wydobyć.

Mięśnie nóg zaczęły jej dygotać. Cały ból w plecach przesączył się do piersi; każde uderzenie serca było bolesnym skurczem, każdy oddech koszmarem.

Nie sądziła, że utrzyma dłużej ciężar na stopach, nie mówiąc już o podniesieniu go. Ale nagle dźwignęła go jeszcze o centymetr, potem jeszcze troszkę...

Norby zakrzyknął z bólu i podniecenia. Wyczołgał się.

— Udało się, puściło mnie.

Opuszczając ciężar, Holly uświadomiła sobie, że chłopiec pomyślał to, co i ona zapewne by pomyślała, gdyby miała pięć lat i znalazła się w takiej sytuacji. Że jego kostkę obejmowała lodowata i stalowa dłoń jednego ze zmarłych, którzy tam leżeli.

Odsunęła się na bok, by Norby mógł się wydostać spod foteli. Wśród rumowiska wtulił się w nią, szukając ukojenia.

— Holly! — zawołał Jim z tyłu samolotu.

— Znalazłam go!

— Jest tu kobieta, wyciągam ją.

— Wspaniale! — krzyknęła.

Na zewnątrz wysoki jęk syren opadał i w końcu umilkł. Zespoły ratownicze dotarły na miejsce.

Chociaż coraz więcej czarnego dymu wysnuwało się z ciemności, skąd uciekł Norby, Holly musiała obejrzeć jego stopę. Opadała na jedną stronę podejrzenie luźno, jak nóżka starej szmacianej lalki. Była złamana w kostce. Zerwała trampek z szybko puchnącej stopy. Krew czerniła białą skarpetkę, ale kiedy przyjrzała się skórze, zobaczyła, że jest tylko zadrapana i gdzieś tam płytko ponacinana. Nie wykrwawi się na śmierć, ale wkrótce zacznie go przeraźliwie boleć.

— Chodźmy, wynośmy się stąd — powiedziała.

Zamierzała zabrać go tą samą drogą, jaką przybyła, jednak kiedy spojrzała na lewo, zobaczyła kolejne pęknięcie w kadłubie. Znajdowało się ze dwa metry od nich. Biegło w górę, wzdłuż krzywizny całej ściany, lecz nie przecinało sufitu. Część boazerii, izolacja znajdująca się pod nią, metalowy szkielet, poszycie zewnętrzne albo zostały wepchnięte do środka pomiędzy inne rupiecie, albo wyrzucone na pole. Powstała w ten sposób dziura nie była wielka, ale wystarczająco duża, aby się tamtędy przecisnąć.



Kiedy balansowali na krawędzi zniszczonego kadłuba samolotu, na zaoranym polu trzy i pół metra niżej pokazał się ratownik. Wyciągnął ręce po chłopca.

Norby skoczył. Mężczyzna złapał go, cofnął się.

— Pani jest jego matką? — spytał.

— Nie. Po prostu usłyszałam jego płacz i weszłam po niego. Ma nogę złamaną w kostce.

— Byłem z wujkiem Frankiem — oznajmił Norby.

— Znakomicie — rzekł ratownik, usiłując wykrzesać z głosu radosną nutę — no to poszukajmy wujka Franka.

— Wujek Frank nie żyje — bezbarwnym głosem odparł Norby.

Mężczyzna spojrzał na Holly, jakby ona mogła w tej sytuacji coś zaradzić.

Stała niema i wstrząśnięta. Ogarnęła ją rozpacz na myśl, że pięcioletni chłopiec doznał tak straszliwych przeżyć. Chciała go objąć, ukołysać w ramionach i powiedzieć, że świat jest dobry.

Ale świat wcale nie jest taki dobry, pomyślała, ponieważ śmierć stanowi jego część. Adam nie usłuchał, zjadł jabłko, pożarł owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego, więc Bóg zdecydował się na pokazanie mu wszystkiego, zarówno światłości, jak i mroku. Dzieci Adama nauczyły się polować, uprawiać rolę, chronić przed zimą i grzać strawę na ogniu, wytwarzać narzędzia, budować schronienia. A Bóg, chcąc dać im zróżnicowaną edukację, zezwolił im na poznanie, och, może miliona dróg cierpienia i śmierci. Zachęcił ludzi do poznania języka, czytania i pisania, biologii, chemii, fizyki, sekretów kodu genetycznego. I zapoznał ich z niezrównaną grozą guzów mózgu, stwardnienia rozsianego, dżumy, szalejącego w ich ciałach raka — żeby nie wspomnieć o katastrofach lotniczych. Chciałeś wiedzy, Bogu miło, że może ci jej dostarczyć. Był pełnym entuzjazmu nauczycielem, dzinnem przekazującym wiedzę, podającym ją w nadmiarze z tak niesamowitymi szczegółami, że czasami jej ciężar przygniatał.

Kiedy ratownik obrócił się i niósł Norby'ego poprzez pole do białej karetki stojącej na krawędzi pasa startowego, Holly przeszła od rozpacz do gniewu. Był bezcelowy, gdyż jego przedmiot stanowił nie kto inny jak sam Bóg. Gniew nic nie zmieniał. Bóg nie uwolnił gatunku ludzkiego od przekleństwa śmierci tylko dlatego, że Holly Thorne uważała ją za ciężką niesprawiedliwość.

Miotła nią furia, niewiele różna od uczucia, które popychało do działania Jima Ironhearta. Pamiętała, co powiedział jej podczas szeptanej konwersacji w siedemnastym rządzie, kiedy usiłowała zmusić go do ratowania nie tylko matki i córki Dubrovek, ale wszystkich obecnych na pokładzie maszyny: „Nienawidzę śmierci, tego, że ludzie umierają, nienawidzę!”. Niektórzy z uratowanych przez niego cytowali podobne uwagi i Holly pamiętała, co Viola Moreno mówiła o głębokim, skrywanym smutku, jaki, być może, wyrósł z faktu, że Jim został osierocony w wieku dziesięciu lat. Przestał uczyć,

zrezygnował z zawodu, ponieważ samobójstwo Larry'ego Kakonisa zrodziło w nim przekonanie, że wszystkie jego wysiłki i starania są bezcelowe. Ta reakcja wtedy wydała się Holly przesadna, ale teraz rozumiała ją doskonale. Poczwała taką samą ochotę ciśnięcia w kąt trosk codziennego życia i potrzebę zrobienia czegoś bardziej istotnego, co by złamało zasady, jakimi rządził się los, co by nadało materii wszechświata inny kształt, niż zaplanował to Bóg.

Przez jedną ulotną chwilę, stojąc na tym polu w Iowa, po którym wiatr niósł odór śmierci, i patrząc za ratownikiem niosącym małego chłopca, który o mało co nie zginął, Holly poczuła, że Jim Ironheart stał się jej bliższy niż jakakolwiek inna istota ludzka.

Zaczęła go szukać.

Szukała Jima, ale zamiast na niego wpadła na młodą kobietę w zielonej luźnej sukience. Nieznajoma, szczupła, o kasztanowych włosach, z twarzą porcelanowej laleczki, mogła mieć ze dwadzieścia lat. Nie była ranna, ale wyglądało, że koniecznie należy jej pomóc. Stała z dala od wciąż dymiącej tylnej części samolotu i wykrzykiwała w kółko jedno imię: „Kenny! Kenny! Kenny!”. Musiała krzyczeć długo, głos miała zupełnie ochrypły.

— Kto to jest? — spytała Holly, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Niebieskie jak wisteria oczy nieznajomej miały szklany wyraz.

— Widziałaś Kenny'ego?

— Kim on jest, kochanie?

— To miała być nasza podróż poślubna — powiedziała oszołomiona.

— Pomogę ci go szukać.

— Nie.

— Chodź, maleńka, wszystko będzie dobrze.

— Nie chcę go szukać — powiedziała kobieta, pozwalając Holly, aby odwróciła ją od samolotu i poprowadziła do karetki. — Nie chcę go widzieć. Nie takiego, jak będzie teraz wyglądał. Cały martwy. Cały połamany, spalony i nieżywy.

Szły razem po miękkiej, pulchnej ziemi, na której zostanie wysiane nowe zboże i wiosną zakiełkuje, zielone i delikatne, a do tego czasu wszystkie oznaki śmierci zostaną wymazane i natura odbuduje iluzję wiecznego życia.

## 2

Coś działo się z Holly. Coś się w niej przemieszczało. Nie rozumiała jeszcze, nie wiedziała, co oznacza ani jak dalece wpłynie na jej osobowość, ale była świadoma głębokiej fundamentalnej zmiany, zachodzącej w samym rdzeniu jej serca, jej umysłu.

Pełna wewnętrznego niepokoju nie miała energii, aby radzić sobie ze światem zewnętrznym. Bez protestów dała się więc wtłoczyć razem z innymi pasażerami w standardowy program, stosowany po katastrofie.

Zaimponowała jej kompleksowa opieka, jaką otoczono uratowane osoby. Cała społeczność Dubuque — widocznie przygotowana, aby stawić czoło takim sytuacjom — zareagowała szybko i efektywnie. Psychologowie, doradcy prawni, pastorzy, księża i rabini byli do dyspozycji zdrowych pasażerów w chwilę po ich zjawieniu się w hali lotniska. Przestronny salon dla VIP-ów, zaopatrzony w mahoniowe stoły i wygodne fotele powleczone niebieską tapicerką z szorstkiego materiału, został oddany do ich użytku, dziesięć czy dwanaście linii telefonicznych wyłączono z normalnej obsługi lotniska, a pielęgniarki czuwały na wypadek oznak spóźnionego szoku.

W tych trudnych warunkach odwaga, świadomość powagi sytuacji i współczucie za manifestowały się tak powszechnie, że Holly poczuła się zażenowana, kiedy runęła na wała mass mediów. Wiedziała, że dziennikarzy przede wszystkim interesuje tragizm sytuacji. Uczciwość kazała przyznać, że wykonywali tylko swoją pracę. Aż za dobrze znała związane z nią trudności i wymagania. Ale procent reporterów, zdolnych wykonywać swe zadania na poziomie, nie był wyższy niż procent kompetentnych hydraulików albo stolarzy umiejących każdorazowo idealnie dopasować framugę drzwi. Różnica polegała na tym, że nieczuli, nieudolni albo wprost wrogo nastawieni dziennikarze mogli wprawić swych rozmówców w poważne zakłopotanie, a w pewnych wypadkach wyrządzić zło i na stałe zniszczyć czyjąś reputację, co było o wiele gorsze niż zatkana rura albo nie-dopasowane kawałki framugi.

Na lotnisku zaroilo się od wszelkiej maści dziennikarzy, reprezentujących TV, radio i prasę. Wkrótce przedostali się nawet do obszarów oficjalnie dla nich niedostępnych. Niektórzy zachowali szacunek wobec stanu emocjonalnego i umysłowego uczestników katastrofy. Jednak większość zadrezczała pracowników United Airlines sprawami „odpowiedzialności” i „moralnego długu” lub ścigała pasażerów, chcąc wyciągnąć na światło dzienne ich najtajniejsze obawy i odtworzyć niedawne chwile grozy dla rozrywki widzów i czytelników. Holly znała zasady tej gry i potrafiła spożytkować je na własną korzyść, a jednak nie udało się jej uniknąć pytania, zadanego jej parę razy w ciągu piętnastu minut przez czterech różnych reporterów: „Jak się czułaś?”. Jak się czułaś, kiedy usłyszałaś, że grozi wam przymusowe lądowanie? Jak się czułaś, kiedy myślałaś, że grozi ci śmierć? Jak się czułaś, kiedy zobaczyłaś, że wokół ciebie leżą martwi?

W końcu, zapędzona w kąt w pobliże wielkiego okna z widokiem na startujące i odlatujące samoloty, dała upust swej wściekłości. Natrętny i starannie uczesany reporter CNN o nazwisku Anlock nie potrafił pojąć, że nie robią na niej wrażenia jego starania.

— Spytaj mnie, co widziałam albo co myślę — powiedziała mu. — Pytaj, kto, co, gdzie, dlaczego i jak, ale, na litość boską, nie pytaj mnie, jak się czułam, bo jeżeli jesteś człowiekiem, powinieneś wiedzieć, jak się czułam. Jeżeli potrafisz choć trochę wczuć się w przeżycia drugiego człowieka, musisz to wiedzieć.

Anlock i jego kamerzysta próbowali podać tyły, dopaść innej ofiary. Wiedziała, że większość ludzi w zatłoczonym pokoju zaczyna zwracać uwagę na wywołane przez nią zamieszanie, ale miała to w nosie. Nie pozwoli Anlockowi wykpić się z tego tanim kosztem. Wpiła się w niego.

— Nie obchodzą cię fakty, chcesz tylko nieszczęścia, krwi i piorunów, chcesz, żeby ludzie obnażyli ci dusze, a potem przemontujesz, co ci powiedzą, pozmieniasz, zniekształcisz i nawet nic z tego nie zrozumiesz. To jest gwałt, cholera jasna!

Dotarło do niej, że ponosi ją identyczna wściekłość jak na miejscu katastrofy i że jej w zasadzie daremny gniew odnosił się nie tyle do Anlocka, ile do Boga. Reporter stanowił po prostu wygodniejszy cel niż Wszchemogący. Bóg zawsze mógł dać nura w jakiś cienisty zakątek niebios. Poprzednio myślała, że jej furia ustąpiła, poczuła się więc rozstrojona odkryciem, że ta sama gorzka wściekłość rośnie w niej znowu. Jej zawory bezpieczeństwa puściły, straciła nad sobą kontrolę i było jej wszystko jedno — dopóki nie uświadomiła sobie, że CNN kręci to na żywo. Drapieżny błysk w oczach Anlocka i lekka ironia w wyrazie jego twarzy otrzeźwiły ją. Nie był skonsternowany jej wybuchem. Załatwiała mu posmak autentyczności, pierwszorzędne napięcie i nie mógł tego nie wykorzystać, nawet jeśli sam stanowił obiekt napaści. Później, rzecz jasna, wielkodusznie usprawiedliwi wobec widzów jej zachowanie, nieszczerze sympatyzując z szokiem, jaki przeszła, i wyjdzie z tego jako nieustraszony reporter i współczujący facet.

Wściekła, że dała się wciągnąć w grę, o której powinna wiedzieć, iż wygrywa w niej zawsze reporter, Holly odwróciła się od kamery. Kiedy odchodziła, dotarły jeszcze do niej słowa Anlocka:

— ...całkiem zrozumiałe, oczywiście, biorąc pod uwagę, przez co ta biedna kobieta musiała przejść...

Chciała zawrócić i strzelić go w głowę. Ciekawe, czy to by mu się podobało?

Co się z tobą dzieje, Thorne? — pytała samą siebie. Nigdy tak się nie wkurzasz. Nie aż tak.

Omijając dziennikarzy i usiłując zapanować nad nagłym przypływem ochoty do samoanalizy, zaczęła znów szukać Jima Ironhearta, ale bez powodzenia. Nie potrafiła go zlokalizować. Nie dostrzegła go w ostatniej grupie dowiezionych z miejsca katastrofy. Żaden z pracowników United Airlines nie mógł odnaleźć jego nazwiska na liście pasażerów. Holly nie była tym bardzo zaskoczona.

Pomyślała, że nadal jest na polu i pomaga zespołom poszukującym i ratunkowym. Zależało jej na rozmowie z nim, lecz musiała zachować cierpliwość.

Wiedziała, że po napaści na Anlocka niektórzy reporterzy patrzą na nią z rezerwą, ale umiała manipulować ludźmi swej profesji. Pociągając gorzką kawę z plastikowego kubka — jakby jeszcze potrzebowała kofeiny dla podniesienia w sobie napięcia — wzięła się po pokoju i hallu, wyciągała z dziennikarzy informacje bez ujawniania, że jest

jedną z nich. Udało się jej uzyskać interesujące strzępki wiadomości. Pośród innych spraw to, że doliczono się na razie dwustu żywych pasażerów i liczba ofiar śmiertelnych raczej nie powinna przekroczyć pięćdziesięciu, co graniczyło z cudem, biorąc pod uwagę, że samolot rozpadł się i wybuchł pożar. Dobre wieści powinny były podnieść ją na duchu, gdyż oznaczało to, że interwencja Jima pozwoliła kapitanowi uratować więcej istnień, niż los przewidział; ale zamiast się cieszyć, zamartwiała się losem tych, którzy mimo wszystko zginęli.

Dowiedziała się również, że członkowie załogi — a ocaleli wszyscy — szukali pasażera, który okazał się dla nich wielką pomocą; mężczyzny określanego „Jim Jakiśtam, wyglądający jak Kevin Costner, z bardzo niebieskimi oczami”. Ponieważ pierwsi przedstawiciele władz federalnych, jacy pojawili się na miejscu, również bardzo pilnie chcieli rozmawiać z „Jimem Jakimśtam”, zaczęły się nim interesować media.

Stopniowo Holly uświadomiła sobie, że Jim nie pojawi się na scenie. Raczej zniknie, jak robił to zawsze po każdym ze swych wyczynów, usuwając się szybko poza zasięg działania reporterów i oficjeli wszelkiej maści. „Jim” — tyle będą o nim wiedzieć.

Holly była pierwszą osobą, której podał pełne imię i nazwisko w miejscu swej akcji ratunkowej. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, dlaczego zdecydował się wyznać więcej jej niż komukolwiek innemu.

Przy drzwiach najbliższej damskiej toalety wpadła na Christine Dubrovec, która oddała jej torebkę i spytała o Steve’a Harkmana. W ogóle nie była świadoma faktu, że to on był tajemniczym Jimem, o którego wszyscy pytali.

— Musiał być w Chicago dziś wieczór, bez względu na wydarzenia, więc wynajął samochód i pojechał — skłamała Holly.

— Chciałam mu jeszcze raz podziękować — powiedziała Christine. — Ale chyba muszę poczekać, aż oboje spotkamy się w Los Angeles. Wiesz, on pracuje w jednej firmie z moim mężem.

Casey trzymała się boku matki. Zmyła sadzę z buzi i miała uczesane włosy. Jadła czekoladowy baton, ale chyba bez przyjemności.

Holly przeprosiła je i powróciła do stanowiska nagłej pomocy, jakie United Airlines zorganizowały w kącie salonu dla VIP-ów. Usiłowała znaleźć połączenie, które niezależnie od liczby przesiadek pozwoliłoby jej znaleźć się w Los Angeles dziś wieczór. Ale Dubuque nie było pępkiem świata i wszystkie miejsca do południowej Kalifornii już zarezerwowano. Wszystko, co jej oferowano, to poranny lot do Denver i południowy przelot z Denver do LAX.

Linie lotnicze zorganizowały dla niej na noc lokum i o szóstej wieczór Holly znalazła się w czystym, ale ponurym pokoju w Najlepszym Motelu Środkowego Zachodu. Może zresztą nie był taki ponury; przy jej obecnym stanie ducha nie doceniłaby nawet apartamentu u Ritza.

Zadzwoiła do rodziców w Filadelfii, aby uspokoić ich, że nic złego jej nie spotkało. Mogli zobaczyć ją w CNN albo znaleźć jej nazwisko na liście ocalałych z lotu 246 w jutrzejszej prasie. Szczęśliwie nie zdawali sobie sprawy, jak blisko otarła się o śmierć, ale domagali się opisu powypadkowego stresu z pierwszej ręki. Okazało się, że to ona musi ich pocieszać. Wzruszyło ją, że tak się przejęli; widać bardzo jest im droga.

— Nieważna teraz praca — powiedziała matka. — Możesz wsiąść do autobusu ijechać z przesiadką prosto do domu.

Świadomość, że jest kochana, nie poprawiła nastroju Holly.

Włosy miała zbite w kołtun i śmierdziała dymem, ale poszła do najbliższego supermarketu. Używając karty kredytowej Visa, kupiła ubranie na zmianę: skarpetki, bieliznę, dzinsy, białą bluzkę i lekką dzinsową marynarkę. Kupiła też parę nowych reeboków. Nie mogła wyzbyć się podejrzeń, że plamy na starej parze pochodzą z krwi.

Kiedy znów znalazła się w pokoju, wzięła najdłuższy prysznic w życiu. Szorowała się i szorowała, aż cały zapas motelowego mydła skurczył się do małego płątka, lecz ona nie czuła się jeszcze czysta. W końcu zakręciła wodę. Uświadomiła sobie, że chce obmyć się z czegoś, co tkwiło wewnątrz niej.

Poprosiła przez telefon o kanapkę, sałatę i owoce. Kiedy jej to przyniesiono, nie mogła nic zjeść.

Siedziała przez chwilę, po prostu wpatrując się w ścianę. Nie odważyła się włączyć telewizora. Nie chciała ryzykować trafienia na wiadomości o katastrofie lotu 246.

Gdyby mogła zatelefonować do Jima Ironhearta, zrobiłaby to od razu. Dzwoniłaby do niego co dziesięć minut, godzina po godzinie, aż trafiłaby na moment, kiedy zjawi się w domu i podniesie słuchawkę. Ale wiedziała już, że jego numer jest zastrzeżony.

W końcu zeszła do baru i poprosiła piwo. Był to niebezpieczny ruch dla kogoś, kto, tak jak ona, miał bardzo słabą głowę. Jedna butelka becka na czczo prawdopodobnie zwali ją z nóg i uśpi na resztę nocy.

Podróżujący komiwojażer z Omaha usiłował nawiązać z nią rozmowę. Wyglądał na czterdzieści parę lat, był dość przystojny i wydawał się miły, ale nie chciała, żeby się rozczarował. Powiedziała mu, najuprzejmiej jak potrafiła, że nie rozgląda się za kimś, kto by ją poderwał.

— Ja też nie — odrzekł i uśmiechnął się. — Chcę tylko z kimś pogadać.

Uwierzyła mu i się nie zawiodła. Siedzieli przy barze przez parę godzin, gawędząc o filmach i telewizyjnych show, aktorach komediowych i piosenkarzach, jedzeniu i pogodzie; ani przez moment nie zajmowali się polityką, katastrofami samolotowymi czy zmartwieniami tego świata. Ku własnemu zdumieniu wypiła trzy piwa i nie poczuła nic poza lekkim szmerkiem.

— Howie — powiedziała mu absolutnie poważnie, odchodząc — będę ci wdzięczna do końca życia.

Sama wróciła do pokoju, rozebrała się, wśliznęła pod koc i poczuła, jak sen ogarnia ją już w chwili, kiedy dotknęła głową poduszki. Naciągnęła przykrycie na głowę, żeby ustrzec się od chłodu klimatyzacji, i powiedziała głosem bardziej zniekształconym przez wyczerpanie niż piwo: „Wtul się w mój kokon, będziesz wkrótce motylem”. Zastanawiając się, skąd to pochodzi, i o co jej chodziło, zasnęła.

*Wiuum, wiuum, wiuum, wiuum, wiuum...*

Znów znalazła się w kamiennym pomieszczeniu, ale sen różnił się znacznie od poprzednich. Po pierwsze, nie była ślepa. Gruba żółta świeczka stała na błękitnej podstawie i tańczące pomarańczowe płomyki odsłaniały kamienne ściany, okna wąskie jak średniowieczne strzelnice, drewnianą podłogę, obracający się wał przechodzący przez sufit i znikający w dziurze, w niższej izbie, i ciężkie drewniane drzwi wzmocnione żelazem. Jakimś sposobem wiedziała, że znajduje się w górnym pomieszczeniu starego wiatraka, że dźwięk *wiuum, wiuum, wiuum* wydawały gigantyczne skrzydła, tnące niespokojne powiewy nocnego wiatru, a za drzwiami wapienne schody prowadziły do pomieszczenia z żarnami. Stała w tym samym miejscu co na początku snu, ale otok liczności zmieniły się w okamgnieniu. Siedziała w fotelu samolotu, przypięta pasami, i kiedy obróciła głowę w lewo, zobaczyła obok siebie Jima. „Ten stary wiatrak nie dociągnie do Chicago” — odezwał się poważnie. Wydawało się całkiem logiczne, że lecą w tej kamiennej budowli, unoszeni przez cztery gigantyczne skrzydła ze zbitych drewnianych płatów, tak samo jakby lecieli w samolocie napędzanym przez śmigła lub silniki odrzutowe. „Ale przeżyjemy, prawda?”. Na jej oczach Jim rozpląnął się, a na jego miejscu pojawił się dziesięcioletni chłopiec. To było wspaniałe. Potem uznała, że kasztanowe włosy i niebieskie jak iskra elektryczna oczy chłopca oznaczają, iż jest to Jim z innego czasu. Zgodnie z luźnymi prawami, które rządzą snami, ta myśl spowodowała, że jego transformacja stała się mniej tajemnicza i w istocie prawie logiczna. Chłopiec powiedział: „Przeżyjemy, jeśli on się nie pojawi”. A na to ona: „Kim on jest?”. Na to chłopiec: „To Nieprzyjaciół”. Wiatrak jakby odpowiedział na te ostatnie dwa słowa, rozluźniając się i kurcząc, pulsując jak żywe mięso, tak jak pokój w Laguna Hills pęczniał poprzedniej nocy złowrogim życiem. Wydało się jej, że dostrzega potworną twarz i ohydne kształty wyłaniające się wprost z wapiennej ściany. „Wszyscy tu umrzemy — powiedział chłopiec — wszyscy tu umrzemy”. Wydawało się, że niemal zapraszać potwora, usiłującego wyleźć ze ściany. *WIUUM!*

Holly obudziła się i zerwała z łóżka jak w poprzednie noce. Tylko tym razem żaden element ze snu nie towarzyszył jej w realnym świecie i nie była przerażona. Przestraszona, tak. Był to jednak słabszy lęk, bardziej zbliżony do niepokoju niż histerii.

Co ważniejsze, obudziła się z pełnym optymizmem poczuciem wyzwolenia. Natychmiast otrząsnęła się ze snu, siadła i oparta o wysoki zagłówek skrzyżowała ręce na nagich piersiach. Trzęsła się nie ze strachu ani z zimna, lecz z podniecenia.

Wcześniej, ukołysana wypitym piwem, wypowiedziała coś bardzo prawdziwego, ześlizgując się w przepaść snu: „Wtul się w mój kokon, będziesz wkrótce motylem”. Teraz wiedziała, o co jej chodziło, i rozumiała zmiany, jakim podlegała od czasu, kiedy odkryła sekret Ironhearta. Poczęła sobie je uświadamiać już po katastrofie, w salonie na lotnisku. Nigdy nie wróci do „Portland Press”. Nigdy nie będzie więcej pracować jako dziennikarka. Koniec z Holly reporterką.

To dlatego zareagowała tak przesadnie na Anlocka. Czuła do niego odrazę, niemniej była podświadomie zżerana przez poczucie winy, gdyż on robił sensacyjny materiał, który ona zaniedbała, chociaż cała w tym tkwiła. Gdyby czuła się reporterką, powinna robić wywiady wśród pasażerów i pospiesznie zbierać materiał dla „Press”. Jednak nie miała na to żadnej ochoty, nawet przelotnie. Więc z surowego materiału swego podświadomego samoobrzydzenia skroiła strój wściekłości, z ogromnymi ramionami i szerokimi, szerokimi kłapami; potem ubrała się w niego i przeparadowała przed kamerami CNN, kipiąc gniewem. A wszystko to była gorączkowa próba zademonstrowania, że dziennikarstwo jej wcale nie obchodzi i zamierza zrezygnować ze swojej kariery. A kiedyś myślała, że będzie to trwało do końca jej dni.

Wstała z łóżka i zaczęła chodzić, zbyt podniecona, aby usiedzieć w miejscu.

Była skończona jako reporter.

Skończona.

Zyskała wolność. Pochodziła z nizin społecznych, jej rodzice nie mieli nigdy w życiu nic do powiedzenia, dlatego też jako małe dziecko miała obsesję bycia osobą ważną, należąca do wyższych sfer, chciała stać się kimś nietuzinkowym. Jako bystre dziecko, które wyrosło na jeszcze bystrzejszą kobietę, była zdumiona widocznym bezładem panującym w świecie i czuła w sobie wyzwanie, aby wyjaśnić ten nieład najlepiej, jak potrafi, korzystając z niepewnych narzędzi, jakie oferowało dziennikarstwo. Jak na ironię to podwójne dążenie do osiągnięcia akceptacji i zrozumienia — które, odkąd pamiętała, kazało jej pracować i studiować siedemdziesiąt, osiemdziesiąt godzin w tygodniu — pozbawiło ją jakichkolwiek związków z ludźmi. Nie przeżyła autentycznej miłości, nie miała dzieci, przyjaciół i nie знаła więcej odpowiedzi na trudne pytania stawiane przez życie niż wtedy, kiedy zaczynała studia. Teraz nagle uwolniła się od tych wszystkich pragnień i obsesji, nie zależało jej już na przynależności do elitarnego klubu ani na rozwikłaniu sensu ludzkich zachowań.

Poprzednio myślała, że nienawidzi dziennikarstwa. To nie było tak. Nienawidziła tego, że okazała się na tym polu nieudacznikiem, a nie udało się jej, ponieważ dziennikarstwo nigdy do niej nie pasowało.

Aby zrozumieć samą siebie i zerwać więzy nawyku, było jej potrzebne spotkanie z mężczyzną, który umie czynić cuda — i przeżyć druzgocącą katastrofę samolotową.



— Jaka z ciebie wrażliwa kobieta, Thorne — powiedziała na głos, szydząc z siebie samej. — Jaka przenikliwa.

Cóż, wielkie nieba, jeśli spotkanie z Jimem Ironheartem i ujście z życiem z katastrofy lotniczej nie otworzyłyby jej oczu, na pewno stałoby się to, kiedy tylko Jimmy Cricket zapukałby do jej drzwi i wyśpiewał sprytnie wpadającą w ucho piosenkę o różnicach pomiędzy głupimi a mądrymi wyborami w życiu.

Wybuchnęła śmiechem. Zerwała koc z łóżka, owinęła wokół nagiego ciała, siadła na jednym z dwóch foteli, podciągnęła nogi pod siebie i śmiała się tak, jak nie śmiała się, odkąd była swawolną nastolatką.

To był właśnie jej problem: nigdy nie była swawolna. Zawsze była poważną nastolatką, obsesyjnie śledzącą bieżące wydarzenia; zamartwiała się III wojną światową, gdyż powiedziano jej, że prawdopodobnie zginie w atomowej zagładzie, zanim skończy liceum; zamartwiała się przeludnieniem, gdyż powiedziano jej, że głód zabije półtora miliarda istnień do roku 1990 i zmniejszy ludzkość o połowę, dziesiątkując nawet Stany Zjednoczone; zamartwiała się, ponieważ zanieczyszczenie środowiska spowoduje drastyczne oziębienie planety i nawrót ery lodowcowej, która „zniszczy cywilizację za jej życia!!!” — jak krzyczały czołówki gazet w latach siedemdziesiątych, zanim pojawił się efekt cieplarniany i niepokój o globalne ocieplenie. Spędziła lata młodości i początek dorosłości, martwiąc się za dużo, a ciesząc życiem za mało. Pozbawiona radości, straciła poczucie proporcji i pozwalała każdej nowej sensacyjnej wiadomości — czasem opartej na rzeczywistych problemach, czasem na całkowicie pozornych — aby ją pochłaniała.

Teraz śmiała się jak dziecko. Dzieciaki, zanim osiągną dorosłość i fala hormonów poniesie je w nowe życie, wiedzą, że życie jest straszne, ponure i dziwne, ale wiedzą też, że bywa głupie, że śmieszne, że czasem jest szaleńczą wyprawą po długiej drodze czasu ku nieznanemu przeznaczeniu w dalekich i cudownych miejscach.

Holly Thorne, która nagle polubiła swoje imię, wiedziała, gdzie się uda i dlaczego.

Wiedziała, czego chce od Jima Ironhearta — i nie był to materiał na dobry artykuł, dziennikarski popis, Pulitzerza.

To, na czym jej zależało, było bardziej cenne i trwałe. Paliła się do przedstawienia mu swego żądania.

Zabawne, może się zgodzi i da jej to, na czym jej zależy. A wtedy ona rozpocznie coś więcej niż tylko podniecającą, radosną i niepozbawioną sensu egzystencję. Wiedziała, że czeka na nią również niebezpieczeństwo. Jeżeli dostanie to, czego żąda, może nie żyć za rok, miesiąc lub za tydzień. Ale w tej chwili skupiła się na wizji radości i nie przeszkadzała jej możliwość bliskiej śmierci i nieskończonych ciemności.

Holly zmieniła samolot w Denver, zyskała dwie godziny, mijając kilka stref czasowych, i pojawiła się na międzynarodowym lotnisku Los Angeles o jedenastej przed południem w poniedziałek. Nieskrępowana bagażem, wyprowadziła samochód z garażu i pojechała wzdłuż wybrzeża do Laguna Niguel. Do domu Jima Ironhearta dotarła o wpół do pierwszej.

Zaparkowała przed garażem, przeszła wyłożonym płytami chodnikiem wprost do drzwi frontowych, zadzwoniła. Nie odpowiedział. Zadzwoniła jeszcze raz. Dalej nie odpowiadał. Dzwoniła jeszcze i jeszcze, aż czerwona odbitka przycisku dzwonka pojawiła się na opuszkach jej prawego kciuka.

Cofnęła się o krok i uważnie przyjrzała oknom parteru i piętra. Wszystkie były zasłonięte żaluzjami. Poprzez szkło widziała szerokie listewki.

— Wiem, że tam jesteś — powiedziała cicho.

Wróciła do samochodu, spuściła szyby, usiadła i czekała, aż się pojawi. Wcześniej czy później będzie potrzebował jedzenia, proszku do prania, lekarza, papieru toaletowego, czegoś tam — i wtedy go dopadnie.

Na nieszczęście pogoda nie sprzyjała długiemu wyczekiwaniu. Ostatnie parę dni było ciepłe, ale łagodne. Teraz sierpniowy upał powrócił jak zły smok z bajki dla dzieci, trawiąc ziemię palącym oddechem. Palmy obwisły i kwiaty zaczęły schnąć w parzącym słońcu. Za całym wymyślnym systemem irygacyjnym, podtrzymującym bogate zieleńce, wyzuta z ziemi pustynia czekała na ponowne objęcie własności.

Piekąc się szybko i równo jak bułeczka w piekarniku, Holly w końcu podniosła szyby, włączyła motor i klimatyzację. Świeży powiew niósł niebiańską ulgę, ale nie trwało to długo: wóz zaczął się przegrzewać, na wskaźniku temperatury wskazówka szybko wychyliła się w kierunku czerwonego łuku.

Piętnaście po pierwszej, dokładnie trzy kwadransy po zjawieniu się tutaj, Holly wrzuciła wsteczny bieg, wycofała wóz z podjazdu i wróciła do Laguna Hills Moto Inn. Włożyła sprane szorty i kanarkową bluzeczkę ledwo kryjącą ciało oraz nowe tenisówki, tym razem na gołe stopy. W pobliskim drugstorze kupiła składane łóżko, lodówkę turystyczną, duży ręcznik, puszkę dietetycznej lemoniady i kieszonkowe wydanie przygód Trávisa McGee, napisane przez Johna D. MacDonalda. Okulary przeciwsłoneczne już miała.

O wpół do trzeciej była z powrotem przed domem Ironhearta na Bougainvillea Way. Znowu zadzwoniła do drzwi. Nie raczył odpowiedzieć.

Zaniósła lodówkę, składane łóżko i inne rzeczy na trawnik, za dom. Ustawiła łóżko na trawie, tuż za ocienionym sekwojami patiem. Po kilku minutach poczuła się bosko.

W powieści MacDonalda Travis McGee prażył się w Fort Lauderdale. Fale upału były tam tak obezwładniające, że panienki nie miały nawet siły biegać z wdziękiem po plaży. Holly знаła tę książkę; wybrała ją do ponownej lektury, bo pamiętała, że akcja roz-

wija się w scenerii tropikalnego gorąca i wilgotności. W porównaniu z zasnutą oparami Florydą, opisaną żywą prozą MacDonalda, suche powietrze Laguna Niguel wydawało się mniej skwarne, mimo że temperatura przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza.

Po półgodzinie spojrzała w kierunku domu i zobaczyła Jima Ironhearta stojącego w wielkim oknie kuchennym. Obserwował ją.

Pomachała mu. Nie odpowiedział tym samym. Odszedł od okna, ale nie wyszedł na dwór. Otworzyła puszkę z lemoniadą i wróciła do powieści, rozkoszując się dotknięciem słońca na gołych nogach. Nie przejmowała się oparzeniami. Była już trochę opalona. Poza tym, choć jako blondynka miała jasną cerę, opalała się bez oparzeń dopóty, dopóki nie robiła tego szesnaście godzin na dobę.

Właśnie kiedy wstała, aby zmienić kąt ułożenia łóżka i opalać się na brzuchu, zobaczyła Jima Ironhearta na patiu, przy odsuniętych na bok drzwiach salonu. Stał w pogniecionych spodniach i wymiętej koszulce, nieogolony. Brudne włosy opadały mu na czoło. Nie prezentował się dobrze.

Stał nie dalej niż o pięć metrów, więc mówił, nie podnosząc głosu.

— Co tu pani wyrabia?

— Troszkę się opalam.

— Proszę odjechać, panno Thorne.

— Muszę z panem pogadać.

— Nie mamy wspólnego tematu.

— Cha, cha!

Wrócił do środka i zasunął drzwi. Usłyszała, jak zamek zaskoczył.

Leżała na brzuchu prawie godzinę. Drzemała, zamiast czytać. W końcu uznała, że ma dość słońca. Poza tym po wpół do czwartej po południu słońce i tak nie opalało już najlepiej.

Przesunęła łóżko, lodówkę i resztę dobytku na ocienione patio. Otworzyła drugą puszkę lemoniady i znów wzięła się do czytania MacDonalda.

O czwartej ponownie usłyszała, jak przesuwają się drzwi od salonu. Kroki. Stanął za nią. Stał przez chwilę i zapewne jej się przyglądał. Żadne z nich się nie odezwało. Udawała, że czyta.

Cisza robiła dziwne wrażenie. Zaczęła myśleć o ciemnej stronie jego osobowości — na przykład o ośmiu nabojach wystrzelonych w Normana Rinka w Atlancie — i czuła rosnące napięcie, dopóki nie uznała, że on próbuje ją nastraszyć.

Sięgnęła po lemoniadę stojącą na lodówce, pociągnęła łyk, westchnęła, rozkoszując się jej smakiem, a potem odłożyła puszkę z powrotem i wykonała to wszystko bez drżenia ręki. Ironheart w końcu obszedł łóżko i stanął tak, że go widziała. Miał ziemistą cerę i sine kręgi pod oczami.

— Czego pani chce ode mnie?

— Tego nie da się powiedzieć w dwóch słowach.

— Nie mam czasu na więcej.

— A na ile?

— Daję pani minutę.

Zawahała się, a potem potrząsnęła głową.

— Nie potrafię tego powiedzieć w minutę. Poczekam tu, aż będzie miał pan więcej czasu.

Wpatrywał się w nią nieprzyjaźnie.

Znalazła w książce miejsce, na którym przerwała.

— Mogę wezwać policję i usunąć panią z mojej posesji — powiedział.

— To dlaczego pan tego nie zrobi? — spytała.

Przez parę chwil stał nadal w tym samym miejscu, niecierpliwy i zdenerwowany, a potem wrócił do domu. Zasunął drzwi. Zatrzasnął zamek.

— Nie na długo — zamruczała Holly. — Za jakąś godzinę będę musiała skorzystać z twojej toalety.

Blisko niej dwa kolibry spijały nektar z kwiatów, cienie wydłużały się, a w puszcze z lemoniadą bąbelki wydawały puste dźwięki, jak tykanie zegarka.

Na dalekiej Florydzie również uwijały się kolibry, drzewa kładły chłodne cienie, zamiast dietetycznej lemoniady stały butelki do sequis z lodu, a Travis McGee z każdym akapitem wpadał w coraz większe tarapaty.

Zaczęło jej burczeć w brzuchu. Jadła śniadanie na lotnisku w Dubuque, dziwiąc się, że apetytu nie odebrały jej makabryczne obrazy katastrofy, wypalone na zawsze w pamięci. Lunch ją ominął. Teraz myślała, że oszaleje z głodu. Życie nie stoi w miejscu.

Na piętnaście minut przed nieprzekraczalnym terminem, jaki sobie wyznaczyła, żeby udać się do toalety, Ironheart powrócił. Umył się i ogolił. Miał na sobie niebieską koszulę z dużym rozcięciem pod szyją, białe bawełniane spodnie i białe płócienne mokasy.

Poczuła się mile polectana; pragnął zrobić lepsze wrażenie.

— Dobra, o co chodzi?

— Najpierw muszę skorzystać z twojej łazienki.

Na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia.

— Dobra, dobra, ale potem pogadamy, będziemy mieli to z głowy i pójdiesz sobie.

Weszła za nim do salonu przylegającego do otwartej przestrzeni jadalnej, która sąsiadowała z kolei z otwartą kuchnią. Niedopasowane meble robiły wrażenie nabytych za bezcen podczas wyprzedaży jakiegoś magazynu. Musiał je kupić zaraz po tym, jak skończył college i podjął pracę nauczyciela. Były czyste, lecz dobrze podniszczone. Setki książek w kieszonkowych wydaniach wypełniały stojące półki. Ale na ścianach nie wisały żadne dzieła sztuki, a na podłodze nie stały żadne ozdoby, wazy, misy, rzeźby ani rośliny doniczkowe, które by dodały ciepła temu wnętrzu.

Wskazał jej toaletę obok hallu wejściowego. Była pomalowana na biało. Nie dostrzegła wymyślnie uformowanych mydełek w kształcie pączków róż, tylko kawałek zwykłego ivoiry. Nie było też kolorowych, wzorzystych ręczników, jedynie rolka papierowych ręczników leżała na półce.

— Może dałoby się omówić nasze sprawy przy kolacji. Umieram z głodu — rzuciła, zamykając drzwi i oglądając się na niego.

Kiedy skończyła zajęcia w toalecie, zerknęła do living-roomu. Był urządzony — rzecz by można — w stylu „Pierwsza Wyprzedaż w Garażu” i miał wygląd jeszcze bardziej spartański niż salon. Jak na kogoś, kto wygrał sześć milionów na loterii stanowej, dom był niezwykle skromny, ale w porównaniu z umeblowaniem godny Rockefellerów.

Poszła do kuchni i zobaczyła, że Ironheart czeka przy okrągłym stoliku jadalnym.

— Spodziewałam się, że zajmiesz się kuchnią — rzekła, sięgając po krzesło i sadowiąc się naprzeciw niego.

Nie był tym rozbawiony.

— Czego chcesz?

— Pozwól, że zacznę od tego, czego nie chcę — powiedziała. — Nie chcę o tobie pisać. Rzuciłam reportaże. Koniec z dziennikarstwem. Wierz mi albo nie, ale to prawda. Twoje dobre uczynki zostaną zablokowane, jeżeli będziesz śledzony przez mass media. Ludzie, których mógłbyś uratować, zginą. Teraz to rozumiem.

— To dobrze.

— I nie zamierzam cię szantażować. Zresztą sądząc po rozpasaniu i bogactwie, w jakim się tarzasz, wątpię, żeby w kieszeni zostało ci więcej niż osiemnaście dolców.

Nie uśmiechnął się. Po prostu wpatrywał się w nią tymi niebieskimi oczami koloru gazowego płomyka.

— Nie chcę utrudniać ci pracy ani wyznaczać celów — kontynuowała. — Nie chcę cię czcić jako Chrystusa w Drugim Nadejściu, wychodzić za ciebie za mąż, rodzić ci dzieci ani wyciągać od ciebie tajemnic sensu życia. Zresztą tylko Elvis Presley zna sens życia, a on jest hibernowany w sejfie Obcych w jaskini na Marsie.

Twarz miał nieruchomą jak kamień. Był naprawdę twardy.

— Chcę — powiedziała Holly — zaspokoić ciekawość, dowiedzieć się, jak robisz to, co robisz, i dlaczego to robisz. — Zawahała się. Wzięła głęboki oddech. Teraz będzie duży numer: — I chcę brać w tym wszystkim udział.

— O co ci chodzi?

Zalała go potokiem słów w obawie, że przerwie jej, zanim wszystko z niej wypłynie, i nigdy nie będzie następnej szansy, aby mu wszystko wytłumaczyć.

— Chcę z tobą pracować, pomagać ci, dołączyć się do twoich misji, czy jak je nazywasz. Chcę ratować ludzi albo choć pomagać tobie, kiedy ich ratujesz.

— Nie możesz niczego zrobić.

- Musi coś być — upierała się.
- Tylko będziesz przeszkadzać.
- Posłuchaj, jestem inteligentna...
- I co z tego?
- ...wykształcona...
- Ja też.
- ...mam charakter...
- Ale jesteś mi niepotrzebna.
- ...kompetentna, sprawna...
- Przykro mi.

— Do cholery! — zakląła, raczej sfrustrowana niż zła. — Pozwól mi być twoją sekretarką, nawet jeśli ci niepotrzebna. Pozwól mi być twoją Piętaszką, twoją dziewczyną na posyłki — przynajmniej twoim przyjacielem.

Jej prośby wydawały się go nie wzruszać. Patrzył na nią tak długo, aż zaczęła się czuć niewygodnie, mimo to nie odwróciła wzroku. Czuła, że używa swego niezwykle przenikliwego spojrzenia jako instrumentu kontroli i zastraszenia, ale niełatwo poddawała się manipulacji. Nie pozwoli, aby to on reżyserował to spotkanie, zanim na dobre się zaczęło.

- Więc chcesz być moją Lois Lane — odezwał się w końcu.

Przez moment nie miała pojęcia, o czym mówił. Potem przypomniała sobie: Metropolis, „Daily Planet”, Jimmy Olsen, Perry White, Lois Lane, Clark Kent, Superman.

Holly wiedziała, że usiłuje ją zirytować. Rozzłoszczenie to też sposób manipulacji; jeżeli stanie się agresywna, zyska pretekst, żeby jej odmówić. Była zdecydowana zachować spokój i w miarę sympatyczny nastrój, aby nie zatrzaskiwać drzwi między nimi.

Ale nie potrafiła tylko potulnie siedzieć, trzymając się w ryzach. Musiała wyrzucić z siebie tę część energii płynącej z wściekłości, która przekraczała pojemność jej baterii. Odepchnęła krzesło, wstała i chodząc, wyjaśniała:

— Nie, właśnie tym nie chcę być. Nie chcę być twoją kronikarką, nieustraszoną pannienką reporterką. Rzygam dziennikarstwem. — Pokrótce wyjaśniła mu dlaczego. — Nie chcę być wcale twoją omdlewającą wielbicieleką ani pełną dobrych chęci, ale nieporadną dupencją, która ciągle pakuje się w kłopoty i wzywa pomocy, by ją oswobodzono z paskudnych łap Lexa Luthora. Tu dzieje się coś niezwykłego i chcę brać w tym udział, bo to, co robisz, ma... ma sens. Chcę pomóc, w miarę swych możliwości. Chcę zrobić coś bardziej wartościowego niż to, co do tej pory robiłam w życiu.#

— Filantropi są zwykle tak zajęci sobą, tak haniebnie aroganccy, że robią więcej złego niż dobrego — powiedział.

— Nie jestem filantropką. Nie o to mi chodzi. W ogóle nie interesują mnie pochwały za wielkoduszność i poświęcenie. Nie chcę wznosić się na wyższy poziom moralności. Chcę być przydatna.

— Świat pełen jest dobroczyńców — nie ustępował. — Gdybym potrzebował kogoś do pomocy, a tak nie jest, dlaczego miałbym wybrać ciebie spośród wszystkich innych dobroczyńców?

Ten facet był nie do zniesienia. Miała ochotę mu przywalić.

Zamiast tego chodziła tam i z powrotem.

— Wczoraj, kiedy czołgałam się po tego chłopczyka, po Norby'ego, wtedy... to zaskoczyło mnie samą — powiedziała. — Nie wiedziałam, że coś takiego we mnie siedzi. Nie byłam odważna, przez cały czas bałam się jak cholera, jednak wyciągnęłam go stamtąd i nigdy nie czułam się z siebie tak dumna.

— Lubisz, kiedy ludzie patrzą na ciebie i mówią: „Ale z niej bohaterka” — rzucił obojętnie.

— Nie, to nie tak — odparła, potrząsając głową. — Poza jednym ratownikiem nikt nie wiedział, że wyciągnęłam stamtąd Norby'ego. Podobało mi się, jak patrzyłam potem na siebie, ot co.

— Więc masz świra na punkcie ryzyka i bohaterskich czynów, wychylenie się działa na ciebie narkotycznie.

Teraz miała ochotę walnąć go dwa razy. Po twarzy. Trzask, trzask. Tak mocno, żeby mu w oczach zawirowało. To by jej dobrze zrobiło!

Opanowała się.

— Dobra, jeśli tak chcesz to wiedzieć, jestem maniaczką wychylenia się.

Nie przeprosił. Gapił się dalej.

— To lepsze niż codzienne wdychanie kokainy, nie sądzisz? — spytała.

Nie raczył odpowiedzieć.

Czując rosnącą desperację, lecz usiłując ją zdusić, powiedziała:

— Wczoraj, kiedy było już po wszystkim, jak już dałam Norby'ego temu ratownikowi, wiesz, co przede wszystkim czułam? Nie uniesienie i radość z uratowania go — to też, ale nie przede wszystkim. Nie dumę i rozkosz z pokonania samej śmierci. Przede wszystkim czułam wściekłość. To mnie zaskoczyło, nawet przerażyło. Byłam wściekła, że ten mały chłopczyk ledwo wywinął się śmierci, że jego wujek zginął tuż obok, że został uwięziony pod fotelami razem ze zwłokami, że cała jego niewinność pierzchła. Nigdy nie będzie już tym samym chłopcem, który powinien po prostu cieszyć się życiem. Chciałam kogoś uderzyć, kazać komuś przeprosić go za to, co przeszedł. Los to jednak nie jest obleśny wycieruch w ubranku za grosze, nie można go dopaść i kazać mu przeproszać. Pozostaje mi tylko gotować się we własnej wściekłości.

Nie mówiła głośno, lecz z coraz większym żarem. Chodziła szybciej, podniecona. Zamiast gniewu rosło w niej napięcie, które ujawniało całą desperację. Mimo to nie potrafiła się powstrzymać:

— Gotować się we wściekłości. Ale ty jesteś Jim Ironheart. Ty możesz zaradzić temu, jak nikt nigdy przed tobą. I teraz, kiedy wiem o tobie, nie mogę dłużej żyć tak samo, nie umiem wzruszyć ramionami i odejść, bo ty obudziłeś we mnie siłę, o jakiej do tej pory nie wiedziałam, pokazałeś nadzieję, kiedy ja nawet nie podejrzewałam, że ona jest mi potrzebna, wskazałeś drogę do zaspokojenia pragnienia, o którym do wczoraj nie miałam pojęcia, że we mnie tkwi: że chcę rewanzu, chcę splunąć śmierci w twarz. Cholerny świat, nie możesz po prostu zamknąć za sobą drzwi i zostawić mnie tu bezczynną.

Patrzył na nią.

No to gratuluję, Thorne, powiedziała w duchu pogardliwie. Byłaś ucieleśnieniem spokoju i opanowania, świetlistym przykładem samokontroli.

Po prostu na nią patrzył.

Na chłód odpowiedziała uniesieniem, jego wysoce skutecznemu milczeniu przeciwstawiła słowotok. Miała tylko jedną szansę i ją schrzaniła.

Nagle pozbawiona energii, której niedawno miała aż za dużo, usiadła, kupka nieśczęścia. Oparła łokcie na stole, schowała twarz w dłoniach, nie wiedziała — płakać czy krzyczeć. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Po prostu westchnęła ze znużeniem.

— Chcesz piwa? — spytał.

— Boże, tak.

Jak szczotka z płomieni, zachodzące słońce wciskało się przez żaluzje okna w jadalnianym zakątku kuchni. Na suficie płonęła płatanina miedzianozłotych pasów. Holly zapadła się w swój fotel, Jim wychylił się w przód ze swojego. Wpatrywała się w niego, kiedy wbijał wzrok w niedopitą butelkę corony.

— Tak jak mówiłem w samolocie, nie jestem jasnowidzem — powtarzał z uporem. — Nie potrafię na siłę czegokolwiek przewidzieć. Nie mam wizji. Działa przeze mnie wyższa potęga.

— Zechciałbyś to nieco uściślić?

Wzruszył ramionami.

— Bóg.

— Bóg z tobą rozmawia?

— Nie rozmawia. Nie słyszę głosu Jego ani nikogo innego. Od czasu do czasu jestem zmuszony pojawić się w określonym miejscu o określonej godzinie...

Usiłował jej wytłumaczyć, jak znalazł się w Portland przy szkole McAlbury'ego i na miejscu innych swoich cudownych akcji ratunkowych. Opowiedział jej również o tym, jak ojciec Geary znalazł go na podłodze kościoła przy ołtarzu, ze stygmatami na czole, rękach i boku.



To była historia nie z tej ziemi, fantastyczna mieszanka, jaką mógłby spłodzić mistycyzm katolickiego heretyka będącego indiańskim znachorem, nafaszerowanym peyotlem, do spółki z twardo chodzącym po ziemi gliniarzem w stylu Clinta Eastwooda. Holly była urzeczona.

— Szczerze mówiąc, nie potrafię się w tym dopatrzeć potężnej ręki Boga — dodała jednak.

— A ja tak — powiedział spokojnie.

Widać było wyraźnie, że jego sąd jest ustalony i nie potrzebuje jej potwierdzenia.

— Czasami musiałeś być niesamowicie wkurzony, jak przy tych facetach, którzy porwali Susie i jej matkę na pustyni.

— Dostali to, na co zasługiwali — rzekł beznamiętnie. — W niektórych jest zbyt wiele ciemności, zepsucia, którego nie da się usunąć, nawet gdyby się rehabilitowali przez pięć istnień ludzkich. Zło jest realne i nawiedza świat. Czasami diabeł działa poprzez perswazję. A czasem po prostu spuszcza ze smyczy socjopatów, którym brak genów empatii i współczucia.

— Nie mówię, że nie powinieneś w pewnych sytuacjach postępować gwałtownie. O ile się orientuję, nie miałeś wyboru. Chodzi mi tylko o to... trudno wyobrazić sobie Boga zachęcającego swego wysłannika, żeby używał strzelby.

Pociągnął piwa.

— Czytałaś kiedyś Biblię?

— Jasne.

— Tam się mówi, że Bóg starł z powierzchni ziemi złych ludzi w Sodomie i Gomorze wybuchami wulkanów, trzęsieniami ziemi i deszczami ognia. Kiedyś sprowadził potop na cały świat, prawda? Pogrążył żołnierzy faraona w Morzu Czerwonym, utopił wszystkich. Nie sądzę, żeby się miał trząść nad jedną, wysłużoną, niepozorną strzelbą.

Wbił w nią te swoje oczy, które potrafiły być tak pociągające, że kolana jej miękły, lub tak zimne, że dygotała. Przed chwilą ciepłe, teraz stały się lodowate. Jeżeli nie była pewna, lodowata odpowiedź potwierdziła, że jej udział w jego życiu jest jeszcze sprawą otwartą.

— Raczej miałam na myśli Boga z Nowego Testamentu. Może o Nim słyszałeś — wyrozumiały, współczujący, litościwy.

— Spotkałem ludzi tak nikczemnych, takie łajno na dwóch nogach, że byłoby obrażą dla zwierząt nazwać ich zwierzętami. Gdybym podejrzewał Boga o litość nad nimi, nie chciałbym mieć nic z Nim wspólnego.

Holly stała przy zlewku kuchennym, czyszcząc pieczarki i krojąc pomidory, a Jim oddzielał białko od żółtek na omlety.

— Przez cały czas ludzie umierają na wyciągnięcie ręki, tuż za płotem. Ale ty często lecisz na drugi koniec kraju, żeby ich ratować.

— Raz Francja — rzekł, potwierdzając jej podejrzenia, że bywał w swoich misjach za granicą. — Raz Niemcy, dwa razy Japonia, raz Anglia.

— Dlaczego ta wyższa potęga nie daje ci zajęcia na miejscu?

— Nie wiem.

— Zastanawiałeś się, co jest takiego wyjątkowego w ludziach, których ratujesz? Dlaczego oni, a nie ktoś inny?

— Mhm. Zastanawiałem się nad tym. Każdego tygodnia widziałem sensacyjne wiadomości o morderstwach niewinnych ludzi albo o wypadkach tu, w południowej Kalifornii, i łamałem sobie głowę, dlaczego On uznał, że zamiast nich mam ratować jakiegoś chłopca z Bostonu. Doszedłem do wniosku, że z chłopcem to jest tak: diabeł uknuł spisek, żeby zabrać go przed czasem, i Bóg użył mnie, żeby temu zapobiec.

— Tylu z nich to jeszcze dzieci.

— Zauważyłem.

— Ale nie wiesz dlaczego?

— Zupełny brak podejrzeń.

W kuchni rozchodziły się zapachy smażonych jajek, cebuli, zielonej papryki. Jim robił na patelni jeden wielki omlet; zamierzał przekroić go na połowę, gdy się przyrumieni.

Holly dozorowała proces opalania tostów z pełnoziarnistego chleba.

— Dlaczego Bóg chciał, żebyś na pustyni uratował Susie i jej matkę — ale nie ojca?

— Nie wiem.

— Ojciec nie wyglądał na złego faceta?

— Nie. Raczej nie.

— Więc dlaczego nie uratował ich wszystkich?

— Jak będzie chciał, żebyśmy wiedział, powie mi o tym.

Jim nie miał wątpliwości, że Bóg otoczył go łaską oraz wskazuje drogę; łatwo pogodził się również z tym, że On skazuje na śmierć jednych, a ratuje drugich. Dręczyło to Holly.

Z drugiej strony, jak inaczej miał reagować na niezwykłości, jakie go spotkały? Klótnie z Bogiem były pozbawione sensu.

Przypomniała sobie stare powiedzenie, komunał nad komunały: Bóg dał mi siłę, abym zmienił to, czego nie mogę wytrzymać, i pokorę akceptowania tego, czego zmienić nie mogę, oraz mądrość odróżniania jednego od drugiego. To była na pewno zdrowa postawa.

Kiedy dwie kromki chleba zaczęły się przyrumieniać, wyciągnęła je z tosteru.

— Jeżeli Bóg chciał uratować Nicolasa O'Connera przed usmażeniem, kiedy rozniosło komorę tego towarzystwa energetycznego, dlaczego po prostu nie zapobiegł spięciu?

— Nie wiem.

— Czy nie wydaje ci się to dziwne, że Bóg musi korzystać z ciebie, przeganiać cię po całym kraju, rzucać na tego małego O'Connera sekundę przed eksplozją linii o napięciu siedemnastu tysięcy woltów? Dlaczego nie może po prostu... nie wiem... po prostu napluć na ten kabel albo jakoś załatać go boską śliną, zanim się rozwali? Albo zamiast posyłać cię aż do Atlanty, żebyś zabił Normana Rinka w tamtym sklepie, dlaczego Bóg po prostu nie przytknął go w głowę i nie spowodował u niego niewielkiego wylewu?

Jim zręcznie przrzucił omlet na patelni.

— Dlaczego stworzył myszy, które nie dają nam spokoju, i kota, który zabija myszy? Dlaczego stworzył mszyce, które zżerają rośliny, a potem biedronki, które zjadają mszyce? I dlaczego nie podarował nam oczu z tyłu głowy, chociaż bardzo by się nam przydały?

Skończyła cienko smarować pierwsze dwa tosty.

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Niezbadane są ścieżki Pana.

— I to bardzo.

Jedli w kuchni. Omlet, tosty, sałatkę z pomidorów i zimne piwo.

Purpurowa pajęczyna zmierzchu zasnuła świat za oknem, a noc wylaniała już twarz.

— Nie jesteś do końca marionetką w tych sytuacjach — powiedziała Holly.

— Jestem.

— Możesz w jakiejś mierze zdecydować o efekcie końcowym.

— Nie.

— No, przecież Bóg wysłał cię lotem 246, żebyś uratował jedynie dwie osoby.

— Zgadza się.

— Ale potem wzięłeś sprawę w swoje ręce i uratowałeś więcej ludzi niż tylko Christine i Casey. Ilu miało umrzeć?

— Stu pięćdziesięciu jeden.

— A ilu w końcu zginęło?

— Czterdziestu siedmiu.

— No i pięknie, uratowałeś sto dwa istnienia ludzkie więcej, niż On ci polecił.

— Sto trzy, wliczając twoje — ale tylko dlatego, że pozwolił mi na to, pomógł.

— Co... uważasz, że Bóg chciał, żebyś uratował tylko te Dubrovek, ale potem zmienił zdanie?

— Chyba tak.

— Bóg nie wie, czego chce?

— Nie mam pojęcia.

— Bywa zdezorientowany?

— Nie wiem.

— Chwiejny?

— Holly, po prostu nie wiem.

— Dobry omlet.

— Dziękuję.

— Nie potrafię pojąć, dlaczego Bóg miałby zmieniać zdanie. Przede wszystkim jest nieomylny, prawda? Więc nie może podejmować niewłaściwej decyzji za pierwszym razem.

— Nie zawracam sobie głowy takimi pytaniami. Po prostu o tym nie myślę.

— Oczywiście — odpowiedziała.

Wpatrywał się w nią i poczuła pełny efekt jego spojrzenia, kiedy osiągnęło temperaturę arktyczną. Potem skupił się na piwie i jedzeniu i nie dał się wciągnąć w parę nowych konwersacyjnych gambitów Holly.

Poczuła, że nie ufa jej ani trochę bardziej niż wtedy, kiedy z oporami zaprosił ją do domu. Dalej ją oceniał i — na punkty — przegrywała. Potrzebował solidnego, nokautującego uderzenia, ale zostawiała je na decydujący moment.

— Dobra, wysłuchałem twoich wywodów, nakarmiłem cię i teraz chcę, żebyś poszła.

— Nie, nie chcesz.

Zamrugął.

— Panno Thorne...

— Poprzednio mówiłeś do mnie Holly.

— Panno Thorne, proszę nie zmuszać mnie, żebym panią wyrzucił.

— Nie chcesz, żebym poszła — powtórzyła Holly, starając się nadać głosowi więcej pewności. — We wszystkich miejscach twoich akcji ratunkowych podawałeś tylko imię. Nikt nie dowiedział się o tobie niczego więcej. Poza mną. Powiedziałeś mi, że mieszkasz w południowej Kalifornii, że nosisz nazwisko Ironheart.

— Nigdy nie twierdziłem, że jesteś złą reporterką, jesteś dobra w wyciąganiu informacji...

— Nic nie wyciągałam. Sam mi to powiedziałeś. I gdybyś tego nie chciał, grizzly z dyplomem inżyniera i łomem w łapie nie wyciągnąłyby tego z ciebie. Chcę jeszcze piwa.

— Prosiłem, żebyś wyszła.

— Nie musisz się ruszać. Wiem, gdzie je trzymasz.

Wstała, podeszła do lodówki i wyjęła następną butelkę.

Podejmowała teraz duże ryzyko, przynajmniej jak na nią, ale trzecie piwo stanowiło jakiś pretekst — chociaż wąły — żeby zostać i porozmawiać. Zeszłej nocy wysuszyła trzy butelki w barku motelu w Dubuque. Ale wtedy była napompowana adrenaliną, superpodniecona i zjeżona jak syjamski kot na benzydrynie. Alkohol tracił od razu moc, wpadając w krwiobieg. A przecież nawet wtedy grzmotnęła się na łóżko jak drwal po dobrych kilku szklankach bimbrow. Jeżeli padnie tu, przy Ironhearcie, bez wątpienia obudzi się w samochodzie na ulicy i nigdy więcej nie przestąpi progu tego domu. Otworzyła piwo i wróciła z nim do stołu.

— Chciałeś, żebym cię znalazła — oświadczyła, siadając.

Zdechły pingwin, zmrożony na lód, emanowałby większym ciepłem niż spojrzenie Ironhearta.

— Ach, chciałem.

— Oczywiście. Dlatego podałeś mi swoje nazwisko i powiedziałeś, gdzie mogę cię znaleźć.

Nie odezwał się.

— A pamiętasz swoje ostatnie słowa na lotnisku w Portland?

— Nie.

— To była najmiłsza zachęta, jaką w życiu usłyszałam od faceta.

Czekał. Kazała mu czekać jeszcze dłużej, pociągając łyk piwa prosto z butelki.

— Zanim zamknąłeś drzwi i wszedłeś do hali, powiedziałeś: „Tak jak pani, panno Thorne”.

— Nie brzmi to dla mnie zachęcająco.

— Było romantyczne jak wszyscy diabli.

— „Tak jak pani, panno Thorne”. A co ty mi powiedziałaś? „Jest pan dupkiem, panie Ironheart”?

— Cha, cha, cha — wyskandowała — próbuj to unurzać w błocie, proszę bardzo, ale ci się nie uda; Powiedziałam, że twoja skromność przywraca chęć do życia, a ty na to: „Tak jak pani, panno Thorne”. Kiedy to sobie przypomnę, jeszcze teraz serce bije mi jak szalone. Wiedziałeś, co robisz, cicha woda z ciebie. Rzuciłeś nazwisko, adres, parę tych cholernych spojrzeń, odegrałeś niewiniątko. Potem dołożyłeś mi tym „Tak jak pani, panno Thorne” i zniknąłeś jak Bogart.

— Myślę, że chyba starczy ci piwa.

— Taak? A ja myślę, że posiedzę tu sobie przez całą noc i będę piła.

Westchnął.

— W takim razie lepiej będzie, jak ja też sobie otworzę.

Poszedł po butelkę, wrócił i usiadł.

Holly uznała, że udało się jej zrobić krok naprzód.

A może próbował wywieść ją w pole. Może ta wspólnota dusz przy coronie to jakaś pułapka. Cwaniak z niego — nie ma co. Może próbuje wygrać z nią w picu. No i przegra, bo ona zwali mu się pod stół!

— Chciałeś, żeby cię znalazła — powtórzyła.

Nic nie odpowiedział.

— Wiesz, dlaczego chciałeś, żebym cię znalazła?

Nic nie odpowiedział.

— Chciałeś, żebym cię znalazła, bo naprawdę myślałeś, że moja obecność przywraca chęć do życia, a ty jesteś najbardziej samotnym, najsmutniejszym facetem stąd do Hardrock w Missouri.

Nic nie odpowiedział. Świetnie to robił. Był najlepszym facetem na świecie w siedzeniu z zamkniętą gębą, kiedy to właśnie było potrzebne.

— Mam ochotę ci przyłożyć — powiedziała.

Nic nie odpowiedział.

Jeżeli corona natchnęła ją jakimś poczuciem pewności siebie, to nagle wszystko z niej wyparowało. Poczula, że znów przegrywa. Przez parę rund miała zapewnioną przewagę punktową, ale oto została pokonana przez jego milczenie.

— Dlaczego te bokerskie porównania latają mi po głowie? — spytała go. — Nie cierpię boksu.

Pociągnął solidny łyk piwa i kiwnięciem wskazał jej butelkę, z której upiła dopiero jedną trzecią.

— Naprawdę chcesz to wypić do końca?

— A co, do cholery. — Świadoma, że piwsko zaczynają za bardzo rozkładać, była jeszcze na tyle trzeźwa, żeby trafić we właściwy moment z zadaniem nokautującego ciosu. — Jeżeli nie powiesz mi o tym miejscu, będę tu siedziała i zapijała się w trupa, aż zamienię się w tłustego, flejtuchowatego piwosza. Odwalę kitę na osiemdziesiąte drugie urodziny, kiedy moja wątroba osiągnie wielkość stanu Vermont.

— O miejscu? — Wyglądał na zaskoczonego. — Jakim miejscu?

Teraz. Do zadania ciosu wybrała delikatny, ale wyraźny szept.

— Wiatrak.

Nie upadł na dywan, nie zaczęły mu wirować wokół głowy gwiazdki jak na filmach rysunkowych, ale Holly poczuła, że skamieniał.

— Byłaś w wiatraku? — zapytał.

— Nie. Mówisz, że on istnieje naprawdę?

— Jeżeli nie wiesz nawet tyle, to skąd w ogóle możesz o nim wiedzieć?

— Ze snów. Snów o wiatraku. Przez trzy ostatnie noce.

Poblądł. Górne światło nie było włączone. Siedzieli w cieniu, oświetleni jedynie rozmytym blaskiem, padającym spod osłony wyciągu kuchennego, świetlówki przy zle-

wie i lampy stołowej z przyległego salonu, ale Holly widziała, jak blednie pod opalenizną. Jego oblicze majaczyło w pomroce jak rozpostarte skrzydełka wielkiej śnieżnobiałej ćmy.

Niezwykła żywość i niesamowity przebieg nocnego koszmaru — oraz kontynuacja snu w rzeczywistości motelowego pokoju — stanowiły częściowy dowód ewentualnych powiązań tego zdarzenia z Jimem Ironheartem. Dwa tak szybko następujące po sobie spotkania ze światem ponadrealnym musiały się ze sobą wiązać. Ale poczuła ulgę, kiedy jego oszołomienie potwierdziło te domysły.

— Ściany z wapienia — powiedziała. — Drewniana podłoga. Ciężkie drewniane drzwi, wzmocnione żelazem. Za nimi schody z wapienia. Żółta świeca na błękitnej podstawce.

— Śniłem o nim przez lata — powiedział miękko. — Raz, dwa razy w miesiącu. Nigdy częściej. Aż trzy noce temu... Ale jak mogliśmy śnić to samo?

— Gdzie stoi prawdziwy wiatrak?

— Na farmie dziadków. Na północ od Santa Barbara. W dolinie Santa Ynez.

— Czy zdarzyło ci się tam coś strasznego?

Potrząsnął głową.

— Nie. Wcale. Kocham tę budowlę. To był... azyl.

— To dlaczego zrobiłeś się blady, kiedy o nim wspomniałam?

— Blady?

— Wyobrażasz sobie kota albinosa, kiedy goni mysz i za rogiem wpada na dobermana? Robi się blady.

— No, wiesz, kiedy śnię o tym wiatraku, zawsze czuję lęk...

— Nie wiem. Ale było ci w nim bezpiecznie, mówiłeś, że to azyl. Co on robi w złych snach?

— Nie wiem.

— Tę płytę już przesłuchiwaaliśmy.

— Naprawdę nie wiem — powtórzył z uporem. — Ale dlaczego ty o nim śniłaś, kiedy nigdy cię tam nie było?

Pociągnęła jeszcze piwa, co nie usprawniło jej procesów myślowych.

— Może dlatego, że rzucasz na mnie projekcję swojego snu. Jako środek do połączenia nas, przyciągnięcia mnie do siebie.

— Dlaczego miałyby mi zależeć na przyciągnięciu cię?

— Miły jesteś.

— W każdym razie już ci mówiłem: nie mam zdolności ponadzmysłowych. Jestem tylko instrumentem.

— W takim razie to ta twoja wyższa potęga — powiedziała. — Posyła mi ten sam sen, bo chce, żebyśmy byli razem.

Otarł twarz.

— Jak na razie, mam dość. Jestem cholernie zmęczony.

— Ja też. Ale mamy dopiero wpół do dziesiątej i zostało nam masę rzeczy do obgadania.

— Ostatniej nocy spałem tylko godzinę.

Wyglądał kiepsko. Po goleniu i prysznicu prezentował się nieźle, ale teraz since uwydatniły się i nie odzyskał rumieńców po tym, jak zbladł, gdy usłyszał, że śniła o wiatru.

— Pomówimy o tym jutro rano — powiedział.

— Nie ma mowy. — Skrzywiła się. — Jak wrócę jutro, to mnie nie wpuścisz.

— Wpuszczę.

— Teraz tak mówisz.

— Jeżeli masz ten sen, to jesteś częścią tego wszystkiego, czy mi się to podoba, czy nie.

Ton jego głosu znów z chłodnego zrobił się zimny. Było jasne, że mówiąc: „czy mi się podoba, czy nie”, naprawdę myślał: „Chociaż wcale mi się to nie podoba”.

Był samotnikiem i na zawsze musiał nim pozostać. Viola Moreno, która za nim przepadała, twierdziła, że zarówno uczniowie, jak i koledzy bardzo go lubili. Jednak mówiła też o głębokim smutku, jaki oddzielał go od innych, i że kiedy rzucił pracę, rzadko widywał się z nią czy innymi przyjaciółmi ze szkoły. Zainteresował się wprowadzie identycznym snem Holly, powiedział, że ona przywraca mu chęć do życia, i do jakiegoś stopnia podobała mu się, ale jasna była jego niechęć wobec prób naruszania samotności.

— Nie zgadzam się — powiedziała Holly. — Nie będzie cię, kiedy się tu zjawię, nie dowiem się, gdzie zniknąłeś, może nigdy nie wrócisz.

Nie miał siły stawiać oporu.

— To zostań na noc.

— Masz wolny pokój?

— Mhm. Ale nie mam wolnego łóżka. Chyba że będziesz spała na kanapie w salonie, tyle że jest stara jak cholera i niezbyt wygodna.

Zaniosła swoją do połowy opróżnioną butelkę do salonu i wypróbowała zapadającą się brązową kanapę.

— Ujdzie.

— Jeżeli ci nie przeszkadza... — Starał się zachować obojętność, lecz wyczuła, że jest udawana.

— Masz drugą piżamę?

— O Jezu.

— No, przepraszam cię, ale nie wzięłam nic ze sobą.

— Moja będzie na ciebie za duża.



— Wolę to niż na golasa. I muszę wziąć prysznic. Po całym popołudniu na słońcu lepiej się od kremu do opalania.

Z wyrazem twarzy człowieka, co zastał na progu najmniej lubianego krewnego, który właśnie przybył z niezapowiedzianą wizytą, wskazał jej drugą łazienkę na górze, podał ręczniki i piżamę.

— Staraj się cicho zachowywać — powiedział. — Za pięć minut mam zamiar spać jak kamień.

Rozkoszując się strumieniami gorącej wody i kłębamii pary, Holly cieszyła się, że prysznic nie splukał z niej zamroczenia piwem. Ostatnią noc wprawdzie miała lepszą niż Ironheart, ale od kilku dni ani razu nie przespała solidnie ośmiu godzin i z przyjemnością myślała o śnie, jaki zapewni jej corona. Nawet na zniszczonej i zapadającej się kanapie.

To zamroczenie umysłu jednak ją niepokoiło. Powinna zachować pełną koncentrację. Przecież znalazła się w domu przedziwnego człowieka, który pozostawał dla niej zagadką, chodzącym znakiem zapytania. Niewiele rozumiała z tego, co działo się w jego sercu, które przepompowywało więcej tajemnic i niewiadomych niż krwi. Mimo całego chłodu, jaki przejawiał wobec niej, wydawał się w gruncie rzeczy człowiekiem życzliwie nastawionym i trudno było uwierzyć, żeby miał jej w czymś zagrozić. Z drugiej strony, ileż to razy można było usłyszeć o wielokrotnym mordercy szaleńcu, który — po brutalnym wymordowaniu przyjaciół, rodziny i współpracowników — bywał określany przez osłupiałych sąsiadów jako „naprawdę miły gość”. Z tego, co wiedziała, aspirując do roli awataru Boga, Jim za dnia mógł heroicznie nadstawiać karku i ratować życie innych, a nocą z maniakalnym zadowoleniem torturować małe kotki.

Niemniej, gdy wytarła się w pachnący czystością miękkii ręcznik kąpielowy, pociągnęła następny długi łyk corony, zdecydowała, że dla całej nocy głębokiego i pozbawionego widziadeł snu warto zaryzykować i dać się pokrajać na kawałki.

Włożyła piżamę, podwinęła nogawki i rękawy.

Wzięła w rękę butelkę, coś tam jeszcze na dnie chlupało, cicho otworzyła drzwi łazienki i wyszła na korytarz. W domu panowała dziwna cisza.

Zmierzając ku schodom, minęła otwarte drzwi sypialni i zajrzała do środka. Mosiężne kinkiety zawieszono po dwóch stronach łóżka. Jedna z lamp rzucała wąski krąg bursztynowego światła na zmiętą pościel. Jim leżał na plecach, z ramionami pod głową, na dwóch poduszkach. Nie wyglądało, żeby spał.

Zawahała się, potem stanęła w otwartych drzwiach.

— Dzięki — powiedziała cicho, na wypadek gdyby spał. — Czuję się dużo lepiej.

— Cieszę się.

Holly weszła do pokoju i na tyle zbliżyła do łóżka, że ujrzała jego niebieskie oczy świecące w kręgu lampy. Prześcieradło przykrywało go do połowy piersi. Nie miał na sobie góry od piżamy. Klatka piersiowa i ramiona były szczupłe, ale dobrze umięśnione.

— Myślałam, że już będziesz spał.

— Chcę i powinienem, ale nie mogę przestać myśleć.

— Viola Moreno mówiła, że bywasz smutny — powiedziała, spoglądając na niego z góry.

— Nie próżnowałaś, co?

Pociągnęła łyżeczkę piwa. Został jeszcze jeden. Przysiadła na krawędzi łóżka.

— Twoi dziadkowie ciągle mają tę farmę z wiatrakami?

— Oni nie żyją.

— Och, przykro mi.

— Babcia umarła pięć lat temu, dziadek osiem miesięcy później — jakby nie chciał żyć bez niej. Mieli dobre, urozmaicone życie. Ale brak mi ich.

— Masz kogoś?

— Dwóch kuzynów w Akron.

— Utrzymujecie kontakty?

— Nie widziałem ich od dwudziestu lat.

Dopiła resztkę piwa. Cisza ich nie krępowała. Przeciwnie, czuli się z nią dobrze.

Wstała, podeszła do łóżka z drugiej strony. Odsunęła przykrycie, położyła się obok niego, złożyła głowę na poduszkach.

Nie robił wrażenia zaskoczonego. Ani ona.

Po chwili splekli dłonie, leżeli obok siebie, wpatrzeni w sufit.

— To musiało być ciężkie — powiedziała — stracić rodziców, kiedy ma się dopiero dziesięć lat.

— Okropne.

— Jak to się stało?

Zawahał się.

— Wypadek drogowy.

— I zamieszkałeś z dziadkami?

— Mhm. Pierwszy rok był najcięższy. Było ze mną niedobrze. Ciągle siedziałem w tym wiatraku. To wyjątkowe miejsce. Chodziłem tam się bawić... sam.

— Szkoda, że nie byliśmy razem jako dzieci.

— Dlaczego?

Pomyślała o Norbym, o chłopcu, którego wyciągnęła z sarkofagu przewróconych foteli DC-10.

— Wtedy mogłabym wiedzieć, jaki byłeś przed utratą rodziców, nieskażony śmiercią.

Następne chwile minęły w milczeniu. Kiedy się odezwał, mówił tak cicho, że Holly z trudnością odróżniała jego głos od bicia własnego serca.

— Viola też jest smutna. Wygląda na najszczęśliwszą kobietę na tym świecie, ale straciła męża w Wietnamie i nigdy się z tym nie pogodziła. Ojciec Geary, ten ksiądz, o którym ci mówiłem, wygląda jak przeciętny proboszcz oddany sprawom parafii. Jak postać z jednego z tych sentymentalnych katolickich obrazków, kręconych w latach trzydziestych i czterdziestych. Ale kiedy go poznałem, był zmęczony i niepewny własnego powołania. A ty... no cóż, jesteś bardzo piękna i miła, i wyglądasz na przebojową osobę, jednak nie zgadłbym, że potrafisz być tak uparta. Robisz wrażenie kobiety, która nigdy nie popłynie pod prąd, zawsze z nim, najlżej jak się da. A jednak jesteś jak buldog, kiedy już wbije w coś zęby.

Wpatrując się w cętki światła i cieni na suficie i trzymając jego silną dłoń, Holly przez moment zastanawiała się nad tym, co powiedział.

— Do czego zmierzasz? — spytała w końcu.

— Ludzki charakter jest zawsze bardziej... skomplikowany, niż to sobie wyobrażasz.

— Czy to obserwacja... czy ostrzeżenie?

Robił wrażenie zaskoczonego jej pytaniem.

— Ostrzeżenie?

— Może ostrzegasz mnie, że naprawdę nie jesteś taki, na jakiego wyglądasz.

Długa cisza.

— Może — odparł w końcu.

Jej milczenie nie było krótsze.

— Chyba jest mi to obojętne — powiedziała.

Obrócił się do niej. Przysunęła się do niego z nieśmiałością, jakiej nie czuła od wielu lat. Jego pierwszy pocałunek był łagodny i bardziej oszałamiający niż trzy butelki albo i trzy skrzynki corony.

Holly zrozumiała, że się oszukiwała. Piwo nie było jej potrzebne do uspokojenia nerwów ani jako środek nasenny. Piła, bo potrzebowała dodać sobie odwagi do uwiedzenia — lub do oddania się. Poprzednio odgadywała, że jego samotność osiągnęła rozmiary przepaści, i powiedziała to. Teraz pojęła, że jej osamotnienie jest jeszcze głębsze, a jedynie znikoma część tego, co czuje, płynie z rozczarowania dziennikarstwem; w większości był to po prostu wynik życia w pojedynkę, jakie prowadziła, odkąd przekroczyła próg dorosłości.

Dwie pary spodni i jedna góra od pizamy rozpląnęły się pomiędzy nimi jak cza-sem ubrania rozpluwają się w snach erotycznych. Przesunęła ręce po jego ciele, czując narastające podniecenie, a także zachwyt, iż zmysły potrafią przekazać takie bogactwo kształtu, dotyku oraz wzbudzić tak cudowne, bolesne pragnienie.

Miała śmieszne, romantyczne wyobrażenie na temat kochania się z nim, jak dziewczyna patrząca na świat rozmarzonymi oczami. Miało to być coś niezrównanie namiętnego: połączenie najśłodszej czułości i najgorętszego, czystego seksu. Każdy miesiąc ich ciał miał się rozluźnić i spinać w subtelnej harmonii, każde zaborcze wtargnięcie miało potwierdzać wzajemne oddanie. Dwoje stanie się jednym. Zewnętrzny świat rozumu pochłonięty przez wewnętrzny świat uczucia; słowa idealnie oddające namiętność, oddechy odmierzające czas; ciała płyną, splecione w identycznym, tajemnym rytmie, w jakim potężne, niewidzialne siły natury wznoszą się i opadają w przypływach i odpływach, czyniąc z aktu seksualnego doznanie mistyczne. Oczywiście, te oczekiwania były śmieszne. W rzeczywistości było więcej czułości, żaru i o wiele, wiele lepiej niż w marzeniach.

Spali blisko siebie jak łyżeczki w szufladzie, jej brzuch dotykał jego pleców, biodra wspierały się o ciepłe pośladki. Po kilku godzinach, o tej porze nocy, o której byli zwykle — ale już nie teraz — najbardziej samotni, obudził ich identyczny, bezgłośny alarm odnowionego pożądania. Obrócił się do niej. Przyjęła go i tym razem ich ciała pobudzała jeszcze większa żądza. Pierwsze zbliżenie nie odebrało pasji ich namiętnościom, wzmocniło je, podobnie jak pierwsza dawka heroiny tylko wzmacnia chęć osoby uzależnionej na następną.

Z początku, patrząc w piękne oczy Jima, Holly poczuła się tak, jakby wpatrywała się w najczystszy płomień jego duszy. Potem ujął ją mocno, na wpół uniósł, wsuwając się w nią, i poczuła, jak zadrapania pałają po bokach. Przypomniała sobie pazury tamtej istoty, która w magiczny sposób wykroczyła poza obszar snu. Przez moment, w którym ból rozpłomienił się w płytkich ranach, jej percepcja uległa zachwianiu i odniosła niemiłe wrażenie, że wpatruje się w zimny, niebieski płomień, który nie daje ciepła. Ale pewnie była to jedynie reakcja na szczypiące zadrapania i pobudzone przez ból wspomnienia sennego koszmaru. Kiedy przesunął pod nią dłonie w dół, unosząc ją na spotkanie swego ciała, był jedynie i wyłącznie gorącem. Razem rozniecili tyle żaru, że wystarczył w zupełności, aby stopić ten krótkotrwały wizerunek lodowej duszy.

Niewidoczny księżyc rozwidniał szronową białą krawędzie czarnych jak węgiel chmur, kłębiących się po nocnym niebie.

Inaczej niż w poprzednich snach, Holly stała na dworze, na wysypanej żwirem ścieżce, biegnącej od stawu i łąnu kukurydzy ku drzwiom wiatraka. Kamienna budowla sterczała nad nią pod ostrym kątem, sprawiając wrażenie obcej, pozaziemskiej konstrukcji.

Potężne skrzydła, szczerzące połamane płyty drewna, odcinały się wyraźnie na tle groźnego nieba jak pochylony krzyż. Rozhukany wiatr marszczył powierzchnię atra-

mentowoczarnego stawu srebrnymi falami, grzechotał kolbami kukurydzy, ale nie poruszał skrzydłami. Wiatrak musiał być nieużywany przez lata i mechanizm najprawdopodobniej tak zardzewiał, że skrzydła nie mogłyby drgnąć.

Widmowe, brudnożółte światło migotało w wąskim okienku wyższego pomieszczenia na piętrze. Za szybą dziwne cienie przesuwały się w kamiennych ścianach tej podniebnej izby.

Nie chciała tam iść. Żadne miejsce nie budziło w niej nigdy większej obawy. Ale nie potrafiła się zatrzymać. Przyzywało ją, jakby była niewolnicą poddaną zaklęciu potężnego czarownika.

Na lewo cień wiatraka kładł się dziwnie na stawie. Obróciła się, żeby spojrzeć. Światło i mrok padało odwrotnie, niż powinno. Cień wiatraka nie padał geometryczną figurą na delikatne płaszczyzny księżycowego światła; to obraz wiatraka był jaśniejszy niż powierzchnia stawu, jakby budowla jarzyła się, stanowiąc najwyraźniejszy obiekt w nocnej pomroce, choć w istocie kamienne głązy piętrzyły się, tworząc ponury hebanowy stos. Wysokie okna budynku były rozjaśnione migotliwym światłem, na odbiciu czarne prostokąty niesamowicie pływały jak puste oczodoły w odartej ze skóry czaszce.

*Skrzyp... skrzyp... skrzyp...*

Podniosła wzrok.

Ogromne skrzydła zaczęły drżeć i poruszać się na wietrze. Wprawiły w ruch przędziewiałe koła zębate, potężny wał i wreszcie kamienie młyńskie na dole.

Marząc bezskutecznie o przebudzeniu i nie mogąc uciec zwirowaną ścieżką, którą przyszła, Holly czuła, jak coś nieodparcie ciągnie ją w przód. Gigantyczne skrzydła zaczęły obracać się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zwiększać szybkość, biegły coraz ciszej, w miarę jak koła kręciły się coraz lżej. Robiły na niej wrażenie palców monstrualnej dłoni. Każdy ostry koniec połamanego drewnianego płatu był jak szpon.

Dotarła do drzwi.

Nie chciała tam wchodzić. Wiedziała, że w środku rozciąga się zakątek piekła, zło-wrogi jak izby tortur opisywane w grzmiących kazaniach straszącego siarką i ogniem piekielnym kaznodziei z dobrego, starego Salem. Wejść znaczyło nigdy nie wyjść żywym.

Skrzydła przelatywały jej nad głową zaledwie z metr i spękane drewno wyciągało się po nią.

*Wiuum, wiuum, wiuum, wiuum.*

W szponach transu silniejszego niż przerażenie otworzyła drzwi. Przeszła próg. I, jak to tylko w snach jest możliwe, drzwi wrogo wyszarpnęły się z jej ręki i zatrzasnęły za plecami niby coś żywego.

Przed nią rozciągało się mroczne dolne pomieszczenie, w którym stare kamienie młyńskie tarły o siebie.

Z lewej strony, ledwo dostrzegalne w półmroku, wznosiły się schody. Nieludzkie piski i przeraźliwe krzyki rozbrzmiewały Holly nad głową jak nocny koncert mieszkańców dżungli. Tylko że żaden z tych głosów nie wydobywał się z gardła lamparta, małpy, ptaka ani hieny. Przypominało to elektroniczne odgłosy, ostry wizg owadów przepuszczony przez wzmacniacz stereo. Tę kakofonię podkreślał monotony, pulsujący trzynutowy refren odbijający się od kamieni klatki schodowej oraz — nim dotarła do połowy pierwszego piętra — w kościach Holly. Mijała wąskie okienko w murze po lewej ręce. Długa seria piorunów zawibrowała światłem w ciemnościach nocy. U stóp wiatraka, jak w cyrkowym numerze z lustrami, powierzchnia stawu zrobiła się przezroczysta. Odkryło się dno, jakby błyskawica wychynęła z wody, i Holly ujrzała jakiś nieskończone dziwny kształt, który spoczywał na dnie. Wytężyła wzrok, aby dojrzeć go lepiej, ale pioruny kolejno wygasły z trzaskiem.

Sam tylko zarys ujranej istoty spowodował, że drżenie przebiegło ją do szpiku kości.

Czekała, licząc na to, że pioruny powrócą, ale noc pozostała gęsta jak smoła. Ciemny deszcz zabębnił nagle o okno. Tu, na półpiętrze, pobłyskiwało więcej brudnopomarańczowego i żółtego światła niż u stóp schodów. Szyba okienna, wsparta ciemnością i oświetlona na tyle, aby móc posłużyć za niewyraźne zwierciadło, odbiła jej wizerunek.

Ów wizerunek nie należał do niej, tylko do kobiety o dwadzieścia lat starszej. Nie była nawet podobna.

Nigdy przedtem nie zdarzyło się jej przybrać we śnie ciała innej osoby. Teraz zrozumiała, dlaczego nie miała siły odejść od wiatraka, kiedy jeszcze znajdowała się na dworze. Dlaczego musiała wejść wyżej. Na jakimś poziomie świadomości wiedziała, że śni. Jej bezwolność nie była wywołana zwykłym poczuciem bezradności przemieniającym sny w koszmary, ale stanowiła rezultat wejścia w ciało innego człowieka.

Kobieta odwróciła się od okna i szła dalej w górę w kierunku piekielnych wrzasków, krzyków i szeptów, które biegły ku niej wraz z niepewnym światłem. Wokół kamienne ściany dudniły trzynutowym basowym rytmem, jakby wiatrak był żywą istotą i miał ogromne trzykomorowe serce.

Stój, zawróć, na górze czeka śmierć, krzyczała Holly, ale kobieta nie mogła jej usłyszeć. Holly we śnie była jakby jedynie obserwatorem, a nie aktywnym uczestnikiem, i nie miała wpływu na bieg zdarzeń. Krok po kroku. Wyżej.

Okute żelazem drewniane drzwi stały otworem. Przekroczyła próg. Weszła do górnego pomieszczenia. Najpierw ujrzała chłopca. Stał na środku pokoju, zmartwiał z przerażenia. Małe ręce, zwinięte w pięści, zwiesił po bokach. Ozdobna świeca na błękitnej podstawce stała u jego stóp. Książka w sztywnych okładkach leżała obok. Na kolorowej okładce dostrzegła słowo „wiatrak”.

Obracając się do niej, z oczami powleczonymi mgłą przerażenia, chłopiec zawołał:

— Boję się, pomóż mi, ściany, ściany!

Uświadomiła sobie, że pojedyncza świeca nie stanowiła jedynego źródła szczególnego blasku, który wypełniał pomieszczenie. Ściany również migotały światłem, jakby nie zostały wzniesione z litego kamienia, ale półprzezroczystego, połyskującego kwarcu w kolorze bursztynu. Od razu spostrzegła coś żywego wewnątrz kamienia, coś świecącego, co poruszało się w gęstej materii równie łatwo jak pływak w wodzie.

Ściana nabrzmiała i przebiegł ją dreszcz.

— Nadchodzi — powiedział chłopiec z wyraźnym strachem, ale równocześnie z jakąś perwersyjną ekscytacją — i nikt go nie zatrzyma!

Nagle to narodziło się ze ściany. Wybrzuszone kamienne bloki, spojone zaprawą, pękły jak gąbczasta powłoka owadziego jaja, i z pęknięcia, nabierając kształtu, cuchnące łajno...

— Nie!

Dławiąc się krzykiem, Holly zerwała się ze snu. Siadła na łóżku, coś dotknęło jej ramienia, odsunęła się gwałtownie. Była dalej. Pokój był skąpany w dziennym świetle i dojrzała, że to Jim. Sen. To tylko sen.

Jednak tak jak dwie noce temu, w motelu w Laguna Hills, potwór ze snu i tu usiłował wejść do realnego świata. Tym razem nie przez ścianę. Przez sufit. Wprost nad łóżkiem. Pomalowany na biało suchy gips nie był już biały ani suchy, ale w kolorach bursztynu i brązu, na wpół przezroczysty i świecący jak kamień ze snu, ociekał obrzydliwym śluzem, pęczniąc; jakiś niewiadomy stwór usiłował wedrzeć się do sypialni.

Trójkrotne gromowe bicie serca istoty ze snu — *lab-dab-DAB, lab-dab-DAB* — wstrząsało domem.

Jim stoczył się z łóżka, poderwał na nogi. W nocy wśliznął się w spodnie od piżamy, a Holly włożyła na siebie obszerną koszulę, która teraz zwisała jej do kolan. Skoczyła na podłogę po swojej stronie. Wpatrywali się, przejęci grozą, w pulsujące łożysko, w które zmienił się sufit. Niewyraźny kształt miotał się i wił, aby rozerwać pętającą go powłokę.

Najbardziej przerażające było to, że zjawił się za dnia. Żaluzje niezbyt dokładnie spuszczone i strugi dziennego światła przecinały pokój. Kiedy coś z Tamtej Strony nawiedza cię w środku nocy, na wpół się z tym godzisz. Ale światło słoneczne winno przeganiać wszystkie koszmary.

Jim położył dłoń na plecach Holly, pchnął ją w kierunku drzwi otwartych na korytarz.

— Wychodź, wychodź stąd!

Zdążyła zrobić tylko dwa kroki, zanim drzwi zamknęły się same. Mahoniowa wysoka komoda, równie stara i zużyta jak wszystko w tym domu, jakby ulegając działaniu

niezwykle potężnego ducha, oderwała się od ściany tuż obok niej, nieomal zwalając ją z nóg. Przefrunęła przez pokój i grzmotnęła w drzwi. Serwantka i krzesło poleciały za komodą, skutecznie barykadując jedyne wyjście.

Okna po drugiej stronie sypialni mogły stanowić drogę ucieczki, ale musieliby kucnąć i prześliznąć się pod coraz bardziej opadającą środkową partią sufitu. Przyjąwszy do wiadomości szaleńczą logikę snu w realnym świecie, Holly brzydziła się otłuszczonego i obrzydliwie pulsującego brzucha. Bała się, że podczas przeciskania się pod nim rozpęknie się i potwór ze środka ją porwie.

Jim pociągnął ją za sobą do łazienki sąsiadującej z sypialnią. Kopnięciem zamknął drzwi.

Holly obrzuciła spojrzeniem wewnątrz. Jedyne okienko było za wysoko i zbyt wąskie, żeby umożliwić ucieczkę.

Ściany łazienki nie przeszły transformacji w żywy organizm jak w sypialni, ale również trzęsły się od basowego dudnienia serca wrogiej istoty.

— Co jest, do diabła? — spytał roztrzęsiony.

— Nieprzyjaciel — odpowiedziała od razu, zaskoczona jego niewiedzą.  
— Nieprzyjaciel ze snu.

Nad ich głowami, poczynając od ścianki pomiędzy sypialnią a łazienką, biały sufit zaczął zmieniać kolor, jakby nagle nasączono go krwią i ciemną żółcią. Na wpół połyskliwa farba na gipsie przechodziła metamorfozę w biologicznie ożywioną płaszczyznę, drgającą do rytmu ogłuszającego łomotania serca.

Jim zaciągnął ją do kąta obok lustra. Przyłgnęła bezradnie do mężczyzny. W ciężarnym obwisie sufitu dojrzała przejmujący wstrętem ruch. Miliony wijących się w gorączce robaków.

Dudnienie serca rosło, otaczało ich.

Doszedł ją odgłos pękającej wilgotnej materii. Nic z tego, co się tu działo, nie powinno się dziać. Ów odgłos urealniał obrazy przed jej oczami, był wstrętny i ohydnie natarczywy, zbyt prawdziwy jak na złudzenie lub sen.

Drzwi otwarły się z trzaskiem. Sufit pękł, osypując ich gruzem.

Ale po tym pęknięciu moc koszmaru się wyczerpała. Realność odzyskała utracony teren. Nic nie wkroczyło przez rozwarte drzwi; za nimi znajdowała się jedynie skąpiana w słońcu sypialnia. W momencie osuwania im się na głowy sufit robił wrażenie żywego, ale teraz nie zachował śladu poprzedniej metamorfozy; znów był wyłącznie sufitem. W osypisku gruzu leżały kawałki parkietu, pokawałkowany lub zmielony na proszek gips, deski, miękkie pakuły izolacji z warty szklanej — nic żywego.

Sama dziura wystarczyła, żeby wstrząsnąć Holly. Dwie noce temu w motelu ściana nabrzmiała i drgała jak żywa, ale powróciła do normalnego stanu, nie zostawiając jednej rysy. Potwór ze snu nie pozostawił po sobie żadnego śladu poza zadrapaniami na jej bokach. Psychoanalityk mógłby zresztą powiedzieć, że sama je zrobiła. Teraz, w miarę jak kurz opadał, wszystko mogłoby okazać się nieprawdopodobnym złudzeniem.



Ale rumowisko u ich stóp nie było złudzeniem. Biały pył unosił się w powietrzu.

Jeszcze w szoku, Jim wziął ją za rękę i wyprowadził z łazienki. Sufit w sypialni nie zapadł się. Był jak w nocy — biały i gładki. Ale meble piętrzyły się przy drzwiach, jak zmiecione powodzią.

Szaleństwo za dom wybiera ciemności, światło jest domeną trzeźwego umysłu. Jeżeli świat zastany po przebudzeniu nie stanowił już azylu przed koszmarami nocy, jeżeli światło dnia nie chroniło przed obłądem — oznaczało to, że azylu nie ma nigdzie, nigdy, dla nikogo.

### 3

Strych oświetlała pojedyncza sześćdziesięciowatowa żarówka zwisająca z belki. Nie rozjaśniała wszystkich kątów ciasnej zakurzonej przestrzeni. Jim, świecąc latarką, zaglądał w każdą dziurę, obchodził przewody ciepłne, obydwa kominy, szukając... czegokolwiek, co rozerwało sufit w łazience. Poza latarką miał przy sobie nabity rewolwer. Istota, która zniszczyła sufit, nie wdarła się do łazienki, musiała więc pozostać na strychu. Jednak było w nim niewiele miejsc nadających się na kryjówkę. Jim, żyjąc skromnie, nic tu nie przechowywał. Szybko okazało się, że w najwyższych partiach domu nie ma nikogo, jeśli nie liczyć pajaków i skromnej kolonii os, które zbudowały sobie gniazdo na zbiegu belek dachu.

Nic nie mogło stąd również uciec. Poza wjazem, przez który się tu dostał, jedyne drogi ucieczki stanowiły wyloty przewodów wentylacyjnych, mieszczące się po przeciwnych stronach dachu. Każdy miał pół metra długości i ponad trzydzieści centymetrów wysokości. Były przykryte ciasno dopasowanymi ekranami, które można było zdjąć tylko po uprzednim usunięciu śrub. Żaden z ekranów nie został naruszony.

Część przestrzeni pokrywała podłoga. Miejscami jednak leżały tylko warstwy izolacji, poprzecinane nagimi belkami stropowymi. Przesuwając się po tych równoległych podporach, Jim ostrożnie zbliżył się do otworu ziejącego nad łazienką. Zerknął w dół na pokrytą gruzem podłogę, tam gdzie niedawno stał z Holly.

*Co się, do diabła, wydarzyło?*

W końcu pogodził się z tym, że na górze nie znajdzie niczego. Wrócił do otwartego wjazdu i opuścił się do pomieszczenia na bieliznę, na piętrze. Drabinka złożyła się w harmonijkę, odjeżdżając pod sufit i gładko domykając wejście na strychu.

Holly czekała na niego w korytarzu.

— No i?

— Nic.

— Tego się spodziewałam.

— Tego, co się tu stało?

— To było jak w śnie.

— W jakim śnie? — spytał gwałtownie.

— Mówiłeś, że tobie też się to śni.

— Tak.

— Więc wiesz o dudnieniu serca w ścianach.

— Nie.

— I o tym jak, ściany się zmieniają.

— Nie, nie mam pojęcia, na litość boską! W moim śnie siedzę w wysokiej izbie wiatraka, pali się świeczka i deszcz zacina o szyby.

Przypomniała sobie, jaki był zdumiony, kiedy nad ich głowami sufit w sypialni wzdął się i przemienił.

— W moim śnie — powiedział — czuję, że coś się zbliża, coś przerażającego i strasz nego...

— Nieprzyjaciel — wyjaśniła.

— Tak! Obojętne, co to znaczy. Ale to nigdy się nie pojawia, nie u mnie. Zawsze budzę się wcześniej.

Poszedł w dół korytarza, do sypialni. Szła za nim. Stał przy zniszczonych meblach, które wcześniej odsunął od drzwi, i patrzył ogłupiały na nietknięty sufit.

— Widziałem to — odezwał się takim tonem, jakby nazwała go kłamcą.

— Wiem — powiedziała. — Ja też.

Obrócił się do niej. Wyglądał na bardziej zdesperowanego niż na pokładzie fatalnego DC-10.

— Opowiedz mi o swoich snach, muszę wszystko wiedzieć, znać każdy szczegół.

— Później. Najpierw weźmy prysznic i ubierzmy się. Chcę stąd wyjść.

— Mhm, dobra, ja też.

— Mam nadzieję, że wiesz, gdzie powinniśmy pojechać.

Zawahał się.

— Do wiatraka — powiedziała za niego.

Skinął głową.

Wzięli razem prysznic w gościnnej łazience, żeby zaoszczędzić czasu, lecz również dlatego, że oboje czuli zbyt wielkie napięcie, aby choć na chwilę pozostać samemu. Holly pomyślała, że będąc w innym nastroju, odczuwałaby erotyczną przyjemność. Ale okazało się to przeżyciem zaskakująco platonicznym, jeśli się wzięło pod uwagę płomienne doznania niedawno minionej nocy.

Zbliżył się do niej tylko w momencie, kiedy wyszli spod prysznica i szybko wycierali. Objął ją, pocałował w kącik ust i szepnął:

— W co ja cię wpakowałem, Holly Thorne?

Później, kiedy Jim w pośpiechu pakował walizkę, Holly przeszła do gabinetu na górze, tuż obok sypialni. Pokój wyglądał na od dawna nieużywany. Cienka warstwa kurzu pokrywała blat biurka.

Jak i reszta domu, gabinet umeblowany był skromnie. Tanie biurko prawdopodobnie zostało kupione na wyprzedży jakiegoś magazynu zaopatrującego biura. Oprócz tego dwie lampy, fotel obrotowy, dwie stojące półki, wypchane do niemożliwości sczytanymi książkami, i stół do pracy równie pusty jak dawno nieużywane biurko.

I ponad dwie setki książek, a wszystkie dotyczyły religii: opasłe dzieła o historii islamu, judaizmu, buddyzmu, zen, chrześcijaństwa, hinduizmu, taoizmu, szintoizmu i innych religii; zebrane dzieła św. Tomasza z Akwinu, Marcina Lutra; „Scientists and Their Gods”; Koran; Tora wraz ze Starym Testamentem i Talmudem; oraz święte księgi: Tipitaka — buddyzmu, Zend-Awesta — zoroastryzmu i Wedy — hinduizmu.

Komplet literatury tego rodzaju w osobistej bibliotece musiał budzić zdumienie, ale w pokoju najbardziej interesująca była galeria zdjęć na dwóch ścianach. Większość odbitek była czarno-biała, jedynie parę w kolorze. Znajdowała się na nich ta sama trójka ludzi: uderzająco piękna brunetka, przystojny mężczyzna o wyrazistych rysach i przedzronionych włosach i dziecko, którym mógł być tylko Jim Ironheart. Te oczy. Jedna fotografia pokazywała Jima z parą dorosłych — na pewno z rodzicami — kiedy był jeszcze niemowlakiem owiniętym w koc, a na pozostałych miał od czterech do dziesięciu lat.

Oczywiście, kiedy miał dziesięć lat, jego rodzice umarli.

Niektóre zdjęcia pokazywały małego Jima z tatą, niektóre z mamą, i Holly nabrała przekonania, że brakujący rodzic musiał stać za kamerą. Niektóre fotografie pokazywały trójkę Ironheartów. Z biegiem lat uroda matki zyskiwała na wyrazie, czupryna ojca rzedniała, ale robił wrażenie coraz szczęśliwszego, a Jim szedł w ślady matki i prezentował się coraz korzystniej.

Często tłem było jakieś sławne miejsce albo znak drogowy z właściwą nazwą. Jim w wieku jakichś sześciu lat i dwójka rodziców przed Radio City Music Hall. Jim w wieku pięciu lat z ojcem na chodniku w Atlantic City. Jim i jego matka przy znaku drogowym Grand Canyon National Park, a za nimi cała panorama. Cała trójka Ironheartów przed Zamkiem Śpiącej Królowy w sercu Disneylandu, kiedy Jim mógł mieć koło ośmiu lat. Skąpany w słońcu Fontainebleau Hotel w Miami Beach. Taras widokowy wychodzący na Mount Rushmore. Pałac Buckingham w Londynie. Wieża Eiffla. Tropicana Hotel, Las Vegas. Wodospad Niagara. Byli chyba wszędzie.

W każdym razie niezależnie od tego, kto trzymał kamerę albo gdzie robiono zdjęcie, wszyscy na fotografii wyglądali na naprawdę szczęśliwych. Żadna twarz nie zastygła w nieszczerym uśmiechu ani nie została przyłapaną w jednym z tych „a-zróbże-to-cho-

lerne-zdjęcie” wyrazów zniecierpliwienia, jakie zdobią obficie albumy rodzinne. Często zaśmiewali się, nie tylko uśmiechali, a kilka razy zostali przyłapani podczas takich czy innych wygłupów. Cała trójka lubiła się ścisnąć, nie wystarczało im stać obok siebie w sztywnych pozach. Zwykle obejmowali się, czasem tulili, często całowali w policzek albo w jakiś inny naturalny sposób okazali sobie sympatię.

Chłopiec na fotografiach w niczym nie zapowiadał ponuraka, jakim często obecnie był Jim. Holly zrozumiała, że przedwczesna śmierć rodziców zostawiła na nim niezatarte piętno. Beztroski, szeroko uśmiechnięty chłopiec ze zdjęć zniknął bezpowrotnie.

Sz szczególnie jedna czarno-biała fotografia przykuła jej uwagę. Pokazywała ona pana Ironhearta, gdy siedział na krześle z wysokim, prostym oparciem. Jim, może siedmioletni, siedział ojcu na kolanach. Mieli na sobie smokingi. Pani Ironheart stała za plecami męża z ręką wspartą na jego ramieniu. Obcisła, ozdobiona cekinami sukienka koktajlowa podkreślała jej wspaniałą figurę. Patrzyli wprost w kamerę. Inaczej niż na pozostałych zdjęciach tu przybrali staranne pozy, całe tło stanowił tylko zręcznie udrapowany kawałek tkaniny, wszystko wskazywało na zawodowego fotografa.

— Byli cudowni — powiedział od drzwi Jim. Nie usłyszała jego kroków. — Żadne dziecko nie miało lepszych rodziców.

— Dużo podróżowaliście.

— Mhm. Zawsze gdzieś się wybierali. Uwielbiali pokazywać mi nowe miejsca. Byliby z nich wspaniali nauczyciele, wierz mi.

— Co robili.

— Tato był księgowym w Warner Brothers.

— W studio filmowym?

— Tak. — Jim uśmiechnął się. — Mieszkaliśmy w L.A. Mama... ona zawsze chciała być aktorką, ale nigdy nie udało się jej podłapać czegoś poważnego. Przeważnie pracowała jako hostessa w restauracji na Melrose Avenue, niedaleko od studiów Paramountu.

— Byliście szczęśliwi, prawda?

— Zawsze.

Wskazała na zdjęcie, na którym od całej trójki bił uroczysty blask.

— To jakaś specjalna okazja?

— Kiedy świętowali różne okazje, jak rocznice ślubu, nie mogło mnie zabraknąć. Dzięki nim zawsze czułem się kimś wyjątkowym, potrzebnym, kochanym. Miałem siedem lat, kiedy zrobiono to zdjęcie, i pamiętam, że tego wieczoru snuli wspaniałe plany. Ich małżeństwo miało trwać sto lat, z każdym rokiem coraz szczęśliwsze, chcieli mieć jeszcze masę dzieci, ogromny dom, planowali podróże w każdy zakątek świata, zanim umrą razem we śnie. Ale w trzy lata później... odeszli.

— Przykro mi, Jim.

Wzruszył ramionami.

— To dawne czasy. Dwadzieścia pięć lat. — Spojrzał na zegarek. — Chodź, jedziemy. Dojazd do farmy zajmie cztery godziny, a już jest dziewiąta.

W motelu Laguna Hills Holly szybko wskoczyła w dżinsy i koszulę w niebieską kratę. Spakowała resztę swoich rzeczy. Jim wrzucił walizkę do bagażnika.

Kiedy oddawała klucz i płaciła rachunek w recepcji, czuła na sobie spojrzenie, jakim mierzył ją zza kierownicy forda. Oczywiście, gdyby się w nią nie wpatrywał, byłaby rozczarowana. Ale za każdym razem, kiedy spoglądała na niego przez szybę, był tak nieruchomy, tak zimny i pozbawiony wyrazu za mocno przyciemnionymi szklami, że ta jego niepodzielna uwaga jakoś ją niepokoiła.

Zastanawiała się, czy postępuje właściwie, jadąc z nim do doliny Santa Ynez. Kiedy wyjdzie z motelu i wsiądzie do samochodu, Jim stanie się jedyną osobą na świecie, która będzie wiedziała, gdzie ona się podziewa. Wszystkie notatki, jakie miała na jego temat, spoczywały w walizce; wyparują wraz z nią. Stanie się kobietą, która znikła, udając się na wakacje.

Kiedy portier kończył wypełnianie formularza do karty kredytowej, Holly rozważała, czy nie zadzwonić do Filadelfii, do rodziców, żeby dać im znać, gdzie wyjeżdża i z kim. Ale tylko wzbudziłaby popłoch i straciła następne pół godziny na zapewnianiu, że wszystko układa się jak najlepiej.

Poza tym już uznała, że ciemna strona Jima jest mniej istotna od jasnej i zdecydowała się z nim pozostać. Jeżeli czasem budził w niej niepokój... no cóż, to właśnie pociągało ją przede wszystkim. Jako człowiek niebezpieczny stawał się jeszcze bardziej interesujący. W gruncie rzeczy był przecież dobry.

Obawa o własną skórę była idiotyczna, skoro już się z nim kochała. Kobieta, oddając się komuś po raz pierwszy, staje się wobec niego całkowicie bezbronna, czego nigdy nie da się powiedzieć o mężczyźnie. Zakładając, oczywiście, że oddała mu się nie jedynie z potrzeby ciała, ale z miłości. A Holly kochała Jima.

— Kocham go — powiedziała głośno, zaskoczona, gdyż niedawno wmawiała sobie, że jej pociąg do niego opiera się głównie na wyjątkowym męskim wdzięku, zwierzęcym magnetyzmie i tajemniczości.

Recepcjonista, o dziesięć lat młodszy od Holly i stąd bardziej skłonny mniemać, że miłość jest uczuciem powszechnym i nieuchronnym, uśmiechnął się szeroko.

— Wspaniale, nie?

— Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? — spytała Holly, podpisując formularz.

— Czemu nie?

— No, tak naprawdę to nie jest od pierwszego wejrzenia. Znam faceta od dwunastego sierpnia, to będzie... szesnaście dni.

— I jeszcze za niego nie wyszłaś? — zażartował recepcjonista.

Holly podeszła do forda, siadła obok Jima.

— Kiedy dojedziemy już na miejsce, nie potniesz mnie na kawałki piłą elektryczną i nie zagrzebiez pod wiatrakiem? — spytała.

Widocznie zrozumiał jej poczucie bezbronności i pytanie nie wzbudziło w nim odrazy, bo odpowiedział żartobliwie:

— Och, nie. Pod wiatrakiem jest komplet. Będę musiał zakopywać twoje szczątki po całej farmie.

Roześmiała się. Co z niej za idiotka, że się go bała. Pochylił się ku niej i pocałował. To był długi, namiętny pocałunek.

— Ryzykuję nie mniej niż ty — powiedział, kiedy się rozdzielili.

— Mogę ci przysiąc, że nigdy nie porąbałam nikogo toporem na kawałki.

— Mówiłem poważnie. Nie miałem szczęścia w miłości.

— Ani ja.

— Tym razem będzie inaczej — dla nas obojga.

Pocałował ją jeszcze raz, krócej i łagodniej niż poprzednio, włączył silnik i wycofał się z parkingu.

Holly, uparcie chcąc zachować w sobie resztki cynizmu, przypomniała sobie, że nie wyznał jej do tej pory miłości; wyrażał się ostrożnie i nie wprost. Nie powinna mu ufać bardziej niż każdemu innemu mężczyźnie dotychczas.

Zresztą na dobrą sprawę ona również nie wyznała mu, że go kocha. Jej uczucia były wyrażone językiem nie mniej wyważonym. Być może resztki lęku, jakie w niej tkwiły, spowodowały, że łatwiej przychodziło jej otworzyć serce przed motelowym recepcjonistą niż przed Jimem.

Gorzka kawa pomogła im przełknąć jagodzianki, na które zatrzymali się przy małym sklepiku, i ruszyli dalej na północ autostradą San Diego. Wtorkowe poranne natężenie ruchu zelżało, ale na niektórych odcinkach wszystkie pasma były tak zapchane, że samochody poruszały się jak szeregi ślimaków poganianych w kierunku restauracji dla smakoszy.

Wygodnie wyciągnięta na przednim fotelu, Holly — jak obiecała — opowiedziała Jimowi o swych czterech koszmarach nocnych. Rozpoczęła od pierwszego snu piątkowego, kiedy to przyśniło się jej, że oślepla, a skończyła na przerażających najdziwniejszych i najstraszliwszych wizjach z ostatniej nocy.

Był wyraźnie zafascynowany tym, że śniła o wiatraku, nie wiedząc nawet o jego istnieniu. A w sobotnią noc po katastrofie lotu 246 śniła o nim jako dziesięcioletnim chłopcu. Nie mogła wtedy jeszcze wiedzieć ani tego, że znał to miejsce, ani że spędzał w nim tyle czasu w dzieciństwie. Ale większość pytań dotyczyła ostatniego koszmaru.

— Kim była ta kobieta ze snu, jeśli to nie byłaś ty? — spytał, nie spuszczać oczu z jezdni.

— Nie wiem — odpowiedziała Holly, przełykając ostatni kęs bułeczki. — Nie miałam pojęcia.

— Możesz ją opisać?

— Obawiam się, że niezbyt dokładnie. Widziałam tylko jej odbicie w oknie. — Pociągnęła ostatni łyk kawy z dużego plastikowego kubka i zamyśliła się na moment. Sceny z tego snu stanęły jej przed oczami łatwiej niż zwykle. Na ogół sny szybko umykają z pamięci. A jednak to widzenie senne powracało do niej nader ostro, jakby wydarzenia biegły nie w marzeniu, ale na jawie. — To była szeroka, jasna twarz, bardzo kobieca, raczej wyrazista niż ładna. Szeroko rozstawione oczy. Pełne usta. Pieprzyk wysoko na prawym policzku. Nie sądzę, żeby to była tylko kropka na szkle czy okrągła plamka. Kręcone włosy. Przypomina ci kogoś?

— Nie — odpowiedział. — Raczej nie. Powiedz mi, co zobaczyłaś na dnie stawu, kiedy strzelił piorun.

— Nie jestem pewna, co tam było.

— Spróbuj to opisać, jak potrafisz.

Zastanowiła się na moment, a potem potrząsnęła głową.

— Nie potrafię. Łatwo mi było przypomnieć sobie twarz tamtej kobiety, bo kiedy ją zobaczyłam, wiedziałam, że to twarz, ludzka twarz. Ale to, co kryło się na dnie stawu... było dziwne. Niczego takiego w życiu nie widziałam. Nie miałam pojęcia, na co patrzę, trwało to sekundę, a potem... no, zniknęło i tyle. Czy z tym stawem wiąże się coś szczególnego?

— Nic o tym nie wiem — odrzekł. — A nie mogła to być zatopiona łódź czy coś takiego?

— Nie. Nic takiego. Dużo większe. Czy w tym stawie zatonąła kiedyś łódka?

— Niewykluczone, ale nie słyszałem o tym. Tyle że kałuża może łatwo zwieść. Myślisz, że taki staw przy wiatraku jest płytki, a on w środku ma kilkanaście metrów głębokości. Nigdy nie wysycha i nie maleje podczas susz. Jest położony nad studnią artezyjską, nie nad warstwą wodonośną.

— Jaka to różnica?

— W warstwę wodonośną wbijasz się, kopiąc studnie. To rodzaj zbiornika lub podziemnego strumienia. Źródła artezyjskie rzadziej występują. Nie kopie się ich, żeby znaleźć wodę, ona już wydobywa się na powierzchnię, pod ciśnieniem. Upiętywa diabelnie dużo czasu, zanim przestanie bić.

Gęsty ruch zaczął maleć, ale Jim nie korzystał z okazji, aby zmieniać pasy i wyprzedzać wolniejsze pojazdy. Ważniejsze dlań były jej wyjaśnienia niż zyskanie na czasie.

— I w tym śnie — powiedział — kiedy weszłaś na szczyt schodów — lub kiedy tamta kobieta weszła — zobaczyłaś dziesięcioletniego chłopca i w jakiś sposób wiedziałaś, że to ja.

— Tak.

— Zmieniłem się od czasu, kiedy miałem dziesięć lat, więc jak na to wpadłaś?

— Głównie dzięki oczom. One nie zmieniły się przez te wszystkie lata. Trudno się pomylić.

— Dużo ludzi ma niebieskie oczy.

— Co ty opowiadasz? Kochanie, twoje oczy mają się do niebieskich oczu innych jak głos Sinatry do głosu Kaczora Donalda.

— Przesadzasz. Co zobaczyłaś w ścianie?

Opisała to jeszcze raz.

— Coś żywego w kamieniu? To robi się coraz dziwniejsze.

— Nie nudziłam się od dobrych paru dni — zgodziła się z nim.

Za skrzyżowaniem z międzystanową numer dziesięć ruch na autostradzie do San Diego zmalował jeszcze bardziej i w końcu Jim mógł pokazać, jakim jest kierowcą. Prowadził samochód tak, jak doskonały dżokej prowadzi konia szlachetnej krwi, wydobywając z niego te umiejętności, dzięki którym zwycięża na wyścigach. Ford był standardowym modelem, bez żadnych modyfikacji, ale reagował jak porsche.

Po chwili Holly sama zaczęła zasypywać Jima pytaniami.

— Jak to jest, że zostałeś milionerem, a żyjesz skromnie?

— Kupiłem dom, wyprowadziłem się z wynajętego mieszkania. Rzuciłem pracę.

— Tak. Ale dom jest skromniutki. A meble to ci się rozsypują.

— Potrzebowałem odosobnienia we własnym domu, aby medytować i odpoczywać pomiędzy... zadaniami. Ale nie potrzebowałem wymyślnych mebelków.

— Czy wpadłam ci w oko od razu, tak jak ty wpadłeś mnie, tam w Portland? — spytała po paru minutach milczenia z obu stron.

Uśmiechnął się, nie odrywając spojrzenia od drogi.

— „Tak jak pani, panno Thorne”.

— A więc się przyznajesz! — zawołała Holly zadowolona. — Jednak chciałeś mnie do siebie zachęcić.

Przez całą drogę aż do Ventury mieli znakomity czas, ale potem Jim znów zaczął zwalniać. Z kilometra na kilometr jechał mniej agresywnie.

Początkowo Holly myślała, że to widok działa na niego tak uspokajająco. Za Ventura mijali przepiękne odcinki wybrzeża. Niebieskie morze wznosiło się, błękit nieba opadał, pomiędzy nie wciskał się złoty pas łądu i jedynym dostrzegalnym elementem zakłócającym spokój letniego dnia były pokryte bielą grzywy fal, liżące brzeg długimi jęzorami i ginące w lekkiej pianie.



Ale w sercu Jima Ironhearta panował niepokój i Holly stała się tego świadoma, kiedy zauważyła, że w ogóle nie zwracał uwagi na krajobraz. Zwolnił nie po to, żeby rozkoszować się urodą świata, ale — jak podejrzewała — aby opóźnić przyjazd na farmę.

Koło Santa Barbara zjechali z autostrady, skierowali się w głąb łądu, w kierunku gór Santa Ynez, a nastrój Jima uległ zdecydowanemu pogorszeniu. Jego odpowiedzi przy próbach nawiązania rozmowy stawały się coraz krótsze i bardziej roztargnione.

Droga wiodła z gór w przepiękną krainę niewysokich wzgórz i rozsianych na nich pól, pomalowanych na złoto wyschniętymi letnimi trawami. Rosły tam kępy długowiecznych dębów kalifornijskich, rozciągały się farmy nastawione na hodowlę koni, ogrodzone zadbanymi, pomalowanymi na biało płotami. Widać było, że nie panuje tu agrobiznes, tak typowy dla pewnych innych dolin. I tu zdarzyły się gdzieś duże połacie winnic, ale gospodarstwa rolne robiły wrażenie posiadłości ludzi z wyższych warstw, pragnących mieć tu miejsce ucieczki z Los Angeles i bardziej zainteresowanych utrzymaniem odmiennego malowniczego stylu życia niż sianiem i zbieraniem plonów.

— Musimy stanąć w New Svenborgu i kupić parę rzeczy, zanim pojedziemy na farmę — powiedział Jim.

— Jakich rzeczy?

— Nie wiem. Ale kiedy staniemy... będę wiedział, czego nam potrzeba.

Na wschodzie pojawiło się i znikło jezioro Cachuma. Minęli drogę do Solvangu, biegnącą na zachód, a potem ominęli samo Santa Ynez. Przed Los Olivos skierowali się na wschód, korzystając z następnej drogi stanowej i w końcu wjechali do New Svenborga, miasta leżącego najbliżej farmy Ironheartów.

Na początku dziewiętnastego wieku grupy imigrantów duńskiego pochodzenia przewędrowały ze środkowego zachodu i osiedliły się w dolinie Santa Ynez. Wiele z nich pragnęło zawiązać tu społeczności, które będą kultywowały duńską sztukę i zwyczaj, duński styl życia. Najbardziej udało się to w Solvangu, o którym Holly pisała kiedyś artykuł. Stało się ono dużą atrakcją turystyczną ze względu na szczególnie dobrze odtworzoną duńską architekturę, sklepy i restauracje.

New Svenborg, liczące niewiele ponad dwa tysiące mieszkańców, nie było tak starannie dopracowane i uparcie duńskie jak Solvang. Ponure, jak z miasteczka z obrzeży pustyni, otynkowane budynki z dachami z białego kamienia, zniszczone domy ze ścianami obitymi deskami i z niepomalowanymi gankami, przypominające Holly wiejskie okolice Teksasu, bungalowy zbite przez domorosłych cieśli, białe wiktoriańskie domy z szerokimi frontowymi werandami, przeładowane sztukaterią, sąsiadowały z budowlami wyraźnie odcinającymi się swym duńskim charakterem: pruski mur, dachy ze słomy i okna z kolorowego szkła. Parę wiatraków stało rozrzuconych po miasteczku. Skrzydła odcinały się od sierpniowego nieba. W sumie była to jedna z tych typowo kalifornijskich mieszanek, jakie czasem tworzą urocze i nieoczekiwane harmonijne całości; ale w Svenborgu mieszanka nie zadziałała i wszystko gryzło się ze sobą.

— Spędziłem tu całe dzieciństwo i młodość — powiedział Jim, kiedy z wolna jechali przez cichą, zacienioną główną ulicę.

Pomyślała wtedy, że jego melancholię może w równej mierze wiązać ze Svenborgiem jak z rodzinną tragedią.

Do pewnego stopnia to nie było w porządku. Ulice zdobiły szpalery wysokich drzew, urocze latarnie wyglądały na przeniesione ze Starego Kraju, a większość łagodnie zakręcających chodników przypominała koronki ze starych, zniszczonych cegieł. Jakies dwadzieścia procent miasteczka kojarzyło się z nostalgicznym portretem środkowego zachodu, jak z powieści Bradbury'ego, ale reszta, niestety, była rodem z filmu Davida Lyncha.

— Przejdźmy się po starym miasteczku — powiedział.

— Powinniśmy jechać na farmę.

— To tylko półtora kilometra na północ, za parę minut tam dotrzemy.

Holly była zmęczona jazdą. Ale czuła, że z niewiadomego powodu chciał jej pokazać miasteczko — nie tylko opóźnić przybycie na farmę Ironheartów, więc ustąpiła. W istocie słuchała z zainteresowaniem, co mówił. Wiedziała już, że mówienie o sobie przychodzi mu z trudem i czasem wyjawiał sprawy osobiste w sposób pośredni, jakby niedbale.

Minęli aptekę Handahla na wschodnim krańcu głównej ulicy. Tubylcy, jeśli nie chcieli jechać do Solvangu odległego o trzydzieści kilometrów, tu realizowali recepty. Do Handahla należała również jedna z dwóch w mieście restauracji z (według Jima) „najlepszą lemoniadą po tej stronie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku”. W tym samym budynku znajdowała się poczta i jedyny kiosk z gazetami. W sumie był to imponujący gmach z załamany pod wieloma kątami dachem, zieloną miedzianą kopułą i szlifowanymi szybami.

Nie gasząc silnika, Jim zatrzymał się na Copenhagen Lane. Po drugiej stronie w jednym z wiktoriańskich domów znajdowała się biblioteka. Budynek miał znacznie skromniejszą sztukaterię niż inne, położoną świeżą farbę, żywość starannie utrzymany. Na wysokim maszcie przy chodniku lekko furkotały flagi Stanów Zjednoczonych i Kalifornii, niemniej dom prezentował się dość żałośnie.

— To niesamowite, że w takim małym miasteczku w ogóle była biblioteka — powiedział Jim. — I Bogu za to chwała. Ile razy przyjeżdżałem tu na rowerze... jakby się zliczyło wszystkie kilometry, to chyba przepedałowałem pół równika. Gdy rodzice zmarli, książki stały się moimi przyjaciółmi, doradcami, psychoanalitykami. One nie dały mi zwariować. Pani Glynn, bibliotekarka, była wspaniałą damą, umiała rozmawiać z nieśmiałym, zakompleksionym chłopcem, nie traktując go z góry. Była moim przewodnikiem po najbardziej egzotycznych światach oraz najdalszych czasach — i to nie wychodząc spomiędzy półek.

Holly nigdy przedtem nie słyszała, żeby mówił z taką miłością albo choć w połowie z takim wzruszeniem. Biblioteka w Svenborgu i pani Glynn wyraźnie zostawili trwały ślad w jego życiu.

— Dlaczego nie wejdziemy i nie zamienisz z nią paru słów? — spytała.

Jim zmarszczył brwi.

— Och, jestem pewien, że od dawna nie jest bibliotekarką. Najprawdopodobniej nie żyje. Minęło dwadzieścia pięć lat od czasu, jak zacząłem tu przyjeżdżać, osiemnaście, od kiedy wyjechałem z miasteczka do college'u. Nigdy jej potem nie widziałem.

— Ile miała lat?

Zawahał się.

— Sporo — powiedział i zakończył nostalgiczne wspominki, ruszając fordem.

Przejechali obok Ogródów Tivoli, małego parku na głównej ulicy. Żałośnie nie dostawał do poziomu swego imiennika. Nie miał fontann, orkiestr, parkietów tanecznych, ogródków piwnych, tylko trochę róż, parę kwietników rozkwitających późnym latem, nierówną trawę, dwie ławeczki i dobrze utrzymany wiatrak w kącie, po drugiej stronie.

— Dlaczego skrzydła się nie obracają? — spytała. — Jest trochę wiatru.

— Dziś żaden wiatrak nie pompuje już wody ani nie miele ziarna — wyjaśnił. — A ponieważ stanowią głównie dekorację, nie ma sensu znosić hałasu, jaki wyczyniają. Dawno temu założono hamulce na mechanizmy. — Kiedyś robiono tu film — dodał, kiedy skręcali, zostawiając park za sobą.

— Kto?

— Jakieś duże studio.

— Hollywoodzkie?

— Zapomniałem jakie.

— Jak się nazywało?

— Nie pamiętam.

— Kto grał?

— Nikt znany.

Holly zapisała sobie w pamięci ten film, podejrzewając, że był ważniejszy dla Jima i dla miasteczka, niż to wyjawiał. Coś w niedbałym sposobie mówienia i w lakonicznych odpowiedziach na szybko następujące pytania obudziło w niej czujność.

Na samym końcu przejechał obok garażu Zacca w południowo-wschodnim kącie Svenborga. Duża budowla z falistej blachy spoczywała na cementowej podmurówce. Przed nią stały dwa zakurzone samochody. Budynek był w swej historii kilkakrotnie malowany, ale pędzel nie tknął go od dawna. Wyłaziły liczne pokłady wcześniejszych warstw farby, miejscami widać było też rdzę, co dawało efekt niezamierzonego kamuflażu. Spękany asfalt z frontu roił się od dziur wypełnionych żwirem. Dookoła rosła wyschnięta trawa i chwasty.

— Chodziłem do szkoły z Nedom Zackiem — powiedział Jim. — Jego ojciec, Vernon, miał wtedy ten garaż. Taki interes nigdy nie mógł zapewnić fortuny, ale kiedyś prezentował się lepiej niż teraz.

Wielkie drzwi, odsuwane na boki jak w hangarach samolotowych, były otwarte i wewnątrz zalegały cienie. Tylny zderzak starego chevroleta pobłyskiwał tępo w półmroku. Mimo że garaż był zapuszczony, nic w nim nie sugerowało niebezpieczeństwa. A jednak kiedy Holly zagłądała przez otwarte drzwi hangaru w mroczną głębię, poczuła, jak przebiegają po niej wyjątkowo nieprzyjemne dreszcze.

— Ned to był nędzny skurwiel, szkolny bandzior — powiedział Jim. — Jak chciał, mógł dziecku zamienić życie w piekło. Zawsze się go bałem.

— Jaka szkoda, że wtedy nie umiałeś taekwon do, mógłbyś skopać mu tyłek.

Nie uśmiechnął się; patrzył na garaż. Wyraz twarzy miał dziwny, niepokojący.

— Tak. Szkoda.

Kiedy znów spojrzała na garaż, zobaczyła, jak mężczyzna w dzinsach i bawełnianej koszulce wychodzi z najgłębszej ciemności w szarą poświatę, omijając powoli tył swojego chevroleta. Wycierał ręce o szmatę. Znajdował się tuż za linią wpadającego słońca, więc nie mogła dostrzec jego twarzy. Paroma krokami okrążył samochód i znów znikł w mroku, nie bardziej materialny niż duch na rozjaśnionym księżycem cmentarzu.

Nie wiadomo skąd wiedziała, że tamta widmowa sylwetka należała do Neda. Dziwne, to Jim się go kiedyś bał, ale właśnie Holly poczuła, jak żołądek się jej zwija i wilgotnieją ręce.

W tym momencie Jim nacisnął gaz i odjechali sprzed garażu, kierując się z powrotem do miasta.

— Co on ci zrobił?

— Nic, na co miałby ochotę. To był najzwyczajniejszy mały sadysta. Od tamtych czasów siedział kilka razy. Ale wydaje mi się, że wrócił.

— Wydaje ci się? Skąd wiesz?

— Po prostu to poczułem — odpowiedział, wzruszając ramionami. — Poza tym to jeden z tych facetów, którzy nigdy nie wpadają w za duże sprawy. Ma diabelne szczęście. Jeśli już mu się powinęła noga, to zawsze na głupstwie. Jest głupi, ale cwany.

— Dlaczego chciałeś tu przyjechać?

— Wspomnienia.

— Większość ludzi, jak już wspomina, to dobre rzeczy.

Na to Jim nie odpowiedział. Jeszcze zanim pojawili się w Svenborgu, zamknął się w sobie, przypominał żółwia stopniowo wycofującego się do skorupy. Nieomalże powrócił mu ponury, pełen dystansu nastrój, w jakim zastała go wczoraj po południu.

W trakcie krótkiej przejażdżki nie odniosła wrażenia, by małe miasteczko emanowało bezpieczeństwem i ludzką życzliwością, raczej poczuła, że znalazła się na zabitym

deskami krańcu świata. Nadal była w Kalifornii, najgęściej zaludnionym stanie kraju, nie dalej niż sto kilometrów od Santa Barbara. Sam New Svenborg miał dwa tysiące ludzi, był większy niż przeciętne osady „benzyna-i-bufet”, rozsiane wzdłuż dróg międzystanowych. Poczucie izolacji wpływało raczej ze stanu psychicznego niż realiów, ale nie mogła się od niego uwolnić.

Zatrzymali się przy Centrum, skupisku obiektów handlowych, które obejmowało stację benzynową, mały sklepik z artykułami sportowymi dla wędkarzy i biwakowiczów i dobrze zaopatrzony sklep spożywczy z artykułami delikatesowymi, piwem i winem. Holly napełniła zbiornik forda przy samoobsługowym dystrybutorze, a potem dołączyła do Jima, który robił zakupy w sklepiku z artykułami sportowymi.

Miejsce było zawałone towarami, który wysypywał się z półek, zwisał z sufitu i leżał na pokrytej linoleum podłodze. Sztuczne przynęty kiwały się na wieszaku przy drzwiach. Powietrze było przesycone wonią gumowych butów.

Jim zgromadził już na ladzie doskonale lekkie śpiwory z materacową nadmuchiwaną podkładką, lampę Colemana, ogromną lodówkę turystyczną, dwie silne latarki z zapasem baterii i parę innych artykułów. Przy kasie, nieco dalej, stał brodac w okularach grubych jak butelkowe szkło i podliczał zakupy. Jim czekał z otwartym portfelem.

— Myślałam, że jedziemy do wiatraka — rzekła Holly.

— Jedziemy — potwierdził Jim. — Ale jeśli nie chcesz spać na drewnianej podłodze, bez żadnych wygod, będzie to nam potrzebne.

— Nie myślałam, że zostaniemy tam na noc.

— Ani ja. Dopóki nie wszedłem tu i nie usłyszałem, jak zamawiam te rzeczy.

— Nie moglibyśmy pojechać do motelu?

— Najbliższy mamy w Santa Ynez.

— To cudowna trasa — powiedziała; wołała zmienić miejsce, niż spędzić noc w wiatraku.

Jej opór tylko częściowo wynikał z faktu, że stary wiatrak nie zapowiadał się na luksusowy lokal do spania. Był on przede wszystkim miejscem akcji koszmarów sennych ich obojga. Poza tym od chwili, kiedy zjawiała się w Svenborgu, czuła wokół siebie jakieś... zagrożenie.

— Coś się szykuje — powiedział. — Nie wiem co. Po prostu... coś. W wiatraku. Czuję to. Doczekamy się... jakichś wyjaśnień. Ale to może trochę potrwać. Musimy przygotować się na czekanie, uzbroić w cierpliwość.

Choć to Holly zasugerowała wyjazd do wiatraka, nagle odechciało się jej wyjaśnień. We własnej niewyraźnej wizji przyszłości przeczuwała nadciągającą nie wiadomo skąd tragedię, krew, śmierć i ciemność.

Natomiast wydawało się, że Jim zrzucił ciężący mu jak ołów niepokój i nabrał nowego rozpędu.

— Dobrze robimy, że tam jedziemy. Czuję to, Holly. Rozumiesz mnie? Przekazano mi, że dobrze zrobiliśmy, przyjeżdżając tu, że czeka nas coś strasznego, tak, coś może wstrząsnąć nami jak cholera, może znajdziemy się w poważnym niebezpieczeństwie, ale wyjdziemy z tego silniejsi.

Oczy mu błyszczały i był podniecony. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Nawet wtedy, kiedy się kochali. Wyższa potęga, kontaktująca się z nim w jakiś tajemniczy sposób, porozumiewała się z nim teraz. Jego spokojny zachwyty był dostrzegalny.

— Czuję w sobie... jakąś dziwną radość, cudowne odkrycie, objawienie...

Sprzedawca w okularach odszedł od kasy i pokazał im kwit kasowy.

— Nowożeńcy? — spytał, szczerząc zęby.

Obok, w spożywczym, kupili lód do lodówki, sok pomarańczowy, dietetyczną lemoniadę, musztardę, czarny salceson z oliwkami i żółty ser pocięty w plasterki.

— Salceson — zachwyciła się Holly. — Nie jadłam tego chyba od czternastego roku życia, kiedy to dowiedziałam się, że człowiek ma tętnice.

— A co ty na to — powiedział i zgarnął z półki pączki polewane czekoladą. Wrzucił do koszyka. — Kanapki z salcesonem, pączki z czekoladą... i chrupki ziemniaczane, rzecz jasna. Bez chrupek nie ma pikniku. Mocno chrupiące, dobra? Zawijane bułeczki z serem, to też. Chrupki i bułeczki serowe, to idzie w parze.

Holly po raz pierwszy widziała go w takim Stanie: był jak chłopiec, nareszcie wolny od trosk. Jakby udawał się z kolegami na małą eskapadę.

Zastanawiała się, czy nie boi się na zapas. W gruncie rzeczy sprawdzały się przecucia Jima. Może faktycznie odkrywają w wiatraku coś wspaniałego, rozwikłają tajemnicę tych akcji ratunkowych, które Jim wykonuje w ostatniej sekundzie, może nawet zetkną się z tą wyższą potęgą, o jakiej mówił. Może Nieprzyjaciół, chociaż zdolny wynurzyć się ze snu w realny świat, nie był tak potężny, jak się wydawał.

Przy kasie, kiedy kasjerka pakowała ich zakupy i wydawała resztę, Jim powiedział:

— Sekundkę, jeszcze jedno... — I pospieszył w głąb sklepu.

Kiedy wrócił, niósł dwa żółte, poliniowane bloki do notatek i czarny cienkopis.

— Dziś wieczór będą nam potrzebne — wyjaśnił Holly.

Kiedy wrzucili zakupy do samochodu i wyjeżdżali z parkingu przy Centrum, kierując się ku farmie Ironhearta, Holly wskazała na cienkopis i bloki, które wsadziła do osobnej torebki.

— A do czego to ma być nam potrzebne?

— Nie mam zielonego pojęcia. Nagle dotarło do mnie, że musimy je wziąć.

— Jak to z Bogiem — powiedziała — zawsze tajemniczy i pełen niedomówień.

— Nie jestem już wcale pewien — odezwał się po chwili milczenia — że to Bóg do mnie przemawia.

— Ach tak? A co wpłynęło na zmianę zdania?

— Wiesz, choćby to, o czym mówiłaś wczoraj wieczór. Jeżeli Bóg nie chciał, żeby mały Nick O’Conner zginął wtedy w Bostonie, dlaczego nie zapobiegł eksplozji tej komory? Dlaczego przegania mnie po całym kraju i, jak mówiłaś, rzuca na tego chłopca? I dlaczego miałyby zmienić zdanie o ludziach w tym samolocie, pozwolić większej liczbie przeżyć? Tylko dlatego że ja uznałem, iż powinni? Sam zadawałem sobie te pytania, ale ty nie zadowoliliś się łatwymi odpowiedziami, jakie mnie wystarczyły.

— Dotarli do granic miasteczka, oderwał w tym momencie wzrok od ulicy, spojrzał na nią, uśmiechnął się i powtórzył jedno z pytań, jakimi dręczyła go wczoraj: — Czy Bóg jest chwiejny?

— Spodziewałam się...

— Czego?

— No, byłeś tak pewien, że rozpoznajesz w tym rękę boską, iż powinienes trochę się podłamać mniej wzniosłym wytłumaczeniem. Spodziewałabym się raczej, że będziesz zniechęcony.

— Nie jestem — powiedział, potrząsając głową. — Wiesz, zawsze trudno mi było przystać na to, że Bóg działa przeze mnie, to był taki zwariowany pomysł, ale pogodziłem się z nim, bo nie znałem lepszego wytłumaczenia. Dalej, jak sądzę, nie ma lepszego wytłumaczenia, jednak zaczyna mi świtać inna możliwość i jest tak przedziwna i cudowna... że mogę się obejść bez Boga w drużynie.

— Jaka inna możliwość?

— Nie chcę jeszcze o niej mówić — odparł, a słońce i cienie drzew na przemian padały na zakurzoną szybę, igrając mu po twarzy. — Chcę to sobie przemyśleć, upewnić się, że ma ręce i nogi, zanim ci przedstawię, bo wiem, jak ciężko cię przekonać.

Robił wrażenie szczęśliwego. Naprawdę szczęśliwego. Holly spodobał się bardzo od pierwszego wejrzenia, niezależnie od ponuractwa. Dojrzała w nim pogodę ducha pod groźnym spojrzeniem, delikatność pod warstwą szorstkości, człowieka dobrego, który kryje się za małostkowością. Ale widząc go w stanie obecnego uniesienia, polubiła go jeszcze bardziej.

Żartobliwie uszczypnęła Jima w policzek.

— Co? — spytał.

— Jesteś milusi.

Kiedy wyjeżdżali ze Svenborga, Holly zauważyła, że bardziej przypomina osadę pionierską niż nowoczesne miasteczko. W większości miast centrum miało gęstą zabudowę, a im dalej od środka, tym posesje były rozleglejsze, przestrzeń coraz bardziej otwarta i w końcu ostatnie budowle ustępowały miejsca terenom wiejskim. Ale kiedy dojechali do granic Svenborga, linia pomiędzy miastem a wsią była jak wyrysowana linijką i nie dało się jej nie zauważyć. Domy zniknęły. Tuż za pasem chroniącym przed pożarami zaczęło się królestwo roślinności. Holly od razu przypomniała sobie pionierów, niespokojnie wypatrujących ze swych strażnic zagrożeń, jakie niesły dzikie pustkowia.

W swych granicach miasteczko robiło złowróżbne wrażenie, straszło bogactwem mrocznych sekretów. Widziane z zewnątrz — a Holly obejrzała się w tył, kiedy droga wznosiła się ku lekko wyniosłemu grzbietowi wzgórza — nie wyglądało na groźne, ale na zagrożone, jakby jego mieszkańcy czuli przez skórę, że coś obecnego w tym otaczającym ich zewsząd złotym kraju rości sobie prawo do zawładnięcia nimi wszystkimi.

Być może lękali się tylko ognia. Jak w dużej części Kalifornii, tam gdzie ludzie nie zadbali o doprowadzenie wody, ziemia była spieczona.

Dolina, wtulona pomiędzy góry Santa Ynez z zachodu i San Rafael ze wschodu, była szeroka i głęboka, a bogactwem krajobrazów przewyższała niektóre całe wschodnie stany, choć o tej porze roku większa jej część, nietknięta deszczem, zbrązowiała i wyschła. Podróżowali poprzez wzgórza pokryte płynnym złotem, brązowe łąki. Podczas trzykilometrowej podróży, kiedy najwyższe punkty widokowe odsłaniały pasma wyższych wzgórz porośniętych gęstymi zaroślami, widzieli dolinki, w których rozkwiatały kępy dębów kalifornijskich i kryły się małe zielone winnice, otoczone rozległymi uwiędłymi polami.

— Pięknie tu — powiedziała Holly, obejmując spojrzeniem pobludłe wzgórza, świecące złotem łąki i oliwkowe zarośla. Nawet dęby, których skupiska wskazywały miejsca o stosunkowo wyższym poziomie wody, nie pyszniły się świeżością, ale były przyschnięte, srebrnozielone. — Pięknie, ale strasznie sucho. Jak oni tu sobie radzą z pożarami?

Nie dokończyła wypowiedzi, kiedy wyjechał z zakrętu i po prawej stronie jednopasmowej wiejskiej drogi ujrzeli pas szerniałej ziemi. Zarośla i trawa skurczyły się w żyły szaroczarnego popiołu, wijące się wśród czarnej jak węgiel sadzy. Ogień musiał tu szaleć przed paroma dniami, sierpniowe powietrze nadal było przesiąknięte odorem spalenizny.

— Ten nie przebił się daleko — powiedział. — Wygląda, że z dymem poszło dziesięć akrów, nic więcej. Oni są tu szybcy, rzucają się do pożaru, jak tylko zobaczą dym. W mieście jest niezła straż ochotnicza. Departament Lasów ma stanowiska w dolinie i posterunki obserwacyjne.

Jim mówił przekonująco, a że mieszkał tu przez parę ładnych lat, Holly usiłowała zdusić w sobie pirofobię. Niemniej nawet kiedy minęli już zwęglony kawał ziemi i nie czuli zapachu spalonej roślinności, Holly prześladował obraz wielkiej doliny, jak w nocy od krańca do krańca ogarniają ją płomienie, wiry czerwonopomarańczowobiałych płomieni, zwijających się jak tornada i pożerających wszystko, co leżało pomiędzy obwarowaniami górskich grzbietów.

— Farma Ironhearta — usłyszała.

Zaskoczył ją. Kiedy Jim zwolnił, Holly spojrzała na lewo.



Dom stał trzydzieści metrów od wiejskiej drogi, za wymizerowanym trawnikiem. Nie był utrzymany w konkretnym stylu. Zwykły, przytulnie wyglądający jednopiętrowy wiejski dom z białym aluminiowym sidingiem, dachem z czerwonej dachówki i szeroką werandą. Mógł zostać podniesiony z fundamentów z każdego miejsca na środkowym zachodzie i spuszczonego tu na nowe podłoże. Przypominał tysiące innych zabudowań farmerskich ze stanów kukurydzianych.

Sto metrów na lewo od domu wznosiła się czerwona stodoła. Na szczycie opadającego stromo dachu sterczał zniszczony wiatrowskaz w kształcie powoziku z koniem. Stodoła była niewielka, zaledwie o połowę większa od skromnego domu.

W głębi, pomiędzy domem i stodołą, leżał staw, a budowla rysująca się za nim najbardziej przykuwała wzrok, górując nad całą farmą. Był to wiatrak.

## 4

Jim zatrzymał się na kolistym podejździe pomiędzy domem a stodołą i wysiadł z forda. Musiał wysiąść, ponieważ widok tej znanej od wielu lat okolicy uderzył w niego wielokrotnie silniej, niż się spodziewał. Mimo chłodu bijącego ze szpar wentylatora powietrze w samochodzie wydało mu się gorące i zastałe, zbyt ubogie w tlen. Stał w świeżym letnim powietrzu, oddychając głęboko w obawie przed zemdleniem i usiłując zapanować nad sobą.

Dom z osłepłymi oknami nie robił na nim wrażenia. Kiedy na niego patrzył, czuł jedynie słodką melancholię, która mogła po pewnym czasie pogłębić się w bardziej niepokojące uczucie smutku lub nawet rozpacz. Ale mógł na niego patrzeć, normalnie oddychać i obrócić się do niego plecami, nie ulegając potężnemu pragnieniu, aby spojrzeć jeszcze raz. Stodoła nie budziła w nim jakichkolwiek emocji, ale wiatrak to osobna historia. Kiedy skierował swój wzrok na ten potężny stożek z kamienia rysujący się za stawem, czuł się, jakby już został zamieniony w skałę niczym jedna z nieszczęsnych ofiar, które spjrzały w twarz mitologicznej Meduzie o węzowych włosach.

Czytał o Meduzie przed wielu laty. W jednej z książek pani Glynn. Było to w tych dniach, kiedy całym sercem marzył, żeby również móc zobaczyć kobietę z węzowymi włosami i zamienić się w nieczułą skałę...

— Jim? — odezwała się Holly z drugiej strony wozu. — Nic ci nie jest?

Wysokie sklepienia — na parterze jeszcze wyższe niż na piętrze — sprawiały, że jednopiętrowy wiatrak zdawał się mieć trzy piętra. Ale w tej chwili Jimowi wydawał się o wiele wyższy, dominujący jak dwudziestopiętrowa wieża. Jego niegdyś bielejące kamienie ściemniały, oblepione stuletnim brudem. Winorośle, których korzenie czerpały

wilgoć ze stawu obmywającego jedną stronę wiatraka, wspięły się po chropawej ścianie, z łatwością znajdując dostęp do głębokich luk w spojeniach. Przy braku opieki nad budowlą pnącze pokryło połowę wiatraka i obrosło całkowicie wąskie okienko pierwszego piętra przy drewnianych drzwiach. Drewniane skrzydła się rozwały. Każde z czterech ramion liczyło dziesięć metrów długości, co dawało rozpiętość osiemnastu metrów na przeciwległych skrzydłach. Miały po półtora metra szerokości i każdy trzy rzędy drewnianych płatów. Od czasu kiedy widział wiatrak po raz ostatni, dużo płatów popękało lub odpadło. Zatrzymane przez czas skrzydła nie stanęły w pozycji krzyża, ale w „X”, z dwoma ramionami wyciągniętymi w kierunku stawu, a dwoma ku niebu. Nawet w jasnym, rozgrzanym świetle dnia widok ten zmroził Jima i wiatrak wydał mu się potwornym strachem na wróble z obszarpanymi ramionami, wyciągającym ku niebu szkielety dłoni.

— Jim — powiedziała Holly, dotykając jego ramienia.

Podskoczył, jakby nie wiedział, kto obok niego stoi.

W istocie, kiedy przez moment spoglądał na nią, nie widział Holly, ale dawno po-grzebaną twarz, twarz...

Moment zagubienia jednak minął. Teraz była to tylko Holly, a jej osoba nie wplotła się w tożsamość innej kobiety, jak to stało się w jej śnie poprzedniej nocy.

— Nic ci nie jest? — spytała powtórnie.

— Nie, w porządku, to tylko... wspomnienia.

Jim był jej wdzięczny, kiedy oderwała jego uwagę od wiatraka i skierowała na dom.

— Byłeś szczęśliwy z dziadkami?

— Lena i Henry Ironheart. Wspaniali ludzie. Zaopiekowali się mną. Dużo przeze mnie wycierpieli.

— Wycierpieli? — spytała.

Uświadomił sobie, że użył zbyt mocnego słowa i zastanowił się, dlaczego to zrobił.

— Poświęcali się dla mnie. O to mi chodziło. Na wiele sposobów, w drobiazgach, ale te rzeczy się sumują.

— Wzięcie na utrzymanie dziesięcioletniego chłopca to poważna sprawa — rzekła Holly. — Ale jeśli nie domagałeś się szampana i kawioru, nie uważam, że to zbyt wielki ciężar.

— Po tym, co spotkało rodziców, byłem... zamknięty w sobie, w złej kondycji psychicznej, niekomunikatywny. Poświęcali mi wiele czasu, bardzo mnie kochali, starali się mnie ściągnąć z powrotem do... normalności.

— Kto tu teraz mieszka?

— Nikt.

— Nie mówiłeś czasem, że dziadkowie umarli przed pięciu laty?

— Nie sprzedano tego. Nie ma kupców.

— A kto jest właścicielem?

— Ja. Odziedziczyłem to.

Oglądała gospodarstwo z wyraźnym zachwytem.

— Ależ tu ślicznie. Gdyby dbać o trawnik, podlewać go, wypielić chwasty, byłoby uroczo. Dlaczego tak trudno to sprzedać?

— Wiesz, chodzi o to, że jest tu cholernie spokojnie, a nawet najbardziej rozkochane w powrocie do natury typy, które śnią o wiejskim gospodarstwie, naprawdę marzą o farmie z bliskim dojazdem do paru teatrów, księgarń, dobrych knajp i wytrawnego mechanika znajdującego się na europejskich wozach.

Roześmiała się.

— Kochanie, kryje się w tobie dowcipny cynik.

— Poza tym praca na takiej farmie to cały czas droga pod górkę. To małe, typowe stuakrowe gospodarstwo, niewystarczające, żeby utrzymać się z produktów mlecznych, hodowli — albo z jednego rodzaju uprawy. Dziadek i babcia trzymali kury i sprzedawali jajka. I dzięki łagodnemu klimatowi zbierali plony dwa razy do roku. Truskawki dojrzewały w lutym i sypały się aż do maja. To była uprawa, co dawała forszę — truskawki. Potem była pora na kukurydzę, pomidory — prawdziwe pomidory, nie te plastiki bez smaku, jakie sprzedaje się w dużych supermarketach.

Widział, że Holly zakochała się w tym miejscu. Stała z rękami opartymi na biodrach, rozglądając się jak potencjalny kupiec.

— Ale czy brak ludzi, którzy mają inne źródła utrzymania i chcieliby zamieszkać tutaj dla ciszy i spokoju?

— To nie jest okolica zamieszкана przez bogaczy. To nie Newport Beach, Beverly Hills. Tutejsi ludzie nie mają ekstradochodów. Jedyna nadzieja na sprzedanie takiego gospodarstwa to znalezienie jakiegoś bogatego producenta filmowego albo gościa z przemysłu nagraniowego z L.A., który zechciałby kupić teren, zburzyć wszystko i postawić tu coś na pokaz, żeby móc nadmienić, że ma chałupkę w dolinie Santa Ynez, bo teraz jest w modzie mieć tu chałupkę.

Podczas tej wymiany zdań stawał się coraz bardziej niespokojny. Była trzecia po południu. Jasny dzień. Nagle poczuł lęk przed nadchodzącym zmrokiem.

Holly wyrывała jakieś zawzięte chwasty przebijające się przez spękaną nawierzchnię podjazdu.

— Trzeba to trochę odczyścić, ale wszystko wygląda całkiem, całkiem. Pięć lat minęło od ich śmierci? Dom i stodoła są w niezłym stanie, jakby malowano je dopiero z rok albo dwa temu.

— Bo malowano.

— Starasz się, żeby nęcił oko, co?

— Jasne. Dlaczego nie?

Wysokie góry z zachodu połkną słońce szybciej niż ocean w Laguna Niguel. Zmierzch zapadnie wcześniej, choć będzie trwał dłużej. Jim poczuł, że się przygląda wydłużającym się purpurowym cieniom z obawą bohatera filmu o wampirach, który spieszy w kierunku bezpiecznego schronienia, żeby zdążyć, zanim wieka trumien zacznie odskakiwać.

Co się ze mną dzieje? — zastanawiał się.

— Nie miałbyś czasem ochoty tu zamieszkać? — spytała Holly.

— Nigdy! — wybuchnął tak ostro, że zaskoczył tym nie tylko Holly, ale i siebie. Jakby opanowany złowróbnym, magnetycznym urokiem, znów spojrzał w kierunku wiatraka. Przebiegły go dreszcze.

Poczuł na sobie jej spojrzenie.

— Jim — odezwała się łagodnie — co się tu z tobą stało? Co, na litość boską, stało się dwadzieścia pięć lat temu w tym wiatraku?

— Nie wiem — wymamrotał. Otarł dłonią twarz. Rękę miał rozpaloną, czoło lodowate. — Nie mogę przypomnieć sobie niczego niezwykłego, nadzwyczajnego. Tam się bawiłem. Tam było... chłodno i spokojnie... miło. Nic tam się nie stało. Nic.

— A jednak coś — powiedziała z uporem. — Coś.

Holly nie była z Jimem na tyle długo, żeby wiedzieć, czy często miotała nim taka emocjonalna huśtawka, czy też jego ostatnie nieustanne zmiany nastroju były nietypowe. W Centrum, kupując jedzenie na piknik, otrząsnął się z ponuractwa, jakie go dopadło, odkąd minęli góry Santa Ynez, i był w nastroju nieomal euforycznym. Potem widok farmy okazał się skokiem w zimną wodę, a wiatrak podzielał nań jak zapadnięcie się w lodową szczelinę.

Wydawał się równie udręczony, jak obdarowany przez los, i pragnęła w jakiś sposób ulżyć jego cierpieniu. Zastanawiała się, czy nalegając na przyjazd do wiatraka, postąpiła rozsądnie. Nawet nieudana kariera dziennikarska nauczyła ją, że należy wskoczyć w sam środek toczących się wydarzeń, wykorzystać sprzyjający moment i iść za ciosem. Ale może ta sytuacja wymagała większej rozwagi, opanowania, namysłu i planowania.

Wsiedli z powrotem do forda i minąwszy dom i stodołę, okrążyli duży staw żwirowaną ścieżką, którą zapamiętała ze snu ostatniej nocy. Była wystarczająco szeroka dla zaprzęgów konnych ciągnących tędy wozy w innej epoce, a teraz ford poruszał się tu wygodnie. Zaparkowali pod wiatrakiem. Kiedy znów wyszła z samochodu, znalazła się obok poletka za rzadkim płotem. Tylko kilka zeschniętych kolb dzikiej kukurydzy wynurzało się z tego zaniedbanego skrawka ziemi. Obeszła wóz od tyłu po ścieżce i podeszła do Jima, stojącego już nad brzegiem stawu. Woda z niebiesko-zielono-szarymi cętkami przypominała płytę łupkową szerokości sześćdziesięciu metrów. I chyba była równie nieruchoma jak skalna płyta. Ważki i inne owady płonęły momentami nad tą taflą, na-

ruszając na chwilę spokój powierzchni. Leniwe prądy, o wiele za delikatne, aby się uzeńtrzniać sznureczkami powietrznych baniek, wzbudzały prawie niedostrzegalne migotanie wody przy brzegu, tam gdzie rosły zielone chwasty i parę kępek trawy pampasowej ozdobionej białym puchem.

— Nadal nie pamiętasz dokładnie, co zobaczyłaś w tamtym śnie? — spytał Jim.

— Nie. To chyba i tak nie ma znaczenia. Nie wszystko w snach ma znaczenie.

— To miało — powiedział cichym głosem, niemal jakby mówił do siebie.

Żaden gwałtowny ruch nie mącił osadu na dnie, więc woda nie była zamulona, ale nie cechowała jej również przejrzystość. Holly nic nie mogła dojrzeć głębiej niż metr pod powierzchnią. Jeżeli faktycznie staw miał do osiemnastu metrów głębokości w środku, to pozostawało masę miejsca dla tego, co wołało pozostać w ukryciu.

— Rozejrzyjmy się we wnętrzu wiatraka — zaproponowała Holly.

Jim wziął z wozu jedną z nowo kupionych latarek i włożył do niej baterię.

— Nawet za dnia w środku będzie ciemno.

Drzwi były wbudowane w ganeczek doczepiony do podstawy stożkowej konstrukcji, bardzo przypominający wejście do igloo. Nie były zamknięte na klucz, ale spaczyły się i zawiasy zardzewiały. Przez moment stawiały Jimowi opór, lecz potem otwały się do środka ze skrzypieniem i trzaskiem.

Krótki, sklepiony łukowato przedsionek otwierał się na główne pomieszczenie wiatraka. Miało około dwunastu metrów szerokości. Cztery okna, równo umieszczone na obwodzie, przepuszczały światło przez brudne szyby, odsiewając z niego całą radość bujnego lata i dodając szarej zimowej barwy. Pogłębiało to ponury nastrój. W świetle mocnej latarki Jima ukazała się pokryta pajęczynami i kurzem maszyna. Gdyby Holly ujrziała maszynownię okrętu podwodnego o napędzie atomowym, nie zrobiłoby to na niej większego wrażenia. Była to toporna, prymitywna technologia z innego wieku — potężne drewniane przekładnie, koła zębate, wały, żarna, koła pasowe, gnijące zwoje lin — a wszystko tak monstrualnie wielkie i skomplikowane, że nie wyglądało na owoc ludzkiego trudu, ale na dzieło stworzeń zupełnie obcych, będących na znacznie niższym szczeblu rozwoju.

Nic nie było tu używane od urodzenia Jima, ale ponieważ wyrósł w sąsiedztwie wiatraka, znał się na wszystkim doskonale. Przyświecając latarką, usiłował wytłumaczyć Holly zasady działania urządzeń, mówił o kole napędowym i drągu popychającym, buławie i opasce żelaznej, kamieniu pracującym i spoczywającym.

— Normalnie nie da się zobaczyć wszystkiego. Ale spójrz, poziom przekładni zgnił, niewiele z niej zostało i obrzeże rozpadło się, kiedy te wielkie kamienie uwolniły się i spadły.

Bał się, gdy oglądał wiatrak z zewnątrz. Teraz, po wejściu do środka, jego nastrój uległ zmianie. Ku zdumieniu Holly, kiedy wyjaśniał zasady działania mechanizmu młyńskiego, jego chłopięcy entuzjazm, którego pierwsze oznaki dostrzegła w Centrum w Sven-

borgu, znów zaczął dochodzić do głosu. Był dumny ze swojej wiedzy i chciał się nią pochwycić jak mały mól książkowy, szczęśliwy z okazji do zademonstrowania tego, czego nauczył się, ślęcząc w bibliotece, w czasie gdy rówieśnicy zbijali bąki na boisku do baseballu.

Podszedł na lewo do kamiennych schodów i ruszył bez wahania w górę, przesuując jedną ręką po lekkiej krzywiźnie ściany. Na twarzy błądził mu półuśmiech, jakby nawiadzały go obecnie jedynie dobrze wspomnienia.

Zaskoczona tym niezwykłym ożywieniem, usiłując pojąć, jak to możliwe, że wiatrak jednocześnie przerażał go i wprawiał w zachwyt, Holly z pewnym ociąganiem szła za nim w kierunku, jak to nazywał, „wyższej izby”. Ona nie miała dobrych wspomnień związanych z wiatrakiem, jedynie niepokojące wizerunki z nocnego koszmaru. Powracały teraz, kiedy szła za Jimem. Dzięki temu, co zobaczyła we śnie, wąskie kręte schody były znajome, chociaż wspinała się po nich po raz pierwszy — to było niecodzienne wrażenie, daleko dziwniejsze niż *dèjà vu*.

W połowie schodów zatrzymała się przy oknie wychodzącym na staw. Szkło pokrywała warstwa kurzu. Starła go ręką i wyteńczyła wzrok w kierunku zbiornika. Przez ułamek sekundy wydało się jej, że widzi coś dziwnego pod nieruchomą powierzchnią. Potem uznała, że to jedynie odbicie chmury sunącej po niebie.

— Co jest? — spytał Jim z chłopięcą niecierpliwością. Zatrzymał się parę schodów wyżej.

— Nic. Tylko złudzenie.

Szli, aż dotarli do wyższej izby. To istotnie było niezwykle pomieszczenie. Miało kilka metrów szerokości i w najwyższym miejscu trochę poniżej pięciu wysokości. Okrąg wapiennych ścian zamykał tę przestrzeń, tworząc w górze sufit, który przypominał kopulasty dziób rakiety. Ściany nie były przezroczyste jak we śnie i nie przepuszczały żadnego dziwnego bursztynowego światła. Tajemniczy mechanizm wychodził poza kopułę. Dzięki niemu ruch obracanych wiatrem skrzydeł był przenoszony na drewniany wał. Grube drzewce wału zniknęło w otworze w środku podłogi.

Pamiętając, jak z dołu spoglądali ku górze poprzez powyginane i popękane dechy wielopoziomowego mechanizmu młyna, Holly uważnie sprawdzała wytrzymałość drewnianej podłogi. Śladu próchna. Deski i belki pod ich stopami wyglądały na zdrowe.

— Masa kurzu — rzekł Jim.

Ich stopy za każdym krokiem wzbijały obłoczki.

— I pajaków — zauważyła Holly.

Krzywiąc się z obrzydzeniem, zerknęła na łupinki wyspanych do cna owadów, zwisających w pracowicie rozsnutych pajęczynach. Owijały dawno znieruchomiały mechanizm nad ich głowami. Nie bała się pajaków, ale też za nimi nie przepadała.

— Trzeba trochę posprzątać, zanim się tu rozbijemy — powiedział.

— Powinam kupić miotłę i parę innych drobiazgów, kiedy byliśmy w mieście.

— Sprzęt do czyszczenia jest w domu. Pójdę po niego, a ty rozładuj wóz.

— Dom! — Holly nawiedzona zbawienną myślą, poczuła ogromną ulgę. — Kiedy wybieraliśmy się tu, nie pomyślałam, że gospodarstwo ciągle należy do ciebie, że nikt tu nie mieszka. Możemy rozłożyć śpiwory w domu i tam zostać, a do tego pomieszczenia przychodzić wtedy, kiedy będziemy musieli.

— Niezła myśl — powiedział Jim — ale nie ma tak dobrze. Coś tu się stanie, Holly, dostaniemy odpowiedź lub znajdziemy drogę ku niej. Czuję to. Wiem... no, po prostu wiem. Tak jak mi się to zdarza. Ale nie możemy wybierać sobie czasu na objawienie. W ten sposób to nie działa. Nie możemy poprosić Boga — albo kogoś innego — żeby odbił kartę na zegarze i zesłał iluminację w zwykłych godzinach pracy. Musimy tu pozostać i zachować cierpliwość.

Westchnęła.

— Dobra, w porządku, jeśli...

Przerwały jej dzwonki.

Było to słodkie srebrne dzwonenie, ani ciężkie, ani zbyt natrętne; trwało jedynie kilka sekund, rozkosznie melodyjne. W istocie rozbrzmiało tak lekko i radośnie, że powinno wydać się frywolne na tle tej ociążałej kamiennej budowli. A jednak nie było w najmniejszym stopniu frywolne, co więcej, w niewytłumaczalny sposób wzbudziło w Holly poważne skojarzenia: myśl o grzechu, pokucie i odpuszczeniu.

Wibracja ustała w momencie, w którym Holly rozejrzała się za jej źródłem. Ale nim spytała Jima, skąd się wzięła, rozbrzmiała powtórnie.

Tym razem Holly pojęła, dlaczego skojarzyła dźwięk ze sprawami ducha. Identycznie rozbrzmiewał dzwoneczek ministranta podczas mszy. Ten słodki dźwięk przyniósł jej z powrotem zapach kadzidła i mirry, kiedy to w latach college'u zastanawiała się nad przejściem na katolicyzm.

Dzwonki ucichły powtórnie.

Obróciła się do Jima. Stał i uśmiechał się szeroko.

— Co to jest? — spytała.

— Całkiem o tym zapomniałem — powiedział zachwycony.

— Jak to możliwe?

Dzwoneczki zagrały jeszcze raz, srebrzyście i wyraźnie.

— O czym zapomniałeś? — spytała. — Co to za dzwonki?

— Nie ma dzwoneczków — odparł, kiedy ucichły.

Zawahał się, a kiedy dźwięk powrócił po raz czwarty, rzekł w końcu:

— To dzwonią kamienie.

— Dzwoniące kamienie? — spytała oszołomiona.

Dzwonki zabrzmiały jeszcze dwukrotnie, a ona w tym czasie krążyła po izbie, nadstawiając uszu to w jednym, to w drugim kierunku i wydało się jej, że faktycznie muzyka wypływa ze ścian, tyle że nie z jednego źródła, lecz z każdego bloku obłej powierzchni.

Kamień nie może dzwonić, a na pewno nie takim słodkim głosem, powiedziała sobie. Wiatrak był niezwykle budowlą i mógł płatać akustyczne figle. Podczas szkolnej wycieczki do Waszyngtonu przewodniczka pokazywała im na Kapitolu pewne miejsce. Każda rozmowa, nawet szept, była tam przenoszona dzięki jakiejś sztuczce architektonicznej poprzez ogromną kopułę w odległy kraniec wielkiej budowli i ewentualni podsłuchujący mogli ją słyszeć całkiem dokładnie. Może i tu działa się coś podobnego. Dzwonienie albo inne dźwięki mogły być przesyłane z odległego miejsca parteru, a niezwykle właściwości akustyczne wiatraka powodowały przenoszenie ich z równą siłą wzdłuż ścian wszystkich poziomów. To wyjaśnienie wydało jej się bardziej logiczne niż koncepcja magicznych dzwoniących kamieni — dopóki nie zaczęła sobie wyobrażać, kto mógłby po kryjomu dzwonić i dlaczego.

Przyłożyła rękę do ściany.

Kamień był zimny. Poczowała w nim lekkie wibracje.

Dzwonki ucichły.

Wibracje w ścianie ustąpiły.

Czekali.

Kiedy stało się jasne, że dzwonienie się nie powtórzy, Holly się odezwała:

— Kiedy słyszałeś je poprzednio?

— Kiedy miałem dziesięć lat.

— Coś następowało po dzwonieniu? Coś miało znaczyć?

— Nie wiem.

— Ale powiedziałeś, że je pamiętasz.

Oczy świeciły mu z podniecenia.

— Tak. Pamiętam dzwonienie. Ale nie wiem, skąd się brało i co zapowiadało. Chociaż myślę, że... to dobry znak, Holly. — W jego głosie pojawiła się nuta zachwyty. — To oznacza, że nastąpi coś bardzo dobrego, coś... wspaniałego.

Holly ogarnęła frustracja. Mimo mistycznego aspektu ratunkowych akcji Jima — i pomimo jej własnych, dalekich od normalności doznań z marzeniami sennymi i obecnymi w nich potworami — przybyła na farmę w nadziei odnalezienia logicznych odpowiedzi na wszystko, co się wydarzyło. Nie miała pojęcia, jakie one będą. Ale założyła, że skorzysta z metod naukowych. Rygorystyczna procedura dochodzenia prawdy, rozważa myślenia, korzystanie z dedukcji i indukcji, jeśli zajdzie taka potrzeba, doprowadzą do rozwiązania. Teraz wyglądało jednak na to, że logikę można rzucić w ką.



Mistyczne doznania Jima wywoływały zamęt w jej głowie. Musiała jednak przyznać, że chociaż najpierw zaakceptował wszelką alogiczność, z rozmowami z Bogiem włącznie — potem bez wahania to skreślił.

— Jim — spytała — jak mogłeś zapomnieć o czymś tak niesamowitym jak dzwoniące kamienie? Albo o wszystkim innym, co się tu stało?

— Nie sądzę, żebym po prostu zapomniał. Sądzę, że kazano mi zapomnieć.

— Kto kazał?

— Ten ktoś lub to coś, co spowodowało, że kamienie znów zadzwoniły. Ten, kto stoi za wszystkimi ostatnimi wydarzeniami. — Podszedł do otwartych drzwi. — Chodźmy, posprzątajmy tu i wprowadźmy się. Musimy być gotowi na wszystko, co nastąpi.

Szła za nim aż do schodów, ale potem stanęła i popatrzyła, jak sady w dół, przeskakując po dwa stopnie. Jak chłopiec podniecony wizją przygody. Wszystkie jego obawy co do wiatraka i strach przed Nieprzyjacielem znikły jak krople wody na rozpalonej do czerwoności patelni. Jego emocje wzbily się na najwyższy punkt huśtawki nastrojów.

Coś wisiało tuż nad jej głową. Wielka pajęczyna rozpięła się nad drzwiami, w miejscu gdzie nachylenie ściany zaczynało przechodzić w sufit. Tłusty pajak o odwłoku grubym jak obwód kciuka, cienkich nogach, prawie tak długich jak małe palce, połyskujący jak bryła wosku i ciemny jak kropla krwi, przyssał się żarłocznie do bladego, drżącego truchelka usidlonej ćmy.

## 5

Miotła, śmietniczka, wiadra z wodą, mop na kijku i parę szmat sprawiły, że mała górna izba szybko nadawała się do zamieszkania. Jim znalazł w domu wśród zapasów środków czystości nawet płyn do mycia okien i papierowe ręczniki, tak że udało im się zetrzeć nieco szarego nalotu z okien i wpuścić więcej światła. Holly wygoniła i zabiła nie tylko pajaka znad drzwi, ale i siedem innych, kiedy przeszukiwała kąty latarką, żeby upewnić się, czy wytropiła wszystkie.

Oczywiście wiatrak w dolnej części dalej musiał się od nich kłębić. O tym postanowiła nie myśleć.

O szóstej wieczór słońce chyliło się ku zachodowi, ale pomieszczenie było tak pełne światła, że mogli się obejść bez lampy Colemana. Zasiedli na śpiworach, krzyżując nogi jak Indianie. Między sobą postawili lodówkę. Na zamkniętej pokrywie, jak na blacie stołu, położyli grube kanapki, otworzyli opakowania z chrupkami, bułeczkami serowymi i puszki z piwem. Holly, choć nie jadła lunchu, nie myślała o jedzeniu, dopóki nie zaczęła go przygotowywać. Teraz poczuła głód. Wszystko smakowało jej bardziej niż na

wystawie z jedzeniem dla smakoszy. Salceson z oliwkami i serem na białym chlebie, posmarowany musztardą, przypominał jej bogactwo smaków dzieciństwa i zapomniane niewinne zachcianki młodości.

Niewiele rozmawiali przy jedzeniu. Milczenie nie wprawiało ich jednak w zakłopotanie, a czystej przyjemności ze spożywania posiłku żadna konwersacja, nawet najbardziej błyskotliwa, nie mogła zwiększyć. Ale była to tylko jedna przyczyna obustronnej małomówności. Holly nie miała pojęcia, o czym w tych dziwacznych okolicznościach ma rozmawiać, kiedy siedzi tak w wyższej izbie sypiącego się, starego wiatraka i czeka na spotkanie z czymś nadnaturalnym. Żadna pogaduszka na przyziemny temat tu nie pasowała, a poważne roztrząsanie jakichkolwiek problemów byłoby śmieszne.

— Czuję się jakoś głupio — wydusiła w końcu.

— Ja też — przyznał się. — Tak trochę.

O siódmej, kiedy otwierała pudełko z pączkami polewanymi czekoladą, nagle uświadomiła sobie, że wiatrak nie ma toalety.

— A łazienka?

Podniósł pęk kluczy z podłogi i wręczył jej.

— Przejdź się do domu. Woda tam dochodzi. Koło kuchni jest toaleta.

Izbę zaczęły zalegać cienie, a kiedy spojrzała w okno, zorientowała się, że zapada zmierzch.

— Pędzę i zaraz wracam, zanim się ściemni — powiedziała, odkładając pączki.

— Śmiało — odrzekł Jim, podnosząc jedną dłoń jak do przysięgi. — Przysięgam na wszystko co święte, że zostawię ci przynajmniej jednego pączka.

— Lepiej, żebym zastała połowę pudełka, kiedy wrócę — powiedziała — albo tak cię kopnę w tyłek, że polecisz do Svenborga i ich dokupisz.

— Masz poważny stosunek do pączków.

— Nie mylisz się.

— To właśnie cenię w kobiecie — odrzekł, uśmiechając się. Wzięła latarkę, żeby poświecić sobie na dole, wstała i podeszła do drzwi.

— Lepiej zapal lampę.

— Jasne, jasne. Kiedy wrócisz, czekać tu będzie na ciebie przytulne obozowisko.

Schodząc po wąskich schodach, Holly zaczęła martwić się rozłąką z Jimem i z każdym krokiem jej niepokój rósł. Nie bała się wyjść sama. Doskwierało jej, że jego zostawia samego. Głupie uczucie. Był dorosłym mężczyzną, znacznie sprawniejszym fizycznie niż przeciętny człowiek.

Dolna kondygnacja wiatraka była ciemniejsza niż wtedy, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Zasłonięte kurtynami pajęczyn brudne okienka prawie nie wpuszczały słabego światła zachodzącego słońca.

Kiedy zmierzała do przedsionka, poczuła, jak cierpnie jej skóra. Ktoś ją obserwował. Wiedziała, że są w wiatraku sami, i w myślach na siebie nawrzeszczała. Robić z siebie takiego strachajkę! Ale nim dotarła do wyjścia, jej lęk wzrósł do tego stopnia, że nie potrafiła zapanować nad nim: obróciła się i zaświeciła latarką w przestrzeń za plecami. Cienie otulały starą maszynę równie starannie, jak czarna krepa spowija w parku rozrywki gabinet grozy; cienie rozsuwały się, kiedy padał na nie strumień światła, powracały miękko na swoje miejsce, kiedy jasny promień przesunął się dalej. Odslaniane kolejno kąty nie kryły obserwatorów. Ktoś mógł się chować za jakąś częścią mechanizmu młynowego. Zastanawiała się, czy nie poszukać intruza.

Ale nagle poczuła się głupio, że tak łatwo ulega lękowi. Co stało się z nieustraszoną reporterką! Holly wyszła z wiatraka.

Słońce skryło się za górami. Niebo nabrało koloru purpury i tej głębokiej opalizującej niebieskości, jaką spotyka się na starych obrazach Maxfielda Parrisha. Kilka żab kumkało w cienistych kryjówkach na brzegach stawu.

Przez całą drogę wokół stawu i wzdłuż stodoły, aż do tylnych drzwi domu, Holly nieprzerwanie czuła się obserwowana. Jednakże, choć niewykлучzone, że ktoś mógł ukryć się w wiatraku, było nieprawdopodobne, by cały pluton szpiegów nastawionych na śledzenie każdego jej ruchu zajął pozycje w stodole i wśród pól, i na odległych wzgórzach.

— Kretynka — powiedziała na wpół żartobliwie, kiedy jednym z kluczy otwierała tylne drzwi domu.

Miała latarkę, ale machinalnie spróbowała zapalić światło. Była zaskoczona, kiedy okazało się, że dopływ prądu nie został przerwany.

Jednak jeszcze bardziej poczuła się zaskoczona tym, co światło ukazało jej oczom: w pełni wyposażoną kuchnię. Przy oknie stał stół i cztery krzesła. Miedziane garnki i patelnie zdobiły ściany, a podwójny komplet noży i inne przyrządy kuchenne wisiały przy kuchence. Toster, prożniak i mikser stały na ladzie. Lista zakupów, licząca jakieś piętnaście pozycji, była przyciśnięta do ściany lodówki kawałkiem magnesu w kształcie puszki budweisera.

Czyżby Jim nie pozbył się przedmiotów należących do jego dziadków, kiedy zmarli pięć lat temu?

Holly przejechała palcem po jednej z lad, rysując ślad na cienkiej warstwie kurzu. Tyle mogło się nabierać przez trzy miesiące, nie przez pięć lat.

Skorzystała z toalety przylegającej do kuchni. Przeszła korytarzem, przez jadalnię i living-room. Wszędzie stały komplety lekko zakurzonych mebli. Niektóre obrazy na ścianach wisiały krzywo. Pokrowce chroniły oparcia foteli i sof.

Dawno nienakręcany wysoki, stojący zegar milczał. W living-roomie zapchana podstawka na czasopisma stała obok bujanego fotela, a wewnątrz mahoniowego kredensu bibeloty świeciły przygaszonym blaskiem pod nalotem kurzu.

Najpierw pomyślała, że Jim, spodziewając się kupca, zostawił dom umeblowany, aby móc go wynająć. Ale na jednej ze ścian living-roomu wisiały oprawione fotografie, których na pewno nie zostawiłby na łaskę najemcy: ojciec Jima jako młody mężczyzna, w wieku dwudziestu jeden lat; rodzice w weselnych strojach, Jim w wieku sześciu lat z rodzicami.

Czwarta i ostatnia fotografia pokazywała dwoje ludzi w portretowym ujęciu. Sympatyczna para, oboje wyglądający na pięćdziesiątkę. Mężczyzna trochę tęgawy, o ostrych rysach typowych dla Ironheartów; twarz jego towarzyszkę była raczej wyrazista niż ładna, o bardzo kobiecej urodzie. Pewne elementy tej twarzy powtarzały się u Jima i jego ojca. Holly nie miała wątpliwości, że miała przed sobą dziadków Jima ze strony ojca. Lenę i Henry'ego Ironheartów.

Lena Ironheart była tą kobietą, której ciało przyoblekła Holly we śnie ostatniej nocy. Szeroka, jasna twarz. Szeroko rozstawione oczy. Pełne usta. Kręcone włosy. Pieprzyk, mały okrągły punkcik na skórze, zaznaczał się na wyraźnie zarysowanej kości policzkowej po prawej stronie twarzy.

Holly dokładnie opisała tę kobietę Jimowi, a mimo to jej nie rozpoznał. Może nie uważał, że ma oczy szeroko rozstawione lub nie określiłby jej ust jako pełne. Może kręcone włosy miała jedynie przez jakiś czas dzięki staraniom fryzjera. Ale ten pieprzyk powinien był przywołać mu jej obraz nawet pięć lat po śmierci.

Wrażenie, że jest obserwowana, nie opuszczało Holly. Teraz, kiedy wpatrywała się w twarz Leny Ironheart na fotografii, stało się tak ostre, że nagle obróciła się i rozejrzała po salonie.

Była sama.

Przebiegła pokój i wkroczyła do przedpokoju.

Nikogo.

Ciemne mahoniowe schody prowadziły na piętro. Kurz na słupku i poręczy był nie naruszony; brakowało śladów dłoni, odcisków palców.

Spoglądając w górę klatki schodowej, powiedziała:

— Jest tam kto? — Jej głos zabrzmiał dziwnie płasko w opustoszałym domu.

Nikt się nie odezwał.

Z wahaniem zaczęła wchodzić po schodach.

— Kto tam? — zawołała.

Odpowiedziała jej tylko cisza.

Niepewnie weszła na trzeci stopień. Spojrzała w dół, na przedpokój, potem znów w górę.

Cisza była zbyt głęboka, nienaturalna. Nawet opustoszały dom wydaje jakieś hałasy, czasem zaskrzypi, zatrzeszczy, zazgrzyta. Stare drewno skurczy się lub rozeschnie, zało-

moce luźna okiennica, zastuka w nią wiatr. Ale dom Ironheartów był tak wyciszony, że Holly mogłaby pomyśleć, że ogłuchła, gdyby nie docierały do niej dźwięki, jakie sama wydawała.

Weszła na kolejne dwa stopnie. Znów stanęła.

Nadal czuła się obserwowana. Stary dom, żywy i czujący, jakby wpatrywał się w nią z nieżyczliwym zainteresowaniem tysiącem oczu ukrytych w drewnie i wzorach tapet.

Wyżej na półpiętrze pyłki kurzu unosiły się w promieniach światła.

Zmierzch przyciskał purpurową twarz do okien.

Stojąc tylko o cztery stopnie od półpiętra, nabrała przekonania, że w niewidocznym korytarzu na górze coś na nią czeka. Niekoniecznie Nieprzyjaciel, nawet nic żywego i wrogiego — ale coś potwornego, na widok czego przeżyje wstrząs.

Serce waliło jej młotem. Kiedy próbowała przełknąć ślinę, poczuła w gardle korek. Wciągnęła oddech. Rozległ się okropny szarpany dźwięk.

Przeszywana niewidzialnym spojrzeniem, trzęsąc się, o krok od przerażającego doznania, załamała się: zawróciła na pięcie i zeszła szybko po schodach. Nie uciekła na oślep z domu, ale również nie marudziła. Zgasiła światło i wyszła tą samą drogą, jaką przyszła.

Niebo, stykając się z górami, na wschodzie stało się purpurowoczarne; na zachodzie purpurowoczerwone, a pośrodku szafirowoniebieskie. Złote pola i wzgórza zmieniły kolor na bladoszary, przechodzący w siwy, jakby podczas jej pobytu w domu spopielił je pożar.

Kiedy przecinała podwórzec i szła obok stodoły, przekonanie, że znajduje się pod obserwacją, stało się jeszcze intensywniejsze; spojrzała z obawą na pusty kwadrat otworu do wyrzucania siana i okna po obu stronach wielkich czerwonych dwuskrzydłowych drzwi. Było to doznanie ściskające trzewia, prymitywna moc, silniejsza niż instynkt. Czuła się jak świnka morska, której podczas eksperymentu wbito w mózg przewody i naukowcy przesyłają jej impulsy wprost w nagą tkankę mózgową, do ośrodków strachu, pobudzając paranoidalne złudzenia. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła; wiedziała, że dotarła do cienkiej granicy paniki i walczyła o odzyskanie panowania nad sobą.

Kiedy znalazła się na zwirowanej ścieżce okrążającej staw, zaczęła biec. Trzymała długą latarkę jak pałkę, gotowa do obrony przed wszystkim, co mogłoby ją zaatakować.

Zabrzmiały dzwoneczki. Nawet przez własne gorączkowe sapanie usłyszała czyste, idealnie zestrojone srebrne tony szybko bijących młoteczków.

Przez moment była zdumiona, że to zjawisko było słyszalne na zewnątrz wiatraka i z takiej odległości. Budowla stała przecież po drugiej stronie stawu. Nagle na skraju obrazu przed nią coś zabłysło, zanim jeszcze pierwsze dźwięki rozplynęły się, i odebrała wzrok od wiatraka, żeby spojrzeć w lustro wody.

Pulsujące, czerwone jak krew światło dobywało się ze środka, rozchodząc się na zewnątrz w gęstych kręgach, jak równe fale biegnące od kamienia rzuconego w głęboką wodę. Holly zatrzymała się jak wryta. Niemal runęła na kolana, kiedy żwir rozprysnął się pod jej stopami.

Kiedy dzwonki ucichły, szkarłatne światło w stawie zgasło jak zdmuchnięte. Woda stała się o wiele ciemniejsza niż wtedy, kiedy ujrzała ją po raz pierwszy, wczesnym popołudniem. Zniknęły wszystkie ponure odcienie łupku, była czarna jak wypolerowany obsydian.

Dzwonki rozbrzmiały powtórnie i znów szkarłatny blask, pulsując, rozbiegł się z centrum stawu ku brzegom. Widziała każdy jasny rozbłysk: nie rodził się na powierzchni, ale wynurzał z głębi; zrazu niewyraźny, potem, zmierzając szybko ku górze, niemalże wybuchał na zwierciadle wody jak przegrzana, rozpalona żarówka. Ku brzegowi sunęły fale światła.

Znów rozległy się dzwonki i światło powróciło. Tym razem nie było czerwone jak ściekająca posoka, przeszło w odcień bardziej pomarańczowoczerwony i równocześnie świeciło ostrzej. Na brzegu stawu białe pióra kwiatostanów pampasowej trawy rozjarzyły się w dziwnym blasku jak wielobarwne płomyczki gazu.

Coś podnosiło się z dna stawu.

Pulsująca luminescencja przygasała wraz z zamieraniem dzwonek. Holly stała, porażona zachwytem i przerażeniem. Wiedziała, że powinna wziąć nogi za pas, ale jakby wrosła w ziemię.

Dzwonienie.

Światło. Jakby lepkie, pomarańczowe tym razem. Bez czerwonego zabarwienia. Najjaśniejszy ze wszystkich rozbłysków.

Holly ocknęła się z odrętwienia i ruszyła sprintem w kierunku wiatraka.

Ze wszystkich stron ponury zmierzch ożywał w pulsowaniu światła. Cienie podskakiwały rytmicznie jak Apacze tańczący wokół wojennego ogniska. Po drugiej stronie płotu zeszcłe kolby połyskiwały obrzydliwie jak poskręcane nóżki i płaskie torsy modlących się modliszek. Wiatrak zdawał się przechodzić magiczne przemiany z kamienia w miedź, a nawet złoto.

Dzwonienie ustało i światło zgasło. Dotarła do otwartych drzwi budowli.

Przebiegła przez próg, pośliznęła się i zatrzymała w ciemności na skraju dolnej izby. Żadne światło nie przebijało się teraz przez okna. Czerń stała się smołowata, kleista. Kiedy nieporadnie szukała przycisku latarki, nie mogła złapać tchu, jakby ciemność napłynęła do płuc i ją dusiła.

Zapaliła latarkę, równocześnie rozległy się dzwonki. Przecięła promieniem latarki przestrzeń przed i za sobą. Chciała mieć pewność, że nic nie kryje się w mroku, nic po nią nie sięgnie. Znalazła schody, pospieszyła do wyższej izby.

Kiedy dotarła do okna w połowie kondygnacji, przycisnęła twarz do szyby w miejscu, gdzie wcześniej wytarta ją ręką. Bańki światła w stawie stawały się coraz jaśniejsze, przechodząc z pomarańczowych w bursztynowe.

Wzywając Jima, Holly biegła wyżej.

Kiedy pokonywała wysokość, wersy z poezji Edgara Allana Poe, studiowane wieki temu na początku liceum, dawno zapomniane, przebiegły jej szaleńczo przez myśl:

*Bijąc takt w żałobny dzwon  
W rytm runiczny płąsa, drga,  
A z nim rozhuśtany dzwon,  
Kotysany dzwon, dzwon, dzwon...*

Wpadła do wyższej izby. Jim stał, spowity miękką, mlecznobiałą poświatą lampy. Uśmiechał się, rozglądając w koło i patrząc z oczekiwaniem po ścianach.

— Jim, chodź, popatrz, szybko, coś dzieje się ze stawem — powiedziała, kiedy dzwonki ucichły.

Podbiegła do najbliższego okna, ale znajdowało się w takim miejscu, że nie można było z niego zobaczyć lustra wody. Dwa pozostałe wychodziły na inną stronę, nawet do nich nie podeszła.

— Dzwonienie kamieni — rzekł sennie Jim.

Kiedy znów usłyszała dzwonki, podeszła do szczytu schodów. Zatrzymała się i obejrzała, żeby się upewnić, że Jim za nią podąża, ale wydawał się pogrążony w jakimś oszłomieniu.

Biegła w dół, następne linijki wiersza Poego rozbrzmiały w jej umyśle:

*Słyszysz ten na trwogę dzwon –  
Z brązu dzwon?!  
Jak ponurą gra opowieść  
rozedrgany dzwonów ton!*

Nie należała do kobiet, którym jakakolwiek poezja kojarzy się z bieżącą chwilą. Nie przypominała sobie, żeby cytowała kiedyś poezję albo nawet czytała od czasu college'u — poza cukierkowatymi wersami Luizy Tarvohl!

Kiedy znalazła się przy oknie, gorączkowo starła szybę dłonią, żeby móc dokładnie obserwować widowisko na dole. Światło znów stało się krwawoczerwone i ściemniało, jakby to, co poprzednio wznosiło się ku powierzchni, obecnie opadało.

*Dzwoni dzwon, dzwon, dzwon!  
Jakąż rozpacz głosi, lęk...*

Wariactwem było recytowanie w myśli poezji, kiedy działały się tak cudowne i okropne rzeczy. Nigdy przedtem nie przeżywała podobnego stresu. Może tak pracowała jaźń — głupkowato wyciągając na powierzchnię dawno zapomnianą wiedzę — kiedy należało się spodziewać zetknięcia z wyższą potęgą. Właśnie tego się teraz spodziewała: spotkania z wyższą potęgą, może z Bogiem — choć to wydawało się jej wątpliwe. Nie sądziła, żeby Bóg miał zamieszkiwać staw, chociaż każdy pastor czy ksiądz prawdopodobnie powiedziałby jej, że Bóg mieszka wszędzie, absolutnie wszędzie, gdzie zechce. Tak jakby Bóg miał być podobny do King Konga i przebywał, gdzie mu przyjdzie ochota.

Dzwonki ucichły w momencie, kiedy Jim znalazł się u jej boku, a szkarłatny blask w stawie wygasł szybko. Przecisnął się obok niej ku oknu i stanął z nosem przy szybie.

Czekali.

Upłynęły dwie sekundy. Jeszcze dwie.

— Nie — powiedziała. — Cholerny świat, tak chciałam, żebyś to zobaczył!

Ale dzwonki nie powróciły i staw pozostał ciemny wśród powoli narastającego zmierzchu. Za parę chwil noc otuli ich swym płaszczem.

— Co to było? — spytał Jim, odwracając się tyłem do okna.

— Coś jak z filmu Spielberga podnosiło się z dna, z głębiny stawu, światło pulsowało razem z odgłosem dzwonek. Myślę, że to stamtąd pochodzi dzwonienie, ze stawu — i jakoś jest przenoszone przez ściany wiatraka.

— Jak ze Spielberga? — Wyglądał na oszołomionego.

— Wspaniałe i przerażające, zachwycające i obce, coś, co straszy i jest równocześnie cholernie podniecające.

— Chodzi ci o „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”? Masz na myśli statek kosmiczny, coś takiego?

— Tak. Nie. Nie jestem pewna. Nie wiem. Może coś jeszcze dziwniejszego.

— Dziwniejsze niż statek kosmiczny?

Jej zachwyt, a nawet strach ustąpiły miejsca frustracji. Nie zdarzało się, by zabrakło jej słów do opisu tego, co czuła lub widziała. Ale przy tym mężczyźnie i w obliczu nieporównywalnych z niczym zdarzeń, jakie były jego udziałem, wymyślny słownik i talent do płynnego wiązania słów zawiodły ją żałośnie.

— Niech to szlag, tak! Dziwniejsze niż statek kosmiczny. Przynajmniej dziwniejsze od tego, co pokazują w kinie.

— Chodź — powiedział, idąc schodami w górę. — Wracajmy tam.

Kiedy ociągała się z odejściem od okna, cofnął się i wziął ją za rękę.

---

\*E. A. Poe „Dzwony”, przeł. Roman Klewin. E.A. Poe „Poezje wybrane”



— To jeszcze nie koniec. Myślę, że to dopiero początek. I miejsce naszego czuwania jest w wyższej izbie. Wiem, że tam. Chodź, Holly.

## 6

Znów zasiedli na śpiworach.

Lampa rzucała perłowo srebrny blask, zlewając białą żółtobezwowe bloki kamienia. Obłe knoty płonęły z lekkim syczeniem wewnątrz szklanej osłony, spalając benzynę. Brzmiało to jak szept dobiegający poprzez podłogę wiatraka.

Jim znalazł się w najwyższym punkcie swej emocjonalnej huśtawki, pełen dziecięcego zachwyty i wyczekiwania. Tym razem Holly siedziała obok niego. Światło w stawie wywołało w niej grozę, ale również w podświadomości wzbudziło proces powolnego zawiązywania się zachwyty i nadziei, które łącząc się, stopniowo, lecz nieustępliwie doprowadza do jakiejś nieuniknionej, oczekiwanej eksplozji wiary, do uczuciowego katharsis.

Pogodziła się z tym, że Jim nie jest jedyną udręczoną osobą w tym pomieszczeniu. W jego sercu mógł panować większy zamęt niż w jej, ale na swój sposób pozostawała równie pusta. Kiedy spotkali się w Portland, przepelniał ją cynizm. Szła przez życie siłą rozpędu, nie próbowała szukać i wypełnić pustych przestrzeni serca. Nie doznała tragedii i smutku, jakie stały się jego udziałem, ale teraz uświadomiła sobie, że życie, któremu brak zarówno tragedii, jak i radości, może zrodzić rozpacz. Spędzając dni, tygodnie i lata na realizacji zamysłów, które w istocie nie miały dla niej znaczenia, zmierzając do celu, który był jej obojętny, nie mając nikogo, z kim byłaby związana — cierpiała. Jej dusza, pozbawiona soków życia, schła. Ona i Jim byli dwoma kawałkami układanki jin-jang, każde z nich wypełniało puste miejsce w drugim. Wystarczyło im spotkać się, aby nastąpiło uzdrowienie. Pasowali do siebie zdumiewająco dobrze i ich związek robił wrażenie nieuniknionego; ale układanka mogła się nigdy nie dopasować, gdyby połówki nie spotkały się w odpowiednim miejscu i czasie.

Obecnie z nerwowym podnieceniem oczekiwała na kontakt z potęgą, która przywiodła ją do Jima. Była gotowa. Może będzie to Bóg, może ktoś absolutnie inny. Na pewno równie dobry. Nie dopuszczała myśli, że w stawie dojrzała Nieprzyjaciela. Tamta istota nie mogła mieć z nim związku. Istniały między nimi pewne odniesienia, ale innego rodzaju. Gdyby nawet Jim nie powiedział jej, że nadchodzi coś przyjaznego i dobrego, w końcu wyczułaby sama, że światło w wodzie i dzwonienie w kamiennych blokach zapowiadają nie krew i śmierć, ale wielką radość.

Z początku wymieniali z Jimem jedynie krótkie zdania, obawiając się, że paplanina powstrzyma wyższą potęgę przed zainicjowaniem następnej fazy kontaktu.

— Jak dawno wykopano staw? — spytała.  
— Dawno.  
— Zanim Ironheartowie się zjawili?  
— Tak.  
— Przed założeniem gospodarstwa?  
— Na pewno.  
— Może istnieje od zawsze?  
— Może.  
— Krążą o nim jakieś legendy?  
— O co ci chodzi?  
— Historie o duchach czy takie jak o Loch Ness, takie tam historyjki.  
— Nie. Nic takiego nigdy nie obito mi się o uszy.  
Zamilkli. Czekali.  
— Jaka jest twoja teoria? — spytała w końcu Holly.  
— Hm?  
— Dzisiaj wspomniałeś, że masz jakąś teorię, coś dziwnego i wspaniałego, ale nie chcesz o niej mówić, dopóki sobie wszystkiego nie poukładasz.  
— Ach, tak.. Więc... może to coś więcej niż teoria. Kiedy powiedziałaś, że widziałas coś w stawie podczas snu... nie wiem czemu, ale zacząłem myśleć o Spotkaniu...  
— Spotkaniu?  
— Taak. Jak mówiłaś. Czegoś... Obcego.  
— Nie z tego świata — rzekła Holly, przypominając sobie dźwięk dzwonek i światło padające ze stawu.  
— Oni gdzieś tam są we wszechświecie — odezwał się cicho, panując nad swoim entuzjazmem. — Jest zbyt wielki, żeby nie mogli w nim zaistnieć. I któregoś dnia nadlecą. Ktoś ich spotka. Więc dlaczego nie ja czy ty?  
— Ale to musiało być już w stawie, kiedy miałaś dziesięć lat.  
— Może.  
— Dlaczego miałoby tu siedzieć przez cały ten czas?  
— Nie wiem. Może jest tu o wiele dłużej. Setki lat. Tysiące.  
— Ale dlaczego statek kosmiczny miałby się znaleźć na dnie stawu?  
— Może to stacja badawcza, miejsce, skąd obserwują ludzką cywilizację, jak stacja na Antarkydzie, postawiona do obserwacji tamtejszego życia.  
Holly pomyślała, że rozmawiają jak para dzieciaków siedzących pod rozgwieżdżonym letnim niebem. Ciągnie ich do zachwyty nad nieznanym i fantazjowania o niezwykłej przygodzie. Na pewnym poziomie ich rozmyślenia były absurdalne, nawet śmiechu warte, i nie mogło się jej pomieścić w głowie, że ostatnie wydarzenia mogą

mieć tak proste, a równocześnie niewiarygodne rozwiązanie. Ale na innym poziomie, tam gdzie nadal była dzieckiem i na zawsze miała nim pozostać, rozpaczliwie pragnęła, aby fantazja stała się rzeczywistością.

Po dwudziestu minutach bez żadnych dalszych wydarzeń Holly zaczęło mijać podniecenie i nerwowe rozdygotanie, w jakie wprowadził ją widok świateł w stawie. Dalej przepełniał ją zachwyty, ale ustąpił stan umysłowego otępienia i przypomniała sobie, co czuła tuż przed rozpoczęciem promieniejącego zjawiska w zbiorniku: wszechwładną, nadnaturalną, spychającą ją w panikę świadomość, że znajduje się pod czyjąś obserwacją. Już miała wspomnieć o tym Jimowi, kiedy stanęły jej w pamięci inne dziwne rzeczy, jakie zauważyła w domu.

— Jest kompletnie umeblowany — powiedziała. — W ogóle nie sprzątnąłeś domu po śmierci dziadka.

— Meble zostawiłem, żeby móc go wynająć, wystawiając na sprzedaż.

— Ale zostawiłeś tam również wszystkie rzeczy osobiste.

Nie patrzył na nią, lecz na ściany, oczekując jakiegoś sygnału nadludzkiej obecności.

— Zabrałbym to wszystko, gdyby udało mi się znaleźć najemcę.

— I trzymałeś to tam przeszło pięć lat?

Wzruszył ramionami.

— Od tego czasu sprzątano tam mniej więcej regularnie, chociaż nie ostatnio.

— Najemca zawsze może się pojawić.

— Jakoś tam strasznie, Jim.

W końcu spojrzął na nią.

— O co ci chodzi?

— Jak w mauzoleum.

Jego niebieskie oczy były absolutnie nieprzeniknione, ale Holly odniosła wrażenie, że przyprawia go o irytację. Być może dlatego, że przyziemne gadanie o najemcach, sprzątananiu i sprzedawaniu posiadłości odrywa go od dużo miłszych rozważań o spotkaniu z Obcymi.

— Mhm, jest tam trochę strasznie — potwierdził, wzdychając.

— To dlaczego...?

Powoli przykręcił lampę, zmniejszając dopływ benzyny do knotów. Ostre białe światło zelzało do blasku przyćmionego księżycy. Cienie podeszły bliżej.

— Prawdę mówiąc, nie potrafiłem się zmusić do spakowania dobytku dziadka. Zaledwie osiem miesięcy wcześniej, po śmierci babci, przeglądaliśmy razem jej rzeczy i dużo mnie to kosztowało. Kiedy on... odszedł, tuż po niej, nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Tak długo byli dla mnie wszystkim, co miałem. I nagle nawet ich zabrakło.

Jego oczy ściemniały pod naporem przeżywanej udręki. Współczucie ogarnęło Holly. Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

— Zwlekałem i zwlekałem i im bardziej się ociągałem z przejrzeniem jego rzeczy, tym trudniejsze się to stawało. — Westchnął jeszcze raz. — Gdybym znalazł najemcę lub kupca, poczułbym się zmuszony do zaprowadzenia tam porządku niezależnie od tego, ile by to mnie miało kosztować. Ale na to stare gospodarstwo jest taki popyt jak na ciężarówkę z piaskiem w środku pustyni.

Zamknięcie domu od śmierci dziadka, pozostawienie go w niezmienionym stanie przez cztery lata i cztery miesiące, jeśli nie liczyć okazjonalnego sprzątnięcia — to zakra- wało na ekscentryczność. Holly nie mogła tego inaczej określić. Ale równocześnie wła- śnie jego ekscentryczność poruszała ją, wzruszała. Tak to odebrała od samego począt- ku: pod wybuchami gniewu, pod osobowością stalowego superbohatera, był delikat- nym i łagodnym mężczyzną.

— Zrobimy to razem — powiedziała Holly. — Kiedy się dowiemy, co się tu, do dia- bła, z nami dzieje; wszystko jedno, kiedy i jak się to stanie, będziemy mieli czas na przejr- zenie rzeczy twojego dziadka. Jak weźmiemy się do tego we dwójkę, rzecz nie powinna okazać się za trudna.

Uśmiechnął się i uścisnął jej dłoń.

Przypomniała sobie jeszcze coś.

— Jim, pamiętasz opis tej kobiety z ostatniego snu, tej, co wchodziła po schodach wiatraka?

— Piąte przez dziesiąte.

— Powiedziałeś, że jej nie rozpoznajesz.

— No i?

— Ale w domu wisi jej zdjęcie.

— Zdjęcie?

— W living-roomie, ta para na zdjęciu wyglądająca na pięćdziesiątkę — to nie twoi dziadkowie, Lena i Henry?

— Mhm. Zgadza się.

— Lena była tą kobietą w moim śnie.

Zmarszczył czoło.

— Czy to nie dziwne...?

— No, może. Co dziwniejsze, ty jej nie rozpoznałeś.

— Pewnie niedokładnie ją opisałeś.

— Ale nie słyszałeś, jak mówiłam, że ma pieprzyk...

Oczy zwęziły mu się i mocno ścisnął ją za rękę.

— Szybko, notatniki.

— Co? — spytała zdezorientowana.

— Coś ma się zdarzyć, czuję to, i potrzebujemy bloków, które kupiliśmy w Cen- trum.

Puścił jej dłoń. Wyciągnęła z plastikowej torby dwa żółte poliniowane bloki do robienia notatek i cienkopis. Wziął to od niej, zawahał się, rozejrzał po ścianach i cieniach za nimi, jakby czekając, aż usłyszy, co ma dalej robić.

Zadźwięczały dzwonki.

Ten muzyczny rezonans wzbudził w Jimie dreszcz. Wiedział, że oto stoi na krawędzi odkrycia sensu wydarzeń, nie tylko ostatniego roku, ale przynajmniej dwudziestu pięciu lat. I odkryje nie tylko to. Coś znacznie więcej. Znacznie więcej. Dzwonienie ogłaszało objawienie transcendentálnych prawd o jeszcze większym znaczeniu, wyjaśnienie podwalin sensu jego całego życia, przeszłości i przyszłości, poczęcia i przeznaczenia; znaczenia samego bytu. Może była to przesada, ale czuł, że nim opuści ten wiatrak, zostaną mu objawione tajemnice stworzenia. Osiągnie stan oświecenia, jakiego szukał — i nie znalazł — w dziesiątkach religii.

Kiedy rozległa się druga seria dzwonek, Holly zaczęła się podnosić.

Jim wyczuł, że chce zejść do okna przy schodach i spojrzeć na staw.

— Nie, zaczekaj — powiedział. — Tym razem stanie się to tutaj.

Zawahała się, potem usiadła.

Gdy dzwonienie znów ustało, Jim poczuł, że winien odsunąć lodówkę turystyczną i położyć notatnik na podłodze, między sobą a Holly. Nie wiedział, co ma zrobić z drugim blokiem i cienkopisem, ale po chwili niepewności zatrzymał je przy sobie.

Kiedy melodyjne dzwonienie rozpoczęło się po raz trzeci, towarzyszyło mu nieprawdopodobne pulsowanie światła w ścianach. Czerwona poświata zdawała się wylewać dokładnie ze środka kamienia, naprzeciw niego, a potem nagle obiegła pokój, zamykając ich w kręgu pulsującej luminescencją obręczy.

Gdy przedziwny błysk śmignął wokół nich, Holly krzyknęła ze strachu. Jim przypomniał sobie, co opowiadała mu o śnie z ostatniej nocy. Kobieta — może jego babka, może nie — wchodziła po schodach do wyższej izby, dojrzała bursztynową emanację światła wewnątrz ścian, jakby wiatrak był zbudowany z kolorowego szkła, i widziała, jak ze spojonych zaprawą bloków rodzi się coś niewyobrażalnie wrogiego.

— W porządku. — Starał się ją uspokoić. — To nie jest Nieprzyjaciół. To coś innego. Nic nam nie grozi. To inne światło.

Dzielił się z nią spokojem, jaki spływał nań z wyższej potęgi. Modlił się do Boga, aby tak było, aby nie nadeszło żadne zagrożenie. Aż za dobrze pamiętał ohydny biologiczną transformację, jaką przeszedł sufit w jego sypialni w Laguna Niguel nieco ponad dwaście godzin temu; światło pulsujące w owadzym odwłoku, który rozerwał gipsową ścianę, niewyraźna forma wewnątrz wiła się i drgała. Za nic nie chciał ujrzyć tego z bliska.

Podczas następnych dwóch fal melodyjnego dzwonienia kolor światła zmienił się na bursztynowy. Ale absolutnie nie przypominał złowróbnego promieniowania z sufitu sypialni. Tamto miało całkowicie inny odcień bursztynu — wrogą żółć gnijącej tkanki lub zgęszczonej ciemnej ropy — i pulsowało razem ze złowróbnym trójkrotnym dudnieniem serca, jakiego teraz nie było słychać.

Holly jednak wyglądała na przerażoną.

Pragnął przyciągnąć ją do siebie, objąć ramieniem, ale musiał niepodzielnie wyteńczyć całą uwagę, gdyż wyższa potęga usiłowała nawiązać z nim kontakt.

Dzwonienie ustało, ale światło nie zgasło. Drżało, migotało, bladło i jaśniało. Przesuwało się przez zwykle ciemne ściany w wielu pojedynczych bezforemnych kształtach, które nieustannie łączyły się i dzieliły; wyglądało to na płaską projekcję kalejdoskopu, jak w jednej z tych starych lamp Lava. Ciągłe zmieniające się wzory ewoluowały wszędzie od dołu ścian po szczyt kopulastego sufitu.

— Czuję się jak w batyskafie — powiedziała Holly. — Wielkie ławice świecących ryb zanurzają się w głębiny i wzbijają w górę, falują wokół nas ze wszystkich stron w głębokich czarnych odmętach.

Uwielbiał ją za nazwanie ich doznań pięknieszymi słowami, niż sam potrafiłby to zrobić, słowami, jakie nie pozwolą mu zapomnieć tych obrazów, nawet gdyby miał żyć sto lat.

Niewątpliwie ulotna świetlistość spoczywała wewnątrz kamienia, nie tylko na powierzchni. Mógł dostrzec wewnątrz przejrzystej obecnej substancji, która jakby staraniem alchemika została przemieniona w ciemny, ale niezwykle czysty kwarc. Bursztynowe żarzenie rozświetlało izbę bardziej niż lampa. Jego drżące dłonie nabrały koloru złota, podobnie jak twarz Holly.

Płaty ciemności jednak pozostały i nieprzerwanie poruszające się światło ożywiało także cienie.

— Co teraz? — spytała cicho Holly.

Jim dostrzegł, że coś stało się z żółtymi notatnikami, leżącymi pomiędzy nimi na podłodze.

Słowa pojawiły się na jednej trzeciej pierwszej strony. Wyglądały, jakby zapisano je palcem, zanurzonym w atramencie:

JESTEM Z WAMI.

Holly była oszołomiona — co najmniej! — przez świetlne pokazy, Jim nie mógł przecież, bez zwrócenia jej uwagi, pochylić się nad blokiem i wypisać tych słów. Niemniej trudno jej było uwierzyć, że jakaś bezcielesna osoba przekazała im wiadomość.

— Chyba zachęca nas do zadawania pytań — powiedział Jim.

— To spytaj, kim jest — zaproponowała od razu.

Napisał pytanie na drugim bloku i pokazał tekst Holly: Kim jesteś?

Patrzyli, jak odpowiedź zjawia się na pierwszym bloku, leżącym pomiędzy nimi pod takim kątem, że oboje mogli go czytać. Słowa nie wypalały się na papierze, nie formowały ich krople atramentu spadające magicznym sposobem z powietrza. Nieregularne, falujące litery pojawiały się w nieuchwytnych szarych kształtach. Ciemniały, wynurzając się z papieru, jakby strona w bloku była zbiornikiem płynu głębokim na wiele metrów. Od razu rozpoznała efekt identyczny z niedawnym ukazywaniem się kul światła, wznoszących ku środkowi stawu, które potem, pękając, rozbiegały się w wodzie koncentrycznymi kręgami jasności ku brzegom. Tak samo w pierwszych momentach promieniowało również światło z kamiennych bloków, zanim stały się całkowicie przejrzyste.

PRZYJACIELEM.

Kim jesteś? Przyjacielem.

Dziwne było to samookreślenie. Nie „waszym przyjacielem”, ale Przyjacielem. Aż i tylko przyjacielem.

Jak na obcą inteligencję, niepretendującą do boskości, to określenie zawierało dziwne duchowe odniesienia, właśnie konotacje boskości. Ludzie nadali Bogu wiele imion — Jahwe, Allah, Brahma, Zeus — ale jeszcze więcej tytułów. Bóg był Wszchemogący, Wiecznie Żywy, Nieskończonością, Ojcem, Zbawcą, Stwórcą, Światłością. Przyjaciół pasowało jak ulał do tej listy.

Jim szybko napisał następne pytanie i pokazał je Holly:

Skąd przybywasz?

Z INNEGO ŚWIATA.

Mogło to być wszędzie, od chmur nad głową po Marsa.

Chodzi ci o inną planetę?

TAK.

— Mój Boże — powiedziała Holly, nie mogąc zapanować nad zachwytem.

A więc nie muszą dygotać przed zetknięciem się twarzą w twarz z Bogiem.

Podniosła wzrok znad bloku i spojrzała w oczy Jima. Były jaśniejsze niż kiedykolwiek, choć chromowa żółć padającego światła barwiła je niezwykle zielenią.

Nie mogąc usiedzieć z podniecenia, uklękła, potem znów opadła, przysiadając na łydkach. Górną część strony wypełniały odpowiedzi istoty. Holly zastanawiała się tylko przez moment, potem oderwała stronę, odłożyła na bok. Mogli teraz widzieć drugą kartkę. Spoglądała szybko na jeden i drugi blok, dzieląc uwagę pomiędzy pytania Jima i szybko pojawiające się odpowiedzi.

Z innego układu słonecznego?

TAK.

Z innej galaktyki?

TAK.

To twój statek widzieliśmy w stawie?

TAK.

Jak długo tu jesteś?

10 000 LAT.

Wpatrując się w tę liczbę, Holly myślała, że śni sen przerastający wszystko, co ostatnio nawiedziło ją w nocnych rojeniach. Przedtem zagłębiali się w wielką niewiadomą — teraz padały wyjaśnienia. Ale wydawały się następować zbyt łatwo. Nie miała pojęcia, czego się spodziewała, lecz nie wyobrażała sobie, że mroczna zawiesina, w jakiej się szamotali, zostanie oczyszczona tak błyskawicznie, jakby wpuszczono w nią kroplę magicznego, cudownego detergentu.

— Zapytaj ją, po co tu jest — powiedziała Holly, odrywając drugą kartkę i kładąc ją razem z pierwszą.

Jim był zaskoczony.

— Ją?

— Dlaczego nie?

Odpowiedź wynurzyła się poprzez papier na powierzchnię kartki:

BY OBSERWOWAĆ, BADAĆ, WSPOMAGAĆ LUDZKOŚĆ.

— Wiesz, co mi to przypomina? — spytała Holly.

— Co?

— Odcinek „Outer Limits”.

— Z tego starego serialu?

— Mhm.

— Nie jesteś za młoda, żeby to pamiętać?

— Leci teraz na kablówce.

— Ale o co ci chodzi z tym podobieństwem?

Wskazała na ostatni napis i się skrzywiła.

— Nie sądzisz, że to jest takie... wyświechtane?

— Wyświechtane? — Był zirytowany. — Nie, nie sądzę. Bo nie mam zielonego pojęcia, jak powinien wyglądać kontakt z Obcymi. Nie mam w tym kolosalnego doświadczenia, na pewno nie tyle, żeby wiedzieć, co mnie czeka, i z góry się nudzić.



— Przepraszam — powiedziała. — Nie wiem co... po prostu... No dobra, zobaczymy, co stanie się dalej.

Musiała przyznać, że od momentu, w którym światło pojawiło się w ścianach po raz pierwszy, jej zachwyt nie zmalął. Serce dalej biło mocno i szybko i nadal nie mogła odetchnąć głębiej. Wciąż czuła, że znalazła się w towarzystwie czegoś nadludzkiego, może jakiejś wyższej potęgi, takiej czy innej, i przytłaczała ją jej obecność. Biorąc pod uwagę to, co widziała w stawie, ową pulsującą luminescencję, nawet teraz przepływającą w ścianach, i słowa, jakie rozbłyskiwały wciąż na nowo na kartkach bloku, musiałyby być beznadziejną kretynką, żeby nie ulec zachwytowi.

Jednak niewątpliwie jej podziw był nieco zmałowany wrażeniem, że ta istota wzorowała formę spotkania na starych filmach lub scenariuszach rodem z TV. Z nutą sarkazmu w głosie Jim powiedział, że ma zbyt mało doświadczeń w kontaktach z obcymi cywilizacjami, aby wiedzieć, co go czeka, i przeżyć rozczarowanie. Ale to nie była prawda. Wyrósłszy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, był tak napompowany produkcją mass mediów jak ona. Zalewały ich te same seriale i filmy TV, ilustrowane magazyny i książki; fantastyka naukowa stanowiła główną strawę pop-kultury przez większość ich życia. Dostarczono mu mnóstwa opisów kontaktu z Obcymi — i ta istota wykorzystywała je wszystkie. Holly oczekiwała tylko jednego. Niech to prawdziwe bliskie spotkanie trzeciego stopnia w niczym nie przypomni tego, co pisarze i scenarzyści wyobrazili sobie w najdzikszych wzlotach wyobraźni, ponieważ Obcy naprawdę znaczący obcy, różny, wymykający się łatwemu porównaniu czy rozumowaniu.

— Dobra — powiedziała. — Może właśnie chodzi o użycie czegoś znanego. Może korzysta z naszych współczesnych mitów jak z wygodnego kostiumu: pokazuje się w nim i dzięki temu potrafimy go objąć naszym rozumem. Prawdopodobnie tak krańcowo różni się od nas, że nigdy byśmy nie pojęli jego prawdziwej natury ani nie rozpoznali postaci.

— Właśnie — powiedział Jim.

Napisał kolejne pytanie: Czym jest światło, jakie widać w ścianach?

ŚWIATŁO JEST MNĄ.

Holly nie czekała, aż Jim napisze następne pytanie. Zwróciła się wprost do istoty:

— Jak udaje ci się poruszać poprzez ścianę?

Ponieważ Obcy robił wrażenie całkowitego sztywniaka, jeśli chodziło o formy, była zaskoczona, kiedy zrezygnował ze schematu: „napisz pytanie — dostaniesz odpowiedź”. Odpowiedział od razu:

MOGĘ STAĆ SIĘ CZĘŚCIĄ CZEGOKOLWIEK, PORUSZAĆ SIĘ WEWNĄTRZ TEGO, PRZYBIERAĆ DOWOLNY KSZTAŁT I KORZYSTAĆ Z NIEGO, KIEDY CHCĘ.

— No, nadymać się też umie — powiedziała.

— Nie rozumiem, skąd u ciebie w takim momencie sarkazm — rzucił zniecierpliwiony Jim.

— To nie sarkazm — wyjaśniła. — Po prostu mam kłopoty ze zrozumieniem.

Nie wyglądał na przekonanego.

— Rozumiesz, jakie mam z tym kłopoty? — spytała obcej istoty.

Na bloku pojawiło się:

TAK.

Oderwała i tę kartkę, odsłaniając świeżą. Z rosnącym niepokojem i zdenerwowaniem, ale nie zdając sobie sprawy z ich źródła, Holly wstała i przeszła w kółko, spoglądając na grę światła w ścianach. Jednocześnie formułowała następne pytanie.

— Dlaczego odgłos dzwonek poprzedza twoje pojawienie się?

Brak odpowiedzi na bloku. Powtórzyła pytanie. Blok pozostał pusty.

— Proszę, tajemnica zawodowa — rzekła Holly.

Poczuła, jak kropla zimnego potu spływa jej po boku, od prawej pachy, pod bluzką. Dziecięcy zachwyty nadal jej nie opuszczał, ale strach ponownie dawał o sobie znać. Coś było nie tak. Coś więcej niż tylko banalna forma opowieści podsuwanej przez tę istotę. Nie mogła uchwycić źródła lęku.

Jim napisał kolejne pytanie na kartce bloku. Holly pochyliła się w dół, żeby je przeczytać:

Czy pojawiałaś mi się w tej izbie, kiedy miałem dziesięć lat?

TAK. CZĘSTO.

Czy kazałaś mi o tym zapomnieć?

TAK.

— Nie zwracaj sobie głowy pisaniem pytań — powiedziała Holly. — Mów je na głos jak ja.

Jim był wyraźnie zaskoczony jej propozycją, a ona zdziwiona, że nie przestał korzystać z cienkopisu i bloku nawet po tym, jak zobaczył, że jej głośne pytania spotykają się z odpowiedzią. Odkładał przyrządy do pisania z wyraźnym oporem, ale w końcu zrobił to.

— Dlaczego kazałaś mi zapomnieć?

NIE BYŁEŚ GOTÓW DO ZAPAMIĘTANIA.

— Zbędna tajemniczość — zamruczała. — Miałeś rację. To musi być męskiego rodzaju.

Jim oderwał kartkę, złożył z innymi, czekał chwilę, wyraźnie niepewny, o co ma dalej pytać.

— Czy jesteś rodzaju męskiego czy żeńskiego? — spytał w końcu.

JESTEM RODZAJU MĘSKIEGO.

— Bardziej prawdopodobne — powiedziała Holly — że nijakiego. Przecież to Obcy i prawdopodobnie rozmnaża się poprzez podział.

JESTEM RODZAJU MĘSKIEGO — powtórzyło.

Jim siedział nadal na podgiętych nogach. Na twarzy miał wciąż ten sam wyraz chłopięcego zachwytu.

Holly nie mogła zrozumieć, czemu jej niepokój wzrasta niebotycznie, podczas kiedy Jim podskakiwał — i to dosłownie — z entuzjazmu i zachwytu.

— Jak wyglądasz? — spytał.

JAK UZNAM ZA STOSOWNE.

— Czy możesz się nam pokazać jako mężczyzna lub kobieta? — spytał Jim.

TAK.

— Jako pies?

TAK.

— Jako kot?

TAK.

— Jako żuk?

TAK.

Pozbawiony swych stróżów rozsądku: cienkopisu i notatnika, Jim zredukował pytania do idiotyzmów. Holly na wpeł oczekiwała, że zacznie pytać istotę, jaki jest jej ulubiony kolor, czy woli colę od pepsy i jak jej się podoba muzyka Barry Manilowa. Ale spytał:

— Ile masz lat?

JESTEM DZIECKIEM.

— Dzieckiem? — Jim się zdziwił. — Ale powiedziałaś nam, że przebywasz w naszym świecie przez dziesięć tysięcy lat.

NADAL JESTEM DZIECKIEM.

— Twój gatunek jest tak długowieczny?

JESTEŚMY NIEŚMIERTELNI.

— Rany.

— Kłamie — powiedziała Holly Jimowi.

— Jezu, Holly! — odezwał się Jim zatrwożony jej obelgą.

— Co chcesz? Tak jest.

I to właśnie było źródłem nawrotu lęku — obawa, że to nie jest z nimi uczciwe, bawi się w kotka i myszkę, oszukuje. Miała uczucie, że obserwuje ich z niezgłębioną pogardą. W takim razie zapewne powinna zamknąć dziób, spokojnie, paść plackiem przed jego siłą i starać się nie wzbudzić gniewu.

Zamiast tego powiedziała:

— Jeżeli to miałyby być nieśmiertelne, nie nazywałoby się dzieckiem. Nie mogłoby tak o sobie pomyśleć. Niemowlęstwo, dzieciństwo, młodość, dojrzałość — takie kategorie można stosować wobec gatunków śmiertelnych. Jeżeli zaś jesteś nieśmiertelny, możesz urodzić się niewinny, głupi, niewykształcony, ale nie możesz urodzić się młody, ponieważ tak naprawdę nigdy się nie zestarzejesz.

— Nie dzielisz włosa na czworo? — spytał Jim prawie z rozdrażnieniem.

— Nie sędzę. To nas okłamuje.

— Może używając słowa „dziecko”, chciało tylko w jeszcze jeden sposób umożliwić nam zrozumienie swej obcej natury.

TAK.

— Sranie w banię — powiedziała Holly.

— Przestań, Holly!

Kiedy Jim oddzielił następną kartkę od swojego bloku, odrywając ją dokładnie przy brzegu, Holly podeszła do ściany i uważnie spoglądała na wzory światła przebłyskujące przez kamień. Widziane z bliska były bardzo piękne i dziwne, nie przypominały spływającego gładko fosforyzującego roztworu lub rozpalonego strumienia lawy. Wyglądały jak iskrzące się mrowie robaczek świętojańskich, miliony mieniących się punkcików, potwierdzając jej porównanie do połyskującej ławicy ryb.

Holly na w pół oczekiwała, że ściana przed nią nagle spęcznieje. Rozerwie się. Zrodzi monstrualny kształt.

Chciała się cofnąć. Zamiast tego podeszła bliżej. Jej nos był zaledwie o centymetr od poddanego przemianie kamienia. Obserwowanie z takiej bliskości falowania, przepływu i wirowania milionów jasnych komórek działało oszałamiająco. Nie czuła ciepła, ale wyobraziła sobie, że na jej twarzy muszą błyskać światła i cienie.

— Dlaczego odgłos dzwonek poprzedza twoje pojawienie się?

— Brak odpowiedzi — zgłosił Jim. — Nie sędzę, byś powinna powtarzać to pytanie jeszcze raz, Holly. Ono wyraźnie nie chce odpowiedzieć i niczego nie osiągniemy, działając mu na nerwy. To nie jest Nieprzyjaciel, to...

— Mhm, wiem. To Przyjaciel.

Stała nadal przy ścianie i czuła, że zetknęła się twarzą w twarz z obcą istotą, chociaż to nie miało niczego odpowiadającego twarzy. Było teraz na niej skupione. Było tu. Spytała znów:

— Dlaczego odgłos dzwonek poprzedza twoje pojawienie się?

Instynktownie czuła, że niewinne pytanie i mniej niewinne powtarzanie ściągają na nią wielkie zagrożenie. Serce tłukło się tak głośno, że się zastanawiała, czy Jim go nie słyszy. Przyszło jej do głowy, że Przyjaciel, mając taką moc, mógł nie tylko słyszeć walące młotem serce, ale widział je skaczące jak przerażony królik. Wiedział, że się boi; niech mu będzie. Do diabła, mógł nawet zaglądać w jej myśli. Musiała mu pokazać, że nie da się zastraszyć.

Położyła jedną rękę na wypełnionym światłem kamieniu. Jeżeli te połyskujące chmury nie były jedynie projekcją świadomości tej istoty, nie tylko iluzją lub pokazem na ich cześć, jeżeli to coś faktycznie przebywało, jak twierdziło, w ścianie, to kamień był żywym mięsem. Jej ręka spoczywała na ciele. Lekkie wibracje przebiegły przez ścianę. Jedynie tyle poczuła. Brakowało ciepła. Płomień wewnątrz kamienia był wyraźnie zimny.

— Dlaczego odgłos dzwonek poprzedza twoje pojawienie się?

— Holly, przestań — powiedział Jim.

Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała obawa. Może on również poczuł, że Przyjaciół nie jest tak do końca przyjacielem.

Nurtowało ją podejrzenie, że w tej konfrontacji liczyła się siła woli i właśnie zdemonstrowanie nieugiętej woli nada nowy ton ich stosunkom z Przyjacielem. Nie potrafiła wyjaśnić, skąd płynęła moc tego przekonania. Po prostu instynkt — nie kobiety, ale eks-reporterki.

— Dlaczego odgłos dzwonek poprzedza twoje pojawienie się?

Wydało się jej, że odebrała lekką zmianę wibracji mrowiących się pod ręką, ale może była to jedynie kwestia wyobraźni, gdyż drgania były i tak ledwo wyczuwalne. Przez myśl przemknął jej obraz kamienia pękającego na kształt rozdziawionych ust, odgryzającego dłoń, obraz tryskającej krwi, bieli kości jasno połyskującej z poszarpanego kikutka.

Trzęsła się niepoohamowanie, ale nie zrobiła kroku w tył, nie cofnęła ręki od ściany.

Zastanawiała się, czy to Przyjaciół przesłał jej ten obraz.

— Dlaczego odgłos dzwonek poprzedza twoje pojawienie się?

— Holly, na litość boską... — Jim przerwał, potem dodał: — Poczekaj, nadchodzi odpowiedź.

Siła woli miała znaczenie. Ale, na Boga, dlaczego? Dlaczego wszechwładna, obca po tęga z innej galaktyki miałaby być krępowana jej nieugiętym zdecydowaniem?

— Ono mówi... Dla udramatyzowania — Jim przekazał odpowiedź.

— Dla udramatyzowania? — powtórzyła.

— Tak. Najpierw DLA, potem UDRAMATYZOWANIA, potem znaki zapytania.

— Mówisz mi, że dzwonek to teatralny numer, żeby zwiększyć napięcie przy twoim pojawieniu się? — powiedziała do tego czegoś w ścianie.

Po paru sekundach Jim rzekł:

— Brak odpowiedzi.

— I znak zapytania? — spytała Przyjaciół. — Nie wiesz, co znaczą same dzwonek, skąd pochodzi dźwięk, co go powoduje, dlaczego? I tylko stać cię na zgadywanki? Dla udramatyzowania? Jak możesz tego nie wiedzieć, jeśli zawsze ci towarzyszy?

— Nic — poinformował Jim.

Wpatrywała się w ścianę. Kipieli przetaczających się rozświetlonych komórek wywoływała w niej coraz większe oszołomienie, ale nie zamknęła oczu.

— Nowa wiadomość — rzucił Jim. — ODCHODZĘ.

— Tchórzysz — rzekła miękko Holly w bezkształtne oblicze twarzy tego czegoś w ścianie. Ale ją samą pokrywał zimny pot.

Bursztynowe światło zaczęło ciemnieć, stawać się pomarańczowe.

Cofając się w końcu od ściany, Holly zachwiała się i prawie upadła. Podeszła do śpiwora i osunęła się na kolana.

Nowe słowa pojawiły się na bloku:

POWRÓCĘ.

— Kiedy? — spytał Jim.

KIEDY NASTANIE MÓJ PŁYW.

— Jaki pływ?

W ZBIORNIKU WODNYM SĄ PŁYWY, PRZYPŁYW I ODPŁYW, CIEMNOŚĆ I JASNOŚĆ. JA POJAWIAM SIĘ Z PRZYPŁYWEM JASNOŚCI, ALE ON POJAWIA SIĘ Z MROKIEM.

— On? — spytała Holly.

NIEPRZYJACIEL.

Światło w ścianach było teraz czerwopomarańczowe, ciemniejsze, ale nadal nieprzerwanie zmieniało wzory na ścianach.

— We dwójkę dzielicie się statkiem gwiazdowym?

TAK. DWIE SIŁY. DWIE ISTOTY.

Kłamie, pomyślała Holly. To, jak cała reszta tej historyjki, nie różni się od dzwonek: teatralne sztuczki.

CZEKAJCIE NA MÓJ POWRÓT.

— Będziemy — powiedział Jim.

NIE ŚPIJCIE.

— Dlaczego mamy nie spać? — zapytała Holly, udając posłuszeństwo.

MOŻECIE ŚNIĆ.

Strona była pełna. Jim oderwał ją i położył na kupkę. Światło w ścianach było teraz krwistoczerwone i bezustannie przygasało.

SNY OTWIERAJĄ DRZWI.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Pojawiły się te same trzy słowa:

SNY OTWIERAJĄ DRZWI. — To ostrzeżenie — rzekł Jim.

SNY OTWIERAJĄ DRZWI.

Nie, pomyślała Holly, to groźba.

Wiatrak na powrót stał się tylko wiatrakiem. Kamienie i drewno. Zaprawa murarska i gwoździe. Opadający kurz, gnijące drewno, rdzewiejące żelazo, pajęczne sieci w sekretnych zakątkach.

Holly usadowiła się naprzeciw Jima w pozycji Indianina biorącego udział w naradzie wojennej, dotykając go kolanami. Wzięła w ręce obie jego dłonie, częściowo dlatego, że czerpała siły z jego dotknięcia, a częściowo dlatego, że chciała go uspokoić i usunąć jad z tego, co zamierzała powiedzieć.

— Posłuchaj, maleńki, jesteś najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam, najbardziej seksownym, bez dwóch zdań. I w głębi serca jesteś dobry. Ale wywiady prowadzisz parszywie. Głównie chodzi o to, że pytania masz nieprzemyślane, nie dobierasz się do sedna sprawy, idziesz za bzdetami, a gubisz istotne wątki. I jesteś na tyle naiwny, że bierzesz odpowiedzi za dobrą monetę, a rozmówcy nigdy nie są uczciwi. Nie drażysz sprawy, jak powinieneś.

Nie robił wrażenia obrażonego. Uśmiechnął się i powiedział:

— Nie myślałem o sobie jako o reporterze robiącym wywiad.

— Ale, dzieciaczku, my jesteśmy dokładnie w takiej sytuacji. Przyjaciel, jak on o sobie mówi, dysponuje informacją, a my jej potrzebujemy, żeby wiedzieć, na czym stoimy, żeby odwalić swoją robotę.

— Myślałem o tym raczej jako... nie wiem... jako o epifanii. Kiedy Bóg przyszedł do Mojżesza z Dziesięciorgiem Przykazań, to, moim zdaniem, przekazał Mojżeszowi tylko ich treść, a jeśli nawet Mojżesz miał jeszcze inne pytania, nie uważał za słuszne wiercić dziury w brzuchu Wielkiemu Gościowi.

— To nie Bóg był w tych ścianach.

— Wiem. Ten pomysł mam za sobą. Ale była to obca inteligencja, tak przewyższająca nas, że prawie mogłaby być Bogiem.

— Tego nie wiemy — powiedziała cierpliwie.

— Owszem, wiemy. Kiedy się weźmie pod uwagę wysoki stopień inteligencji i tysiąclecia potrzebne do stworzenia cywilizacji, której mieszkańcy podróżują między galaktykami — wielkie nieba, w porównaniu z tym jesteśmy małpami!

— Ale właśnie o to chodzi, sam popatrz. Skąd wiesz, że ono przybyło z innej galaktyki? Bo wierzysz w to, co ci powiedziano. Skąd wiesz, że w stawie jest statek kosmiczny? Bo wierzysz w to, co ci powiedziano.

Jim zaczął znów tracić cierpliwość.

— Dlaczego miałyby nas okłamywać, co by przez to zyskało?

— Nie wiem. Nie możemy być pewni, czy nami nie manipuluje. A kiedy wróci, jak obiecało, chcę być przygotowana. Zamierzam spędzić następną godzinę, dwie, trzy — nieważne, ile mi to zajmie — sporządzając listę pytań. Przepuścimy to przez dokładnie wyregulowany magiel. Musimy opracować strategię, żeby wycisnąć prawdziwe informacje, fakty, nie fantazję, i nasze pytania muszą stanowić podstawę tej strategii. — Kiedy skrzywił się, szybko kontynuowała, zanim przerwał. — Dobra, w porządku, może jest niezdolne do kłamstwa, szlachetne i dobre. Niech będzie, że wszystko, co nam opowiada, jest ewangeliczną prawdą. Ale posłuchaj, Jim, to nie epifania. Kiedy Przyjaciel natchnął cię, żebyś kupił blok i pisak, ustanowił zasady. Wepchnął nas w formułkę „pytanie-odpowiedź”. Gdyby nie chciał, żebyśmy ją wykorzystali, po prostu kazałby nam się przymknąć i zacząłby gadać z płonących krzaków!

Wpatrywał się w nią. Gryzł wargę, głęboko zamyślony. Podniósł wzrok na ściany, na kamienie, w których pływała świetlna istota.

— Nigdy nawet nie zapytałeś, dlaczego ono chce, żebyś ratował ludzi od śmierci — dodała z naciskiem — lub dlaczego jedni mają zostać uratowani, a inni nie.

Spojrzał na nią jeszcze raz. Jego samego musiało wyraźnie zaskoczyć, że nie żądał odpowiedzi na najważniejsze pytanie. W mlecznym blasku miękko syczącej benzynowej lampki jego oczy przestały jarzyć się zielenią odbitą od bursztynowego światła. Stały się na powrót niebieskie. I udręczone.

— Dobra. Masz rację. Chyba mnie poniosło. Wiesz, Holly, cokolwiek by to, do cholery, było — jest niesamowite.

— Owszem — potwierdziła.

— Zrobimy, jak chcesz, przygotujemy listę przemyślanych pytań. A kiedy ono powróci, ty będziesz je zadawała, bo tobie lepiej to idzie. Może powiedziec coś takiego, że trzeba będzie je wymyślać.

— Zgoda. — Odetchnęła z ulgą, że sam to zaproponował, bez nacisku z jej strony.

Znała się na przeprowadzaniu wywiadów lepiej od niego i na dodatek, w tej szczególnej sytuacji, była stokroć wiarygodniejszym rozmówcą niż Jim. Przyjaciel utrzymywał z nim długi związek w przeszłości i najwyraźniej wpłynął na pamięć Jima, każąc mu zapomnieć o spotkaniach, jakie mieli dwadzieścia pięć lat temu. Holly założyła, iż Jim uległ werbunkowi, w takim czy innym stopniu dał się przeciągnąć na drugą stronę, choć sam może sobie tego nie uświadamiał. Przyjaciel przebywał w jego jaźni przy wielu, może setkach okazji, kiedy Jim był jeszcze na etapie budowania osobowości i kiedy w wyniku utraty rodziców był całkowicie bezbronny. Stąd też niezwykła podatność na manipulację; podlegał łatwiejszej kontroli niż większość rówieśników. Podświadomość Jima Ironhearta mogła zostać tak zaprogramowana, aby raczej ochraniał tajemnice Przyjaciela, niż pomagał przy ich ujawnianiu.



Holly miała świadomość, że kroczy po wąziutkiej granicy pomiędzy ostrożnością nakazaną przez zdrowy rozsądek a paranoją. Być może nawet bardziej zbliżając się do tej drugiej. Ale w tych okolicznościach nieco paranoi zwiększało szansę przeżycia.

Kiedy jednak powiedział, że wychodzi na dwór, żeby się załatwić, sto razy wolą iść z nim, niż pozostać sama w wysokiej izbie. Poszła za nim w dół schodów i stała przy fordzie, odwrócona plecami, kiedy siusiał przy płocie otaczającym poletko kukurydzy.

Wpatrywała się w głęboką czern stawu.

Słuchała żab, które znów zaczęły swój koncert, podobnie jak cykady. Wydarzenia całego dnia solidnie nią wstrząsnęły. Teraz nawet odgłosy natury wydały się złowróżbne.

Zastanawiała się, czy nie stanęli przed czymś zbyt dziwnym i potężnym, aby temu sprostać we dwójkę: reporterka nieudacznik i były nauczyciel. Zastanawiała się, czy nie powinni w tej chwili opuścić farmy. Zastanawiała się, czy będzie im wolno ją opuścić.

Od chwili odejścia Przyjaciela strach Holly nie ustępował. Przeciwnie, zwiększał się. Czuli się tak, jakby zawieszono nad nimi tonażowy ciężar, który magicznym sposobem trzyma się na jednym ludzkim włosie, ale magia zaczynała słabnąć, włos wyciągał się, napinał, błyszcząc jak szklana nić.

Do północy zjedli sześć pączków w czekoladzie i ułożyli siedem stron pytań dla Przyjaciela. Cukier dodawał energii i koił niepokój, ale nie pomagał starganym nerwom. Zdenerwowanie Holly nabrało ostrości kryształków rafinowanego cukru, dobrze naostrzonej brzytwy.

— I tym razem nie ma pisanych odpowiedzi — mówiła Holly, krążąc po izbie z blokiem w ręce. — To spowalnia wymianę pomiędzy pytającym a rozmówcą. Uprzejmy się, żeby z nami rozmawiało.

Jim leżał na plecach z rękami założonymi pod głowę.

— Ono nie potrafi mówić.

— Skąd wiesz?

— No, tak zakładam, bo inaczej rozmawialoby z nami od razu.

— Niczego nie zakładaj. Jeżeli potrafi zmieszać swoje cząsteczki ze ścianą, pływać w kamieniu, we wszystkim — jeśli mamy mu wierzyć — i może przybrać taką postać, na jaką mu przyjdzie ochota, to, do wszystkich diabłów, potrafi przyjąć kształt ust i strun głosowych i da radę gadać jak każda szanująca się wyższa potęga!

— Chyba masz rację — przyznał zakłopotany.

— Powiedziało już, że jak zechce, pojawi się przed nami jako mężczyzna albo kobieta, prawda?

— No... taak.

— Nie proszę o pojawienie się w powłoce cielesnej przy blasku piorunów, tylko o głos, bezcielesny głos, trochę dźwięku przy starych, dobrych popisach świetlnych.

Słuchając własnych słów, Holly uświadomiła sobie, że wykorzystywała napięcie do podpompowania siebie, wyzwolenia agresji, która ją wspomogła, kiedy Przyjaciel powróci. To był stary sposób; nauczyła się z niego korzystać podczas wywiadów z ludźmi, którzy górowali nad nią lub wobec których czuła się skrępowana.

Jim usiadł.

— Dobra, ono może rozmawiać, jeśli ma ochotę, ale może jej nie miało.

— Już zdecydowaliśmy, Jim; nie wolno pozwolić, żeby ustalało wszystkie zasady.

— Ale nie rozumiem, dlaczego mamy antagonizować stosunki.

— Ja nie antagonizuję.

— Myślę, że przynajmniej powinniśmy okazać temu trochę szacunku.

— Och, szanuję to jak jasna cholera.

— Nie wydaje mi się.

— Jestem przekonana, że gdyby chciało, zmiażdżyłoby nas jak pluskwy i dlatego darzę to przeogromnym szacunkiem.

— Nie taki szacunek miałem na myśli.

— Jest to jedyny rodzaj szacunku, na jaki zarobiło sobie z mojej strony — oznajmiła, krążąc teraz wokół Jima. — Kiedy ono skończy mną manipulować, przestanie napędzać nieziemskiego stracha, zacznie dawać odpowiedzi, w których usłyszę trochę prawdy, wtedy może będę szanowała to z innych powodów.

— Jesteś trochę spięta — zauważył.

— Jaaa?

— I wrogo nastawiona.

— Nie jestem.

Patrzył na nią krytycznie.

— Wygląda mi to na ślełą wrogość.

— To dziennikarstwo napastliwe. To styl i treść nowoczesnej prasy. Nie pytasz swego rozmówcy, żeby potem opisać go czytelnikom, ty atakujesz. Masz swój plan, wersje prawdy, którą chcesz przekazać, niezależnie od tego, jak ona wygląda, i dążysz do zrealizowania planu. Nigdy mi się to nie podobało, nigdy na to nie szłam i dlatego dostawałam gorsze tematy i zajmowałam niższe lokaty. Teraz, tutaj, dziś w nocy, jestem za stylem atakującym. Cała różnica polega na tym, że ja chcę dojść do prawdy, a nie ją kształtować, i po prostu chcę wycisnąć, wydusić prawdę z naszego Obcego.

— Może się nie pokaże.

— Powiedziało, że się pokaże.

— Ale dlaczego miałyby to zrobić, skoro jesteś w takim stanie? — powiedział Jim, potrząsając głową.

— Próbujesz powiedzieć, że mogłoby się mnie obawiać? A cóż za wyższa potęga byłaby wtedy z niego?

Rozległy się dzwonki i Holly podskoczyła zaalarmowana. Jim wstał.

— Tylko spokojnie.

Dzwonki ucichły, znowu zabrzmiały, ucichły. Kiedy zadzwoniły po raz trzeci, brudnoczerwone światło pojawiło się w jednym punkcie ściany. Stawało się coraz intensywniejsze, nabierało blasku, potem nagle wybuchło na kopule izby jak fajerwerki na pokazie. Dzwonki umilkły i masa iskierek zbiegła się w pulsujące, ciągle ruchome, amebowate kształty, jakie widzieli poprzednio.

— Kawał teatru — powiedziała Holly.

Kiedy światło szybko zmieniało barwy z czerwonej poprzez pomarańczową na bursztynową, przejęła inicjatywę.

— Chcielibyśmy, żebyś zaniechał niewygodnego sposobu, w jaki poprzednio odpowiadałeś na nasze pytania i rozmawiał z nami bezpośrednio.

Przyjaciel się nie odezwał.

— Będziesz rozmawiać z nami bezpośrednio?

Brak odpowiedzi.

Spojrząwszy na blok, trzymany w ręce, Holly przeczytała pierwsze pytanie.

— Czy jesteś wyższą potęgą, która wysyłała Jima na akcje ratowania życia?

Czekała. Milczenie.

Spróbowała jeszcze raz. Milczenie.

Uparcie powtórzyła pytanie. Przyjaciel nie odpowiedział, za to odezwał się Jim:

— Holly, popatrz na to.

Obejrzała się i zobaczyła, że przegląda drugi blok. Podniósł go tak, że widziała pierwsze kilkanaście stron podczas kartkowania. Niepokojące, migotliwe światło kamieni było na tyle wyraźne, że ujrzała strony wypełnione znajomym pismem Przyjaciela.

Wzięła Jimowi blok z ręki. Spojrzała na pierwszy wers na górze pierwszej strony:

TAK. JA JESTEM TĄ POTĘGĄ

Cisnęła blokiem. Przeleciał do okna po drugiej stronie, uderzył, nie rozbijając szyby, i z trzaskiem spadł na podłogę.

— Holly, nie powinnaś...

Spojrzała na niego ostro. Zamilkł.

Światło przesuwało się w przemienionym wapieniu z większym ożywieniem niż poprzednio.

— Bóg wręczył Mojżeszowi Dziesięcioro Przykazań na kamiennych tablicach, zgoda, ale był również uprzejmy z nim porozmawiać — odezwała się Holly do Przyjaciela.

— Jeżeli Bóg mógł poniżyć się do bezpośredniej rozmowy z istotami ludzkimi, możesz i ty.

Kiedy Przyjaciel milczał dalej, powtórzyła pierwsze pytanie z listy:

— Czy jesteś wyższą potęgą, która wysyłała Jima na akcje ratowania życia?

— Tak, jestem tą potęgą. — Głos słodki jak miód miał miękkie brzmienie barytonu. Podobnie jak brzęk dzwonek płynął ze wszystkich stron. Przyjaciel nie zmaterializował się w ludzkiej postaci, nie wyrzeźbił sobie twarzy z kamienia. Głos rozlegał się po prostu w powietrzu.

— Skąd możesz wiedzieć, że tych ludzi czeka śmierć? — zadała drugie pytanie z listy.

— Jestem istotą żyjącą we wszystkich przedziałach czasu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— W przeszłości, teraźniejszości, przyszłości.

— Jak możesz przewidzieć przyszłość?

— Ja żyję w przyszłości, tak samo jak w przeszłości i teraźniejszości.

Światło przenikało teraz przez ściany z mniejszym natężeniem, jakby Obcy zaakceptował warunki Holly i na powrót złagodniał.

Jim przysunął się do Holly. Położył rękę na jej ramieniu i uściśnął lekko, jakby chciał powiedzieć „dobra robota”.

Postanowiła nie wgłębiać się w umiejętność jasnovidzenia Obcego z obawy, że zбочą z zaplanowanego wcześniej tematu i nie zdążą powrócić do niego, jeśli istota znów nie zapowie swego odejścia. Wróciła do notatek.

— Dlaczego zależało ci na uratowaniu właśnie tych ludzi?

— Żeby pomóc ludzkości — odpowiedziało dźwięcznie.

Trudno było to ocenić, gdyż głos był bardzo modulowany, niemal mechaniczny, lecz rozbrzmiała w tym chyba pewna nuta pompatyczności.

— Ale kiedy codziennie umiera tylu ludzi — z tego większość niewinnie — dlaczego właśnie tych postanowiłeś uratować?

— To są niezwykli ludzie.

— Na czym ta niezwykłość polega?

— Jeżeli przeżyją, każdy z nich w istotny sposób wzbogaci dorobek ludzkości.

— Niech mnie jasny szlag trafi — powiedział Jim.

Holly nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Miała posmak świeżości. Ale nie ufała jej do końca. Głównie doskwierało jej, że głos Przyjaciela stawał się z każdą chwilą bardziej znajomy. Była pewna, że słyszała go poprzednio i to w kontekście, który pozbawiał go wiarygodności mimo głębokiego teraz, brzmiącego autorytatywnie tonu.

— Twierdzisz, że potrafisz widzieć nie tylko, jaka będzie przyszłość, ale jaka mogłaby być?

— Tak.

— Nie wplątujemy się znowu w twoją boskość?

— Nie. Nie widzę tak jasno jak Bóg. Ale widzę.

Ponownie pogrążony w swym najlepszym chłopięcym nastroju, Jim uśmiechał się do kalejdoskopowych zmian światła, wyraźnie podekscytowany i zadowolony ze wszystkiego, co słyszał.

Holly odwróciła się od ściany, przeszła przez izbę, kucnęła przy swojej torbie i otworzyła ją.

— Co robisz? — spytał Jim, pochylając się nad nią.

— Szukałam tego — powiedziała, pokazując notatki ze swoich odkryć podczas zbierania materiałów o Jimie.

Wstała, otworzyła notatnik i odnalazła listę ludzi, których życie uratował, zanim odbył się lot 246.

— Piętnasty maja — powiedziała, zwracając się do pulsującej poprzez kamień Istoty. — Atlanta, Georgia. Sam Newsome i jego pięcioletnia córka Emily. Co takiego uczynią oni dla ludzkości, że są ważniejsi niż wszyscy inni ludzie, którzy tego dnia umarli?

Nie pojawiła się żadna odpowiedź.

— No? — nalegała.

— Emily stanie się wielkim naukowcem i odkryje lekarstwo na groźną chorobę.

— Jaką chorobę?

— Dlaczego pani mi nie wierzy, panno Thorne? — Przyjaciel odzywał się równie formalnie jak angielski kamerdyner, ale w tej uwadze Holly wyczuła lekki ton nadąsanego dziecka, ukryty pod maską godności i rezerwy.

— Powiedz mi, jaka to choroba — odezwała się Holly — a może ci uwierzę.

— Rak.

— Jaki rak? Jest cała masa odmian raka.

— Wszystkie odmiany.

Zajrzała powtórnie do notatnika.

— Siódmy czerwca. Corona, Kalifornia. Louis Andretti.

— Będzie ojcem dziecka, które wyrośnie na wielkiego dyplomatę.

Lepsze to niż śmierć od wielokrotnego ukąszenia przez grzechotniki, pomyślała.

— Dwudziesty pierwszy czerwca — powiedziała. — Miasto Nowy Jork. Thaddeus...

— Zostanie wielkim artystą, którego dzieło natchnie nadzieją miliony ludzi...

— Robił wrażenie miłego chłopca — odezwał się uszczęśliwiony Jim, kupując wszystko bez zastrzeżeń. — Podobał mi się.

Holly zignorowała go. Powiedziała:

— Trzydziesty czerwca. San Francisco...

— Rachel Steinberg urodzi dziecko, które stanie się wielkim duchowym przywódcą.

Dźwięk tego głosu dręczył ją. Wiedziała, że go gdzieś słyszała. Ale gdzie?

— Piąty lipca...

— Miami, Floryda. Carmen Diaz. Urodzi dziecko, które zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Holly pomachała notatnikiem jak wachlarzem.

— Dlaczego nie prezydentem świata?

— Czternasty lipca. Houston, Teksas. Amanda Cutrer. Urodzi dziecko, które stanie się wielkim orędownikiem pokoju.

— Dlaczego nie wcieleniem Chrystusa w Drugim Nadejściu? — spytała Holly.

Jim odsunął się od niej. Oparł się o ścianę między oknami. Pokazy światła bezgłośnie wybuchały wokół niego.

— Co ci jest? — spytał.

— Za piękne to — podsumowała.

— CO?

— To, że jesteś wyznaczony do ratowania niezwykłych ludzi.

— Żeby wspomagać ludzkość.

— Jasne, jasne — rzuciła Holly do ściany. A potem zwróciła się do Jima: — Ale ci ludzie są zbyt niezwykli, nie sądzisz? Może to mnie się tylko wydaje, jednak to wszystko jest takie nadęte i wyświechtane. Nikt nie zostanie po prostu cholernie dobrym lekarzem albo człowiekiem interesu, który zorganizuje nową gałąź przemysłu i otworzy dziesięć tysięcy miejsc pracy, albo uczciwym i odważnym gliniarzem, albo fantastyczną pielęgniarką. Nie, oni będą wielkimi dyplomatami, naukowcami, politykami, wielkimi orędownikami pokoju. Wielcy, wielcy, wielcy!

— To jest napastliwe dziennikarstwo?

— Tak, do cholery.

Oderwał się od ściany, obiema rękami odgarnął gęste brązowe włosy z czoła i odezwał się, zadzierając głowę:

— Rozumiem twój punkt widzenia i dlaczego zaczyna ci to przypominać kolejny odcinek z „Outer Limits”, ale pomyślmy przez chwilę. To zwariowana, niezwykła sytuacja. Istota z innego świata, której moc wydaje nam się boska, decyduje się użyć mnie dla zwiększenia szans ludzkości. Czy nie jest logiczne, że wysłała mnie, abym ratował niezwykłych, naprawdę niezwykłych ludzi, a nie wymyślanych przez siebie potentatów biznesu?

— Och, to jest logiczne — powiedziała. — Tylko że brak mi w tym prawdy, a ja nie-  
źle wyczuwam oszustwo.

— Stąd brały się twoje wielkie sukcesy reporterskie? — odezwała się Istota.

Powinna wybuchnąć śmiechem. Obcy, wielokrotnie potężniejszy od ludzi, wdaje się w pyskówkę! Ale zniecierpliwienie i nadąsanie, poprzednio ledwo wyczuwalne, teraz wyraźnie się objawiały. Obraz nadwrażliwej, mściwej istoty, obdarzonej boskimi mocami był w tym momencie zbyt groźny, aby śmieszyć.

— Jak ci się to podoba u wyższej potęgi? — spytała Jima. — Jeszcze chwila i zwymyśla mnie od kurew.

Przyjaciel się nie odezwał.

— Dwudziesty lipca — powiedziała, zajrzawszy do notatnika. — Steven Aimes. Birmingham, Alabama.

Ławice światła przepływały przez ściany. Wzory były mniej wdzięczne i zmysłowe niż poprzednio; jeżeli przedtem świetlny pokaz był obrazowym ekwiwalentem jednej z najspokojniejszych symfonii Brahmsa, teraz bardziej przypominał dysonansowe skargi niedobrego, progresywnego jazzu.

— Co ze Stevenem Aimesem? — spytała ponaglająco z obawą, ale pamiętając, że uprzedni pokaz siły woli został przyjęty z szacunkiem.

— Teraz odchodzę.

— To był krótki przyływ — powiedziała.

Bursztynowe światło zaczęło przygasać.

— Pływy w stawie nie są ani regularne, ani równe. Ale powrócę.

— Co ze Stevenem Aimesem? Miał pięćdziesiąt siedem latek, mógł spłodzić wielkiego tego-albo-tamtego, chociaż był może trochę zbyt starawy. Dlaczego uratowałaś Stevensa?

Głos stał się głębszy, przeszedł z barytonu w bas i stwardniał.

— Nie byłoby rozsądne z waszej strony, gdybyście usiłowali odjechać.

To na to czekała! Teraz wiedziała, że była spięta, gdyż spodziewała się tych słów.

Jednak Jim był oszołomiony. Obrócił się, rozejrzał wkoło po ciemnobursztynowych formach wijących się, rozdzielających, spływających, jakby usiłował ogarnąć biologiczną geografie tej istoty, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

— O co ci chodzi? Odjedziemy, kiedy nam się spodoba

— Musicie zaczekać do mojego powrotu. Umrzecie, jeśli spróbujecie odjechać.

— Nie chcesz już wspomagać ludzkości? — spytała ostro.

— Nie śpijcie.

Jim przysunął się do boku Holly. Jeżeli poprzednio jej agresywna postawa wobec Przyjaciela wzbudziła jakiś chłód między nimi, teraz najwyraźniej on znikł. Objął ją opiekuńczo ramieniem.

— Nie ważcie się spać.

Wapień przeniknął głęboki czerwony poblask.

— Sny otwierają drzwi.

Krwawe światło zgasło.

Lampa stała się jedynym jasnym punktem. A po odejściu Przyjaciela w pogłębionym mroku słychać było tylko cichy syk spalającej się benzyny.

Holly stała u szczytu schodów, świecąc latarką w zalegający poniżej mrok. Jim podejrzewał, że zastanawiała się, czy naprawdę zostaną zatrzymani w momencie opuszczania wiatraka, a jeżeli tak, to jak gwałtownie.

Nie mógł pojąć, dlaczego nad wszystkim zawisła gorycz.

Przybył do wiatraka, ponieważ przedziwne i okropne zdarzenia, do jakich ponad osiemnaście godzin temu doszło w jego sypialni w Laguna Niguel, uniemożliwiły mu dalsze ignorowanie ciemnej strony tajemniczych wypadków, w które był zamieszany. Poprzednio ulegał tylko prądowi, robił to, do czego został powołany, wyciągał w ostatniej chwili ludzi z ognia; przepracowany, lecz dzielny superbohater, latający samolotami, ale zmuszony sam sobie pracować. Jednak nieustanny napór ze strony Nieprzyjaciela — cokolwiek by to było za draństwo — jego niewątpliwa zaciekle wrogość i emanująca z niego zło nie pozwalały Jimowi dłużej lekceważyć sytuacji. Nieprzyjaciel usiłował przedrzeć się stamtąd, gdzie przebywał, może z innego wymiaru, i z każdym pojawieniem się był coraz bliżej. Jimowi nie zależało szczególnie na dotarciu do prawdy o wyższej potędze stojącej za jego działalnością. Czuł, że z czasem zostanie oświecony. Natomiast wiedza o Nieprzyjacielu stawała się problemem palącym, sprawą życia i śmierci dla niego — i Holly.

Wybierając się w podróż na farmę, oczekiwał spotkania zarówno z dobrem, jak i ze złem, z doznaniem radości i strachu. Czegokolwiek, co zapewni mu większe zrozumienie jego wypraw ratunkowych i poznanie nadnaturalnych sił, jakie za tym stały. Ale teraz był jeszcze bardziej zdezorientowany niż przed przyjazdem. Niektóre zjawiska podziwiał, napawały go radością. Tak było na przykład z dzwonieniem w kamiennych blokach i pięknym, niemal boskim światłem Przyjaciela. Ogarnęło go uniesienie, kiedy mu odkryto, że ludzie przez niego ratowani nie byli przeciętni i ich przetrwanie poprawi los całej ludzkości. Ale te momenty duchowej błogości zostały mu natychmiast odebrane, kiedy zaczęło w nim rosnać przekonanie, że Przyjaciel albo nie mówi im całej prawdy, albo, co gorsza, nie mówi im prawdy w ogóle. Dziecięce dąsanie się niezwyklej istoty było w najwyższym stopniu przerażające i teraz Jim nie był pewien, czy cokolwiek z tego, co uczynił od momentu uratowania Newsome'ów w maju zeszłego roku, nie posłużyło raczej złu niż dobru.

A jednak lęk równoważyła nadzieja. Mimo że drzazga rozpaczy utkwiała w sercu i zaczęła jątrzyć ranę, duchową infekcję utrzymywała w karchach otoczka optymizmu. Była delikatna, ale zawsze obecna w centrum jego osobowości.

Holly wyłączyła latarkę, wróciła od otwartych drzwi i siadła na materacu.



— Nie mam pojęcia, może to była pusta groźba, ale gdy tylko wyjedziemy, poznamy prawdę.

— Chcesz wyjechać?

Potrząsnęła głową.

— Jaki zresztą sens ma wyjeżdżanie z farmy? Z tego, co wiemy, może nas osiągnąć, gdzie chce, prawda? Przecież osiągnął nas w Laguna Niguel, wysłał cię na te wyprawy, dotarł do ciebie w Nevadzie i wysłał do Bostonu na ratunek Nicolasowi O'Connerowi.

— Czułem jego obecność przy mnie za każdym razem, gdziekolwiek pojechałem. W Houston, na Florydzie, we Francji, w Anglii — wszędzie prowadziło mnie, dawało znać, co nastąpi, żebym mógł odwalić zleconą robotę.

Holly wyglądała na wyczerpaną. Twarz miała ściągniętą i bledszą; nie mógł tego spowodować wyłącznie niesamowity blask padający z gazowej lampy. Oczy miała podkrążone ze zmęczenia. Zamknęła je na moment i koniuszkami kciuka i palca wskazującego ścisnęła grzbiet nosa, jakby usiłowała zapanować nad bólem głowy.

Jim z całego serca żałował, że wciągnął ją w to wszystko. Ale jego strach i rozpacz były nieszczerze, zabarwione głęboką przyjemnością wynikającą z jej towarzystwa. Chociaż była to postawa egoistyczna, cieszył się, że ona jest przy nim, niezależnie od tego, jak ta dziwna noc miałyby się skończyć. Nie był już sam.

Nadal ściskając nos palcami, z czołem pociętym głębokimi liniami znamionującymi gniew, Holly powiedziała:

— Ta istota nie ogranicza swej obecności do obszaru wokół stawu ani do psychicznego kontaktu na wielkie odległości. Może ją zmanifestować gdziekolwiek, sądząc po zadrapaniach na moich bokach i fakcie, że wdzierła się przez sufit nad twoją sypialnią dziś rano.

— No, poczekaj — powiedział. — Wiemy, że Nieprzyjaciel może się zmaterializować z wielkiej odległości, ale nie wiemy, czy Przyjaciel dysponuje tą umiejętnością. To Nieprzyjaciel wynurzył się z twojego snu i Nieprzyjaciel usiłował nas osiągnąć dziś rano.

Holly otworzyła oczy i zdjęła dłoń z twarzy pozbawionej wyrazu.

— Myślę, że są jednym i tym samym.

— Co?

— Nieprzyjaciel i Przyjaciel. Nie wierzę, żeby dwie istoty mieszkały w stawie, w gwiazdnym statku, jeżeli rzeczywiście ten statek tam jest. Uważam zresztą, że tak. Myślę, że to jedna istota. Przyjaciel i Nieprzyjaciel są tylko różnymi postaciami materializacji.

Było jasne, do czego Holly zmierzała, ale zbyt przerażające, żeby Jim natychmiast mógł to zaakceptować.

— Chyba nie mówisz poważnie? — powiedział. — Równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że... to szaleństwo.

— To właśnie mówię. Ono cierpi na właściwą dla Obcych formę rozszczepienia osobowości. Wykonuje działania narzucane przez obie osobowości, ale nie jest tego świadome. — Jim niemal rozpaczliwie pragnął wierzyć w Przyjaciela jako w osobne i dobre stworzenie. Jego twarz zdradzała to aż nazbyt wyraźnie. Holly ujęła jego prawą rękę w obie dłonie i kontynuowała, zanim zdołał jej przerwać: — Dziecięce dąsy, nadęte pretensje do kształtowania losu naszego gatunku, przepych, w jakim się ukazuje, nagłe zmiany nastroju, od ociekającej słodyczą dobroci po ostry gniew, przejrzyste kłamstwa i równoczesne przecenianie własnego sprytu, tajemniczość w pewnych sprawach, kiedy brak powodów do utrzymywania ich w sekrecie — wszystko to nabiera sensu, kiedy uświadomimy sobie, że mamy do czynienia z umysłem niezrównoważonym.

Szukał luk w jej rozumowaniu i znalazł jedną.

— Ale nie możesz założyć, że chora psychicznie istota, chory psychicznie Obcy, potrafiłaby pilotować przez lata świetlne niewyobrażalnie skomplikowany statek kosmiczny. I przeprowadziłaby go przez niezliczone niebezpieczeństwa, mając kompletnego świra.

— Nie musi tak być. Może szaleństwo rozwinęło się w nim dopiero, gdy się tu znalazło. Lub może nie musi pilotować statku, może to całkowicie zautomatyzowana, zrobotyzowana machina. Lub może były na pokładzie inne pilotujące osobniki gatunku, a teraz nie żyją. Jim, ono nigdy nie wspomniało o załodze, tylko o Nieprzyjacielu. Jeśli kupiesz jego pozaziemskie pochodzenie — jak ci do tego pasuje, że jedynie dwa osobniki zostały wysłane do przeprowadzenia międzygalaktycznych badań? Może zabiło resztę.

Wszystko, co rozważała teoretycznie, mogło być prawdziwe, ale wtedy mieli do czynienia z Niewiadomym przez duże „N”, a liczbę możliwości we wszechświecie wyraża znak nieskończoności. Pamiętał usłyszaną gdzieś teorię, wyznawaną przez wielu uczonych, że cokolwiek narodzi się w ludzkim umyśle, choćby najbardziej wymyślne, można przyjąć za istniejące, ponieważ nieskończona natura sił tworzenia oznacza, że jest to nie mniej zmienne, nie mniej płodne niż świat marzeń mężczyzny lub kobiety.

Jim podzielił się z Holly tymi myślami, a potem powiedział:

— Ale niepokoi mnie, że robisz to, co odrzucałaś poprzednio. Męczysz się nad wytłumaczeniem tej sprawy, przykładając do niej ludzką miarę. Przypuszczalnie ta istota jest zbyt odległa, abyśmy w ogóle potrafili ją pojąć. Na jakiej podstawie zakładasz, że Obcy mogą w ogóle cierpieć na coś tak szalenie ludzkiego jak rozstrój umysłowy czy rozdwojenie jaźni?

— Masz rację. — Skinęła głową. — Ale w tej chwili jest to, według mnie, jedyna sensowna teoria.

Wyciągnął wolną rękę i podkręcił knoty w lampie Colemana, rozjaśniając izbę.

— Jezu, ale mam dreszcze — powiedział, trzęsąc się.

— Nie ty jeden.

— Jeżeli ono jest schizo i wśliznie się w osobowość Nieprzyjaciela, i nie zdoła się z niej wycofać... co może nam zrobić?

— Wolę o tym nie myśleć — odparła Holly. — Jeżeli przerasta nas intelektualnie, jak się wydaje, jeżeli pochodzi z długowiecznego gatunku, przy którego wiedzy i doświadczeniu historia ludzkości wygląda jak nowelka przy wielkich dziełach literatury, to jest pewne jak dwa i dwa cztery, że zna tortury i okrucieństwa, przy których dokonania Hitlera, Stalina i Pol Pota wyglądają bardzo mizernie.

Przez moment zastanawiał się nad tym niechętnie. Pączki oblewane czekoladą zalegały mu w żołądku piekącą, niestrawioną masą.

— Kiedy wróci... — zaczęła Holly.

— Na litość boską — przerwał jej. — Dość taktyki napastliwej!

— Spieprzyłam — przyznała. — Ale podejście było właściwe; po prostu przeciągnęłam strunę. Kiedy ono wróci, zmodyfikuję technikę.

Jim czuł, że jej teoria choroby psychicznej wstrząsnęła nim bardziej, niż się do tego przyznawał. Zlewał go zimny pot na myśl, co Przyjaciel może im zgotować, jeśli ich zachowanie wepchnie go w drugą, ciemniejszą osobowość.

— Dlaczego nie uchylić się całkiem od konfrontacji, tańczyć, jak nam zagra, pochlebiać jego ego, uszczęśliwiać tak jak nam...

— Nic to nie da. Nie można kontrolować szaleństwa poprzez ustępowanie. To jest tylko coraz bardziej nakręca. Podejrzewam, że każda pielęgniarka z kliniki dla psychicznie chorych wyjaśniłaby ci, że najlepiej można sobie radzić z potencjalnie groźnym paranoikiem, będąc miłym, uprzejmym, ale stanowczym.

Uwolnił rękę z uścisku. Dłonie lepiły mu się od potu.

Otarł je o koszulę.

Wiatrak przenikała nienaturalna cisza, jakby znaleźli się w pustce, która nie przenosi dźwięku, w ogromnym, zapieczętowanym dzbanie z krainy gigantów wystawionym na pokaz w muzeum. Kiedy indziej milczenie przeszkadzałoby Jimowi, ale obecnie chłonał je, gdyż prawdopodobnie oznaczało, iż Przyjaciel śpi lub przynajmniej zajmuje się czym innym.

— Ono chce czynić dobro — powiedział. — Może w ramach swej drugiej osobowości być szalone, gwałtowne i nawet pełne zła — rzeczywisty doktor Jekyll i mister Hyde. Ale jak doktor Jekyll, ono naprawdę chce czynić dobro. Przynajmniej odczuliśmy to na sobie.

Przez moment zastanawiała się nad tym.

— Dobra, punkt dla ciebie. A kiedy powróci, spróbuję wyciągnąć z niego trochę prawdy.

— Najbardziej mnie przeraża to, czy wyciągniemy od niego coś, co nam pomoże. Jeśli nawet powie całą prawdę, to skoro jest szalone, wcześniej czy później skieruje się ku bezmyślnej przemocy.

— Ale spróbować trzeba.

Siedzieli w pełnej napięcia ciszy.

Kiedy Jim spojrział na zegarek, było dziesięć minut po pierwszej. Nie był śpiący. Nie musiał się obawiać, że odpłynie w sen i w ten sposób otworzy drzwi. Ale czuł się psychicznie wypompowany. Nie robił nic, tylko siedział i prowadził samochód, potem siedział lub stał w wyższej izbie, czekając na iluminację, ale mięśnie bolały go tak, jakby miał za sobą dziesięć godzin ciężkiej fizycznej pracy. Twarz ściągnęło mu wyczerpanie, piekły go oczy. Krańcowy stres nadweręzał siły tak samo jak ciężki wysiłek fizyczny.

Zaprzagnął, żeby Przyjaciel nigdy nie powrócił. Nie była to przelotna zachcianka. Myślał o tym z całą żarliwością młodego chłopca, który modli się, żeby zbliżająca się wizyta u dentysty nigdy nie nadeszła. Jim włożył w swoje pragnienie całą duszę, wierząc, jak bywa to z dziećmi, że marzenia czasem można zmusić, aby się ziściły.

Przypomniał sobie cytat z Chazala, jaki sam wygłaszał podczas zajęć z literatury, na lekcji poświęconej fantastyce Poego i Hawthorne'a: „Krańcowa groza przywraca nawyki dzieciństwa”. Jeśli kiedykolwiek po zdarzeniach w wiatraku miałby wrócić za pulpit nauczycielski, poprowadziłby tę lekcję dużo lepiej.

O pierwszej dwadzieścia pięć Przyjaciel zanegował siłę ludzkich pragnień, zjawiając się niespodziewanie. Tym razem bez dzwonek. Czerwone światło rozjarzyło się w ścianach jak rozbryzg szkarłatnej farby w czystej wodzie.

Holly poderwała się na nogi.

Jim też. Nie umiał siedzieć rozluźniony w obecności tajemniczej istoty; czuł coraz mocniejszą obawę, że lada chwila może uderzyć w nich z bezlitosną brutalnością.

Światło podzieliło się na wiele rojów, przepłynęło wokół pomieszczenia, a potem zaczęło przechodzić od czerwieni do bursztynu.

Przyjaciel przemówił, nie czekając na pytanie.

— Pierwszy sierpnia. Seattle, Waszyngton. Laura Lenaskian, uratowana przed utońnięciem. Urodzi dziecko, które stanie się wielkim kompozytorem i którego muzyka przyniesie ukojenie wielu ludziom w momentach załamania. Ósmy sierpnia. Peoria, Illinois. Doogie Burkette. Kiedy urośnie, zostanie sanitariuszem, który zrobi wiele dobrego i uratuje wiele osób. Dwunasty sierpnia. Portland, Oregon. Billy Jenkins. Jego wynalazki zrewolucjonizują technikę medyczną...

Jim spojrział w oczy Holly i nie musiał się zastanawiać, o czym myśli: on myślał to samo. Przyjaciel był w drażliwym, „ja-wam-pokażę” nastroju. Zarzucał ich szczegółami, które miały uwiarygodnić jego bombastyczne pretensje do kształtowania losu ludzkości. Ale nie mogli ocenić, czy jego słowa zawierają prawdę — czy też są jedynie fantazja-

mi, które mają podeprzeć resztę jego opowieści. Przypuszczalnie istotny w tym był fakt, że bardzo zależało mu na ich przekonaniu. Jim nie miał pojęcia, dlaczego opinia jego lub Holly miała znaczenie dla istoty przewyższającej ich inteligencją tak, jak oni przestali myśleć, ale fakt ten wyraźnie działał na ich korzyść.

— ...Dwunasty sierpnia. Pustynia Mojave, Nevada. Lisa i Susan Jawolski. Lisa otoczy córkę miłością i uczuciem, zapewni opiekę psychoanalityczną, dzięki której dziecku uda się w końcu przezwyciężyć poważny szok wywołany zabójstwem ojca i wyrośnie na jedną z największych przywódczyń politycznych w dziejach całego świata, stanie się siłą wskazującą znaczenie oświaty i opieki w działaniach polityki rządowej. Dwudziesty trzeci sierpnia. Boston, Massachusetts. Nicolas O'Conner, uratowany z eksplozji w rozdzielni stacji energetycznej. Wyrośnie na księdza, który poświęci życie opiece nad ubogimi w slumsach Indii...

Na krytycyzm Holly Przyjaciół próbował odpowiedzieć mniej pyszałkowatą wersją swego dzieła. Były to usiłowania po dziecinnemu przejrzyste. Mały Burkette nie uratuje świata, ale wyrośnie na cholernie dobrego sanitariusza, a Nicolas O'Conner stanie się skromnym człowiekiem, wiodącym pozbawiony rozgłosu żywot wśród ubogich — ale reszta nadal będzie wielka lub znakomita, oszałamiająco utalentowana tak czy inaczej. Istota zdała sobie sprawę, że musi zadbać o większe prawdopodobieństwo swej opowieści, ale nie potrafiła zdobyć się na sprowadzenie swych relacji do granic zdrowego rozsądku. I jeszcze coś niepokoiło Jima: ten głos. Im dłużej się weń wsłuchiwał, tym bardziej rosło w nim przekonanie, że już go słyszał — nie w tym pomieszczeniu dwadzieścia pięć lat temu, w ogóle w innych okolicznościach. Głos musiał, rzecz jasna, zostać zapożyczony, gdyż w swych naturalnych warunkach Obcy na pewno nie dysponował niczym podobnym do ludzkich strun głosowych; jego biologia nie miała nic wspólnego z ludzką.

Głos, który imitował jak parodysta występujący na estradzie hotelowej, był Jimowi znany. Nie potrafił jednak do końca go zidentyfikować.

— Dwudziesty szósty sierpnia. Dubuque, Iowa. Christine i Casey Dubrovec. Christine urodzi następne dziecko, które wyrośnie na największego genetyka przyszłego stulecia. Casey zostanie wyjątkową nauczycielką, która wywrze ogromny wpływ na swoich uczniów. Nigdy nie zawiedzie ich do tego stopnia, żeby zakończyły życie samobójstwem.

Jim poczuł w piersi uderzenie o sile parowego młota. To obraźliwe oskarżenie, skierowane przeciwko niemu i odwołujące się do Larry'ego Kakonisa, wstrząsnęło resztkami jego wiary, że podstawowym motywem działania Przyjaciół było czynienie dobra.

— Co za gówno, tak bić poniżej pasa — powiedziała Holly.

W Jimie wezbrało obrzydzenie wobec małostkowości istoty. A tak chciał wierzyć w cel jej działania i dobroć!

Iskrzące się bursztynowe światło opadało w ścianach i wirowało, jakby Przyjaciel był zachwycony efektem zadanego ciosu.

Rozpacz wezbrała w Jimie; przez moment był skłonny myśleć, że istota żyjąca w stawie jest wyłącznie doszczętnie zła. Może ci, których ratował od piętnastego maja, nie wzniosą ludzkości na wyższy poziom, ale zepchną ją w dół. Może w rzeczywistości Nicolas O'Conner wyrośnie na wielokrotnego zabójcę. Może Billy Jenkins zostanie pilotem bombowca, okaże się łajdakiem, który, pokonawszy wszystkie systemy zabezpieczające, zrzuci parę bomb atomowych na gęsto zaludnione obszary; a Susie Jawolski, zamiast zostać największą kobietą politykiem, okaże się radykalną aktywistką, podkładającą bomby w salach konferencyjnych wielkich korporacji i seriami z broni maszynowej będzie niszczyła swych politycznych przeciwników.

Ale kiedy tak pogrążony w niepewności chwiał się nad brzegiem tej czarnej otchłani, ujrzał w pamięci twarz małej Susie Jawolski, w której nie sposób było dopatrzeć się niczego poza niewinnością. Nie mógł uwierzyć, żeby nie stała się pozytywną siłą w życiu swej rodziny i znajomych. On naprawdę dokonał dobrych uczynków, a zatem i Przyjaciel ich dokonał bez względu na to, czy był szalony, czy nie, nawet jeśli stać go było na okrucieństwo.

Holly zwróciła się do istoty obecnej w ścianie:

— Mamy więcej pytań.

— Pytajcie, pytajcie.

Holly zajrzała do bloku i Jim westchnął w duchu, żeby pamiętała o hamowaniu agresji. Wyczuł, że Przyjaciel był w stanie większego rozchwiania niż podczas wszystkich poprzednich spotkań.

— Dlaczego wybrałeś Jima za swoje narzędzie? — spytała Holly.

— Było mi wygodnie.

— Chodzi o to, że mieszkał na farmie?

— Tak.

— Czy oddziaływałeś przez kogoś innego tak jak przez Jima?

— Nie.

— Nigdy przez dziesięć tysięcy lat?

— Czy to ma być podchwytliwe pytanie? Myślisz, że uda ci się mnie oszukać? Dalej mi nie wierzysz, kiedy mówię prawdę?

Holly spojrzała na Jima. Potrząsnął głową na znak, że nie czas na dyskusje, że roztropność jest nie tylko dojrzałym obliczem męstwa, ale teraz stanowi ich największą nadzieję.

Potem zastanowił się, czy to możliwe, żeby ta istota mogła czytać jego myśli, tak jak potrafiła w nie wtargnąć i narzucić swoje polecenia. Prawdopodobnie nie. Gdyby tak było, wybuchnęłaby teraz gniewem, wzburzona, że nadal biorą ją za szaloną i traktują protekcjonalnie.

— Przepraszam — powiedziała Holly. — To nie było pytanie podchwytliwe, wcale nie. Chcemy tylko cię poznać. Jesteśmy tobą zafascynowani. Jeżeli nasze pytania wydają ci się obraźliwe, zrozum, proszę, że dzieje się to niechcący, z winy naszej niewiedzy. Przyjaciel milczał.

Światło pulsowało teraz wolniej poprzez kamień i chociaż Jim zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa interpretowania działań Obcego w ludzkich kategoriach, czuł, że zmienione wzory i rytm promieniowania wskazują, iż Przyjaciel jest w nastroju kontemplacyjnym. Rozważa to, co Holly właśnie powiedziała, i zastanawia się, czy uznać to za szczere, czy nie.

W końcu głos rozbrzmiał powtórnie, bardziej łagodnie niż przed chwilą:

— Zadawajcie wasze pytania.

— Czy kiedyś zwolnisz Jima z jego pracy? — spytała Holly, zaglądając do bloku.

— Czy chce być zwolniony?

Holly spojrzała pytająco na Jima.

Biorąc pod uwagę to, przez co musiał przejść w ostatnich paru miesiącach, Jim był zaskoczony swoją odpowiedzią:

— Nie, jeżeli faktycznie czynię dobro.

— Czynisz. Jak możesz w to wątpić? Ale niezależnie od tego, czy uważasz moje intencje za dobre, czy złe, nigdy cię nie uwolnię.

Ulga, jaką odczuł, dowiedziawszy się, że nie ratował od śmierci przyszłych morderców i złodziei, przygasła. Zaćmił ją złowróżbny ton ostatniej uwagi.

— Dlaczego... — zaczęła Holly, ale Przyjaciel jej przerwał:

— Jest jeszcze inny powód, dla którego wybrałem Jima Ironhearta do tej pracy.

— O co chodzi?

— Było mu to potrzebne.

— Tak?

— Cel.

Jim zrozumiał. Jego lęk wobec Przyjaciela nie zmalął, ale poruszyło go to, co dał mu do zrozumienia. Chciał go uratować. Nadać sens jego pustemu życiu. Ta istota zbawiła go tak, jak on uratował Billy'ego Jenkinsa, Susie Jawolski i wszystkich innych, choć oni zostali uratowani przed bardziej bezpośrednim zagrożeniem niż widmo śmierci duszy, które groziło jemu. Tym wyznaniem Przyjaciel potwierdził, że stać go na litość. A Jim wiedział, że zasługiwał na litość po samobójstwie Larry'ego Kakonisa, kiedy osuwał się w bezsensowną depresję. To współczucie, nawet jeżeli było następnym kłamstwem, poruszyło Jima bardziej, niż oczekiwał; łzy napłynęły mu do oczu.

— Dlaczego czekałeś dziesięć tysięcy lat, żeby wybrać właśnie Jima do kształtowania ludzkich losów? — spytała Holly.

— Musiałem najpierw zbadać sytuację, zebrać dane, przeanalizować je, a potem zdecydować, czy moja interwencja będzie rozsądna.

— Podjęcie tej decyzji zabrało ci dziesięć tysięcy lat? Dlaczego? To czas dłuższy niż spisana historia ludzkości.

Brak odpowiedzi.

Powtórzyła pytanie.

W końcu Przyjaciel powiedział:

— Teraz odchodzę. — Potem, jakby obawiając się, że odczytają okazane przezeń niedawno współczucie za dowód słabości, dodał: — Jeżeli spróbujecie odjechać, umrzecie.

— Kiedy wrócisz? — spytała Holly.

— Nie śpijcie.

— Kiedyś musimy pójść spać — rzekła Holly, kiedy bursztynowe światło przeszło w czerwień i izba skąpała się w kolorze krwi.

— Nie śpijcie.

— Jest druga w nocy.

— Sny otwierają drzwi.

— Nie możemy być wiecznie na nogach, do cholery! — wybuchnęła Holly.

Światło w kamieniu zgąsło jak zdmuchnięte.

Przyjaciel odszedł.

Gdzieś ludzie się śmiali. Gdzieś grała muzyka, tańczono i gdzieś kochankowie dążyli ku ekstazie.

Ale w wyższej izbie wiatraka, przeznaczonej na magazyn, a obecnie pełnej po sufit obaw przed nadciągającą przemocą, panował nastrój zdecydowanie ponury.

Poczucie bezsilności napępniało Holly wściekłością. Przez całe życie była kobietą czynu, nawet jeśli jej działania były częściej destruktywne niż konstruktywne. Kiedy praca nie przynosiła zapowiadanej satysfakcji, nie wahała się zrezygnować z niej i pójść gdzie indziej. Kiedy jakiś związek stawał się zarzewiem konfliktów lub choćby nudy, dążyła do jego rozwiązania. A jeżeli często uciekała od pewnych spraw — od dziennikarstwa, kiedy spostrzegła, że przynosi ono tyle samo zła co wszystko inne, od nadziei na miłość, od zapuszczenia gdzieś korzeni i związania się z jednym miejscem — cóż, ucieczka także stanowiła jakąś formę działania. Teraz odbierano jej nawet tę możliwość.

Przyjaciel więc miał nad nią pod jednym względem dobry wpływ; nie pozwalał jej uciec przed tym problemem.

Przez chwilę omawiali z Jimem ostatnią wizytę i sprawdzali resztę pytań z listy.

O trzeciej piętnaście nad ranem byli zbyt zmordowani, żeby stać, i mieli za bardzo obolałe tyłki, żeby siedzieć. Zsunęli śpiwory i wyciągnięci jedno obok drugiego wpatrywali się w kopułę sufitu.



Żeby pomóc sobie w walce z sennością, ustawili lampę na najjaśniejszy płomień. Oczekując powrotu Przyjaciela, rozmawiali; o niczym ważnym, gadali o wszystkim, byle tylko zająć czymś umysł. Niełatwo zasnąć w środku rozmowy. Trzymali się również za ręce: jeśli jedno z nich zacznie drzemać, drugie zostanie ostrzeżone nagłym rozluźnieniem uścisku dłoni śpiącego.

Holly nie spodziewała się kłopotów z utrzymaniem trzeźwości umysłu. Za czasów uniwersyteckich fundowała sobie bezsenne noce przed egzaminami lub przed oddaniem prac pisemnych. Bez trudu wytrzymywała trzydzieści sześć godzin. W pierwszych latach pracy, kiedy jeszcze wydawało się jej, że dziennikarstwo ma dla niej znaczenie, śleczyła całymi nocami nad materiałem, sprawdzając dane, przesłuchując po raz kolejny nagrania lub główkując nad znalezieniem właściwego słowa. Ostatnio również nie spała, choćby ze względu na dręczącą ją bezsenność. W każdym razie miała naturę sowy. Małe piwo.

Ale chociaż nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny od wczorajszego ranka, kiedy została wyrwana ze snu w Laguna Niguel, czuła, jak piaskarz\* prześlizguje się koło niej, wszeptując w jej podświadomość zachętę do snu, snu, snu... Ostatnie kilka dni charakteryzowało szaleństwo aktywności i zmian osobowości, to ją osłabiło. A niektóre noce nie przyniosły odpoczynku, choćby z powodu snów. Sny otwierają drzwi. Sen groził niebezpieczeństwem i musiała czuwać. Do cholery, nie powinno się jej przecież tak chcieć spać bez względu na to, w jakim stresie żyła ostatnio! Usiłowała kontynuować rozmowę z Jimem, choć chwilami nie do końca wiedziała, o czym rozmawiają, i nie w pełni rozumiała własne słowa. Sny otwierają drzwi. Czuła się prawie jak po prochach lub jakby Przyjaciel, po ostrzeżeniu, w sekrecie naciskał w jej mózgu guzik zachęcający do snu. Sny otwierają drzwi. Walczyła jeszcze, żeby nie pogрузić się w nieświadomość, ale brakło jej sił... a może woli, żeby się podnieść... lub choć otworzyć oczy. Zamknięte oczy... Nie wiedziała, kiedy to się stało. Sny otwierają drzwi. Nawet uczucie paniki nie mogło jej obudzić. Pod zaklęciem piaskarza zapadała coraz głębiej w sen, chociaż serce biło jej coraz mocniej i mocniej. Czuła, jak ręka zwalnia uścisk dłoni Jima, wiedziała, że on odpowie na to ostrzeżenie, obudzi ją, ale oto i jego uścisk słabnie i uświadomiła sobie, że równocześnie ulegają piaskarzowi.

Unosiła się w ciemności.

Zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana.

To uczucie jednocześnie uspokajało i napawało lękiem.

Coś miało się zdarzyć.

Jednak na razie nic się nie działo.

Istniała ciemność.

Potem nagle poczuła, że czeka ją zadanie do wykonania.

Ale tak być nie powinno! To Jim był wysyłany do zadań, nie ona.

---

\*Bajkowa postać, która usypia dzieci, sypiąc piasek w oczy (przyp. tłum.).

Zadanie. Jej zadanie. Zostanie wysłana, aby wykonać własne zadanie. O istotnym znaczeniu. Jej życie będzie zależało od tego, czy się powiedzie. Życie Jima również. Również dalsze istnienie całego świata.

Ale ciemność trwała dalej.

Unosiła się. Było miło.

Spała i spała.

W jakimś momencie zaczęła śnić. Koszmary gorsze od wszystkiego, co w życiu widziała, płynęły w obrazach nieporównanie straszniejszych niż te ze snów o wiatraku i Nieprzyjacielu. Straszniejszych, gdyż odmalowanych z rozdzierającą wyrazistością. Uchwyciły ją w silne cęgi rozpacz i przerażenia, a żadne dotychczasowe przeżycie nie mogło jej na to przygotować, nawet katastrofa lotu 246.

Leży pod stołem na podłodze wyłożonej płytkami. Na boku. Patrzy z poziomu podłogi. Dokładnie przed nią stoi krzesło, nóżki z metalowych rurek i pomarańczowy plastik siedzenia, pod krzesłem rozsypane rumiane długie frytki i cheeseburger, mięso do połowy wysunięte z bułki, liść posmarowanej keczupem sałaty. Dalej kobieta, staruszka, też leży na podłodze z głową obróconą w jej stronę. Patrzy poprzez rurki krzesła, przez frytki i rozwalonego hamburgera, staruszka patrzy na nią z wyrazem zdziwienia, patrzy i patrzy, oko nie drgnie jej ani razu, potem Holly widzi, że staruszce brak oka, tego bliżej podłogi, dziura, płynąca krew. Och, proszę pani. Och, proszę pani, jak mi żal, jak mi pani żal. Holly słyszy potworny dźwięk dżada-dżada-dżada-dża-da-dżada-dżada-dżada, nie wie, co to, słyszy krzyk ludzi, wielu ludzi, dżada-dżada-dżada-dżada, dalej krzyki, ale już cichsze, pęka szkło, trzaska drewno, męczyzna ryczy jak niedźwiedź, ryczy wściekły i krzyczy, dżada-dżada-dżada-dża-da-dżada-dżada-dżada. Teraz wie, że to strzały, ciężki, rytmiczny grzmot broni automatycznej i chce stąd wyjść. Obraca się w przeciwnym kierunku, bo nie chce — nie może, po prostu nie może! — przeczołgać się obok staruszki z pustym oczodołem. Ale za nią leży mała dziewczynka, może ma osiem lat, leży na podłodze w różowej sukience, w czarnych skórzanych bucikach i białych skarpetkach, mała dziewczynka z jasnymi włosami, mała dziewczynka z, mała dziewczynka z, mała dziewczynka w skórzanych bucikach, mała dziewczynka z, mała dziewczynka z, mała dziewczynka w białych skarpetkach, mała dziewczynka z, mała dziewczynka z z z odstrzeloną połową twarzy! Czerwony uśmiech. Pęknięty biały ząbek w czerwonym wklęsłym uśmiechu. Szloch, krzyk i jeszcze więcej dżada-dżada-dżada-dżada, to nigdy się nie skończy, ten potworny dźwięk dżada-dżada-dżada-dżada. Wtedy Holly rusza się, gramoli na czworaka, dalej od staruszki i od małej dziewczynki z połową twarzy. Ręce oczywiście plask-chlask-mlask na ciepłych długich frytkach, gorącej kanapce z rybą, naczyniu z musztardą; brnie, brnie, pod stołami, między krzesłami, potem wsadza rękę w rozlaną colę zmieszaną z lodem, a kiedy widzi obrazek Kaczora Dixi na wielkim tekturowym kubku, z którego leje się lemoniada, wie, gdzie jest, jest w Hamburgero-

wym Pałacu Kaczora Dixi, jednym z najwspanialszych miejsc na tym świecie. Nikt teraz nie wrzeszczy, może dotarło do nich, że Pałac Kaczora nie jest miejscem do wrzeszczenia, ale ktoś łka i jęczy, a ktoś inny mówi proszę-proszę-proszę-proszę, w kółko i w kółko. Holly zaczyna wyłazić spod następnego stolika i widzi mężczyznę w kostiumie, stoi z metr od niej, na pół odwrócony i ona myśli, może to wszystko jakiś kawał, słodycze-albo-życie, jak to w Halloween. Ale to nie jest Halloween. A jednak mężczyzna jest w kostiumie, ma ciężkie buty jak normalny żołnierz i spodnie w kolorze ochronnym, i czarną koszulkę, i beret, jakie noszą Zielone Berety, tylko że ten jest czarny i to musi być kostium, bo to nie jest prawdziwy żołnierz; żołnierz nie może mieć brzucha zwiśającego nad pasem i nie golić się chyba z tydzień, żołnierze muszą się golić, więc on ma tylko strój żołnierza. Ta dziewczyna klęczy przed nim na podłodze, jedna z nastolatek, które pracują w Pałacu Kaczora, ta ładna, ruda, mrugnęła do Holly, kiedy przyjmowała zamówienie, teraz klęczy przed facetem w kostiumie żołnierza, z głową schyloną, jakby się modliła, tylko że mówi proszę-proszę-proszę-proszę. Facet krzyczy do niej o CIA i kontroli umysłu i tajnych siatkach szpiegowskich z centralą w magazynie Pałacu Kaczora. Potem facet przestaje krzyczeć i patrzy przez chwilę na rudą dziewczynę, po prostu patrzy na nią, a potem mówi patrz-na-mnie, a ona mówi proszę-proszę-nie, a on znów mówi patrz-na-mnie, więc ona podnosi głowę i patrzy, a on mówi co-myślisz-żem-głupi? Dziewczyna tak się boi, po prostu tak się boi, i mówi nie-proszę-ja-nic-o-tym-nie-wiem, a on mówi a-gównon-jak-nie-wiesz i opuszcza duży automat i celuje jej w twarz może o centymetr albo dwa od twarzy. Ona mówi och-mój-Boże-och-mój-Boże, a on mówi jesteś-kabel i Holly jest pewna, że gość odrzuci na bok automat i roześmieje się i każdy, kto grał umarlaka, wstanie i też się roześmieje, i wyjdzie właściciel, i przyjmie oklaski za przedstawienie Halloween, tylko że to nie jest Halloween. Wtedy facet naciska spust dżada-dżada-dżada-dżada-dżada i ruda dziewczyna się rozpryskuje. Holly zwija się w drugą stronę i wycofuje się, skąd przyszła, porusza się szybko, usiłuje zwać przed nim, zanim ją zobaczy, bo to wariat, tak już z nim jest, wariat. Holly rozchlapuje to samo jedzenie i picie, jakie rozchlapała poprzednio, mija małą dziewczynkę w różowej sukience, brnie w jej krwi, modli się, żeby wariat nie usłyszał, jak przed nim zwiewa. DŻADA-DŻADA-DŻADA-DŻADA-DŻADA-DŻADA! Ale on musi strzelać w innym kierunku, ponieważ kule nic wokół niej nie rozbijają, przełazi przez nieżywego człowieka z wnętrznościami na wierzchu, słyszy teraz syreny, syreny wyją na dworze, gliny dostaną tego wariata. Wtedy słyszy za sobą łomot, stolik przewrócony, bliski hałas, obraca się, dostrzega wariata, idzie tuż za nią, odrzuca stoliki, kopie krzesła, widzi ją. Przeczolguje się przez następną nieżywą kobietę i znajduje się w kącie na trupie mężczyzny, który osunął się w rogu, jest na kolanach nieżywego mężczyzny, w objęciach nieżywego mężczyzny i nie ma sposobu, żeby się stąd wydostać, bo

wariat nadchodzi. Wariat jest taki straszny, taki zły i taki straszny, ona nie może patrzeć, jak nadchodzi, nie chce zobaczyć automatu przed twarzą, jak to zobaczyła ruda dziewczyna, więc odwraca głowę do trupa mężczyzny...

Nigdy z żadnego snu tak się nie obudziła. Nie wrzeszcząc, nie zachłystując łkaniem, ale dusząc się. Zwinięta w ciasny kłębek, rzęziła i dławiała się — nie kęsem, ale obrzydzeniem.

Jim leżał odwrócony do niej, na boku. Kolana podciągnął w nieco zmodyfikowanej pozycji płodowej. Spał głęboko.

Wreszcie udało się jej złapać oddech. Siadła. Nie drżała — telepała się. Dosłownie słyszała grzechot własnych kości.

Chwała Bogu, że po wieczornych pączkach nie wzięła nic więcej do ust. Rozpuściły się w żołądku kilka godzin temu. Gdyby zjadła jeszcze coś, musiałaby to teraz zwrócić.

Zgarbiła się, ukryła twarz w dłoniach. Siedziała tak, aż wstrząsy przeszły w drgawki, a drgawki rozpląnęły się w fale dreszczy.

Kiedy oderwała ręce od twarzy, ujrzała, że brzask przenika przez wąskie okienka izby. Słabo, szaroróżowo opalizujące żarzenie zapowiadało dopiero słoneczno-błękitną jasność, niemniej jednak był to brzask. Uświadomiła sobie, że nie miała pewności, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy.

Spojrzała na zegarek. Szósta dziesiąta. Świt musiał zacząć się dopiero przed chwilą. Spała jedynie dwie, dwie i pół godziny. Już lepiej było w ogóle nie spać; nie czuła się ani trochę bardziej rześko.

Sen. Podejrzewała, że Przyjaciół skorzystał ze swych telepatycznych mocy, aby uspić ją wbrew woli, a niezwykła intensywność koszmaru umacniała ją w przekonaniu, że to on wyświetlił jej szpulę tego makabrycznego filmu na ekranie jaźni.

Ale dlaczego?

Jim zamruczał, poruszył się, potem znieruchomiał, oddychając głęboko, lecz spokojnie. Nie mógł śnić o tym samym, inaczej miotałby się i wył jak powieszony na haku.

Posiedziała jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy miała to być prorocza wizja, czy Przyjaciół ostrzegł ją, że skończy w Pałacu Kaczora, walcząc o życie, czołgając się wśród jedzenia i krwi, ścigana przez oszalałego maniaka z bronią automatyczną? W życiu nie słyszała o Pałacu Kaczora i nie potrafiła wyobrazić sobie bardziej niedorzecznego miejsca śmierci.

Żyła w świecie, w którym na ulicach pełno było ludzi z tak wypalonymi mózgami, że potrafili z bronią w ręku szukać owych kabli pracujących dla CIA i kierujących siatkami szpiegowskimi z barów hamburgerowych. Pracowała w dziennikarstwie, od kiedy stała się dorosła. Widziała rzeczy nie mniej tragiczne, nie mniej dziwne.

Po jakichś piętnastu minutach nie mogła już myśleć o sennym koszmarze; w każdym razie nie teraz. Im dłużej się nad nim zastanawiała, tym bardziej narastała jej dezorientacja i bezsilność. Inaczej niż w przypadku pozostałych snów pamięć nie chciała zatrzymać obrazów rzezi, sprawiała tylko, że stawały się coraz żywsze. Musiała odłożyć rozwiązanie tej zagadki.

Jim spał i przez chwilę zastanawiała się, czy go nie obudzić. Ale potrzebował odpoczynku nie mniej niż ona! Nic nie wskazywało, że Nieprzyjaciel skorzystał z drzwi otwartych we śnie. Nie nastąpiły żadne zmiany w kamiennych ścianach ani w dębowej podłodze; niech śpi.

Kiedy rozglądała się po izbie, badając wzrokiem ściany, zauważyła żółty blok na podłodze pod oknem. Odrzuciła go wczoraj wieczór i zastanowiło ją teraz, co blok zawiera.

Najciszej, jak mogła, wysunęła się z pośłania, wstała i ruszyła na palcach przez izbę, za każdym krokiem sprawdzając, czy deski nie zaskrzypią, kiedy stanie na nich całym ciężarem. Kiedy zatrzymała się, żeby schylić się po blok, usłyszała coś, na dźwięk czego zamarła. Bicie serca z trójkrotnym uderzeniem.

Rozejrzała się po ścianach, podniosła wzrok ku sklepieniu sufitu. Mocno płonąca lampa i okna dawały dość światła, aby mieć pewność, że wapienne bloki były tylko wapieniem, a drewno drewnem.

*Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...*

Dźwięk był słaby, jakby ktoś daleko, daleko wystukiwał rytm na bębnie, gdzieś tam na spalonych, zbrązowiałych wzgórzach.

Ale ona wiedziała, co to jest. Nie bęben, tylko rytm poprzedzający materializację Nieprzyjaciela. Tak jak dzwoneczki, aż do ostatniej wizyty, poprzedzały pojawienie się Przyjaciela.

Kiedy tak nasłuchiwała, ucichł.

Wytężyła słuch.

Zniknął.

Z ulgą, ale nadal roztrzęsiona, podniosła blok. Strony były pogniecione i szeleściły, kiedy je przerzucała.

Równy oddech Jima odbijał się po izbie cichym echem, miarowo i jednostajnie.

Holly przeczytała odpowiedzi z pierwszej strony, potem z drugiej. Były identyczne z tym, co powiedział Przyjaciel.

*Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...*

Poderwała głowę.

Dźwięk nadal był daleki, cichy jak poprzednio.

Jim zajęczał przez sen.

Holly cofnęła się od okna, aby go obudzić, ale przerażający dźwięk znów odpłynął. Było oczywiste — Nieprzyjaciel znalazł się w pobliżu, ale nie zdołał odszukać drzwi do snu Jima. Jim musi się przespać, inaczej nie będzie mógł funkcjonować. Zdecydowała się zostawić go w spokoju.

Zbliżyła się powtórnie do okna, podniosła do światła blok z odpowiedziami. Obróciła piątą stronę — i poczuła, jak kark lodowacieje jej i sztywnieje jak skóra na zamrożonym indyku.

Obracając kartki delikatnie, żeby jak najmniej szeleścić, sprawdziła szóstą stronę, siódmą, ósmą. Wszystkie wyglądały tak samo. Znaki niewątpliwie pochodziły od tego, kto poprzednio wyczarowywał sztuczki z pisaniem. Ale nie były to odpowiedzi na jej pytania. Były to dwa występujące na przemian stwierdzenia, bez znaków przestankowych; po trzy razy na każdej stronie:

ON CIĘ KOCHA HOLLY  
ON CIĘ ZABIJE HOLLY  
ON CIĘ KOCHA HOLLY  
ON CIĘ ZABIJE HOLLY  
ON CIĘ KOCHA HOLLY  
ON CIĘ ZABIJE HOLLY

Patrząc na te obsesyjnie powtarzające się słowa, pojęła, że on to może być tylko Jim. Skupiła się na drugiej nienawistnej czwórce słów, usiłując ją zrozumieć.

Nagle wydało się jej, że zna rozwiązanie. Przyjaciel ostrzegał ją, że Jim, pogrążony w szaleństwie, wystąpi przeciwko niej, może nienawidząc za to, że sprowadziła go do wiatraka, zmusiła, aby próbował wyjaśnić wszystko, oderwała od jego wypraw. Jeżeli Przyjaciel, zdrowa część obcej świadomości, potrafił wejść w jaźń Jima i wzywać go do zadań służących ratowaniu życia, czy nie było możliwe, że Nieprzyjaciel, ciemna połowa, wtargnął tam również i wzywał do zabijania?

Nie. To niemożliwe. To prawda, Jim potrafił zabijać w obronie niewinnych ludzi. Ale nie potrafili by zabić niewinnego. Żadna obca świadomość, nawet najpotężniejsza, nie mogła pokonać jego prawdziwej natury. W głębi serca był dobry, przyjazny i opiekuńczy. Jego miłości do niej nie da rady zniszczyć żadna obca siła, jakkolwiek by była potężna.

Ale skąd ta pewność?

Przypomniała sobie Normana Rinka. Sklep w Atlancie. Jim władował w faceta osiem pocisków, jeden po drugim, chociaż tamten już nie żył.

*Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...*

Nadal daleko.

Jim zajęczał cicho.

Odsunęła się od okna, żeby go obudzić, niemal wymówiła jego imię, gdy nagle uświadomiła sobie, że Nieprzyjaciel już mógł nim zawładnąć. Sny otwierają drzwi. Nie miała pojęcia, co Przyjaciel chciał przez to powiedzieć lub czy nie był to jeszcze jeden teatralny element jak dzwonki. Ale może oznaczało to, że Nieprzyjaciel wejdzie w sny śpiącego i przez nie w jego umysł. Może tym razem nie zamierzał materializować się ze ściany, ale z Jima, z postaci Jima, w pełni zawładnąwszy Jimem — tak sobie, dla małego krwawego żarciku.

*Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...*

Trochę głośniej, trochę bliżej?

Holly poczuła, że zdrowy rozsądek zaczynają opuszczać. Paranoja, schizofrenia, najzwyklejsze szaleństwo. Nie lepsze niż to u Przyjaciela i jego drugiej połówki. Gorączkowo usiłowała zrozumieć całkowicie obcą świadomość i im głębiej wgryzała się w liczne możliwości, tym stawały się dziwniejsze i bardziej zróżnicowane. W nieskończonym wszechświecie nic nie jest nieprawdopodobne. Każdy nocny koszmar może się ucieleśnić. Dlatego też w nieskończonym wszechświecie życie jest w istocie identyczne ze snem. Rozważanie takiego poglądu w stresowej sytuacji życie-albo-śmierć gwarantowało zamianę mózgu w kaszę.

*Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...*

Nie mogła się ruszyć. Zostawało tylko czekać. Trójkrotny rytm znów przygasł.

Oparła się o ścianę przy oknie, mniej obawiając się teraz kamienia niż Jima Ironhearta.

Spojrzała znów na blok trzymany w dłoniach. Parę kartek przewinęło się i nie widziała już litanii ON CIĘ KOCHA HOLLY ON CIĘ ZABIJE HOLLY. Przed jej oczami natomiast znalazła się lista osób uratowanych przez Jima oraz bombastyczne wyjaśnienia Przyjaciela.

Dostrzegła nazwisko Aimesa. Natychmiast dotarło do niej, że jedynie jego los Przyjaciel pominął milczeniem. Pamiętała go, był jedyną starszą osobą na liście, miał pięćdziesiąt siedem lat. Przeczytała zapis pod nazwiskiem i chłód, jaki poprzednio poczuła na karku, był niczym w porównaniu z sosem lodu, który wbił się tam teraz i spływał w dół kręgosłupa.

Steven Aimes został uratowany nie dlatego, że spłodzi dziecko, które zostanie wielkim dyplomatą, artystą lub uzdrowicielem. Został uratowany nie dlatego, że trwale przyczyni się do zwiększenia dorobku ludzkości. Przyczyna, dla której został uratowany, była wyrażona zaledwie w dziesięciu słowach, najbardziej przerażających dziesięciu słowach, jakie Holly kiedykolwiek przeczytała i miała przeczytać: PONIEWAŻ WYGLĄDAŁ JAK MÓJ OJCIEC KTÓREGO JA NIE POTRAFIŁEM URATOWAĆ. Nie, jak ojciec Jima, jak powiedziałby to Przyjaciel. Nie „którego on nie potrafił uratować”, jak na pewno ująłby to Obcy. MÓJ OJCIEC. JA NIE POTRAFIŁEM. MÓJ. JA.

Nieskończony wszechświat właśnie się jeszcze poszerzył i teraz dostrzegła całkowicie nową możliwość. Żaden statek gwiazdny nie leżał na dnie stawu. Żadna obca istota nie kryła się na farmie przez dziesięć tysięcy lat, dziesięć lat czy też dziesięć dni. Przyjaciel i Nieprzyjaciel byli całkiem realni: każdy z nich stanowił jedną trzecią, nie połowę tej samej osobowości, trójka żyła w jednej istocie, istocie o przeogromnych, wspaniałych i przerażających mocach, istocie boskiej, lecz równocześnie tylko ludzkiej, tak jak i ona. Jim Ironheart, który w wieku dziesięciu lat został powalony i strzaskany przez tragedię, pracowicie próbował się scalić za pomocą rozbudowanej fantazji o podróżujących bogach.

Nie miała pojęcia, skąd wzięła potęgę, którą w tak oczywisty sposób władał, ani dlaczego nie był w ogóle świadom, że tkwi ona w nim, a nie pochodzi od jakiejś wymagowanej obcej istoty. Świadomość, że to on był wszystkim, że początek i koniec tej tajemnicy spoczywa wyłącznie w nim, rodziła więcej pytań niż odpowiedzi. Nie rozumiała, jak to było możliwe, ale w końcu poznała prawdę. Później, jeśli przeżyje, niewykluczone, że będzie miała czas na dotarcie do pełniejszych wyjaśnień.

*Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...*

Bliżej, ale nie blisko.

Holly wstrzymała oddech, niepewna, czy dźwięk zabrzmiał głośniej.

*Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...*

Jim poruszył się przez sen. Zachrapał lekko i mlasnął zupełnie zwyczajnie, jak to robią śpiący.

Ale siedziały w nim trzy osobowości i przynajmniej dwie z nich posiadały niewiarygodną moc, a co najmniej jedna była zabójcza. I nadciągała.

*Lab-dab-DAB...*

Holly niemal wcisnęła się w ścianę. Serce waliło jej mocno, gardło ścisnęło się; nie mogła przełknąć śliny.

Trójkrotny rytm odpłynął.

Cisza.

Przesunęła się po zakrzywionej ścianie. Lekko, małymi kroczkami. Bokiem. W kierunku drewnianych, okutych żelazem drzwi. Odsunęła się na tyle od ściany, żeby wyciągniętą ręką schwycić pasek torebki.

Im bliżej szczytu schodów, tym bardziej nabierała przekonania, że drzwi zatrzasną się z hukiem, zanim do nich dotrze, że Jim poderwie się i obróci w jej kierunku. Jego niebieskie oczy nie będą piękne, lecz zimne, jak to widziała dwukrotnie; pełne wściekłości, ale zimne.

Znalazła się przy drzwiach, prześliznęła tyłem na pierwszy stopień, nie chcąc tracić Jima z oczu. Ale nie może schodzić tyłem po tych wąskich schodach bez poręczy; spadnie, złamie rękę lub nogę. Obróciła się i pospieszyła w głąb tak szybko, jak śmiała, tak cicho, jak mogła.



Chociaż aksamitnoszare światło rysowało kontury okien, dolna izba była zdra-  
dziecko mroczna. Holly nie miała latarki, tylko dodatkowy strumień adrenaliny we  
krwi. Nie pamiętała, czy przy ścianie nie leży jakiś gruz, który osunie się, jeśli na niego  
wpadnie. Powoli przesuwiała się po łuku kamiennej płaszczyzny, to dotykając jej plec-  
ami, to znów bokiem. Przedśionek znajdował się gdzieś przed nią na prawo. Kiedy spoj-  
rzała w lewo, dostrzegła słaby zarys podnóża schodów, z których dopiero co zeszła.

Sunąc prawą rękę po ścianie, wyczuła wreszcie jej załamane. Minęła łuk zamykający  
izbę i weszła do przedśionka. Noc była ciemna choć oko wykol, ale teraz rozjaśniał ją  
lekki blask poranka, widoczny w otwartych na zewnątrz drzwiach.

Zbliżał się ranek. Jak na sierpień przyjemnie chłodny.

Gładki i szary staw.

W tle ciche, prawie niesłyszalne poranne brzęczenie owadów, jak lekkie wyładowa-  
nia w radiu ściszone prawie do minimum.

Pospieszyła do forda i cicho otwarła drzwi.

Pomyślała o kluczach i znów ogarnęła ją panika. Potem wyczuła je w kieszeni dżin-  
sów; wsunęła je tam w nocy po wizycie w domu. Jeden klucz był od farmy, drugi od  
domu w Laguna Niguel, dwa kluczyki od samochodu, wszystkie na zwykłym miedzia-  
nym łańcuszku.

Cisnęła torebkę i blok na tylne siedzenie, wsiadła, ale nie zamknęła drzwi z obawy,  
że trzask obudzi Jima. Nie znajdowała się jeszcze w domu, wolna i swobodna. Mógł wy-  
paść z wiatraka, posłuszny Nieprzyjacielowi, przeskoczyć krótki odcinek zwirowanej  
ścieżki i wywlec ją z wozu.

Ręce się jej trzęsły, kiedy niezdarnie manewrowała kluczykami. Kiedy wreszcie zna-  
lazła właściwy, włożyła go w stacyjkę, przekręciła, położyła stopę na pedale gazu i pra-  
wie załkała z ulgi, kiedy silnik zaskoczył z rykiem.

Zatrzasnęła drzwi, wrzuciła wsteczny i wycofała po żwirze wokół stawu. Kiedy je-  
chała tyłem, grad kamyczków bił o tył podwozia.

Dotarła do przestrzeni pomiędzy stodołą a domem, gdzie mogła zawrócić i ruszyć  
przodem podjazdem, ale zamiast wykonać manewr, nacisnęła hamulec. Wpatrywała się  
w wiatrak, widoczny teraz po drugiej stronie lustra wody.

Nie miała dokąd uciekać. Dokądkolwiek się uda, on ją odnajdzie. Potrafił dojrzeć  
przyszłość, przynajmniej w części, choć może nie tak żywą i dokładnie odrysowaną,  
jak twierdził Przyjaciół. Potrafił przemienić gipsową ścianę w monstrialny żywy orga-  
nizm, zmienić wapien w przezroczystą substancję wypełnioną wirującymi, świecącymi  
cząsteczkami, narzucić jej snom obraz ohydnej bestii, wymalować go w drzwiach mo-  
telu, ścigać ją, znaleźć, osaczyć. Wciągnął ją w swoją szaleńczą fantazję i najprawdopo-  
dobniej nadal chciał, by odgrywała w niej swą rolę. Przyjaciół w Jimie i sam Jim może  
pozwoliliby jej odejść. Ale trzecia część osobowości — mordercza część, Nieprzyjaciół

— nadal będzie łaknęła jej krwi. Może się jej uda, może dobrotliwe dwie trzecie nie pozwolą tamtej jednej trzeciej zapanować nad resztą i dopaść jej. Ale wątpiła w to. Poza tym nie mogła spędzić reszty życia na oczekiwaniu, że ściana wybrzuszy się niespodziewanie, przybierze kształt ust i odgryzie jej rękę.

I był jeszcze jeden problem.

Nie mogła go porzucić. Potrzebował jej.

## CZEŚĆ TRZECIA

# NIEPRZYJACIEL

*Od lat najmłodszych, lat dzieciennych  
Życ ani patrzeć tak jak inni  
Nie mogłem*

EDGAR ALLAN POE „Od lat najmłodszych”\*

*Wibracje drutów,  
kryształki lodu  
w bijącym sercu.  
Zimny płomień.*

*Umysłu chłód:  
zmrożona stal,  
odmęty furii, posępność.  
Zimny płomień.*

*Życia gwałt,  
śmierć i bezsilność.  
Tarcza;  
Zimny płomień.*

KSIEGA POLICZONYCH SMUTKÓW

---

\*Edgar Allan Poe „Poezje wybrane”, przeł. Roman Klewin.

## **RESZTA Z 29 SIERPNI**

### **1**

Holly siedziała w fordzie, wpatrując się w stary wiatrak, przestraszona i ucieszona zarazem. Skąd ta radość? Może stąd, że po raz pierwszy w życiu znalazła coś, czemu była gotowa oddać się bez reszty. Nie przelotnie. Nie „dopóki-mi-się-nie-znudzi”. Była gotowa rzucić na szalę swoje życie. Dla takiego Jima, jaki był teraz, i dla tego człowieka, jakim stanie się po ozdrowieniu; dla przyszłości ich obojga.

Nawet gdyby powiedział, że może odejść, i nawet gdyby wierzyła, że mówi to szczerze, nie porzuciłaby go. Był dla niej wybawieniem. A ona dla niego.

Wiatrak stał jak wartownik, samotny na tle spopielałego nieba. Jim nie pojawiał się w drzwiach. Może jeszcze się nie obudził.

Nadal w obrębie wielkiej tajemnicy kryło się mnóstwo mniejszych zagadek, ale teraz wiele z nich stało się boleśnie jasne. Czasami nie udawało mu się kogoś uratować — jak ojca Susie Jawolski — ponieważ w istocie rzeczy nie działał na polecenie jakiegoś nieomylnego boga czy wszechwiedzącej obcej istoty; działał korzystając z własnych, fenomenalnych, ale niedoskonałych wizji; był tylko człowiekiem. Niezwykłym, ale właśnie człowiekiem, a nawet najwspanialszy ludzie są ograniczeni. Musiał czuć, że w jakiś sposób zawiódł swych rodziców. Ich śmierć ciążyła mu na sumieniu i usiłował to odpokutować, ratując życie innym: **PONIEWAŻ WYGLĄDAŁ JAK MÓJ OJCIEC KTÓREGO JA NIE POTRAFIŁEM URATOWAĆ.**

Teraz również stało się jasne, dlaczego Nieprzyjaciel nękał ich jedynie podczas snu: Jim śmiertelnie bał się tego mrocznego aspektu samego siebie, tego upostaciowienia własnej furii i na jawie stanowczo usuwał go ze świadomości. W jego domu w Laguna Nieprzyjaciel zmaterializował się w sypialni, kiedy Jim spał, i faktycznie przetrwał za ledwie chwilę po jego obudzeniu się i kiedy przebił się przez sufit sypialni, po prostu znikł, gdyż był tylko resztką snu. Sny otwierają drzwi, ostrzegł Przyjaciel, to znaczy

ostrzegął sam Jim. Sny otwierają drzwi, tak, ale nie dla złych, terroryzujących umysł potworów z obcych planet; sny otwierają drzwi, którymi wkracza podświadomość i to, co się z niej wyłaniało, było aż nadto ludzkie.

Miała również inne kawałki układanki. Nie wiedziała tylko, jak je dopasować.

Była na siebie wściekła za to, że w poniedziałek, kiedy wreszcie Jim otworzył drzwi na patio i pozwolił jej wkroczyć w swoje życie, nie zadała odpowiednich pytań. Upierał się, że jest tylko instrumentem, że nie posiada własnej mocy. Za szybko to kupiła. Powinna była głębiej wiercić, powinna ostrzej go przepytwać. Zawiniła, przeprowadzając wywiad po amatorsku, jak Jim w czasie pierwszego zjawienia się Przyjaciela.

Była zirytowana, że bez zastrzeżeń akceptowała każde słowo Przyjaciela. Teraz wiedziała, że stworzył go z tej samej przyczyny co inne ofiary syndromu rozszczepienia jaźni: mnożył kolejne osobowości, aby poradzić sobie ze światem, który go oszałamiał i przerażał. Samotny i zależniony dziesięciolatek uciekł w świat fantazji. Stworzył tam Przyjaciela, magiczny byt, który stał się źródłem pociechy i nadziei. Kiedy Holly zaczęła przypierać Przyjaciela do muru, domagając się bardziej logicznych wyjaśnień, Jim stawiał opór. Drążąc temat, zagrażała fantazjom, w których znajdował oparcie i których rozpaczliwie potrzebował.

Z identycznych powodów w tamto poniedziałkowe przedpołudnie nie zadawała Jimowi takich pytań, jakie powinna. On był snem, który podtrzymywał ją na duchu. Wkroczył w jej życie jak wymarzony heros, z właściwą figurom ze snu gracją i rozmachem. Dopóki go nie ujrzała, nie wiedziała, jak bardzo kogoś takiego potrzebowała. Na jej miejscu każdy dobry reporter wysondowałby go głębiej, ale ona, w obawie, że go utraci, pozwoliła mu pozostać tym, za kogo chciał uchodzić.

Teraz ich jedyną nadzieją była próba dotarcia do całej prawdy. Nie mógł być uleczony, dopóki nie zrozumieją, dlaczego stworzył ten szczególny, niesamowity, fantastyczny świat i jak, na litość boską, udało mu się rozwinąć ponad-ludzkie moce, którymi dysponował.

Siedziała z rękami na kierownicy, gotowa do działania, ale nie mając pojęcia, co robić. Nie знаła nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc. Potrzebowała wyjaśnień, które istniały jedynie w przeszłości lub w podświadomości Jima. Obydwa te miejsca były w tym momencie jednakowo niedostępne.

Nagle olśnienie spadło na nią jak grom. Uświadomiła sobie, że Jim już wręczył jej pęk kluczy otwierających drzwi do pozostałych tajemnic. Kiedy wjechali do New Svenborga, zabrał ją na przejażdżkę po mieście, co wtedy zrobiło na niej wrażenie taktycznej zwłoki przed jazdą na farmę. Teraz dotarło do niej, że tę przejażdżkę wypełniały najważniejsze rewelacje, które przed nią odsłonił. Każda nostalgiczna pamiątka stanowiła klucz do przeszłości i niewyjawionych tajemnic, które, raz odkryte, pozwolą jej mu pomóc.

Potrzebował pomocy. Jakaś jego część rozumiała, że jest chory, uwikłany w schizoidalną fantazję, i sam chciał się z niej wyrwać. Miała tylko nadzieję, że Jim zapanuje nad Nieprzyjacielem, zanim dowiedzą się tego, co konieczne. Najbardziej mroczne odszczepienie jego jaźni nie życzyło jej powodzenia; jej sukces będzie oznaczał jego śmierć i przy najbliższej okazji zniszczy ją, żeby się uratować.

Jeżeli ona i Jim chcą żyć razem lub w ogóle żyć, ich przyszłość leży w przeszłości, a przeszłość jest ukryta w New Svenborgu.

Ostro skręciła w prawo, zaczęła wyjeżdżać z podjazdu na wiejską drogę — i stanęła. Znow spojrzała na wiatrak.

Jim musi wziąć udział we własnej kuracji. Nie mogła sama dojść prawdy i kazać mu w nią tylko uwierzyć. Musi ujrzeć ją na własne oczy.

Kochała go.

Bała się go.

Nie mogła nic poradzić na miłość, stanowiła teraz jej część jak krew, kości i mięśnie. Ale prawie każdy strach jest do pokonania — wystarczy znaleźć jego przyczynę.

Zaskoczona własną odwagą, wróciła zwirowaną ścieżką do stóp wiatraka. Trzy razy długo naciskała klakson, potem jeszcze trzy razy, odczekała parę sekund, zatrąbiła jeszcze i jeszcze.

Jim pojawił się w drzwiach. Wynurzył się w szary poranek, patrząc na nią zmrużonymi oczami.

Holly otworzyła drzwi i wysiadła z wozu.

— Obudziłeś się?

— A wyglądam na lunatyka? — spytał, podchodząc do niej. — Co się dzieje?

— Chcę mieć do końca pewność, że się obudziłeś, zupełnie obudziłeś.

Staął przed nią.

— Dlaczego nie otworzysz maski, żebym wsadził pod nią głowę, a ty naciśniesz klakson na jakieś dwie minuty, żeby mieć do końca pewność? Holly, co się dzieje?

— Musimy pogadać. Wsiadaj.

Skrzywił się, przeszedł na drugą stronę wozu. Już w środku spytał:

— To nie będzie nic miłego, prawda?

— Nie. Niespecjalnie.

Przed nimi zaskrzypiały skrzydła wiatraka. Zaczęły obracać się powoli, z coraz większym zgrzytem i trzeszczeniem, siejąc drzazgi i kawałki zgniłego drewna.

— Przestań — rzekła, pełna obawy, że obracające się skrzydła to preludium do zjawienia się Nieprzyjaciela. — Wiem, że nie chcesz słuchać tego, co mam ci do powiedzenia, ale nie próbuj mnie rozpraszać, nie próbuj mnie powstrzymać.

Nie odpowiedział. Zafascynowany patrzył na wiatrak, jakby nie słyszał, co Holly do niego mówi. Szybkość obrotów rosła.

— Jim, do cholery!

W końcu spojrział na nią, zdumiony gniewnym tonem, jaki, mimo strachu, brzmiał w jej głosie.

— Co?

Wkoło, wkoło, w-koło-w-koło-w-koło, wkołowkołowkoło.

Obracały się, jak opanowane przez duchy diabelskie koło podczas karnawału potępieńców.

— A niech to szlag! — zaklęła.

Strach jej wzmagał się razem z szybkością obrotów skrzydeł. Wrzuciła wsteczny, obejrzała się przez ramię i wycofała z dużą prędkością, okrążając staw.

— Gdzie jedziemy? — spytał.

— Niedaleko.

Ponieważ wiatrak stanowił centrum złudy Jima, Holly uznała za dobry pomysł uwolnienie się od jego obrazu na czas rozmowy. Dojechała do końca podjazdu i zatrzymała się, tak że mieli widok na drogę.

Opuściła swoje okno i on poszedł za jej przykładem.

Zgasiła silnik, obróciła się do Jima. Chociaż wiele teraz o nim wiedziała — lub podejrzewała, że wie — chciała dotknąć jego twarzy, pogłodzić po włosach, objąć. Wywoływał w niej macierzyńskie uczucia, o które nawet się nie podejrzewała — tak jak wzbudzał w niej erotyczny odzew i namiętność o sile przekraczającej wszystko, czego do tej pory doznała.

Wyraźnie wzbudza w tobie samobójcze tendencje, pomyślała. Jezu, Thorne, ten facet niemal powiedział, że cię zabije!

Ale tak samo powiedział, że kocha.

Dlaczego wszystko musi być pokręcone?

— Zanim zacznę... chcę, żebyś wiedział, że cię kocham.

To była najbardziej kretyńska odzywka na świecie, tak fałszywie zabrzmiała. Słowa nie mogły przekazać tego, co działo się naprawdę, trochę dlatego, że jej uczucie było głębsze, niż się tego spodziewała, a trochę dlatego, że to nie było jedno uczucie, ale mieszanka miłości, obawy i nadziei. W każdym razie powtórzyła:

— Naprawdę, kocham cię ogromnie.

Uścisnął jej rękę, uśmiechając z widoczną przyjemnością.

— Jesteś cudowna, Holly.

Nie było to dokładnie „i-ja-cię-też-kocham-Holly”, ale ujdzie. Nie miała oczekiwań bohaterki romansu. Nic nie jest proste. Kochanie Jima Ironhearta było jak równoczesne kochanie umęczonego Maxa de Wintera z „Rebeki”, Supermana — i Jacka Nicholsona w każdej roli, jaką grał. Choć nie należało to do zadań łatwych, nie było również nudne.

— Chodzi o to, że kiedy wczoraj rano płaciłam rachunek za motel, a ty siedziałeś w samochodzie i gapiełeś się na mnie, zorientowałam się, iż nie powiedziałeś mi, że mnie kochasz. Wyjeżdżałam z tobą, oddawałam się w twoje ręce, a ty nie wypowiedziałeś tych słów. Ale potem pomyślałam, że ja też ich nie powiedziałam, ja też rozgrywałam to na chłodno, nie ryzykując pierwszego kroku i trzymając gardę. Więc robię ten krok, wchodzę na tę cienką linię rozpiętą wysoko i bez żadnej siatki ochronnej w dole, głównie dlatego, że dziś w nocy wyznałeś, że mnie kochasz, i lepiej, żeby to była prawda.

Wyraz sceptycyzmu pojawił się na jego twarzy.

— Wiem, że nie pamiętasz tego, ale tak było — kontynuowała. — Masz kłopoty z wymawianiem tego słówka. Może dlatego, że twoi staruszkowie odeszli, kiedy byłeś mały, i boisz się zbliżyć do kogoś ze strachu, że też go stracisz. Analiza na gorąco. Holly Freud. W każdym razie naprawdę powiedziałeś mi, że mnie kochasz, i dowiodę ci tego za chwilę, ale teraz, zanim zanurzymy się w ten bałagan, wiedz, że nie sądziłam, iż będę czuła do kogokolwiek to, co czuję do ciebie. Więc jeśli to, co ci za chwilę powiem, będzie ciężkie i wyda ci się nawet niemożliwe do przyjęcia, wiedz, że płynie tylko z miłości, z niczego innego.

Wpatrywał się w nią.

— Tak, dobra. Ale, Holly, to...

— Przyjdzie kolej i na ciebie. — Pochyliła się, pocałowała go. — Teraz musisz słuchać.

Opowiedziała mu wszystko, co przemyślała, dlaczego wysliznęła się z wiatraka, kiedy spał — i dlaczego wróciła. Słuchał z rosnącą niewiarą, a ona stale hamowała jego protesty, lekko ściskając mu dłoń, kładąc rękę na ustach albo dając przelotny pocałunek. Blok z odpowiedziami, który podała mu z tylnego siedzenia, oszołomił go i osłabił protesty. **PONIEWAŻ WYGLĄDAŁ JAK MÓJ OJCIEC KTÓREGO JA NIE POTRAFIŁEM URATOWAĆ.** Ręce mu się trzęsły, kiedy wpatrywał się w ten niewiarygodny wers. Zajrzał do innych zaskakujących przekazów, powtarzających się na poprzednich stronach — **ON CIĘ KOCHA HOLLY ON CIĘ ZABIJE HOLLY** — i drzenie rąk jeszcze wzrosło.

— Nigdy bym cię nie skrzywdził — powiedział, niespokojnie wpatrując się w blok. — Nigdy.

— Wiem, że nigdy byś tego nie chciał.

Doktor Jekyll nigdy nie chciał być morderczym mister Hyde'em.

— Ale uważasz, że to ja przesłałem, nie Przyjaciel.

— Wiem, że ty, Jim. Pasuje do ciebie.

— Jeśli przesłał to Przyjaciel, będący mną, częścią mnie, to uwierzyłaś, że „ja cię kocham Holly” jest prawdą.

— Tak — powiedziała cicho.



Podniósł oczy znad notatnika, spojrzał jej w oczy.

— Jeśli wierzysz w tę część z „ja-cię-kocham”, dlaczego nie wierzysz w część „ja-cię-zabiję”?

— Właśnie, w tym sęk. Ja naprawdę wierzę, że drobna mroczna część ciebie chce mnie zabić. Wierzę w to.

Zwinał się, jakby go uderzyła.

— Nieprzyjaciel chce mojej śmierci — powiedziała. — Ogromnie mu na tym zależy, ponieważ kazałam ci spojrzeć w to, co kryje się za ostatnimi wydarzeniami, przywiozłam cię tu, zmusiłam, abys zajrzał w źródło, z którego wyrósł twój fantastyczny świat.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Ale właśnie tobie na tym zależało — kontynuowała. — Głównie z tego powodu chciałeś, żebym się tobą zainteresowała.

— Nie. Ja nie...

— Tak. O to ci chodziło. — Popychać go w kierunku zrozumienia było krańcowo niebezpieczne, ale inne wyjście nie istniało. — Jim, jeśli potrafisz zrozumieć, co się stało, zaakceptować istnienie dwóch pozostałych osobowości, choćby możliwość ich istnienia, może to oznaczać początek końca Przyjaciela i Nieprzyjaciela.

Nadal potrząsając głową, powiedział:

— Nieprzyjaciel nie odejdzie spokojnie. — I nagle zamrugął, zaskoczony słowami, które wypowiedział, i intencją, jaką wyrażały.

— Cholera — zakłęła Holly i przeszył ją dreszcz, nie tylko dlatego, że właśnie potwierdził całą jej teorię, niezależnie od tego, czy mógł przyznać się do wszystkiego, czy nie, ale ponieważ te cztery słowa poświadczały jego pragnienie wyrwania się z tej karłowatej fantazji, w jaką uciekł.

Pobladł jak człowiek, który właśnie dowiedział się, że ma raka. W istocie rzeczywiście kryło się w nim zło, ale było raczej natury psychicznej niż fizycznej.

Powiew wionął przez uchylone okna i Holly wydało się, że z nim napłynęła świeża nadzieja.

Ten napływ optymizmu był jednak krótkotrwały, ponieważ nowe słowa pojawiły się nagle w bloku, który Jim nadal trzymał przed sobą: TY UMRZESZ.

— To nie ja — powiedział jej szczerze, na przekór subtelnemu przyznaniu się, jakie wygłosił przed momentem. — Holly, to nie mogę być ja.

Na bloku pojawiło się więcej słów: JA PRZYBYWAM. TY UMRZESZ.

Dla Holly świat zmienił się w lunapark pełen upiórów i duchów. Za każdym rogiem w każdej chwili, bez ostrzeżenia coś mogło na nią wypaść z cienia lub — w tym wypadku — z pełnego dziennego światła. Ale w przeciwieństwie do karnawałowego potwora ten mógł spowodować prawdziwy ból, wysać krew, zabić, jeśli tylko nadarzy się okazja.

W nadziei, że zarówno Nieprzyjaciel, jak i Przyjaciel reagują na stanowczość, Holly wyrwała blok z rąk Jima i wyrzuciła przez okno.

— Do diabła z tym. Nie będę czytała tych śmieci. Posłuchaj, Jim. Jeżeli mam rację, Nieprzyjaciel jest ucieleśnieniem furii wywołanej przez śmierć rodziców. Kiedy miałeś dziesięć lat, twoja wściekłość była tak ogromna, że przeraziła cię i wyniosłeś ją, wypchnąłeś jakby z siebie w tę drugą istotę. Ale jako ofiara rozszczepienia osobowości jesteś wyjątkowy, gdyż posiadasz moc stwarzania fizycznych bytów dla twoich innych „ja”.

Jim zaczął powoli to akceptować, choć nadal usiłował zaprzeczyć prawdzie.

— Co ty opowiadasz? Że jestem szalony, że jestem wariatem reagującym na socjopatów? Na litość boską!

— Nie jesteś szalony — powiedziała szybko. — Powiedzmy, rozstrojony, udręczony. Zamknąłeś się w psychicznej klatce, jaką wokół siebie zbudowałeś, i chcesz z niej wyjść, ale nie potrafisz znaleźć klucza.

Potrząsnął głową. Grube krople potu spływały mu z czoła, twarz stała się jeszcze bledsza.

— Nie, używasz zbyt pięknych słów. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to zakopałem się tym po uszy, Holly, i powinienem siedzieć w jakimś cholernym pokoju z miękko wyłożonymi ścianami, napompowany torazyną.

Ujęła obie jego dłonie, ścisnęła mocno.

— Nie. Przestań. Wydostaniesz się z tego, stać cię na to, pozbierasz się; wiem, że to potrafisz.

— Skąd możesz to wiedzieć? Jezu, Holly, ja...

— Bo nie jesteś zwyczajnym człowiekiem, jesteś niezwykły — powiedziała z gorącym przekonaniem w głosie. — Dysponujesz mocą, niewiarygodną siłą i jeśli chcesz, potrafisz użyć jej w dobrym celu. Ta moc daje odwagę, jakiej zwykli ludzie nie mają. To moc uzdrawiająca. Nie rozumiesz? Jeżeli potrafisz sprawić, że słychać dzwoneczki, a bicie serca Obcych i głosy rozlegają się w powietrzu, jeśli potrafisz zmieniać ściany w żywe ciało, posyłać obrazy w moje sny, zaglądać w przyszłość, żeby ratować ludzi, to potrafisz zebrać się w całość, i to od razu.

Głęboka niewiara malowała się na jego twarzy.

— Jak to możliwe, żeby ktoś posiadał moc, o jakiej mówisz?

— Nie wiem, ale ty ją masz.

— To musi pochodzić od wyższej istoty. Na miłość boską, nie jestem Supermanem.

Holly grzmotnęła pięścią i powiedziała:

— Jesteś telepatycznym, telekinetycznym, tele-pieprzonym-wszystkim! Zgoda, fruwać nie potrafisz, nie widzisz jak aparat rentgenowski, nie gniesz stali gołymi rękoma

i nie biegasz szybciej niż pocisk. Ale jesteś na tyle Superman, na ile to możliwe. Tak naprawdę jesteś lepszy, bo potrafisz widzieć przyszłość. Może tylko kawałki, szczątki i tylko przypadkowo, bo się nie wysilasz, ale potrafisz ujrzeć przyszłość.

Był ogłuszony jej pewnością.

— A skąd mi się bierze ta magia?

— Nie wiem.

— I tu wszystko się sypie.

— Nie sypie się dlatego, że nie wiem — powiedziała zgnębiona. — Żółty nie przestaje być żółtym tylko dlatego, że nie mam pojęcia, dlaczego oczy rozróżniają kolory. Masz tę potęgę. Ty nią jesteś, nie Bóg, nie żaden Obcy ze stawu obok wiatraka.

Wysunął ręce z jej dłoni i wyjrzał przez przednią szybę na drogę i leżące za nią suche pola. Zdawało się, że lęka się konfrontacji z niezwykle potęgą, jaką dysponował — może dlatego, iż łączyła się z nią odpowiedzialność, a nie był pewien, czy ją udźwignie.

Poczuła, że wstydzi się również własnej choroby psychicznej i woli odwrócić wzrok. Dotąd tak opanowany, tak silny, tak dumy ze swej siły, nie mógł pogodzić się z obrazem własnej słabości. Stworzył świat, w którym najwyższymi wartościami były samokontrola i samowystarczalność i w którym szczególną cnotą była narzucona sobie samotność mnicha, zadowolającego się towarzystwem własnym i Boga. Teraz powiedziała, że jego decyzja zbudowania z siebie człowieka z żelaza i samotnika nie wynikała z dobrze przemyślanego wyboru, ale była rozpaczliwą próbą uporania się z emocjonalnymi zaburzeniami, które groziły mu destrukcją, i jego potrzeba samokontroli zepchnęła go poza linię racjonalnego zachowania.

Pomyślała o słowach na kartce bloku: JA PRZYBYWAM. TY UMRZESZ.

Zapaliła silnik.

— Dokąd jedziemy? — spytał.

Ruszyła, wyjechała na wiejską drogę i skierowała się ku Svenborgowi, cały czas nie odpowiadając.

— Czy jak byłeś mały, było w tobie coś niezwykłego?

— Nie — odparł zbyt szybko, zbyt nerwowo.

— Nigdy nie odebrałeś żadnej wskazówki, że masz niezwykle umiejętności albo...

— Nie, do diabła, nic takiego.

Nagle podniecenie Jima, objawiające się w nerwowej ruchliwości i drzeniu rąk, przekonały Holly, że dotknęła prawdy. Zaprzeczenie było tarczą.

— Co ci się właśnie przypomniało?

— Nic.

— Przestań, Jim.

— Nic, naprawdę.

Nie wiedziała, dokąd sterować tymi pytaniami, więc powiedziała tylko:

— To prawda. Masz niezwykle umiejętności. Żadni Obcy, tylko ty.

Musiał sobie coś przypomnieć i choć nie był skłonny jej tego wyjawić, jego upór zaczął słabnąć.

— Nie wiem.

— To prawda.

— Może.

— To prawda. Pamiętasz, jak w nocy Przyjaciel powiedział nam, że w kategoriach swego gatunku jest dzieckiem? Bo jest dzieckiem, wiecznym dzieckiem i zawsze ma tyle lat, ile ty, kiedy go stworzyłeś: dziesięć. To wyjaśnia jego dziecięcy sposób bycia, przechwałki, drażliwość. Jim, Przyjaciel nie zachowywał się jak dziesięcioletnie dziecko Obcych, po prostu zachowywał się jak dziesięcioletnia istota ludzka.

Zamknął oczy i opadł ciężko na oparcie siedzenia, jakby rozważanie jej słów kosztowało go wiele sił. Ale nadal był ogromnie spięty. Widać to było po rękach spoczywających na udach, zaciśniętych w pięści.

— Dokąd jedziemy, Holly?

— Na małą przejażdżkę. — Kiedy minęli złote pola i wzgórza, kontynuowała swój łagodny atak: — To dlatego Nieprzyjaciel, pokazując się, jest kombinacją wszystkich filmowych potworów, jakie kiedykolwiek przerażały dziesięcioletniego chłopca. Ta istota, którą przez ułamek sekundy widziałam w drzwiach motelu, nie była autentycznym potworem; teraz to rozumiem. Nie miała sensownej pod względem biologicznym budowy, nawet jak na Obcego. Była nazbyt znana, stanowiła mieszaninę straszydeł z koszmarów sennych dziesięciolatka.

Nie odpowiadał. Zerknęła na niego.

— Jim?

Serce zaczęło jej mocniej bić.

— Jim!

Usłyszawszy w jej głosie nutę niepokoju, wyprostował się i otworzył oczy.

— Co?

— Na miłość boską, nie zamykaj na tak długo oczu. Mógłbyś zasnąć i nie wiedziałabym o tym, dopóki...

— Uważasz, że potrafiłbym zasnąć, myśląc o tym?

— Nie wiem. Wolę nie ryzykować. Trzymaj oczy otwarte, dobra? Jestem pewna, że kiedy nie śpisz, tłumisz w sobie Nieprzyjaciela. Może się uaktywnić jedynie wówczas, kiedy zapadasz w sen.

Na przedniej szybie, jak na wyświetlaczu komputerowym w kokpicie myśliwca, od lewej do prawej, zaczęły pojawiać się litery, tworząc słowa: NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ.

Nie chcąc okazać przerażenia, odezwała się:

— Do diabła z tym. — I włączyła wycieraczki, jakby groźba była kurzem do starcia. Ale słowa pozostały i Jim wpatrywał się w nie z nieukrywanym przerażeniem.

Kiedy mijali małe rancho, wiatr przyniósł przez otwarte okna zapach świeżo koszonego siana.

— Dokąd jedziemy? — spytał raz jeszcze.

— Na wyprawę badawczą.

— Co będziemy badać?

— Przeszłość.

— Nie kupuję do końca tego scenariusza — odezwał się przybity. — Nie mogę. Bo jak, do diabła? I jak mamy się przekonać, czy to prawda, czy nie?

— Jedziemy do miasteczka — powiedziała. — Znów zrobimy sobie przejażdżkę, taką samą, jaką mi urządziłeś. Svenborg — przystań tajemnic i romansów. Co za dziura. Ale jest w nim coś. Chciałeś, żebym zobaczyła te miejsca, twoja podświadomość dała mi do zrozumienia, że wyjaśnienia kryją się w New Svenborgu. Poszukajmy ich razem.

Następne słowa pojawiły się pod pierwszymi sześciorami: NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ.

Holly wiedziała, że jej czas się kurczy. Może nie zdążyć przekonać Jima do swej teorii. Nieprzyjaciel chciał się przedrzeć w realny świat, poćwiartować, zanurzyć kły w dymiące wnętrzości — i nie zamierzał czekać na sen. Nie była pewna, czy Jim zdoła stłumić mroczny aspekt osobowości, zanim ona zmusi go, by spojrzął prawdzie w oczy. Jego system autokontroli trzaśnie i zalew mrocznych sił pochłonie łagodność.

— Holly, jeśli cierpię na to przedziwne rozdwojenie osobowości, to czemu ono nie ustąpiło, kiedy mi wszystko wyjaśniłaś? Dlaczego łuski natychmiast nie spadły mi z oczu?

— To nie takie proste. Żeby się z tym uporać, wpierw musisz uwierzyć. Pogodzenie się z faktem, że cierpi się na zaburzenia psychiczne, jest pierwszym krokiem ku zrozumieniu, a zrozumienie jest dopiero pierwszym bolesnym krokiem do uleczenia.

— Nie mów do mnie jak psychiatra, bo nie jesteś psychiatrą.

Szukał ucieczki w gniewie, w tym lodowatym spojrzeniu, usiłując ją onieśmielić, jak wówczas kiedy nie chciał jej do siebie dopuścić. Nie zadziałało poprzednio, nie zadziała i teraz. Mężczyźni czasami są tacy uparci.

— Raz przeprowadzałam wywiad z psychiatrą — powiedziała.

— No, wielka rzecz, dzięki temu masz odpowiednie kwalifikacje!

— Może mam. Ten psychiatra sam był normalnym pomyłencem, więc jakie znaczenie ma tu dyplom uniwersytecki?

Westchnął głęboko.

— Dobra, załóżmy, że masz rację i jakoś trafimy na wiarygodny dowód, iż jestem pomylony...

— Nie jesteś pomyłony, jesteś...

— Dobra, dobra, jestem rozstrojony, udręczony, siedzę w psychicznej klatce. Nazywaj to, jak chcesz. Jeżeli jakoś znajdziemy dowód — a nie mam pojęcia jak — co stanie się ze mną? Może tylko uśmiechnę się i powiem: „Och, tak, oczywiście, zmyśliłem to od a do z, żyłem w iluzorycznym świecie, teraz jest mi o niebo lepiej, chodźmy na lunch”. Ale nie sądzę. Myślę, że wtedy... rozlecę się, rozlecę na milion kawałeczków.

— Nie mogę obiecać ci, że prawda — jeżeli do niej dotrzemy — okaże się wybawieniem, ale wydaje mi się, że do tej pory znajdowałeś swoje wybawienie w fantazji, nie w prawdzie. I to musi się skończyć, bo Nieprzyjaciel mnie nienawidzi i zabije — wcześniej czy później. Sam mnie ostrzegłeś.

Spojrzał na słowa wypisane na szybie i... milczał. Zaczynało mu brakować argumentów, a może sił, żeby stawiać opór.

Słowa zblakły, potem znikły.

Może był to dobry znak, wskazówka, że jego podświadomość zaczyna przyswajać sobie jej teorię, lub Nieprzyjaciel uznał, że Holly nie da się zastraszyć słowami — i usiłował przedrzeć się do realnego świata i rozedrzeć ją na strzępy.

— Kiedy on mnie zabije — powiedziała — uświadomisz sobie, że naprawdę jest częścią ciebie. I jeżeli mnie kochasz, o czym dzięki Przyjacielowi dowiedziałam się ostatniej nocy, co się wtedy z tobą stanie? Czy to nie zabije tego Jima, którego Kocham? Czy wtedy nie pozostanie z ciebie jedna część — ta mroczna, Nieprzyjaciel? To cholernie prawdopodobne. Więc mówimy tu zarówno o twoim przeżyciu, jak i moim. Jeżeli chcesz żyć, musimy dokopać się samego dna.

— Może będziemy kopać i kopać — i nie znajdziemy dna. Co wtedy?

— Wtedy pokopiemy jeszcze trochę głębiej.

Kiedy wjeżdżali do miasteczka, nagle przenosząc się z brązowego umarłego kraju w gęsto zbite pionierskie osiedle, Holly zniemacka odezwała się:

— Robert Vaughn.

Jim podskoczył. Nie dlatego, że powiedziała coś niejasnego, ale dlatego, iż to nazwisko wzbudziło w nim natychmiastowe skojarzenie.

— Mój Boże — odezwał się — ten głos.

— Głos Przyjaciela — powiedziała, spoglądając na niego. — Więc ty też go skojarzyłeś.

Robert Vaughn, wspaniały aktor, grał bohatera serialu „The Man from U.N.C.L.E.” i znakomicie kreował śliskie, czarne charaktery w niezliczonych filmach. Miał głos o tak bogatej skali i wyjątkowych możliwościach! Mógł brzmieć groźnie, mógł ojcowsko i opiekuńczo — jak Vaughn zapragnął.

— Robert Vaughn — powtórzyła Holly. — Ale dlaczego? Dlaczego nie Orson Welles, Paul Newman, Sean Connery czy Fred Flinston? To zbyt nietypowy wybór, żeby miał być pozbawiony znaczenia.

— Nie wiem — powiedział Jim, zamyślając się, ale miał niepokojące wrażenie, że powinien wiedzieć.

— Dalej myślisz, że to Obcy? — spytała Holly. — Czy Obcy po prostu nie zadbały o nieokreślony głos? Dlaczego miałyby imitować jakiegoś konkretnego aktora?

— Widziałem raz Roberta Vaughna — powiedział Jim, zaskoczony budzącym się w nim niewyraźnym wspomnieniem. — To znaczy nie w telewizji czy w kinie, ale na żywo, z bliska. Dawno temu.

— Gdzie, kiedy?

— Nie mogę... nie potrafię... nie potrafię sobie przypomnieć.

Jim czuł się jak na wąskiej kładce pomiędzy dwoma przepaściami: niebezpieczeństwo czyhało po każdej stronie. Po jednej było dotychczasowe życie wypełnione zamętem i rozpaczą, którą usiłował zdusić, ale która czasami go ogarniała, jak na przykład wtedy, gdy udał się na duchową wyprawę po pustyni Mojave, szukając wyjścia, nawet jeśli miałyby nim być śmierć. Po drugiej leżała niepewna przyszłość, którą Holly usiłowała mu odmalować, przyszłość, którą z uporem nazywała nadzieją, ale która wyglądała na chaos i szaleństwo. A wąska kładka pod nim rozpadała się z każdą minutą.

Pamiętał ich wymianę zdań w łóżku, dwie noce temu, zanim kochał się z nią po raz pierwszy. Powiedział: *Ludzki charakter jest zawsze bardziej... skomplikowany, niż sobie to wyobrażasz.*

*Czy to obserwacja... czy ostrzeżenie?*

*Ostrzeżenie?*

*Może ostrzegasz mnie, że naprawdę jesteś inny, niż wyglądasz.*

Po długiej pauzie powiedział wtedy: może. A ona po równie długim milczeniu odpowiedziała: *chyba jest mi to obojętne.*

Teraz był pewien, że wtedy ją ostrzegał. Cichy wewnętrzny głos w nim potwierdzał, że jej analiza jest trafna, że istoty w wiatraku stanowiły tylko różne aspekty jego osobowości. Ale jeżeli padł ofiarą rozszczepienia osobowości, nie wierzył, aby jego stan dał się opisać jako niepokój umysłowy czy stan psychicznego udręczenia, jak ona próbowała to nazwać. Pasowało tylko jedno słowo: szaleństwo.

Wjechali na główną ulicę. Miasto wydało mu się dziwnie mroczne i groźne. Może dlatego, iż kryło prawdę, która zmusi go do zejścia z wąskiej ścieżki w taki lub inny świat chaosu.

Przypomniał sobie, że czytał gdzieś, iż tylko szaleńcy są całkowicie pewni swojego zdrowia psychicznego. Niczego nie był pewien całkowicie, ale wcale go to nie pocieszało. Szaleństwo było, jak podejrzewał, samą istotą niepewności, gorączkowym acz bezowocnym poszukiwaniem odpowiedzi, solidnego gruntu. Zdrowie psychiczne stanowiło oazę spokoju w kotłującym się chaosie.

Holly zjechała do krawężnika przed apteką Handahla, na wschodnim krańcu głównej ulicy.

— Zacznijmy stąd.

— Dlaczego?

— Bo poprzednio, kiedy pokazywałeś mi ważne miejsca z dzieciństwa, tu zatrzymaliśmy się najpierw.

Wysiadł z forda i znalazł się pod kopułą liści magnolii, jednej z paru, które obok innych drzew zasadzono po obu stronach ulicy.

Kiedy Holly pchnęła frontowe drzwi budynku w duńskim stylu, szyby — jak szlachetne kamienie — rozbłysły na szlifowanych krawędziach. Dzwonek zadźwięczał nad ich głowami. Weszli do środka.

Jimowi mocno biło serce. Apteka prawdopodobnie nie była miejscem, w którym w dzieciństwie przeżył coś ważnego, ale miał świadomość, że stawia pierwszy krok na ścieżce wiodącej do prawdy.

Ekspres do kawy i kran z lemoniadą mieściły się po lewej stronie, a przez zwieńczone łukiem przejście dostrzegł paru ludzi jedzących śniadanie. Zaraz przy drzwiach ujrzał stanowisko z gazetami: stosy prasy porannej, głównie z Santa Barbara, również magazyny. Z boku stał stojak obrotowy pełen tanich książek.

— Tu zwykle kupowałem sobie kieszonkowe wydania — powiedział. — Już wtedy uwielbiałem książki, pożerałem je stosami.

Apteka mieściła się za sklepionym przejściem na prawo. Częściowo przypominała wszystkie nowoczesne amerykańskie apteki. Było w niej więcej kosmetyków, produktów do pielęgnacji urody i włosów niż lekarstw. Ale była oryginalna: drewniane półki zamiast metalowych i plastikowych; polerowane granitowe blaty; uroczy aromat skomponowany z woni pachnących świeczek, tanich cukierków, powiewu unoszącego się znad nasycanej wilgocią, stojącej za kasą, szafki na cygara i tytoń, lekkiego zapachu alkoholu etylowego i rozmaitych lekarstw.

Mimo wczesnej godziny aptekarz stał za ladą, odgrywając we własnym sklepie rolę ekspedienta. Był to sam Corbett Handahl, barczysty mężczyzna z białym wąsem i siwą czupryną, w sztywnej niebieskiej koszuli, na którą włożył wykrochmaloną białą kurtkę laboranta.

— Na mą duszę, Jim Ironheart — rzekł, podnosząc wzrok. — Ile to lat — trzy, cztery?

Podali sobie ręce.

— Cztery lata i cztery miesiące — powiedział Jim. Miał na końcu języka „od kiedy dziadek nie żyje”, ale zamilkł, nie wiedząc dokładnie dlaczego.

Corbett spryskiwał ladę windexem i wycierał papierowym ręcznikiem. Uśmiechnął się do Holly.



— I kimkolwiek pani jest, będę jej dozgonnie wdzięczny za dodanie urody temu szaremu porankowi.

Corbett był ideałem małomiasteczkowego aptekarza: wystarczająco jowialny, aby prezentować się jak szary obywatel, mimo iż z racji swego zawodu przynależał do klasy wyższej, dość zabawny, aby stanowić lokalną osobliwość, ale z wyraźną aurą fachowości i uczciwości, żeby każdy miał pewność, że lekarstwa, które sporządza, są dobre. Mieszkańcy wstępowali tu choćby zamienić parę słów, nawet gdy niczego nie potrzebowali, a jego autentyczne zainteresowanie ludzkimi sprawami służyło interesowi. Pracował w aptece przez trzydzieści trzy lata i był jej właścicielem dwadzieścia siedem lat, od śmierci ojca.

Handahl był wyjątkowo poczciwym człowiekiem, a jednak Jim poczuł, że coś mu grozi z jego strony. Chciał wyjść z apteki, zanim...

Zanim co?

Zanim Handahl powie coś złego, wyjawi za dużo.

Ale co mógł wyjawić?

— Jestem narzeczoną Jima — przedstawiła się Holly ku jego zaskoczeniu.

— Gratulacje, Jim — rzekł Handahl. — Szczęściarz z ciebie. Młoda damo, mam jedynie nadzieję, że wiesz, iż jego rodzina zmieniła nazwisko z Ironhead\*, co bardziej zgadzało się z ich charakterem. Uparciuchy.

Mrugnął i roześmiał się.

— Jim wozi mnie po mieście, pokazując ulubione zakątki — ciągnęła Holly. — Podróż sentymentalna, tak to chyba można nazwać.

Handahl utkwił spojrzenie w Jimie i powiedział:

— Nie podejrzewałem cię nigdy o sympatię i sentyment do tego miasta.

Jim wzruszył ramionami.

— Ludzkie postawy nie są niezmiennie.

— Miło mi to słyszeć — rzekł Handahl i zwrócił się ponownie do Holly: — Zaczął tu wpadać zaraz potem, jak wprowadził się do dziadków, w każdy wtorek i piątek, kiedy przyjeżdżały nowe książki i magazyny od dystrybutora z Santa Barbara. — Odłożył windex. Porządkował ladę z gumami do żucia, cukierkami miętowymi, jednorazowymi zapalniczkami i kieszonkowymi grzebykami. — Jim był wtedy prawdziwym pożeraczem książek. Nadal taki jesteś?

— Tak — powiedział Jim, czując rosnący niepokój, wręcz przerażenie na myśl o tym, co Handahl może zaraz powiedzieć. Ale za skarby świata nie zgadłby, co też istotnego aptekarz wyjawi.

---

\*Żelazna głowa (przyp. tłum.)

— Pamiętam, że miałeś dosyć wąskie zainteresowanie. — Zwrócił się do Holly: — Wydawał kieszonkowe na prawie każdą powieść fantastycznonaukową albo horror, jakie zjawily się na półce. Wtedy za dwa dolary robiło się niezłe zakupy, książka kosztowała czterdzieści pięć, pięćdziesiąt centów.

Klaustrofobia opadła Jima jak gęsty welon. Apteka zaczęła mu się wydawać duszna i ciasna, przeładowana artykułami, chciał z niej uciec.

Nadchodzi, pomyślał, czując wzrastający niepokój. Nadchodzi.

— Wydaje mi się, że odziedziczył zainteresowanie dziwaczną literaturą po mamie i tacie — powiedział Handahl.

— Jak to? — spytała Holly, nie rozumiejąc.

— Nie znałem tak dobrze Jamiego, ojca Jima, ale byłem tylko o klasę niżej od niego w liceum. Nie obraż się, Jim, ale twój tato miał raczej egzotyczne zainteresowania — chociaż, jak rozejrzeć się po świecie, to chyba dziś nie byłyby tak egzotyczne jak wtedy, na początku lat pięćdziesiątych.

— Egzotyczne zainteresowania? — wypytywała, dalej Holly.

Jim rozejrzał się po aptece, zastanawiając się, skąd ono może nadejść, którą drogę ucieczki zablokuje, a którą zostawi otwartą. Wciąż wahał się pomiędzy nieobowiązującą akceptacją a odrzuceniem teorii Holly i w tej właśnie chwili był pewien, że ona się myli. To nie była siła wewnątrz niego. To było obce, złe stworzenie, tak jak Przyjaciół był dobry — i mogło zjawić się gdziekolwiek, wyjść z każdego miejsca lada sekunda i nadchodziło, wiedział, że nadchodziło i chciało zabić ich wszystkich.

— Więc — zaczął Handahl — kiedy Jamie był chłopcem, zwykł tu przychodzić — wtedy to był sklep mojego taty — i kupował stare marne magazyny o robotach i potworach, ze skąpo ubranymi kobietami na okładce. Dużo zawsze opowiadał o tym, że kiedyś wysłemy ludzi na Księżyc i każdy brał go trochę za dziwaka, ale myślę, że w gruncie rzeczy miał rację. Nie zaskoczyło mnie, kiedy się dowiedziałem, że zrezygnował z księgowości, znalazł żonę pracującą w rozrywce i utrzymywał się, występując z numerem z cudami umysłu.

— Cuda umysłu? — spytała Holly, zerkając na Jima. — Myślałam, że twój ojciec był księgowym, a mama aktorką.

— Tak było — powiedział Jim ciekawym głosem. — Tym się zajmowali, zanim przygotowali razem numer.

Był zaskoczony — prawie umknęło mu to z pamięci. Jak to możliwe? Miał wszystkie fotografie z tournée; oglądał je codziennie, a jednak zapomniał, że zostały zrobione w czasie podróży pomiędzy występami.

Zbliżało się bardzo szybko.

Blisko. Bardzo blisko.

Chciał ostrzec Holly. Nie mógł się odezwać.

Coś odebrało mu głos, usztywniło szczęki.

Nadchodziło.

Nie chciało, żeby ją ostrzegł. Chciało ją zaskoczyć.

— To, co się z nimi stało, to straszna tragedia, bez dwóch zdań — rzekł Handahl, kończąc ustawianie pojemników z różnościami na ladzie. — Jim, kiedy pierwszy raz przyjechałeś do miasta, do dziadków, byłeś tak zamknięty, że nie dało się wyciągnąć z ciebie słowa.

Holly raczej obserwowała Jima niż Handahla. Wyczuwała, że coś mocno go gnębi.

— Na drugi rok po śmierci Leny — mówił aptekarz — Jim zamknął się jeszcze bardziej, jak kompletny niemowa, jakby nie zamierzał odezwać się do końca życia. Pamiętasz to, Jim?

Zdumiona Holly obróciła się do Jima i zapytała:

— Twoja babka umarła po dwóch latach twojego pobytu tutaj, kiedy miałeś tylko jedenaście lat?

Powiedziałem jej, że pięć lat temu. Dlaczego powiedziałem jej, że pięć, kiedy naprawdę było ich dwadzieścia cztery? Zbliżało się. Czuł to. Zbliżało. Nieprzyjaciel.

— Przepraszam, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza — odparł. Wyszedł szybko na zewnątrz i stanął przy samochodzie, łapiąc powietrze.

Obejrzał się i spostrzegł, że Holly nie wyszła za nim. Widział ją przez okno apteki, rozmawiała z Handahlem.

Zbliżało się.

Holly, nie rozmawiaj z nim, myślał Jim. Nie słuchaj go, wychodź stamtąd.

Zbliżało się.

Opierając się o samochód, pomyślał: tylko dlatego boję się Corbetta Handahla, że on wie więcej o moim życiu w Svenborgu, niż pamiętani.

*Lab-dab-DAB.*

Jest.

Handahl spoglądał z ciekawością za Jimem.

— Myślę, że nigdy nie zapomni tego, co spotkało jego rodziców... i Lenę — rzekła Holly.

Handahl pokiwał głową.

— A kto potrafiłby zapomnieć coś tak straszego? To było takie miłe dziecko, że wszystkim nam serca pękały z żalu. — Zanim Holly zdążyła dowiedzieć się jeszcze cokolwiek o Lenie, Handahl spytał: — Wprowadzacie się na farmę?

— Nie. Przyjechaliśmy tylko na kilka dni.

— To nie mój interes, ale wstyd, żeby taka ziemia leżała odłogiem.

— No, Jim nie jest rolnikiem — powiedziała — a jeśli nikt nie chce kupić tego miejsca...

— Nikt nie chce? Ależ, młoda damo, ludzie zadłużyliby się po uszy, gdyby Jim zdecydował się wystawić je na licytację.

Zamrugła, patrząc na niego.

— Macie doskonałe źródło artezyjskie na terenie posiadłości, co oznacza, że zawsze jest tam woda w okręgu, gdzie zwykle jej brakuje — kontynuował, opierając się o granitowy kontuar i krzyżując ręce na piersi. — Działa to tak: kiedy staw jest pełny wody, jej masa spowalnia wypływ ze źródła. Ale jak zaczniesz pompować, żeby nawodnić pola, napływ się zwiększa i staw błyskawicznie znów jest pełny, jak magiczny dzbanek w starej bajeczce.

Pochylił na bok głowę i spojrzał na Holly spod przymkniętych powiek.

— Jim mówił pani, że nie może go sprzedać?

— No, przypuszczałam...

— Coś pani powiem: ten pani chłop jest bardziej sentymentalny, niż myślałam. Może dlatego nie chce sprzedać farmy, że wiąże go z nią za dużo wspomnień.

— Może. Ale tam są tak samo złe wspomnienia jak dobre.

— Ma pani rację.

— Jak śmierć jego babki — drążyła, usiłując sprowadzić go na właściwy temat. — To były...

Przerwało jej brzęczenie. Obróciła się i zobaczyła, jak butelki z szamponami, spraye do włosów, buteleczki z witaminami i lekarami podrygują na półce.

— Trzęsienie ziemi — powiedział Handahl, spoglądając z niepokojem na sufit, jakby zastanawiał się, czy nie spadnie im na głowy.

Butelki zatrzęśły się jeszcze gwałtowniej i Holly wiedziała, że są niepokojeni przez coś gorszego niż trzęsienie ziemi. Udzielano jej ostrzeżenia, aby nie zadawała Handahlowi więcej pytań.

*Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB.*

Przytulny światek oryginalnej apteki zaczął się rozlatywać. Butelki spadały z półek wprost na nią. Obróciła się, zasłaniając rękami głowę. Pojemniki z lekarami przeleciały obok i z furją ugodziły w Handahla. Szafka z nawilżaczem za kasą wibrowała. Holly instynktownie upadła na podłogę, a jednocześnie drzwiczki szafki strzeliły, szklany szrapnel przeciął powietrze w miejscu, gdzie przed sekundą stała. Czołgała się na czworakach do wyjścia pod błyszczącymi odłamkami, które posypały się na podłogę. Ciężka kasa spadła z łoskotem z granitowej lady, omijając ją o centymetry. Zanim ściany zdążyły zabłyszczeć, zapulsować i wypchnąć z siebie kształt Obcego, dotarła do drzwi, przebiegła obok stanowiska z gazetami i wydostała się na ulicę, zostawiając Handahla w gruzie po trzęsieniu ziemi, które jego zdaniem bez wątpienia nastąpiło.

Trójkrotny rytm pulsował pod jej stopami z wyłożonego ceglami chodnika.

Jim stał oparty o samochód, rozdygotany, z pobielającą twarzą człowieka, który stoi nad przepaścią, zaglądając w otchłań — i pragnie w nią wskoczyć. Nie odpowiadał, kiedy wołała go po imieniu. Był o krok od oddania się mrocznej sile, którą przez lata krył w sobie — i hołubił — a która obecnie zapragnęła swobody.

Oderwała go od samochodu, objęła, przytuliła mocno, jeszcze mocniej, powtarzając jego imię w oczekiwaniu, że chodnik wystrzeli gejzerami cegieł, że uchwycą ją zębate szczypcy, macki lub zimne wilgotne dłonie niehumanoidalnego kształtu. Ale trójkrotne uderzenia serca ucichły i po chwili Jim uniósł nareszcie ręce i objął ją.

Nieprzyjaciel odszedł.

Ale ustępował jedynie na chwilę.

Cmentarz w Svenborgu przylegał do Ogrodów Tivoli. Oddzielało go od parku żelazne ogrodzenie i szpaler drzew — głównie białych cedrów i rozłożystych kalifornijskich drzew pieprzowych.

Jim jechał wolno krętą alejką wśród grobowców.

— Tutaj — powiedział.

Zjechał na bok i zatrzymał się. Kiedy wysiadł z forda, znów ogarnął go klaustrofobiczny lęk, prawie tak silny jak w aptece, mimo że teraz stał na otwartej przestrzeni. Ciemne szare niebo napierało na granitowe formy, których prostokąty, kwadraty i strzeżone zwieńczenia wyrastały w górę jak guzy starych kości pokrytych patyną czasu, na wpół zakopanych w ziemi. W ponurym świetle trawa była zielonoszara. Podobnie drzewa, które majaczyły groźnie, jakby miały na niego runąć.

Podszedł do Holly, wskazał w kierunku północnym.

— Tam.

Wzięła go za rękę. Był jej za to wdzięczny.

Razem podeszli do miejsca spoczynku jego dziadków. Znajdowało się na lekkim wzniesieniu na ogół płaskiego cmentarza. Pojedynczy prostokąt granitu służył obydwu kwaterom.

Jimowi mocno biło serce, nie mógł przełknąć śliny.

Jej nazwisko było wyłobione po prawej stronie grobowca. Lena Louise Ironheart.

Z ociąganiem przeniósł wzrok na daty urodzenia i śmierci. Miała pięćdziesiąt trzy lata, kiedy umarła. A nie żyła od dwudziestu czterech lat.

Tak muszą czuć się ludzie po praniu mózgu, po przemodelowaniu pamięci, kiedy w puste miejsca zostają im naniesione fałszywe wspomnienia. Przeszłość stała się pejzażem za mgłą, który oświetlał jedynie księżyc przesłonięty chmurami. Jasność spojrzenia wstecz, którą miał zaledwie parę godzin temu, nagle została mu odebrana i nie mógł uwierzyć w realność tego, co obecnie widział; bał się, że obrazy przeszłości mogły okazać się jedynie figlami spletanymi przez mgłę i cienie.

Zdezorientowany i wystraszony, mocno trzymał Holly za rękę.

— Dlaczego kłamałeś, dlaczego mówiłeś o pięciu latach? — spytała łagodnie.

— Nie kłamałem. Przynajmniej... nie wiedziałem, że to robię. — Wpatrywał się w granit, jakby wygładzona powierzchnia była oknem w przeszłość. Usiłował sobie coś przypomnieć. — Przypominam sobie, jak kiedyś obudziłem się rano, wiedząc, że babcia nie żyje. Pięć lat temu. Mieszkałem wtedy w Irvine.

Wśluchiwał się we własny głos, jakby należał do kogoś innego.

— Ubrałem się... pojechałem na północ... kupiłem w miasteczku kwiaty... potem przyjechałem tutaj...

Zamilkł. Po chwili Holly spytała:

— Pamiętasz pogrzeb?

— Nie.

— Innych żałobników?

— Nie.

— Inne kwiaty na grobie?

— Nie. Pamiętam tylko, że... klęczałem przy grobie z kwiatami, które dla niej kupiłem... płakałem... płakałem długo, nie mogłem przestać.

Przechodzący obok ludzie spojerali wtedy na niego z sympatią, która zmieniała się w zażenowanie, kiedy uświadamiali sobie rozmiar jego psychicznego załamania, a potem w obawę, kiedy dostrzegali, iż trawi go rozpacz tak głęboka, że graniczy z histerią. Nawet teraz pamiętał szaleństwo, jakie ogarnęło go tamtego dnia, kiedy odpowiadając wściekłym spojrzeniem na ciekawskie spojrzenia innych, pragnął jedynie zagrzebać się w ziemię, naciągnąć ją na siebie jak kołdrę i spocząć w tym samym dole co babcia. Ale nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego tak się czuł, ani zrozumieć, dlaczego teraz zaczyna czuć się podobnie.

Jeszcze raz spojrzął na datę jej śmierci — dwudziesty piąty września — i strach go obleciał. Był tak wielki, że łzy uwięzły mu w gardle.

— Co ci jest? Powiedz — dopytywała się Holly.

— Chodzi o to, że kiedy przyszedłem z kwiatami, ten jedyny raz, kiedy w ogóle przyszedłem, zapamiętałem ten dzień jako dzień jej śmierci. Dwudziesty piąty września... ale pięć lat temu, nie dwadzieścia cztery. To była dziewiętnasta rocznica jej śmierci... lecz wtedy myślałem, jak zawsze, że ona dopiero co umarła.

Milczeli oboje.

Dwa wielkie kosy śmignęły w podniebnych ewolucjach po posępnym niebie, zakrzeczały i skryły się za wierzchołkami drzew.

— Co mogło być nie tak — odezwała się w końcu Holly — że wtedy, kiedy naprawdę umarła dwadzieścia cztery lata temu, twoja świadomość odrzuciła ten fakt? Może mo-

głęboko pogodzić się z tym dopiero dziewiętnaście lat później... tego dnia, kiedy przyszedłeś tu z kwiatami. I w twojej pamięci umarła o wiele później niż w rzeczywistości. Za datę jej zgonu uznałeś dzień, w którym w końcu się z tym pogodziłeś.

Od razu wiedział, że trafiła w dziesiątkę, jednak to wyjaśnienie nie poprawiło mu samopoczucia.

— Ależ na Boga, Holly, to właśnie jest szaleństwo.

— Nie — zaprzeczyła spokojnie. — To samoobrona, część tego samego mechanizmu, za pomocą którego broniłeś się w wieku dziesięciu lat.

— Ona... — ze zdumieniem skonstatował, że nie może sobie przypomnieć, na co umarła Lena Ironheart. Jeszcze jedno mgliste, puste miejsce. — Nie wiem.

— Myślę, że umarła w wiatraku.

Oderwał wzrok od grobowca, spojrzął na Holly. Poczuł, jak trwoga spina mu ciało, choć nie znał jej przyczyny.

— W wiatraku? Jak? Co się stało? Skąd wiesz?

— Ze snu, który ci opowiadałam. Wchodzę po schodach, patrzę na staw w dole i widzę twarz innej kobiety, odbitą w szybie. Twarz twojej babki.

— To tylko sen.

— Nie, sądzę, że to był obraz z pamięci, twojej pamięci. Dokonałeś projekcji w moją pamięć.

Dlaczego serce tak panicznie mu łomotało?

— Ale jak to mogło stanowić część mojej pamięci, skoro nic o tym nie wiem?

— Wiesz.

— Nie. Nie mam pojęcia.

— Zamknąłeś to na samym dnie podświadomości, tam gdzie masz dostęp tylko podczas snu, ale to tam tkwi z pewnością.

Gdyby mu powiedziała, że cały cmentarz zmontowano na karuzeli, która powoli obraca się pod posępnym niebem koloru rewolwerowej stali, łatwiej by to zaakceptował niż wspomnienia, ku którym go wiodła. Czuł się tak, jakby kręcili się poprzez światło i ciemność, światło i ciemność, strach i furję...

— Ale w twoim śnie... — słowa z trudem wydobywały mu się z gardła — byłem w wyższej izbie i babcia tam przyszła.

— Tak.

— A jeżeli tam umarła...

— Byłeś świadkiem jej śmierci.

— Nie. — Uparcie potrząsnął głową. — Na Boga, pamiętałbym to, nie sądzisz?

— Nie. Sądzę, że potrzebowałeś dziewiętnastu lat, żeby przyznać przed samym sobą, że umarła. Sądzę, że widziałeś jej śmierć i przeżyłeś szok, który wtrącił cię w długotrwałą amnezję i wypełniałeś ją coraz nowymi, fantazjami i tylko fantazjami.

Podniósł się lekki wietrzyk i coś zatrzeszczało mu pod stopami. Był przekonany, że koścista ręka jego babki wychyla się z ziemi, żeby go dosięgnąć, ale kiedy spojrzął w dół, zobaczył jedynie zeschnięte liście, które wiatr z szelestem przeganiał po trawie.

Serce waliło mu teraz jak pięść uderzająca w worek treningowy. Odwrócił się od grobu, chcąc jak najszybciej znaleźć się przy wozie.

Holly położyła mu dłoń na ramieniu.

— Zaczekaj.

Wyrwał się, prawie ją odepchnął. Spojrzął z furią i powiedział:

— Chcę się stąd wydostać.

Niezrażona, złapała go, zatrzymała.

— Jim, gdzie jest twój dziadek? Gdzie go pochowano?

Jim wskazał na kwaterę, w której spoczywała babka.

— Jest tu oczywiście, razem z nią.

Wtedy spojrzął na lewą część grobowca. Był tak mocno skupiony na prawej, na nieprawdopodobnej dacie zgonu babki, że nie spostrzegł pewnego braku z lewej strony. Wyrzyto tu jak należy, prawdopodobnie jednocześnie z napisem poświęconym babce — dane o dziadku: HENRY JAMES IRONHEART. I data urodzenia. Ale to wszystko. Na kamieniu nie wyłobiono daty jego śmierci.

Stalowe niebo opadało coraz niżej.

Drzewa zbliżały się, pochylone.

— Nie mówiłeś przypadkiem, że zmarł osiem miesięcy po Lenie? — spytała Holly.

W ustach mu zaschło. Ledwo starczyło mu śliny, żeby przemówić, i słowa były bezdźwięcznym szeptem jak szelest piasku rzucanego wiatrem o pustynną skałę.

— Czego, do diabła, chcesz ode mnie? Powiedziałem ci... osiem miesięcy... dwudziestego czwartego maja, następnego roku...

— Na co umarł?

— Nie... nie... nie pamiętam.

— Chorował?

Zamknij się, zamknij się!

— Nie wiem.

— Wypadek?

— Tak... mi się tylko... wydaje... wydaje mi się, że miał atak.

Ogromne fragmenty przeszłości kłębiły się niby nieprzeniknione mgielne opary. Uświadomił sobie teraz, że rzadko wspominał przeszłość, całkowicie pochłonięty teraźniejszością. W jego pamięci znajdowały się wielkie dziury i nie zdawał sobie sprawy, że przyczyna tego była prosta: nigdy przedtem nie próbował sobie niczego przypominać.

— Czy nie byłeś najbliższym krewnym swojego dziadka? — spytała Holly.

— Tak.



— Czy nie doglądałeś pogrzebu?

Zawahał się, zamyślił.

— Chyba... tak...

— Więc zapomniałeś po prostu polecić dopisanie daty śmierci na nagrobku?

Wpatrywał się w puste miejsce na kawałku granitu, gorączkowo grzebiąc w równie pustym miejscu we własnej pamięci, niezdolny udzielić odpowiedzi. Zbierało mu się na wymioty. Marzył, żeby zwinąć się w kłębek, zamknąć oczy, zasnąć i nigdy się nie obudzić; niech ten, kto się obudzi, będzie kim innym, nie nim.

— A może pochowałeś go gdzie indziej? — spytała.

Poprzez spopielające niebo znów przewinęły się skrzeczące kosy, tnąc skrzydłami na chmurach wymyślne znaki, tak samo trudne do odcyfrowania jak nieuchwytne wspomnienia, sunące przez głębokie pokłady umysłu Jima.

Holly poprowadziła samochód do Ogrodów Tivoli.

Kiedy wracali z apteki, Jim chciał pojechać na cmentarz. Z jednej strony obawiał się tego, co go tam czeka, ale z drugiej pragnął sięgnąć w zapomnianą przeszłość i porównać wspomnienia z prawdą. Jednak wydarzenia na cmentarzu wstrząsnęły nim i obecnie przestało mu się spieszyć do oczekujących go kolejnych niespodzianek. Był zadowolony, że Holly siadła za kierownicą. Podejrzewała, że byłby jeszcze szczęśliwszy, gdyby wyjechała z miasteczka, skręciła na południe i nigdy więcej nie rozmawiała z nim o Svenborgu.

Park był mały, nie prowadziła przez niego żadna droga. Zostawili samochód przy ulicy.

Holly uznała, że park był jeszcze mniej zachęcający z bliska niż oglądany wczoraj z przejeżdżającego samochodu. Robił ponure wrażenie i nie można było winić za to jedynie zachmurzonego nieba. Trawa była na wpół zeschnięta; słońce dopiekało tu równie mocno jak w każdej innej dolinie centralnej Kalifornii. Nieprzycinane korzenie róż wyłaziły spod ziemi, parę nędznych pąków opadało i gubiło płatki na kolczastym krzewie. Inne kwiaty wyglądały na zeschłe, a dwie łąki prosiły się o malowanie.

Jedynie wiatrak był zadbany. Większy i bardziej imponujący niż jego krewniak na farmie, sześć metrów wyższy, a w jednej trzeciej wysokości budowlę obiegał balkon.

— Dlaczego tu jesteśmy? — spytała.

— Nie pytaj mnie. To ty chciałaś tu przyjechać.

— Nie bądź zgryźliwy, kochanie.

Wiedziała, że naciskanie go przypominało kopanie wiązki dynamitu, ale nie miała wyboru. Wybuchnie i tak, wcześniej czy później. Dla niej jedyna szansa przeżycia to zmuszenie go do uznania, że to on jest Nieprzyjacielem, zanim tamta osobowość przejmie nad nim całkowitą kontrolę. Znów czuła, że czasu jest coraz mniej.

— To ty włączyłeś to miejsce do wczorajszego programu zwiedzania. Mówiłeś, że kiedyś kręcili tu film. — Zastanowiła się nagle. — Chwileczkę, to tu widziałeś Roberta Vaughna? Grał w tamtym filmie?

Z wyrazem zdziwienia, który powoli ustąpił miejsca niezadowoleniu, Jim rozejrzał się wkoło, oglądając mały park. W końcu ruszył w kierunku wiatraka, a ona za nim.

Przed drzwiami wiatraka stały dwie mównice z kamienia, których górne ukośne partie służyły za tablice informacyjne. Podeszli wykładaną kamieniem ścieżką. Materiał informacyjny był zabezpieczony płytami z pleksi, ujętymi w wodoszczelne ramy. Tablica, przy której stanęli najpierw, zawierała informacje ogólne o używaniu wiatraków, które w dolinie Santa Ynez wykorzystywano do mielenia ziarna, pompowania wody i produkcji elektryczności od początku XIX wieku po wiek XX. Następnie prezentowano historię wiatraka, który mieli przed oczami — wiatraka z New Svenborga.

Informacje były nudne jak flaki z olejem i Holly przeszła do drugiej tablicy tylko dlatego, że nadal zachowała nieco tej zawziętości i głodu informacji, jakie uczyniły z niej znośną dziennikarkę. Tytuł na górze natychmiast wzbudził jej zainteresowanie; brzmiał: CZARNY WIATRAK; KSIĄŻKA I FILM.

— Jim, spójrz na to.

Podszedł do niej.

Znajdowała się tam fotografia okładki powieści dla młodzieży „Czarny wiatrak”, autorstwa Arthura J. Willotta. Ilustracja na okładce dokładnie wzorowała się na wiatraku z New Svenborga. Holly czytała z rosnącym zdumieniem. Willott, mieszkaniec doliny Santa Ynez — Solvanga, nie Svenborga — był popularnym autorem powieści młodzieżowych. Do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, kiedy to umarł w wieku osiemdziesięciu lat, napisał ich w sumie pięćdziesiąt dwie. Najlepiej wytrzymała próbę czasu i osiągnęła największą popularność powieść z gatunku fantasy o nawiedzonym przez duchy starym wiatraku i chłopcu, który odkrył, że duchy były faktycznie Obcymi z innego świata i że w stawie obok wiatraka ukryto statek gwiazdny, który spoczywał tam od dziesięciu tysięcy lat.

— Nie — powiedział Jim spokojnie, ale z rosnącym gniewem — nie, to nie ma sensu, to niemożliwe.

Holly przypomniała sobie ten moment snu, w którym była Leną Ironheart i wspinała się po schodach. Kiedy dotarła na górę, zobaczyła dziesięcioletniego Jima Ironhearta, który stał z opuszczonymi rękami i zaciśniętymi pięściami. Odwrócił się do niej i zawołał: „Boję się, pomóż mi, ściany, ściany!”. U jego stóp paliła się żółta świeca na błękitnej podstawce. Aż do tej chwili nie pamiętała, że obok podstawki leżała książka w twardych kolorowych okładkach. Ta sama okładka znajdowała się na tablicy: „Czarny wiatrak”.

— Nie — powtórzył Jim i obrócił się plecami do tablicy. Rozglądał się z niepokojem po drzewach poruszanych lekkim powiewem.

Holly czytała dalej i dowiedziała się, że dwadzieścia pięć lat temu, w tym samym roku, w którym dziesięcioletni Jim Ironheart przybył do miasteczka, „Czarny wiatrak” został sfilmowany. Wiatrak z New Svenborga posłużył za dekorację. Wytwórnia filmowa kazała wykopać dookoła niego płytki, ale dość udany staw, a następnie pokryła wszystkie koszty odnowy terenu i zapłaciła za budowę obecnego kieszonkowego parku.

Obracając się w koło i spozierając z niepokojem po drzewach, krzewach w ścielącym się przy ziemi mroku, którego chmurny dzień nie potrafił rozegnać, Jim powiedział:

— Coś nadchodzi.

Holly nie czuła, żeby coś miało nadejść, i była przekonana, że Jim po prostu usiłuje odwrócić jej uwagę od tablicy. Nie chciał zaakceptować implikacji, jakie wynikały z tekstu, więc próbował ją zmusić, aby sobie poszli.

Film musiał być niewypałem, gdyż Holly nigdy o nim nie słyszała. Dzieło pewnie zrobiło furorę jedynie w Svenborgu, a nawet tutaj swą sławę zawdzięczało tylko faktowi, że było oparte na książce napisanej przez mieszkańca doliny. Ostatni akapit na tablicy informacyjnej zawierał między innymi szczegółami z metryki filmu nazwiska pięciu głównych aktorów. Nie było tam nazwisk przyciągających tłumnie publiczność kinową. Z pierwszej czwórki rozpoznała jedynie M. Emmeta Walsh, którego akurat lubiła. Piątym członkiem obsady był młody i nieznany wtedy Robert Vaughn. Podniosła wzrok na groźnie wyglądający wiatrak.

— Co tu się dzieje? — spytała głośno. Popatrzyła na ponure niebo, a potem znów na tablicę z okładką książki Willotta. — Co tu się, do diabła, dzieje?

Głosem łamiącym się od lęku, ale rozbrzmiewającym równocześnie niesamowitą tęsknotą, Jim zawołał:

— On nadchodzi!

Spojrzała w kierunku, gdzie wytrzeszczał oczy, i zobaczyła, jak po drugiej stronie małego parku grunt rusza się, jakby coś ryło tunel, wypychając metrowej wysokości garb ziemi i darni i zdążając szybko w ich kierunku.

Obróciła się błyskawicznie do Jima, chwyciła go.

— Przestań!

— On nadchodzi — powiedział, szeroko otwierając oczy.

— Jim, to tylko ty, to tylko ty.

— Nie... nie ja... to Nieprzyjaciel — mówił głosem człowieka zapadającego w trans.

Holly obejrzała się i zobaczyła, że ta istota przechodzi pod betonową ścieżką, która pękła i uniosła się w tym miejscu.

— Jim, do cholery!

Wpatruje się w nadciągającego mordercę ze zgrozą, ale też z utęsknieniem, pomyślała.

Ziemia piętrzyła się nadal, jedna z parkowych ławek dźwignęła się, a potem zapadła.

Nieprzyjaciel był tylko dwanaście metrów od nich, nadciągał szybko.

Złapała Jima za koszulę, potrząsnęła nim, chcąc go zmusić, żeby spojrzał na nią.

— Widziałam ten film, kiedy byłam mała. No, jak się to nazywało, no? Czy to nie byli „Najeźdźcy z Marsa” czy coś takiego, tam gdzie Obcy budują pułapki w piachu i wysysają ludzi?

Obejrzała się. To było dziesięć metrów od nich.

— To ma nas zabić, Jim? Coś, co buduje pułapki w piachu, wysysa w dół, coś z filmu, po którym dziesięcioletni chłopcy mają koszmarne sny?

Sześć metrów.

Jim pocił się, drżał. Miała wrażenie, że nie docierają do niego jej słowa.

— Zabijesz mnie i siebie! — krzyczała mu w twarz. — Popełnisz samobójstwo jak Larry Kakonis, wreszcie przestaniesz odgrywać twardziela i skończysz z tym wszystkim, dasz wciągnąć się w ziemię jednemu z twoich koszmarów?!

Trzy metry. Dwa i pół.

— Jim!!!!

Dwa. Półtora metra.

Z ziemi pod ich stopami dobiegł potworny zgrzyt, szcęk, gdy podniosła nogę i bokiem obcasa z całej siły kopnęła go w goleń. Jim zakrzyknął z bólu, równocześnie grunt poruszył się pod nimi i Holly przerażona spojrzała w pękającą ziemię. Ale drążenie ustało jednocześnie z jego krzykiem. Grunt się nie rozwarł. Nic się nie wychyliło, nie wessało ich.

Roztrzęsiona Holly cofnęła się od rozdartej darni i spękanej ziemi, na której stała.

Jim spojrzał na nią oszołomiony.

— To nie byłem ja. To niemożliwe.

Kiedy wrócili do samochodu, Jim zapadł się w siedzenie.

Holly skrzyżowała ramiona na kierownicy, złożyła na nich głowę.

Spojrzał przez boczną szybę na park. Gigantyczny kreci ślad wciąż był widoczny, a także popękany i wymieszany z ziemią chodnik. Ławka leżała na boku.

Po prostu nie mógł uwierzyć, że istota spod ziemi stanowiła tylko twór jego wyobraźni, który czerpał moc jedynie z jego umysłu. Przez całe życie panował nad sobą, wiódł spartański żywot, w którym istniały tylko książki i praca, bez grzechu i pobłażania sobie. (Poza przerażającą, wygodną skłonnością do zapominania, pomyślał z goryczą). W teorii Holly najcięższy do zaakceptowania był dla niego fakt, że jedynym realnym niebezpieczeństwem, jakie im grozi, jest dzika i okrutna część jego istoty, pozostająca poza świadomą kontrolą.

To już nie był normalny strach. Przestał się pocić i dygotać. Miażdżyła go pierwotna groza, w której uścisku zeszywniał jak blok suchego lodu.

— To nie ja — powtórzył.

— Owszem, ty. — Jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że o mały włos jej nie zabił, Holly była zaskakująco łagodna. Nie podniosła głosu; ogromna czułość nadawała mu miękki ton.

— Dalej ekscytuje cię ta rozszczepiona osobowość — rzekł.

— Tak.

— Więc to była moja zła część?

— Tak.

— Która weszła w gigantycznego robaka albo coś w tym rodzaju. — Bezskutecznie usiłował zdobyć się na ton ostry, sarkastyczny. — Ale mówiłaś, że Nieprzyjaciel wdziera się w normalny świat tylko wtedy, kiedy śpię, a ja nie spałem, więc nawet jeśli faktycznie jestem Nieprzyjacielem, to w jaki sposób mogłem zmienić się w tę istotę z parku?

— Nie ma reguł. Podświadomie stajesz się coraz bardziej zdesperowany. Nie potrafisz kontrolować tamtej osobowości tak łatwo jak poprzednio. Im jesteś bliższy prawdy, tym agresywniej Nieprzyjaciel usiłuje się bronić.

— Jeśli to byłem ja, dlaczego nie było jak zwykle słycać bicia serca Obcego?

— To zawsze był tylko teatralny dodatek, tak jak dzwonki zwiastujące pojawienie się Przyjaciela. — Uniosła głowę znad skrzyżowanych ramion i popatrzyła na niego. — Dałeś sobie z tym spokój, ponieważ nie miałeś czasu. Czytałam ten napis, a ty nie chciałeś dopuścić, żebym poznała jego treść. To był sposób na odwrócenie mojej uwagi. Muszę przyznać, kochany, że przerosłeś samego siebie.

Spojrzał jeszcze raz na wiatrak i tablice z informacjami o „Czarnym wiatraku”.

— Po śmierci rodziców wpadłeś w bezdenną rozpacz. Chciałeś w coś uciec. Jest jasne, że pisarz Arthur Willott stworzył przed tobą świat fantazji, który idealnie zaspokajał twoje potrzeby. W takim czy innym stopniu żyłeś w nim aż do dziś.

Nie chciał się przyznać przed nią, ale musiał uczynić to przed samym sobą: jak ślepiec wymacał sobie drogę ku zrozumieniu. Był o krok od ujżenia swej przeszłości z nowej perspektywy, z której wszystkie tajemnicze linie i załamania uformują nowy i zrozumiały kształt. Jeżeli wybiórcza amnezja, przemyślnie skonstruowane, fałszywe wspomnienia, a nawet mnogość osobowości to nie było szaleństwo, ale jedynie klamry, których się czepiał, aby utrzymywać się na ścianie psychicznego zdrowia — jak twierdziła Holly — to co nastąpi, kiedy je puści? Jeżeli dokopie się prawdy o przeszłości, spojrzy w twarz temu, czemu nie chciał spojrzeć, będąc dzieckiem uciekającym w świat fantazji, czy prawda nie spowoduje, że tym razem właśnie oszaleje? Przed czym uciekał?

— Posłuchaj — powiedziała — najważniejsze, że zatrzasnąłeś przed nim drzwi, zanim do nas dotarło, zanim nas skrzywdziło.

— Noga boli mnie jak wszyscy diabli — powiedział, krzywiąc się.  
— Wspaniale — ucieszyła się.  
Włączyła silnik.  
— Gdzie teraz jedziemy? — spytał.  
— A jak sądzisz? Do biblioteki.

Holly zaparkowała przy małym wiktoriańskim domu.

Była zadowolona, że ręce się jej nie trzęsły, że głos miała spokojny i mogła prowadzić samochód z Ogrodów Tivoli, nie objając się od krawężnika do krawężnika. Jej emocje w parku zostały zredukowane do uczucia nagiej grozy — czystej, intensywnej, pozbawionej jakichkolwiek domieszek. Teraz groza opadała, ale Holly wiedziała, że nie otrząśnie się z niej, dopóki nie wydobędą się z gęstwiny tego starego lasu, pełnego zjaw — lub nie zginą. Zdecydowała nie ujawniać w pełni swego lęku przed Jimem. On dopiero cierpiał. Oto jego życie okazywało się zbiorem nędznych kłamstw. Musiała być mu podporą.

Kiedy razem podchodzili frontową ścieżką ku werandzie (Jim kulejąc), złapała się na tym, że przypatruje się bacznie trawnikowi, jakby spodziewała się, że coś zacznie ryc pod ziemią w ich kierunku. Lepiej nie próbuj, pomyślała, albo kopnę cię w drugi goleń.

Ale kiedy mijali drzwi, już zwątpiła, czy wstrząs wywołany bólem poskutkowałby jeszcze raz.

W wyłożonym boazerią foyer wisiała informacja: LITERATURA FAKTU PIERWSZE PIĘTRO. Strzałka wskazywała klatkę schodową na prawo.

Foyer zwęzało się w korytarz, do którego przylegały dwa przestronne pokoje. Obydwa wypełniały półki z książkami. Pomieszczenie na prawo mieściło także stoły i duże dębowe biurko.

Kobieta za biurkiem stanowiła doskonałą reklamę wiejskiego stylu życia: cera bez skazy, bogato połyskujące kasztanowe włosy, jasne, piwne oczy. Wyglądała na trzydzieści pięć lat, ale prawdopodobnie miała tuzin więcej.

Wizytówka przed nią głosiła: ELOISE GLYNN.

Wczoraj, kiedy Holly zapragnęła wejść do biblioteki, żeby dowiedzieć się, czy zastanie uwielbianą panią Glynn, Jim z naciskiem powiedział, że ona przeszła na emeryturę, że dwadzieścia pięć lat temu nie była młoda. W rzeczywistości musiała wtedy dopiero co ukończyć college i rozpoczęła pierwszą pracę.

W porównaniu z poprzednimi odkryciami to stanowiło jedynie drobną niespodziankę. Wczoraj Jim nie chciał, żeby Holly weszła do biblioteki, więc po prostu skłamał. A obecnie z wyrazu jego twarzy można było się zorientować, że nie jest wcale zaskoczony wiekiem Eloise Glynn; wczoraj wiedział, że nie mówi prawdy, choć może nie rozumiał, dlaczego kłamać.

Bibliotekarka nie rozpoznała Jima. Albo należał do tych dzieciaków, które nie rzucają się w oczy, albo — co bardziej prawdopodobne — mówił prawdę, kiedy twierdził, że nie zjawił się w bibliotece przez osiemnaście lat, od chwili skończenia college'u.

Eloise Glyn promieniowała energią typową dla kierowniczkę dziewczęcej drużyny sportowej, Holly zapamiętała ten typ z liceum.

— Willott? — odpowiedziała na pytanie Holly. — Och, tak, mamy ciężarówkę Willottów.

Rześko wyskoczyła z fotela.

— Pokażę wam dokładnie, gdzie jest. — Energicznie obeszła biurko i przeprowadziła Holly i Jima przez korytarz do drugiego obszernego pokoju.

— Był tutejszy, o czym na pewno wiecie. Umarł dziesięć lat temu, ale dwie trzecie jego książek nadal drukują. — Stała przed działem literatury młodzieżowej i szerokim gestem ręki wskazała dwie wysokie na metr półki wypełnione powieściami Willotta.

— Z tego Artie Willotta był płodny pisarz. Tak pracowity, że bobry chyliły głowy ze wstydu, kiedy się pojawiał.

Uśmiechnęła się zaraźliwie. Holly odpowiedziała uśmiechem i powiedziała:

— Szukamy „Czarnego wiatraka”.

— To jedna z jego najpopularniejszych powieści, wszystkie dzieci za tym szaleją. — Pani Glynn zdjęła książkę z półki prawie na ślepo i wręczyła ją Holly. — To dla waszego dziecka?

— Tak naprawdę to dla mnie. Czytałam o niej na tablicy informacyjnej w Ogrodach Tivoli.

— Ja czytałem tę książkę — powiedział Jim. — Ale ona chciała ją przejrzeć.

Powrócili do głównej sali. Siedli przy stole najbardziej oddalonym od biurka. Położyli książkę przed sobą i zabrali się do czytania pierwszych rozdziałów.

Ciągle go dotykała pieczotliwie — dłoń, ramię, kolano. W jakiś sposób musiała utrzymać go w całości tak długo, aż dowie się prawdy i zostanie uleczony — a jedyne spoiwo, którym dysponowała, stanowiła miłość. Była przekonana, że każdy przejaw uczucia, każde dotknięcie, uśmiech, czułe spojrzenie czy słowo to czynnik spajający, który chroni go przed kompletnym rozpadem.

Dobrze napisana powieść wciągała. Ale to, co ujawniała na temat życia Jima Ironhearta, było tak zdumiewające, że Holly zaczęła przeskakiwać fragmenty tekstu, czytać szeptem Jimowi wyjątki, gorączkowo poszukując następnych rewelacji.

Główna postać nazywała się Jim, nie Ironheart, ale Jamison. Jim Jamison mieszkał na farmie, na której znajdował się staw i stary wiatrak. Wiatrak podobno nawiedzały duchy, ale przeżywszy wiele zatrważających zdarzeń, Jim odkrywa, że to nie duchy pojawiają się w wiatraku, lecz Obcy, który zamieszkuje statek gwiazdny ukryty w stawie. Przybywał do Jima pod postacią łagodnego światła, jakie promieniowało z wnętrza

ścian. Obcy komunikował się z Jimem za pomocą dwóch żółtych bloków do notatek — na jednym Jim zadawał pytania, na drugim odpowiadał Obcy. Odpowiedzi pojawiały się w magiczny sposób. Zgodnie z tym, co przekazywała pozaziemska istota, stanowiła ona byt składający się z czystej energii i znalazła się na Ziemi, aby „OBSERWOWAĆ, BADAĆ, WSPOMAGAĆ LUDZKOŚĆ”. Nazywała siebie PRZYJACIELEM.

Zakładając to miejsce palcem, Holly przekartkowała resztę książki, ciekawa, czy Przyjaciel do samego końca będzie używał do porozumiewania się dziwacznymi blokami. W opowieści, z której Jim Ironheart wywiódł swój fantastyczny świat, Obcy nie odezwał się nigdy.

— To dlatego wątpiłeś, czy twój Obcy przemówi, i dlatego sprzeciwiałeś się odrzuceniu systemu z blokami.

Jim przestał już wątpić. Wpatrywał się w książkę z zachwytem.

Jego reakcja dodała Holly otuchy. Na cmentarzu był w stanie takiego załamania, jego oczy miały tak zimny i ponury wyraz, że zwątpiła, czy zdoła skierować swoją fenomenalną potęgę do wewnątrz i uleczyć siebie. A w parku przez jeden potworny moment pomyślała, że jego zdrowa otoczka trzaśnie i uwolni szaleńczą zawartość. Ale i wtedy udało mu się zapanować nad rozpadem swego „ja”, a teraz ciekawość pokonywała w nim lęk.

Pani Glynn poszła ustawiać książki na półkach. Nie pojawił się żaden żądny lektury bywalec biblioteczny.

Holly powróciła do książki, przerzucając kartki. W środku opowieści, tuż po tym, jak Jim Jamison i Obcy spotkali się po raz drugi, E.T. wyjaśniło, że jest istotą żyjącą „WE WSZYSTKICH PRZEDZIAŁACH CZASU”, może widzieć przyszłość, i chciało uratować życie człowieka, któremu przeznaczone było umrzeć.

— Niech mnie szlag trafi — powiedział cicho Jim.

Bez ostrzeżenia w wyobraźni Holly pojawiła się wizja tak silna i dokładna, że biblioteka na moment zniknęła i istniał tylko jej wewnętrzny świat: ujrzała siebie nagą, przybitą gwoździami do ściany, w ohydnej parodii ukrzyżowania, krew gwałtownie płynęła jej z rąk i stóp (głos szepce: nie żyjesz, nie żyjesz, nie żyjesz), otworzyła usta do krzyku, ale zamiast dźwięku pomiędzy warg wypełzły karaluchy i uświadomiła sobie, że już nie żyje (nie żyjesz, nie żyjesz, nie żyjesz), w jej zgniłych wnętrznościach mrowi się zaraz i robactwo...

Nienawistna fantasmagoria znikła z ekranu jej umysłu tak szybko, jak się pojawiła i Holly, drgnąwszy, błyskawicznie powróciła do biblioteki.

— Holly? — Jim patrzył na nią z niepokojem.

To część jego istoty przesłała jej tę wizję, bez dwóch zdań. Ale ten Jim, który na nią spoglądał, nie był Jimem, który to zrobił. Mroczne dziecko wewnątrz niego, Nieprzyjaciel, pełen nienawiści i żądzny mordu, nacierał na nią z nową bronią.



— W porządku. Czuję się dobrze — powiedziała.

Ale nie czuła się dobrze. Czuła mdłości i oszołomienie.

Usiłowała powtórnie skupić się na „Czarnym wiatraku”.

Człowiek, którego Jim miał uratować, wyjaśniał Przyjaciel, kandydat do urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych, wkrótce będzie przejeżdżał przez rodzinne miasteczko Jima i ma tam zostać zamordowany. Ale Obcy chciał, aby żył, gdyż „BĘDZIE WIELKIM MĘŻEM STANU I OREŁDOWNIKIEM POKOJU. URATUJE ŚWIAT PRZED WIELKĄ WOJNĄ”. Ponieważ Przyjaciel wolał zachować w tajemnicy swoją obecność na Ziemi, chciał udaremnić zamach poprzez Jima: „TY PRZEDŁUŻYSZ JEGO LINIĘ ŻYCIA, JIM”.

W powieści nie występował zły Obcy. Nieprzyjaciel był wyłącznie dodatkiem stworzonym przez Jima, ucieleśnieniem jego furii i nienawiści do samego siebie, którego musiał wyprzeć ze swej świadomości — i wypuścić spod kontroli.

Trzaskiem wyładowań przez ekran jaźni Holly przemknęła następna wizja, tak intensywna, że starła znów obraz realnego świata: leżała w trumnie, martwa, ale w jakiś sposób władała wszystkimi zmysłami; czuła, jak w jej wnętrzu kłębi się robactwo, czuła koszmarny smród własnego rozkładającego się ciała, widziała swą zgniłą twarz w pokrywie trumny jakby oświetlonej i wysłanej zwierciadłem. Podniosła szkielet dłoni i uderzyła w pokrywę, słyszała, jak echo zabębniło w ubitej nad nią ziemi...

Znów biblioteka.

— Holly, na miłość boską, co się dzieje?

— Nic.

— Holly?

— Nic — powtórzyła, czując, że byłoby błędem przyznać się, iż to Nieprzyjaciel tłucze się wewnątrz niej.

Skończyła przerzucać „Czarny wiatrak”.

W finale powieści, kiedy Jim uratował przyszłego prezydenta, Przyjaciel pograża się w łagodną toń stawu, nakazując Jimowi, aby zapomniał, że kiedykolwiek się spotkali i pamiętał jedynie, że uratował polityka z własnej inicjatywy. Jeśli stłumione wspomnienie kiedykolwiek przebije się do świadomości, ma wspominać Obcego: „TYLKO JAKO SEN, ISTOTĘ WYŚNIONĄ”. Kiedy światło Obcego zgasło w ścianie po raz ostatni, wiadomości na bloku znikły, nie pozostał ślad kontaktu.

Holly zamknęła książkę.

Siedzieli, wpatrując się w okładkę.

Wokół nich spoczywało tysiące chwil i miejsc, ludzie i światy, od Marsa poprzez Egipt do okręgu Yoknapatawpha, uwięzione w okładkach książek, jak blask jest uwięziony pod zmatowiałą powłoką mosiężnej lampy. Holly niemal czuła, jak niecierpliwia się, by oszołomić czytelnika już na pierwszej stronie, ożyć bogatymi kolorami, ostrymi woniami, wspaniałymi aromatami, śmiechem, łkaniem, krzykiem i szeptem. Książki były pełne snów.

— Sny otwierają drzwi — powiedziała Jimowi — a opowieść zawarta w każdej książce jest rodzajem snu. Poprzez sen Arthura Willotta o kontakcie z Obcym i przygodzie znalazłeś drzwi, którymi wyszedłeś ze stanu rozpaczy, uciekłeś przed przygniatającym poczuciem winy, że zawiodłeś matkę i ojca.

Był nieustannie blady, od kiedy pokazała mu blok z odpowiedziami Przyjaciela. ON CIĘ KOCHA HOLLY ON CIĘ ZABIJE HOLLY. Teraz drobny rumieniec powrócił mu na policzki. W jego oczach nadal tlił się lęk, a niepokój trwał przy nim jak cienie przy nocy, ale wydawało się, że stopniowo zaczyna pojmować te wszystkie kłamstwa, które zadecydowały o jego życiu.

I to właśnie przerażało w nim Nieprzyjaciela, zmuszało do desperackich poczynań.

Pani Glynn wróciła od półek. Pracowała przy biurku.

— Ale dlaczego miałbyś winić siebie za wypadek drogowy, w którym zginęli? — zastanawiała się Holly, zniżając głos. — I jak dzieciak w tym wieku może mieć tak niezwykle silne poczucie odpowiedzialności?

Potrząsnął głową.

— Nie wiem.

Przypomniawszy sobie, co mówił jej Corbett Handahl, Holly położyła rękę na kolanach Jima.

— Pomyśl, kochany. Czy wypadek nastąpił wtedy, kiedy byli w objeździe z tym numerem „cuda umysłu”?

Skinął głową.

Fotografia jego matki w błyszczącej sukni, Jima i jego ojca w smokingach... Powiedziała:

— Uczestniczyłeś w tym numerze.

Było widać, że budzi się w nim część wspomnień, jak kręgi światła budziły się w stawie. Gra uczuć na twarzy nie mogła być udawana; był autentycznie zaskoczony, że wynurza się ze świata ciemności.

Holly poczuła, jak w niej również budzi się podniecenie.

— Co robiłeś w tym numerze?

— To był numer... z magią. Mama zbierała przedmioty od ludzi na widowni. Tata był ze mną i my... ja brałem przedmioty do ręki i udawałem, że mam widzenia. Mówiłem ludziom rzeczy, których nie mogłem wiedzieć.

— Udawałeś?

Zamrugął.

— Może nie. To dziwne... jak mało pamiętam, nawet jak się wysiłam, żeby sobie przypomnieć.

— To nie było oszustwo. Robiłeś to uczciwie. To dlatego twoi rodzice przygotowali ten numer. Naprawdę byłeś niezwykłym dzieckiem.

Bębnił palcami po bibliotecznej okładce „Czarnego wiatraka”.

— Ale...

— Ale?

— Jest tyle rzeczy, których nie rozumiem...

— Och, ja też, skarbie. Ale jesteśmy coraz bliżej i muszę wierzyć, że to dobry znak.

Cień, jakby ślad z wewnątrz, przeleciał mu po twarzy.

— Chodź — powiedziała Holly i nie chcąc, żeby powtórnie popadł w ponury nastrój, wzięła książkę i podeszła do biurka bibliotekarki. Jim ruszył za nią.

Ruchliwa pani Glynn malowała afisz, używając kredek i pisaków. Były tam dobrze zakomponowane rysunki chłopców i dziewcząt w strojach kosmonautów, grotolazów, marynarzy, akrobatów i badaczy dżungli. Napis był gotowy, ale jeszcze nie pokolorowany: TU JEST BIBLIOTEKA. WITAMY DZIECI I POSZUKIWACZY PRZYGÓD. WSZYSTKIM INNYM WSTĘP WZBRONIONY!

— Ładny — pochwaliła szczerze Holly, wskazując na afisz, — Naprawdę wkłada pani w to serce.

— Dzięki temu nie przesiadują w barach — odparła pani Glynn z uśmiechem, który wyjaśniał, dlaczego każde dziecko ją lubiło.

— Mój narzeczony bardzo panią wychwalał. Może po dwudziestu pięciu latach pani go sobie nie przypomina.

Pani Glynn spojrzała na Jima z namysłem.

— Jestem Jim Ironheart, pani Glynn — powiedział.

— Oczywiście, że cię pamiętam! Byłeś najbardziej niezwykłym chłopczykiem. — Wstała zza biurka i kazała się uściskać. Wypuściwszy Jima z objęć, zwróciła się do Holly:

— Więc pani będzie żoną mojego Jima. To cudownie! Jak na tak małe miasteczko wiele dzieci przewinęło się tu od czasu, gdy prowadzę tę bibliotekę i nie mogę udawać, że zapamiętałam wszystkie. Ale Jim to wyjątek. Był z niego zupełnie wyjątkowy chłopiec.

Holly usłyszała znów, że miał nienasycony apetyt na książki fantasy, jak był niezwykle milczący w trakcie pierwszego roku pobytu w mieście i jak stał się pełnym niemową w drugim roku, po nagłej śmierci babki.

Holly uchwyciła nadarżającą się okazję:

— Wie pani, pani Glynn, Jim przywiózł mnie tu między innymi po to, żebyśmy zdecydowali, czy spodoba nam się życie na farmie, przynajmniej na jakiś czas...

— To miłsze miasteczko, niż się wydaje — rzekła pani Glynn. — Doskonale się pani tu poczuje, gwarantuję. Ale, ale, pozwólcie, że wypiszę wam karty biblioteczne!

Siadła i wyciągnęła szufladę biurka.

Kiedy bibliotekarka wyjmowała z szuflady dwie karty i brała do ręki pióro, Holly odezwała się:

— Cóż, chodzi o to, że... z tym miejscem Jim wiąże tyle samo dobrych wspomnień co złych, a najgorsze to śmierć Leny.

— I problem polega na tym — podjął Jim — że miałem zaledwie dziesięć lat, jak ona umarła — no, prawie jedenaście — i chyba jakoś zmusiłem się, aby zapomnieć, co się wtedy stało. Nie kojarzę dokładnie szczegółów tego, jak umarła, i zastanawiałem się, czy pani mnie pamięta...

Holly uznała, że może jednak byłby z niego jakiś dziennikarz.

— Trudno, żebym przypominała sobie jakieś szczegóły — powiedziała pani Glynn. — I sądzę, że nikt nigdy nie dowie się, co robiła w tym starym wiatraku w środku nocy. Henry, twój dziadek, mówił, że czasem chodziła tam, żeby po prostu odetchnąć od wszystkiego. Było tam chłodno i spokojnie, mogła sobie porobić na drutach i trochę porozmyślać. I oczywiście wtedy nie była to taka ruina jak dziś. Choć... to dziwne, że zajmowała się tam robotą na drutach o drugiej w nocy.

Kiedy bibliotekarka przypomniała sobie, co mogła, o śmierci Leny, potwierdzając fakt, że sen Holly był w istocie częścią wspomnień Jima, Holly poczuła jednocześnie lęk i mdłości. Eloise Glynn nie miała pojęcia — i chyba nikt nie miał — że Lena nie była w wiatraku sama.

Jim był tam również.

I tylko Jim wyszedł z niego żywy.

Holly zerknęła na niego i zobaczyła, że znowu cała krew odpłynęła mu z twarzy. Teraz był nie tylko blady. Był szary jak niebo za oknem.

Pani Glyn zażądała od Holly prawa jazdy do uzupełnienia danych w karcie bibliotecznej i Holly przedstawiła dokument, chociaż nie miała zamiaru się wpisywać.

— Jim, myślę, że książki bardziej niż wszystko inne pomogły ci znieść ten cały ból i tę stratę. Bardzo zamknąłeś się w sobie, czytałeś i czytałeś i chyba świat fantazji stał się dla ciebie rodzajem środka przeciwbólowego. — Pani Glynn podała Holly prawo jazdy i kartę biblioteczną. — Jim był niesamowicie inteligentnym chłopcem. Potrafił wniknąć całkowicie w książkę, tak że stawała się dla niego czymś prawdziwym.

Taak, pomyślała Holly, zawsze mu się to udawało.

— Kiedy pojawił się w mieście i dowiedziałam się, iż nigdy nie chodził do prawdziwej szkoły i rodzice sami go uczyli, pomyślałam, że to po prostu koszmarne, zwłaszcza że cały czas musieli podróżować z tym ich numerem po nocnych klubach...

Holly przypomniała sobie rząd fotografii na ścianie gabinetu Jima w Laguna Niguel: Miami, Atlantic City, Nowy Jork, Londyn, Chicago, Las Vegas...

— ...ale faktycznie odwalili kawałek cudownej roboty. Przynajmniej zrobili z niego miłośnika książek i bardzo mu się to później przydało. — Zwróciła się do Jima:

— Podejrzewam, że nie spytałeś dziadka o powód śmierci Leny, bo pomyślałeś, że to by go zdenerwowało. Ale wydaje mi się, że jego stan jest lepszy, niż sobie wyobrażasz, i przecież musi wiedzieć o tym więcej niż ktokolwiek inny.

Pani Glynn zwróciła się do Holly:

— Czy coś się stało, kochanie?

Holly uświadomiła sobie, że stoi z niebieską kartą biblioteczną w ręce, zamarała jak pomnik, jak jeden z tych czekających-na-reanimację ludzi ze świata książek z półek w bibliotece. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Jim tym razem był zbyt oszołomiony, aby przejąć piłkę. Jego dziadek żył. Ale gdzie?

— Nie — rzekła wreszcie Holly — nic, wszystko w porządku. Tylko pomyślałam, że robi się późno...

Trzask wyładowań, wizja: jej odrąbana, strzaskana, krzycząca głowa, jej zmasakrowane dłonie pełzną pająkowato po podłodze, jej zdekapitowany tułów drga i wije się w agonii; pocięta na kawałki, ale żywa, szaleńczo żywa, w jarzmie grozy nie do wytrzymania.

Chrząknęła, spojrzała na panią Glynn, która wpatrywała się w nią z ciekawością.

— Tak, hmm, rzeczywiście jest już późno. I mamy zobaczyć się z Henrym przed lunchem. Już dziesiąta. Pierwszy raz się z nim spotkam — bełkotała nieprzerwanie. — Bardzo się na to cieszę.

Chyba że naprawdę umarł ponad cztery lata temu, jak Jim jej opowiadał; wtedy spotkanie nie należałoby do przyjemności. Ale pani Glynn nie wyglądała na spirytystkę, która rzucałaby propozycję spotkania się z umarłym na miłej pogawędce.

— To miły człowiek — powiedziała Eloise Glynn. — Wyobrażam sobie, ile musiało go kosztować opuszczenie farmy po tym ataku, ale może się cieszyć, że na tym się skończyło. Moją matkę, niech Pan czuwa nad jej duszą, po wylewie sparaliżowało, oślepiła na jedno oko i tak jej się pomieszało, że nie zawsze potrafiła rozeznaczyć się we własnych dzieciach. Biedny Henry, jak słyszałam, zachował trzeźwość umysłu. Potrafi mówić i podobno wodzi rej wśród tego całego towarzystwa na wózkach w Fair Haven.

— Tak — wydukał Jim głosem tak drewnianym jak głos zegarowej kukułki — tak słyszałem.

— Fair Haven to takie miłe miejsce — powiedziała pani Glynn. — Ładnie z twojej strony, Jim, że go tam umieściłeś. W dzisiejszych czasach wiele domów opieki przypomina legowisko żmij, tam jest zupełnie inaczej.

Znaleźli adres Fair Haven na żółtych kartkach książki w budce telefonicznej. Mieściło się nadbrzeżach Solvanga. Holly pojechała w kierunku południowym i potem na zachód, w poprzek doliny.

— Pamiętam, że miał wylew — mówił Jim. — Przyjechałem z okręgu Orange i odwiedziłem go w szpitalu. Leżał na oddziale intensywnej opieki. Nie widziałem... nie widziałem go przez trzynaście lat albo więcej.

Holly to zaskoczyło i jej spojrzenie wzbudziło w Jimie gorącą falę zawstydzenia.

— Nie widziałeś własnego dziadka przez trzynaście lat?

— Miałem powód...

— Jaki?

Wpatrywał się przez moment w drogę, a z gardła wydarł mu się jęk rozgoryczenia.

— Nie wiem. Miałem powód, ale go nie pamiętam. W każdym razie przyjechałem, kiedy miał wylew i umierał w szpitalu. I, do cholery, pamiętam go umarłego.

— Pamiętasz wyraźnie?

— Tak.

— Pamiętasz go leżącego na szpitalnym łóżku, płaskie wykresy na monitorach?

Wzdrygnął się.

— Nie.

— Pamiętasz, jak lekarz mówi ci, że odszedł?

— Nie.

— Pamiętasz, jak robisz przygotowania do pogrzebu?

— Nie.

— No to co mówisz, że wyraźnie pamiętasz, jak umarł?

Jim przez chwilę siedział zaszępioty, podczas gdy Holly szybko prowadziła forda po krętych drogach pomiędzy łagodnymi wzgórzami, na których stały porozrzucane domy, mijając białe ogrodzenia pastwisk dla koni, zielonych jak obrazki Kentucky. Tutaj roślinność była bujniejsza niż wokół Svenborga. Ale niebo z niebiesko-czarnymi bliznami w chmurach stawało się bardziej mroczne i szare.

— Kiedy teraz na to patrzę, to nie jest wyraźne... — odezwał się w końcu. — Tylko zatarte obrazy... nie prawdziwe wspomnienie.

— Płacisz za utrzymanie Henry'ego w Fair Haven?

— Nie.

— Odziedziczyłeś jego posiadłość?

— Jak mogłem odziedziczyć, skoro on żyje?

— Więc opiekujesz się posiadłością?

Już chciał zaprzeczyć, kiedy nagle przypomniał sobie salę rozpraw, sędziego. Oświadczenie lekarza. Adwokata dziadka, który na życzenie starszego pana zeznał, że jest on w pełni władz umysłowych i wyraża życzenie, aby wnuk zajął się jego posiadłością.

— Wielkie nieba, tak — powiedział Jim, zaszokowany odkryciem, że zapomniał nie tylko wydarzenia z odległej przeszłości, ale zaledwie sprzed czterech lat.

Kiedy Holly wyprzedzała rozklekotaną ciężarówkę i przyspieszała na prostym odcinku drogi, Jim opowiedział, co sobie właśnie przypomniał, nie ukrywając, jak niejasny był ten obraz.

— Jak to się dzieje? W jaki sposób tworzę sobie całkowicie nową przeszłość, taką, która mi odpowiada?

— Samoobrona — wyjaśniła raz jeszcze. Wyprzedziła ciężarówkę i zjechała na prawo. — Założę się, że pamiętasz niezwykle dużo szczegółów z pracy w szkole, uczniów z różnych lat, kolegów, którzy uczyli się razem z tobą...

To była prawda. Kiedy mówiła, cofał się pamięcią, gdzie chciał, we wszystkie lata spędzone w klasie. Tysiące dni tak żywo odmalowanych, jakby wydarzyły się wczoraj.

— ...ponieważ tamto życie nie niosło ci zagrożeń, miało cel i było wypełnione spokojem. To, co zapomniałeś, co nieustannie spychasz w najgłębsze studnie pamięci, ma związek ze śmiercią rodziców, śmiercią Leny Ironheart i latami pobytu w Svenborgu. Henry Ironheart jest tego częścią, więc stale usuwasz go z pamięci.

Niebo wyglądało jak posiniaczone.

Zobaczył, jak kosy kołują w chmurach. Było ich więcej niż na cmentarzu. Cztery, sześć, osiem. Leciały równolegle do samochodu, zmierzając za nimi do Solvanga.

Dziwne. Przypomniał sobie sen, jaki obudził go tego ranka, kiedy poleciał do Portland uratować Billy'ego Jenkinsa i spotkał Holly. We śnie stado wielkich czarnych kosów skrzeczało wokół niego, ogłuszająco trzepotało skrzydłami, cięło dziobami ostrymi jak chirurgiczne skalpele.

— Najgorsze przed nami — powiedział.

— O co ci chodzi?

— Nie wiem.

— Masz na myśli to, czego dowiemy się w Fair Haven?

Kosy powyżej płynęły w wysokich zimnych prądach powietrza.

— Zbliży się coś bardzo mrocznego — ostrzegł Jim; nie wiedział, co dokładnie ma to oznaczać.

## 2

Fair Haven to był duży jednopiętrowy budynek bez śladu duńskiej architektury. Typowy obiekt funkcjonalny: kremowe tynki, dach z betonowych płyt, gładkie ściany pozbawione zdobień. Ale był świeżo pomalowany i zadbane, żywopłoty porządnie obcięto, trawniki niedawno przyszczyżono, a chodniki lśniły czystością.

Holly się tu podobała. Wyobraziła sobie, że mieszka tu, dobijając osiemdziesiątki, oglądając codziennie TV, grając od czasu do czasu w szachy, martwiąc się najwyżej o to, gdzie wczoraj wieczór zapodziała sztuczną szczękę.

Wewnątrz korytarze były szerokie i przewietrzane, podłogi z żółtych płytek. Inaczej niż w niektórych domach opieki powietrze nie przesyciło odory, jakie rozciąłyby nie-sprawni pensjonariusze, pozbawieni opieki, ani nie biła w nozdrza ciężka woń dezodo-rantów, mająca wyeliminować lub zamaskować smród. Pokoje, które mijali, wyglądały atrakcyjnie. Wielkie okna wychodziły na dolinę lub na ogród w podwórzu. Niektórzy pacjenci, z nieobecnym spojrzeniem i smutkiem na twarzach, leżeli w łózkach, inni tkwili w wózkach inwalidzkich. Ale były to nieszczęsne ofiary poważnych ataków lub choroby Alzheimera w rozwiniętym stadium, pogrążeni we wspomnieniach lub rozpa-czy, przeważnie niemający kontaktu z otaczającym światem. Wszyscy inni wyglądali na zadowolonych, słychać było nawet śmiechy, rzadkość w takich miejscach.

Zgodnie z tym, co twierdziła dyżurna w pokoju pielęgniarek, Henry Ironheart był mieszkańcem Fair Haven od przeszło czterech lat.

Pani Danforth, administratorka, do której biura ich wprowadzono, podjęła tę pracę, kiedy Henry Ironheart był już pensjonariuszem zakładu. Była tęgawa, uprzejma i miała nieszkodliwy wygląd zadowolonej z siebie żony pastora w dobrze prosperującej parafii. Nie mogła pojąć, dlaczego chcieli sprawdzić coś, co Jimowi było wiadome, zajrzała jed-nak do akt i potwierdziła, że faktycznie, miesięczny rachunek Henry'ego Ironhearta był zawsze regulowany czekiem, wysyłanym z Laguna Niguel przez Jamesa Ironhearta.

— Cieszę się, że w końcu pan przyjechał i mam nadzieję, że będzie się pan tu do-brze czuł — rzekła pani Danforth, łagodnie strofując go za zbyt rzadkie odwiedziny u dziadka i równocześnie nie chcąc go urazić.

Wyszli od administratorki i stanęli w kącie głównego hallu, z dala od krzątającej pie-lęgniarek i przywiązanych do wózków pacjentów.

— Nie dam rady tak zwyczajnie do niego podejść — upierał się Jim. — Nie po takim czasie. Czuję się... cały żołądek mam ściśnięty. Holly, ja się go boję.

— Dlaczego?

— Nie jestem pewien.

Nie potrafiła spojrzeć w jego oczy, gdyż wypełniała je rozpacz granicząca z paniką i niepokój.

— Czy kiedykolwiek cię skrzywdził, kiedy byłeś mały?

— Nie sędę. — Usiłował dojrzeć coś w chmurach, jakie zasłaniały mu pamięć, ale po chwili potrząsnął głową. — Nie wiem.

Holly lękała się zostawić Jima samego i usiłowała go namówić, żeby razem podeszli do starszego pana. Ale on upierał się, żeby udała się do niego sama.

— Wypytaj go najpierw o to, co nam jest potrzebne. Kiedy ja przyjdę, nie będziemy musieli zostawać dłużej... gdyby spotkanie źle wypadło, było dziwnie, nieprzyjemnie. Przygotuj go na moje zjawienie się, Holly. Proszę.



Ponieważ był gotów uciec, jeśli nie postąpi zgodnie z jego życzeniem, Holly w końcu się zgodziła. Ale gdy obserwowała, jak wychodzi na podwórze, gdzie miał zaczekać, żałowała, że nie ma go w zasięgu wzroku. Jeżeli znów straci kontrolę nad sobą, a Nieprzyjaciel zacznie się uaktywniać, nie będzie z nim nikogo, kto doda mu odwagi i zapobiegnie masakrze.

Okazało się, że Henry'ego Ironhearta nie ma w pokoju i uprzejma pielęgniarka dopomogła Holly go odnaleźć, wskazując pana przy stoliku karcianym w pełnej radoznego gwaru świetlicy. Po drugiej stronie pomieszczenia kilku pensjonariuszy oglądało telewizję.

Henry wraz z przyjaciółmi grał w pokera. Siedzieli we czwórkę przy stole zaprojektowanym dla osób na wózkach inwalidzkich. Żadne z nich nie miało na sobie stroju zwykle spotykanego w domach opieki, w rodzaju piżamy czy dresu. Poza Henrym siedziało tu dwóch wątych starszych panów — jeden w luźnych spodniach i czerwonej koszulce polo; drugi w podobnych spodniach i białej koszuli z muszką — i kobieta o ptasiej twarzy oraz śnieżnobiałych włosach, ubrana w spodniom i obcisłą bluzkę. Trwała zażarta licytacja, w banku spoczywała okazała kupka niebieskich plastikowych sztonów, więc Holly czekała z boku, nie chcąc przeszkadzać. W pewnej chwili, zdradzając zamiłowanie do dramatycznych efektów, jeden po drugim wyłożyli karty. Kobieta — miała na imię Thelma — wydała okrzyk zachwyty i wśród teatralnych przechwałek zgarnęła wygraną, podczas gdy mężczyźni żartobliwie kwestionowali jej uczciwość.

W końcu Holly przerwała im zabawę. Przedstawiła się Henry'emu Ironheartowi, nie ujawniając swego związku z Jimem.

— Jeśli można, chciałabym zamienić z panem kilka słów.

— Jezu, Henry — odezwał się mężczyzna w polo — ona jest dwa razy od ciebie młodsza!

— Zawsze był z niego stary perwers — powiedział facet z muszką.

— Och, Stewart, przestań, i to zaraz — wtrąciła się Thelma, zwracając się do pana z muszką. — Henry był dżentelmenem przez całe życie.

— Jezu, Henry, jak nic będziesz żonaty, i to jeszcze dziś, przed opuszczeniem tej sali.

— Tobie na pewno to nie grozi, George — kontynuowała Thelma. — A jeśli chodzi o Henry'ego i o mnie — mrugnęła — to obejdzie się bez ślubu.

— Coś mi się zdaje, że mnie tu wyrolują — odezwała się Holly, kiedy wszyscy wybuchnęli śmiechem po ostatniej odzywce Thelmy.

— Thelma rzadko nie dostaje tego, co sobie upatrzy — rzekł George.

Widząc, że Steward zebrał talię i wziął się do tasowania, Holly powiedziała:

— Nie chcę przerywać wam gry.

— Och, proszę się nie przejmować — odezwał się Henry. Po wylewie mówił trochę bełkotliwie, ale można go było zrozumieć. — Właśnie mamy przerwę na „poprawienie makijażu”.

— W naszym wieku — wyjaśnił George — bez koordynacji w tych sprawach ani rusz. Inaczej trudno byłoby o cztery osoby naraz, a tyle potrzeba do kart!

Pozostali odjechali na wózkach, a Holly przysunęła sobie krzesło do Henry'ego Ironhearta.

Nie był to ten sam zdrowo wyglądający mężczyzna z fotografii o ostrych rysach i bez pomocy mogłaby go nie rozpoznać. Wylew osłabił prawą stronę ciała, choć nie był to paraliż, i Henry niemal ciągle trzymał rękę przytuloną do piersi, tak jak ranne zwierzę chroniące złamaną łapę. Stracił dużo na wadze i nie był już tęgi. Twarz miał wychudłą, chociaż nadal czerstwą; mięśnie prawego policzka były nienaturalnie rozluźnione, jakby lekko zwisały.

Jego wygląd, w połączeniu z lekkim bełkotem, jaki towarzyszył każdemu wymawianemu przez niego słowu, mógłby wpędzić Holly w depresję, przypominając nieuniknioną przemoc ludzkiego życia — gdyby nie oczy odzwierciedlające nieugiętą duszę. Rozmowa sprawiała mu pewną trudność, ukazywała wszakże bystrego i dowcipnego człowieka, który nie dawał losowi satysfakcji z powodu swego nieszczęścia; jeśli przeklinał swe ciało, czynił to jedynie w samotności.

— Jestem przyjaciółką Jima — powiedziała mu.

Jego usta przybrały kształt opadającego „O”, co zdecydowała się uznać za wyraz zdziwienia. W pierwszej chwili nie wiedział, jak ma zareagować, ale w końcu spytał:

— Co u niego?

Uznając, że prawda będzie najlepsza, powiedziała:

— Źle, Henry. To bardzo nieszczęśliwy człowiek.

Odwrócił wzrok od niej na stos pokerowych sztonów na stole.

— Tak — przyznał cicho.

Holly spodziewała się zastać napastującego dzieci potwora, który byłby przynajmniej częściowo odpowiedzialny za odwrócenie się Jima od realnego świata. W niczym nie odpowiadał temu obrazowi.

— Henry, chciałam się z tobą spotkać i porozmawiać, bo Jim i ja jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi. Kocham go i on powiedział, że mnie kocha, i wierzę, że będziemy ze sobą przez długi, długi czas.

Ku jej zdumieniu łzy napłynęły mu do oczu i spłynęły po policzkach, zbierając się w grube krople na miękkich fałdach starej twarzy.

— Wybacz, czy cię zdenerwowałam?

— Nie, Chryste Panie, nie — powiedział, ocierając łzy lewą ręką. — Wybacz, proszę, staremu głupcowi.

— Na pewno nie jesteś głupcem, zapewniam cię.

— Po prostu nigdy nie myślałem... No, wyobraziłem sobie, że Jima czeka samotność do końca życia.

— Dlaczego tak myślałeś?

— No...

Wydawał się lękać, że może powiedzieć coś złego o swoim wnuku. Tym zupełnie rozproszył jej obawy, że okaże się jakimś okrutnikiem. Pomogła mu.

— Ma zwyczaj trzymać ludzi na dystans, o to ci chodziło?

— Nawet mnie — potwierdził. — Kochałem go z całego serca przez te wszystkie lata i wiem, że on też mnie kocha na swój sposób, choć zawsze miał duże kłopoty z okazaniem uczuć i nigdy nie potrafił tego powiedzieć.

Kiedy Holly miała zadać mu następne pytanie, nagle potrząsnął silnie głową, a jego zniekształconą twarz skrzywił wyraz takiej rozpacz, że przez moment obawiała się następnego wylewu.

— To nie tylko jego wina. Bóg wie, że nie tylko. — Bełkot stał się jeszcze silniejszy pod wpływem emocji. — Muszę spojrzeć prawdzie w oczy — za część tego oddalenia między nami ja jestem odpowiedzialny: winiłem go za coś, za co nigdy nie powinienem był winić.

— Winiłeś?

— Za Lenę.

Cień strachu przesunął się jej przez serce i ukłął boleśnie jak przy chorobie wieńcowej.

Spojrzała w okno wychodzące na kąt podwórza. Nie był to ten kąt, do którego udał się Jim. Zastanawiała się, jak się czuje, gdzie jest... kim jest?

— Za Lenę? Nie rozumiem — powiedziała, choć bała się tego, co on wiedział.

— Teraz widzę, że to, co zrobiłem... to, co pomyślałem, było niewybaczalne. — Zamilkł, patrząc nie na nią, lecz poprzez nią, w odległy czas i miejsce. — Ale wtedy stał się taki dziwny, zupełnie inny niż dziecko, jakim był poprzednio. Zanim w ogóle uda ci się zrozumieć, co uczyniłem, musisz wiedzieć, że po Atlancie stał się bardzo dziwny, kompletnie zamknął się w sobie.

Holly natychmiast pomyślała o Samie i Emily Newsome'ach, których życie Jim uratował w małym sklepie w Atlancie — i o Normanie Rinku, w którego władował z bliska osiem nabozi ze strzelby. Ale było jasne, że Henry nie mówi o ostatnim zdarzeniu w Atlancie; że odwołuje się do jakiegoś poprzedniego incydentu z o wiele głębszej przeszłości.

— Nie wiesz o Atlancie? — spytał, widząc jej całkowity brak zrozumienia.

Dziwny odgłos, jakby świergotanie, doleciał do pokoju, alarmując Holly. Przez moment nie potrafiła zidentyfikować hałasu, potem uświadomiła sobie, że podobnie krzyczą ptaki broniące gniazd. Żadnych ptaków nie było w pokoju i podejrzewała, że ich krzyk odbił się od przewodu biegnącego od dachu do kominka. Tylko ptaki. Skrzeczenie ucichło.

Znów skupiła uwagę na Henrym Ironhearcie.

— Atlanta? Wydaje mi się, że nic mi to nie mówi.

— Nie sądziłem, żeby ci mówiło. Byłbym zaskoczony, gdyby o tym z tobą rozmawiał, nawet z tobą, chociaż cię kocha. On po prostu o tym nie rozmawia.

— Co się stało w Atlancie?

— To stało się w miejscu, które nazywa się Pałac Kaczora...

— Och, mój Boże — szepnęła. Była tam w swoim śnie.

— Więc coś o tym wiesz — powiedział.

W jego oczach dojrzała morze smutku.

Poczuła, jak twarz marszczy się jej pod naporem żalości. Nie z powodu rodziców Jima, których nigdy nie poznała, i nawet nie z powodu Henry'ego, który prawdopodobnie ich kochał, ale z powodu Jima.

— Och, mój Boże. — A potem nie mogła powiedzieć już nic więcej, ponieważ łzy zdławiły jej słowa.

Henry wyciągnął do niej rękę pokrytą plamami wątrobianymi. Ujęła ją i trzymała, czekając, aż znów będzie mogła przemówić.

Po drugiej stronie świetlicy dzwoniły dzwonki i trąbiły trąbki w jakiejś telewizyjnej audycji.

Żaden wypadek drogowy nie zabił rodziców Jima. Dzięki tej historii unikał opowiadania straszliwej prawdy.

Ona wiedziała. Wiedziała i nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Jej ostatni sen nie był ostrzeżeniem przed przyszłością, ale jeszcze jednym wspomnieniem, którego projekcję Jim wywołał w jej umyśle podczas snu ich obojga. W tym śnie nie była sobą, tylko Jimem. Tak jak dwie noce wcześniej we śnie była Leną. Gdyby jakieś lustro w Pałacu Kaczora pozwoliło spojrzeć jej we własną twarz, zobaczyłaby oblicze Jima zamiast swojego, tak jak zobaczyła twarz Leny w oknie wiatraka. Groza spływającej krwią restauracji powróciła teraz do niej w żywych obrazach, których nie mogła usunąć z wyobraźni — wstrząsnęła nią.

Spojrzała w kierunku okna na podwórze, cała w lęku o niego.

— Przez tydzień występowali w klubie w Atlancie — powiedział Henry. — Poszli na lunch do ulubionej restauracji Jima, którą pamiętał z ostatniego pobytu w Atlancie, kiedy tam grali.

— Kim był morderca?

— Zwykły wariat. Dlatego to było takie ciężkie. Bez sensu. Zwykły szaleniiec.

— Ilu ludzi zginęło?

— Wielu.

— Ilu, Henry?

— Dwadzieścia cztery osoby.

Wyobraziła sobie w miejscu zagłady małego Jima Ironhearta, walczącego o życie wśród zmasakrowanych ciał innych ludzi. Pomieszczenie wypełnione okrzykami bólu i strachu, smrodem krwi, wymiocin, żółci i moczu unoszącym się z ciał pomordowanych. Znowu usłyszała potężny odgłos automatycznej broni, dżada-dżada-dżada-dżada-dżada i proszę-proszę-proszę-proszę przerażonej młodej kelnerki. Nawet jako sen było to prawie nie do wytrzymania; cała bezsensowna groza istnienia i całe okrucieństwo ludzkiego gatunku, skondensowane w jednym niszczycielskim zdarzeniu, wybuch bestialstwa, po którym nawet dorosły przez całe życie mógł walczyć o pełne ozdrowienie psychiczne. Dziesięcioletniemu dziecku ozdrowienie mogło wydać się niemożliwe, rzeczywistość — nie do zniesienia, zaprzeczenie faktom — konieczne, a świat fantazji jedynym narzędziem, dzięki któremu można utrzymać resztki zdrowia psychicznego.

— Tylko Jimmy przeżył — powiedział Henry. — Gdyby policja zjawiła się parę sekund później, też by nie żył. Zastrzelili tego człowieka na miejscu.

Dłoń Henry'ego wzmocniła uścisk na ręce Holly.

— Znaleźli Jima w kącie, na kolanach Jamiego, na kolanach jego własnego taty, w jego ramionach, całego w... w jego krwi.

Holly przypomniała sobie koniec snu...

...wariat idzie prosto na nią, kopie na boki stoliki i krzesła, więc ona gramoli się do kąta na ciało trupa, a wariat jest bliżej, bliżej, podnosi broń, ona nie chce spojrzeć na niego tak, jak patrzyła kelnerka, a potem umarła, więc odwraca twarz do trupa...

...i przypomniała sobie, jak obudziła się niemal w konwulsjach, dusząc się z obrzydzenia.

Gdyby miała czas spojrzeć w oblicze trupa, zobaczyłaby ojca Jima.

Podniebny wrzask znowu odbił się ostrym echem w świetlicy. Tym razem był głośniejszy. Paru starszych mieszkańców podeszło do kominka, żeby sprawdzić, czy jakiś ptak nie zaplątał się w kominie.

— W jego krwi — cicho powtórzyła Holly. Było jasne, że nawet po tylu latach zanurzenie się w tamtą chwilę rodziło ból nie do zniesienia.

Chłopiec nie tylko znalazł się w ramionach nieżywego ojca, ale na pewno wiedział, że w tym chaosie, martwa, spoczywa jego matka i że został sam.

Jim siadł na ławce z sekwojowego drewna na podwórku Fair Haven. Był sam.

Jak na dzień w końcu sierpnia, szczyt sezonowej suszy, niebo było niezwykle ciężkie, brzemienne wilgocią, a równocześnie wyglądało jak odwrócona misa pełna popiołu. Kwitnące późnym latem kwiaty opadały kaskadami na betonowe ścieżki. Bez zachęty słońca nie ujawniały nawet połowy swych kolorów. Drzewa drżały, jakby chłodził je łagodny powiew sierpniowy.

Coś zbliżało się. Coś bardzo złego.

Trzymał się teorii Holly, powtarzał, że nic nie nadejdzie bez zachęty z jego strony. Musi się tylko kontrolować, a wszyscy przeżyją.

Ale mimo to czuł, że nadchodzi.

Coś.

Usłyszał chrapliwy krzyk ptaków.

Ptaki ucichły.

Holly puściła rękę Henry'ego Ironhearta, wyjęła z torebki kilka papierowych chusteczek, wytarła nos i oczy. Kiedy już mogła mówić, wyjąkała:

— Wini siebie za to, co spotkało jego mamę i tatę.

— Wiem. Zawsze tak było. Nigdy o tym nie mówił, jednak było widać, że nie przestaje myśleć, iż powinien był ich uratować.

— Ale dlaczego? Miał tylko dziesięć lat, był małym chłopcem. Nie dałby rady dorosłemu mężczyźnie z pistoletem maszynowym. Na miłość boską, dlaczego miałby czuć się odpowiedzialny?

Na moment oczy Henry'ego straciły blask. Jego obwisła twarz, po prawej stronie już ściągnięta w dół, obwisła jeszcze bardziej w niewysłowionym smutku.

— Rozmawiałem z nim o tym wiele razy — odezwał się w końcu. — Sadzałem go na kolanach i rozmawiałem, Lena także. Był jednak tak zamknięty w sobie, nie chciał się otworzyć, nie chciał powiedzieć, dlaczego siebie wini — dlaczego siebie nienawidzi.

Holly spojrzała na zegarek. Zbyt długo zostawiła Jima samego. Ale nie mogła przezwyciężyć Henry'emu Ironheartowi w połowie, nie wysłuchać prawdy, po którą tu przyjechała.

— Myślałem o tym przez te wszystkie lata — ciągnął Henry — i może do czegoś tam doszedłem. Lecz zanim coś zacząłem rozumieć, Jim wyrósł, a o Atlantcie przestaliśmy już rozmawiać dużo wcześniej. W zasadzie w ogóle przestaliśmy rozmawiać.

— A do czego doszedłeś?

Henry włożył swoją słabą prawą rękę w mocną lewą i wpatrywał się w kłykcie pod wysuszoną przez czas skórą. Z postawy starego mężczyzny Holly wyczuła, że nie był pewien, czy powinien wyjawić to, co chciał i potrzebował wyjawić.

— Kocham go, Henry.

Podniósł oczy i spotkał jej wzrok.

— Wcześniej mówiłaś, że przyjechałam tu dowiedzieć się o Atlantcie, bo Jim nie chciał o tym mówić, i miałaś rację. Przyjechałam dowiedzieć się wielu rzeczy, ponieważ on zabronił mi wstępu do pewnych obszarów swojego życia. On mnie naprawdę kocha, Henry, nie mam żadnych wątpliwości, ale jest jak zaciśnięta pięść i pewnych spraw nie

chce z siebie wypuścić. Jeżeli mam za niego wyjść, jeżeli ma do tego dojść, muszę wiedzieć o nim wszystko — albo nigdy nie będziemy szczęśliwi. Nie można opierać wspólnego życia na tajemnicach.

— Masz rację, oczywiście.

— Powiedz mi, dlaczego Jim ma do siebie pretensje. To go zabija, Henry. Jeżeli mogę żywić jakąś nadzieję, że mu pomogę, muszę wiedzieć to, co ty.

Westchnął i zdecydował się.

— To, co powiem, będzie wyglądało na idiotyczne zabobony, ale tak nie jest. Postaram się opowiedzieć to krótko i zwyczajnie, bo będzie jeszcze dziwniejsze, jak to poupiększam. Moja żona, Lena, posiadała moc. Przeczucia, tak się chyba mówi. Nie żeby widziała przyszłość, zgadywała wygrane na wyścigach albo czyjeś miejsce pobytu za rok, nic z tych rzeczy. Ale czasami... wiesz, mogłaś zaprosić ją na piknik za tydzień w niedzielę i bez namysłu mówiła, że za tydzień w niedzielę będzie łało jak Noemu na arkę. No i, na Boga, tak było. Albo jakaś sąsiadka zaszła w ciążę i Lena zaczynała mówić o dziecku „on” albo „ona”, kiedy nie mogła jeszcze wiedzieć, co będzie — i zawsze miała rację.

Holly poczuła, że ostatnie kawałki układanki trafiają na swoje miejsca. Kiedy Henry obdarzył ją spojrzeniem z serii „pewnie-masz-mnie-za-starego-durnia”, wzięła jego słabą rękę i ścisnęła uspokajająco.

— Dojrzałaś w Jimie coś nadzwyczajnego, zgadza się? Jakby magię? — spytał po chwili.

— Tak.

— Więc może wiesz, dokąd to wszystko zmierza.

— Może.

Niewidoczne ptaki znów zaczęły skrzeczeć. Pensjonariusze przy telewizorze przyciszyli dźwięk i rozglądali się, usiłując odnaleźć źródło pisku.

Holly spojrzała w kierunku okna wychodzącego na podwórze. Nie było tam żadnych ptaków. Ale wiedziała, czemu od tych ich krzyków włosy podnoszą się jej na karku: były w jakiś sposób związane z Jimem. Pamiętała, jak patrzył na ptaki na cmentarzu i jak uważnie obserwował je na niebie podczas jazdy do Solvanga.

— Jamie, nasz syn, był jak jego matka — mówił Henry, jakby krzyk ptaków w ogóle do niego nie docierał. — On po prostu czasami wiedział. Był jeszcze bardziej uzdolniony od Leny. I po tym, jak ożenił się z Carą i ona zaszła w ciążę, Lena pewnego dnia powiedziała po prostu: „Ich dziecko będzie niezwykle, będzie z niego prawdziwy mag”.

— Mag?

— Takie wiejskie nazwanie kogoś, kto ma moc, ma w sobie coś nadzwyczajnego jak Lena i Jamie. Tylko że ona myślała o czymś naprawdę niezwykłym. Więc Jim się urodził i jeszcze przed czwartymi urodzinami... no, robił niesamowite rzeczy. Na przykład raz

dotknął mojego grzebyka, który kupiłem u naszego fryzjera, i zaczął opowiadać o rzeczach, jakie są w salonie fryzjerskim, choć w życiu tam nie był, bo mieszkał razem z Jamiem i Carą w Los Angeles.

Zamilkł i odetchnął głęboko kilka razy. Mówił mniej wyraźnie. Prawa powieka mu opadła. Rozmowa wyczerpywała go jak praca fizyczna.

Pielęgniarz z latarką zjawił się przy kominku. Wypatrywał czegoś w przewodzie kominowym, wokół szczelin przy zasuwie. Pewnie usiłował dojrzeć, czy nie uwiązał tam jakiś ptak.

Oszalały łopot skrzydeł zagłuszał teraz pisk.

— Jimmy dotknął jakiegoś przedmiotu i wiedział, skąd jest, dowiadywał się o właścicielu różności. Ale nie wiedział wszystkiego. Wiedział, ile wiedział, nic więcej. Dotykał jakiegoś osobistego drobiazgu i znał imiona rodziców właściciela i gdzie pracuje. Potem robił to samo z rzeczami kogoś innego i dowiadywał się tylko nazwy jego szkoły i imion jego dzieci. Stale coś innego, nie miał nad tym władzy. Ale próbował i zawsze do czegoś dochodził.

Pielęgniarz, kierowany uwagami pacjentów, wstał od kominka i usiłował coś dojrzeć w końcówkach przewodów wentylacyjnych. Kłótlive ptasie odgłosy nadal rozbrzmiewały echem w świetlicy.

— Wyjdźmy na podwórko — powiedziała Holly, wstając z miejsca.

— Poczekaj — odparł żałośnie Henry — daj mi to skończyć, niech ci opowiem.

Jim, na litość boską, pomyślała Holly, wytrzymaj jeszcze przez minutę, przez parę chwil. Siadła niechętnie.

— Niezwykłość Jima była tajemnicą rodzinną — kontynuował Henry. — Tak jak Jamiego i Leny. Nie chcieliśmy, żeby ludzie o tym wiedzieli, zaczęli węszyć, nazywać nas świrami i Bóg wie czym. Ale Cara... ona zawsze miała hopla, żeby robić w rozrywce. Jamie pracował w Warner Brothers, poznał ją tam i chciał tego, co i ona. Uznali, że mogą zrobić numer oparty na Jimie, nazwać go cudownym dzieckiem — czarodziejem umysłu, ale nikt nigdy się nie skapuje, że on ma prawdziwą moc. I przygotowali taką zabawę dla publiczności, pozwalając jej przypuszczać, że nieźle to wykombinowali — gdy tymczasem to działa się naprawdę. Mieli z tego niezły grosz i korzystali na tym jako rodzina: byli zawsze razem. Zanim przygotowali ten numer, byli ze sobą związani, ale jak ruszyli w trasę, stali się sobie bliscy jak nigdy. Żadni rodzice nie kochali bardziej swojego dziecka ani nie dostawali w zamian więcej miłości. Tacy związani... trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś się rozdziela.

Kosy przecinały ołowiane niebo.

Siedząc na ławce z sekwojowego drewna, Jim nie odrywał od nich oczu.

Prawie znikły w chmurach na wschodzie, potem ostro zakręciły i powróciły.



Przez moment kołowały mu nad głową.

Te ciemne, postrzępione kształty, odbijające się od martwego nieba kreśliły wizerunek godny wiersza Edgara Allana Poe'go. Jako dziecko uwielbiał Poe'go i nauczył się na pamięć wszystkich co bardziej makabrycznych fragmentów jego poezji. Posępne obrazy urzekały go.

Wrzask ptaków nagle się urwał. Cisza, która nastąpiła, była błogosławieństwem, ale co dziwne Holly poczuła większy lęk, kiedy skrzeczenie ustało, niż kiedy słuchała owych odgłosów.

— I jego moc rosła — powiedział cicho, niewyraźnie Henry Ironheart. Poruszył się na wózku, ale jego prawa strona nie chciała zmienić pozycji. Po raz pierwszy widać było, że ograniczenia spowodowane przez wylew naprawdę mu doskwierają. — Zanim Jim skończył sześć lat, kładło się na stole pięciocentówkę i ruszał nią tylko siłą woli. Jeździła po stole w przód i w tył, stawała na sztorc. Jak miał osiem lat, podrzucał ją i utrzymywał w powietrzu. Kiedy miał dziesięć, potrafił zrobić to samo z ćwierćdolarówką, płytą gramofonową, puszką na ciastka. To było najbardziej niesamowite na świecie.

Powinieneś zobaczyć, na co go stać w wieku trzydziestu pięciu lat, pomyślała Holly.

— Nigdy nic z tego nie wzięli do swojego numeru — powiedział Henry — dalej robili „cuda umysłu”, brali różne osobiste drobiazgi od publiki i Jim bez mrugnięcia okiem opowiadał im różności, wiesz — zadziwiał ich. Jamie i Cara kombinowali, jak by tu dołączyć trochę jego lewitacji, ale nie potrafili wykombinować, jak to zrobić, żeby prawda się nie wydała. Potem poszli kiedyś do tego Pałacu Kaczora w Atlancie... i nastąpił koniec wszystkiego.

To nie był koniec wszystkiego. To był koniec i równocześnie mroczny początek.

Uświadomiła sobie, dlaczego milczenie ptaków niepokoiło ją bardziej niż sam skrzek. Tamten odgłos brzmiał w jej uszach jak syk dopalającego się lontu. Dopóki go słyszała, można było zapobiec eksplozji.

— I właśnie dlatego myślę, że Jim wyobrażał sobie, iż mógł ich uratować — rzekł Henry. — Potrafił robić te drobne sztuczki siłą swojego umysłu, utrzymać w powietrzu różne rzeczy, poruszać nimi — więc kombinował, że mógł spowodować, żeby tamtemu wariatowi zaciął się nabój w lufie, zablokował spust, bezpiecznik przeskoczył na swoje miejsce, coś, coś...

— Stać go było na coś takiego?

— Hm, może. Ale był tylko przerażonym małym chłopcem. Żeby robić takie numery z pięciocentówkami, płytami i puszkami na ciastka, musiał się koncentrować. Tego dnia, kiedy zaczęły latać kule, nie było czasu na koncentrację.

Holly przypomniała sobie morderczy odgłos: dżada-dża-da-dżada-dżada...

— Więc kiedy przywieźliśmy go z Atlanty, ledwo się odzywał. Czasem bąknął jedno, dwa słówka. Nie patrzył w oczy. Kiedy Jamie i Cara odeszli, coś umarło i w nim. Nigdy nie zdołaliśmy tego ożywić, choć się staraliśmy. Jego moc też umarła. W każdym razie na to wyglądało. Nigdy już nie robił swoich sztuczek i po tylu latach trudno było uwierzyć, że kiedyś wyczyniał tak przedziwne rzeczy.

Poprzednio, mimo dobrego nastroju, Henry Ironheart wyglądał na swoje osiemdziesiąt lat. Teraz patrzyła na jeszcze starszego, wiekowego mężczyznę.

— Jimmy był taki obcy po Atlancie — mówił — taki nieosiągalny i pełen furii... czasem można było go kochać, ale równocześnie trochę się go bałem. Później, Boże, wybacz mi, podejrzewałem go o...

— Wiem — rzekła Holly.

Jego obwisłe rysy stężały i spojrzał na nią ostro.

— Twoja żona — powiedziała. — Lena. To, jak umarła.

Odezwał się jeszcze mniej wyraźnie:

— Wiesz tak dużo.

— Aż za wiele — powiedziała. — To śmieszne. Bo przez całe życie wiedziałam za mało.

Henry znów opuścił wzrok na swoje bezsilne dłonie.

— Jak mogłem pomyśleć, że dziesięcioletni chłopiec, nawet jeśli był zdenerwowany, mógł zepchnąć ją ze schodów tego wiatraka, kiedy tak ją kochał? Wiele lat musiało upłynąć, zanim ujrzałem, że byłem wobec niego cholernie okrutny, nieczuły, tak cholernie głupi. Ale wtedy i tak nie dałby mi szansy na przeproszenie za to, co zrobiłem... co pomyślałem. Po tym, jak odjechał do college'u, nigdy się nie pokazał. Ani razu przez trzynaście lat, aż zdarzył mi się ten wylew.

Pokazał się, pomyślała Holly, dziewiętnaście lat po śmierci Leny, żeby się z tym zmierzyć i położyć kwiaty na jej grobie.

— Gdyby istniał jakiś sposób, żeby mu wytłumaczyć. Gdyby tylko dał mi szansę...

— On jest teraz tutaj — odparła Holly, podnosząc się.

Strach wypełził na oblicze starca, stało się jeszcze bardziej mizerne niż przed chwilą.

— Tutaj?

— Przyjechał, żeby dać ci tę szansę — Holly nie potrafiła nic więcej dodać. — Chcesz, żebym cię do niego zaprowadziła?

Kosy gromadziły się. Już ósemka zebrała się wysoko po niebie. Krążyły.

*Raz — posępna północ była — gdym, znużony i bez siły  
Nad dziwnością obyczajów dumał, tych sprzed lat tysięcy,  
Kiedym drzemał (spać się chciało), nagle coś w drzwi zastukało,  
Jakby pukał ktoś nieśmiało...*

— „A Kruk odrzekł: «Nigdy więcej»”\* — szepnął Jim do ptaków nad głową.

Usłyszał cichy, rytmiczny trzask, jakby obracającego się raz za razem koła, i odgłos kroków. Kiedy odwrócił wzrok, dojrzał Holly pchającą wózek, na którym siedział dziadek. Posuwali się alejką ku ławce.

Osiemnaście lat minęło, odkąd wyjechał kontynuować naukę, i od tego momentu widział Henry'ego tylko dwa razy. Na początku było kilka, niewiele telefonów, ale wkrótce Jim przestał dzwonić i w końcu przestał je również przyjmować. Kiedy przychodziły listy, wyrzucał je, nie otwierając. Przypominał sobie to wszystko — i zaczynał sobie również przypominać, dlaczego tak było.

Spróbował się podnieść. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Pozostał na ławce.

Holly zatrzymała wózek przed Jimem, potem usiadła obok niego i zapytała:

— Dobrze się czujesz?

Pokiwał głupawo głową, zamiast na dziadka spojrzeć na ptaki krążące pomiędzy spielalnymi chmurami.

Starszy pan również nie potrafił spojrzeć na Jima. Z napięciem wpatrywał się w kwietniki, jakby przybył na dwór jedynie dlatego, iż koniecznie chciał obejrzeć pąki.

Holly nie spodziewała się, że będzie to łatwe. Zależało jej na obydwu tych mężczyznach i chciała zrobić wszystko, żeby w końcu zbliżyli się do siebie.

Najpierw musiała wypalić kłębowisko chwastów ostatniego kłamstwa Jima, które świadomie lub nieświadomie powtarzał samemu sobie.

— To nie był wypadek drogowy, kochanie — powiedziała, kładąc mu rękę na kolanie. — To nie tak się stało.

Jim opuścił wzrok z kosów na nią i spoglądał z nerwowym podnieceniem. Widziała, że tęsknił za prawdą i lękał się jej.

— To stało się w restauracji...

Jim z wolna trząsł głową, zaprzeczając.

— ...w Atlancie, w Georgii...

Nadal potrząsał głową, ale oczy robiły mu się coraz większe.

— ...byłeś z nimi...

Przestał zaprzeczać i koszarne napięcie zeszpeciło mu twarz.

— ...nazywała się Pałac Kaczora.

Kiedy pamięć wróciła, uderzając jak kafar, skulił się na ławce, jakby miał zwymiotować. Zapanował nad tym. Dłonie, spoczywające na kolanach, zacisnęły się w pięści. Twarz zmiął ból. Ciche, nieartykułowane dźwięki, jakie wydawał, zdradzały więcej niż rozpacz i przerażenie.

Objęła jego skulone ramiona.

---

\*E. A. Poe „Kruk” w E.A. Poe „Poezje wybrane”, przeł. Władysław Jerzy Kasiński.

Henry Ironheart spojrział na nią i powiedział: „Och, mój Boże” — uświadamiając sobie krańcowość psychicznego stłumienia, w jakie Jim został zepchnięty. „Och, mój Boże”. Kiedy wnuk zaczął cicho szlochać, Henry Ironheart znów spojrział na kwiaty, znów na swoje ręce, potem na stopy wsparte na podpórkach, wszędzie, gdzie się tylko dało, żeby tylko uniknąć widoku Jima i dziewczyny, ale w końcu jego oczy spotkały się ze spojrzeniem Holly.

— Przeszedł terapię — rzekł, usiłując się usprawiedliwić. — Wiedzieliśmy, że powinniśmy mu to zapewnić. Zabraliśmy go do psychiatrii w Santa Barbara. Kilka razy. Robiliśmy, co się dało. Ale ten psychiatra — było mu Hemphill — powiedział, że z Jimem jest wszystko w porządku, że nie ma powodu już go przyprowadzać; już po sześciu wizytach powiedział, że Jim ma się dobrze.

— A co oni w ogóle wiedzą? — powiedziała Holly. — Co mógł zrobić taki Hemphill, skoro nie znał naprawdę chłopca, nie kochał go?

Henry Ironheart zwinął się jak od uderzenia, choć nie było jej zamiarem go potępiać ani komentować jego czynów.

— Nie — odezwała się szybko, z nadzieją, że jej uwierzy. — Chodzi o to... to nie żaden cud, że mnie udało się dotrzeć dalej niż Hemphillowi. Ja po prostu go kocham. To jedyne uczucie, które zawsze uleczy.

Pogładziła Jima po włosach.

— Nie mogłeś ich uratować, kochanie. Wtedy — nie dysponowałeś swoją obecną mocą. Miałeś szczęście, że wyszedłeś z tego żywy. Uwierz mi, najdroższy, posłuchaj i uwierz.

Przez długą chwilę siedzieli bez słowa, wszyscy pogrążeni w bólu.

Holly spostrzegła kosy na niebie. Teraz było ich więcej, może ze dwanaście. Nie rozumiała, jak Jim ściągał je ani dlaczego, ale wiedziała, że są tam z jego powodu i spoglądała na nie z rosnącą obawą.

Położyła rękę na jego dłoniach, jakby zachęcając, by je rozluźnił. Stopniowo przestawał łkać, ale pięści nadal miał zacisnięte jak dłonie kamiennego posągu. Zwróciła się do Henry'ego:

— Teraz. To twoja szansa. Powiedz, dlaczego się od niego odwróciłeś, dlaczego zrobiłeś... cokolwiek to było.

Chrzękając i ocierając nerwowo usta słabszą prawą dłonią, Henry przemówił, z początku nie patrząc na żadne z nich.

— Więc... musisz wiedzieć, jak... jak to było. Kilka miesięcy po tym, jak przyjechałeś z Atlanty, w mieście pokazali się ci filmowcy, kręcili zdjęcia...

— Do „Czarnego wiatraka” — uzupełniła Holly.

— Tak. On ciągle czytał... — Henry urwał, zacisnął powieki, jakby zbierał siły. Kiedy otworzył oczy, spoglądał na pochyloną głowę Jima i wydawał się gotowy znieść jego

spojrzenie, jeśli on podniesie wzrok. — Czytałeś cały czas, przeglądałeś półkę za półką w bibliotece i przez ten film czytałeś książkę Willotta. Po jakimś czasie to stało się... do diabła, nie wiem... wydaje mi się, że chyba powiedziałbyś, że to była obsesja, Jim. To była jedyna rzecz, która wyciągała cię ze skorupy: rozmowy o tej książce. Więc zachęcaliśmy cię, żebyś oglądał, jak kręca ten obraz. Pamiętasz? Po jakimś czasie zacząłeś opowiadać nam, że Obcy jest w naszym stawie koło wiatraka, dokładnie jak w książce i w filmie. Na początku myśleliśmy, że tylko tak błąznujesz.

Przerwał.

Milczenie się przedłużało.

Ponad dwadzieścia ptaków wysoko na niebie.

Krążą. W milczeniu.

Holly zwróciła się do Henry'ego.

— W końcu to zaczęło was martwić.

Henry przesunął trzęsącą się dłonią po mocno pobrużdżonej twarzy, nie tyle żeby usunąć z niej zmęczenie, ile żeby zetrzeć bagaż lat i przybliżyć stracony czas.

— Coraz dłużej przesiadywałeś w wiatraku, Jim. Czasem spędzałeś tam cały dzień. Wieczory też. Niekiedy budziliśmy się w nocy, żeby pójść do toalety, i widzieliśmy światło w wiatraku o drugiej, trzeciej nad ranem. A ciebie nie było w twoim pokoju.

Henry przerywał coraz częściej. Nie był zmęczony. Po prostu nie chciał odkopywać tej dawno pogrzebanej części przeszłości.

— Jeżeli był to środek nocy, szliśmy do wiatraka i przynosiliśmy cię do domu, ja albo Lena. A ty opowiadałeś nam o Przyjacielu z wiatraka. Zacząłeś nas przerażać, nie wiedzieliśmy, co robić... więc chyba dlatego... nic nie zrobiliśmy. W każdym razie tej nocy... tej nocy, kiedy ona umarła... nadciągała burza...

Holly przypomniała sobie sen:

...zadął świeży wiatr, kiedy pospiesznie kroczyła po żwirowanej ścieżce...

— i Lena nie obudziła mnie. Wyszła sama i poszła do wyższej izby...

...wchodzi po kamiennych schodach...

— bardzo silna burza, ale ja miałem taki sen, że nic mnie nie mogło zbudzić...

...niebiosa rozświetlają się, kiedy mija okno przy schodach i poprzez szybę widzi jakiś obiekt na dnie stawu...

— ty, Jim, chyba robiłeś to, przy czym zawsze zastawaliśmy cię w nocy, czytałeś książkę przy świeczce...

...nieludzkie dźwięki znad głowy przyspieszają bicie jej serca, idzie do wyższej izby, pełna lęku, ale równocześnie zaciekawiona i zatroskana o Jima...

— w końcu obudził mnie piorun...

...dochodzi do szczytu schodów i widzi go, jak stoi z zaciśniętymi piąstkami po bokach, na podłodze żółta świeca pali się na błękitnej podstawce, obok leży książka...

— widzę, że Leny nie ma, wyglądam przez okno w sypialni i widzę niewyraźne światło w wiatraku...

...chłopiec obraca się do niej i krzyczy: „Boję się, pomóż mi, ściany, ściany!”

— i nie mogłem uwierzyć własnym oczom, bo skrzydła wiatraka kręciły się; wtedy nie robiły tego już z dziesięć, piętnaście lat, zardzewiały...

...widzi bursztynowe światło wewnątrz ścian, ohydne odcienie ropy i żółci; wapienne ściany pęcznią i uświadamia sobie, że coś, co nie może być żywe, żyje w ścianie...

— ale skrzydła obracały się jak śmigła samolotowe, więc wciągnąłem spodnie i poleciałem po schodach na dół...

...ze strachem, ale równocześnie z perwersyjną ekscytacją, chłopiec mówi: „Nadchodzi i nikt go nie zatrzyma!”

— złapałem latarkę i wyleciałem w deszcz.

...wybrzuszone kamienne bloki, spojone zaprawą, pękły jak gąbkowata powłoka owadziego jaja, nabierając kształtu; cuchnące łajno staje się wcieleniem czarnej furii chłopca na świat i jego niesprawiedliwość, jego nienawiść do samego siebie ucieleśnia się, jego pragnienie śmierci zyskuje ziejącą nienawiścią i brutalnością formę namacalnej żywej istoty, oddzielonej od niego...

— doleciałem do wiatraka i nie mogłem uwierzyć, że te stare skrzydła zamiatały, *wiuum, wiuum, wiuum!*...

Sen Holly urywał się w tym miejscu, ale jej wyobraźnia aż nazbyt nachalnie podsunęła jej wizję dalszych wydarzeń. Prerażona materializacją Nieprzyjaciela, oszołomiona tym, że szaleńcze opowiadki chłopca o Obcych, żyjących w wiatraku, są prawdziwe, Lena cofając się, potknęła się i spadła z krętych kamiennych schodów. Nie miała nawet poręczy, której mogłaby się uchwycić. Skręciła kark.

— wszedłem do wiatraka... znalazłem ją u stóp schodów, całą potrzaskaną, ze skręconym karkiem... nieżywą.

Henry zamilkł i z trudem przełknął ślinę. Wspominając tamtą burzliwą noc, ani razu nie spojrzął na Holly. Oczy utkwiał w pochylonej głowie Jima. Zaczął znów, mniej bełkotliwie, jakby zrozumiałe dokończenie miało dlań życiowe znaczenie:

— Wszedłem po schodach i znalazłem cię na górze, Jimmy. Pamiętasz? Siedziałeś przy świeczce i trzymałeś książkę w rękach tak mocno, że nie dało się jej wyjąć, dopiero po kilku godzinach. Nie odzywałeś się. — Starcowi załamał się głos. — Boże, wybac mi, ale nie umiałem myśleć o niczym innym, tylko o tym, że Lena nie żyje, że nie ma mojej kochanej Leny, a ty byłeś taki dziwny przez cały rok, nawet wtedy, w tamtym momencie, z tą swoją książką, i nie odzywałeś się do mnie słowem. I chyba... i chyba właśnie wtedy opętało mnie coś.

Pomyślałem, że mogłeś ją popchnąć, Jimmy. Pomyślałem, że może byłeś w jednym z tych swoich... złych nastrojów... i może popchnąłeś ją.

Jakby dłuższe patrzenie na wnuka przekraczało jego siły, Henry odwrócił wzrok ku Holly.

— Tego roku, po Atlancie, był taki dziwny... chłopiec, którego zobaczyliśmy pierwszy raz w życiu. Mówiłem, że się nie odzywał, ale siedziała w nim też okropna złość, furia niepasująca do żadnego dziecka. Czasem aż nas przerażała... wychodziła z niego tylko, jak spał... jak śnił... słyszeliśmy, jak zaczyna się drzeć, biegliśmy do niego przez korytarz... a on kopał i tłukł rękami w materac, w poduszki, szarpał za prześcieradła, rozwścieczony, wyzywając się na czymś w snach, i musieliśmy go budzić.

Henry przerwał. Nie patrzył już na Holly, tylko na swoją bezużyteczną prawą rękę, która spoczywała na kolanach. Pięść Jima pod dłonią Holly była jak dokręcone imadło.

— Nigdy nie zamierzyłeś się na mnie ani na Lenę, Jimmy, byłeś dobrym chłopcem, nigdy nie sprawiałeś nam kłopotów. Ale tej nocy w wiatraku złapałem cię, Jimmy, i potrząsałem tobą, chciałem, żebyś się przyznał, że to ty ją popchnąłeś... Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tego, co robiłem, jak się zachowałem... poza tym, że szalałem z bólu po Jamiem i Carze, i wówczas po Lenie, wokół mnie wszyscy umierali i pozostałeś tylko ty, taki dziwny, taki dziwny i zamknięty w sobie, że mnie to przerażało, więc rzuciłem się na ciebie, kiedy powinienem był cię przytulić. Tej nocy rzuciłem się na ciebie... i nie zdawałem sobie sprawy z tego, co zrobiłem, aż po latach... kiedy było za późno.

Ptaki krążyły teraz ciasniejszym kręgiem dokładnie nad ich głowami.

— Nie — odezwała się łagodnie Holly do Jima. — Nie, proszę cię.

Dopóki Jim nie odpowiadał, Holly nie miała pojęcia, czy te rewelacje zadziałają w dobrym, czy złym kierunku. Jeżeli obwiniął siebie za śmierć babki tylko dlatego, że Henry wpoił mu poczucie winy, powinien sobie poradzić. Jeżeli winił siebie, ponieważ Lena weszła na górę, zobaczyła Nieprzyjaciela materializującego się ze ściany i owładnięta grozą cofnęła się, potknęła i zleciała po schodach, także jeszcze da radę pokonać przeszłość. Ale jeżeli Nieprzyjaciel wyrwał się ze ściany i pchnął ją...

— Uważałem cię za mordercę przez następne sześć lat, dopóki nie wyjechałeś na dalszą naukę — mówił Henry. — Kiedy cię już nie było... no, wtedy zaczęło mi się przejaśniać w głowie i zrozumiałem, co narobiłem. Nie miałeś nikogo, kto mógłby cię pocieszyć. Twoi rodzice nie żyli, babcia też. W miasteczku kupowałeś książki, ale nie mogłeś bawić się z innymi dziećmi, bo ten mały skurwiel Ned, dwa razy wyższy od ciebie, nie dałby ci spokoju. Tylko książki dawały ci wytchnienie. Próbowałem do ciebie dzwonić, ale nie podnosiłeś słuchawki. Pisałem, ale, o ile pamiętam, w ogóle nie odpowiadałeś na listy.

Jim siedział bez ruchu. Henry spojrzał na Holly.

— W końcu przyjechał, jak miałem wylew. Siedział koło mnie, gdy leżałem na intensywnej opiece. Nie mogłem dobrze mówić, nie umiałem powiedzieć tego, co chciałem, wychodziło nie to, bez sensu...

— Afazja — powiedziała Holly. — Przez ten wylew.

— Raz, podłączony do tych wszystkich urządzeń, spróbowałem mu powiedzieć, co wiedziałem prawie od trzynastu lat — że nie jest zabójcą. I że byłem dla niego okrutny. — Nowa fala łez napłynęła mu do oczu. — Ale kiedy już to z siebie wydusiłem, było zupełnie pomieszane, nie takie, jakie miało być, i źle to zrozumiał, pomyślał, że właśnie nazywałem go mordercą i boję się go. Odjechał i teraz widzę go pierwszy raz od tego czasu. Od ponad czterech lat.

Jim siedział z pochyloną głową.

Dłonie zaciśnięte.

Co pamiętał z tamtej nocy w wiatraku, z części prawdy znanej tylko jemu?

Holly podniosła się z ławki. Nie mogła znieść oczekiwania na reakcję Jima. Stała chwilę bezradnie, w końcu znowu siadła. Jak poprzednio położyła rękę na jego pięści.

Podniosła wzrok.

Więcej ptaków. Teraz było ich może ze trzydzieści.

— Boję się — powiedział Jim.

Nic więcej.

— Po tej nocy — odezwał się Henry — nigdy nie wybrał się już do wiatraka, nigdy nie wspomniał Przyjaciela ani książki Willotta. Na początku pomyślałem, że to dobrze, bo skończył z tą obsesją... przestał być taki obcy. Ale potem zacząłem się zastanawiać... Może stracił ostatnie oparcie, jakie miał.

— Boję się przypominania — powiedział Jim.

Wiedziała, o co mu chodzi: jedno, jedyne, głęboko ukryte wspomnienie czekało na ujawnienie. Czy jego babka umarła w wypadku, czy też zabił ją Nieprzyjaciel. Lub czy zrobił to on jako Nieprzyjaciel.

Nie mogąc już dłużej patrzeć na pochyloną głowę Jima, nie mogąc znieść grymasu Henry'ego Ironhearta, obrazu winy i wątpliej nadziei, Holly znów spojrzała w górę — i dostrzegła, jak nadlatują. Teraz było ich ponad trzydzieści. Ciężkie ponure niebo jak ostrza czarnych noży, nadal wysoko, ale opadając wprost w kierunku podwórza.

— Jim, nie!

Henry spojrzał w górę.

Jim również podniósł twarz, ale nie po to, żeby zobaczyć, co nadlatuje. On wiedział, co się zbliża. Wzniósł twarz, jakby ofiarując swoje oczy ostrym dziobom i szalejącym pazurom.

Holly zerwała się na równe nogi. Stała się teraz wyraźniejszym celem niż on.

— Jim, przeciwstaw się temu, przypomnij sobie, na litość boską!

Słyszała krzyki szybko opadających ptaków.

— Jeśli nawet zrobił to Nieprzyjaciel — powiedziała, przyciskając wzniesioną twarz Jima do swojej piersi — poradzisz sobie z tym, możesz normalnie żyć.



Henry Ironheart krzyknął, zszokowany, kiedy ptaki rozszalały się wokół Holly, trzepocząc skrzydłami, tłocząc się i odlatując, a potem nawracając z furkotem większą gromadą, usiłując wywalczyć sobie drogę do twarzy Jima, do jego oczu, ominąć Holly.

Nie atakowały jej dziobami ani szponami, ale jak długo będą ją oszczędzać? Przecież to był Nieprzyjaciel w zupełnie nowej postaci, a Nieprzyjaciel nienawidził jej równie silnie jak Jima.

Ptaki, wirując, odleciały z podwórza, uniosły się jak masa liści poderwana gwałtownym dmuchnięciem wiatru. Henry Ironheart był wystraszony, ale nietknięty.

— Ukryj się — powiedziała mu.

— Nie — odpowiedział.

Wyciągnął bezsilną dłoń. Jim nie podał mu swojej.

Gdy Holly odważyła się spojrzeć w niebo, przekonała się, że ptaki nie ustąpiły. Zawisły przy skraju opadających szarych chmur, gdzie wcześniej zebrał się drugi zastęp. Mroczna kotłowanina pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu głodnych i szybkich ciał.

Przy oknach i przesuwanych drzwiach wychodzących na podwórze zgromadzili się ludzie. Dwie pielęgniarki wyszły przed drzwi, którymi wyprowadziła na dwór wózek z Henrym.

— Wracajcie! — krzyknęła do nich Holly.

Nie wiedziała, czy coś im grozi.

Fala nienawiści Jima, skierowana przeciw niemu samemu i być może przeciw Bogu, wynikała z samego faktu istnienia śmierci, mogła przecież wzrosnąć i zatopić niewinnych. Ostrzegawczy krzyk musiał wystraszyć pielęgniarki, gdyż cofnęły się i stanęły w drzwiach.

Znów podniosła oczy. Nadlatywało większe stado.

— Jim — powiedziała z naciskiem, trzymając jego twarz w obu dłoniach i spoglądając w jego piękne niebieskie oczy, teraz lodowate od zimnego płomienia nienawiści — jeszcze tylko jeden krok, jeszcze tylko jedna rzecz do przypomnienia.

Chociaż ich oczy dzieliło jedynie kilka centymetrów, nie sądziła, aby ją widział; spoglądał poprzez nią jak w parku, kiedy zmierzała ku nim ryjąca pod ziemią istota.

Opadające ptaki kwiliły jak stado szarżujących demonów.

— Jim, do cholery, może to, co spotkało Lenę, nie jest warte samobójstwa!

Ogłuszający szelest skrzydeł wypełnił powietrze. Przyciągnęła twarz Jima do swojego ciała. Tak jak poprzednio nie walczył z nią, kiedy stała mu się tarczą. To dodało jej nadziei. Schyliła głowę i zacisnęła powieki, najmocniej jak mogła.

Nadleciały: jedwabne pióra; gładkie zimne dzioby stukające, szperające, szukające; szpony drapiące delikatnie, potem mocniej, ale nadal nie do krwi; tłoczyły się przy niej jak głodne szczury, wijąc, ciskając się, trzepocząc, owijając wokół pleców, nóg, między udami, usiłując wedrzeć się pomiędzy jego twarz a jej piersi, tam gdzie mogłyby szarp-

nać i wyłupić; obijały się o jej głowę; i ciągle wrzeszczały, ostrym wrzaskiem kobiet po-  
grążonych w psychopatycznej furii, wdzierając się jej prosto w uszy, żądając krwi, krwi,  
krwi — a potem poczuła ostry ból na ramieniu, kiedy jeden osobnik ze stada rozerwał  
jej rękaw i szarpnął za skórę.

— Nie!

Uniosły się i odleciały. Nie zauważyła tego, ponieważ serce i szalejący oddech łomo-  
tały jej w uszach jak uderzenia skrzydeł. Potem uniosła głowę, otworzyła oczy i ujrzała,  
jak wirując, podnoszą się w ołowiane niebo i dołączają do ciemnej chmury innych pta-  
ków, masy czarnych ciał i skrzydeł, liczącej ponad dwieście sztuk.

Spojrzała na Henry'ego Ironhearta. Ptaki skaleczyły go do krwi w jedną rękę. Podczas  
ataku wbity w oparcie wózka, teraz znów się wychylił, wyciągając rękę, prosząco wywo-  
łując imię Jima.

Holly spojrzała Jimowi w oczy. Siedział na ławce tuż przed nią, nadal nieobecny.  
Najprawdopodobniej przebywał w wiatraku, spoglądając na babkę sekundę przed jej  
upadkiem, zastygły w tamtym ułamku czasu, niezdolny przesunąć filmu z obrazem pa-  
mięci o jedną klatkę dalej. Ptaki nadlatywały.

Były jeszcze daleko, tuż pod pokrywą chmur, ale w takiej liczbie, że huk łopocących  
skrzydeł niósł się na wielką odległość. Ich ostry krzyk brzmiał jak głosy potępionych.

— Jim, możesz pójść drogą Larry'ego Kakonisa, możesz się zabić. Nie mogę cię po-  
wstrzymać. Ale jeśli Nieprzyjaciel już mnie nie chce, jeśli chce tylko ciebie, nie myśl, że  
jestem uratowana. Jeżeli ty umrzesz, Jim, jestem nieżywa, jestem trupem, zrobię to, co  
Larry Kakonis, zabiję się i będę gniła z tobą w piekle, skoro nie mogę cię mieć gdzie in-  
dziej!

Kiedy po raz trzeci przytuliła do siebie twarz Jima, Nieprzyjaciel — nieskończona  
liczba jego części — opadł na nią. Ale teraz nie kryła twarzy, nie zamknęła oczu, stała  
w wirze skrzydeł, dziobów i szponów. Odpowiadała spojrzeniem na spojrzenia wielu  
małych błyszczących oczu koloru nieskażonej czerni, które krążyły wokół niej, nie mru-  
gając, każde z nich mokre i głębokie jak noc odbijająca się w morzu, każde tak bezlito-  
sne i okrutne jak sam wszechświat albo otchłań ludzkiego serca. Wiedziała, że wpatru-  
jąc się w te oczy, wpatruje się w część Jima, jego najgłębszą, najbardziej mroczną część,  
do której nie mogła dotrzeć inną drogą — i wołała go po imieniu. Nie krzyczała, nie  
wrzeszczała, nie prosiła ani nie błagała, nie dawała ujścia gniewowi ani wściekłości, ale  
łagodnie wypowiadała jego imię, raz za razem, z całą czułością, jaką go darzyła, z całą  
miłością. Ptaki tłukły się o nią tak mocno, że trzaskały im lotki; otwierały zakrzywione  
dzioby, skrzeczały jej w twarz, chwytały groźnie za ubranie i włosy, szarpiąc, ale nie  
drąc, jakby dając jeszcze jedną szansę ucieczki. Usiłowały ją zastraszyć swymi oczami,  
zimnymi i obojętnymi oczami żarłocznych bestii, ale nie czuła lęku, tylko raz za razem  
powtarzała jego imię, a potem obietnicę miłości, aż...

...odeszły.

Nie wzniosły się w niebo jak poprzednio. Zniknęły. W jednym momencie powietrze było gęste od nich i ich wściekłych okrzyków — a w następnym znikły, jakby nigdy nie istniały.

Holly przez chwilę jeszcze tuliła Jima, potem oderwała się od niego. Nadal spoglądał raczej przez nią niż na nią i zdawał się nie wychodzić z transu.

— Jim — odezwał się błagalnie Henry Ironheart, wciąż wyciągając rękę ku wnukowi.

Jim jakby zawahał się, a potem zsunął z ławki. Ukłękł przed starcem. Wziął wymizowaną dłoń i pocałował.

— Babcia zobaczyła Nieprzyjaciela wychodzącego ze ściany. To się zdarzyło po raz pierwszy i ja też widziałem go pierwszy raz — mówił, nie patrząc na Holly ani na Henry'ego. Jego głos brzmiał jak z oddali, jakby jakaś część jego samego nadal tkwiła w przeszłości, wciąż przeżywając tę straszną chwilę, a zarazem czując ulgę, że nie ma powodu do aż takiego lęku... — Zobaczyła go, to ją przeraziło, potknęła się, robiąc krok w tył na schodach, pośliznęła, upadła...

Dotknął policzkiem ręki dziadka i powiedział:

— Ja jej nie zabiłem.

— Wiem, że nie, Jim — powiedział Henry Ironheart. — Mój Boże, wiem.

Stary człowiek spoglądał w twarz Holly. Miał tysiące pytań: o ptaki, nieprzyjaciół i istoty w ścianach. Ale ona wiedziała, że odpowiedzi przyjdą innego dnia, musi zaczekać, jak ona czekała — i również jak Jim czekał.

### 3

Podczas jazdy przez góry i Santa Barbara Jim zapadł się w fotel i zamknął oczy. Robił wrażenie pogrążonego w głębokim śnie. Pomyślała, że potrzebował tego snu rozpaczliwie jak nikt, gdyż nie zaznał prawie odpoczynku przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Nie bała się już jego snu. Była pewna, że Nieprzyjaciel odszedł wraz z Przyjacielem i tylko jedna osobowość zamieszkiwała teraz jego ciało. Sny nie otwierały więcej żadnych drzwi.

Na razie nie chciała wracać do wiatraka, choć zostawili tam trochę rzeczy. Miała również dość Svenborga i wszystkiego, co było znaczące w życiu Jima. Chciała zaszyć się w nowym miejscu, gdzie żadne z nich jeszcze nie było, gdzie można by zacząć od początku, bez śladów przeszłości ciągnących się za nimi.

Kiedy jechali przez wyschnięty kraj pod spopielonym niebem, składała razem kawałki obrazu:

...niezwykle utalentowany chłopiec, o wiele bardziej, niż zdaje sobie z tego sprawę, wychodzi z rzezi w Pałacu Kaczora, ale jego dusza jest strzaskana. Rozpaczliwie walcząc z wyrzutami sumienia, wykorzystuje fantastyczny świat Arthura Willotta. Swą niezwykłą mocą kreuje Przyjaciela, wcielenie szlachetnych ambicji, i Przyjaciel opowiada mu, że ma w życiu do spełnienia pewną misję.

Ale chłopiec jest tak przepełniony rozpaczą i furją, że sam Przyjaciel nie wystarcza. Potrzebuje trzeciej osobowości, czegoś, w co może przelać wszystkie swoje negatywne uczucia, cały mrok, jaki w nim tkwi i go przeraża. Dlatego wzbogacając konstrukcję opowieści Willotta, tworzy Nieprzyjaciela. Spędza samotnie czas w wiatraku, prowadząc ożywcze rozmowy z Przyjacielem — i pozbywa się swej furii, materializując Nieprzyjaciela.

Aż pewnej nocy Lena Ironheart wkracza w złym momencie. Przestraszona, spada...

W szoku po tym, co wywołała sama tylko postać Nieprzyjaciela, Jim zmusza się do porzucenia świata fantazji, zarówno Przyjaciela, jak i Nieprzyjaciela, tak jak Jim Jamison zapomniał o spotkaniu z Obcym po uratowaniu życia przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przez dwadzieścia pięć lat stara się zwalczyć obie osobowości, tłumiąc zarówno swoje najlepsze, jak i najgorsze cechy i prowadząc stosunkowo spokojny i bezbarwny żywot — ponieważ nie śmie dopuścić do głosu mocniejszych uczuć.

Znajduje cel w nauczaniu. W pewnym stopniu staje mu się ono odkupieniem — dopóki Larry Kakonis nie popełni samobójstwa. Pozbawiony celu, czując, że zawiódł Kakonisa, tak jak zawiódł swych rodziców i jeszcze poważniej swoją babkę, podświadomie dąży do przedłużenia odważnej przygody Jima Jamisona, co stanowi kompensację popełnionych błędów. A to oznacza uwolnienie Przyjaciela.

Ale uwalniając Przyjaciela, uwalnia również Nieprzyjaciela. Po tych wszystkich latach zamknięcia zżera go furia, która staje się jeszcze silniejsza i groźniejsza, absolutnie nieludzka w swej intensywności. Teraz Nieprzyjaciel staje się czymś o wiele gorszym niż dwadzieścia pięć lat temu: monstrum o wyjątkowo morderczym wyglądzie i temperamencie...

Tak więc Jim nie różnił się niczym od innych ofiar rozdwojenia osobowości. Poza jedną rzecz. Jednym drobiazgiem. Stwarzał istoty nieludzkie zamiast ludzkich, przenosił w nie fragmenty swego „ja” i miał moc nadawania im cielesnego kształtu. Nie był jak Sally Field odgrywająca Sybil: szesnastu ludzi w jednym ciele. Był trzema bytami w trzech ciałach, a jedno z nich należało do istoty zabójczej.

Holly włączyła ogrzewanie. Chociaż na zewnątrz musiało być ponad dwadzieścia stopni, miała dreszcze. Ale ogrzewanie jej nie pomogło.

Kiedy wynajmowała pokój w motelu w Santa Barbara, zegar przy recepcji wskazywał pierwszą jedenastkę po południu. Wypełniła formularz i okazała kartę kredytową. Jim spał nadal w samochodzie.

A gdy dostała klucz, udało się jej przebudzić go na tyle, że wytoczył się z wozu i dobrnął do pokoju. W stanie kompletnego oszołomienia od razu padł na łóżko, zwinął się i natychmiast zapadł w głęboki sen.

W automacie obok basenu kupiła puszkę z dietetyczną lemoniadą i batony.

Wróciła do pokoju, zasunęła firanki, zapaliła jedną lampkę i osłoniła ją ręcznikiem, żeby przytłumić światło.

Przysunęła krzesło do łóżka, usiadła. Popijała lemoniadę i obserwowała go, pogrążonego we śnie.

Najgorsze było za nimi. Fantastyczny świat został zlikwidowany i Jim zanurzył się w twardą rzeczywistość.

Ale nie wiedziała, jakie będą następstwa tych zmian. Nie знаła go, zanim opanowały go iluzje, i nie wiedziała, jaki będzie teraz. Nie miała pojęcia, czy stanie się optymistą, czy ponurakiem, i nie zdawała sobie sprawy, czy nadal będzie dysponował nadludzką mocą tak potężną jak poprzednio. Czerpał ją z głębi swej istoty, sycąc się światem fantazji, podtrzymywał niepewną równowagę psychiczną; być może teraz zostaną mu tylko takie umiejętności, jakie miał przed śmiercią rodziców — będzie umiał unieść brytfankę do ciasta, podrzucić monetę, nic więcej. I co najgorsze, nie wiedziała, czy nadal będzie ją kochał.

W porze kolacji wciąż spał.

Wyszła i znów kupiła batony czekoladowe. Szaleństwo. Skończy tak gruba jak matka, jeśli nie weźmie się w karby.

O dziesiątej spał nadal. Jedenasta. Północ.

Zastanawiała się, czy go nie obudzić. Ale pomyślała, że śpi jak poczwarka, przechodząc ze starego życia w nowe. Gąsienica potrzebowała czasu na zamianę w motyla. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Gdzieś między północą a pierwszą usnęła na krześle. Nie śniła.

Obudził ją.

Spojrzała w jego cudowne oczy, które w słabym świetle przesłoniętej ręcznikiem lampy nie były zimne, choć nadal tajemnicze.

Pochylał się nad jej krzesłem, potrząsając nią łagodnie.

— Holly, obudź się. Musimy jechać.

Natychmiast opadł z niej sen, wyprostowała się.

— Jechać, gdzie?

— Do Scranton w Pensylwanii.

— Po co?

— Jutro po południu, o wpół do czwartej, nieostrożny kierowca szkolnego autobusu będzie chciał wyminąć pociąg na przejeździe kolejowym — mówił, chwytając kawałek napoczętego batonika, zrywając z niego opakowanie i wgryzając się w niego.

— Dwadzieścioro sześcioro dzieci zginie, jeśli nie przybędziemy na czas.

— Widzisz to wszystko? Całość, nie tylko część? — spytała, wstając z krzesła.

— Oczywiście — powiedział z ustami zapchanymi batonem. Uśmiechnął się szeroko. — Znam się na tym, Holly. Przecież jestem jasnowidzem, na litość boską.

Odwzajemniła mu się równie szerokim uśmiechem.

— Jeszcze pokażemy, na co nas stać, Holly. — Przepęłniał go entuzjazm. — Superman? Po jaką cholerę marnował tyle czasu, trzymając się tej gazetowej robótki, kiedy mógł robić tyle dobrego?

— Zawsze się nad tym zastanawiałam. — Holly łamał się głos. Ulga mieszała się w nim z miłością do Jima.

— Świat jeszcze nie widział czegoś takiego jak my, mała. — Ucałował ją, obmazując czekoladą. — Jasne, musisz nauczyć się sztuki walki, posługiwania się bronią i kilku innych rzeczy. Ale dobrze ci to pójdzie, jestem pewien.

Rzuciła mu się na szyję, uściskała gorąco, ze szczerą radością.

Miała cel.

## SPIS TREŚCI

<b>CZEŚĆ PIERWSZA</b>	<b>3</b>
BOHATER I PRZYJACIEL	
12 SIERPNIA	4
OD 20 DO 22 SIERPNIA	28
OD 24 SIERPNIA DO 26 SIERPNIA	58
<b>CZEŚĆ DRUGA</b>	<b>127</b>
WIATRAK	
OD 27 SIERPNIA DO 29 SIERPNIA	128
<b>CZEŚĆ TRZECIA</b>	<b>243</b>
NIEPRZYJACIEL	
RESZTA Z 29 SIERPNIA	244